

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 146.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1877.

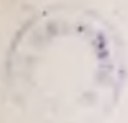
— 00-00 —

Tom drugi.

W A R S Z A W A .

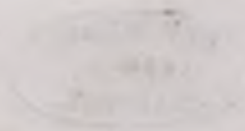
Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1877.

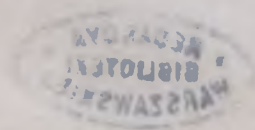


Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Марта 1877 года.



W drukarni Józefa Bergera, ulica Elekoralna, Nr. 14.



# BRYTAN-BRYŚ.

BAJĘDA DRAMATYCZNA W IV AKTACH,

W I E R S Z E M \*).

PRZEZ

Aleksandra hr. Fredrę.

Każdy dudek ma swój czubek.

---

## ZWIERZĘTA DZIAŁAJĄCE:

BRYTAN-BRYŚ.  
OSIOŁ.  
MUŁ.  
LIS.  
KOŃ.  
NIEDŹWIEDŹ.  
ODYNIEC.  
BORSUK.  
KOT.  
JELEŃ.

CAP.  
OWCA.  
BARAN.  
WILK.  
PUDEL.  
ZAJĄC.  
TCHÓRZ.  
BÓBR.  
KROWA.  
MAŁPA.

ŻANIA.  
SARNA.  
KLACZKA.  
SARNIUK.  
BYK.  
DANIEL stary.  
CAPEK.  
ŻRUBAK.  
CIELAK.  
SZCZENIUK.

---

## AKT I.

Łąka w lesie.

SCENA 1.

MUŁ — OSIOŁ.

OSIOŁ.

Co za szczęście! Aż się dziwię!  
W pierwszej przybycia godzinie  
Błądząc po nieznannej niwie,  
Ciebie spotykam kuzynie.

---

\*) Na zasadzie żądania Jana Aleks. hr. Fredry, syna autora, ostrze-  
ga się, iż wszelki przedruk niniejszego utworu, bez jego zezwolenia, sądownie  
poszukiwany będzie.

Przyp. Red. Bibl. Warsz.

Tom II. Kwiecień 1877





- O, szanowny mule!  
Nachyl trochę pyska,  
Niech cię dwakroć czule  
Twój kuzyn uściska.
- MUL. Hola, hola! Nie tak z blizka...  
Ja Waszmości nie znam wcale.
- OSIOŁ. Ty mnie nie znasz?... Co za baśnie!
- MUL. Ty! Co to ty!... Znaj, cymbale,  
Że ja jestem Jaśnie! Jaśnie!...  
(*obracaając się tyłem*)  
Widzisz?
- OSIOŁ. Fontaż u ogona!  
O ozdobo uwielbiona!  
Któż nademnie więcej umieć  
Cenić te zaszczyty tylne,  
Zasług dowody niemyłne?  
Ach! któż lepiej je rozumieć?  
Alem myślał: między nami  
Tak blizkimi kuzynami...
- MUL (*ogłędując się*). Cicho! Człowieku uparty!  
Nie znam cię, nie znam i kwita.
- OSIOŁ. A więc to są, widzę żarty;  
Bo kto jestem, kto mnie rodzi,  
Każdy z mój twarzy wyczyta...  
Nawet ślepy się nie spyta;  
Lecz że z żartu śmiać się godzi,  
A nie śmiać się, znak urazy,  
Więc uśmiechnę się dwa razy:  
Śmiać się będę...  
(*ryczy*)
- MUL. Czyś szalony!  
Cóżto, koncert na ubogich,  
Żeś dobył ryków tak srogich?!
- OSIOŁ. Uśmiech wszędzie dozwolony.
- MUL. Uśmiech! uśmiech! Do stu ludzi!  
Taki uśmiech zmarłych budzi.
- OSIOŁ. Otóż znowu śmieszne słowo:  
Ja się śmiać muszę na nowo.  
(*ryczy*)
- MUL. Cicho, osłe!
- OSIOŁ. Znasz mnie przecie.
- MUL. Wszystkim znane takie głosy.
- OSIOŁ. Prawda, prawda, znane w świecie.
- MUL (*na stronie*). O! jakież przeciwne losy  
Przysyłają mi w tej porze,  
Gdzie lada co szkodzić może,

(głośno)  
 Na mą zgubę i zhańbienie,  
 To arcygłupie stworzenie!  
 — Moja godność, moja sława,  
 Urodzenie i powaga,  
 Uszanowania wymaga:  
 Nikt ubliżyć nie ma prawa.  
 I te piętna różnej miary,  
 Wielkich zwierząt świetne dary:  
 Pierwszej, drugiej, trzeciej klasy,  
 Będą świadczyć w późne czasy,  
 Że kiedy niegdyś, przed laty,  
 Straszny sąsiad lew kudłaty,  
 Karku w dole nadwerężył,  
 Lwa straszego, muł zwyciężył...

(Osioł ryczy)

OSIOŁ. Czegoż ryczysz ośli synu?  
 MUE. Uwielbienie godne czynu.  
 A wiesz ty panie włóczęgo,  
 Że ja gryzę, biję tego?  
 OSIOŁ. O, my wszyscy w tém junaki:  
 MUE. Kubek w kubek i ja taki.  
 Słuchajno trutniu uparty,  
 Tu nie miejsce stroić żarty.  
 Jeśli chcesz pozostać w zgodzie,  
 Nie szukaj pracą daremną  
 Pokrewieństwa twego ze mną;  
 Bo wiadomość o mym rodzie,  
 Jasno sięga w przeszłość ciemną.  
 Koń tylko, z Pegaza szczepu,  
 Teraźniejszy Rejent stepu,  
 Mym kuzynem zwać się może;  
 Czego bardzo łatwo dociec  
 I co chętnie ci powtórzę:  
 Ojca konia, ogier ojciec,  
 Był rodzonym klaczy bratem,  
 Którój córki jestem synem.  
 OSIOŁ. Cóż ztąd?  
 MUE. W trzecim stopniu zatém,  
 Muł koniowi jest kuzynem.  
 OSIOŁ. Lecz że płyną w tobie z matki  
 Pegazowej krwi ostatki,  
 Czy nie jesteś osłem z osła?  
 MUE (n. s.) *Malheureuse mésalliance!*  
 OSIOŁ. Ale  
 Zkąd ta duma w tobie wzrosła,  
 Ja nie mogę pojąć wcale;

Spojrzyj w przeszłość, wspomnij dzieje,  
 Tych dwóch rodów śledź koleje:  
 Jeszcze konie dziś tak harde  
 Że wędziła żują twarde,  
 W barbarzyńskich stepach wolne,  
 Nosić nawet szli niezdolne,  
 Ledwie znały władzę jaką,  
 Kiedy osły pod kulbaką  
 Już wiedziały co usługi,  
 Już wiedziały co kańczugi.  
 Nikt z najstarszych nie pamięta  
 Wolném nasze wielkie plemię,  
 Jakby z osłem wraz i pęta  
 Spadły niegdyś na tę ziemię.  
 Któraż rodzina liczniejsza?  
 Któraż, powiedz, bezpieczniejsza?  
 Gdy walki zagrzmie potęga,  
 Niszczy słonie, lwów umniejsza,  
 Osłów tylko niedosięga.  
 Grzbiet nasz zgięty, nie łechtliwy,  
 Ucho na dół, wzrok lękliwy;  
 Nie wdychamy nawet skrycie,  
 Ale za to stajem w szczycie.

MUŁ.

Na co daremne gadanie:  
 Pocoś przyszedł? to pytanie.

OSIOŁ.

Bo już z ludźmi trudne życie.  
 Ludzie teraz nic dobrego:  
 Jeden z drugim jak pies z kotem.

MUŁ.

A tobie čmo co do tego?

OSIOŁ.

Przykre stosunki. A potem  
 Nieznośną mi była mowa,  
 I ambicya ich bez sromu,  
 Wszystko przywłaszczuć gotowa.  
 Lada jaki, lada komu  
 Pali tytuł po tytule,  
 Mówi: ośle! co dwa słowa...  
 Ośle!—a on— wierz mi mułce,  
 Tak jest do mnie z ciała, włosa  
 Podobny, jak pięść do nosa...  
 A uszęta! A uszęta!  
 Tfy! jak dwie figi zeschnięte  
 Do dyni przypięte.  
 I im, im, zwać się osłami!

MUŁ.

A tobie, tobie, bratać się z mułami!  
 Ale pocoś przylazł, pocoś?

OSIOŁ.

Abym widział co robicie,  
Jakie teraz wasze życie;  
Abym stał się wam pomocą  
Jeśli na to zasłużycie.

MUŁ.

OSIOŁ.

Ty, pomocą! Daj go katu!  
Chcę przystąpić do traktatu,  
Który, jak się dowiedziałem  
Od przelatującej sroki,  
Zwierzęta z godnym zapałem  
Między sobą zawrzeć miały.  
Traktat! fiu! pomysł głęboki!  
Umiem go na pamięć cały:  
Równość, wolność, wieczna zgoda,  
Bezpieczeństwo osobiste  
Zaręczone solidarnie.

Wszystko pięknie, tylko szkoda  
Że to wszystko zginie marnie;  
Bo są formy wiekuiste,  
Raz na zawsze ukształcone,  
Co aczkolwiek gniotą, duszą,  
To na wszystko kłaść się muszą,  
Jak się niegdyś na me barki  
Kładły kulbaczne poczwarki.

I któż, powiedz, kto bez osła  
Mógł być mistrzem formy starój?  
Kto się jął jego rzemiosła?  
Kto tysiączne karku zgięcia  
Mógł urządzić podług miary?

O, daremne przedsięwzięcia!...  
Ale nie turbuj się bracie:  
Zadam, zadam pracę sobie,  
I wasz traktat tak przerobię,  
Że go sami nie poznacie.

MUŁ.

A ja Waści radzę szczerze,  
Mój ty panie formalisto,  
Niech cię i chętka nie bierze  
Wznawiać metodę dwułbistą,  
Bobyś gorzko płakał potem.  
Musisz także wiedzieć o tém,  
Że ze związku zwierzęcego  
Dla wiecznój tegoż ochrony,  
Osioł z tchórzem wykluczony.  
Zatém z tego i owego,  
Jeśli chcesz być skóry pewny,  
Zamilcz ściśle żeś mój krewny,



I nie mówiąc nic nikomu,  
Nogi za pas, marsz do domu!

(*odchodzi*)

OSIOŁ (*sam*).

*Küss die Hand!* (*po długim milczeniu*)

Pan Muł szaleje,

Śmiać się będę (*ryczy*). Ja się śmieję,  
Aż ze śmiechu boki bołą,

Aż mi oczy zaszczy solą.

Gdzież to kiedy, w jakim świecie,

W jakim stepie, w jakim lesie,

W jakimże to gdzie kongresie,

Parlamencie, gabinecie,

Osiół z tchórzem miejsca nie miał?

Bodajżeś Mule oniemiał

Za te głupie twoje żarty.

Tchórz nareszcie niechaj zmyka,

Bo Tchórz zmykać djable lubi,

Ale Osiół zwierz uparty

I że taki, tém się chlubi;

Ośła, panie klaczy synu,

Nie tak łatwo zbić z terminu.

Zwał go drągiem, on się pyta,

Czego żadasz przyjacielu?

I on, że tam ktoś gdzieś zgrzyta,

Miałby zwrócić się od celu?

I świetne niszczyć nadzieje?

Śmiać się będę. Ja się śmieję.

(*ryczy*)

## SCENA 2.

OSIOŁ — LIS.

LIS.

Cóżto za miła, droga niespodzianka,  
Tu harmonii oglądać kochanka!  
Bądź pozdrowiony przybyszu kochany,  
Z ciebie dmą flety, w tobie grzmią organy:  
Tu twoje miejsce, gdzie kwitnie zastuga.

OSIOŁ.

*Servus*. Wszak pan Lis?

LIS.

Przyjaciel i sługa.

OSIOŁ (*n. s.*)

Wcale do rzeczy—to Lis co się zowie!

LIS.

Cóż tam słyhać? Jakże zdrowie?

Dobrze służy?

OSIOŁ.

Wyśmienicie:

Jestem zdrów jak koń.

LIS.

I wierzę,

Kto tak skromne wiedzie życie!



Wyładniałeś.

OSIOŁ.  
LIS.

Ho! ho!

Szczerze.

Ja pochlebstwa nienawidzę,  
Mówię co myślę, co widzę;  
Wyładniałeś i to znacznie:  
Trochęś utył.

OSIOŁ.  
LIS.

Jé się smacznie.

To grunt rzeczy.

OSIOŁ.  
LIS

Co wypadnie.

To mi śmiałość!

OSIOŁ.

Śpię paradnie.

LIS.

Co za rozum!

OSIOŁ.

Pół dnia ściśle.

LIS.

Co za stałość!

OSIOŁ.

Nic nie myślę.

LIS.

Jesteś duszy nadzwierzęcej!

OSIOŁ.

Filozofia i nic więcej,

Filozofia to, mój panie.

LIS.

Ach, nie każdy mieć ją w stanie!

Gdzież bywałeś? powiedz, proszę.

OSIOŁ (z fanfaronadą wystawiając nogę).

Wojażowałem potroszę.

LIS.

Otóż to jest. Zgadłem prawie

Po odmianie w twój postawie.

Masz coś w tonie, masz w układzie,

Niech nie wspomnę o rozumie,

Co to każdy za wzór kładzie,

A wysłowić nikt nie umie.

(Osioł podskakuje i wierzga—Lis cofa się strwożony)

A to co jest?

OSIOŁ.

To tak sobie.

LIS.

Ale cóż to znaczy przecie?

OSIOŁ.

Nie wiem. W zagranicznym świecie

Tak widziałem, tak też robię.

LIS.

Bardzo pięknie. Ale przytém

Małoś mi zębów nie wybił kopytem.

OSIOŁ.

O! ja na to,

Jak na lato:

Jeno ujrzę, spotkam kogo,

Zaraz, panie, pac go nogą!

LIS.

Lecz ten dowcip czy nie ściąga

Czegoś niby... tak... od drąga?

OSIOŁ.

Czasem, panie Lisie, czasem

Szturchną mnie tam jak nawiasem;

- Lecz z radością zawsze skrytą  
 Biorą moje psoty małe,  
 Bo wolą ośle kopyto,  
 Niż oślą pochwałę.
- LIS. Ja jednak myślę inaczej,  
 I bądź łaskaw, chwal mnie raczej.  
 Ale cóż cię nakłoniło  
 Szukać wzorów za granicą?  
 I u nas kopia, aż miło,  
 I z kopnięcia tak się szczycą,  
 Jak gdyby ich umysł dzielny  
 Kładł prawdzie kamień węgielny.
- OSIOŁ. Kopia, prawda, ale przecie  
 Wszystko to jest plewa, śmiecie  
 Przy tém, czém teraz uciesza  
 Zagranicznych Ostów rzesza.
- LIS. Z ludźmi, jak widzę, zerwałeś przymierze.
- OSIOŁ. Zerwałem, i to dla nędznej drobnostki.
- LIS. Oho! zapewne gdzieś jakieś miłostki.
- OSIOŁ. Zgadłeś. Więc tobie wszystko wyznam szczerze:  
 Była tam kobyłka biała...  
 Ale jaka! pierwsza w stadzie!  
 Miła w ruchu i układzie,  
 Ta się we mnie zakochała;  
 Płonęła w miłosnej męce...  
 Bo ja mam szczęście zwierzęce.  
 Lecz niestety! między nami  
 Stał w przeszkodzie płot z cierniami.
- Biegałem w około,  
 Śpiewałem wesoło;  
 W około biegałem  
 I gorzko płakałem:  
 Wszystko nadaremnie.
- Ale upór wielki we mnie:  
 A więc pod płotem stanąłem,  
 Niby czuchrać się zacząłem,  
 I przez trzy dni i trzy nocy  
 Czuchrałem się i czuchrałem,  
 A płot przytem z całej mocy  
 Jak pchałem tak pchałem.  
 Aż koniec końców, jednego poranka,  
 Płot trzask! Ja przez płot. I moja kochanka...  
 Ale fałsz ludzi komuż jest nieznanym!  
 Zbili mnie gałgany.

Zbili tak, zem potém  
Dzień jeden i drugi  
Leżał pod płotem,  
Leżał jak długi.

Żle się zemną działo:  
Już po mnie kruki, mospanie, skakały,  
Już kundle szczekały,  
Już mnie zimno brało...  
Szczęściem, lunęło jak z cebra:  
Jak mi się w uszy nalało,  
Ocknąłem się z trwogi,  
Policzyłem żebra,  
I jako tako zwiodłem się na nogi.  
A niech was djabli wystraszą  
Z taką polemiką waszą,  
Pomyślałem sobie.  
Wiem co zrobię...  
Czekać nie będę...  
I poszedłem wprost na grzędę,  
Gdzie było kwiatów aż ładnie,  
Wytarzałem się paradnie;  
Potém, płoszę koni parę,  
Co ciągnęły gdzieś landarę...  
Konie w nogi, z drogi w rów...  
Kiedy jedziesz bywaj zdrów!  
Ja przez pola, góry, w las,  
I tak jestem pośród was.

(*Ryczy.—Zwierzęta zbiegają się z różnych stron*).

ZWIERZĘTA. Co się stało? Co się dzieje?!  
Osioł! Osioł! Czy szaleje?!

## SCENA 3.

OSIOŁ — KOŃ — NIEDŹWIEDŹ — BORSUK — LIS — ZAJĄC — KOT — ODY-  
NIEC — JELEŃ — CAP — OWCA — WILK — BRYTAN-BRYŚ i wiele innych  
zwierząt.

ZAJĄC (*do Owcy*). Brzydkie oślisko. Chodź, Owco miłośna,  
Tego pedanta fizys mi nieznośna.

OWCA. Pedant, być może, ale to rzecz znana,  
Że Osioł mędrszy nawet od Barana.

WILK (*do Borsuka*). Chodźmy. Ryk Osła moje nerwy drażni.  
Mało zem Owcy nie chwycił z bojaźni.

BORSUK. Nerwy masz słabe, żołądek nie mocny,  
Jak widziałem raz przy sieci.

WILK. Bo przy sieci słońce świeci,  
A ja rycerz, ale nocny.



- KOŃ. Wszak powiedziałem, przylazło Oślisko.  
 BRYTAN-BRYŚ. Na profesora odwiecznych nałogów.  
 JELEŃ. Nie warto nawet oglądać tak nisko.  
 NIEDŹWIEDŹ. O, Jeleń patrzy z góry swoich rogów,  
 Lubo ich wprawdzie nie przypiął sam sobie.  
 ODYNYEC (z wejrzeniem na Niedźwiedzia).  
 Wolę ja rogi jak pierścień u nosa.  
 NIEDŹWIEDŹ. Wiem, lecz na szczęście nie dano ich tobie.  
 ODYNYEC. Ale mi dano ząb ostry z ukosa,  
 Co tnie lepiej niż smorgońskie batogi,  
 Kiedy do tańca sypią żar pod nogi.  
 A przytém jeszcze na pysku kaganiec!  
 To mi to, panie, opętany taniec!  
 NIEDŹWIEDŹ. Lepiej tańcować jak leżeć w kałuży.  
 ODYNYEC. Leżę dla siebie, tańczysz dla drugich.  
 NIEDŹWIEDŹ. Mądry w połowie kto mądrymu służy.  
 ZWIERZĘTA (razem). Nie! Nie! Nie służyć!...  
 WILK. System uszów długich!  
 NIEDŹWIEDŹ. Cicho zwierzęta! Na co to szczekanie?  
 W akademii wziąłem wychowanie,  
 Zwiedzałem dwory...  
 BORSUK (n. s.) Z małpęczką na grzbiecie.  
 NIEDŹWIEDŹ. Umieć udawać ludzkie obyczaje.  
 ODYNYEC. Fiul! Wielka sztuka!  
 NIEDŹWIEDŹ. Nie potrafisz przecie.  
 ODYNYEC. Człowiek mnie udaje:  
 Ja nigdy człowieka.  
 NIEDŹWIEDŹ. Czém byłeś...  
 ODYNYEC (kończąc) Zginę.  
 BRYTAN-BRYŚ (ironicznie) Piękna przyszłość czeka!  
 NIEDŹWIEDŹ. Ale że w tańcu na dwóch nogach stoję,  
 Że umiem pokłon i muzyki nieco;  
 Czyliż ja przez to dam się jąć za uszy?  
 Czyliż wróg nie zna jak me zęby świecą?  
 Czyliż nie doznał jak ta łapa kruszy?  
 I któż się kiedy szczycił mym upadkiem?!  
 Oto Brytan-Bryś, niech on będzie świadkiem,  
 Bośmy ze sobą chodzili w zapasy,  
 Zapasy, jakich terazniejsze czasy  
 Nie tylko widzieć, lecz pojąć nie warte:  
 Zapasy wielkie, szlachetne, zażarte.  
 A i on wtenczas po bojowym trudzie  
 Szedł do łańcucha, w ludzkiej legał budzie.  
 Powiedz, ach powiedz: w tój pamiętnej chwili,  
 Gdy łowcy na mnie w Beskidu skaliska  
 Hordę kundysów zniecka puścili;

Powiedz, czym zadrzał śród psiego mrowiska?  
Nigdy grzmot chmury, kiedy piorun ciska,  
Z takim łoskotem na góry nie spada,  
Jak na mnie spadła napastna gromada.

Ile wrogów było tam,  
Nie umiem powiedzieć wam,  
Spodlonych obróżą,

Ale dużo:

Ja wolny, ale sam.

Sam jeden stałem, nie cofnąłem kroku,  
Szarpia mnie... gryzą, z przodu, z tyłu, z boku...  
Jak ryknę—trwoga. A jak machnę—trupy,  
Trupy wyciągam z kurzącej się kupy;  
Bije i wałę, a gdy cisnę niemi,  
Horda rozdziera nim dopadną ziemi.  
A gdy pierzchnęła przed walką daremną,  
Ty, Brytan-Brysiu stanąłeś przedemną.

Spięci pazurami  
Zostaliśmy sami.

Ząb w ząb, oko w oko.

Byliśmy opoką;

Ale już dla nas mało ziemi było...

Runęliśmy w dół, ale taką siłą,  
Że razem z nami pociągnięta jodła,

Dopiero na dnie walczących rozwiódła.

BRYTAN-BRYŚ.

Prawda, byłeś potężny kiedy pośród borów

Ufałeś sobie, obcych nie szukałeś wzorów.

Obu nas potem jeden łańcuch wodził.

Ale tyś go polubił, jam się w nim urodził;

I kiedy zdarte więzy padły pod twe nogi,

Zniknęły ich odciski, zostały nałogi.

Świat który się przed tobą w nowych kształtach kręśli,

Nie chceź objąć, pochwyć całą władzę myśli;

Ciskasz tylko twą pamięć w przeszłości przestworze,

Lecz i ta, jój jutrzeńki już sięgnąć nie może;

Niedołężnie wyparta ustaje śród mety,

I tylko wiecznej hańby przebudza szkielety.

Męstwo, siłę, przezorność, skarby mieścisz w sobie,

Czemuż je w tak niegodnym roztrwaniasz sposobie?

Nacóż nam twe ukłony, kuglarskie obroty,

Dworujące zalety, a drzymiące cnoty?

Czy nas na krok posuną do naszego celu?

Rzuć okiem wkoło siebie: oto stoi wielu;

Patrz jak straszne zasoby do powszechnej zguby.

(Pokazując następnie na Odyńca, Konia, Jelenia, Borsuka, Kota, Capa, Wilka,

• Lisa i Osła):

Tu dzika wola w żadne nieujęta kluby,



Tu szlachetna wspaniałość, ale zawsze w skoku;  
 Tu wzniosłość zatopiona w swym własnym widoku;  
 Tu chęć zemsty za swoją ułomność natury,  
 Co pryska wiecznym jadem z wiecznie ciemnej nory;  
 Tu roztropność bez serca, tam życie bez godła,  
 Tu nikczemne zbrojstwo, tam intryga podła,  
 A na domiar, co? głupstwo. O biada nam, biada!  
 Namiętność wre, kipi, rozum w dół opada.  
 Tymczasem Byk potężny ryczy, rogiem grzebie,  
 Waha się i namyśla komu oddać siebie;  
 A wróg, wróg nasz odwieczny, z mieczem i maczugą,  
 Liczy już nasze tętna jak mają bić długo.  
**ODYNIEC.** „Tu dzika wola w żadne nieujęta kluby“  
 Do mnie mówią. Dobrze, ja ztąd szukam chluby.  
 Póki świat będzie światem, póty siła siłą.  
 I tobie karcicby nas nie tak łatwo było;  
 Nie tak łatwo i słabym używać opieki,  
 Gdybyś obok wymowy, nie miał zbrojnej szczęki.  
 Kto się czuje w sobie a jej nie używa,  
 Temu lub na rozumie lub na sercu zbywa.  
 Ja, z wami jak i bez was, jestem wrogiem ludzi.  
 Kiedy jem, wara! A jak śpię, biada kto mnie zbudzi.  
 Idę zawsze i wszędzie jak mi kark wyrasta,  
 A kto mi w drodze stanie, płatnę go i basta.  
**CAPEK.** Na co ta sprzeczka kochani panowie?  
 Stara to piosnka w spróchniałej budowie.  
 Nie na to dawne stargaliśmy pęta.  
 Aby mieć znowu prawa i Rejenta.  
 Wolność bez granic, to jedyne prawo;  
 Rząd tam zbyteczny gdzie miłość podstawą.  
 Precz zatem z drogi wszystkie stare graty!  
 Naprzód i naprzód, to hasło oświaty.  
**CIELAK.** Naprzód, powoli!  
**ŻRUBAK.** Tak, naprzód, a żwawo!  
**SZCZENIUK.** Wstecz nie poglądać.  
**WILK.** Brawo, bracia, brawo!  
**BRYTAN-BRYŚ.** Ładnyś mój Capku. Kędzierzawa grzywa  
 Z uroczym wdziękiem na barki ci spływa;  
 Możesz być wzorem wzrastającej brody,  
 Ale mój Capku, jeszcześ trochę młody,  
 Abyś przed nami rozprawał zuchwale  
 O rzeczach, których nie rozumiesz wcale.  
 Są tu i starsi i mędrsi od ciebie,  
 Co umią radzić i działać w potrzebie,  
 Co doświadczenia skazówkę zbyt drogą,  
 Krwią okupioną siłą bronić mogą.

- CAPEK. Właśnie kto młody, lepiej pojąć w stanie  
Potrzeby świata i czasu żądanie;  
Świata, co ducha potęgą wyniosłą  
Zrzuciwszy łuskę z przesądów narosłą,  
Dziś się objawia wewnętrznemu oku  
W całym najczystszej młodości uroku.  
Starsi jesteście? Zaleta, powaga  
Które mimo was, każda chwila wzmaga.  
Lecz pamiętajcie, że spada liść stary,  
By młodym majem ożyły konary.  
Ufacie sile? Każda jak lód pryśnie,  
Kiedy ją wola powszechna naciśnie;  
A doświadczenie, jest tylko potęga  
Co w wieczne koło zawsze was zaprzęga.  
Jeniusz jest młody, bez rodziców dziecie,  
Własnym swym kształtem pojawia się w świecie.
- BRYTAN-BRYŚ. A tym jeniuszem, czy ty Capku młody?
- CAPEK. Jestem, nie jestem, w przyszłości dowody.  
Przyszłość dopiero cechuje jeniusze,  
Czy i to starszym, młodzik mówić muszę?  
Lecz na cóż próżne języków zapasy,  
Do czynów, czynów, wzywają nas czasy;  
Najprzód iść będziemy, tworzyć nowe ślady,  
I zwalim wszystkie, jakiebądź zawady.
- BRYTAN-BRYŚ. Czém to, mój Capku, pytam się w pokorze?  
Czy twém kopytkiem, czy ogonkiem może?
- CAPEK. Wolą, jednością...
- BRYTAN-BRYŚ. I wilczą paszczką  
Z taką pomocą nie zajdziesz daleko;  
Gdzie wolność nie zna hamulca i prawa,  
Tam dla słabego djable ślizka sprawa;  
Bo jak się staną wolne wszystkie gusta,  
Będziesz Wilkowi, co tobie kapusta.
- CAPEK. Groźby, strachacze, przepowiednie zgrozy,  
Lecz im nie wierzą już i stare Kozy.  
Wierzgnę i kwita!
- CIELAK. Zużyte wędzidło.  
ZRUBAK. Wilk z nami, gardzi potwarzą obrzydłą.  
SZCZENIUK. Aż ckliwo słuchać jedno całe życie;  
WILK. Ale wy bracia, wy mnie rozumiecie.  
CAPEK. Lecz dajmy na to, iż tak jest w istocie,  
Ze w przeszłych wieków ohydnej ciemnocie,  
Kiedy braterstwa związek był nieznanym,  
Wilk dusił czasem napastne Barany...
- WILK. Ach, tak niestety! Ale zważcie przecie,  
Co się podówczas działo w całym świecie.

- Jakie bezprawia, jaki stan socyalny.  
 Był to praw ludzkich skutek naturalny.  
 Ach, oczywiście!
- CAPEK. Ale czyż koniecznie  
 Co było musi trwać wiecznie?  
 WILK. Tak jest, mój Capku, w tym razie trwać musi.  
 CAPEK. Wilk dusił jawnie, dziś tajemnie dusi,  
 I dusić będzie...
- WILK (*ocierając łzę ogonem*). Ach, Brysiu! to boli...  
 BRYTAN-BRYŚ. Jeśli potrafi działać podług woli:  
 Zwłaszcza jeżeli półgłówki szalone,  
 Zniszczą warownie dane im w obronę.  
 A ty, mój Capku, geniuszu poprawy,  
 Nim dla poprawnych utworzysz ustawy,  
 Staraj się pierwój złych zrobić dobrymi,  
 A skład społeczny będzie szedł za nimi.  
 Bo jest zbyt jasna rozsądku nauka,  
 Że ziarno kształtu, nie kształt ziarna szuka.  
 Pracuj, mój Capku, w tej ciężkiej potrzebie,  
 Lecz wierz mi, zacznij najpierwój od siebie,  
 Bo nic głupszego w całym świecie niema,  
 Jak głupi Capek co się mądrym mniema.
- (*Osiół ryknął, Capek w jedną, Wilk w drugą stronę ucieka. Zwierzęta się rozchodzą*).
- BRYTAN-BRYŚ (*chwytając Osiła za ucho*).  
 Będziesz ty cicho?!
- OŚIÓŁ. *A! bonjour mon ami,*  
 BRYTAN-BRYŚ. Wiesz ty, że tobie nie wolno być z nami?  
 Zamknij więc pyszcysko bure,  
 Albo odwiodeż za dziesiątą górę  
 (*Odchodzi*).

## S C E N A 4.

OŚIÓŁ — LIS.

- LIS. Brytan-Bryś widzę, jak swojego czubi.  
 OŚIÓŁ. Bryś z dawien dawna śpiewania nie lubi.  
 LIS. Kiedy nie lubi, niech sobie nie słucha,  
 Ale naciągać szlachetnego ucha!  
 OŚIÓŁ. Prawda, naciągnął.  
 LIS. I chce ciągnąć w drogę.  
 OŚIÓŁ. Oho!  
 LIS. To brzydtko.  
 OŚIÓŁ. Ja gniewać się mogę.  
 A! Brytan-Brysiu! tego już za wiele!  
 Cóżto, mospante, czy mnie masz za ciele?



A do trzykroćsto....

LIS. Pst!  
 OSIOŁ (*przestraszony*). Co?  
 LIS. Kłąć nie w modzie,  
 Oczy w dół, mowa cicha, uśmiech w twarzy,  
 A jak sposobność dobra się wydarzy  
 (*Wskazując nogę*)

Pac!

OSIOŁ (*wierzgając*). Pac!.. Lisie jesteś wielki,  
 Nad rozmiar wszelki.  
 Do pozłoty twoja głowa,  
 Jak pasternak słodkie słowa;  
 Radź mi, proszę, w każdej dobie,  
 A ja potem jak chcę zrobię.  
 LIS. Już to wszystko jakoś będzie,  
 Osioł z Lisem jak do pary,  
 Byles tylko w każdym względzie  
 Mnie powierzał swe zamiary.

OSIOŁ. Teraz myślę o urzędzie.  
 Chciałbym zostać umieszczony,  
 Mieć obroczek wyznaczony,  
 Bo na błoniu zamozolny.

LIS. Co ty mówisz? umieszczony!  
 Ty do rządów jesteś zdolny:  
 Taka strawność!... upór taki!

OSIOŁ. Prawda, prawda, jestem zdolny.  
 Patrząc nawet z różnej strony,  
 Na różnych rządów zygzaki,  
 W ich dążności, w ich pobudki,  
 Powiem szczerze, bez ogródki:  
 Żem na rządęcę jest stworzony.

LIS. Ale kto chce iść zasługą,  
 Czeką często bardzo długo;  
 Kto się zawsze traktu trzyma,  
 Ten na końcu ścieszki nie ma:  
 Trzeba zatem stroną kroczyć,  
 Tu się wsunąć, tam przeskoczyć;  
 A ku temu dobrą drogę,  
 Ja ci tylko wskazać mogę;  
 Ale hardość rzuć za siebie,  
 A najwięcej weź pokory;  
 Pierwszą odszukasz w potrzebie,  
 Drugą rzucisz każdej pory.  
 I ukłonów weź tysiące  
 I umizgów jakie krocie,

- I obietnic dwa miliony,  
A twe słowa błagające  
Jak na wartkim kołowrocie  
W kłęb się zwiną upragniony.
- OSIOŁ. Ja dla siebie wiele zrobię,  
Byłem wiedział o sposobie.
- LIS. Trzeba zwiedzać cudze progi,  
Duszę, ciało stać pod nogi,  
O zaletne prosić słowo.
- OSIOŁ. Zniżyć karku, kiwać głową,  
Aż się w dwoje gną kolana,  
W tém ja mistrzem, to rzecz znana;  
Ale przed kim: tu zagadka?
- LIS. Bądź u Capa, Łania gładka  
Ma dla niego względów wiele,  
A dla Łani Jeleń stary  
W uległości nie zna miary;  
On ci znowu wstęp uściele  
Do rejenta, to jest Konia,  
Z którym zna się jeszcze z błonia.
- OSIOŁ. Wszystko pięknie, jak po nici,  
Tylko że to Cap persona;  
Jak mi swém okiem zaświeci,  
Każde słowo w ustach skona  
I stać będą jakby kłoda:  
Cap kaducznie jest rozumny.
- LIS. Jego rozum, duża broda,  
Utnij brodę, głupiec czysty.
- OSIOŁ. To być może, ale dumny.
- LIS. Jest więc dowód oczywisty.  
Zresztą, może droga kręta  
Spowoduje jaką myłkę,  
Może prostsza ci się zdarzy,  
Aby trafić do rejenta.  
Co? np., przez Kobyłkę?
- OSIOŁ. A, to koncept z kalendarzał  
Co pomoże taka szkapa?  
Jeszcze, świadom mych obrotów  
Rejentby mnie skopać gotów:  
Nie, nie, wołę pójść do Capa.
- LIS. Ale cię ostrzedz wypada,  
Że Cap chętnie rozpowiada,  
Zatém słuchanym być lubi;  
Nadewszystko gdy się chlubi  
Pewnym czynem, który z chwałą  
Wykonać mu się udało:



Jak w ogrodzie pewnej włości,  
Mandaryna pierwszej klasy  
W szambelańskie rznął kutasy,  
Aż mu trzasły wszystkie kości,  
Aż mu język wylazł z gęby,  
Aż się zwinął we trzy kłęby.

Cap tak kocha swe wyrazy,  
Że nikogo nie pozdrowi  
Póki czynu nie rozpowie,  
Choćby na dzień i trzy razy.  
Chcesz więc Capa ująć sobie,  
Słuchaj kornie w każdej dobie;  
Chwal go zawsze co się wlezie:  
To mu skóry nie przegryzie.  
Wniosek zaś o naszym planie  
Mojém zadaniem zostanie:  
Będę twoim radcą, posłem.

OSIOŁ.

O Lisie! Tyś wart być osłem.

LIS.

Ale niedość jeszcze na tém;  
Koł, acz Koł nie trzęsie światem,  
Są i inne jeszcze władze:  
Te miéć trzeba na uwadze.  
Ty znasz Pudła?

OSIOŁ.

Jak się zowie?

LIS.

Pudel.

OSIOŁ.

Pudel? Coś po głowie  
Niby mi się trochę kręci,  
Ale jak cię kocham szczerze  
Nie mogę dobrać z pamięci.

LIS.

Wierzę, wierzę, bardzo wierzę,  
Jednak dla mnie to zagadka  
Abyście się wy nie znali,  
Wy coście z garnka jadal,  
Dworacy, z dziadka pradziadka.  
Pudel, Pudel więc się zowie?  
Jakiegoż herbu Pudlowie?  
Herbu Błazen.

OSIOŁ.

Ba! Parada!

LIS.

Tam herbowych całe stadła  
Lecz mnie to oraz ostrzega,  
Ze go nie znam. Nie wiem tylko,  
Kundel kusy mój kolega  
Co w szlifierskim wózku chodził,  
Czy z Pudlanki się nie rodził.

OSIOŁ.

LIS.

Być może, przed laty kilku

Ta familia przyszła z Wiednia,  
Lubo kusa, niepoślednia,  
Bo używa predykatu  
*Von i zu Pudl.*

OSIOŁ.

Daj go katu!

A prezentujże bez zwłoki,  
Niech mu nisko kiwnę głową.  
Ach, jakaż to dla mnie strata!  
Jakiż czuję żal głęboki,  
Żem kuzyna bez ogona  
Raz nastąpił przypadkowo...  
Na mój honor, przypadkowo,  
Mógłby teraz u patrona,  
Wielmożnego predykata  
Szczeknąć za mną parę razy.

LIS.

Wszak ja jestem na rozkazy.  
Trafim do pudlowskiej Mości,  
Ale Pudel jest to zwierzę  
Które łatwo górę bierze,  
Z którym nawet i w grzeczności  
Trzeba wejść w pewne koleje.  
Bo on większy, im ty mniejszy,  
Im ty cichszy, on głośniejszy;  
I tak nareszcie zbutnieje,  
Że ci po łbie zechce chodzić,  
I dopóty skakać będzie  
Póki go się nie ugodzi,  
Że aż na zadzie usiędzie.  
Przeto pozwól, bym ja mówił,  
Ty się kłaniaj a nie nisko;  
Nie ubliżę, nie przeszkrobię,  
Czém zechcemy, tém go zrobię;  
A kto Pudła sobie złowił  
Ten Niedźwiedzia staje blisko.  
A w jakimże to sposobie?  
Znasz Małpę?

OSIOŁ.

Raz mnie drapnęła.

LIS.

Ta Małpa nigdyś młoda, zręczna, miła,  
Na guwernantkę z Paryża przybyła,  
I młode Kozy w edukację wzięła.  
Lecz wkrótce spełzły szlachetne zamiary,  
Bo kiedy ona edukuje Kozy,  
Ją edukować zaczął Kozioł stary.  
I ztąd się wywinał cały poczet zgrozy,  
Kozioł z rozpaczy poszedł na wędrówkę,  
Małpa ze wstydu skrobała się w główkę,

OSIOŁ.

LIS.

Ale nie długo, bo przed końcem roku,  
Była już pierwsza w gimnastycznym skoku.

Jednej przedstawy na dochód ochrony,  
Między widzami stał Niedźwiedź zdziwiony.

Skoki urocze, koziołków tysiące,

Party, wzmagały jego tchy gorące;

Bił łapą w łapę, aż wypróżnił sałę.

A kiedy przyszło na *saltum mortale*

Co prima Donna ucięła z tapczana,

Niedźwiedź podbity upadł na kolana;

A nim następny zaświtał poranek,

Uchodził z Małą szczęśliwy kochanek.

Uchodził, pędził, wędrował po świecie,

Na czterech łapach, ona mu na grzbiecie.

I dotąd jeszcze nie tracąc nałogu

Depcze po Misiu jakby po barłogu;

I choć on mruczy, gniewa się i chmurzy,

Ona go trzepie aż się futro kurzy.

Niech trzepie zdrowa, bo różne są gusta,

Ale o Pudlu zamilkły twe usta.

Jakże predykat ma być dobrodziejem?

Pudel, mój panie, Mały Cziczizbejem.

Czém? Cziz... Cziz...

OSIOŁ.

Lis.

OSIOŁ.

Lis (*kończąc*).

OSIOŁ.

Lis.

Bejem. Tak jest nieinaczéj.

Nie przeczę, ale nie wiem co to znaczy.

Jest to kochanek, gdzie miłości niéma;

Ni pan, ni sługa, niby środek trzyma.

Pudel dowcipny nie przebrany w żarcie;

Pudel przy Małpie zawsze jak na warcie:

Wiedzie na spacer, skrobie czasem w czoło,

Znosi jéj plotki, obszczekuje wkoło;

I *Major domo* i *Vortänzer* biegły,

Na nim gry, figle i tańce poległy;

Tak, że i Niedźwiedź co nie lubi smutku,

Nie śledząc przyczyn, cieszy się ze skutku;

A że zyskuje na Małpy humorze,

Już więc bez Pudla obejść się nie może.

OSIOŁ.

Ha! taką rzeczą, Pudla nam potrzeba,

Lecz nie wypadał dać mu nieco chleba?

Bo ja słyshałem u dawnego pana,

Że z predykatem trudno bez kubana.

Lis.

Prawda, lecz wolisz sypnąć obietnicą,

Te mniej kosztują a lepij się świecą.

Proś z razu mało, a hierz potém wiele,

Tak ci się droga najdalsza uściele.

(*Osiół mocno forknął. Lis przestraszony odskoczył, potem po krótkim milczeniu mówi*):



- OSIOŁ. Na zdrowie! Ale kichasz djable głośno.  
Forkam ze strachu... Patrz... tą drogą skośną...  
Co to idzie za szkarada?...
- LIS. Aj!... patrz!... Wszak się ku nam skrada.  
Jest to Borsuk, mędrzec boru,  
Borsuk, jamnik zezo-oki,  
Publicysta nasz głęboki;  
Do rozbioru i do sporu  
Ząb najpierwszy w naszym lesie;  
Tnie bez względu co mu blisko,  
Szkoda tylko że za nisko,  
Bo nad poziom się nie wzniesie,  
Choć się nieraz kusił o to.  
A że ciągle patrzy w błoto,  
W tém zwierciedle wszystkich widzi,  
Wszystkich przeto nienawidzi.
- OSIOŁ. Ja się pewnie z nim nie zwaśnię.  
LIS. Trzeba wziąć go do przymierza...  
OSIOŁ. On się zbliża... ku mnie zmierza...  
A niechże go piorun trzaśnie!  
(*forkając ucieka*).

## S C E N A 5.

LIS, BORSUK.

- BORSUK. Na co téż mądrość natury  
Niby sama siebie gwałci,  
Kiedy takie monstra kształci?  
Na co w świecie Osioł bury?  
Brzydki z duszy i pozoru.  
Czyliż nie dość głupców mamy!  
LIS. Ztegoś widzę dziś humoru.  
BORSUK. Do samotnej wracam jamy.  
LIS. Cóż cię gniewa?  
BORSUK. Wasze dzieła.  
Odkąd zmiany chętką wzięła,  
Owa zgoda, pokój wszędzie,  
Wszystko idzie jak na drwiny.  
Dobrzem pierwszej rzekł godziny  
Jak bywało, niechaj będzie...  
Hej, hej!.. bodaj dawne czasy  
Kiedy ciemne były lasy;  
Strzegłem tylko własnej skóry,  
A źle było?... smyk do dziury.  
LIS. Ale owe strzelby człeka,  
Co sięgały nas z daleka,

Owe charty, żelaziwa,  
To nie była myśl szczęśliwa.  
Co tam strzelby! Ot ja przecie  
Dotąd chodzę po tym świecie.  
A co jutro stać się może,  
Gdy mam pokarm, dobre łoże,  
Głupich troska, dla mnie fraszka..  
Alboż i to nie igraszka,  
Że u Capa przy Baranie  
Wilk jadł rzodkiew na śniadanie.

BORSUK.

Czy nie wolał zjeść sąsiada,  
A rzodkiewkę mnie zostawić?  
Tak! Jédz Wilku, łatwa rada,  
Lecz jak możni zaczną dławić,  
Codzień nowa będzie sztuka;  
Wilk zjé Owcę, Taks Borsuka.

LIS.

Niech nikt tego nie dożyje.  
Dożyć może.

BORSUK.

LIS.

BORSUK.

LIS.

BORSUK.

Ja się skryję.

Taks zawzięty, Taks dobędzie.  
Niechże pokój będzie wszędzie.  
Mam ja skórą płacić za to,  
Karm się Wilku i sałatą.

LIS.

Mój Borsuku, przyjacielu!  
Jesteś mądry, nikt nie przeczy,  
Ale często mijasz celu,  
Bo zbyt lubisz z każdej rzeczy  
Coś na zęby chwycić sobie.  
Chwalisz k'temu co bywało,  
Aby potém co na dobie  
Mogłeś wszystko ganić śmiało.  
Wstecz za nami świat człowieczy,  
Istne piekło bez krawędzi:  
Dziś, w obecnym składzie rzeczy,  
Wir nas jeszcze w odmet pędzi;  
Ale przeszłość, przyszłość nasza,  
W niej nadziei zdroj głęboki.  
Czemuż trudność nas zastrasza?  
Czemu pęta pierwsze kroki?  
Pakt zawarty w zwierząt rzeszy,  
Niech nas szczyci, niech nas cieszy;  
Jest on świetny, wielki, śmiały,  
Ale nie jest doskonały  
I nie z jednéj jeszcze strony  
Musi zostać poprawiony;



- Rewizyj, reformy czeka,  
 Radykalnej nawet zmiany,  
 Bo, czy nie śmieszna opieka  
 Rozciągnięta na wsze stany?  
 Mają z nami Myszy, Żaby,  
 Ten twór podły, ten twór słaby,  
 Zwłaszcza Koguty przekłete  
 Te krzykliwe szkodne duchy,  
 Burzyciele nocnej skruchy,  
 Naszym paktem być objęte?  
 Jakież może wyrzucić szkody  
 Na trwałość rządu i zgody:  
 Niech najmędrszy mi to powie,  
 Że się czasem myszkę złowi?  
 Więcej z figlów niż dla zysku...  
 Ot, by tam coś było w pysku.
- BORSUK. Ja sam czasem ząbkę lubię.  
 LIS. Lubisz? O, nie zważaj na to!  
 Dobro wszystkich przed prywatą.  
 Ja jeśli Koguta skubię,  
 To jedynie myślę o tém....
- BORSUK. Jak oskubać i zjeść potem.  
 LIS. Jużci sprzątać trzeba przecie.  
 BORSUK. Bracie Lisie, nie drwij sobie,  
 Takie słowa istne śmiecie.  
 Ja cię wietrzę skroś twój szuby,  
 Ty chcesz paktu w tym sposobie,  
 Abyś możnych ujął w kluby  
 A ze słabych zdjął opiekę;  
 Tak byś w środku stał bezpieczny,  
 Z góry strzeżon, wolny z dołu;  
 Co zaś zrobisz dla ogółu  
 To na palcu ja upiekę.
- LIS. Aj! Aj! Byłbyś zatem sprzeczny,  
 Gdyby przyszło na śniadanie  
 Czasem jaką Kurkę skruszyć?  
 BORSUK. Połam Kurkom pierwej skrzydła,  
 Potem, pytaj o me zdanie.
- LIS. I na skrzydła znajdę siłą,  
 Byle tylko praw nie ruszyć.  
 Ja do drobiu majster panie,  
 I to majster jakich rzadko;  
 Tak ci świsnę kurkę gładko,  
 Że i piórko nie zaszumi.
- BORSUK. Każdy robi to co umie,  
 Każdy swoje ma zadanie:

- Ty kraść kury...  
 Lis. Ty zazdrościć.  
 Lecz nie kłóćmy się daremnie,  
 Chciój tylko mieć ufność we mnie  
 A nie będziesz nigdy pościć;  
 Niechaj zginę jeśli kłamię:  
 Wszak mieszkamy w jednej jamie...  
 BORSUK. O, że w jednej, wiedzieć muszę,  
 Bo choć ci się w głąb umykam,  
 Kiedy skubiesz ja się krztuszę,  
 A jak chrupiesz, słinkę łykam.  
 Lis. Bodajżem w Stępcicy siedział,  
 Jeślim myślał, jeślim wiedział,  
 Że na piersi puch ci szkodzi.  
 Ale czy téż to się godzi  
 Ceremonie robić ze mną,  
 Nie przyjść czasem do sąsiada  
 Na kawałek jaki taki...  
 Ach, gościnność tak przyjemną,  
 Dziś zwłaszcza, kiedy wypada  
 Uszkodzone nieboraki  
 Miłością łączyć wzajemną.  
 Ach, Borsuku przyjacielu!  
 Ty mnie nie znasz jak i wielu;  
 To mnie boli... i głęboko...  
 To łzę ściąga w moje oko.  
 BORSUK. Zatem Kurka czasem w jamie...  
 Lis. Niechaj zginę jeśli kłamię;  
 Biała, tłusta.  
 BORSUK. Biała, tłusta.  
 Lis. Aż ci sokiem zajdą usta,  
 Aż ci po brodzie pocieknie.  
 BORSUK. Gdyby jednak dziś dla miary...  
 Lis. Tak, tak, dziś dla lepszej wiary  
 Lis dostarczy co przyrzeknie.  
 BORSUK. Zgoda, pracujmy pospołu  
 Dla dobra, szczęścia ogółu.  
 Lis. Jakież są twoje zamiary?  
 Póki Koń będzie przy sterze,  
 Nie zyskamy nic w téj mierze,  
 Bo Koń szlachetność wysławia,  
 Bo Koń nigdy na bezprawia  
 Patrzyć nie będzie przez szpary.  
 BORSUK. Chceszże z obcych władców kogo  
 Wynieść na godność rejenta?  
 Lwa naprzykład?

LIS.

Łapą srogą  
 Niwelowałby zwierzęta.  
 Gniotłby nas prawem tém więcej,  
 Imby go mniej sam szanował.  
 Nie, naszej rzeszy zwierzęcej  
 Lwa nie będę proponował.  
 Niedźwiedzia? Co?

BORSUK.

LIS.

Małpy sługa,  
 Ta zaś łaską jakby mruga;  
 Dwakroć zmienną w jednej dobie  
 Chcieć uczynić dla nas stałą,  
 I jej zwierzyć przyszłość całą,  
 Byłoby grób kopać sobie.  
 Może Muła?

BORSUK.

LIS.

Hardo głupi.

BORSUK.

Czy nie Wilka?

LIS.

Ten nas złupi.

BORSUK.

Kogoż żądasz?

LIS.

Kogo?.. Kogo?

Ośła.

BORSUK (ze wzgardą). Tego?

LIS.

Nieinaczéj.

BORSUK.

Jak takie myśli przyjąć mogą!  
 To stworzenie długouszne!  
 (śmiejąc się).

LIS.

Długouszne, co to znaczy,  
 Lecz nie srogie, lecz posłuszne.  
 Tak go dziś ująłem sobie,  
 Że już co zechcę z nim zrobię.  
 Zatem Osioł dla parady  
 Lis i Borsuk dla porady.  
 Wielu myśli jak ja myślę,  
 Tylko łapa w łapę ściśle.  
 Dla każdego przyjaźń czuła,  
 Niechaj serca nasze skłania  
 I każdego bądźmy zdania:  
 Lwa, Tygrysa, czy téż Muła,  
 Czy Niedźwiedzia czy tam Stonia,  
 Byle tylko zwalić Konia.  
 A jak zbity Koń raz padnie,  
 Wtedy możnych skłócić snadnie;  
 I gdy w swoje piękne skóry  
 Topić będą kły, pazury,  
 My u szczytu manowcami  
 Pchając Ośła, staniem sami.  
 Patrz! Brytan-Bryś ku nam zmierza.

BORSUK.



- LIS. Pies przeklęty!.. Bądźmy grzeczni.  
 BORSUK. Lepiej zemknać.  
 LIS. Pozór damy,  
 Że go się niby lękamy.  
 Jest porywczy, będzie zrzedził...  
 We dwóch jesteśmy bezpieczni?  
 BORSUK. Ej! głupi kto mu dowierza;  
 Raz mi tak piotra napędził,  
 Żem ledwie trafił do jamy.  
 LIS. Kto tam co było pamięta:  
 Dziś jedność łączy zwierzęta.

## S C E N A 6

LIS, BORSUK, BRYTAN-BRYŚ.

*(Brytan.Bryś ponuro spogląda na obu).*

- LIS. Brytan-Brysiu, psie bez skazy,  
 Równie wierny jak waleczny,  
 Wita ciebie po dwa razy  
 Lis, twój przyjaciel serdeczny.  
 BRYTAN-BRYŚ *(ironicznie)*. Lis? przyjaciel?  
 LIS. Z duszą, ciałem.  
 BRYTAN-BRYŚ. Tam do kata! Nie wiedziałem.  
 LIS. Nie widzieliśmy się z sobą  
 Wieków wieki.  
 BRYTAN-BRYŚ. Tak, przed doba.  
 LIS. Nie pamiętam.  
 BRYTAN-BRYŚ. Przy kurniku.  
 LIS *(z udaną wesołością)*. To ty na mnie z góry wpadłeś?  
 BRYTAN-BRYŚ. Nie kto inny.  
 LIS. A psotniku!  
 Chciałem z figłów straszyc kury.  
 BRYTAN-BRYŚ. Jam ci z figłów skubnął skóry.  
 LIS. Zawsześ wesół.  
 BRYTAN-BRYŚ. Jak się uda.  
 Ale przez to, Kurę zjadłeś.  
 LIS. Piękna Kura! Jak kij chuda!  
 Hańba swojego plemienia!  
 BRYTAN-BRYŚ. Gdzież są owe przyrzeczenia  
 Bezpieczeństwa, spokojności?  
 LIS. Czyż się jeszcze nie dość pości?  
 BRYTAN-BRYŚ. Właściem przybył skarżyć Wilka,  
 Pisał traktat godzin kilka  
 A drugiego zaraz ranka  
 Zjadł dwie Kozy i Baranka.

LIS (z westchnieniem). Któż bez ale mój mosanie?

BRYTAN-BRYŚ. Miałżebyś to pobłażanie,  
Gdybyś ty był biedną Kozą?  
O! tacy to jak ty, bratku  
Są zarazą, hańbą, zgrozą,  
Są skorbutem w naszym statku.  
Te dowcipne półrozumy,  
Kłęby fałszu, gniazda dumy:  
Żli, by w dobrém zostać mieli,  
Słabi by wbrew działać śmieli,  
Budzą tylko możnych chęci,  
Są kleszczami w ich pamięci;  
Trwożą, nęcą, chwałą, szydzą,  
A nad wszystko siebie widzą.

LIS. Wielka z waszmości gorączka,  
Ale mówiąc między nami,  
Nie bez tego, by czasami,  
Nie chrupnąłeś gdzie Zajączka.

BRYTAN-BRYŚ. Podłych Kotów, podły szczepie,  
Brytan-Bryś niezmienny w słowie,  
I ażebyś miał to w głowie,  
Dziś futerka ci przetrzepię.

(Posuwa się ku Lisowi, który cofa się za Borsuka).

#### SCENA 7.

LIS—BORSUK—BRYTAN-BRYŚ—PUDEL.

PUDEL. Hola! hej stryjaszku, hola!  
Bawisz się z Lisem w kuśnierza;  
Lecz dla obrońcy przymierza  
Nieprzystojna to swawola.

BRYTAN-BRYŚ. Prawda, gniewem się uniosłem;  
Lecz jak nie czuć ztąd sromoty,  
Gdy pod świetnóm godłem cnoty,  
Hultajstwo u nas rzemiosłem.

PUDEL. Lis hultajem! Być nie może.  
Luby, składny, szczerzy w mowie....  
Nie, ja ogon w ogień włożę,  
Lis hultajem być nie może,  
Bo Lis zawsze wyżej stoi;  
Z Lisa zawsze na żądanie  
Trzech hultai się wykroi,  
A Lis, Lisem pozostanie.  
Nie przyjmując więc wyroku,  
Prosim o zdanie łaskawsze.

BRYTAN-BRYŚ (do Pudła). A ty, widzę, ten sam zawsze,  
Nie zrobieś naprzód kroku.

Świat się trzęsie, świat się chwieje,  
 Pudel hula i szaleje.  
 Nie pomny na wstyd lub szkodę  
 Za zabawą tylko pyta:  
 Jest pod wodą, nuż pod wodę!  
 Jest wśród błota, w błocie chwyta;  
 Potém mokry, splugawiony,  
 Brud swój strząsa na wsze strony.  
 Wróg rozwagi, nie wie o tém,  
 Że trzpiot młody zwie się trzpiotem,  
 Lecz trzpiot stary w prostej mowie,  
 Już się głupią bestyą zowie.

(do Borsuka).

A ty mędrku z ciemnej dziury,  
 Masz ząb ostry, masz pazury;  
 Lecz ząb, pazur, nie mądrością,  
 Tak jak zawiść nie jest cnotą.  
 Całe życie ryjąc błoto,  
 Błoto nazywasz równością;  
 Tam świat ściągnąć myśl twa główna,  
 Bo na wyższe stanowiska,  
 Gdzie duch wznosi, gdzie duch równa,  
 Tam dla ciebie droga śliska.  
 Próżno bierzesz różne miana,  
 Progresisty, komunisty:  
 Żaden postęp, żadna zmiana  
 Ciebie z siebie nie wykupi,  
 Byłeś, jesteś zły i głupi,  
 I dopóki świata stanie,  
 Na urzędzie czy na grzędzie,  
 Borsuk, Borsukiem zostanie,  
 I Borsukiem śmierdzieć będzie.

(*Brytan-Bryś odchodzi. Długie milczenie.*)

### SCENA 8,

LIS—BORSUK—PUDEL.

PUDEL.

Ej, co tam zważać na zręde!  
 Niechaj płacze kto wygnaniec,  
 Ja się przez to bawić będę.  
 Hejże Lisie, dalej w taniec!

(*Naszczekuje na Lisę, który zmuszony uchodzić przed nim, mówi*)

LIS.

Dajże pokój, mój kochany....  
 Co za upór opętany....  
 I nie szczekaj.... te psie głosy,  
 Jak wiesz dobrze z dawien dawna,  
 Rzecz to dla mnie nie zabawna....  
 Dajże pokój!.... mniesz mi włosy...



Ja tych żartów wcale nie chcę...  
To mnie drażni... to mnie łechce.

(*Pudel figlując, przyskakuje do Borsuka, ale na tegoż zębów kłapięcie, odskakuje*).

PUDEL. A do czarta!... Do stu czartów!  
Zaledwie uszedłem cięcia.  
Co za złość tego zwierzęcia!  
Ty nie lubisz widzę żartów?  
BORSUK. Owszem, lubię, lecz z daleka.  
Dziś pozwolę psu niech szczeka,  
On mi jutro nosa utrze,  
A za łeb weźmie pojutrze;  
I od łyczka do rzemyczka,  
Z owych figlarnych obrotów,  
Koniec końców zjesz mnie gotów.

PUDEL. To mi łakoć! Daj go katu!  
Uśmierz bratku prózną trwogę,  
Zostawię cię na cześć światu  
I mych żartów nie powtórzę.  
Ale smucić się nie mogę;  
Więc wam powiem o wieczorze,  
Co nam wczoraj Małpa dała.  
Tam kompania dosyć miała  
Czém się bawić i drwić z czego,  
Bo tam było do wyboru  
I szczytnego i śmiesznego,  
Jakby u jakiego dworu.

Najprzód obcy Łabędź biały,  
Powszechne robił furore;  
Wszystkie Gąski białopióre,  
Tak gęgały, tak gęgały,  
Że hałas co niemiara;  
Ale nie dziw, bo to Gąski,  
Szyje długie, rozum wąski;  
Lepsza była Szkapa stara,  
Co Sarniuka zwabić chciała;  
To się niby fasowała,  
To cofała, to wierzgała;  
To znów skokiem od niechcienia  
Kładła wdzięki do przejrzenia.  
Lecz jój boki zapadnięte  
I kolanka naprzód zgięte,  
I grzywa napół wytarta  
Djable z chęcią były w sporze!  
Wybryk, pobryk nie pomoże,  
Kiedy Szkapa nic nie warta.

Pod krzakiem stary Kopera,  
 Z Tchórzem metodę rozbiera  
 Kontramarszów w rejteradzie;  
 Lecz Tchórz radzi ich unikać,  
 Za principium bowiem kładzie  
 Że najlepiej prosto zmykać.

Daléj Jałówka się zali  
 Na spazmatyczne katary.  
 Bóbr, Prisznicą sposób chwali,  
 Ale Wilk somnambuł stary,  
 Chce kuracyą wziąć na siebie,  
 Uśpić Jałówkę w potrzebie.  
 Jeleń kontent że ma rogi  
 Z uśmiechem wewnętrznej dumy,  
 Spoglądał na liczne tłumy  
 Co przy Łani lekkonogiej  
 Wyprawiły koperczaki.

Tam zaś pod dębem na stronie,  
 W pokornych słuchaczów gronie  
 Odyniec dmucha i szumi  
 Że duch czasu, czas kaleczy;  
 Na to wzdycha jaki taki,  
 I powiada: w saméj rzeczy,  
 Lecz nic w rzeczy nie rozumie.

Niedźwiedź z Capem grali w pliszki,  
 Chart umizgał się do Liszki,  
 Szczur Wiewiórcę prawił plotki,  
 A służyły go Czeczotki.

Kot zaś czarny jak cień wszędzie,  
 Cichą łapą się przesuwają.  
 Niespokojny co to będzie,  
 W każdym zwierzu co rodzina  
 Innego władcę przeczuwa,  
 I przed każdym grzbiet wypina.  
 Mile mruży, oczy mruży,  
 Wszystkich kocha, wszystkim służy,  
 Ale myśli w duszy na dnie:  
 Wszystkich zdradzę, jak wypadnie.

Tak nam zbiegło pół wieczora  
 Aż na koncert przyszła pora.  
 Cicho! cicho! śpiewa Ciele  
 I fałszywie i nie wiele.  
 Po niém Łania wielkie solo,  
 Aż uszy bolą!  
 Potém duet Baran z Kozą:  
 O, zgrozo!

Coraz większe śmiech, szemranie...  
 Małpa blednie.... A wtém, Panie,  
 Jak nam Wilki nie zawyją:  
 „*Perche mi guardi e piangi*  
*Parte del sangue mio*”  
 Owce w bek! Koza zemdlą,  
 Świnia atak nerwów miała;  
     Jeleń dostał drgawki,  
     A Cap czkawki.  
 Foral foral Małpa woła.  
 Zając krzyczy *bis!*....  
 Ktoś i gwiznął z poza koła...  
     Mówią że to Lis.

LIS.

Ja nie byłem na wieczorze.

PUDEL.

Ja téż mówię: być nie może.  
 Wtenczas Niedźwiedź chąc dać brawo  
 Lewą łapą, chybił prawą,  
 I Warchlaka co był zasnął  
 Tak za ucho tego trzasnął,  
 Że wrzask straszny zatrząsł borem,  
 Ale zatrząsł i wieczorem.  
 Każdy emocyą strudzony  
 Robi czempredzėj ukłony,  
 Małpa dyga, łapy ściska,  
*Pardon, Pardon*, wkoło ciska,  
 A chcąc poniekąd naprawić  
*Fiasco* koncertu połowy,  
 I policzek przypadkowy,  
 Chce *festival* nam wyprawić  
 Tylko basu jój niestaje.

LIS.

Najtęższego ja naraję:

PUDEL.

Osiół tu jest.

Ach! on ryczy.

LIS.

A Wilk wyje. Co to pytać,  
 Co się trafi trzeba chwytać;  
 Kiedy wybór miejsca niéma.  
 Otóż go masz przed oczyma.

## S C E N A 9.

LIS—BORSUK—PUDEL—OSIOŁ.

OSIOŁ.

Niech mnie nazwą Kozią skórą,  
 Niech mi utną pół ogona,  
 Jeżeli pod tą fryzurą  
 Nie pan Kartusz *in persona*.



- PUDEL. Jak się masz dobra Oślino.  
 OSIOL. O! szczęsna, szczęsna godzino!  
 Milszy, jesteś memu oku,  
 Milszy niż torba obroku.  
 Ty bywałeś w każdej dobie  
 Moją uciechą jedyną....  
 Pozwólże abym z radości  
 Parę razy wierzgnął sobie.
- (*Wierzga na różne strony, wszyscy się rozskakują*)
- BORSUK. Tam do licha! W tój radości  
 Nikt nie pewny swoich kości.
- LIS. Nie skacz Ośle, powiedz raczej,  
 W jakiej skłamałeś potrzebie,  
 Że pan Pudel ci nieznany,  
 A ty znasz go jak sam siebie.
- OSIOL. Ja znam Pudła?  
 LIS. Nieinaczéj.
- OSIOL. Oto tego.  
 Cóż u kata!
- LIS. Wszak to Kartusz mój kochany.  
 Ale Kartusz twój kochany,  
 Po śmierci starszego brata,  
 Został Pudlem majoratem.
- OSIOL. Majoratem! predykatem!  
 Co ten wisus znowu śpiewa?  
 Pies psem zawsze, reszta plewa,  
 Istna plewa: mój mospanie:  
 Kartusz, Kartuszem zostanie.  
 Chodź, chodź Karciu, bliżej jeszcze,  
 Niech cię kopytkiem popieszczę.
- PUDEL (*cofając się*). Później, później, nie mam czasu,  
 Zresztą ten zwyczaj człowieka  
 Nie jest w modzie pośród lasu:  
 Witać można lecz z daleka.
- OSIOL. No, a teraz hejże hoła!  
 Figle, sztuczki i swawola!  
 Pokaż panom co ty umiesz:  
*Wie spricht der Hund!* żwawo! śmiało!
- PUDEL. Ależ Ośle, czy rozumiesz,  
 Że co dawniej mi przystało,  
 To i dziś jeszcze przystoi?
- BORSUK. *Honores mutant mores.*  
 OSIOL. Sza! patrzcie panowie moi:  
*Allons Kartusz, such verloren!*
- PUDEL. Ale Ośle, miej uwagę,  
 Na mój urząd, na powagę.

- Twoje słowa nieroztropne.  
 Laryfary, laryfary!  
*Schön aufwarten.* Bo cię kopnę,  
 Jak cię kopał baron stary  
 Kiedyś nie chciał słuchać czasem.
- OSIOŁ.
- PUDEL.  
 Ale dlaczego, u czarta,  
 Prosisz mnie z takim hałasem?
- (do Borsuka).  
 BORSUK.  
 A to bestya uparta!  
 Konsekwencya, panie bracie,  
 Błaznowałeś człowiekowi,  
 Błaznuj teraz i Osłowi.
- PUDEL.  
 Wy jeszcze Osła nie znacie;  
 Muszę zrobić co wymaga,  
 Bo inaczej się zbędę:  
 A to istna, istna plaga!
- OSIOŁ.  
 Na, masz! (*służy*) Uciesz się nieuku.  
 Ho, ho! Ho, ho!.. śmiać się będę...  
 Ja się śmieję do rozpuku...  
 (*ryczy*).
- LIS.  
 Bravo, bravo, Pudel grzeczny,  
 Osioł w swych gustach stateczny;  
 Bravo, mówię i wybornie,  
 A teraz proszę pokornie,  
 Chodźcie do mnie na śniadanie,  
 Przełożę wam moje zdanie,  
 Jakby radykalną zmianę  
 W nasze stosunki wprowadzić,  
 I dobro zwierząt zachwiane  
 Na stałym gruncie osadzić.

KONIEC AKTU I-GO.

# FILOZOFIA SPINOZY I DZISIEJSZY PANTEIZM \*).

PRZEZ

*Dra M. Straszewskiego.*

## II.

Jeden ze współczesnych pisarzy francuzkich trafnie bardzo wyraził się, że Spinoza, ten niegdyś najwięcej krytykowany a dziś najwięcej uwielbiany myśliciel, należał zawsze do najmniej czytanych. Trzeba przyznać, że w znacznej części jest on sam tego przyczyną. Myśli jego filozoficzne bowiem są ujęte w formę, która nie dopuszcza pobieżnego czytania, lecz wymaga koniecznie powolnego i cierpliwego zgłębiania. Kto jednak niezrażony jedyną w swoim rodzaju ciężkością formy odważył się zapuścić w ten labirynt określeń, twierzeń i wniosków, korollaryów i lemmatów, ten zgodzi się bez wątpienia ze mną, iż we wszystkich filozoficznych pracach Spinozy można dopatrzeć się jednej wspólnej a bardzo charakterystycznej cechy. Cechą tą, tym tonem nieustannie i wszędzie u niego powtarzającym się, to wysoki nastrój etyczny. Wszystkie wysilenia jego myśli skierowane są zawsze w stronę etyczną. Zaspokojenie własnych potrzeb moralnych, zapewnienie sobie szczęścia przez spokój moralny, to główny cel, którego Spinoza nigdy z oka nie traci.

Jeżeli Kartezyzus filozofował z teoretycznych głównie pobudek, zaniepokojony powszechną pojęć i poglądów ludzkich niepewnością, to Spinoza przeciwnie filozofuje z pobudek praktycznych i szuka nie tyle zaspokojenia dla rozumu, ale raczej silnej i niewzruszonej podstawy dla swego zachowania się w życiu. Nie był to człowiek namiętny, uczucia nie wzbierały zbyt gwałtownie w duszy jego, nie zaciemniały nigdy i nie krzywiły biegu myśli, ale był przecież w głębi téj duszy jeden nieustannie brzmiący ton uczucia tak potężny a wola tak ściśle zjednoczona z myśleniem i z nieustającą nigdy wewnętrzną refleksją, iż ostatecznie wszystkie wysilenia były u niego zawsze w jedną zwróconą stronę! Zamknięty w sobie, z poważnym a tęsknym usposobieniem przez całe życie jednym tylko oddany myśłom i z niesłychanym pracującym nad nimi uporem, skłonny do wewnętrznej moralnej refleksyi, która we własnym sumieniu podsłuchuje głosu Boga, był Spinoza nieodrodnym synem swego narodu. Nie trzeba daleko sięgać, dosyć wziąć

\*) Dalszy ciąg—ob. zeszyt za marzec r. b.



do ręki jedną z pierwszych prac Spinozy, noszącą napis: *O poprawie rozumu* <sup>1)</sup>, a która jak twierdzi Avenarius <sup>2)</sup>, pochodzi jeszcze z czasów przed rzuceniem nań wielkiej klątwy, aby przekonać się, jaki cel miał on już wtedy przed sobą. Kartezjusz w słynnej swjej rozprawie o metodzie pisze, iż długi czas łudził się i uważał *za prawdziwe* wiele takich rzeczy, które musiał później uznać za błędne: to rozbudziło w nim potrzebę szukania nowych dróg i sposobów poznania prawdy <sup>3)</sup>.

Spinoza natomiast w traktacie o „Poprawie rozumu“ pisze, że pierwotnie uważał wiele takich rzeczy *za dobre*, o których po dłuższej rozwadze przekonał się, iż są znikome i bez wartości. Postanowił przeto w końcu zastanowić się nad tém, czy istnieje w ogóle jakie prawdziwe dobro, to jest takie dobro, któreby zapewniało człowiekowi najwyższy możliwy stopień szczęśliwości.

Głównym więc przedmiotem swoich dociekań filozoficznych uczynił Spinoza pytanie dotyczące najwyższego dobra i środków zapewniających człowiekowi szczęśliwość. Pytanie to zajmowało go do tego stopnia iż ostatniemu a największemu dziełu swemu, które wyszło dopiero po jego śmierci, dał napis *Etyka*. Napis ten jest rzeczywiście bardzo charakterystyczny. Myliłby się bowiem, ktoby sądził że moralność jest właściwym przedmiotem tej „Etyki.“ Bynajmniej. Moralność a raczej poznanie najwyższego dobra jest tylko ostatecznym jej celem. Spinoza rozwija tu oparty na najobszerniejszych metafizycznych podstawach, cały swój pogląd na świat i zmierza do jasnego określenia istoty i natury człowieka, aby dojść w końcu do określenia tego co dlań w życiu istotną może stanowić wartość, co może być jego najwyższém dobrem. Ale na czémżeż zasadza Spinoza to najwyższe dobro?

Przekonałem się, pisze w traktacie o „Poprawie rozumu,“ że wszelkie dobra doczesne, tak rozkosz, jak sława, jak bogactwo, są to rzeczy znikome, których pożądanie z wielką dla nas połączone jest szkodą. Źródłem wszystkich tych dóbr są nasze chuci, one wywołują w nas miłość i przywiązanie do rzeczy znikomych. Chcemy zatem poskromić nasze chuci, pozbadźmy się przywiązania do rzeczy znikomych, a wtedy tracą one dla nas wszelką wartość i wszelki urok. Ale chcąc wyrzucić z serca ludzkiego jakieś uczucie lub namiętność, potrzeba koniecznie zastąpić je inném uczuciem; w miejsce przeto dóbr doczesnych, które człowieka nigdy uszczęśliwić nie mogą, trzeba mu wskazać przedmiot, któryby miał dla niego większą wartość, a więc któryby w nim głębszą i stałszą miłość wywołać potrafił. Przedmio-

<sup>1)</sup> Tractatus de intellectus emendatione et de via, qua optime in veram rerum cognitionem dirigitur. Opera posthuma 1677, str. 335—392.

<sup>2)</sup> Richard Avenarius. Ueber die beiden ersten Phasen des Spinozischen Pantheismus, Leipzig 1868, str. 105.

<sup>3)</sup> R. Des Cartes Op. philos. Francofurti 1692. De Methodo str. 5—7.

tem takim, który powinien być dla człowieka droższym od wszystkich dóbr doczesnych, przedmiotem najdoskonalszym, godnym w najwyższym stopniu miłości, jest Bóg. Dlatego przywiązanie i doskonała miłość do Boga jest, jak to Spinoza po kilkakroć w pismach swoich wskazuje, jedynym najwyższym dobrem, które człowieka zaspokoić i prawdziwą szczęśliwość zgotować mu może <sup>1)</sup>.

W tém pojęciu miłości do Boga, mającej na celu ostateczne połączenie się z Nim, poznajemy w Spinozie odrazu mistyka, poznajemy wpływ średniowiecznych żydowskich filozofów. Wszakżeż Kabbala wskazywała człowiekowi także jeden tylko cel, t. j. złąć się z pierwiastkiem Boskim przez miłość. Najznakomitsi zaś filozofowie żydowscy byli w tej mierze jednego z Kabbalą zdania. Między nimi zaś szczególnie Ibn-Gebi-rol <sup>2)</sup>, Aben-Esra <sup>3)</sup>, Levi ben Gerson <sup>4)</sup>, a nadewszystko don Chasdai Creskas <sup>5)</sup>.

Gerson np. nie waha się utrzymywać, że nieśmiertelność zależy na zlanii się ducha osobistego z czynnym umysłem Boskim, a Creskas w dziele swoim *Or adonai* pisze: ponieważ Bóg jest w najwyższym stopniu miłością dobrego, a zatem tylko przez miłość można się z Nim zupełnie połączyć <sup>6)</sup>. Trudną wprawdzie jest rzeczą wskazać dokładnie te dzieła filozofów żydowskich, którym Spinoza bezpośrednio zawdzięczał swoje mistyczno-etyczne poglądy. Należy on do tych autorów, którzy w pismach swoich rzadko powołują się na drugich. Dosyć jednak przeczytać traktat teologiczno-polityczny aby przekonać się, że Spinoza znał wybornie literaturę filozoficzną żydowską; jeżeli zaś znajdują się tam ustępy nader surowo krytykujące pisma kabbalistyczne, to dotyczą one strony ich fantastycznej a nie zasadniczych metafizy-

<sup>1)</sup> Zob. *Tractatus de intellectus emendatione*, krótką rozprawę o Bogu, człowieku i tegoż szczęściu, tudzież ostatnią księgę *Etyki*.

<sup>2)</sup> Salomo ben Jehuda ben Gebirol, według odkrycia Sal. Munka jest to ten sam filozof, którego Scholastycy z arabskiego nazywali Avicbron, autor dzieła „*Fons vitae*.“ Zob. S. Munk *Melanges de Philosophie juive et arabe*. Paris 1857.

<sup>3)</sup> Abn-Esra platonik żydowski, którego Spinoza po kilkakroć wspomina w traktacie teologiczno-politycznym i bardzo wysoko ceni; zob. *Tr. teol. pol. cap. II VII VIII etc.* Już on uczył, że Bóg jest jedyną substancją, wszystkim i we wszystkim.

<sup>4)</sup> Levi ben Gerson w dziele swoim „*Milchamot Adonai*“ w wielu miejscach przypomina Spinozę. Zob. M. Joël *Levi ben Gerson als Religions philosoph*.

<sup>5)</sup> Zob. M. Joël *Don Chasdai Creskas religions philosophische Lehren in ihrem gesch. Einflusse dargestellt*. Breslau 1866, i tego samego autora rozprawę: „*Zur Genesis der Lehre Spinozas*.“ Breslau 1872.

<sup>6)</sup> Zob. dr. M. Joël *Zur Genesis der Lehre Spinozas*. Breslau 1871, str. 64.

cznych teorii <sup>1)</sup>. W liście 21 pisanym do Oldenburga, wskazuje on wyraźnie na wspólne węzły myśli, łączące go ze wszystkimi starymi Hebrajczykami, o ile to można rozpoznać z ich częstokroć pofałszowanych tradycji <sup>2)</sup>; w drugiej części Etyki zaś Schol 7 wspomina, że myśli jego i poglądy widzieli już jakby przez mgłę niektórzy Hebrajczycy <sup>3)</sup>. Najwięcej może zbliża się do prawdy Sigwart, przypuszczając, że bezpośredni na Spinozę wpływ wywarło dzieło rabina zwanego Abraham Cohen Trira, które napisane pierwotnie w języku portugalskim p. t. *Podwoje niebieskie*, przetłumaczył na język hebrajski rabin Izaak Abuhab przełożony tej synagogi, do której Spinoza należał <sup>4)</sup>. Dzieło to odznacza się, jak pisze Sigwart, szczególną jasnością, systematycznym rozkładem i językiem prawdziwie filozoficznym, mogło więc bardzo łatwo najlepiej odpowiedzieć usposobieniu Spinozy. Ale mniejsza o szczegóły, dla nas tutaj wystarczy położyć nacisk na ten fakt, że myśl połączenia się w miłość z Bogiem, ta myśl, w której zamyka się pojęcie najwyższego dobra, u Spinozy jest myślą mistyczną powtarzającą się w całej średniowiecznej filozofii żydowskiej. Do urzeczywistnienia tej myśli wdycha Spinoza tak, jak niegdyś ojcowie jego wdychali do Ziemi Obiecanéj: ona go nigdy nie opuszcza.

Już w pierwszym dziele swoim w odkrytej niedawno, „Krótkiej rozprawie o Bogu człowieku i tegoż szczęściu” pisze Spinoza na końcu, że jedynym jego celem który osiągnąć pragnie, jest „módcz pokosztować połączenia się z Bogiem, i wyrobić w sobie zgodne z prawdą wyobrażenia, i z temi rzeczami także bliźnich obznajomić” <sup>5)</sup>. Ostatnią zaś część ostatniego dzieła swego to jest piątą część Etyki poświęca wyłącznie rozbirowi tego najwyższego dobra, które polega na połączeniu się przez miłość z Bogiem; nazywa je jedynym środkiem dojścia do prawdziwej wolności. Miłość tę do Boga nazywa Spinoza często także miłością rozumową (umysłową) intelektualną, „*amor Dei intellectualis*” <sup>6)</sup> a jako środek do jéj osiągnięcia wskazuje prawdziwą wiedzę i poznawanie. Myśliciel nasz odróżnia trzy stopnie poznawania <sup>7)</sup>.

<sup>1)</sup> Pogardliwy ustęp o Kabbali (Tract. theol-pol. cap. IX), który opiewa: „Legi etiam et insuper novi nugatores aliquos cabbalistas quorum insanium numquam mirari satis potui“ odnosi się widocznie do nowszych pism kabbalistycznych.

<sup>2)</sup> Bd. S. Opera posthuma 1677, Ep. XXI str. 449.

<sup>3)</sup> Tamże str. 46.

<sup>4)</sup> Dr. Ch. Sigwart Spinozas neuentdeckter Tractat von Gott, dem Menschen und dessen Glückseligkeit. Gotta 1866, str. 104.

<sup>5)</sup> B. de Spinozas Kurzgef. Abh. von Gott dem Menschen und dessen Glück. übs. von Schaarschmidt. Berlin 1874, str. 108.

<sup>6)</sup> B. d. S. Op. posth. 1677. Ettika V. Propos. XXXII boroll. str. 256.

<sup>7)</sup> Porówn. Schaarschmidt Kurzgef. Abh. etc. str. 96 i 97; dalej tractatus de intellectus emend. i Ethica II Prop. 40 Sch. 2 Op. posth. 78.



Poznanie za pomocą doświadczenia, za pomocą prawdziwych wniosków; wyraźne poznanie za pomocą intuicji; bez pośredniego intuicyjnego rzeczy oglądania. Ten trzeci rodzaj poznawania jest według Spinozy, najwyższy, polega on bowiem nie na wierze, nie na przekonaniu ale na uczuciu, na bezpośrednim używaniu rzeczy samej; on też prowadzi nas do połączenia z Bogiem, do wyrobienia intelektualnej miłości do Boga. I tu znowu w tém pojęciu wiedzy intuicyjnej, poznajemy w Spinozie mistyka stojącego na jednym gruncie, już nietylko z żydowskimi filozofami, ale nawet z mistykami chrześcijańskimi, którzy jak Marsyliusz Ficinus, Pico z Miranduli wskrzeszali nowoplatońskie teorie, lub jak mistrz Eckhard wznawiali czysto religijną mistykę. Był więc w rzeczy samej Spinoza mistykiem, i to mistykiem jedynym w swoim rodzaju, który jak trafnie wyraził się o nim Seb. Turbiglio, myślał sposobem geometrycznym.

Jeżeli miłość intelektualna Boga była najwyższym celem, do którego filozofia Spinozy zmierza, to w takim razie przedmiot tej miłości, to jest Bóg musiał być pierwszorzędnym przedmiotem jego myśli, a pojęcie Boga w całej jego filozofii najważniejszym pojęciem. Tak jest w rzeczy samej, pojęcie Boga to pojęcie zasadnicze u Spinozy, to oś około której cały jego system się obraca. Dwie najważniejsze prace swoje: pierwszą która jest niedokładnym zarysem systemu i ostatnią, która jest zupełnym tegoż systemu rozwinięciem, rozpoczyna on od rozważania pojęcia Boga, i od dowodów że Bóg istnieje. Nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości, że Spinoza brał na seryo pojęcie Boga, a już pobieżne nawet rozpatrywanie się w jego pracach, wystarczy aby się przekonać, jak wielką gra ono w całym systemie rolę; to też ci którzy utrzymują, że Spinoza tylko przez hypokryzją posługiwał się pojęciem Boga, robiąc ustępstwa wiekowi swemu, dowodzą tylko w ten sposób, iż o jego systemie nie mają jasnego wyobrażenia.

Pojęcie Boga odziedziczył Spinoza w spadku po całej średnio-wiecznej, tak żydowskiej jak chrześcijańskiej filozofii. Dowód na istnienie Boga, przytoczony zaraz na początku pierwszej jego pracy, to jest „krótkiej rozprawy o Bogu człowieku i tegoż szczęściu,” jest poprostu przekształconym tylko dowodem ontologicznym scholastyków. Byt pojmuje tu Spinoza za ich przykładem, i za przykładem Kartezjusza jako własność, jako *przymiot*, który *musi* należeć do pojęcia istoty najdoskonalszej, mieszczącej w sobie wszystkie przymioty: Bóg zatem musi istnieć <sup>1)</sup>.

Zgadza się więc Spinoza najzupełniej z Kartezjuszem i ze Scholastykami, że Bóg jest Istotą najdoskonalszą, że zawiera w sobie najwyższej treści i rzeczywistości; ale wyprowadza z tego zaraz niezmiernie ważny wniosek a mianowicie ten, że Bóg jako Istota najdoskonalsza musi być równocześnie *jedynym istniejącym* bytem <sup>2)</sup>. Wszelki inny

<sup>1)</sup> Schaarschmidt Kurzgef. Abh. etc. Kap. I str 1—6.

<sup>2)</sup> Tamże, Kap. II.

był bowiem istniejąc, musiałyby przez to samo ograniczać tę doskonałość Boską. Bóg zatem jest nie tylko Istotą nieskończoną i niczym nieograniczoną, ale także jedyną i wszystko ogarniającą; dla tych zaś przymiotów swoich nie może być Istotą osobistą, gdyż wszelka osobowość jest już ograniczeniem i niedoskonałością. W tym pojęciu Boga, który jako najdoskonalszy musi być jedyny i wszystko w przestrzeni ogarniający, jest Spinoza znowu uczniem Kabbali i filozofów żydowskich. Ale na tym właśnie punkcie kończy się wpływ judaizmu, a zaczyna wpływ nowy.

Kabbala przyjmąwszy substancją Boską, jako pierwiastek wszechrzeczy, rozwinęła na takiej podstawie, pod wpływem nowoplatońskiej filozofii, fantastyczną swoją naukę o emanacji, i stopniowo wyłanianiu się wszystkich istot z pierwiastku Boskiego. Otóż na pole tych fantazyi nie poszedł za Kabbalą jasny umysł Spinozy, ale pod wpływem nowych czynników wyrobił sobie nowe pojęcia.

Wiemy ze zgodnych zupełnie z sobą pod tym względem relacji, a szczególnie z biografii Kolera, że Spinoza niezadowolony fantazyami Kabbali i Talmudu, w inną zwrócił się stronę, a mianowicie ku naukom przyrodniczym i ku filozofii Kartezjusza. Kolerus opowiada, że Spinoza pobierał lekcye łacińskiego języka od lekarza Van der Ende, o którym przekonano się iż „ziarno ateizmu rozsiewał między młodzieżą<sup>1)</sup>“. Pod tym ziarnem ateizmu należy rozumieć nauki przyrodnicze i filozofią nową; obcowanie z Van der Ende nastęrczyło Spinozie sposobność zapoznania się z ówczesnym stanem nauk przyrodniczych, i z przyrodniczo filozoficznymi pojęciami. Przystoił on sobie więc zasadnicze poglądy o niezmienności i konieczności praw rządzących przyrodą, o jedności w przyrodzie panującej, której w tak genialny sposób bronił już Bruno, o nieskończoności wszechświata, będącej wynikiem teorii Kopernika, o materii którą wszędzie przenika duch i życie, o naturze wiecznej i nieograniczonej, z której łona wszystkie rzeczy wyszły<sup>2)</sup>. *Spotkało się zatem w jego umyśle religijno żydowskie pojęcie Boga, jako Istoty jedynej i wszystko ogarniającej, z naturalistycznym pojęciem przyrody jednolitej, nieograniczonej, według niezmiennych praw działającej, i nastąpiło zlanie obu tych pojęć w jedno.* Bóg jako doskonały nie może istnieć obok natury, natura i wszechświat nieograniczony nie mogą istnieć obok Boga, a zatem Bóg i natura to jedno, to jedna i ta sama doskonała Istota. Taki wynik rozmyślań swoich wygłasza Spinoza z zapałem, już w pierwszej zaraz pracy, to jest w krótkiej rozprawie o Bogu człowieku i tegoż szczęściu. „Przyroda,“ pisze on tam, „może być poznawaną tylko przez siebie a nie przez coś innego. Składa się ona z nieskończonej liczby przymiotów, z których każdy jest nieskończony, i w swoim rodzaju dosko-

<sup>1)</sup> Zob. Groerer Corpus philosophorum. Stuttgart 1830, tom III Scripta Spinozae. Wstęp zawierający biografią Kolera, str. XXV.

<sup>2)</sup> Kurzgef. Abh. etc. wyd. Schaarschmidta str. 112.



nały, istota jój posiada zatem taki byt, że obok niej niemasz żadnego innego bytu ani innej istoty, schodzi się więc dokładnie i całkowicie z Istotą jedynie wspaniałego i wielbionego Boga."

Tutaj należy dodać, że dokonane w ten sposób połączenie pojęć Boga i natury, ułatwiły Spinozie wskazówki, jakie napotykał w tej mierze już w Kabbali wystawiającej sobie Boga materialnie w przestrzeni i u filozofów żydowskich, takich jak Ibn-Gebirol i Aben-Esra, których pisma znał doskonale.

Nie przestał jednak na tém Spinoza, ale pod wpływem Kartezjusza i ówczesnej metafizyki poszedł jeszcze o krok dalej. Połączywszy w jedno pojęcia Boga i natury, podporządkował takowe pod ogólniejsze jeszcze a już czysto metafizyczne pojęcie, to jest pod pojęcie substancji.

Kartezjusz przyjął trzy osobne substancje: to jest Boga, ducha i materję, nie mogąc jednak określić dokładnie wzajemnego ich stosunku, musiał na korzyść bytu Boskiego poświęcić niezależność bytu ducha i materji.

Sprzeczności w jakie skutkiem tego popadła jego szkoła, były dla Spinozy najlepszą wskazówką, iż chcąc pójść dalej od Kartezjusza i jego zwolenników, należy przedewszystkiem poprawić pojęcie substancji. W jaki je zaś sposób poprawić, to pod tym względem w umyśle Spinozy wykształconego na mistycznych spekulacjach żydowskich, znającego nowe przyrodzone teorye, nie mogła żadna panować wątpliwość. Jeżeli Bóg istnieje, jeżeli natura jest nieskończoną, jeżeli skutkiem tego Bóg i natura są tym samym i *jedynym* bytem; to w takim razie pojęcie substancji należy tak określić, aby z niego jasno wynikało, że *substancja może być tylko jedna, że byt jest tylko jeden i jedyny: Bóg równy naturze*.

W ten sposób podporządkowuje Spinoza Boga naturę pod pojęcie substancji, indentyfikuje takowe w końcu z pojęciem pierwszej przyczyny, której treść i istota zawiera w sobie istnienie (*cujus essentia involvit existentiam*). Tu tej koło się zamyka, a *tożsamość pojęć Boga, natury, substancji i pierwszej przyczyny, staje się zasadniczą myślą, na której cały system Spinozy spoczywa*. Widzimy przeto, że do takiego wyniku nie przyszedł Spinoza odrazu, synteza ta wielka i śmiała, stopniowo tylko wyrobiła się w jego umyśle. Jeszcze w „krótkiej rozprawie o Bogu człowieku i tegoż szczęściu,” jest mowa tylko o jedności Boga i natury. Z pojęciem substancji zaś, jakie tu znajdujemy, możnaby jeszcze bardzo dobrze pogodzić wielość istniejących bytów, brakuje tam bowiem określnika, że istnienie jako takie należy koniecznie do treści pojęcia substancji. Według tej pierwszej pracy Spinozy, Bóg musi istnieć, nie dlatego że jest substancją a więc *causa sui*, ale dlatego że jest Istotą najdoskonalszą<sup>1)</sup>. Zlania się tych czterech pojęć w jedno, dokonał

<sup>1)</sup> Zob. Sigwart Spinoza's neuentdecker Traktat etc. Gotha 1866, str. 16.



dopiero wpływ metafizyki i wpływ błędów metafizycznych Kartezjusza. Wtedy poprawione i przekształcone pojęcie substancji staje się podwaliną całej „Etyki,” tego ostatniego i największego dzieła Spinozy, które jak to nader trafnie wskazywał Avenarius <sup>1)</sup>, jest owocem trzeciej i ostatniej fazy, w jego duchowym rozwoju. Przypatrzmyż się teraz jakiego to rodzaju pogląd na świat rozwija Spinoza na takich podstawach, i w jaki sposób stara się zaspokoić owo mistyczno-etyczne pragnienie połączenia się w miłości z Bogiem.

Według Spinozy jest Bóg czyli przyroda *Deus sive natura* jedyną substancją, która istnieje sama przez się, jest *causa sui* <sup>2)</sup>. Wszystkie zatem poszczególne rzeczy i stworzenia mogą istnieć tylko w Bogu. W tym też znaczeniu Bóg jest pierwszą wszechrzeczą przyczyną, ale przyczyną wewnętrzną a nie zewnętrzną. Wszystko bowiem co tylko powstaje, powstaje w Nim i przez Niego, co zaś istota jakaś sama w sobie wywołuje, tego sama jest wewnętrzną przyczyną. Dlatego Bóg jest *omnium rerum causa immanens non vero transiens* <sup>3)</sup>. Skutkiem tego żadna rzecz w świecie nie istnieje sama przez się, żadna z nich nie zawiera w sobie istnienia (*non involvit existentiam*) <sup>4)</sup> nie jest substancją, a Bóg jest nie tylko zewnętrzną przyczyną, ale także istotą, substancją wszechrzeczą. Równocześnie nazywa Spinoza Boga także *wolną przyczyną wszechrzeczą*. Nie-wolnym bowiem czyli wymuszonym, można to tylko nazywać, co jest pewnej istocie z zewnątrz narzucone, co zaś z jej własnej wypływa natury, tego jest ona przyczyną wolną. Ale Bóg jest także i konieczną przyczyną, gdyż jako Istota doskonała i niezmienna, działa według niezmiennających się nigdy praw i sposobów, które od początku są doskonałymi, i które z konieczności z jego wypływają natury <sup>5)</sup>. W Bogu działa zatem wolna konieczność, czyli niezmienna prawidłowość wypływająca z Jego natury wewnętrznej. Pomimo tego że Spinoza nazywa Boga Istotą wolną, to jednak zastrzega się przeciwko mniemaniu, jakoby Bogu przypisywał wolę. Tak wola jak rozum są to przymioty osoby ludzkiej, wszelka zaś osobowość jest ograniczeniem; przypisywać więc Bogu wolę i rozum na wzór ludzki, znaczy ograniczać Jego doskonałość i popełniać błąd antropomorfizmu <sup>6)</sup>. Wola i rozum Boski gdyby stanowiły Jego istotę, musiałyby różnić się o *caele* *niebo* od naszego rozumu i woli. Pokazuje się tedy ostatecznie, że z Boga wypływa nigdy niezmienny i do-

<sup>1)</sup> R. Avenarius Ueber die beiden ersten Phasen des Spin. Pantheismus etc. Leipzig 1868. Anfang str. 85 i dalsze.

<sup>2)</sup> Etyka I Propos. XIV. Op. posth. str. 12. Praeter Deum nulla dari neque concipi potest substantia.

<sup>3)</sup> Etyka I Propos. XVIII Op. posth. str. 19.

<sup>4)</sup> Etyka I Propos. XXIV Op. p. str. 28.

<sup>5)</sup> Etyka Propos. XXXIII i XVI Op. posth. str. 29 i 16.

<sup>6)</sup> Etyka I Propos. XVII. Scholium Op. posth. str. 17—19.

skonały porządek wszechrzeczy, którego Bóg jest *pierwszą, jedyną, wewnętrzną, wolną* a zarówno i *konieczną przyczyną*.

Ale jakim sposobem może z Boga wypływać konieczny porządek wszechrzeczy, wszak Bóg jest jeden i jedyny; zkadżeż więc bierze się w Nim nieskończona różnorodność i różnorodność zjawisk, która bądź co bądź istnieje? O stworzeniu będącym dziełem wolnej woli i planu Boskiego nie może być mowy u Spinozy, gdyż zna on tylko jedną wolność, to jest z istoty rzeczy płynącą konieczność. Aby więc ominąć szkopuł, który zagrażał rozbięciem całemu systemowi, ucieka się Spinoza do pojęcia atrybutu (*attributum*) czyli przymiotu substancji i do znanego już Scholastykom i G. Brunowi podziału Boga natury na naturę działającą, *natura naturans* i naturę stworzoną *natura naturata*. Atrybuty są to według Spinozy przymioty, które rozum poznaje „jakoby istotę substancji stanowiące <sup>1)</sup>” ponieważ Bóg jest Istotą najwięcej rzeczywistą i najdoskonalszą, musi On przeto posiadać nieskończoną liczbą takich własności, które razem wzięte stanowią jego treść i istotę. Ze Spinoza rzeczywiście tak Boga pojmował, to świadczy o tém najlepiej szósta definicya, zaraz na początku Etyki, gdzie on powiada: „Bogiem nazywam byt bezwzględnie nieskończony, to jest substancją niezmienną, z nieskończoną liczbą (atrybutów), z których każdy wyraża Jego wieczną i niezmienną Istotę <sup>2)</sup>.” To znaczy, że substancja, czyli Bóg, czyli natura, rozwija się w nieskończoną liczbę przymiotów, których summa razem wzięta stanowi całość Istoty Boskiej, pomimo tego że już każdy, z osobna sam przez się wyraża Jego nieskończoność i doskonałość. Dlatego używa Spinoza nieraz także wyrażenia: „Bóg czyli wszystkie Boskie przymioty” *Deus sive omnia Dei attributa* <sup>3)</sup>.

Stosunek ten atrybutów do substancji objaśnia trafnie bardzo Kuno Fischer, mówiąc, że „tak samo jak w matematyce odwieczne prawdy, które wynikają z istoty przestrzeni, nie stoją w sprzeczności z pojęciem jednej przestrzeni, tak samo w nauce Spinozy nieskończona ilość atrybutów nie sprzeciwia się pojęciu jednej substancji <sup>4)</sup>.”

Są to jakoby siły i potencje w substancji zawarte. Ale należy pamiętać, że atrybut nie jest bytem; to nie substancja przez się istniejąca, to siła tylko własnością substancji będąca. W ten sposób, Bóg wraz z atrybutami swemi jest to samo co przyroda działająca według odwiecznych sił swoich, jestto jak ją nazywa Spinoza „Natura naturans <sup>5)</sup>.” W ten sposób tłumaczy Spinoza różnorodność sił działających w przyrodzie. W Bogu jest nieskończona liczba przymiotów czyli w przyrodzie nieskończona liczba działających sił. Pojęcie takie przymiotów Boskich jako sił przyrodniczych, które jednak może odróżnić

<sup>1)</sup> Etyka I Def. IV Op. post. str. 1.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Etyka I Propos XIX Op. post. str. 20.

<sup>4)</sup> K. Fischer Gesch. der n. Pphilosophie I B. 2 Ab. str. 284.

<sup>5)</sup> Etyka Propos XXIX Scholium Op. post. str. 27.

tylko poznający substancją czyli Boga, czyli naturę, rozum, nie od razu wyrobiło się u Spinozy. Pierwotnie nie stawił on wyraźnej różnicy między pojęciem substancji a pojęciem atrybutu przymiotu <sup>1)</sup>. Później dopiero gdy chciał koniecznie utrzymać absolutną jedność substancji Boga-natury, a pomimo tego wytkłamaczyć różnorodność, uciekł się do dodatku, który pozwala pozornie utrzymać jedność substancji i przenosząc przyczynę różnorodności w poznający rozum; czém zaś jest ten poznający rozum, to o tém zaraz przekonamy się.

Z nieskończonej liczby przymiotów Boskich czyli sił przyrody, człowiek dwie tylko poznaje i odróżnia, t. j. myśl i rozciągłość. Siły te, przymioty te działają w nim samym, o nich wie on bezpośrednio; śmiało téż może człowiek utrzymywać, że Bóg natura jest zarówno substancją myślącą i substancją rozciągłą *res cogitans* i *res extensa* <sup>2)</sup>. Wynikiem zaś działania tych dwóch sił czyli przymiotów jednej substancji są wszystkie poszczególne rzeczy i zjawiska; owocem działania siły (atrybutu myśli, są wszystkie poszczególne idee i objawy myśli, czyli jedném słowem wszystkie procesy duchowe, owocem zaś znowu działania siły rozciągłości, są wszystkie rzeczy i zjawiska materialne. Te poszczególne objawy czyli owoce działania sił (przymiotów atrybutów) myślenia i rozciągłości nazywa Spinoza „modi” <sup>3)</sup>. Pośrednio każdy „modus,” każdy stan czyli objaw a więc wszelka myśl i wszelka rzecz ograniczona jako owoc przymiotu Boskiego jest przez to samo i dziełem substancji Boskiej. Nie należy jednak tego dzieła pojmować jako emanacji, a tém mniej jako dzieła wolnej woli Boskiej, tak samo bowiem jak poszczególne prawdy geometryczne nie emanują z ogólnych zasad, ale są w nich zawarte: tak i wszelkie modyfikacje i objawy atrybutu, są także w nim zawarte, one wszystkie razem wzięte stanowią atrybut, podobnie jak zbiór atrybutów znowu stanowi substancję. Otóż ten zbiór wszystkich „modi” stanów albo objawów atrybutu nazywa Spinoza *natura naturata* (natura stworzona, działająca w przeciwieństwie do natury działającej <sup>4)</sup>). Wszystko zatem co istnieje, wszystkie poszczególne ograniczone rzeczy i stworzenia są to objawy (stany „modi”) przymiotów Boskich, z czego wynika, że żadne z nich niema warunków bytu w sobie. Wszystkie rzeczy materialne są objawami przymiotu Boskiego (czyli siły przyrodniczej), który nazywa się rozciągłością a wszystkie procesy duchowe i myśli są objawami drugiego przymiotu Boskiego (czyli drugiej siły przyrodniczej), który nazywa się myśleniem.

A czémżeż jest człowiek?

<sup>1)</sup> Zob. Sigwart Spinozas neuentdeokter Traktat etc. str. 41; także listy do Oldenburga 2 i 4 Op P. str. 397—405.

<sup>2)</sup> Etyka Pars II Propos. I et II Op. p. str. 42.

<sup>3)</sup> Etyka I D. cf. V. Op. p. str. 1.

<sup>4)</sup> Etyka I Propos. XXIIX Schol. Op p. str. 27.



Ciało ludzkie jest nieśtychanie złożonym objawem (modus) atrybutu rozciągłości a duch jest takim samym objawem atrybutu myślenia, w gruncie rzeczy zaś należą do jednej i téj samej substancji, wydajniaczą tylko dwie jéj różne strony. Teraz zrozumiemy dlaczego w systemie Spinozy tak jak niéma miejsca dla osobistego Boga, tak samo niéma go i dla nieśmiertelności osobistego ducha. Duch ludzki według Spinozy o tyle tylko jest wiecznym, o ile w Bogu jest konieczna idea, która wyraża istotę tego lub owego organizmu pod formą wieczności <sup>1)</sup>. Ale taka wieczność naszego ducha, to nie osobista nieśmiertelność, to tylko wieczność czynników, które objawy zwane „modi” wytworzą.

Jeden więc jest tylko dla człowieka sposób pokosztowania wieczności, t. j. poznać siebie i dojść do jasnej i wyraźnej idei o sobie, która w Bogu jest koniecznością. Kto w ten sposób poznał siebie w Bogu i doszedł do prawdziwej o sobie idei, ten znajdzie w takim poznaniu najwyższą rozkosz. Radość zaś i rozkosz odniesiona do właściwego źródła swego i przyczyny, przemienia się w miłość. Otóż przyczyną i właściwym przedmiotem radości wypływającej z poznania siebie jest Bóg, radość ta zmienia się przeto w miłość do Boga. Tak więc wieczność naszego ducha zależy od jasnego i wyraźnego poznania, ono wywołuje w nas radość najwyższą i miłość intelektualną czyli rozumową do Boga, w której urzeczywistnia się nasze połączenie z substancją Boską.

Najwyższy cel człowieka zatem może być osiągnięty tylko przez wiedzę, tylko przez jasne i wyraźne poznanie. Tu należy szukać najwyższej szczęśliwości, która nie jest nagrodą cnoty ale cnotą samą <sup>2)</sup>. Poznać że wszystko dzieje się skutkiem potęgi Boskiej według niezmiennéj konieczności, poznać siebie jako objaw i stan myśli Boskiej, a więc poczuć się w związku w nierozdzielnej jedności z Bogiem, naturą, oto myśl, która zapewnia człowiekowi najwyższe szczęście, bo zupełny spokój umysłu. System Spinozy dopełnia się, jak słusznie powiada Kuno Fischer, w wiedzy, którą kochamy Boga i w miłości przez którą Go poznajemy. A miłość ta nasza do Boga jest ostatecznie znowu tylko częścią téj nieskończonej miłości, którą Bóg sam siebie kocha, z czego w końcu wynika, że Bóg poznaje siebie i kocha przez medium poszczególnych istot czyli stanów (modi), a istnieje jako zbiór atrybutów czyli sił poznawanych przez też poszczególnie istoty, będące Je-go „modi.”

Takie są w ogólnych przedstawione zarysach zasadnicze pojęcia we filozofii Spinozy. Widoczną jest w nich jedyna w swoim rodzaju mieszanina mistycyzmu, religijnej refleksji, metafizycznego rozumowania, matematyczno-przyrodniczych poglądów. Bóg przemienia się tu

<sup>1)</sup> Etyka V. Propos. XXII i Propos. XXIII i téjże Propos. Demonstratio Op. p. str. 251.

<sup>2)</sup> Etyka V. Propos. XLII Op. p. str. 263.

taj w przyrodniczą konieczność a formą połączenia się z Bogiem w intelektualnej miłości osłonięte jest zaprzeczenie nieśmiertelności duszy.

Mamy to silne przekonanie, że Spinoza wyszedłszy z judaizmu, brał pojęcie Boga zupełnie na seryo. Było ono dla niego najdroższym skarbem, który pragnął oczyścić ze wszystkich filozoficznych sprzeczności i pogodzić tak z mistyczno-etycznymi potrzebami człowieka, jak i z wymogami ówczesnej nauki. Ale trawiące Spinozę nieustannie pragnienie zespolenia wszystkiego w jednym pojęciu, popycha go coraz dalej. I oto Bóg żydowski zmienia się pod wpływem naturalistycznych wyobrażeń w przyrodniczą konieczność, a scholastyczno-średniowieczne pojęcia przymiotów Boskich (atrybuta) i stanów (modi) przybierają charakter sił działających w Bogu naturze i objawów wynikiem tych sił będących. Mistyczne zaś pojęcie intelektualnej miłości jako najwyższego etycznego dla człowieka celu, miesza się z poznaniem przyrodniczej konieczności. I tak dokonywa się zupełne chemiczne jakoby połączenie wszystkich poglądów i kierunków, które kiedykolwiek w bliższym lub dalszym stopniu skłaniały się ku panteizmowi. One wszystkie pośrednio albo bezpośrednio łączą się w Spinozyzmie w jedną systematyczną i do ostatecznych konsekwencji rozwiniętą całość. System Spinozy zajmuje dlatego w dziejach panteizmu stanowisko centralne, w nim dochodzi panteizm do punktu kulminacyjnego w swoim rozwoju. Mając na względzie to niezmiernie ważne stanowisko filozofii Spinozy, nie będzie, sądzę, od rzeczy przypatrzeć jęj się bliżej jeszcze przez szkła krytyki i krytycznej badawczej analizy, tudzież rozważyć praktyczne wyniki, do jakich filozofia ta doszła w poglądach na życie człowieka i społeczeństwa.

### III.

Najnowsze nad filozofią Spinozy badania <sup>1)</sup>, którym dało pochop wykrycie jego pierwszego dzieła, to jest wspomnianej już po kilkakroć w ciągu niniejszej pracy „Krótkiej rozprawy o Bogu człowieku i tegoż szczęściu” wykazały dowodnie, że w skład tej filozofii weszły potrójne pierwiastki: pierwiastek mistyczno-teologiczny, matematyczno-przyrodniczy i logiczno-metafizyczny. Umysł Spinozy przyjął w siebie wszystkie te pierwiastki jako gotowy materyał, a dążąc do bezwzględnej w poglądzie na świat jedności i do zaspokojenia własnych potrzeb moralnych, przerabiał na różne sposoby i przetapiał ten materyał tak

<sup>1)</sup> Patrz Trendelenburg: Ueber die aufgefundenen Ergänzungen zu Spinozas Werken und deren Ertrag für Spinozas Leben, und Lehre. Historische Beiträge zur Philosophie. Berlin 1867, III Bd., str. 277—398. Ch. Sigwart neuentdeckter Traktat von Gott dem Menschen und dessen Glückseligkeit. Gotta 1866. Avenarius über die beiden ersten Phasen des Spinozischen Pantheismus, Leipzig 1868. M. Joël, Zur Genesis der Lehre Spinozas. Breslau, 1871.

długo, póki z niego owój jedności nie wytworzył i do zupełnego nie doszedł zaspokojenia. Proces ten assymilacyjny i syntetyczny, odbywał się w umyśle Spinozy prawie przez cały ciąg jego życia, dlatego też pisma jego i prace nie tworzą jednolitej całości, ale są wyrazem różnych faz, które ten umysł przechodził. W pierwszych jest Spinoza przedewszystkiēm teologiem i mistykiem, który wysiła się aby zjednoczyć swoją teologią i mistykę z nowemi filozoficzno-przyrodniczymi teoriami, w ostatniēj zaś to metafizyk, który podporządkował pod pewne najogólniejsze metafizyczne pojęcia cały zasób pojęć teologicznych, metafizycznych, przyrodniczych i wszystko, co po scholastykach i Kartezjuszu odziedziczył. Takim staraliśmy się przedstawić Spinozę w poprzedniēj części naszej pracy, ale umyślnie jednēj tam nie dotknęliśmy jeszcze strony, nie mówiliśmy o jego metodzie filozoficznēj, uwagi bowiem nad nią nastęrczą nam odrazu sposobność wykrycia najślabszych stron Spinozyzmu.

Spinoza wyróżniał trzy rodzaje poznawania <sup>1)</sup>: doświadczenie, wnioskowanie i bezpośrednią intuicyą. Ten ostatni rodzaj zaś stawił najwyżej, gdyż dla mistyka musi on mieć największą wartość. I w rzeczy samēj Spinoza rozpoczynający prace swoje prawie zawsze od pojęć najogólniejszych, robi na nas wrażenie jak gdyby zawdzięczał te najwyższe prawdy jedynie własnej wewnętrznej intuicyi. Zkąd je czerpał, tego nigdzie nam nie tłumaczy i gdyby nie porównawcze badania wskazujące nam źródła, z których przypyływał zasób ogólnych pojęć do jego umysłu, to o ich pochodzeniu niebyśmy nie wiedzieli. Będąc w tēj mierze jednego zdania z całą filozofią średniowieczną, przypuszczał Spinoza, że to co wydaje się koniecznēm w myśli, musi być zarówno koniecznēm i w rzeczywistości: ztąd owo sławne w drugiēj części Etyki zdanie: „*ordo et connexio idearum idem est ac ordo et connexio rerum*” <sup>2)</sup>. Szukał on przeto najwyższych a koniecznych prawd w myśli przekonany, że w nich tkwią zarówno konieczne i pierwsze przyczyny wszechrzeczy, które ponieważ są początkiem wszelkiego bytu, muszą więc także być początkiem i podstawą wszelkiēj wiedzy. W jednym z listów pisanych do Oldenburga, zarzuca Kartezjuszowi i Bakonowi, iż obaj daleko zoczyli od poznania pierwszej przyczyny i początku wszechrzeczy i poczytuje to obydwoj za pierwszy ich i największy błąd <sup>3)</sup>. Otóż do takiego poznania pierwszej przyczyny, mogła w mniemaniu Spinozy prowadzić intuicya, ale intuicya nie mogła mu wystarczyć, gdy oparty na najwyższych a koniecznych prawdach miał przejść do tłumaczenia szczególowej rzeczywistości, gdy miał rozpocząć dzieło

<sup>1)</sup> O tych trzech rodzajach poznawania: „Kurzgefasste Abh. von Gott str. 45, Berlin, 1874. Tractatus de intellectus emend. Op. posth. 362. Ethics Pars II. Propos XL. Schol 2. Op. p. str. 78. O wartości trzeciego rodzaju poznawania Ethics V. Propos XXV. Op. p. str. 252.

<sup>2)</sup> Etyka T. II, Propos VII. Op. p. 45.

<sup>3)</sup> Op. posth. str. 398.



podporządkowania i zjednoczenia w nich wielkiej mnogości szczegółów.

Ponieważ porządek w myślach jest ten sam co i w rzeczach, tak rzecz jak myśl bowiem są objawami przyniotów jednej i téj samej substancyi, a zatem trzeba tylko umieć zbudować konieczny porządek myśli wypływający z prawd najwyższych, aby dojść do poznania równie koniecznego porządku w rzeczach. Do zbudowania takiego koniecznego porządku myśli, widział Spinoza jeden tylko środek, to jest jak najściślejsze zastosowanie w filozofii matematycznej dedukcyi.

Już Kartezjusz próbował w tym kierunku sił swoich. Widząc że między wszystkimi za jego czasów naukami, jedna matematyka jest prawdziwą umiejętnością, sądził że wystarczy zastosować w filozofii metodę matematyczną, aby zrobić z niéj umiejętność równie pewną jak matematyka. Kartezjusz naśladował jednak tylko w przybliżeniu matematyczne rozumowania, Spinoza tymczasem uparty i konsekwentny we wszystkiém, poszedł i pod względem metody do ostatecznych granic. Jeżeli w filozofii wszystkie wnioski będą tak konieczne jak w matematyce, jeżeli konieczność ta uwidoczni się nawet w formie, to wtedy taki porządek myśli może być obrazem koniecznego porządku rzeczy, a filozofia może być prawdziwą umiejętnością. Zamié się więc Spinoza z trudnościami od chwili, w której matematyka i nauki przyrodnicze nowe odsłoniły mu widoki i już w pierwszej pracy próbuje w osobnym dodatku nadać myślom swoim formę matematyczną <sup>1)</sup>. Poprawia późniéj Kartezjusza i wydaje dzieło, w którym jego własną filozofią ujmuje w ściśle matematyczną formę <sup>2)</sup>. Była to jakby próba poprzedzająca wykonanie wielkiego dzieła, jakby wskazówka że metoda matematyczna da się z największą ściślnością zastosować do filozofii, że przyszedł czas aby w téj nauce nauk powtórzyć dzieło Euklidesa.

Czém był Euklides dla geometrii, tém pragnie zostać Spinoza dla filozofii.

Euklides połączył w jedną systematyczną całość rozproszone i osobno w starożytności znane zdania i twierdzenia geometryczne, na czele postawił definicje i aksjomaty określające ogólne własności linii i figur w przestrzeni, a wyprowadziwszy z takich ogólnych założeń wszystkie znane już wówczas i wiele nowych nieznanych przedtem prawd geometrycznych, oparł w ten sposób całą naukę geometrii na niewzruszonych podstawach. Podobne dzieło zamierzył Spinoza dokonać w filozofii. Zbiera więc wszystkie pojęcia teologiczne, filozoficzno-przyrodnicze i metafizyczne, które za jego czasów posiadały pewną wartość i znaczenie, jednoczy takowe i przetapia w umyśle swoim, a wreszcie usiłuje zlać je w jednolity pogląd na świat i podporządko-

<sup>1)</sup> Kurzgef. Abh. Berlin 1874. Anfang str. 110—117.

<sup>2)</sup> Renati, Des Cartes Principiorum philosophiae. Pars I, XII. More geometrico demonstratae. Amstelodami, 1663.

wać pod pewne ogólne definicje i aksjomaty. Jeżeli definicje Euklidesa wyrażały ogólne własności linii i figur w przestrzeni, to definicje Spinozy miały wyrażać najogólniejsze własności bytu; jeżeli do tamtych prowadziło bezpośrednio zmysłowe spostrzeżenie, do tych miała prowadzić bezpośrednio wewnętrzna intuicja; jeżeli z tamtych dał się wysnuć pośrednio lub bezpośrednio konieczny porządek prawd geometrycznych, to z tych znowu miał wynikać równie konieczny porządek prawd filozoficznych tak znanych już, którym miało być nadane ich właściwe znaczenie, jak i nowych nieznanych, aż w końcu z nich wszystkie *razem*, miała wyłonić się formuła określająca właściwy cel człowieka i jego najwyższe dobro. Myśl to była rzeczywiście wielka, godna prawdziwego geniuszu. Ale Spinoza zabierając się do jej wykonania, o jednej tylko zapomniał rzeczy, to jest przeoczył różnicę zachodzącą między pojęciami matematycznymi a fizycznymi, między najogólniejszymi własnościami bytu, a własnościami linii i figur w przestrzeni. Te ostatnie są to fakta najprostsze, wynikające bezpośrednio z natury naszych zmysłów i zmysłowego poznawania. Że linia prosta jest najkrótszą między dwoma punktami, to na dowodzenie tej własności nie potrzeba silić się: to fakt bijący w oczy. Kto więc dotarł w geometryi do takich prostych i pojedynczych faktów, kto je wszystkie zebrał, uporządkował i jako powszechne własności linii i figur wskazał, ten mógł oprzeć na nich całą geometryę. Ale najwyższe prawdy filozoficzne, określające powszechne własności bytu, to nie fakta geometryczne, to najogólniejsze pojęcia, na jakie umysł ludzki zdobyć się może.

Logika poucza nas, że im ogólniejsze jest pojęcie jakieś, im większy jego zakres, tém uboższą wtedy jest jego treść, tém mniejszą zawiera ono liczbę istotnych określników, tém większe jest niebezpieczeństwo, że między te określniki może się w ciągu rozumowania zakraść taki, który do istotnych nie należy, skutkiem czego wartość pojęcia zostanie fałszywie oznaczoną. Wystarczy zaś oznaczyć fałszywie wartość jednego zasadniczego pojęcia, aby skrzywić i udaremnić wszystkie dalsze rozumowania. Zważmy teraz czy istnieją ogólniejsze pojęcia nad pojęcie pierwszej przyczyny, Boga, substancyi? Wszak do zakresu tego ostatniego pojęcia należy cały nieskończony łańcuch wszelkiego rodzaju jestestw, w treści więc jego mogą te tylko mieścić się określniki, które im wszystkim są wspólne. Cóż łatwiejszego wtedy jak dodać do pojęcia substancyi takie określniki, które mogą wprawdzie należeć do pewnej klasy bytów, ale bynajmniej nie należą do wszystkich. Otóż Spinoza dopuścił się właśnie takiego zбочenia. Identyfikując pojęcie Boga, natury i pierwszej przyczyny z pojęciem substancyi, wlał do niego zawiele treści, a zostawiwszy mu rzeczywisty jego zakres, oparł cały swój system na fałszywej podstawie. Jakież bowiem są istotne określniki pojęcia substancyi? Do pojęcia substancyi należy koniecznie *is tnieć i posiadać warunki istnienia*, cokol-

wiek zaś myśl doda tu jeszcze więcej, to musi się powikłać w sprzeczności.

Rozważmy tę rzecz bliżej.

Spinoza zjednoczył dlatego pojęcie substancji z pojęciem Boga-natury, gdyż w jego przekonaniu każda inna substancja istniejąc obok Boga ograniczałaby Go; Bóg więc jako Istota nieograniczona, jako najpełniejsza rzeczywistość musi być jedną i jedyną substancją. Ponieważ zaś Bóg istnieje sam przez się, ponieważ jest *causa sui* a zatem, według zdania Spinozy, do pojęcia substancji należy *nie tylko istnieć i posiadać warunki istnienia, ale także istnieć sama przez się i być jako jeden i jedyny byt „causa sui.”*

W ten sposób wzbogaca Spinoza treść pojęcia substancji, ale cóż z tego wynika?

Jeżeli w rzeczywistości może istnieć tylko jedna substancja to jest Bóg-natura, to w takim razie ten Bóg nie jest wszechmocny, gdyż nie posiada siły powołania do bytu innych obok siebie substancji; jest więc coś czego On uczynić nie może, a zatem, Bóg jako substancja, jest sam w sobie ograniczony. Niech nam nikt nie zarzuci, że Bóg stwarza swoje przymioty (attributa) czyli siły, gdyż one wszystkie *impliciter* w Bogu a odróżnia je tylko i z osobna uważa rozum. Spinoza wyraźnie powiada w księdze pierwszej Etyki, że „istota rzeczy od Boga *wytworzonych*, nie zawiera istnienia (*Herum a Deo productarum* [nie „*creatarum*”] *essentia non involvit existentiam*) <sup>1)</sup>. Atrybuta i modi nie są to rzeczy stworzone, ale w Bogu „wytworzone” i koniecznością Jego natury będące, rzeczy, którym przymiot istnienia wcale nie przysługuje, które dla tego *nie są i nie mogą być substancjami*. Kto zatem utrzymuje że substancja może być tylko jedna i kto w ten sposób chce ratować jej nieograniczoność, ten chybia celu zupełnie, bo dodając zawiele określników do pojęcia substancji, przez to samo ogranicza ją.

Z drugiej zaś znowu strony, właśnie to co Spinoza uważa za ograniczenie substancji najdoskonalszej czyli Boga, to ją przeciwnie nieograniczoną czyni. Istnienie bowiem stworzonych substancji obok Boga nie potrzebuje ograniczać Jego bytu. Bo, biorąc przykład już tylko z człowieka, czyż myśli i czyny będące dziełem ducha ludzkiego ograniczają go? Rzecz stworzona sama jest *ograniczoną*, gdyż jest w początku swym zależną od nieskończonej istoty; ale ona wcale jej nie ogranicza, owszem, posiadając warunki bytu tylko w ograniczonym stopniu, świadczy najlepiej o istnieniu substancji nieskończonej i niczym nieograniczonej.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli wynika, że Spinoza sprzeciwił się swojemu własnemu założeniu, gdy identyfikując pojęcia Boga, natury, substancji i pierwszej przyczyny, wyprowadził z tego oczywisty wniosek, że substancja może być tylko jedna; albowiem Boskość

<sup>1)</sup> Etyka P. I. Propos XXIV. Ph. posth. str. 23.



i jedność substancji nie da się na żaden sposób logicznie pogodzić. Jeżeli substancja jest Bogiem a więc Istotą najdoskonalszą, to w takim razie musi posiadać przymiot wszechmocy, mogą zatem istnieć obok niej inne przez nią *stworzone* substancje a wówczas nie jest jedna; jeżeli zaś substancja *jest jedna*, to w takim razie nie może ona powołać do bytu inne substancje, jest więc w sobie ograniczoną, czyli nie jest Bogiem. Tu w założeniu popełnił Spinoza błąd zasadniczy. Przypuściwszy, że pojęcie substancji jest takie jak on je określił, to wtedy wszystkie dalsze wnioski i cały system wydadzą nam się zupełnie prawdziwymi, gdyż są wyprowadzone z największą ścisłością z głównego założenia, ale cóż z tego, kiedy to założenie właśnie jest logicznie niemożliwe. Widzimy z tego jak niebezpieczną jest rzeczą opierać cały system filozoficzny na takich najogólniejszych, pozornie przez intuicję uzyskanych pojęciach. Dostyć małego tutaj dopuścić się błędu, aby udaremnić wszystkie z największą konsekwencją przedsiębrane prace i rozumowania. Na nic nieprzyda się metoda matematyczna, zasadnicze bowiem pojęcia filozoficzne, to nie pojęcia matematyczne, a owa domniemana wewnętrzna intuicja, to nie bezpośrednio zmysłowe spostrzeganie.

Pierwsze pojęcia geometryczne o wielkościach graniczą bezpośrednio z wrażeniami, są prawie tylko ściśle sformułowanymi wrażeniami zmysłowymi, gdzie nie masz ani co dodać ani ująć nad to, co sam fakt wskazuje. Przeciwnie, pierwsze pojęcia filozoficzne u Spinozy są to pojęcia najogólniejsze, które mają cechę wyłącznie umysłową. Przypuszczać, że do takich pojęć może doprowadzić nas jakaś intuicja, jakieś bezpośrednie wewnętrzne spostrzeganie, to znaczy łudzić się. Tylko niezmiernie ostrożna i mozolna, krytyczna analiza pojęć, może nas stopniowo wynieść na ten wyniosły punkt, z którego staje się możliwą synteza. Kto temu nie wierzy, tego niech pouczy przykład Spinozy; na cóż przydała mu się żelazna konsekwencja i matematyczna ścisłość w rozumowaniu, kiedy w założeniu jest błąd logiczny, który całą udaremnia pracę.

Ale na tym miejscu mógłby nam ktoś następujący zrobić zarzut: mniejsza o logiczne spory, mniejsza o to, czy substancja logicznie może być taką lub inną, a jeżeli *jest taką rzeczywiście* jak ją określa Spinoza, cóż nas wówczas mogą obchodzić wszystkie inne logiczne możliwości. Czy zaś substancja jest rzeczywiście taką za jaką uważa ją Spinoza, to o tym można przekonać się rozważając o ile jego pojęcie substancji czyli bytu w najszerszym tego słowa znaczeniu, tłumaczy wyczerpująco i harmonijnie całą rzeczywistość. Jeżeli najwyższa i zasadnicza myśl Spinozizmu jest w stanie objąć i bez żadnego naciągania wytłumaczyć wszelkie istnienie, to w takim razie musi ona być prawdziwą, kryterium jej prawdziwości bowiem opiera się w tym wypadku na rzeczywistych faktach i musi posiadać wyższą wartość od wszelkich czysto logicznych kryterjów.

Kryterium czysto logiczne może być nieraz formalnie zupełnie dobre, a pomimo tego będzie w nim ukryty błąd materialny, który skrzywi nasze rozumowania; natomiast to drugie kryterium dopuszcza ciągłej kontroli faktów i poucza nas, że tylko taka teoria może być uznana w nauce za prawdziwą, która jest w stanie wszystkie do jej zakresu należące fakta połączyć i wytłumaczyć w sposób zgodny tak z rzeczywistością jak z naturą myśli.

Na podstawie tego rodzaju ogólnej zasady można nawet nieraz dojść do dokładnego oznaczenia wszystkich szczególnych wypadków; przybiera ona wtedy charakter zrównania w analitycznej geometrii, które aby było prawdziwem, musi obejmować wszystkie szczególne wypadki i wszystkie własności odpowiedniej linii lub figury geometrycznej.

Prawa wzajemnego ciężenia ciał wykryte przez Newtona, nauka dlatego uznała za prawdziwe, gdyż z ich pomocą można było oznaczyć i wytłumaczyć dokładnie wszystkie zjawiska wynikające z ruchu ziemi i innych ciał niebieskich.

Teoria undulacyjna w optyce dlatego zbliża się najwięcej do prawdy, gdyż żadna inna teoria nie tłumaczy lepiej i dokładniej zjawisk światła.

A więc czyż w filozofii niema to samo obowiązywać kryterium.

Jeżeli jakieś najwyższe pojęcie filozoficzne tłumaczy najlepiej całą rzeczywistość, to w tym wypadku musi ono mieć dla nas największą wartość i największą moc obowiązującą.

Czegóż zatem na tej zasadzie mamy prawo żądać od pojęcia substancji Spinozy? Oto aby w nim znalazł zupełne wyjaśnienie, tak cały świat zewnętrzny, którym *nie* jesteśmy, a który jest przedmiotem naszych myśli, jak i świat wewnętrzny, świat ducha, którym jesteśmy jako przedmiot myślący i działający, krótko mówiąc: wszystko co Spinoza nazywa *res extensa* i *res cogitans*.

Czyż jego pojęcie substancji i wyprowadzone zeń wnioski czynią tym warunkom zadosyć? czy obejmują tę podwójną rzeczywistość?

Mamy, sądzę, prawo utrzymywać, że nie. Z pojęcia tego bowiem powinna, po pierwsze: wynikać jasno nie tylko prawdziwość i konieczność zjawisk, ale także i ich różnorodność, która nie mniej jest faktem i to faktem tak prawdziwym i koniecznym jak i inne; po drugie zaś, powinna równie jasno wynikać z niego możliwość bytu duchowego i myślącego, który także jest faktem prawdziwym i koniecznym. Tymczasem Spinoza ze swoim pojęciem substancji nie jest w stanie wytłumaczyć ani pierwszego ani drugiego faktu.

W substancji są wprowadzone zawarte jej przymioty (atrybuta) czyli siły. Siły te jeżeli są czemś odrębnem, z osobna istniejącem, to powinny być uważane jako osobne substancje. Przeciwno temu zastrzega się Spinoza. Atrybutom nie przysługuje istnienie, to tylko przymioty, które są zawarte *impliciter* w substancji. Przymiot taki może poznać i wyróżnić tylko rozum. Gdzie niema takiego wyróżniającego rozumu, tam nie może być mowy o osobnych przymiotach sub-



stancyi. Wiedział o tém dobrze Spinoza i dlatego dodaje w definicyi atrybutu, że atrybutem nazywa to, co *intellectus de substantia percipit tanquam ejus essentiam constituens*. Przymioty jako takie, razem wzięte, są w substancyi, ale przymiot wyróżniony istnieje tylko w umyśle (*in intellectu*). Czyli mówiąc innemi słowami: różnorodność sił (przymiotów) istnieje tylko w umyśle poznającym i odróżniającym.

A czémżeż znowu jest ten umysł? Według Spinozy to *modus*, to stan czyli objaw (przymiotu) siły myślenia. Atrybut więc odróżniony czyli różnorodność istnieje tylko o tyle, o ile istnieje *modus* (umysł jednostki), a poszczególny *modus* znowu istnieje o tyle, o ile istnieje wyróżniony atrybut. Różnorodność sił istnieje w objawach myślenia a objawy myślenia zależą od różnorodności sił. Powstaje zatem błędne koło bez możności wyjścia zeń, które ani różnorodności sił i zjawisk, ani myślenia nie tłumaczy.

Zgodzilibyśmy się może ze Spinozą, że atrybut jest siłą, którą umysł w substancyi poznaje i wyróżnia; ale w tym wypadku, umysł musi być koniecznie czémś od téj siły, którą poznaje, niezależnym; jeżeli jednak przypuścimy, że objawy są skutkiem działania sił, a siły owocem wyróżniającego je objawu, to przypuszczenie takie samo siebie obala.

Tutaj możnaby zrobić uwagę, że substancja sama, Bóg sam wyróżnia w sobie przez *medium* poszczególnych umysłów swoje przymioty, czyli że myśli swoje, siły (atrybuta) i objawy tych sił (*modi*), które są znowu przyczyną wszelkiego wyróżnienia.

Cóż pierwsze wówczas: czy *modus* czy *atributum*?

Powiedzą nam zwolennicy Spinozy, że oba są równoczesne. W jednej i téj saméj substancyi i wraz z nią są dane siły (atrybuta) i objawy tychże sił (*modi*). Przypuściwszy ten ostatni wypadek, pokazuje się, że substancja nieograniczona, Bóg potrzebuje pośrednictwa swoich „*modi*,” aby siebie myśleć i swoje przymioty wyróżnić i poznać. Jeżeli zaś zważymy, że na poznaniu i wyróżnianiu własnych sił, polega według Spinozy rozwijanie i działanie substancyi jako natury czynnej, stwarzającej (*natura naturans*), to wyniknie z tego, że *modi* czyli „*natura naturata*” natura bierna, z działania staje się warunkiem istnienia dla natury stwarzającej.

Stosunek pierwotny odwraca się nagle i cały system zostaje bez podstawy. Jestto dostatecznym jak sądzę dowodem, że tak pojęcie substancyi jak inne łączące się z niém u Spinozy; zasadnicze pojęcia nie są w stanie objąć i wyjaśnić całej rzeczywistości, ostateczne bowiem konsekwencye niszczą pierwsze podstawy, założenia całego systemu. Taki jest teoretyczny rezultat jego filozofii, któremu najzupełniej odpowiada i praktyczny. Ten myśliciel, dla którego moralność była wszyskkiem, który życie swoje poświęcił szukaniu najwyższego dobra, kończy ostatecznie na odebraniu zasadom moralnym wszelkiej wartości i znaczenia, stawia pojecie najwyższego dobra, które w gruncie rze-



czy jest zaprzeczeniem wszystkiego, co się moralnym i dobrém nazywać może.

Z pojęcia substancji wynika u Spinozy, że wszystko co się w świecie dzieje jest koniecznym. Wszystkie siły i przymioty tudzież wszystkie objawy tych sił (modi) są zarówno koniecznymi, ale przyczyna téj konieczności nie leży w naturze przymiotów i objawów ale w naturze substancji, która będąc doskonałą, nie może działać i rozwijać się inaczej. Łatwo téż zrozumiemy dlaczego Spinoza odmawia stanowczo duchowi ludzkiemu wolności, dlaczego nie może go nazwać wolnym nawet w tém znaczeniu, w którym Boga nazwał wolnym, gdyż człowiek jako istota duchowa nie działa według praw w jego naturze zawartych, ale według konieczności z natury substancji wynikającej.

W części drugiej Etyki (propos. 48) <sup>1)</sup>, pisze wyraźnie: W duchu niema absolutnej czyli wolnej woli, ale każda chęć ma swoją przyczynę, która znowu z innej wynika przyczyni i tak bez końca. W duchu ludzkim panuje zatem konieczność mająca zewnątrz przyczyny swoje, gdyż duch jest tylko pewnym określonym stanem myślenia <sup>2)</sup>.

W obec takiego pojęcia ducha i wolności woli, oczywiście że w systemie Spinozy nie może być mowy o odpowiedzialności moralnej a tém mniej o pojęciu złego i dobrego w znaczeniu moralnym. Wyrazy „dobre“ i „złe“ są u niego czysto względne. Dobrem nazywa Spinoza to, o czém na pewno wiemy, że nam jest pożyteczne <sup>3)</sup>, a złem to o czém wiemy, że nam jest szkodliwe <sup>4)</sup>, poznanie zaś dobrego i złego nazywa uczuciem (affectus) wesołości lub smutku, o ile takowe istnieje w świadomości naszej <sup>5)</sup>. Jeżeli zważymy że wszelkie uczucie (affectus) jest w człowieku koniecznym objawem mającym zewnątrz przyczyny swoje, to się pokaże, że tak samo jak wypełnianie tak i poznanie złego i dobrego zależy jedynie tylko od łańcucha koniecznych przyczyn. Gdy się ktoś w téj mierze omyli, gdy za dobre uzna, to co innym nie wydaje się dobrém, to nie jego w tém wina ale wina uczuć i tych koniecznych warunków, które w nim te a nie inne wywołują uczucia. Wszelka odpowiedzialność moralna, wszelkie poczucie własnej zasługi lub winy nieknie tu, pozostają tylko wyrazy dawne, którym inne zupełnie zostało nadane znaczenie.

Zdanie 19 w czwartej księdze Etyki poucza nas szczerze i otwarcie, że każdy pragnie lub unika, *z koniecznością według praw natury swojej to co uważa za dobre lub złe* czyli za pożyteczne dla siebie lub szkodliwe, a następne zaraz zdanie 20 powiada, że im kto więcej szuka swego pożytku aby utrzymać swój byt, tém większą wówczas obda-

<sup>1)</sup> Etyka Pars II. Prop. XLVIII.

<sup>2)</sup> Ibid. Demonstratio.

<sup>3)</sup> Etyka IV Definitio I. Op. p. str. 165.

<sup>4)</sup> Ibid. Def. II.

<sup>5)</sup> Etyka IV, Propos. VIII Op. p. str. 171.

żony jest cnotą <sup>1)</sup>. Pytamy teraz, do jakich wyników mogą takie prowadzić zdania i twierdzenia, zaiste nie do tych o jakich marzył Spinoza jeszcze w rozprawie o wydoskonaleniu rozumu. Jestto rzeczywiście podziwiania godną rzeczą, z jaką żelazną konsekwencją wyprowadza Spinoza wszędzie ostateczne wnioski, jak przed niczem się nie cofa i nie widzi że za każdym krokiem zbliżając się do celu, niszczy własne dzieło swoje i obala założenia, które niegdyś jak skarb najdroższy pielęgnował w sercu. Bezwiednie wyzuwa się ze wszystkiego, aby tylko utrzymać jedność substancji; któż bowiem przeczytawszy ostatnią księgę Etyki nie przyjdzie do tego przekonania, że owo połączenie się z Bogiem w umysłowej miłości, i tak gorąco upragniona wolność ducha i wieczność staje się u Spinozy czczym tylko frazesem, formą bez treści i bez znaczenia a raczej formą, pod którą całe inna treść się ukrywa.

W 36-tém zdaniu piątej księgi nazywa Spinoza miłość umysłową, duszy do Boga częstką téj nieskończonej miłości, którą Bóg sam siebie kocha <sup>2)</sup>. Bóg będąc jedyną substancją tak samo jak się odróżnia i poznaje za pośrednictwem poszczególnych dusz, tak téż i kocha się przez nie, gdyż miłość Boga jest według Spinozy poprostu tylko poznawaniem siebie <sup>3)</sup>. Miłość zatem nasza do Boga, a miłość Boga do siebie i do ludzi to jedno i to samo uczucie.

Połączyć się z Bogiem w umysłowej miłości, znaczy rozumieć siebie jako modus rozwijającej się jednéj substancji, jako środek przez który substancja działa i sama siebie poznaje. Człowiek to objaw sił koniecznych, bez celu i przeznaczenia (teleologia jest stanowczo z systemu Spinozy wykluczona), to objaw nie odpowiedzialny ani za siebie ani za czyny swoje, gdyż wszystko co tylko zdziała jest koniecznym; to objaw, który zna tylko własny pożytek lub własną sztukę, i pierwsze nazywa dobrem a drugie złem, pozostaje po nim tylko wiedza przezeń zdobyta: im ta wiedza jest prawdziwszą, tém pamięć a więc i trwałość objawu który ją zdobył stalszą jest i dłużej trwającą. Czyż takie pojęcie o połączeniu się z Bogiem zasługuje jeszcze na tę nazwę? Sam Spinoza czuł to dobrze, że nie może ono mieć dla człowieka wielkiej wartości; dlategoż oświadcza w przedostatniém, bardzo charakterystyczném zdaniu swojej Etyki, iż *gdybyśmy nawet nie wiedzieli*, że dusza nasza jest *wieczną*, (wiemy z jego systemu że nie jest nieśmiertelną), to i tak ceuilibyśmy najwyżej pobożność religijną, i wszystko co dotyczy siły duszy i szlachetności <sup>4)</sup>. Dlaczego, pytamy? Dlatego że cnoty te przynoszą nam wielki pożytek, a zatem są dobre. Należy zachować moralność i religią, nie dlatego że człowiek spełnia przez nie swoje przeznaczenie, ale dlatego, że rozum nam wskazuje

<sup>1)</sup> Op. p. str. 179 i 180.

<sup>2)</sup> Etyka Op. p. str. 258.

<sup>3)</sup> Ibid. Dem.

<sup>4)</sup> Op. p. str. 262.



iz są to dla nas rzeczy pożyteczniejsze od dóbr materialnych i rozkoszy. Pożytek staje się tu przeto najwyższym kryterium wszelkiego dobra, na pożytku opiera też Spinoza naukę swoją o moralności społecznej i organizacji państwa i społeczeństwa.

Państwo i społeczeństwo pojmuje Spinoza, wierny swój przewodniej myśli, jako konieczny modus w rozwijającej się substancji. Państwo nie jest instytucją moralną ale przyrodniczą i konieczną. W tej mierze zgadza się Spinoza zupełnie z Hobbsem, od którego w niektórych poglądach swoich jest nawet zależnym. Pierwotne prawo społeczne czyli tak zwane prawo natury, wynika z koniecznych praw przyrodniczych, którym wszystko w wszechświecie podlega. Z praw tych wynika, że doskonałość substancji a więc i doskonałość jej objawów (jednostek ludzkich) polega na sile działania. Im większą rozwija człowiek siłę w działaniu, tym jest doskonalszy; zdanie 40-te Etyki opiewa wyraźnie: „im więcej rzecz jakaś posiada doskonałości, tym więcej działa, tym mniej cierpi, i odwrotnie: im więcej działa, tym jest doskonalszą<sup>1)</sup>. Działanie zatem i siła jest odwiecznym prawem natury, dlatego też i w państwie siła stanowi własne prawo państwowe, na niej polega doskonałość państwowej organizacji. Spinoza nie waha się wyznać otwarcie, że gdzie jest siła tam jest prawo, a gdzie jest niemoc, tam żadnego niemasz prawa. Z takiego zapatrywania wynika, że wszystko co siłę społeczną pomnaża, co potęgze państwa przynosi pożytek, jest dobre a wszystko przeciwne jest w polityce złem. Pożytek i wzajemna potrzeba połączyły niegdyś ludzi w państwa, dlatego każdy rząd powinien mieć przedewszystkiem na względzie pożytek poddanych swoich, czyli siłę rządzonego przez się państwa. Rząd nie może nic cierpieć coby w jakikolwiek sposób siłę państwa umniejszało; wszystkie korporacje i instytucje używają o tyle tylko opieki prawa, o ile pomagają sile państwa, co ją zaś ogranicza, to musi być z pod prawa wyjęte. Na podstawie takich poglądów, określa Spinoza podobnie jak Hobbes, stosunek kościoła i religii do państwa, jako stosunek zupełnej zależności. Siła przed prawem a raczej siła jest prawem, oto myśl przewodnia polityki Spinozy, bo wszelka siła jest koniecznością, a konieczność jest odwiecznym prawem istnienia. Spinoza zastanawia się w swojej rozprawie politycznej<sup>2)</sup> bardzo dokładnie nad szczegółami organizacji państwowej, i wygłasza wiele takich zdań, które dzisiaj należą do zasadniczych pojęć w nauce o nowożytnym państwie.

Szczególnie charakterystyczną jest tutaj ta okoliczność, że Spinoza zaprzeczając duchowi ludzkiemu wolności, jest pomimo tego gorącym zwolennikiem wolności religijnej i politycznej. Na tym punkcie jest on zupełnie innego niż Hobbes zdania. Sprzeczność taka da się pod pewnym względem wytłumaczyć. Jeżeli wszystko podlega

1) Op. p. str. 262.

2) Op. posth. Tractatus politicus 265 — 354.



prawom konieczności, to w takim razie każda myśl i każde przekonanie jest koniecznym; nie zależy zatem powstrzymywać i tamować myśli działań jednostek, które są ich siłą i dobrem. Ale obok siły jednostek ma także i siła państwa swoje prawa, cała więc sztuka rządzenia polega na pogodzeniu wolności osobistej z siłą państwa. Demokratyczna i konstytucyjna monarchia odpowiada według Spinozy najlepiej tym warunkom <sup>1)</sup>. Kończymy na tej uwadze mniejszą część pracy naszej, dodając że przyczyni się ona w dalszym ciągu do odpowiedzi na pytanie, dlaczego Spinoza w naszych czasach na tak wysokim został postawiony piedestale.

# Prawo Bezprawia.

POWIEŚĆ \*).

PRZEZ

*Jana Zacharyasiewicza.*

V.

Gdy to na linii wiedeńskiej się odbywało, jechał pan Marek linią berlińską w towarzystwie swojej najstarszej córki. Uśmiechał się do siebie i często wąsy podkręcał. Zdawało się, że był z czegoś zadowolony. Czasami wyglądał oknem i patrzył na drogę wstecz, jakby

<sup>1)</sup> Tract. fol. Cap. VII. Op. p. Sam Spinoza nie umie utrzymać należytej równowagi między pojęciem osobistej wolności, a przyjęciem siły i bezpieczeństwa państwa. W rozprawie teologiczno-politycznej, położony jest większy nacisk na wolność osobistą, a w rozprawie politycznej znowu na siłę państwa. Jestto w rzeczy samej niepodobieństwem pogodzić te dwie sprzeczności na podstawie Spinozyzmu. Gdzie wszystko jest koniecznością, tam tak dobrze można twierdzić że jednostka powinna być nie krępowana niczym, jak i przeciwnie, że władza państwa powinna być bez żadnych ograniczeń. Jeżeli państwo jako modus stoi wyżej od jednostki, to w tym wypadku dla siły państwa musi być wszystko poświęcone.

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za marzec z r. b.

za sobą obawiał się jakiej pogoni. Pogoni jednak nie było i nawet być nie mogło, a pan Marek wracał na swoje siedzenie z jakimś zagadkowym przy wąsach uśmiechem.

Łucya patrzyła z pewnym niepokojem na ojca. Zachowanie się jego było tak dziwne, tak wyjątkowe.

Łucya miała ciemne włosy, ciemne oczy i cerę jasną. Rysy twarzy nie były klasyczne, ale miały pewien urok, którego bliżej nie można było określić. W jej spojrzeniach i ruchach był jakiś smutek, jakiś żal za czemś, czego trudno było odgadnąć. Zdaje się że pochodził on z drobnych napozór doświadczeń życia, które jednak wielką grają rolę w dziejach kobiety.

Łucya była najstarszą z pięciu córek. Utrudnione warunki egzystencji dzisiejszej, nie dodawały jej wielkiej nadziei zamążpójścia. Wprawdzie był mająteczek, ale ten majątek miał teraz siedm głów do podziału. Ztąd w najlepszym razie nie można było zaraz z tego majątku wyjąć tej siódmej części i dać ją jednej z siedmiu głów. Potrzeba było czekać, a konkurent dzisiejszy nie bierze takiego czekania za posag.

Pozostała tylko jedna droga do szczęścia, droga czystej, idealnej miłości. Łucya mogła się komuś podobać, ktoś mógł się w nią zakochać i z czystego uczucia zaprowadzić ją na stopień ołtarza!

Wprawdzie były potrzebne do tych marzeń idealnych, jeszcze inne więcej realne warunki. Potrzeba było aby ten idealny konkurent miał majątek lub jaki inny grunt pod nogami. Gdzież jednak tego wszystkiego znaleźć? Jeżeli konkurent ma majątek, czyż wtedy zwróci się ku niej. Czy jest tak wyjątkowo ładna, czy umie się tak wyjątkowo podobać?

Przy takich myślach patrzyła Łucya często do zwierciadła, a zwierciadło nie bardzo ją cieszyło. Widziała tam wprawdzie twarz zdrową i nie zbyt szpetną, ale nie widziała owych rysów wyjątkowych, które kobiécie dają koronę królowej, i z wszystkich mężczyzn robią niewolników!

Taką nie była Łucya i wiele nie podchlebiała sobie w tym względzie. Szukała więc innej piękności, która nie mniej uderza i do siebie przyciąga. Zaczęła się uczyć. Prócz tego trzeba było dla oszczędności być nauczycielką młodszych swoich siostrzyczek. To zatrudnienie wycisnęło na jej twarz pewne znamię inteligencji, która jej rysom nadawała pewnego wyższego uroku. Z tym urokiem była nawet często piękną.

Do tego wszystkiego z biegiem lat przyczyniło się jeszcze wiele innych drobnych napozór szczegółów. W stolicy ujrzała się otoczoną młodzieżą karnawałową. Wielu z tej młodzieży okazywało jej jasno jakieś niezwykłe uczucie. Mówiono do niej z westchnieniem, używano słów przezroczytych, spojrzeń wiele obiecujących. Trwało to jednak nie długo. Gdy się dowiedziano o stanie majątku, o pięciu siostrzyczkach, z których każda miała ochotę wyjść za mąż, jeden po

drugim z wzdychających rycerzy ulotnił się, a często nawet nie poznawał jęj na ulicy.

Do serca Łucyi sączyła się teraz kropla po kropli onęj goryczy życia, która na ustach wyciska uśmiech bolesnej ironii. Uśmiech ten smutny, jak każdy uśmiech bólu i rozczarowania dodawał jęj nowego uroku, a czasem nawet w chwili jakiegoś głębszego wrazenia mogła być z tym uśmiechem zachwycającą!

Tak więc była Łucya rzeczywiście piękną, chociaż ta piękność była jęj własną zasługą i owocem przebytych cierpień cichych i rozczarowań.

Podróż dzisiejsza z ojcem wydała jęj się zrazu bardzo jasną i zrozumiałą. Zrozumiała zmartwienie ojca, że dotąd jeszcze nie jest mężatką. Do tego czasu potrzeba było już innym siostrom ustąpić pierwszeństwa, ale cóż ona biedna winna temu, że dotąd nikomu podobać się nie mogła? Nikt nie zapragnął jęj za towarzyszkę życia!

Ojciec nic jęj nie powiedział wybierając się w podróż, ale ona dorozumiała się, że ta podróż tajemnicza jest ostatniem wysileniem rodziców, aby dla starzejącej się panny gdzie bądź męża wyszukać!

Biedna, załała się łzami skrycie, ale przygotowała węzełek, aby z ojcem puścić się na tę wprawę!

W takim-to była uposobieniu biedna Łucya, gdy Wiktor po raz pierwszy na nią spojrzął. Nic więc dziwnego, że na jęj twarzy nie widział owęj swobody dziewczęj, która cały świat do boju wyzywa, ale widział ową cichą, bolesną rezygnacją, która tak efektownie charakteryzuje biedną, nieszczęśliwą mężatkę!...

Być może że i Łucya zauważyła te wyjątkowe spojrzenie, które coś do nięj mówiło... być może że i ona w tęg chwili coś sobie zamarzyła o tęg spojrzeniu... i że to marzenie odbiło się na jęj twarzy bladęj...

Jedna rzecz była dla nięj zagadką. Ojciec zmienił w podróży całe swoje względem nięj zachowanie się: był nadzwyczaj uprzedzający, zarzucał ją cukrami i kwiatami i ustawicznie z nią rozmawiał.

Po niejakiem namysle zrobiło się jęj bardzo smutno. Zdawało się jęj, że jest w tęg chwili podobną do ukochanej owieczki, którą chłoptęści, karmi i poi, aby na blizkim jarmarczku lepiej ją sprzedać!

Dodało to goryczy jęj twarzy, a odbierając tenie zastużone pieścoty z rąk ojca, nie mogła się powstrzymać od pewnego nieprzyjemnego uczucia, jakie jęj sprawiała myśl powyższa. A właśnie to mogło w oczach Wiktora posłużyć za jeden dowód więcj, że się w swoich przypuszczeniach nie myli, że ona jest mężatką!

— Czy daleko jeszcze pojedziemy?—zapytała ojca Łucya na trzeciej stacyi linii berlińskiej.

— Nie daleko, moje dziecęg—odparł tenże z uśmiechem, i znowu wyjrzał oknem, jakby kogoś oczekiwał.

— Wszak tu nigdzie niema większego miasta!



— Miasta nie potrzebuję. Lekarz zalecił mi zimną wodę i świeże górskie powietrze!

— Zimna woda, świeże górskie powietrze! Tego przecież nie brak nam i w domu!

— Tak... to prawda! W domu... w domu niema tak swobodnego i czystego powietrza.

Łucya przypomniała sobie częste domowe burze...

— Tak, dziecię moje—mówił dalej pan Marek z filuternym uśmiechem—mnie trzeba tylko ustronia i ciszy.

— Ustronia i ciszy!—powtórzyła Łucya—nie mogę tych słów dobrze zrozumieć.

Cóż znaczą ustronie i cisza w zamiarach ojca?

— Przedewszystkiém spokoju!—mówił dalej pan Marek jak skończony dyplomata—dlatego chciałbym z tobą kilka słów pomówić!

— Słucham cię ojcze?

— Tu niedaleko, na Szlązku będzie zakład leczniczy, w którym niejakiś czas zabawimy. Nie są to zwykłe wody, do których się ludzie zjeżdżają aby się bawić, ale jest to proste ustronie, gdzie człowiek może mieć talerz mleka, kawałek chleba, zimną wodę i płat szafirowego nieba nad sobą! Zabaw, ludzi tam nie wiele!

Łucya spojrzała na ojca.

— Otóż uprzedzam cię, że jakkolwiek tam nie spodziewam się niko-go z ludzi zastać, z którym żyćby nam wypadało, abyś z nikim się nie zaprzyjaźniała, coby mi mój zalecony przez lekarza spokój zakłócić mogło. Jestem chory, bardzo chory! Uf!

I stęknął pocziwy pan Marek a stęknął tak naturalnie, że nawet każdy lekarz byłby jego chorobie uwierzył.

Łucya patrzyła smutno przed siebie.

— Pamiętaj o tém—mówił dalej ojciec—bo inaczej sprawiłabyś mi wielką przykrość!

— Dobrze, mój ojczel!

— Najlepiej będzie do nikogo nic nie mówić, i zachować względem wszystkich jak największe *incognito!*

— Dobrze!

— Wiesz co?—mówił dalej z uśmiechem pan Marek—może nawet takie życie na dobre nam wyjdzie!

Łucya spojrzała na ojca. Pan Marek uśmiechał się pod wąsem i mrugał oczyma do swoich myśli.

— Czytałem raz w kalendarzu—mówił dalej—że pewna jéjmość mocno wszystkich zaintrygowała tém, że trzymała się na uboczu i przez długi czas była nikomu nie znaną!

— Jakiż był w tém cel?

— Cel?... Cel?... no, żadnego celu w tém nie było, ale zawsze... wygląda to trochę po pańsku! Pocóż zaraz wszystkim mówić, jak się człowiek nazywa, co robi i jaki ma majątek? Gdy jaki monarcha chce sobie wygodnie odpocząć, to zazwyczaj podróżuje *incognito!* Należy

to do dobrego tonu, jak raz twoja matka mówiła. Dlaczegoż nie mamy tego dobrego tonu spróbować?

Łucya uśmiechnęła się. Trudno wiedzieć, że w tych dziwnych słowach ojca czego się domyśliła, czy też tylko z posłuszeństwa przyrzekła, że ojcu będzie posłuszną.

Rozmowa dalsza urwała się, bo właśnie wymówił konduktor nazwę zakładu, do którego dążył pan Marek.

## VI.

Zakład lecznicy, w którym teraz mógł pan Marek czas niejaki zamieszkać, był napozór małym folwarczkiem położonym między lasami i górami nad wodą. W pośrodku stał jeden większy budynek z białą facyatką i zegarem na tej facyatce. Miał na około kryte krużganki, po których w czasie niepogody mogliby przechadzać się goście miastowi. Mnóstwo małych domków było rozsypanych wkoło tego budynku, a niektóre z nich były miniaturowych rozmiarów, że wyglądały jak zabawki dziecinne.

Okolica była bardzo romantyczna. Niewielkie góry lasem porośłe otaczały zakład z trzech stron, a po czwartej stronie rozlegała się obszerna równina z kręto wijącym się potokiem.

Prawdziwych chorych nie było tu wcale. Zjeżdżali się tutaj po większej części mieszkańcy miast pobliskich, aby w wiejskiem zaciszu trochę wytknąć od pracy i kurzu miejskiego. I takim mieszkańcom dostarczało właśnie to zacisze tego wszystkiego, czego oni pragnęli.

Najprzód życie było dosyć tanie, była zimna woda, świeży nabiał, czysty chleb żytni, zdrowe powietrze i cisza niczem nie przerywana. Nie było żadnych muzykantów, nie było rautów i wieczorków tańczących, a nawet artyści nie zaglądali tutaj z swemi koncertami będąc w przejeździe do jakich miast europejskich! Zgoła żaden natrętny hałas nie przeszkadzał mieszkańcom błogiej ciszy, po którą tutaj przybyli. Dla rozerwania umysłu była biblioteka i dzienniki.

Takim był ów zakład lecznicy, do którego teraz zdążył pan Marek. Obejrzał go ze wszystkich stron i najął sobie osobny domek otoczony ogrodem i ostrokołem.

W tym domku jakby w forticy jakiej zamknął się zaraz z początku. Przyjął starą służącą, któraby w dniu słotne obiady przynosiła. Do nikogo z ciekawszych gości ani słowa nie przemówił. To samo zalecił Łucyi. Łatwy miała obowiązek milczenia Łucya, bo pokusy zbyt wielkiej nie było wcale. Pomiędzy gośćmi uderzało kilka rodzin żydowskich z Wrocławia, które zajęte były wzajemną admiracją swoich składów i handlów. Był chudy, stary angiłk, który państwo swoje zaprezentował nader godnie z wszelkimi akcesoryami wyszukanego dziwactwa. Codziennie wychodził z długą wędką na ryby i po całych godzinach siedział nieruchomy, jak słup milowy nad brzegiem potoku; gdy zaś deszcz padał, to kupował wtedy żywe ryby, wrzucał do przygo-

towanój na ten cel balii z wodą, która stała zawsze w jego pokoju i do niej, siedząc na sofie, zarzucał swoją wędkę niez mordowaną! Prócz tego opowiadano o nim, że podczas całego swego pobytu, do nikogo jeszcze marnego słowa nie przemówił.

Do innój wcale kategorii należała rodzina niemieckiego barona, który tu lata przepędzał dla oszczędności. Rodzina cała skadająca się z obojga rodziców i pięciu córek, już sporo dorosłych, żyła tutaj bardzo skromnie i oszczędnie. Na rano pili wszyscy mléko i zjadali przy tém trzy bułki. Na drugie śniadanie był Szyller i Göthe. Czytano stosownie do mniejszego lub większego apetytu, to liryczne poezye, to cięższego kalibru dramata jak: Faust i Wallenstein. Obiadek skromny składał się z mięsa i zupy. Po obiedzie znowu Szyller i Göthe, a gdy była niepogoda, Hejne. Po poetach następowała cienka kawa z mlékiem a po tym posiłku przechadzano się po parku i karmiono się pięknymi widokami natury.

Było jeszcze kilku emerytów cywilnych i wojskowych, którzy kwaśnego mléka dużo zjadali i jeszcze więcej przy tém o polityce rozprawiali.

W dniu świąteczne zjeżdżali się nieco liczniej rzemieślnicy z pobliskich miast, którzy do późnój nocy grali w billard i w kregle, konsumując przy tych wiejskich rozrywkach dużo piwa.

Takie towarzystwo mieli teraz pan Marek i Łucya wkoło siebie. Nie obiecywało ono wiele przyjemności, ale zato mógł pan Marek być spokojnym o swój spokój tak upragniony! Łucya była także na ten spokój skazaną i zaraz w pierwszym dniu zaopatrzyła się w jedyną kobięcą broń przeciw nudom. Kupiła sobie w miejscowym sklepiku pięć łokci kanwy i dziesięć funtów włóczki, chcąc do klasztoru na „Jasnej Górze,” zrobić dywan albo antypedyum do ołtarza.

I napozór zdawało się, że oboje osiągli to, czego pragnęli. Pan Marek siedział jak sultan rozparty w ganku swego domku i z przywiezionej z sobą antypki puszczał sine kłęby dymu aż do sąsiedniego państwa niemieckiego. Na jego twarzy była pogoda a nawet od czasu do czasu przebijał się uśmiech człowieka, który jest z siebie wielce zadowolony. Taki sam spokój panował na twarzy Łucyi. Miała przed sobą kanwę i małą igiełkę przesuwiała tam i napowrót z kolorową nicią tak zgrabnie i szybko, jakby o niczém inném nie myślała. Pod drobnymi rączkami tworzyły się kwiaty, listki i arabeski, a wszystkie były tak delikatnie wykończone, jakby całą swoją uwagę im poświęcała. I ona śród téj jednostajnej roboty uśmiechała się czasem do siebie, ale uśmiech ten był smutny i melancholijny, jak uśmiech dziewicy zbliżającej się do kresu, od którego zaczyna się smutna wszystkich rozkoszy rezygnacya!...

Czasami tylko następowało większe w małym domku ożywienie. Była to godzina, w której od stacyi kolei przywoził pocztalion miejscowy listy i gości. Wtedy zazwyczaj ciemne oko Łucyi zamigotało jaśniej i od kolorowych motków podniosło się do okienka, przez które



było widać urząd pocztowy. Łucya patrzyła z pewną ciekawością na otwierające się drzwi karetki pocztowej, śledziła pilnie wszystkie ruchy przybywających podróżnych a potem smutno i z rezygnacją wracała napowrót do roboty pokaznej.

To samo działo się z panem Markiem. Gdy wóz pocztowy zakurkotał, pan Marek wstrzymywał wtedy dym w gębie i wypukłe swoje oczy wysyłał skwapliwie przed urząd pocztowy. Tam przypatrywał się przybyłym podróżnym i on szukał między nimi kogoś znajomego, a gdy to nie nastąpiło, cofał swoje oczy, wypuszczał dym z gęby i wracał znowu do normalnego puszczenia w państwo niemieckie misternych szych kótek.

Trwało to kilka dni. Czwartego dnia jak zwykle przyjechał wóz pocztowy i oprócz różnych pakunków przywiózł jakiegoś młodego podróżnego.

Młody podróżny zaraz na wstępie wdał się w żywą rozmowę z pisarzem pocztowym. Pisarz przykładając kilka razy palec do czoła, jakby ztamtąd chciał jakąś lepszą wydobyć odpowiedź, ale pozostało to jak można było wnosić bez skutku. Wykręcił się kilka razy wkoło jakby czyjś pomocy szukał, a gdy téj nie znalazł, wskazał ręką na główny dom zakładu i do podróżnego tyłem się obrócił. Zapewne zwątpił podróżny, aby z téj strony otrzymał jakie potrzebne mu wyjaśnienie, obrócił się także i do domu zakładowego powoli podążył.

Podróżnego tego dojrzał najprzód pan Marek. Zapewne poznał go, bo uśmiechnął się pod wąsem; na twarzy jednak nie było żadnej większej radości.

Widziała go także i Łucya, a widziała go bardzo dobrze, bo przed chwilą jakby przeczuwała, wytarła szybę wiotką bibułką. Na czystej szybie zarysował się wydatnie profil naszego gościa, którego Łucya powitała takim jak ojciec samym uśmiechem bez żadnych innych dodatków. Nie powróciła jednak tak zaraz do roboty. Wsparła się ręką na stole i patrzyła z poza kwiatów, co dalej pocznie nowy podróżny.

Tymczasem gość zakładowy zażądał od pisarza, który stał na ganku jakiegoś wyjaśnienia. Pisarz obracał się do niego to jedném to drugiem uchem, potem poszedł do kancelaryi i wyniósł mu jakiś duży papier.

Była to lista zakładowych gości. Podróżny niedługo czytał. Oddał listę pisarzowi i rozkazał kufry swoje powynosić z domu pocztowego.

Jeszcze tego samego dnia nad wieczorem, gdy pan Marek właśnie do piątej po obiedzie zabierał się fajki, zbliżył się do ganku gość przybyły.

— Mam zaszczyt przypomnieć się pańskiej znajomości — rzekł do pana Marka uchylając kapelusza.

Pan Marek zapalił fajkę a gdy się przekonał, że już dobrze się pali, spojrzął na gościa i odparł:

— Przepraszam, ale wcale sobie nie przypominam!

Zarumienił się gość przybyły.

— Być może—odpowiedział—być może, że pan mnie nie spostrzegłeś w wagonie, do którego siadłeś pan zaraz na początku podróży swojej.

Pan Marek wydmuchnął chmurę dymu.

— Jeżeli sobie dobrze przypominam, to spałem wtedy; nie mogłem więc pana widzieć!

— Ale ja sobie bardzo dobrze przypominam!... Zdawało mi się że tutaj za granicą, gdzie polaków wcale niema, zbliżenie się moje do pana dobrodzieja jest bardzo łatwe do usprawiedliwienia...

— Hm! hm... Każda rzecz da się usprawiedliwić, tém bardziej pańskie zbliżenie się, które przecież nie ma nic w sobie naganego.

I wzrokiem przeszywającym spojrzął pan Marek na swego gościa. Gość zakłopotał się jeszcze więcej.

— Uchowaj Boże!—pospieszył z odpowiedzią—nigdy nic naganego w mojem życiu dotąd nie było, czego miałbym się wypierać! Dla tego sądzę że i pan dobrodziej...

— Przecież o nic pana nie obwiniam—przerwał pan Marek— a jeżeli to panu sprawia jaką przyjemność posiedzieć ze mną chwilę na ganku i fajeczkę wypalić, to i owszem, bardzo pana proszę!

Pan Marek zawołał na starą służącą.

— Przepraszam, ja fajki nie palę—remonstrował młody człowiek, który przestraszył się takiej gościnności.

— Nie palisz pan?—zapytał z flegmą pan Marek—ale prawda, pan jesteś jeszcze zbyt młody!

— Tak... to jest... mam już lat dwadzieścia pięć, jak pan widzisz; jestem nawet pełnoletni! Ale ja palę tylko cygara i papierosy!

— Cygara i papierosy! Żałuję bardzo że tych specyatów nie mam w moim domu!

— Nic nie szkodzi, noszę je zawsze przy sobie. Jeżeli pan dobrodziej pozwoli...

— I owszem, proszę. Jesteśmy prawie pod gołym niebem!

— Muszę się wprzódzy przedstawić panu dobrodziejowi... jestem Lucyan \*\*\*.

— Bardzo mi miło, nazwisko rodzinne jest mi znane!

Po takim wstępie usiadł Lucyan na ganku i zapalił sobie papierosik. Pan Marek uśmiechał się ciągle pod wąsem.

— Jeżeli się nie mylę—zaczął po niejakiem czasie—pan jechałeś w towarzystwie starszego człowieka z dużą łąsą głową i wysokim, myślącym czołem.

Lucyan zmieszał się.

— Tak... to prawda... jest to mój towarzysz podróży, z którym miałem zrobić większą w świat wycieczkę!

— I cóż się stało żeś pan sam tu nagle zboczył?

Lucyan odkaslnął.

— Widzisz pan dobrodziej... to właśnie przypadek zrządził, że tutaj jestem. Wsiadłem na fałszywy pociąg i tu przyjechałem.

— Z kuframi?

— Tak... kufry także zrobiły pomyłkę. Ale napiszę do mego towarzysza, aby tutaj przyjechał i kilka tygodni ze mną zabawił. Piękna okolica, zdrowe powietrze!

— Hm, hm—mruzczał pan Marek i z ukosa patrzył na gościa, który mu jakoś wcale nie był po myśli.

Lucyan długo siedział jeszcze na ganku, kręcił się na wszystkie strony, czy gdzie Łucyi nie zobaczy, ale Łucya nie pokazała się. Naprowadzał kilka razy rozmowę na tak smutne między obcymi osamotnienie gospodarza, ale pan Marek tak zręcznie wykręcał się od odpowiedzi w tym względzie, że Lucyan nic się nie domyślał.

Tak minęło kilka dni. Lucyan chodził codziennie do zagadkowego człowieka na ganek, siedział tam kilka godzin, wypalał tuzin swoich papierosów, ale ani na krok nie postąpił dalej. Z pobliskiego pagórka widywał Łucyą w ogródku. Chodziła pomiędzy kwiaty smutna i zadumana, czasami siadała w altance z książką w ręku. Prócz tego nic a nic bliżej się nie dowiedział. Nie pozostało mu więc nic innego, jak zastosować się do wszystkich gości zakładowych, których najmiłszą było rozrywką czekać na przyjazd pocztowego wozu.

Na trzeci dzień stał Lucyan przy samym pisarzu pocztowym, gdy karetka z trąbką czarną zajechała przed pocztę. Otworzyły się drzwiczki a z karetki wyskoczył na ziemię pan Wiktor.

Lucio był w niemałym kłopotcie, gdy ujrzał nagle przed sobą towarzysza podróży. Jeszcze więcej wydawał się zakłopotanym sam Wiktor. Kilka chwil patrzeli w milczeniu na siebie.

— A! pan tutaj!—ozwał się pierwszy Wiktor.

— A! tutaj! A pan?—zagadnął Lucyan.

— Ja... ja... jak pan widzisz, także tutaj.

— Tak... widzę!

Wiktor strzelił gniewnym okiem na wyrostka, który lepszy miał węż od niego i prędzej trafił do celu.

— Cóż pan tu porabiasz?—zapytał po chwili.

— Widzisz pan... nieszczęście; pomyliłem się co do pociągu.. i tutaj przyjechałem. Czy i pan?...

— Ja?—odpowiedział z powagą Wiktor—ja nigdy nie mam zwyczaju mylić się w podróży! Chciałem tutaj trochę odpocząć. Zresztą oczekuję tu znajomych...

Lucyan spojrzął na mówiącego.

— A nawet... nawet spotkasz tu pan kogoś z naszych wspólnych znajomych.

— Z naszych wspólnych znajomych?..

— Ten pan stary z tą młodą...

Wiktor machnął ręką od niechcenia.



— Co też panu zawsze w głowie! Zapomniałem już dawno o nich!... Cóż oni tu robią? Gdzie mieszkają? Czy długo tutaj zabawią?

Lucyan spojrzął z uwagą na doświadczonego człowieka, uśmiechnął się i odrzekł:

— Ot w tym domku z białym gankiem! Pan Marek nazywa się pan Marek \*\*\* siedzi właśnie na ganku i pali fajkę. Ale towarzyszka jego jest niewidzialna. Chowa ją jak klejnot przed okiem ludzkim!

Rozsiadł się z zadowoleniem Wiktor i pogładził białą ręką po czarnej brodzie.

— Później o tém pomówimy—odparł—a teraz potrzeba się gdzie dobrze ulokować. Chodźmy!

I w zgodzie jak najlepszej weszli obaj do zakładu.

A w tymże samym czasie panowało niemałe wzruszenie na ganku małego domku. Pan Marek wydmuchiwał tak gęste kłęby dymu i z takim ferworem atakował granicę państwa niemieckiego, w którym właśnie odczytywano Fausta Göthego, że trudno było odgadnąć czy to dzieje się w przystępie złości czy dobrego humoru. Nawet Łucya, która nowego gościa przez starannie wytartą szybę dobrze widziała, nie mogła wcale odgadnąć czy ojciec tak się gniewa czy raduje. Wystąpiła kilka razy swoje ciemne oczy z zapytaniem na twarz ojca, ale pan Marek wyglądał w tej chwili jak Jowisz, z którego twarzy nie można odczytać, czy ma w ręku gotowy piorun czy dęszczę dobroczynny.

Łucya nie badała bliżej przyczyny, ale serce kobiece ozwało się jakimś cichym, zaledwie zrozumiałym głosem, jak harfa Eolska, gdy lekki podmuch wiatru przemknie po jej strunach złotych...

Cóżby to mogło być?—zapytała siebie—czy byłby to prosty przypadek, czy..

Twarz jej zarumieniła się.

Na kilku stacyach—mówiła dalej do siebie—zwróciłam jego uwagę na siebie... cóżby to znaczyło że tutaj... za mną... przyjechał?..

Po chwili dodała zaraz:

Może to prosty przypadek i nic więcej, a ja robię zawsze z tego coś... Przecież w stolicy podczas karnawału tyle razy złudziłam się prostemi pozorami... pocóż i tutaj rozmarzać zaraz serce!..

I spuściła głowę na piersi.

Wszedł w tej chwili do niej pan Marek.

— Łucyo—ozwał się cały zakryty w chmurę dymu—mam ci coś powiedzieć.

— Słucham cię, ojciec!—smutno odpowiedziała Łucya.

Pan Marek jeszcze gęściej otoczył się dymem. Twarzy jego wcale nie było widać.

— W życiu—zaczął po chwili—bardzo wiele zależy na tém, jak się ludziom po raz pierwszy przedstawiamy. Otóż uprzedzam cię, że wkrótce obaczysz albo nawet poznasz człowieka, którego uwagę zwróciłaś na siebie.

Łucya spojrzała na ojca jaśniejszém okiem.

— Ten człowiek—ciągnął dalej pan Marek—jest wykształcony, ma ładną fortunę; ale ostrzegam cię, jest wielkie nicdobrego.

— Nic dobrego?—powtórzyła Łucya z zadziwieniem.

— Tak, wielkie nic dobrego: bałamut i nic więcej

Łucya spuściła oczy. Na jój twarzy malowała się jakaś myśl przyjemna.

— Trzeba więc z nim być bardzo ostrożną a najlepiej wcale z nim znajomości nie zabierać: znajomość taka zaszkodzi opinii panny.

— Dlaczego, ojczy, tak srogo sądzisz?—ozwała się po chwili namysłu Łucya—przecież bywają przykłady, że najgorsi ludzie poprawiają się pod wpływem...

— Tere-ferel! Już ja tam w to bardzo nie wierzę!

Z kiepskiego materyału nie zrobisz złota!

Łucya uśmiechnęła się do swoich myśli. Ojciec patrzył na nią z uwagą.

— Nie radzę ci nawet próbować!—rzekł po chwili—bo widzę że masz ochotę potemu!

Łucya zmieniła wyraz twarzy.

— Mylisz się, ojczy—odrzekła—będę ci posłuszną, bo wiem, że dobra mego pragniesz.

Pan Marek milczał chwilę. Na jego twarzy malowało się widoczne zadowolenie. Kłęby dymu były co rzadsze i potoczystsze. Wreszcie ustały. Nachylił usta do czoła córki, pocałował i rzekł:

— Cieszę się z twego rozsądku, moje dziecko; spodziewam się, że ten twój rozsądek wytłumaczy ci moje postępowanie, czasem może trochę dziwaczne!

Łucya pocałowała ojca w rękę, ale ktoby jój oczy w téj chwili obaczył, byłby w nich widział wyraz szczególnego zadowolenia, jakie obecnie poruszało jój serce.

# S Z K I C E

## Z WYSTAWY FILADELFIJSKIÉJ

1876 r.

HAPISAL

*Jan Karłowicz.*

### II.

Model szkółki belgijskiej. — Przepisy ministerstwa oświecenia belgijskiego dotyczące zabudowań i urządzenia szkółek. — Pawilon wystawy kobiecej. — Słowno o dążeniach emancypacyjnych w Ameryce. — Ogródek dziecienny.

Ogarnąć jednym namysłem i jednym opisem wszystko co wystawa szeszcioroczna miała zajmującego, jest czystym niepodobieństwem. Dla tego to pozwoliłem sobie na tytule wypisać wyraz „Szkice;” daje on mi wolność zatrzymywania się przed niektórymi rzeczami, którym się przyjrzyłem bliżej i które może zajmą choć część moich czytelników. Wyznaję że więcej mię interesowały maszyny wprawiające w ruch umysł od przyrządów działających na materją; wybieram więc nateraz kilka wycieczek w strefy dość żywotnej treści: w krainę wychowania dziatwy i w okolice państwa kobiecego. Zgodzi się ze mną każdy, że społeczeństwo, które mądrze potrafi pokierować sprawą nauczania młodzieży i reformy w dotychczasowem położeniu i ukształceniu kobiet, oprze swój postęę na pewnych, niespożytych podwalinach, których nie obalą żadne zawieruchy, żadne zamachy siły grubo-materyjalnej.

Po przelotnym obejrzeniu wystawy pedagogicznej Stanów Zjednoczonych, wstąpmy na pół godziny do oddziału belgijskiego, i tam wśród obficie nagromadzonych i bardzo starannie dobranych okazów koronek, sukien, strzelb, galanterji, szkieł, mebli, płótna, gobelinów i mnóstwa innych wyrobów, odszukajmy domku skromnego, niewielkiego, noszącego napis „Szkola początkowa.” Jest to model naturalnej wielkości, wystawiający szkółkę na 50 uczniów lub uczennic, zbudowany tak, że gdyby go przenieść na miejsce właściwe, pokryć dachem i dać grubsze ściany, mógłby spełniać natychmiast swe przeznaczenie.

Wybieramy z kilku innych modeli szkółek, belgijską dla tego, że nigdzie nie znalazłem równie ścisłego i poglądowego przedstawienia



rzeczy, jak w niej, a nadto zdawało mi się, że ponieważ jest wykonana zupełnie według przepisów rządowych, a o ministerstwie oświecenia w Belgii mam wysokie wyobrażenie, więc opisując ją podam czytelnikom obraz najnowszego i prawdziwego postępu w tym kierunku.

W Listopadzie r. 1874, rząd belgijski, zgodnie ze zdaniem głównej komisji oświaty porządkowej i wyższej rady zdrowia publicznego przejrzał na nowo przepisy dotyczące budowy i umeblowania domów szkolnych, ogłosił prawo na przyszłość w tym względzie obowiązujące i nakazał pobudowanie modeli szkółek, z których, jeden z kompletnym umeblowaniem, wysłał na wystawę do Filadelfii i ten właśnie postaram się tu opisać.

Domek ma długości  $13\frac{1}{2}$  metra, szerokości 5 m. 80 cm. Od wchodu przedzielony jest ścianą poprzeczną, a przestrzeń pomiędzy nią i ścianą zewnętrzną, szeroka 3 m. dzieli się na dwie połowy; tym sposobem cały dom składa się z trzech izb; dwóch przedpokojów i sali szkolnej.

Sala ma tedy  $8\frac{1}{2}$  m. długości na 5 m. 80 c. szerokości; wysokość ścian wynosi  $4\frac{1}{2}$  m. Każdy przedpokój ma szerokości 2 m. 90 cm., a długości 3 m.; przez jeden wchodzi chłopcy, a przez drugi dziewczynki; w sali zaś zajmują pierwsi jedną, a drugie drugą połowę ławek. Jeżeli szkołka przeznaczona jest dla jednej płci tylko, wówczas jeden z przedpokojów obraca się na gabinet zbiorów przyrodniczych, narzędzi fizycznych i t. p.

Sala obliczona jest na 50 uczniów; przepis ministerstwa każe się trzymać zasady, aby na jednego ucznia przypadał 1 metr powierzchni podłogi, licząc w to miejsce na estradę, szafy, wolne przejścia i t.d.; objętość zaś całej sali ma być taka, aby na każde dziecko wypadało po 4 m. 500 cm. sześciennych.

Przy ścianie przeciwległej wchodowi ustawione jest przez całą jej długość wzniesienie czyli estrada, szeroka  $1\frac{1}{2}$  m., wzniesiona nad podłogą  $\frac{1}{4}$  m. Do ściany, ponad estradą, przymocowana jest czarna tablica, ciągnąca się przez całą szerokość ściany, wysoka  $\frac{1}{4}$  m., przeznaczona dla rysunków objaśniających, albo rysowanych, albo zawieszanych przez nauczyciela, a służąca zarazem za tło dla okazywanych przedmiotów, które tym sposobem dokładniej i jaśniej się dają oglądać.

Na środku estrady stoi stół lub raczej biurko nauczyciela, z szufladami i pulpitem; przy nim krzesło, a za nim, na ścianie, ponad czarną tablicą, przyrząd do zawieszania 4 map geograficznych, które zjawiają się jak rolety i przedstawiają Europę, Belgię, jedną z prowincji belgijskich i jedną gminę belgijską. Nad mapami, na konsoli stoi gipsowe popiersie króla. Oprócz tego na estradzie widzimy: stołek-drabinkę, służący do dostania się do wyższych półek szaf, dwie tablice ruchome, na których piszą uczniowie, oraz tak zwany arytmometr, czyli coś nakształt rossyjskich *szczotów*. Na estradzie też ustawiają się w razie potrzeby modele i przyrządy, służące do wykładu, a tak urządzone, że się podnoszą i obracają na gwintach. W biurze swoim nauczyciel chowa książki, rejestra uczniów, rysunki i kartony

potrzebne do wykładu, a nauczycielka swoje sprzęty należące do nauki szycia, kroju i robótek, oraz zabawki Fröbrowskie.

Światło dzienne wchodzi do sali przez cztery okna, których jest po dwa w obu ścianach podłużnych. Dolne szyby są matowe, a górne otwierają się nakształt lufcików, ale tak że zawiasy są u dołu, czyli że otwór lufcików jest od góry; siatka metalowa pokrywa całą przestrzeń otwartą, aby zabezpieczyć salę od much i komarów. Każde okno ma roletę podnoszącą się z dołu do góry, w tym celu aby w razie częściowego ich podniesienia, światło z góry ale nie z dołu padało. Przepisy ministerstwa dodają następne jeszcze szczegóły co do oświetlenia: że okna powinny się znajdować przedewszystkiem od strony północno-wschodniej lub północno-zachodniej; że w razie jeżeli niepodobna aby były umieszczone po prawej i lewej stronie uczniów, iżby się znajdowały po lewej, a także jeżeli można, aby było choć jedno wprost estrady; że powierzchnia szyb powinna stanowić przynajmniej  $\frac{1}{20}$  część liczby objętości sześcienną sali; że framuga okna po bokach i u spodu powinna stanowić kąt rozarty z powierzchnią okna; że przy oświetleniu sztuczném powinien być urządzony komin do oddalania ciałek spalonych, oraz że odległość płomienia lampy lub gazu od głów uczniów powinna być nie mniejsza od 1 m. 40 cm., dla uniknienia rozgrzewania.

Przy bocznych ścianach sali, pomiędzy oknami, stoją szafy oszklone, zawierające, jedna zbiór figur geometrycznych z papki, druga kolekcją wag i miar; inne mieszczą w sobie: próbki drzew i marmurów krajowych; zbiór krajowych kruszców i kamieni najpożyteczniejszych, kolekcją owadów najpospolitszych, ptaków owadożerczych, ryb krajowych i niektórych zwierząt ssących dzikich; ziarn i roślin najużyteczniejszych; kilka herbaryów, trochę modeli, obrabionych kamieni i cielsielki; wreszcie nieco narzędzi fizycznych, służących do wyłożenia pierwszych zasad mechaniki, hydrostatyki, nauki o ciepłe, światło, magnetyzmie i elektryczności. Oprócz tego w szafkach i na ścianach widać tam: okazy anatomiczne z papki i rysowane kolorami, mapy geograficzne wypukłe, termometr, barometr, globus, modele mularstwa i nakoniec szafę z książkami treści podręcznej, encyklopedycznej, atlasami i t. d. Przepisy ministerstwa nakazują nadto umieścić w sali szkolnej krucyfiks, rysunki służące do poglądowego nauczania dziejów krajowych, historyi świętej, naturalnej i t. d., zegar i ramki do ogłoszeń i programów lekcji.

Pośrodku sali stoi piec-wentylator; służy on w zimie do ogrzewania i wywietrzania, a w lecie do wentylacji: ma podwójną pokrywę; świeże powietrze z podwórza przybywa rurą podziemną do przestrzeni pomiędzy pokrywami, ogrzewa się i rozchodzi po pokoju przez otwory w blasze; latem zaś, oprócz tego, świeże powietrze wchodzi przez liczne otwory w podłodze, a zużyte wymyka się przez podziurawiony gzyms u sufitu, obiegający wszystkie cztery ściany. Przepisy rządowe



nakazują utrzymanie temperatury od 14 do 16 stopni Cels. i odświeżanie powietrza najmniej dwa razy na godzinę.

Ławki z pulpitemi pokrywają większą część sali; przedziela je wolna przestrzeń dla przejścia ku katedrze. Każda ławka służy na dwie osoby, ma niską deseczkę do oparcia się (około 15 cm.), długości ma 1 metr, a wysokości stosownie do wieku uczniów. W pulpicie znajduje się wpuszczony w deskę cynkowy kałamarz, z klapką, na sprężynce do zamykania. W ławkach, które mają służyć dla obu płci działwy, pół deski pulpitemowej odchyła się z góry na zawiasach, odsłaniając skład na nici, igły, nożyczki i inne przyrządy do robót kobiecych; na odchyłonej desce znajduje się przymocowana do niej podszeczka do przypięcia roboty. Ławki dla młodszych uczniów mają na pulpicie porysowane kwadraty do zabawek Fröblowskich. Wszystkie pulpity dają się nastawiać na mniejszą lub większą pochyłość, stosownie do potrzeby przy czytaniu, pisaniu, rysowaniu i t. d.

W jednym z przedpokojów ustawiono szaragi na płaszcze i paleoty, połączone z przyrządem na umieszczanie parasoli, pod którym znajduje się rodzaj koryta cynkowego na wodę z nich ściekać mogąą; przy drugiej ścianie stoi kilka miednic z kurkami, do umywania rąk i twarzy; ponad szaragami zaś przymocowana jest szeroka półka do stawiania koszyków, tornistrów i t. p. rzeczy.

W drugim przedpokoju, służącym za wchód dla drugiej płci, w razie gdy szkoła jest mieszana, postawiono miniaturowe przyrządy gimnastyczne, bardzo praktycznie pomysłane i urozmaicone; część ich w szkole rzeczywistej powinna się znajdować pod dachem, a część na dziedzińcu.

Wyjmuję tu jeszcze z instrukcyi ministerstwa kilka szczegółów uzupełniających, których okazanie na wystawie nie było możebnem.

Każda szkoła dla obojga płci winna mieć dla każdej dziedziniec, a na wsi prócz tego ogród obejmujący przynajmniej 10 arów, przytkający do budowli. Dziedzińce mają mieć powierzchnię po 4 metry kwadr. na ucznia i nie mogą być mniejsze nad 3 ary.

Zabudowania szkolne powinny być jak najstaranniej zabezpieczone od wilgoci; w tym celu ściany od wschodo-południa mają być z wewnątrz pokryte drugą ścianką, grubości na pół cegły, oddalone o 5 cm. od muru i przymocowane do niego żelaznemi antabami.

Sale szkolne powinny być wyłożone podłogą z taffi cementowych, ściany zaś od podłogi do wysokości 1 do 1 $\frac{1}{5}$  m. pokryte być mają lamperyami z drzewa lub cementu. Kolor ścian najlepiej aby był szaro-niebieskawy, a sufit biały.

Wschody nie powinny wychodzić wprost naprzeciw drzwi lub korytarza. Stopnie wschodów mają mieć przynajmniej 30 cm. szerokości, 16 cm. wysokości i 1 $\frac{1}{2}$  m. długości. Poręcz musi być doskonale przymocowana i tak urządzona, aby dzieci ślizgać się po niej nie mogły. Placyki na wschodach mają być co 15 stopni. Korytarze nie mogą być węższe nad 2 metry. W jednej sali nie można mieścić więcej nad 70



uczniów. Dziedzińce obwiedzione będą murem 2 do 2½ m. wysokim i ocienione kilku drzewami; grunt ich będzie ubity i posypany zwirem, na dziedzińcu będzie jedna pompa lub fontanna. Mogą być urządzone szopy, obrócone na południe, dla odbywania w nich ćwiczeń cieleśnych.

Domek szkolny belgijski stał prawie ciągle pustkami. Usiadłszy na ciasnej ławeczce, spisywałem moje notatki i wypoczywałem po nużących wędrówkach wśród nieznośnego upału czerwcowego i lipcowego. Myśl moja leciała daleko za ocean, aż ku ojczystym borom i płaszczynom. Marzyłem i tęskniłem, zdawało mi się że po naszych wsiach i przedmieściach wzniosło się mnóstwo takich domków szkolnych, a w nich roiała się młoda rzesza, nadzieja naszej przyszłości. Po powrocie do domu przekonałem się że to było tylko senne marzenie. Czy takiem na zawsze ma pozostać? To od nas samych zależy. Ale do tego potrzeba nam współdziałania drugiej połowy naszego rodzaju, która pod hasłem wyzwolenia, chce nam nieść braterską pomoc.

Nigdzie z pewnością sprawa emancypacji kobiet, w najlepszym rozumieniu tego słowa, nie rozwija się tak energicznie a zarazem tak spokojnie, jak w Stanach Zjednoczonych. U nas wielka ta idea jest jeszcze i długo będzie w stanie, że tak powiem, lotnym i płynnym: szafujemy na nią dużo „skrzydlatych wyrazów” i przelewamy sporo atramentu, ale nie widać jeszcze jej czynnego urzeczywistnienia. Tam za oceanem, toczy się jeszcze wprawdzie walka z odwiecznymi przesadami, ale już bardzo wiele uczyniono do wprowadzenia w życie jeżeli nie samej emancypacji, to próby jej nie na żarty; a przyznać należy, iż dobre skutki eksperymentów przechodzą najśmielsze oczekiwania.

Na szczęście piękniejszej połowy rodzaju naszego, sprawa równoprawnienia znalazła w Ameryce grunt dobrze przygotowany. Złożyły się na to różne powody. Najprzód społeczeństwo angielskie, z którego się obecnie amerykańskie rozwinęło, od wieków przywykło do przyznawania kobietom wyższego niż gdzieindziej stanowiska i większych swobód jak to i dzisiaj w Anglii widzimy; powtóre, zakładając za morzami liczne osady, wysyłało tam ono głównie mężczyzn: kobieta pomiędzy nimi znajdowała się w ogromnej liczbniej mniejszości i stawała się (proszę wybaczyć wyrażeniu) towarem bardzo poszukiwanym, a co za tym idzie, wysoko cenionym; otoczono więc ją wygodami, względami a obok tego szacunkiem i miłością, i zład to owe zaszczytne i dla nas Europejczyków prawie niezrozumiałe stanowisko, jakie przyszłość wyrobiła dla kobiet amerykańskich.

Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, że sprawa wyzwolenia ich idzie tam jak z płatka. Można powiedzieć że toczy się ona porządnie i pewniej, niż u nas, ale wcale nie gładziej. Amerykanie bowiem w niektórych względach są daleko od nas konserwatywniejszymi. Gdy w rzeczach postępu materialnego niema może ludu bardziej skorego od nich do nowin i prób: to w rzeczach religijnych, politycznych i społecznych nieraz zdumiewają oni Europejczyka swą zachowawczością; w tém

leży ich siła, w tém wyższość względna nad nami. W umyśle ich bowiem panuje tak mocne przeświadczenie o doskonałości form i pojęć, przekazanych przez tradycją dziejową, że potrzebują długiego czasu nie tylko do zwalenia rzeczy wczorajszych, ale do przekonania się o ich wadliwości. I nie dziw, bo sami sobie budując rząd i porządki społeczne, starają się je stworzyć najsumiennie i najlepiej; wyobrażają tedy sobie, i nię bez słuszności, że i przodkowie tak samo myśleli i działali; przychodzą więc do prostego wniosku że to co jest, jest dobrem, że zatem dopóty się nie obali, aż się nie wynajdzie czegoś lepszego. Niéma tam konstytucyi co kilka lat przerabianych; niéma tam mód na pobożność lub bezbożność: ciągnie się kilkowiekowa nię przędzy dziejowej, bez przerwy, bez węzłów, tylko coraz czystsza, coraz mocniejsza, coraz nowemi włóknami zasilana.

Jedném z takich nowych pasm chce być i zapewne zostanie idea wyzwolenia kobiet, które pragną obarzyć siebie nowemi obowiązkami, aby przytém zdobyć nowe prawa.

Jakież mają być te nowe prawa? Czego żądają kobiety? Przecież królują w rodzinie, królują w sercach mężczyzn, królują w towarzystwach; społeczeństwo otacza je szacunkiem, prawie nietykalnością, królowej hiszpańskiej; droga przed niemi wszędzie otwarta: mogą już w Ameryce zajmować i po części zajmują rozmaite posady, dawniej dostępne tylko mężczyznom. Czegóż chcą więc?

Na to pytanie poszukamy odpowiedzi w pięknym pawilonie kobiet, który dumnie się piętrzy o kilkadziesiąt kroków od gmachu wystawy rządowej, rzucając niejako rękawicę dotychczasowym panom kraju, którzy pod maską uwielbienia, znížyli słabszą płęć do roli jeżeli nie niewolnic, to przynajmniej istot podrzędnych. W pawilonie tym zaraz przy wejściu widać biuro zarządu jego, złożone z samych kobiet, wyglądających poważnie, ubranych skromnie i ciągle pracą zajętych. Przy drzwiach biura młoda panienska sprzedaje młode także czasopismo tygodniowe: *The new century for woman*, (Nowy wiek dla kobiety,) założone na wiosnę 1876, organ główny tego pawilonu i w ogóle dążeń emancypacyjnych. Sądząc z pierwszych numerów, których czytanie przyniosło mi prawdziwą rozkosz, pismo to będzie miało świetną przyszłość, bo się odznacza umiarkowaniem i znakomitym doborem artykułów.

Otóż z tego czasopisma dowiemy się, czego żąda „rzeczpospolita babińska” w odpowiedzi na wyżej wyrażone pytania.

Domagają się przedewszystkiém kobiety równouprawnienia z mężczyzną w pracy i zarobku. Dotychczas obyczaj, społeczność i prawa stowarzyszeń męzkich tyle przeszkód stawiają na téj drodze, że kobięta chcąca pracować, albo nie znajduje zajęcia, bo go jęj nie chcą poruczyć, albo pracować musi za opłatę o połowę mniejszą, dla tego tylko że nie jest mężczyzną.

„Robotnik mężczyzna, powiada jedna z współpracowniczek tego czasopisma, ma dwie obrony: głos swój jako wyborca i wartośę swą



jako członek stowarzyszenia (tradeunion), z ostateczną apelacją do siły brutalnej. Robotnica zaś, szczególnie zameźna, staje bezsilna w obec skomplikowanej maszyneryi praw, jakby umyślnie napisanych na jej szkodę. Stowarzyszenia nie przychodzą jej z pomocą, a jeżeli czasem niby pomagają, to jeszcze więcej szkodzą swojemi bezrobociami (strike)."

Gdzieindziej czytamy opis rzeczywistych osobistości, rzucający światło na powyższe twierdzenia. „Znam pewną osobę, powiada autorka, pannę Gracyę Aleksander, która kilka lat kierowała zakładem bankowym w jednym z miasteczek New-Hampshire. Nominalnie stała na czele tego zakładu męczyzna, ale cały ciężar pracy dźwigała ona; on jednak pobierał pensyą, a jej dawał wynagrodzenie zwykłego pisarza. Napisałam do tej dziewczyny, prosząc ją o nieco szczegółów o jej zajęciu. Tak mi odpowiedziała: Wątpię czy zdołam przesłać pani coś zajmującego, opowiadając o mojej robocie. Rozpoczęłam pracę moją w tym banku przed czterema laty i z małemi przerwami wakacyjnymi dotychczas w nim się znajduję. Wypełniam obowiązki buchaltera, rachmistrza, pisarza, a w nieobecności kasyera wykonywam wszystkie czynności zakładu. Pensya moja jest skromna, nie dochodząca ani czwartej części wynagrodzenia kasyera, daleko niższa od tej jakąby płacono mężczyźnie na mojem miejscu: wynosi ona 400 dolarów rocznie, na moim stole. Zdaje mi się że spełniłam moje obowiązki sumiennie, nie gorzej od mężczyzny, któryby to samo miejsce zajmował.”

W ogóle tedy w Ameryce pracę kobiety, chociażby równą co do wartości, pracy męskiej, cenią mniej niż o połowę niżej. Jakże temu zaradzić? Przerobić pojęcia społeczne. Ależ jakim sposobem? Zanim na to odpowiemy, zastanówmy się nad pytaniem, co jest przyczyną, że męczyzna za tę samą robotę jest lepij opłacany?

Przedewszystkiem zastarzały nałóg wiary, że męczyzna lepij robi, jest to zabobon: na obalenie jego trzeba czasu i faktów. Ale ważniejsza przyczyna kryje się nie w przesądzie, ale w przywileju obywatelskim męczyzn. Męczyzna ma głos, wotuje, wybiera prezydenta, sędziów, gubernatora i t. d. Męczyzny potrzebują bogatsi i ambitniejsi nie tylko jako robotnika, ale jako jednostki głosującej; za jego *volum* dają mu posady, przyjmują go na lepsze pensye do banków, fabryk i t. p. zakładów. Kobiety nikt nie potrzebuje, bo niema głosu, jak dawniej murzyn; więc też nikt jej chętnie nie ustępuje posady, bo się za nią na drodze politycznej nie wywdzięczy.

Więc oprócz prawa do równego z męczyznami zarobku, kobiety amerykańskie domagają się głosu politycznego, równego z męzkim, czyli *równouprawnienia obywatelskiego*. Po zdobyciu jego, powiadają one, upadnie przesąd niższego cenienia pracy kobiecej, a dla kraju otworzy się nowa era pomyślności; bo kobieta wniesie do kapitału nieznanne tam lub zbyt mało znane żywioły: *pokój, miłosierdzie, łatwość, łagodność*. Istota której dzieje nie dopuszczają do barbarzyńskiego



zawodu żołnierza, z natury swój przeciwna będzie wojnie; istota, którą przeszłość nauczyła pokory, nauczy mężczyzn być mniej dumnymi, a więcej ustępującymi, skłonny do porozumienia się w niesnaskach, więcej przebaczącymi, wyrozumiałymi; istota, co jak murzyn, długie wieki przebyła w mniej lub więcej dotkliwej zależności, co, jak on, czasami miewała tylko zaszczyt zostawania poufną służebnicą swojego pana, bronić będzie nowo nabytego obywatelstwa czarnych, na równi ze swoim, więc i w tej drażliwej dla Ameryki sprawie wniesie do rządu nowy zapas sił, ochraniających nieustaloną jeszcze emancypację murzynów.

Jednym słowem, kobiety amerykańskie domagają się *równouprawnienia w zarobkowaniu i równouprawnienia politycznego*. Pewna część mężczyzn sprzyja tym dążeniom, ale znaczna większość patrzy na nie okiem nieufnym a nawet nieprzyjawnym.

Powiadają naprzód: religja nie upowaznia kobiet do równości z mężczyznami. Zarzut, jak na Amerykę, pierwszorzędnj wagi, bo to lud głęboko i szczerze religijny. Ale nie zapominajmy: formą religijną tego ludu jest protestantyzm w przeróżnych sektach i odcieniach, a główną zasadą protestantyzmu jest wolność pojmovania zasad religii wedle woli, możności i usposobienia każdej jednostki. Chociaż więc, mówiąc prawdę, ci co w Pismie Świętym żadnej wzmianki o emancypacji kobiet odkryć nie mogą, zupełną mają słuszność, bo to księgi stare i w dodatku księgi wschodnie; ale teologia protestancka jest giętka a Pismo Święte cierpliwe: więc za pomocą koziołków sofistycznych, uwziąwszy się, można w biblii znaleźć co kto zechce; przeto i obrońcy emancypacji całą baterję argumentów religijnych potrafil i niej sobie utworzyć i odpierają jak mogą celne strzały przeciwników.

Inni znowu przemawiają z punktu czysto ziemskiego, stając na gruncie konstytucyi i prawa. Oto np. treść artykułu jednego dziennika filadelfijskiego z czasu mojego pobytu w Ameryce. Konstytucya, powiada autor, zawarowała wolność, równość i obywatelstwo dla każdego mieszkańca Stanów Zjednoczonych; dzisiaj kobiety odwołują się do tych praw i chcą w nich wyczytać przywilej głosowania i dla siebie. Mylą się jednak. Cywilizacya bowiem nasza opiera się na dwóch odrębnych podwalinach: rodzinie i państwie. Rodziną u nas rządzi kobieta, państwem mężczyzna; więc prawa i przywileje równo są podzielone. Jeżeli zatem w którymkolwiek Stanie, mieszkańcy głosować będą za obywatelstwem kobiet, to pogwałcą konstytucyą, bo z kobiety zrobią podwójną panią: w domu i na *forum*, w rodzinie i w państwie, a wówczas równość zniknie.

Takie i tym podobne głosy podnoszą się przeciw równouprawnieniu płci niewieścięj. Nie brak i żartów i gorzkich sarkazmów i ironii. Ale wśród zaciętej walki, kobiety szturmem zdobywają jedną po drugiej warownią: już opanowały najważniejszy wyłom, początkowe wychowanie młodzieży; już coraz więcej ich widać w biurach i nawet na wyższych honorowych urządach; oto np. panią Russel Lowell za mojej bytności, gubernator Nowoyorski Tilden mianował komisarzem za-

kładów dobroczynnych Stanu (State Commissioner of Charities), rzecz niesłychana w dziejach Unii; już nawet w jednym z zachodnich Stanów przyznano kobietom prawo głosowania na równi z mężczyznami. „Dajcie więc pokój, powiada mężczyznom jedna ze współpracowniczek New Century, dajcie pokój przestarzałym frazesom o „koronie rodu ludzkiego;” dajcie pokój przyrównywaniu nas z kwiatkami, różami i t. p. My, kobiety, nie koron i tronów żądamy, nie wzdychamy do pozycji w botanice; ale pragniemy zostać waszemi towarzyszkami, współobywatelkami i dzielić się z wami wzajemną pomocą.”

Niech mi czytelnik wybaczyć raczy, że m go tak długo zatrzymał w przedsiönku gmachu kobiecego; zdawało mi się, że wśród nim opowieśm co się w nim znajdowało, nie zawadzi kilka słów wstępnych, wyjaśniających cel i znaczenie téj „katedry pracy niewieściej,” jak ją szumnie jeden z dzienników amerykańskich nazwał; zdawało mi się, że powinniśmy byli wprzód zbadać grunt moralny, na którym się ona wznosi i doniosłość jój założenia i istnienia. Myśl urządzenia oddzielnej wystawy kobiecej zrodziła się skutkiem odmowy zarządu wystawy udzielenia kątku w głównym pałacu na pomieszczenie robót niewieścich; mężczyźni chcieli aby płeć piękna umieściła swe wyroby razem z ich ekspozytami, ale wielka część kobiet nie przystała na to; zawiązała komitet damski, uzbierano pieniądze i dostawszy około morga gruntu w obrębie wystawy, za 30,000 dolarów pokryto tę przestrzeń piękną budową, złożoną z dwóch naw przecinających się nakrzyż, ozdobionych ponad transeptem wysoką kopułą i tak zwaną latarnią.

Przebieżmy w szerz i wzdłuż ciekawy ten pałacyk i zanotujmy ciekawsze wystawione w nim rzeczy, ani na chwilę nie zapominając, że cokolwiek tu widzimy, jest dziełem kobiety.

Oto nasamprzód kilka warsztatów tkackich, czyli po staremu krośien, ale wydoskonalonych tak, że ręka ludzka rzadko do nich się dotyka, pozostawiając całą pracę parze, kółkom, pasom i wałom. Jeden z takich przyrządów porusza 20 czołenek, tka 16 barwami i dziennie wyrabia 25 jardów dywanu. Czołenko, uderzane z obu stron mechanicznym przyrządem, biega z taką szybkością, że go nie widać, a różnobarwne pasma nastawiają się same jak z rejestru i dość skomplikowany deseñ rośnie w oczach, jakby za dotknięciem róższczyki czarodziejskiej.

W oszklonych szafach i szafkach oglądamy okazy: kwiatów woskowych o żywych barwach i pięknym rysunku, ładnych wyrobów z włosów ludzkich, doskonale wypchanych ptaków, postrzelanych przez samą wystawczynię, jak głosi napis; dalej wcale ozdobne wyszywania paciorkowe, roboty kobiet indyjskich z tak zwanego Indian Territory, czyli prowincyi gdzie się Indianie sami rządzą; potóm różne ładne wyroby z mchów i suchych roślin Florydy, z rybięj łuski, roboty potomków rodzaju żeńskiego Tomasza Jeffersona i to w prostéj linii, jak opiewa reklama i t. p.



Krosna i robótki delikatne, to nie osobliwości że pochodzą z pomysłów i rąk płci słabszej. Ale oto zęby sztuczne i szczęki wyrobu pani *doktor*ki Anny Ramborger, dentystki filadelfijskiej; oto półki księgarskie składane, pomysłu panny Styles, uzbrojone patentem wynalazku; dalej łóżka z praktycznie obmyślanemi zasłonami od komarów; magle, wyżymaczki do bielizny, przyrząd do mycia talerzy i półmisków, jubilerszczyzna wcale piękna, wystawa produktów aptekarskich kobiecego kolegium medycznego w Filadelfii; meble przesłannie rzeźbione, litografie, rysunki kilkunastu szkół żeńskich, akwarele, obrazy olejne, z których kilkanaście odznacza się wcale niepospolitym pomysłem i wykonaniem, wreszcie sporo rzeźb z marmuru i gliny, jak np. wielka grupa wyobrażająca ś. Krzysztofa kłęczącego pod Dzieciątkiem Jezus, pani Freeborne; „Ewa” z białego marmuru, dłuta panny Nevin i t. d. a nawet, jako *curiosum*, para pończoch świeżo zrobionych przez pannę Maryę Champney, rodem z Massachusetts, urodzoną w roku ogłoszenia niepodległości, 1776!

Te ostatnie okazy (ma się rozumieć, oprócz pończoch) naturą swoją wkraczają w zakres pracy męskiej; ilość ich przeważała w pawilonie damskim inne, zwykle przez kobiety wykonywane wyroby; postąpiono tak naumyślnie, gdyż chodziło o pokazanie, że i w tych zawodach które dotychczas uważano za należące wyłącznie do mężczyzn, kobiety mogą nie tylko pracować, ale się odznaczać i czynić wynalazki. Wyznaję, że mnie łatwo było przekonać się, bo oddawna o tém nie wątpiłem; ale czy wpłynęło to na zdania milionów mężczyzn, zwiedzających wystawę, to dopiero przyszłość okaże.

Jak wyżej wspomniałem, bardzo wiele wyrobów kobiecych, było w innych gmachach, pomieszanych z męzkimi, a i tam były rzeczy godne uwagi; pawilon damski przeto nie mógł dać zupełnego wyobrażenia o twórczości i pracowitości niewiast.

Jeżeli kobieta ma w przyszłości pracować na równi z mężczyzną i w tych samych co on specjalnościach, to będzie musiała kilka godzin dziennie spędzać za domem, gdyż mało jest męzkich robót, któreby się w domu robotnika wykonywać dały. Któż się więc będzie opiekował kilkoletnią dźwiatwą, gdy ojciec i matka pójdą zarabiać za domem na jej i swoje utrzymanie?

Szukajmy odpowiedzi na to pytanie w domku kryjącym się wśród wysokich drzew parku, pomiędzy wystawą sztuk i uroczym wąwozem, przedzielającym pałac rolniczy od reszty wystawowego obszaru. Domek ten Amerykanie zwą z niemiecka „Kindergarten;“ stanął on staraniem i nakładem rzeczypospolitej białogłowskiej i jest pod opieką i zawiadywaniem tego samego komitetu kobiecego, któryśmy w damskim pawilonie poznali.

Opowiadają, że gdy od pewnego filadelfijskiego architekta-kobiety zażądano planu na ten pałacyk dziecinny, otrzymano odpowiedź, że ma tyle zajęcia w tej chwili, iż służyć nie może; z faktu tego cieszą się



zwolenniczki emancypacyi, wnoszą bowiem z niego, że pani architektka nie nadarmo się uczyła budownictwa.

Po ostatniej wojnie francuzko-pruskiej mówiono, że zwyciężył ba-kałarz. Jest może w tym paradoksie nieco przesady; ale to rzecz pewna, że elementarne wychowanie i kształcenie dobrze i sumiennie prowadzone, cudów może dokazywać: z niedołęznego, półsennego narodu zdolne jest stworzyć dzielną, myślącą i pracowitą rzeszę. Rzecz również wiadoma, że tak zwane ogródki dzieciinne czyli Fröblowskie oddają już w Europie i Ameryce ogromne usługi podczas pierwszego okresu wychowawczego.

W pawilonie, o którym mowa, widzimy nagromadzenie przedmiotów do uczącej zabawy, albo raczej do bawiącej nauki, głównie wedle systemu niemieckiego promotora ogródków; ale pani Coc, przewodnicząca w pawilonie dzieciennym, osoba inteligentna i od lat kilkunastu kierująca tego rodzaju zakładem w New-Yorku, przerobiła i ulepszyła w znacznym stopniu bawidełka Fröblowskie. Zdawało się jej, jak sądzę, że dzieci każdego narodu a raczej każdego temperamentu i pochodzenia, inaczej traktować należy; mając tedy przekonanie, że dzieci amerykańskie żywszego, bystrzejszego i wcześniej rozwijającego się są usposobienia od niemieckich, zaprowadziła pewne zmiany w przedmiotach nauczająco-bawiących; a nadto, wychodząc z zasady opartej na długoletniem dostrzeganiu, że na wzrok i umysł dziecienny więcej i prędzej działają barwy niż formy, pokryła zabawki żywymi i rozmaitemi, a zawsze zgodnie mieszanymi kolorami. Szanowna ta pani przyrzekła mieć odczyty o swojej metodzie i sprowadzić pewną ilość dzieci ze swego zakładu nowoyorskiego do pawilonu; w czasie, gdym go zwiedzał, nie spełniały się jeszcze te obietnice, zapewne z powodu wakacyi i niezwykłych upałów.

Ktoś powiedział, że ogródek dziecienny wedle zasad Fröbela, jest to księga bez słów, przedmioty zastępują tam wyrazy, dziecię styka się bezpośrednio z naturą, buduje, kopie, sadi rośliny, tka, plecie, strzyże, jednem słowem tworzy na małą skalę własnymi rękami, a dozorczyńni rzadko mu dopomaga radą lub wskazówką. Taki system prowadzi oczywiście do rozwinięcia samodzielności, a pielęgnowanie roślin rozwija w dziecku pierwsze poczucie obowiązku, wić żono, że ma do czynienia z istotą jeszcze słabszą od siebie, więc się uczy opieki nad słabszemi; krzątając się wreszcie cały dzień, nabywa nałogu niezmordowanej pracowitości. Cóż mam zresztą rozpisywać się o korzyściach takich ochronek; wiadome są one i stokroć powtórzone u nas. Ale niestety, i ten kierunek działalności jest jeszcze u nas w stanie lotno-płynnym, w fazie słów i pobożnych życzeń. A czy przyjdzie kiedy do tego, aby każda parafia miejska i wiejska posiadała u nas choć jeden dobry ogródek Fröblowski, dla dzieci wszystkich stanów i wyznań, o tém wątpią nawet

optymiści, znając zblizka nasze plemienne niedołęzstwo, tę najgorszą, ze wszystkich namiętności ludzkich, jak powiada pani Marenholtz-Bülow, szlachetna orędowniczka ogródków dzieciennych.

---

STAROŻYTNOŚĆ WSCHODU,

WEDŁUG NOWO ODKRYTYCH ŹRÓDEŁ.

**Król Assur-bani-pal i biblioteka jego.**

Dans le mouvement de recherches et de découvertes qui ouvre aux regards l'antique Orient et peut se comparer à la conquête de l'antiquité classique par les érudits et les lettres de la Renaissance, les études assyriennes tiennent dès à présent et tendront de jour en jour à prendre davantage un des premiers rangs.

*Fr. Lenormant.*

Nad lewym brzegiem Tygrysu, naprzeciw Mossulu, na piaszczy-  
stěj płaszczyźnie, wdłuż rzeki, a w dość znacznej od siebie odległości,  
wznoszą się dwa wzgórze. Na północnej pochyłości jednego z nich,  
wyżej ku źródłom rzeki leżącego, rozsadowiła się wioska Kojundżyk  
(Małe jagnię); zkąd nazwa przeszła na całą bliższą okolicę. Drugie  
zaś wzgórze w miejscowym języku zwane Nebbi-Janus, a przez poboż-  
nych muzułmanów przewane *Tel el Tubek* (wzgórze przebaczenia),  
ozdabia meczet wśród cmentarza, gdzie wskazują grób proroka Jona-  
sza. Miejscowa zaś tradycya podaje, że to jest miejsce, na którym za-  
trzymał się ów prorok, gdy „powtóre stało się słowo Pańskie do niego,  
mówiąc: idź do Niniwe, a każ przeciwko niemu to, coé rozkazuję,”  
i gdy nakoniec, posłuszny rozkazowi „wołał mówiąc: po czterdziestu  
dni Niniwe będzie wywrócone.” (Jon 3).

Sztuczna formacya wzgórzy, co było łatwo wnosić z otaczającój  
płaszczyzny a poniekąd i z ich kształtów, tudzież przywiązana do je-  
dnego z nich tradycya o Jonaszu, zwróciły na tę miejscowość szcze-  
gólniejszą uwagę uczonych badaczy, gdy rozpoczęte od lat dwudziestu  
kilku archeologiczne poszukiwania w Mezopotamii, do coraz nowych  
odkryć i wypraw naukowych zachęcały. Emil Botta, konsul francuzki



w Mossulu, pierwszy, w 1844 r. rozpoczął rozkopywanie na południowej pochyłości Kojundzkyku; nie natrafiwszy atoli na spodziewane skarby, zniechęcony niepowodzeniem przeniósł swoje poszukiwania bardziej na północ kraju, do miejscowości zwanój Khorsabad i odkopał ruiny świetnego pałacu Sargona, Dur-Sarkin.

Zachęcony raczej świetnymi rezultatami poszukiwań Botty w Khorsabadzie, niż zrażony niepowodzeniem jego w Kojundzkyku, Layard, sławny podróżnik i archeolog angielski, szczęśliwy badacz a słynny z odkrycia, między innymi odkryciami, starożytnych miast Assyrii Kalahu, nieopodal od wioski Nimrud, i El-Assuru (biblijnego Ellasar) w sztucznej wyniosłości Kalah-Sherghat, powrócił do rozpoczętych przez Bottę rozkopów. W tym już razie oczekiwania nie zawiodły go, dokopał się do ruin wspaniałego gmachu; znalezione zaś tam zabytki z Assyryjskich czasów, sowitą były nagrodą za podjętą pracę (1849—1851). W ślady jego następnie podążyli Loftus i Rassam; ci, posunąwszy się wyżej ku środkowi wzgórza, odkopali nowy pałac, zdobyli nowe zabytki. Nakoniec w rozpoczętych poszukiwaniach w południowym wzgórzu, jakkolwiek trudno było uzyskać na to pozwolenie od rządu tureckiego, tradycje albowiem i meczet uświęcały to miejsce w oczach prawowiernych, odkopano trzecie z kolei ruiny.

Uczeni ci badacze ogłosili drukiem dokładne opisy zbadanych przez siebie miejscowości, oraz rezultaty swych poszukiwań w wyczerpujących rzecz sprawozdaniach z odbytych wypraw. Z odgrzebanych zaś ruin wszystko to, co tylko dało się oderwać od miejsca, co tylko zwróciło na siebie uwagę badacza lub go zaciekało, niezważając wcale na ciężar i objętość przedmiotów, np. monolitów, w postaci lwów skrzydlatych, wołów z ludzkimi głowami, lub marmurowych płyt z płaskorzeźbami i napisami: wszystko to przewieziono do Europy i w Brytańskim pomieszczono Muzeum.

Wzbudzone zainteresowanie się ogółu uczonych a poniekąd i rządów europejskich państw odkryciami Layarda, Loftusa, Rassama, wywołały wyprawy Opperta, H. Rawlinsona, V. Place'a, również bogate w naukowe rezultaty i archeologiczne zdobycze i również w naukowych ogłoszonych sprawozdaniach. Z kolei i innych stolic europejskich muzea wzbogacały swoje zbiory oryginałami zabytków z tych odległych czasów.

Dostarczone we wzmiankowanych wyprawach archeologiczne skarby dadzą się rozklasyfikować na dwa główne działy: na *zabytki przemysłu i sztuki*, przedewszystkiem zresztą zastosowanój do potrzeb życia i na *zabytki piśmiennictwa*. Pierwszy dział stanowią: broń, ozdoby służące do ubrania, sprzęty domowe i rozmaite pod względem materiału i doskonałości wyrobu narzędzia; przytém ornamentacyjne architektoniczne, płaskorzeźby, posągi, pieczęcie i t. d. Do drugiego należy wszystko to, gdzie weszło słowo ludzkie przechowane w znakach pisma.

Długo te znaki były tylko zagadką dumnie wyzywającą geniusz i naukowe zasoby wieku. Zwano zaś je *klinowem* v. *ówiekowem* pi-



smem dla kształtu krósek stanowiących te znaki. Atoli, skoro tylko kilku uczonych, na czele których wymienić należy De Saulcy, następnie wzmiankowanych już: Opperta, H. Rawlinsona, Hincks'a, Fox Talbota, pokonali wytrwałością w pracy a zamiłowaniem nauki nieprzewyżnione napozór przeszkody, i zdobyli klucz do tego pisma, przytém zaś, wszelkie powątpiewania w rzeczywistość odkrycia niezbitemi odparli dowodami, nastąpiła chwila uporządkowania i odcyfrowywania zabytków piśmiennictwa.

Z kolei i tu wypadło odróżniać dwa główne rodzaje. Do jednego zaliczyć należy przedewszystkiem wszelkie *pamiętkowe napisy*. Napisy te, z charakteru swego będąc okolicznościowemi, są rozmiarami zastosowane do miejsc, na których miały być pomieszczone; bywają przeto rozmaitej długości, i każdy przedstawia w sobie pewną całość. Znajdowano je wszędzie, na ścianach gmachu, pamiętkowych słupach zakopywanych bądź w fundamentach świątyń i pałaców, bądź na granicach państwa i tam, gdzie tylko dosięgł miecz zwyciężkich królów; znajdowano je na lwach i wołach kamiennych, na obeliskach i posągach, ozdobach i pieczęciach. Do tego rodzaju dadzą się również zaliczyć szczegółowe opowiadania monarchów o wojennych swych wyprawach i znaczniejszych z czasów swego panowania wypadkach, zwykle pomieszczane na walcach lub też graniastosłupach (6, 8 i 10-cio bocznych). Drugi zaś rodzaj stanowią urywki rozmaitej treści, jakby kartki z rozrzuconej a podartej książki. Kartkami temi były czworoboczne, płaskie z wypalanej gliny tablice, przeto kształtem i materiałem, do naszych podobne cegieł. Odgrzebywano je zebrane razem w wielkiej ilości i, najczęściej, w bardzo uszkodzonym stanie, na kilka i kilkanaście potrzaskane ułamek. Na tych tablicach, po obu zwykle ich stronach, w kilku równych kolumnach, dość ściśle i drobne wyciśnięte są ówiewkowe zgłoski, i przytém każda taka cegielka oznaczona jest pewnym numerem, oraz nosiła nadpis, wskazujący tytuł dzieła, którego jakby stronicę stanowiła, a częstokroć wzmiankę o właścicielu, pochodzeniu, oraz o wyłącznym celu i użytku, dla którego sporządzona była. Tytuł dzieła stanowiło powtórzenie kilku wyrazów rozpoczynających tekst (ślady nadawania w ten sposób tytułów spotykamy w literaturze hebrajskiej).

Odcyfrowanie i przetłumaczenie pamiętkowych napisów oraz graniastosłupów historycznych, znalezionych w tej miejscowości, dwa nader ważne odkryły historyczne fakta. Stało się albowiem rzeczą dowiedzioną, że, po pierwsze, nieomyłono się co do znaczenia miejscowości samój. Kojundżyk i Nebbi Junus pokrywają zburzone gmachy starożytniej Niniwy; po drugie zaś, że odgrzebane pałace zostały wzniesione przez królów Assyryjskich należących do ostatniej dynastyi Sarkina, założyciela gmachu w Khorsabadzie. Syn Sarkina, Sin-akherib zbudował główną swą rezydencyą w miejscowości obecnie zwanój Kojundżyk, a którą odkopał Layard, na południowej pochyłości wzgórza, jak również i ów pałac w Nebbi-Junus. Wnuk Sarkina Assur-

akhi-idin założył gmach mieszczący się po środku wzgórza, a przez Loftusa i Rassama odgrzebany. Wszystkie zaś te gmachy rozszerzył, wykończył i naleźycie przyozdobił Assur-bani-pal, prawnuk Sarkina.

Bliższe, szczegółowsze zbadanie tabliczek i walców (graniastospów) wykazało, że zbiory ich stanowiły biblioteki i achiwa królów asyryjskich, najczęściej założycieli pałaców. Przeważnie najznacniejsza ilość tych cegiełek i walców (przeszło 10,000) pochodzi z czasów króla Assur-bani-pala, jak o tém świadczy następny, bardzo często spotykany napis: „Pałac Assur-bani-pala, króla narodów, króla Assyrii, któremu bóg Nebo i bogini Tasmit dały pilnie słuchające uszy. Szukał on pilnemi oczyma mądrości, w zapisanych tablicach, gdzie żaden król, z tych którzy byli przed nim, nie szukał byk; mądrości Nebo, boga napisów, mistrza mojego, mojej rozkoszy. Pisałem ja na tablicach, uczyłem się z nich, rozważałem je i dla nauki mojego narodu zebrałem je w moim pałacu <sup>1)</sup>.” Znajdowano również napisy bibliotekarzy królewskich, jak następny: „Istar-Sum-Kamis, naczelnik bibliotekarzy Assur-bani-pala, króla narodów, króla Assyrii, syn Naba-zir-azira, wielkiego astrologa <sup>2)</sup>.”

Niesama atoli chęć dogodzenia wyłącznie swojej próżności, fantazyja właściwa władcom miliona rąk i miliona kieszeni wznosiły owe gmachy; poważniejsze kierowały temi królami cele: budowali pałace, ozdabiali je rzeźbami, pokrywali napisami, zbierali w nich archiwa i biblioteki, by w ten sposób przechować potomności swoje imiona, dzieje swego panowania. Oto jakimi słowy, powtarzając zresztą zwykle przez wszystkich monarchów używaną przy końcu napisów formułę, zwraca się król Assur-bani-pal i przemawia „do tego, który z biegiem czasu, z królewskich potomków będzie, powołany przez Assura i Istar do rządzenia tą ziemią: kiedy ten pałac ze starości rozpadnie się w zwaliska, niech go odbuduje, oczyści płaskorzeźby, odnowi napisy, które głoszą imię moje, imię mojego ojca i imię ojca mojego ojca; niech złoży ofiary, odprawi obrzęd poświęcenia a swoje imię pomieści obok naszego, wówczas wielkie, wyliczane w tych napisach bóstwa utrwala potęgę jego, zapewnią mu chwałę. Lecz jeśliby zniszczył te napisy, lub nie pomieścił na właściwem im miejscu: Assur, Sin, Samas, Bin, Bel, Nabu, Istar z Niniwy, boska królowa, Istar z Arba-ilu, Adar, Nirgal i Nusku zeszlą nań karę odpowiednią chwale imienia mojego <sup>3)</sup>.”

Mieli wszelako co przekazywać pamięci następnych pokoleń zapobiegliwi Sargonidowie. Stanowisko ówczesne Assyrii dostarczało świetnej treści do opowiadań o zwycięztwie, do opisów wypraw. W obrębie granic państwa Assyryjskiego podległy władzy ich monarchów spoczywał cały ówczesny historyczny Wschód. Assyrya, pokonawszy w wiekowych zapasach dwa współubiegające się z nią o pierwszeń-

<sup>1)</sup> Smith, The Chaldean Account of Genesis. 64 str.

<sup>2)</sup> Lenormant, Les Premières Civilisations, t. II, str. 156.

<sup>3)</sup> Annales des Rois d' Assyrie, fr. par Ménant str. 276.



stwo państwa, starożytną Chaldeę i jeszcze starożytniejszy Egipt, stała na czele Semickich narodów, Semickiego świata. Świat zaś Semicki jedynie tylko przedstawiał życie dziejowe owoczesnej ludzkości w obrębie znanego wówczas Wschodu.

Różne, albowiem pismo i rzeźba, pałac i obelisk, a przytém umiejętnie i dowodzące zapobiegliwości były sposoby przechowania w pamięci przyszłych pokoleń świetnych tych dziejów; trwały, albowiem kamień i wypalona glina, był to materyał, na którym królowie opisywali swe czyny a księgi swoje wieszczce i mędrcy pisali. Atoli stało się to, czego przewidzieć nie zdołali, czemu zapobiedz nie było w ich mocy. Przeznaczenie dziejowe nie dozwoliło długo wznosić się wspinałym owym gmachom, istnieć miastom. Zburzenie pałaców królewskich w skutek wojen i upadku państwa, było zarazem podarciem i rozrzuceniem księgi dziejów politycznych narodu. Zawalone zaś biblioteki zwaliskami ścian a wzniesione na nich góry z piasku nawianego wiatrem, z warstw ziemi naniesionych wodą, przed najbliższem pokoleniem skryły już owoce wiekowej pracy ducha i umysłu: znikł przeto ślad istnienia i panujących i społeczeństwa całego.

Postacie dziejowe Sargonidów, zarówno jak i ich poprzedników, jedne zapadły w noc niepamięci, drugie zaś przechowały się wyłącznie w podaniach ludowych, krążących zarówno wśród zwyciężonych, jako téż i zwycięzców. Podania owe dostarczały pokarmu dla fantazyi ludowej, a przechodząc przez wszystkie stopnie jéj twórczości, z biegiem czasu, straciwszy nawet jedyny łącznik z historyczną rzeczywistością w nazwiskach, wkroczyły w sferę poetycznych wymysłów, poczęści utonęły w mytach religijnych, poczęści zaś weszły do narodowej epopei i w taki sposób zlały się z istic mitycznemi podaniami przedhistorycznej epoki.

Z podań przeto a podań takowej natury, jako jedynie prawie, z wielu przyczyn, dostępnego sobie źródła, czerpali swe wiadomości o Semickim Wschodzie historycy greccy, gdy w parę wieków po upadku Assyryi i Babilonu, to jest, w czasie, kiedy już na widownię dziejów wystąpiły narody innego plemienia, właściwy grekom geniusz wytwarzać począł z luźnych wiadomości i baśni logografów poważną naukę dziejów. Czerpiąc atoli z takiego źródła, a czerpiąc przy zupełnym braku krytyki historycznej, co było zresztą właściwém początkom nauki, pod nazwą dziejów, pojedynczych narodów podali współczesnym i przekazali potomnym tylko zbiór legend. Stanowisko zaś wybitne uczonych i pisarzy greckich, podziw który nauka grecka wzbudzała we wszystkich późniejszych wiekach i wiara w nią, przy niemożebności sprawdzenia podawanych faktów wprowadziły owe bajeczne legendy do historyi powszechnéj. Na spotykanych tam dziwacznych imionach i mylnych datach ćwiczone pamięć uczących się; z baśni tych czerpali przykłady do wpajania zasad ogólnej moralności; opierając się na nich uczono prawd dziejowych a poniekąd i filozofii dziejów; one to, na koniec dostarczały wątku i bohaterów do historycznych tragedyi.



Wszelako, jak widzieliśmy, nie zawiedli się zupełnie owi dumni a bohaterscy władcy w swój pewności, że przemawiają do późnych pokoleń; nie zawiedli się w swych oczekiwaniach i nadziei, że żyć będą w odległych wiekach. Ponieważ odkopane pałace tych królów, „księgi ich dziejów“ zwróciły, co przez tak długi szereg wieków zagrzebane pod ziemią skrywały; a nadto pismo klinowe zostało odczytane, język assyryjski w wielu pracach lingwistycznych udostępniony i rozpowszechniony <sup>1)</sup>; przeto ich postacie dawno zamarłe, z mgły legendowych dziejów rozpowite, jak żywe stają przed oczyma badaczy. Do nich, jak niegdyś do współczesnych sobie swemi słowami przemawiają; im, jak niegdyś tamtym, swe dzieje opowiadają, a to w licznych wydaniach oryginału tekstów <sup>2)</sup> i tłumaczeniach na nowożytny języki <sup>3)</sup>.

Myśl, że przy obecnie zdobytych warunkach stało się dopiero możebnym przedstawić historią semickiego Wschodu, nęci wytrwałych pracowników i przewodniczy im. Liczne przeto spotykamy próby bądź odtworzenia dziejów w całości <sup>4)</sup>, bądź powołania przed sąd nasz pojedynczej jakiej a wybitniejszej osobistości <sup>5)</sup>.

Jeżeli napisy pamiątkowe, tekst przechowany na walcach (grania-stosłupach) pozwalają odtworzyć postacie królów assyryjskich i dzieje polityczne tego narodu, cegiełki, owe „karty rozrzuconej księgi“ kuszą by podnieść zasłonę z życia umysłowego, przypatrzeć się rozwojowi jego, zbadać religijne i kosmogoniczne pojęcia tego starożytnego społeczeństwa. Nie zabrakło przeto kilku prób i prac i na tém polu. Jedne usiłują wyjaśnić pewną jaką stronę duchowego życia, lub rozwiązać choć jedną z licznych zagadek dostarczanych nam przez owe odle-

<sup>1)</sup> Norris: *Assyrian Dictionary*, London, 1869—72 I—III V. J. Ménant; *Exposé des éléments de la Grammaire Assyrienne* Paris. 1868 I v. Tegoż: *Syllabaire assyrien*, Paris 2 v. 1870. Tegoż *Leçons d'epigraphie Assyrienne*, Paris, 1868 1 v. Oppert: *Grammaire Assyrienne*, 2 v. Paris 1867. Sayce: *Assyrian Grammar*, Lond. 1872.

<sup>2)</sup> Botta, *Inscriptions de Khorsabad*, Paris 1848. Layard, *Inscriptions in the cuneiform character from Assyrian Monuments*, Lond. 1851. Rawlinson, Norris, Smith: *Selection from the historical inscriptions of Chaldaea, Assyria und Babilonia*. London, 4 v. 1811—1874.

<sup>3)</sup> Menant: *Annales des Rois d'Assyrie*. Paris 1874. Babilone et la Chaldée. Paris, 1875. Również liczne prace Opperta, Smitha, Lenormanta i w. i.

<sup>4)</sup> G. Rawlinson: *The Five Great Monarchies* 2 ed. 3. v. Lond. 1871. Oppert: *Histoire des Empires de Chaldée et d'Assyrie d'après les Monuments*, 1865. Lenormant: *Manuel d'histoire Ancienne*, 6 e. 3 v. Paris 1869. Maspero: *Histoire Ancienne des peuples de l'Orient*, 1875.

<sup>5)</sup> Smith: *History of Assur-bani-pal*. Lond. 1871. Lenormant: *Un patriote Babylonien du VIII s.*

głe czasy <sup>1)</sup>; drugie zdobytymi tu wiadomościami starają się objaśnić zagadkowe wypadki i niepojęte strony życia z dziejów innych narodów <sup>2)</sup>.

Cegiełki te, jak widzieliśmy, pochodzą prawie wszystkie z biblioteki króla Assur-bani-pala. Król zaś ten, najwybitniejsza osobistość wśród królów assyryjskich, panujący w czasie najwyższego rozwoju potęgi narodu assyryjskiego, typ iście dodatni pierwotnych, bohaterkich władców Wschodu, łączący dzikie okrucieństwo ze wspaniałością, odwagę z przebiegłością, zamiłowanie rozkoszy z pociąganiem do trudów i zapasów, stał się legendarną postacią, uosobieniem w wyobraźni ludów jednej tylko, i to ujemnej, strony królewskości: niedołęztwa i zniechęciałości; z mytów i legend, pod nazwą Sardanapala przeszedł wraz z innymi mitycznymi postaciami do historyków greckich, przez nich zaś trafił do dramatów i podręczników historii powszechniej, przed kilkunastu jeszcze laty pisanych.

Bliższe przeto szczegóły o piśmie i języku, o pochodzeniu i treści tych zabytków piśmiennictwa, mogą dostarczyć kilku rysów do obrazu owoczesnej wiedzy. Odtworzenie zaś poprzednio postaci jej założyciela według dwojakich źródeł: współczesnych assyryjskich i późniejszych greckich, służąc za tło i wstęp do tego obrazu, przedstawi choć w części rezultaty badań współczesnych nad historią Assyrii. Podane próbki dwojakich źródeł historycznych wymownie zaświadczą o ważności tak świeżych jeszcze odkryć na tém polu, oraz o zasługach uczonych pracowników tej gałęzi wiedzy ludzkiej. Oni to albowiem wytrwała swą pracą, pochłaniającą czas ich i żywot, wskrzeszając dla współczesnej historycznej nauki plemiona i narody, życie których ubiegłe przed dziesiątkami wieków utonęło w dziejowej pomroce. Fantazja późniejszych pokoleń i ludów odziewając pamięć tych narodów w legendowe szaty, zartarła wybitne a właściwe im rysy charakteru dziejowego; bohaterów przekształciła w typy mityczne, a cały przebieg ich historycznego żywota zawarła w kilkunastu baśniach. A wszakże dzieje tych narodów, to pierwsza doba historycznego życia ludzkości; wszakże naukowe zdobycze i prawdy moralne, osiągnięte kilkunastowiekową pracą ich ducha, weszły do ogólnego zasobu prawd i skarbcza wiedzy ludzkiej.

<sup>1)</sup> Lenormant: *La Magie chez les Chaldéens*, 1874. Tegoż, *La divination et la Science de Présages chez les Chaldéens* 1875. Tegoż, *La légende de Semiramis*, (Mem. de l'Acad. de Belgique, 1873). Tegoż, *Le déluge et l'épopée babylonienne*; *Un Veda Chaldéen* (Les Premier. Civil. 1874). Smith, *The Chaldéen account of Genesis*, Lon. 1876.

<sup>2)</sup> Schrader: *Die Keilenschriften und das Alte Testament*. Gies-sen 1872.

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Romantyczne epeje tureckie: *Khosra i Schirim: Jusuf i Zulejka: Medznoun i Le-ila*. Poemat allegoryczny: *Róża i Słowik*. *Epopea zwierząt*. poemata mistyczne. Anakreontyki. Kobięta turecka. Poetki. Wacław Rzewuski założyciel Towarzystwa orientalistów w Wiedniu. *Dykcjonarz powszechny literatury*, przez Vapperau. *Akademie*, prace literackie waryatów. *Meluzyna*: Taniec obrzędowy w Echternach. *Montcalm i Kanada* przez p. Bounchosc, *Historia Węgrów* przez p. Sayons. *Przegląd geograficzny*, nowo opracowanie pod redakcją p. Drapeyron. Towarzystwo międzynarodowe w celu ucywilizowania Afryki pod prezydencją króla Belgów. Projekt kapitana Rondaire: Morze na piaskach afrykańskich. Podróż naukowa w 320 dniach około świata. *Daniel Deronda* przez Georges Elliot. Zmarły akademik Jozef Autran. *Nowe legendy wieku* Wiktora Hugo. Podróżnik Compiègne.

W zeszłej kronice mówiliśmy o poezji tureckiej: przedmiot tak bogaty, że wyczerpać go odrazu było niepodobieństwem; zostawiliśmy też zakończenie do dzisiejszej korespondencji. Po epokach bohaterskich, rzucimy okiem na epeje romantyczne z XV-go i XVI-go wieku. Poeci tureccy nie silili się w nich na oryginalne pomysły, brali przedmioty nieraz już podjęte przez poetów perskich i arabskich, przerabiali je po swojemu. Takie naśladownictwo było wtedy rzeczą zwyczajną, zarówno w Azji jak i w Europie. Najwięksi poeci włoscy: Dante, Petrarca, Aryost, śmiało stąpali po śladach poprzedników; krytycy tegoż czasu, mianowicie Ozanam, dali nam poznać rodowód *Boskiej komedyi*; dzięki ich badaniom znamy już cały szereg mistycznych poetów średniowiecznych, którzy od świętego Patryka i świętego Franciszka z Assyżu do świętego Bonawentury, torowali Dantemu drogę w głąb otchłani piekielnych i na wyżyny promienistego Raju. Wiadomo niemięniej, że Roland sławny paladyn Karola Wielkiego, żył już tak w pieśniach truverów francuzkich, jak w poematach Włochów Pulci i Bojardo, zaczem Aryost wziął go za przedmiot swęj nieśmiertelnej epeje. Co do Petrarki, dzisiejsi krytycy wydobyli z prochu niepamięci, cały zbiór kassyd arabskich, pod których wpływem poeta kreślił cudne sonety do Laury. I nikt mistrzów tych nie oskarżał o plagiat; snąc przed trzema wiekami, inaczej niż dziś pojmowano oryginalność. Dostyc było wycisnąć na danym przedmiocie, piętno osobistości własnej, aby się stać samodzielnym poetą. W tenże sam sposób Calderon przerabiał po swojemu dramata Lope de Vegi: w tenże sposób Kornel wziął żywcem swego Cyda, z tragedyi Guillena de Castro.



Poeci perscy i arabscy byli na Wschodzie pierwszymi twórcami epopei romantycznych: w nich to czerpali Ottomanie. Scheithi, przyboczny lekarz Muhameda I, wślad za perskim poetą Nizami opiewał miłość króla Khosron i pięknej Schirim. Ta epopea z pięćdziesięciu innych, największą zyskała u Turków popularność. Oto główny jej wątek.

Królewicz perski Khosron pojął w małżeństwo chrześciankę Sireg czyli Schirim, którą szalenie ukochał. Prawo Zoroastra zabraniało podobnych związków, nie tolerowały ich téż obyczaje miejscowe. Owa Schirim była niewolnicą, jednego z panów perskich: Khosron poślubił ją nim jeszcze na tron wstąpił, dał jej w upominku złoty pierścień. Uwiadomiony o tém pan, rozkazał wtrącić niewolnicę w głąb Eufratu. Sługa który miał spełnić wyrok, prześlągany łzami nieszczęśliwej, zachwycony cudną jej pięknoscia, popchnął ją lekko na brzeg rzeki, i zostawił nie zanurzoną w wodzie. Schirim uciekła: przez kilka lat ukrywała się pod dachem starego pustelnika. Dnia jednego gdy żołnierze przechodzili koło pustelni, dała jednemu z nich pierścień, polecając aby złożył go w ręce królewiczowi. Khosron zasiadł już wtedy na tronie jako król królów; nazwano go *Pawir*, gdyż porwał umysły, serca wszystkich, co się przybliżyli do niego. Uszczęśliwiony król nagroził posłańca po królewsku, wysłał liczny orszak po ukochaną Schirim.

Lat kilka zaledwie trwało szczęście małżonków. Chrześcianie ocknęli się z uspienia, kiedy Khosron zdobył Jerozolimę: cesarz Herakliusz z wielką siłą wkroczył do Persyi. Pokonany król perski zmuszony był szukać schronienia w Sucyanie, z piękną Schirim, z małym jej synkiem Merdan Szah i starszymi synami innych związków. Na domiar tych klęsk, nowo powstały islamizm wystąpił do uporczywej walki przeciw czcicielom ognia. Abdalla w imię proroka nalegał na króla o wyrzeczenie się wiary ojców. Król perski zgębiony nieszczęściem i chorobą, postanowił złożyć berko i małego Merdan Szaha posadzić na swym tronie. Wówczasto starszy syn jego Siroe podniósł chorągwie buntu. Lud poszedł za nim zniechęcony szalonemi zbytkami króla. Legenda opisuje pałac, oparty na czterdziestu tysiącach srebrnych kolumn, z tysiącem złotych globów, przedstawiających niebieski firmament. Małżeństwo króla z chrześcianką, wstrętne téż było Persom. Powstańcy zwyciężyli. Spadła pod mieczem głowa Khosron; stronnicy królewscy skończyli życie w mękach. Na rozkaz młodego króla, Schirima stanęła przed tronem: z taką godnością i odwagą odpowiedziała na czynione jej zarzuty, iż rozbroiła najzaciętszych wrogów. Piękność jej zachwyciła oczy wszystkich, nawet młodego króla, który ofiarował jej rękę wraz z tronem. Królowa nic nie odrzekła na to: błagała tylko aby jej pozwolono wnijsć na chwilę do grobu męża. Tam zażyła truciznę; przy trumnie Khosron, znaleziono martwe jej ciało.

Inna epopea, bardzo téż popularna, opiewa miłość Józefa i Zulejki. Poeci ottomańscy wzięli do niej wątek z perskiego poety Hafiza. Bo-

hatérem epopei jest Józef syn Jakóba, ma na ramieniu gwiazdę, znamionującą dar proroczy; bohaterką małżonka Putyfara, według pieśni córka króla Egiptu. Miłość podniesiona do idealnych wyżyn przypomina „Pieśń nad pieśniami.”

Równém mistrzoswstwem nacechowana epopea o Medznoun i Leili. W pojęciu ludów wschodnich, Leila uosabia ideę religijną. Medznoun, po arabsku szaleniec, oznacza człowieka, nad którym panuje obcy duch bądź dobry, bądź szkodliwy. „Ktokolwiek puszcza się niebezpieczną i stromą drogą, prowadzącą do domu Leili, mówi Djami perski poeta, musi naprzód zostać szaleńcem. Medznoun w pogoni za ideałem zapomina o sobie jak Roland szalony Aryosta. Włosy jego, nie tknięte żelazem, w tak bujne wyrosły kędziory, że słowiki uścięły w nich gniazdzka jakby w lesie. Młode ptaszęta wylęte w tych gniazdach, tak były rozkoszne, że gdy wlatowały nad głową ludzką, tchnęły w nią iskrę własnego żaru; to téż imiona Medznoun i Leila równie popularne na Wschodzie, jak w krajach zachodnich imiona Petrarca i Laury. Wielu poetów opiewało ich idealną miłość: między nimi błyszczą poetka Ani-azim.

Osobny charakter w poezji wschodniej, mają poezye alegoryczne. Widzimy w nich wielkie zbliżenie do sławnych dwóch poematów francuzkich z XIII i XIV wieku, pod tytułem *Romans de la Rose*, utworu Lorrina i Jana Meunk. Krytyka nie wyrzekła dotąd stanowczo, żąd powiał pierwszy prąd alegoryzmu: sama jednakże nazwa jego daje do myślenia że się zrodził pod wschodniem niebem. Po upadku cywilizacji greko-łacińskiej, Arabowie jak wiadomo, stali na czele ucywilizowanego świata. Cóżby dziwnego było, gdyby krzyżowcy przynieśli do Europy poezję alegoryczną, tak samo jak przynieśli styl architektury maurytańskiej. Wiadomo zresztą, jak silnie wpływ hiszpańskich Arabów oddziaływał w średnich wiekach na poezye wszystkich ludów Europy. Jeżeli zaś rodzaj alegoryczny przetrwał na Wschodzie dłużej niż w zachodnich krajach, dowodzi to według nas, że harmonizował z duchem tamtejszych ludów, gdy tymczasem w Europie był tylko przesadzoną płonką, pozbawioną warunków żywotności.

Sławny turecki poemat *Fastlego: Róża i Słowik*, powstał w XVI wieku. Poeta rozpoczyna go pochwałą Allaha i proroka,; spowiada się potem z własnych win, błaga o miłosierdzie. Zawiedziony w pragnieniach, odarty z wszelkich utrud życia, czuje w sercu smutek i gorycz. Wystawia potem wdzięki *Róży*, na cześć której epopea poświęcona. Róża, to symbol piękności; czułe serce musi uleść jój wdziękowi. Wiosna jój pania; wszystkie kwiaty uznały w niej królowę: poranek przynosi jój zwierciadło z czystej rosy. Dunna róża przygląda się sobie z upodobaniem.

Posłyszał słowik o róży, tęskną piosenką, żali się w głębi lasu; pragnie ją poznać; wielokrotnie wybiega w świat z ciemnych zarośli. Pyta rzeki, jak się zowie miasto kędy przebywa róża. Widok jój doprowadza go do szału. Wzywa litości; zasyła pieśń błagalną do lasu,



do wiatru, do słońca, do księżyca, do Allaha samego: błaga miłych Boga patryarchów i świętych: Adama, Noego, Jezusa i Maryją: zaklina by wpływem swoim skłonili ku niemu serce pięknej.

Zakochany słowik znajduje nieprześląganego wroga w Narcyzie. Ten oskarża go przed Kolcem; złośliwy kolec powtarza skargę róży. Rozgniewana królowa błaga wiosnę by zamknęła słowika do ciemnicy.

Powstaje wojna. Róża przerażona widokiem krwi i trupów, zapytuje sama siebie co się stało z biednym słowikiem. Wyprawia ku niemu zefira. Na wieść, jak cierpi nieszczęśliwy, postanawia odwiedzić go w więzieniu. Słowik uradowany jęć widokiem, o mało nie skonał od szczęścia. Róża nagradza wierność, poślubia go nakoniec. Cała przyroda bierze udział w wesołych godach. Kwiaty wystawiają królowę. Cyprys pokrywa ziemię kobiercem zieleni, Tulipan niesie wino, prześlągany Narcyz podaje czaszę, Lilja staje na straży ze swym mieczem. Ale nazajutrz po ślubie, róża traci hoży rumieniec, listki jęć wędną, pochyla się i kona.

Oprócz uczuciowych alegoryi, widzimy tu niemniej alegorye satyryczne, w których odgrywają rolę zwierzęta. Prototypem tego rodzaju poematów, była jak wiadomo *Pantcha-Tantra* sanskrycka. Z tego źródła zaczerpnęła Europa średniowieczny poemat o Lisie (*Reinecke-Fuhs*); z tegoż samego źródła wzięli Persowie a za nimi Turcy, sławną *epopeę zwierząt*. Turecki poeta Ali-Vasi skreślił *epopeę* poetyczną prozą, przeplataną chórami na wzór tragedyi greckich. Obraz pokazuje społeczeństwo rzucone na łup przemocy i podstęp. W postaci lwa, przedstawiony pyszny, chciwy, okrutny sułtan; w postaci lisa chytry wezyr: ten oszukuje bezczelnie pana a wysysa szpik z kości ludzi. Najsmutniejszą rolę odgrywa tu ów biedny osioł a raczej lud okładany wciąż batogami! pociesza go tylko filozoficzna myśl, że nikt nie ujdzie wyroków, z góry mu przeznaczonych, trzeba więc poddać grzbiet bez sarkania! Lis tryumfuje nakoniec: jedwabnemi słowy omotał lwa, prowadząc go na włosku. „Chwała padyszachowi!” wykrzykuje szydyczko.

W obszernej i wielce nauczającej rozprawie, Dora d'Istria przebiega wszystkie działy poezyi tureckiej. Długo zatrzymuje się nad poezją religijną. Najznakomitszym utworem na tém polu, jest poemat mistyczny Aaschika, poety XIV-go wieku, złożony z 24000 wierszy, ceniony wysoko przez muzułmanów. Jestto jakoby summa teologiczna islamu. Bóg przedstawiony tu jako padyszach, rządzący wszechwładnie światem z najwyższego szczytu niebios. Tron jego wsparty na 800,000 kolumnach, z drogocennych marmurów. Do tego tronu prowadzi 300,000 stopni, odzielonych od siebie znaczną przestrzenią, kędy stoją na straży myryady aniołów. Potrzeba 300,000 lat aby przebyć całą tę przestrzeń. Z wysokości tronu Allah patrzy na ukorzonych swych czcicieli, patrzy jak pan na niewolników, w których widzi ślepe narzędzie woli swojej!

Wszyscy poeci muzułmańscy opiewają nieprześląganą moc przeznaczenia. „Kiedy potężny Allah, mówi Nui, wymierzy strażkę wyroku



swego, żadna tarcza nie zdoła jęj odwrócić. Iluż ta strzała powaliła bohaterów, iluż mędrcom wytrąciła z rąk oręż roztropności!" „Gdy posłyszysz, mówi inny, że góra przeniosła się z jednego miejsca na drugie, możesz temu uwierzyć; ale skoro powiedzą ci, że człowiek przemienił skłonność własną, nie wierz temu: on przywdzieje znów dumną skórę!" Pieśni mistycznych poetów tureckich posunięte niekiedy do mrzonek budystańskiej Nirwany. Świat dla nich, to znikomy cień „waży tyle co skrzydło komara." „Wszystko co istnieje na świecie, mówi poeta Furoli, sprawia tylko czezy hałas i odmět! Uściel gniazdo w królestwie miłości, tam znajdziesz upragniony spokój! Budować na ruchomym piasku, to istne szaleństwo! chceszli poznać przewroty rzeczy ziemskich, zobacz co pozostało ze zwycięztw Aleksandra? baśń tylko powtarzana g'woli zabawie tłumów! Co pozostało z pysznego tronu Salomona? Spytaj o to wichrów i burzy!"

Najascetyczniejszy z mistyków Mirri, poeta wieku XVII podniósł się nad Nirwanę, do tych szczytów myśli ludzkiej, zkąd mu błysło światło Chrześcianizmu. Nie on jeden z pomiędzy Turków, stanął na tych wyżynach. Uczony Cabri Ojme ośmielił się głosić przewagę Ewangelii nad Koranem, za co głowa jego spadła pod mieczem, z wyroku Solimana I. Tenże los miał spotkać ulema Ibrahima, lecz mędrzec ten schronił się do Wenecyi, gdzie przyoblekł habit dominikański. Mirry przypomina owych proroków Izraela, którzy w Imię Przedwiecznego rzucili w oczy królom i wodzom przestępstwa ich, ściągające na karki ludów miecz słusznej pomsty Bożej. Ten szejk Brussy przybywszy do Adryanopolu na czele ochotników, gromi zepsucie wielkich. „Zwyciężymy—woła on—gdy zbudzim w sercach żywą wiarę! Potrzeba czystych rąk i czystych serc, aby sprawiedliwie rządzić ludami!"

Rozgniewany za to sułtan Achmet wygnął poetę do Brussy. Wówczas powstała straszliwa burza; piorun uderzył w obóz: namioty zgorzały. Lud widział w tém wyraźną karę niebios. Sułtan napisał do szejka błagając go o powrót. „Niepodobna! odpisał Mirri, duch, który pchał mnie do Adryanopolu, nie pozwala na drugą podróż.“

Nowa pieśń wyspiewana proroczym tonem, w której Mirri wspomina ze czcią Jezusa i mieni się połączony z Nim na wiekiustą jedność, obudziła podejrzliwą trwogę Ottomanów. Szejk ul Islam rozpatrzył bacznie wiersze poety; uznał iż wartoby wszystkie rzucić w ogień, ale uszanował zarazem prawo natchnienia poetycznego. „Nie należy, wyrzekli sędziowie, głosić wyroków przeciw tym, których opanował twórca zachwyty!"

Pieśni bojowe Tyrteuszów muzułmańskich, mają wszystkie wysoko religijny charakter. Dora d'Istria przytacza modlitwę Amurata pod Warną, którą daliśmy poznać kilka miesięcy temu w ustępie z *Korony Kronik* Saeddina. „Też same uczucia, mówi autorka, jakie ożywiały pogromce Węgrów w XV wieku, ogrzewają dziś żołnierzy otomańskich. Naoczny świadek, który zwiedził obóz Osmana-Baszy podczas wojny 1876 roku, zauważył, iż cała massa armii pozostała wierną

dawnym swym tradycjom. Żołnierz ożywiony gorącym zapalem religijnym, gotów wytoczyć krew w imię islamu: idzie w ogień z okrzykiem Allah!“

Nadzwyczajna rozmaitość panuje w poezyi tureckiej. Obok poematów nacechowanych wysokim idealizmem, jakie przebiegliśmy powyżej, Dora d'Istrya ukazuje nam inne, swobodne, wesołe, nawet hulaszcze, w rodzaju Od i Listów Horacego. Rzecz dziwna! w XV wieku przy szczęku oręza i połysku głowni pożarnych, Mesihi sekretarz wielkiego wezyra Ali-Baszy, opiewa w cudnej kassydzie słodkie uroki wiosny. Zakochany w polach, w lasach, w róży królowej świata roślinnego, której barwy świecą na licu młodych dziewcząt, w słońcu, tym królu świata, którego promień maluje purpurą pyszne anemony i ułtaca jagody winogrodu. Oto parę zwrotek:

Słyszysz cudną pieśń słowika,  
Ogród pełen słodkiej woni;  
Migdał srebrne kwiecie roni,  
Bądź swobodny i radosny;  
Urok życia rychło znika:  
On nie przetrwa jednej wiosny!

Patrz na dziewic śliczne grono:  
Liliowe ioh jagody,  
Barwą róży lica płoną;  
Pieść-że niemi wzrok radosny:  
Ach! ten cudnej kwiat urody,  
On nie przetrwa jednej wiosny!

Na podobny ton śpiewał sławny Lamii, ulubieniec Solimana I-go, przezwany *Baki*, to jest nieśmiertelny. Opiewał on z nieporównanym wdziękiem, cuda przyrody i urok piękności dziewczęcej; nie jedną pieśń anakreontyczną wynucił na cześć wina, które wbrew zakazom Koranu, zowie napojem boskim. Zarówno jak Horacy małą wagę przywiązuje do życia, wie że szczęście znikome, niby sen nocy letniej; radzi téż aby chwycić ułudny wątek, dopóki nie pierzchnie nam z przed oczu.

W miarę jak słabła potęga muzułmanów, pieśni liryczne przybierały charakter coraz bardziej swawolny: przyszły wreszcie do tak obrzydliwego cynizmu, że wielki wezyr Mustafa-Koeprili, wypędzał z obozu wszystkich pieśniarzy, co szerzyli zepsucie między wojskiem: nieposłusznym zagrażał śmiercią. Wiek XVIII zarówno u Turków jak i u ludów Europy, jest epoką największego cynizmu i rozprzężenia w literaturze.

Osobny a ciekawy ustęp Dora d'Istrya poświęca kobiecie tureckiej; pokazuje udział, jaki brała w poezyi narodu swego, bądź jako źródło natchnienia dla poetów, bądź téż jako sama obdarzona wieszczym duchem. Najprzód daje nam poznać ideał kobiety stworzony



wyobraźnią wschodnich ludów, w mycie niebiańskich huryszek. Zobaczmy jak je opiewa Ibn Kadib, który w XVI wieku mistycznym poematem zapalał wyobraźnię rycerzy ottomańskich. „U boku wybranym będą czarnookie hurysy. Tak przeczyste światło bije z ich łona, że gdyby jedna z nich przekroczyła bramy raję i pojawiła się na ziemi grubą okrytą chmurą, świat utonąłby w potoku światłości; gdyby zaś w najczarniejszą noc uchyliła zasłonę, wszystkie gwiazdy zgasyły przed blaskiem jęj oblicza. Cudowna moc Boża utkała z promieni ciało niebianek, dała im włos kruczy, oko i rzęsy czarne, lica podobne rannęj zorzy, łono białości pereł. Głos ich niby echo świata wyższego, tak dźwięczny i słodki, że gdyby zabrzmiał w pośród nas, człowiek skonałby uniesiony zachwytem. Každy wybrany znajdzie pięćset hurys w rajskim swoim haremie. Umysł ich zawsze wesoly, złośliwa zawiać nie maći pogody ich serca, samolubstwo zupełnie im nieznanne.“

Jeżeli z rajskich wyżyn zstąpimy na ziemię, znajdziemy tu roje cudnych dziewic, błyszczących barwą róż i tulipanów. Wszystkie kwiaty rozkwitłe pod słońcem wschodniem, nie wystarczą poetom do hyperbolicznych metafor. Słynny Baki porównywa piękną czarnowłosą dziewicę nietylko do miesiąca rozpraszającego ciemności nocy, ale co dziwniejsza, do pysznęj świątyni Salomona! Messiki śmielej jeszcze określa moc piękności: „Po nad ciemną skałą, mówi on, z pod której wytryskują dwie krynice, wznosi się wspaniała świątynia. Tą skałą smętne czoło poety, dwie krynice, to łzy co płyną mu z pod powiek: tą świątynią, dziewicza piękność.“

Mohamed II wdzięczniej jeszcze opiewa potęgę niewieścich uroków. „W obec pięknej, przyroda cała drga życiem, same kwiaty przywykłe do hołdów, muszą upokorzyć się przed nią. Jasmin pochyla alabastrową główkę na widok sultańskiej oblubienicy, róża dzika rozciąga po ziemi wiotkie swoje gałązki, bledziuchnemi kielichy z pod jęj stóp odmiana kurzawę.“

Wielki sułtan, który tak czuje potęgę wdzięków, zna także ich niebezpieczeństwa, przeklina kłamliwe ich ułudy: „Biada niewolnikowi piękności! woła w znanęj kassydzie; w dniu sądu los jego równy będzie z losem giaura, a i w tém życiu gotuje sobie tysiące naj-sroższych udręceń.“

Wielki poeta XVIII wieku, skreślił z całą prostotą obraz małej dziewczeczki tureckiej. Pokazuje ją w szkole, kiedy „pisze coś krędą na tablicy, i oto spłonęła jak róża, bo chłopcy ścigają natrętnym wzrokiem każde jęj poruszenie. Czas dziewczęciu przystoić rąbkim słonecznym blask czarnego oka, czas jęj sięść za krosnami, i złotą nitką wyszywać wzorki na muslinie!“

Nieraz jednak widzimy jak dziewczeczka turecka odbiega krosien, pochwyca pióro i kartkę welinową i oddaje się całej poezji. Obyczaje muzulmańskie nie sprzeciwiają się temu. „Poeci, którzy błyszczą wśród ludzi pospolitych, mówi Sati, jak sokoły królewskie w pośród



kruków," nie wyłączają z grona swego dziewic ani dojrzałych niewiast. Wiele ich imion świeci w literaturze: Dora d'Istrya, wspomina Mihri, Zejneb, Hibetulle, Sidki, Tilnet, Leile i Ani. Najsłynniejszą z nich Mihri, przewano Safą ottomańską. Życiem bez skazy wyższa od poetki z Lesbos, dorównała jęj zapałem poetycznym. Miłość w jęj pieśni, to pałacy Simunn, żadną nie powstrzymany siłą. Gdzie rzuci wzrokiem spotyka drogą postać, widzi ją w srebrnym blasku promieni księżycowych, widzi w świetle porannęj zorzy. Wielu poetów opiewało Mihrę, składało jęj hołdy i serca, ale Mihri ukochała jednego: nie mogąc go zaślubić, pozostała mu wierną. Wymarzony ideał wystarczył jęj na życie.

Sidki opiewa także miłość, ale duch jęj w wyższe wybiega sfery: „kto ukocha ziemską istotę, mówi poetka, ten jest jakoby anioł wygnany z niebios; zwraca się też ku niebieskim wyżynom, szuka tam szczęścia jakiego ziemia dać nie może.“ Rzecz godna uwagi, trzy wielkie poetki Suruku, Sidki, Mihri i Zejneb, przeżyły dni swoje w stanie dziewiczym. Dora d'Istrya słuszną czyni uwagę, iż stanowisko zameżnej niewiasty w społeczeństwie Ottomanów, zanadto upokarza wyższe serce i wyższy umysł, aby oblubienica Muz mogła w nięm zasmakować

Jeśli poetki lękały się związków małżeńskich, poeci i moralści z swej strony ostrzegali młodzież, aby nie szukała w towarzyszkach życia umysłowej przewagi. Z tego to powodu podejrzliwem okiem patrzą na kobiety obcych narodowości. Sąd ich o cudzoziemkach zasługuje na uwagę. Poeta Fazel z końca zeszłego wieku, wysławia wdzięki Francuzek, przyrównywa je do róż o srebrnych listkach; chwali strój ich wytworny i bogaty; ale wpływ tych kobiet na umysł męczyzn, sprzeczny w jego mniemaniu, z przyrodzonym rzeczy porządkiem; Fazel gotów przypuścić że płeć, która wydała Joannę d'Arc i Joannę Hachette, opanowała społeczeństwo nad Sekwaną i Loarą. Nabi poeta z początków tego wieku w wierszu do syna radzi mu aby nie brał za żonę chciwój rządów Francuzki. Niechętny także niemieckim i węgierskim niewiastom, które nie znają praw proroka. Ostrzej jeszcze wyraża się o kobietach innęj wrogiej narodowości: zowie je zdradzieckimi i podstępniemi. Córy Kaukazu wychowane wśród szczęku oręża, nie mają umysłu dość łagodnego, by zapewnić pokój domowy. Murzynka podoba się chyba chciwemu nowości szaleńcowi. Z obcych, sama tylko Georgianka, pełna dobroci i prostoty, może przywiązać serce męża.

Spokojny Nabi lęka się dla syna burz wstrząsających małżeńskiem stadłem, podnosi więc słodycz, jako najwyższą zaletę żony. Nicoseć i ciemnota w niewieście, nie tyle go przeraża, jak nazbyt wybitna jęj osobistość.

Tak rozumowano w czasach upadku, Dora d'Istrya wyprowadza ztąd najtrafniejszy wniosek: „Kiedy narody zatracą w duchu własnym wyższy ideał, gotowe wtedy wszystko poświęcić dla spoczynku. Aby zdobyć ten błogi spokój, czyto w państwie, czy w ro-

dzinie, okupują go ofiarą własnej godności, a nawet kosztem niepodległości jednostek. Słowem nad burzliwą swobodę miłsza im spokojna a bezmyślna niewola!“

Do XVII wieku, pomimo ciągłych stosunków z Turcyą, ludy Europy nie domyślały się nawet wielkiego bogactwa literatury ottomańskiej. Turek był dla nich typem ciemnoty i okrucieństwa. Pierwszy dopiero Donado, poseł rzeczypospolitej weneckiej przy wielkiej Porcie, ocenił piękność téj literatury i dał ją poznać światu w obszerném dziele: *Della Literatura de' Turchi*, wydaném w Wenecyi w roku 1688. W sto lat po nim Todorini, także Wenecyanin, w dziele *Litteratura Turhessa*, dał przekład pięknej kassydy o *Wiosnie*, poety Messihi, słynnego w wieku XV. Poemat ten przypominający ody Horacego, rozbiegł się rychło po świecie, tłumaczony na różne języki, co wprowadziło w błąd Europę. Krytycy opierając się na nim, ogłosili, że cała poezya turecka nacechowana realistycznym epikureizmem. Widzieliśmy z powyższego przeglądu, o ile ten sąd był jednostronny i mylny.

Nic w tém dziwnego, że Europa tak późno zaczęła oceniać bogactwo i piękność tureckiej literatury. Sama praca Donatego, wydana w pięć lat po zwyciężtwie pod Wiedniem, pokazuje wyraźnie, że wówczas dopiero mogły ludy europejskie dopatrywać pięknej strony w Ottomanach, kiedy ci przestali być dla nich *biczem Bożym!* Aby rozdrzeć zasłonę rozpostartą groźnie nad społeczeństwem Ottomanów, potrzeba było onego bohatera:

Co mieczem przesławném,  
Przed oczy Turkom błysnął pod Żórawnem,  
Nim berło w twardą ująwszy prawicę,  
Skruszył pod Wiedniem proroka księżycel

Różnostronne poznanie świata tureckiego, datuje dopiero od początku bieżącego stulecia, kiedy Wacław Rzewuski, sławny nasz Emir, powrócił z dalekich swych wypraw po Wschodzie. Onto przebywając w Wiedniu zgromadził około siebie grono uczonych i założył z nimi Towarzystwo orientalistów roku 1806. On wraz z baronem Hamer de Purgstall, dał popęd wielkiej publikacji *Fundgruben des Orients* (Skarbiec Wschodni), poświęconej wyłącznie literaturom: arabskiej, perskiej i tureckiej, a prowadzonej bez przerwy do 1820 roku.

Przykład ten pociągnął za sobą Europę. W dziesięć lat po wiedeńskim powstało Towarzystwo azyatyckie w Londynie, w piętnastu lat takąż instytucya zrodziła się w Paryżu. Z chlubą powiedzieć możemy, iż Wacławowi Rzewuskiemu zawdzięcza Europa wiedzę o literaturze tureckiej. Z jegoto szkoły wyszli wszyscy dzisiejsi orientaliści, do nich należy i Dora d'Istria, którą użyliśmy za przewodniczkę, w naszym pobieżném sprawozdaniu.

Mamy przed sobą pięć pierwszych zeszytów ważnej publikacji wydanej u Hachetta pod tytułem: *Dictionnaire Universel des litteratu-*



res. Układem dzieła zajmował się Augustyn Vapereau, autor *Dykcjonarza współczesnych*. Obie te publikacje ściśle połączone z sobą dopełniają się wzajem; nowy *Dykcjonarz* obejmuje wyłącznie nazwiska zmarłych literatów, z pominięciem żywych, którzy znaleźli miejsce w poprzednio wydanej pracy.

Podręcznik ten, nieoceniony dla każdego, kto się zajmuje literaturą, składać się będzie z dwónastu zeszytów w 8-ce, drukowanych dwoma kolumnami. Całość obejmie do 130 arkuszy. Ze względu na ogrom przedmiotów i na szerokie ramy, jakie autor poświęca literaturze francuskiej, oraz klasycznemu pomnikom grecko-rzymskim, zdaje nam się, że dzieło nie odpowie założeniu swemu, że nie będzie miało tego charakteru powszechności, jaki mu tytuł zapowiada. Przytaczamy dosłownie ów długi tytuł, który sam z siebie jest programem dzieła.

*Dykcjonarz powszechny obejmujący: 1) Wiadomości o pisarzach wszystkich czasów i wszystkich krajów, tudzież o osobach, które wywarły wpływ na literaturę; rozbiór i ocenę głównych dzieł osobistych, zbiorowych, narodowych, bezimiennych i t. d. streszczoną historią literatury różnych narodów; wypadki i wspomnienia, zajmujące dla literatów i bibliografów: akademie, teatru, dzienniki, przeglądy i t. d. 2) Teorię i historię rozmaitych rodzajów poezji i prozy; główne reguły retoryki i prozody; zasady estetyki literackiej 3) Bibliografią ogólną i szczegółową, dzieła do porady w przedmiotach historii i erudycyi.*

Tak rozległy programat nie mógł być wypełnionym; spostrzegamy to odrazu, przeglądając rzeczy bliżej nas obchodzące. W siedmiu pierwszych literach alfabetu, zajmujących wydane dotąd zeszyty, znaleźliśmy ośmnaście imion polskich. Są tu kronikarze nasi: Baszko, Boguła, Bielski, Długosz, Kromer; jest kaznodzieja Bzowski. Z pomiędzy pisarzy zamieszczony k. Adam Czartoryski generał ziem Podolskich, autor *Listów Doświadczyńskiego*, jak niemniej Tad. Czacki, Albertrandi, Franciszek Dmochowski, Feliks Bentkowski, Wojciech Bogusławski założyciel teatru w Polsce, Bohusz konfederat barski i Leonard Chodźko, publicysta znany we Francyi. Wspomniany także Bernartowicz autor *Nierozsądnych Ślubów*, nakoniec dwaj poeci: Chróściński i Kazimierz Brodziński. Obu im autor poświęcił maleńką wzmiankę, jak gdyby tłumacz *Farsalii*, znany ledwie w bibliografii naszej, także samo w literaturze zajmował stanowisko, jak autor *Wiesława*, pierwszy promotor romantyzmu, którego imieniem słusznie K. Wł. Woycicki zaszczycił wielki okres literatury naszej, stawiając je obok imienia Mickiewicza!

O Felińskim maleńka ledwie wzmianka, a przecież Barbara Radziwiłłówna, tłumaczona na język francuzki, zasługuje na obszerniejszy rozbiór. O Chodakowskim ani słówka, równie jak o księciu Adamie Czartoryskim, który przecież znany był w Paryżu, gdzie przeżył lat trzydzieści, a który jako biograf Niemcewicza miał prawo stanąć wśród historyków naszych.



Pod literą G nie znajdujemy ani Gaszyńskiego, ani Garczyńskiego, ani też Gawińskiego. Zadziwia nas także pominięcie Kopernika. Wprawdzie autor zapowiada w przedmowie, że o tyle tylko zaliczy do dzieła swego ludzi oddanych ścisłym naukom, o ile prace ich miały charakter literacki. Ależ Kopernik był także ekonomistą a nawet poetą, nie tylko astronomem. Czekajmy na literę K., może być, że go tam pomieszczono; wątpimy jednak, autor w ustępie o Gallileuszu, wspomina systemat Kopernika, zaczynając nazwisko przez C. Gdyby wielki astronom miał być pominięty, możnaby przypuścić chyba, że p. Vappereau podziela błąd tych, którzy mają Kopernika za Niemca, że zatem pominął przez zemstę jedno z najznakomitszych imion w dziejach ogólnej cywilizacji.

Z téjże samój pobudki zapewne, p. Vappereau lekko zbywa literaturę niemiecką, a tém samym naraża się na pociski, jakimi krytycy berlińscy sygną niewątpliwie w Dykcyonarz. Czytamy w przedmowie, że dział literatury angielskiej powierzony był kompetentnemu erudycie p. Leo Joubert, że literaturę włoską obrabiał p. Claveau, hiszpańską p. La Rigaudiere. O literaturach niemieckiej, skandynawskiej, holenderskiej, polskiej, czeskiej, nowogreckiej i innych niema w przedmowie ani wzmianki, znać wiadomości o nich, czerpane pobieżnie z różnych źródeł, przez samego autora, jak gdyby w Paryżu zabrakło uczonych specjalistów, których należało powołać do tak wszechstronnej publikacji.

Nic też dziwnego, że w pracy dorywczo prowadzonej, mnóstwo napotykaamy niedokładności. Pod wyrazem *Dyalekta* np., autor nie wyjaśnia wcale, dlaczego u jednych ludów, na maleńkiej przestrzeni kraju, widzimy rozmaite narzecza, podrzecza i gwary, kiedy w innych rozległych państwach, milionowy lud używa mowy jednej; nie tłumaczy autor jaka jest różnica między językiem, który wypłynął z ducha narodu, roś i dojrzał z nim razem, rozpadał się na dyalekta stosownie do potrzeb miejscowych, a językiem, który będąc przyjęty i wyuczony przez dane społeczeństwo, nie zdołał wydać z siebie prowincjonalnych narzczy ani gwarów.

W kolumnie poświęconej językowi i literaturze bułgarskiej, napotykaamy błąd za błędem. Według autora, ten trzymilionowy lud, niema ani własnego języka, ani własnej literatury. „Język bułgarski, mówi p. Vappereau, różni się tylko od serbskiego i rosyjskiego, odmiennym wymawianiem. Bułgar i Rossyanin mogą utrzymać rozmowę wyrażając się po swojemu.“ I zaraz potem jakby dla sprzeczności czytamy: „Język nowo-bułgarski utworzył się w XIV wieku, pod wpływem wołoskiego i albańskiego, a różni się całkiem od starożytniej cyrylicy, stanowiącej osobny dyalekt.“ Co do literatury, dowiadujemy się, że Bułgry przyswoili sobie, tak bohaterkie, jak i miłosne pieśni Serbów; że te wyłącznie krążą pod Bałkanem, w dawniej Mezyi i Macedonii. O pieśniach Rodopu nawet nie słyszał p. Vappereau; niewie nic, ani o raportach Dozona, ani o nowym zbiorze pieśni bułgarskich, wydanym przez

tegoż lingwistę. Co do poematów Rodopu można przeczyć im odległej starożytności, można widzieć w nich wyrób późniejszych czasów; ależ trudno zaprzeczać im istnienia, skoro o tém istnieniu świadczą drukowane zbiory, skoro profesor Chodźko poświęcił im dwóletni wykład, z katedry kolegium francuzkiego.

Dowiadujemy się nakoniec z Dykcyonarza, iż rok 1860 stanowi epokę dla Bulgarów, w tym roku bowiem, powrócili na łono kościoła rzymskiego, co spowodowało reakcją przeciwko językowi greckiemu, przyjętemu w wykładach naukowych!

Krzyczące to błędy, sprostowanie ich byłoby zbyt cieżkim; każdy wie, że małeńka tylko częśćka Bulgarów, trzyma się rzymskiego kościoła.

Jak się tu dziwić, że autor niewie o pieśniach bulgarskich, skoro pieśni ludu francuzkiego wcale mu téż nieznane. W długim ustępie przebiega cały szereg greckich anakreontyków i łacińskich ód zaprawnych cynicznym epikureizmem, przechodzi potem do pieśni francuzkich, wylicza mnóstwo satyrycznych zwrotek, zrodzonych na bruku paryżkim, pod wpływem dziejowych wypadków. Wspomina pieśni narodowe, któreimi starożytni i nowi Tyrteusze, zagrzewali serca do boju. Obok sławnéj *Marsylianki*, *Rule Brytania*, *Wacht am Rein*, *Brabanzonej belgijskiej*, przytacza także pieśni *Bogarodzica*, która tak jak kolendy (!) była hasłem wojenném ojców naszych.

O właściwej pieśni ludu, téj arce, której lud powierza swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty, nie mówi nawet p. Vappereau, rzuca tylko parę słów pogardliwych, chłonać niemi, *plaskie pieśni* robotników i żołnierzy. „Zadaniem poetów z profesyi, dodaje w końcu, opiewać godnie pracę rolniczą jak i chwałę wojskową. Za dni naszych, wieśniacy mają poetę swego w panu Duppont, wojsko ma Berangera.“

Snać stary filolog, zagrzebany w pile bibliotek, nie wybiegł nigdy po za mury Paryża, nie odetchnął świeżą wonią łąk i lasów, nie zasłyszał fujarki pastuszej, ani pieśni żeńców na zagonie; widział może jakąś drukowaną piosnkę ludową, niby motyla zasuszonego w książce, ale zamiast wnikać w jęj ducha, obliczał zgłoski, mierzył wiersze i ogłosił ją niedołącznym utworem, bo nie odpowiadała poetycznym prawidłom Horacego!

Pod literą F nie znajdujemy nawet wzmianki o Felibrach pro-wansalskich, jak gdyby nie było ich na świecie!

Przy wielkiem bogactwie źródeł, jakie posiada Francya, łatwo było uniknąć tych usterek, gdyby praca rozdzieloną była pomiędzy specjalistów. Mimo dorywczego jednak charakteru, Dykcyonarz ten stanowi pożyteczną publikacją. W rzeczach erudycyi i literatury tak staroklasycznej jak francuzkiej, znajdujemy w nim mnóstwo ciekawych i nauczających przedmiotów. Weźmy np. wyraz *Akademia*. Na dwudziestu kolumnach, mamy rodowód wszystkich naukowych towarzystw jakie istniały, zaczawszy od 60 obywateli ateńskich, związanych w jedno grono, na czterysta lat przed Chrystusem, do poważnej Akademii,



stojącej dziś na straży francuzkiego języka. Znajdujemy tu imiona i nazwiska 460 członków, którzy od 230 lat składają to nieśmiertelne ciało, odradzając je bezustannie. Wymienione liczne akademie w Tuluzie, Lyonie, Arras, Caen, Montpellier i kilkudziesięciu innych miastach, świadczą o wielkiej decentralizacji naukowej we Francji, mimo politycznego ześrodkowania.

Większą jeszcze decentralizacją spostrzegamy we Włoszech, gdzie istnieje przeszło 500 akademii. Autor wylicza niemniej wszystkie akademie w Niemczech, Skandynawii, Hiszpanii, W. Brytanii, nawet w Indiach Wschodnich; dziwimy się tylko czemu nie wspomina Krakowskiej, która istnieje przecież od lat kilku i utrzymuje naukowe stosunki z Instytutem francuzkim.

Pod wyrazem *Kabała literacka*, znajdujemy ciekawe sprzysiężenia możnych przeciwko genialnym autorom. Taki to spisek uknuł Richelieu na zgubę Kornelowskiego Cyda. Akademia powołana do rady, nie chcąc narazić się fundatorowi swemu, jęła wyszukiwać plam na słońcu. Napisano całe foliały, wytknięto tysiące błędów. Głos opinii podniósł Kornela i obalił kabałę; świadczy o tém ówczesny czterowiersz:

Napróżno Cyda losy minister rozstrzyga,  
Paryż okiem Cymeny patrzy na Rodryga;  
Gdy ogół przyklaskuje, daremne zapory:  
Muszą akademickie umilknąć retory!

Inną kabałę arystokracja paryzka podniosła przeciw Rasynowi; na czele jęj stała księżna de Bouillon i pani Deshouliere, znana poetka, XVII wieku. Dowiedziawszy się, że Rasyń pracuje nad Phedrą, panie te skłoniły Pradona, aby podjął tenże sam przedmiot. Jakoż protegowany poeta w ciągu trzech miesięcy napisał swoją tragedję. Obie sztuki miały się ukazać równocześnie, w dwóch teatrach paryzkich. Księżna de Bouillon, tak w jednym jak w drugim, najęła wszystkie łoże na sześć pierwszych przedstawień. Podczas gdy Phedrę Pradona, przyjmowano grzmiotem okłasków, Phedra Rasyńa grana w pustej sali, przeszła bez żadnego oddźwięku. Czas pomścić wielkiego poetę: Pradona nikt dziś nie pamięta; Rasyń pozostał na zawsze chwałą Francji.

Podobne kabały układali przyjaciele Woltera, na rzecz bożyszczka swego. Vappereau wymienia kilku *trebaczów literackich*, którym filozof z Ferney płacił roczną pensję, aby głosili jego sławę. Naczelnik ich La Morliere przebywał wiecznie w sławnej kawiarni Prokopa, gdzie rekrutował klakerów, ilekroć grano w teatrze tragedję Woltera. Taż sama banda wygwizdywała utwory przeciwnego obozu.

Ostatnią kabałę literacką, nie dawno jeszcze układała Akademia francuzka na rzecz Orleanistów. Dziś ze śmiercią głównych przedstawicieli tego stronnictwa, wielkie ciało naukowe oswobodziło się z więzów, a tém samém większą zdobyło powagę. Kabała upadła w Paryżu, a raczej rozrodziła się w koterye literackie, czyli tak zwane Towa-



rzystwa wzajemnej admiracji. Takich nie brak w żadnym podobno kraju!

Wspomnijmy jeszcze ciekawy ustęp o literaturze *Waryatów*, mniej doprawdy szalonej, niż ta jaką przed czterdziestu laty, potępiał we Francji nasz krytyk Michał Grabowski. Otóż pod wyrazem *Alienés*, widzimy piękne skutki przyjętego w Anglii systematu, co do leczenia obłąkanych. Lekarze, aby przyprowadzić umysły do równowagi, zalecają ćwiczenia literackie. Nieraz już taka spowiedź duszy nakreślona bez związku, stała się dla lekarza dobroczynną skazówką; wyjaśniła mu bowiem psychiczny stan chorego. Ale pomijając pożytek czysto terapeutyczny, powstały ztąd utwory, silnie nacechowane piętnem osobistości, stanowiące w literaturze osobny dział zwany *Literaturą waryatów*. Wszystkie ważniejsze domy obłąkanych w Anglii, mają własną drukarnią; wychodzą z niej publikacje wszelkiego rodzaju: powieści, poezye, dzienniki i przeglądy. Waryaci niedość że redagują pisma, ale sami zajmują się drukiem, korektą, broszuowaniem książek. Organa tej prasy: *Nowy Miesiąc* (*The neu Moon*), *Excelsior*, *The Opa*, *The York Star* i inne, zasługują na szczególną uwagę. Domy obłąkanych zamieniają je między sobą.

Przytaczamy tu ocenienie p. North Peat, który badał do gruntu tę anormalną literaturę. „Byłby w wielkim błędzie, ktoby sądził, że te utwory zrodzone w umysłach zamaconych, pozbawione są ładu, znaczenia i wartości. Znajdujemy częstokroć w elukubracyach lunatyków, więcej mądrości i trafnego sądu, niżby można zrazu przypuścić. Nagła błyskawica przebiega częstokroć splełtany ich rozum, wraca mu chwilo-wo zdrowe pojęcie i loikę. W tych ekscentrycznych publikacyach mieści się wszystko: i potworne wybryki wyobraźni i rzewne wspomnienia i pobożne uniesienia duszy i skargi rozpaczliwe. Wątek myśli zrywa się nieraz wśród najszczytniejszego porywu. Po śmiechu następuje płacz konwulsyjny; do cudnych dźwięków mieszają się rażące ucho dyssonanse.“

Wśród owych monomanów i maniaków, najwięcej liczyć można zakochanych; to też poezya erotyczna najbujniej zakwita w ich literaturze. P. North przytacza między innymi, sonety do Laury, godne pióra Petrarka. Do najslawniejszych poetów tego rzędu należał John Clare, niegdyś lirnik wiejski, zmarły w r. 1863, w zakładzie obłąkanych w Nothampton. Oto kilka jego zwrotek:

Ty maleńka stokrotko,  
Mój kwiateczku radosny  
Zapowiadasz mi słodko,  
Czary słońca i wiosny.  
W twoje ślady na łące,  
U krynicznej tam wody  
Wzrośnie ziółek tysiące,  
Pszczołki zbiorą z nich miody.

Jabłoń w kwiat się rozwinie,  
Istna druchna od święta,  
Na gwiazdeczkach w gęstwinie  
Zaszczębioczą ptaszęta!

Jeden z obłąkanych w *Chrickton Institution*, napisał długą seryą biografii waryatów, którzy słynęli w świecie jako uczeni, poeci i filozofowie, nim szal zmącił im zmysły. Anglia najwięcej dostarczyła wątku do tych ciekawych życiorysów. Są w pośród innych imiona Jonathana Swifta, Southeya, Cowpera, Schelleya i Chattertona.

O drugiej części publikacyi powiemy gdy całkiem ukończoną zostanie.

Wyszedł z druku nowy zeszyt Meluzyny: odpowiada on najzupełniej oczekiwaniu naszemu. Pismo to, o ile sądzić można, przyczyni się znakomicie do rozwoju etnografii, a nawet historii, pokazując plemienne pokrewieństwa ludów, z zabytków ich niepiśmiennęj literatury. Liczne korespondencye, nadsyłane tak z Francyi, jak z Niemiec, wprowadzają nas w świat nowy, ukryty dotąd pod cieniem strzech wieśniaczych. Bibliografia nadzwyczaj bogata, świadczy wymownie, jak wielką wagę przywiązują dziś estetycy, do tych żywych źródeł, wytryśłych z piersi ludu, a niezmaconych jeszcze wpływem konwencyonalizmu, tak złowrogiego dla poezyi. Klasycyzm dał wszystko, co dać mógł: poczyta zawdzięcza mu cudną formę; ale forma sama przez się, to zimna Galatea, wyciosana z marmuru dłutem mistrza. Każda epoka ma swoich Pygmalionów, którym dano ożywić tę bryłę marmurową. W czasach odrodzenia ożywiło ją tchnienie zbudzonej starożytności; w obecnych czasach ożywić ją tylko może twórczy duch zaklęty w piersi ludu. Zrozumieli to od 50-ciu lat wielcy wieszczowie nasi, mniej pojęła to Francya w epoce romantycznego przełomu; poeci jój, od greckich ideałów zwrócili się wprawdzie do rzeczywistości, ale czerpali raczej natchnienie ze średniowiecznych kronik, niżeli z czysto ludowych źródeł. Dziś dopiero otwiera się dla Francyi nowa doba.

Profesor Kufft, miłośnik poezyi ludowej, umyślił karmić nią umysł i serce dzieci: w tym celu wybrał pieśni i powieści, zastosowane do młodocianego pojęcia i wydał je pod tytułem: *Les Enfantines du bon pays de France*. W ten mały zbiorek wchodzi pieśni matek śpiewane nad kołyską, powiastki piastunek, śpiewki choralne uczniów, podania o zwierzętach, przysłowia i t. p. Nieszczęściem drukarnia w Nancy, gdzie książeczka tylko co opuściła prasę, zgorzała kilka tygodni temu: z całego nakładu zostało tylko trzy egzemplarze. Zajęto się już nowém wydaniem. Tenże sam profesor ułożył gramatykę angielską i niemiecką, teksta dla tłumaczenia dla uczniów, wybrał jedynie z pieśni i podań ludowych. Pomysł to oryginalny i prawdziwie pożyteczny.

Znajdujemy w Meluzynie sprawozdanie z ważnej pracy etnograficznej p. Carrence, p. t.: *Wesela u ojców naszych*. Jest to porówna-

wczy opis weselnych obrzędów na przestrzeni Francyi całej, bardzo ciekawy, mimo że nie wyczerpuje przedmiotu. Niektóre zwyczaje zmieniają się według miejsca, inne wszędzie się powtarzają, jak np. ofiarowanie chleba nowożeńcom przez zaproszonych gości. Obdarowanie, przy wyjściu z kościoła, dzielą chleb ten między ubogich. Po weselnój uczcie, druchny śpiewają pieśń żałosną, w której wróżą pannie młodej nie jedną troskę nieodłączną od życia. Podobna wróżba smutno także brzmi w pieśni naszych Lublinianek:

Oj! wesele, wesele,  
 Było a nie będzie!  
 Była ci Maryi bięda,  
 Jeszcze więkaza będzie!  
 Wesela godzina,  
 Biędy wiek! biędy wiek!

Lud wiejski, jak widać, nie sprzyja nowym ideom co do kobiet: świadczy o tém podanie ludu francuzkiego. W prowincyi Bray krąży wieść, że kury niekiedy naśladują pianie kogutów, z czego nie najlepiej zwykły się wywiązywać. Znak to złowrogi. Właściciel kury piejącej po koguciemu, ma umrzeć niezadługo. Jest jednak sposób wykupienia się krwią ofiary. Gospodarz zabija i zjada biedną kurę, a tak ocala życie własne; wróżba zaś obraca się przeciw téj, która ją zuchwale wygłosiła. I u ludu naszego istnieje podobno tenże przesąd.

O ile tradycyjne zwyczaje zacierają się pomiędzy ludem w bliskości wielkich miast, o tyle znów utrzymują się w miejscach ogrodzonych lasami i górami, lub téż oblanych wodą. Wyspiarze korsykańscy, w skutek odosobnienia, zachowali dotąd najsilniej wypiętnowany swój pierwotny charakter. Lud ten jest szczególnym przedmiotem badania dla etnografów. Meluzyna nie mogła go przepomnieć. Daje téż ciekawy drzeworyt, przedstawiający grono niewiast, odzianych w żałobne kaptury, przy zwłokach nieboszczyka. Jedna z nich żałobnie zawodzi. Zwyczaj zawodzenia nad umarłymi, zwany *Voceri*, praktykuje się w dwojaki sposób. Jeśli nieboszczyk umarł zwyczajną śmiercią, zawodzenie pozostałych ma charakter spokojny. Jest to skarga żałosna, w której wśród okrzyków boleści, brzmią pochwały zmarłego. Inaczej się dzieje w razie dokonanego gwałtu, co w górach korsykańskich jest na nieszczęście dosyć częstym wypadkiem. W takim razie, *Voceri* zmienia się w straszliwą kłtwę. Najbliższy z rodziny powołuje krewnych i przyjaciół, do nieprzebrananej *Wendetty* nad mordercą.

Dajemy na próbę smętne zawodzenie wdowy, nad zwłokami umarłego męża.

O! mój Piotrze drogi!  
 Niech ścisną tve nogi!



Kwiateczku mój złoty,  
 Błogo żyć nam było;  
 Tyś dla mnie sieroty  
 Był wsparciem i siłą.

Płynie łódka, płynie  
 Po morskiej głębinie!  
 Ale przyszła burza,  
 Wody zakipiały,  
 Łódka się zanurza:  
 Tonie skarb mój cały!

Cyprysie mój wiotki!  
 Cukierku ty słodki!  
 Wonny muszkatelu,  
 Moja manna z nieba,  
 Po życia weselu  
 Dziś płakać mi trzeba!  
 On mi był kolumną,  
 Był mężem i bratem;  
 Z niego byłem dumną,  
 On mi całym światem,  
 Moją perłą drogą:  
 Dziś nie mam nikogo!

Kubeczek ty złoty,  
 Misternej roboty!  
 Przechylny oliwo,  
 Ozdobna ty szato;  
 Przez ciebie szczęśliwą  
 Byłam i bogatą!

Bażancie mój jasny!  
 Puchem piersi własnej  
 Tulileś twe ptaszę;  
 Tyś u Boga w niebie,  
 Puste gniazdo nasze:  
 Oj, źle mi bez ciobie!

Niech się oczy moje  
 Rozpłyną w dwa źródła,  
 Niech lży wiecznie płyną,  
 Jak strumień doliną.  
 Już nikt ich nie otrze,  
 O, mój biedny Piotrze!

Z Korsyki przejdźmy nad Ren. Powiedzmy słówko o szczególnym obrzędzie dochoowanym dotąd u ludu z księstwa luksemburskiego. Pobożny ten lud objawia tańcem religijne uczucia swoje, jak to bywało w głębokiej starożytności, kiedy król Dawid pisał przed arką Najwyższemu. We wtorek po Zielonych Świątkach, wieśniacy z róż-

nych parafii zbierają się rankiem, niosąc obrazy i chorągwie w bliskości miasteczka Echternach. Kapłan miejscowy ze służbą kościelną, wychodzi naprzeciw pielgrzymom, których liczba wynosi niekiedy do 8,000.

Po błogostawieństwie i modlitwach, rozpoczyna się pochód, a raczej taniec pobożnych (*der springenden Heiligen*). Na czele idzie krucyfer z krzyżem; po obu stronach starsi gospodarze niosą rozwinięte chorągwie; dalej postępują plebani wiejscy, śpiewacy, grajkowie, i dzieci z bębenkami. Za dziatwą idzie młodzież: osobno chłopcy, osobno znów dziewczęta; potem ludzie dojrzały, starcy zamykają cały pochód. Wszystko odbywa się w jak największym porządku. Trzy osoby postępują obok siebie, trzymając się nie za ręce, ale za rogi chustek. Taniec polega na trzech poskokach naprzód i dwóch w kierunku wstecznym: rodzaj to kontredansa. Procesya trwa przeszło godzinę. W takichże piasach przebiegają pielgrzymi 60 wschodów wiodących do kościoła, i okrążają ołtarz, na którym każdy składa ubogi datek; poczem zawracają na cmentarz, gdzie kłęcząc wkoło krzyża, odmawiają razem koronkę.

Zwyczaj ten powstał w VIII wieku, w skutek pomoru na bydło; przetrwał do chwili obecnej. Muzyka ma charakter religijnego marszu. Do cechu grajków wiejskich, nikt przyjętym nie będzie w okolicy, kto nie grał podczas dorocznej pielgrzymki w Echternach.

W ostatniej kronice mówiliśmy o listach Molinarego z Ameryki, w których autor poświęca Kanadzie obszerny a zajmujący ustęp. Ta Francya zaatlantycka zwróciła dziś na siebie szczególną uwagę Francuzów. W tej oto chwili wpada nam w ręce nowa publikacya p. Bonnechoze, p. t. *Montealm i Kanada*. Młody historyk wydobył z archiwów marynarki ciekawe szczegóły, odnoszące się do czasów, kiedy Anglicy korzystając z niedołęznej polityki Ludwika XV, wydarli Francyi bogatą posiadłość w Ameryce. Odkryte przez autora listy familijne, wielce się przyczyniły do ożywienia dzieła.

Zacięty opór garstki Francuzów, przeciwko przeważającym siłom angielskim, ma charakter prawdziwej epopei: bohaterem jój dzielny Montealm. Autor kreśli dziwnie poetyczny obraz tych zapasów: tłem obrazu są tu jeziora, rzeki i ogromne lasy kanadyjskie; zapaśnikami Niglandery szkoccy i francuzcy grenadyerowie, oraz tłumy dzikich Irokesów i Huronów. Widzimy zbrojne oddziały, jak z toporem w rękę wrębiają się w głąb puszczy nietkniętej ludzką stopą; widzimy ich, jak dźwigając z mozołem ciężkie łodzie, brną przez jary, od rzeki do rzeki, od jednego do drugiego jeziora; jak zimą, odziani w skóry niedźwiedzie, śpieszą na saniach uprzęzonych wielkimi psami. Na huk działy, odpowiada przeraźliwy okrzyk Huronów i głośniejszy łoskot wodospadu Niagary.

Obraz tych bezowocnych wysileń, przejmując z jednej strony najwyższem uwielbieniem, dla garstki owych nieznanych światu bohaterów; z drugiej strony budzi oburzenie i zgrozę, gdy słyszymy rozpacz-

liwy ich okrzyk, wysyłany przez ocean do Francji. Okrzyk ten rozdzierał serce biednej Maryi Leszczyńskiej, ale nie słyszał go król Ludwik, w pośród wrzawy biesiad i łowów. Król nie wsparł zapaśników kanadyjskich, gdyż pani Pompadour nie lubiła Montevalma. Dzielny ten wódz poległ bohaterskim skonem pod murami Quebecu. Kanadyjczycy z najwyższą czcią powtarzają dotąd jego imię. W stuletnią rocznicę klęski, w r. 1859, wzniesli pomnik na okopach stołecznego miasta, walecznemu swemu obrońcy.

Pan Karol Bonnechoze, świetnym piórem skreślił ten historyczny dramat, zakończony klęską, ale pełen bohaterskich czynów i nadludzkich wysiłków. Pierwsze to wystąpienie młodego autora, zapowiada mu na polu historii najświetniejszą przyszłość.

Dwa lata temu zdawaliśmy sprawę z zarysu historycznego p. Sayous, p. t. *Początki narodu Madjarskiego*. Praca ta szczupłych rozmiarów, ale wielkiego znaczenia pod względem historycznym, pomieszczoną została przez autora na czele świeżo wydanej publikacji, objętej w dwóch wielkich tomach, pod tytułem: *Histoire generale des Hongrois*.

Wiadomo, jak wielką rolę w powszechnych dziejach Europy odegrali Węgrzy w skutek geograficznego położenia swego. Osiedliwszy się na gościńcu zdeptanym stopami hord azyatyckich, które przez wieki zalewały Europę, z drużyny stepowej przemienieni w lud osiadły i rolniczy, stali się żywym przedmurzem chrześcijańskiego świata, żarliwymi obrońcami europejskiej cywilizacji. Autor pokazuje liczne fazy, przez jakie przechodziło to Państwo, złożone z tylu rozmaitych żywiołów, które nie tylko że nie miały nigdy stopić się w jednolitą całość, ale występowały zawsze zbrojnie przeciwko sobie.

Pierwsza epoka, o której mówiliśmy szczegółowo <sup>1)</sup>, daje poznać pierwotne pochodzenie Madjarów, jak niemniej stan kraju przed najazdem Arpada. W dalszym ciągu historii widzimy, jak Węgrzy nawróceni na Chrześcijaństwo, rozwijają się pod rządami następców Arpadowych; jak przechodzą potem pod berło andgaweńskich książąt; prawem elekcji podnoszą na tron Władysława Jągiellończyka, a po klęsce warneńskiej, Macieja Korwina, syna sławnego Jana Huniady. Odtąd przez dwa wieki, ziemia węgierska przedstawiana tu jako pole krwawych zapasów pomiędzy Austryą a Turcją. Długi szereg tych walk kończy się ostateczną przewagą domu Habsburskiego, w początkach XVIII wieku.

Na szczególną uwagę zasługuje obraz napadu Mongołów w roku 1241. Hordy Batu-chana przebywały w Węgrzech piętnaście zaledwie miesięcy, ale straszna ta powódź spustoszyła kraj, zmieniła go w pustynią. Autor w jaskrawych barwach maluje wściekłość azyatyckich barbarzyńców, niesłychane ich okrucieństwa. Tysiące brank

<sup>1)</sup> W kronice styczniowej z 1875 roku.



zapędzono w stępy, lud uprzęzony do pługa, pracował ciężko pod batogiem, na wyżywienie krwawych najeźdźców. Nadaremny był wszelki opór. Mieszkańcy granic bronili się zawzięcie do ostatka. Zmuszeni ustąpić, spalili domy własne, zniszczyli nagromadzone w nich skarby. Mongołowie rozwścieczeni widokiem płonących zgliszczy i straconego łupu, poprzysięgli wymordować wszystkich do nogi. Wówczas to trzysta niewiast, przybranych w bławaty i złoto, udało się do obozu hana mongolskiego, w mniemaniu, że zdołają przebłagać go i rozbroić; ale wnuk Dżyngizhana odtrącił je z pogardą; na rozkaz pana, Tatarzy odarli je z szat, głowy ich ścięli mieczem. Piętnaście ledwie niedobitków, uszło w mieście okropnej rzezi.

Zasługuje także na uwagę obraz tureckiego panowania w Budzie, odmiennego zupełnie od rządów mongolskich; autor opisuje dokładnie administracyjny systemat Ottomanów. Jeśliby cokolwiek można zarzucić historyi p. Sayous, to chyba tylko brak zarysów etnograficznych, bez których dzieje sucho się przedstawiają. Wiadomo przecież jak wielką wagę etnografia w ustroju każdego państwa, a szczególnie też złozonego z tylu różnorodnych żywiołów jak państwo Węgierskie.

Nowy przegląd geograficzny, pod dyrekcją pana Drapeyron, w pierwszym numerze, który mamy właśnie pod ręką, wymienia w liczbie przyszłych współpracowników, sto pięćdziesiąt imion zasłużonych Francuzów. Znajdujemy tu imiona znakomitych historyków, geografów i ekonomistów, członków Instytutu, profesorów Sorbony i Kolegium francuzkiego, co daje rękojmią wartości naukowej pisma. Obszerny program wskazuje myśl przewodniczącą publikacyi, a określoną słowami Aleksandra Humboldta: „Ród ludzki obdarzony umysłem czynnym, i inteligencją zdolną rozwijać się postępowo, jak niemniej cudowną giętkością organizmu, dla którego każdy klimat może być odpowiednim, ród ludzki nie ulega niewolniczo prawom przyrody, czerpie jednak siłę z życia ogarniającego kulę ziemską.“ Wydawca kładąc na czele pisma te słowa z Kosmosu, nie zapoznaje wcale wolności ludzkiej, i utrzymuje bynajmniej jakoby historia ludzkości tłumaczyć się miała jedynie przez geografię i geologią, jakoby dany charakter cywilizacyi, miał być koniecznym wpływem gleby i klimatu, w równym stopniu jak fauna lub flora. Przypomina on tylko, że człowiek żyje na ziemi i z ziemi, że więc od poznania ziemi powinien rozpocząć badanie nad społeczeństwem ludzkim.

Przegląd nowy głosi stanowczo potrzebę zreformowania nauk geograficznych, zgodnie z myślą międzynarodowego kongresu, odbytego w Paryżu przed dwoma laty. „Jeśli geografia tak długo zaniedbana była we Francyi, mówi wydawca, to dla tego że nie pojmowano wielkiego jej znaczenia; jeśli dziś jeszcze ludzie, nawet wykształceni widzą w niej najsuchszą i najnudniejszą z nauk, pochodzi to z wadliwego układu jej w szkołach. Streszczona do prostej nomenklatury, stała się w rzeczy samej wstrętną i jałową. Inaczej być musi, odkąd nowa

przyjęta metoda w prowadzoną zostanie. Znajomość geografii nie polega na wyuczeniu się mnóstwa nazwisk. Należy przedewszystkiem poznać życie ludów, rozsiadłych na całej kuli ziemskiej, stosunki ich pomiędzy sobą, wpływ jaki wzajem na siebie wywierają. Geografia to kamień węgielny historii a zatem i polityki, która jest nie czem inném jak historią bieżących czasów.“

Jak widzimy cel polityczny wyraźnie nakreślony w programacie. Niebezpieczna to droga: wiemy do jakich niesprawiedliwości a nawet absurdów, uganianie się za celem politycznym doprowadziło profesorów niemieckich. Wydawcy przeglądu biorą jak widać politykę w szerokiém znaczeniu słowa: jeden artykuł zawarowany w programacie przepisuje najwyraźniej: *nie służyć żadnemu stronnictwu.*

Znajdujemy w tymże przeglądzie, zdanie sprawy z konferencji międzynarodowej, zwołanej do Bruskelli w końcu zeszłego roku przez króla Belgów, w celu urządzenia systematycznych wypraw do Afryki środkowej. Owocem téj konferencji jest zawiązane Towarzystwo pod tytułem: *Association internationale d'exploration et de civilisation de l'Afrique.* Król Leopold II ogłoszony został jednomyślnie prezesem wykonawczego komitetu; członkami jego mianowani p. Quatrefages ze strony Francji, doktor Nachtigal od Niemiec, sir Bartel Frère od Anglii. W każdym kraju urządzone będą osobne komitety dla propagowania wielkiego pomysłu, którego cel określił sprawozdawca pan Mounoir; powtarzamy jego własne wyrazy:

„W ostatnich latach popęd badawczy cechujący ludy europejskie pchał licznych podróżników do Afryki dla odkrycia tajemniczych źródeł Nilu. Anglia okazała się w tém najczynniejszą: Liwingstone, Speke, Burtone Grant, Baker, Kameron i inni, rozprószyli nieomal ciemny pomrok rozpostarty nad Afryką, do połowy XIX wieku. Ich eksploracye, dodając do nich poszukiwania amerykańskiego Stempla, żywo zajęły uwagę powszechną. Dziś każdy z ludzi wyżej ukształconych, skłania pilnie ucho na wieści o nowéj wyprawie do Afryki środkowej.

Zajęcie to wzmaga jeszcze inna okoliczność, ważna dla prawdziwych miłośników ludzkości. Mimo szlachetnych zwycięstw Wilborsa i Penna nad ideą dziś potępioną, dzieło ich nie zostało ostatecznie dokonaniem. Niewolnictwo acz obalone u wszystkich prawie ludów chrześcijańskich, przetrwało w innych społeczeństwach. Trzeba było przyłożyć siekiery do korzenia. Liwingstone misjonarz, przedewszystkiem walczył wytrwale przeciwko pladze, w której widział hańbę ludzkości. Inni podróżnicy angielscy zajmowali się tu gorliwie sprawą niewolnictwa. Okropne opisy Rolfsa Nachtigala, braci Poncet i innych, obudziły szlachetny zapał w filantropach. Aby zatrzymać bezczyny handel ludźmi, Anglia wyprawiła Bartla Frère, na wschodnie brzegi Afryki. Zaradcze środki nie były dość skuteczne; niewolnictwo bowiem leży w obyczajach tamtejszych ludów, jest u nich instytucją społeczną. Nie zrażało to jednak podróżników; wyprawy następowały w ślad po sobie, wielu przypłaciło je życiem. Bezowocne te zabiegi,



nasunęły myśl prawdziwym filantropom do scentralizowania owych pojedynczych wysileń; powodowany tą myślą król Belgów, zniósł się z Towarzystwem geograficznem w Londynie, w skutek tego powołał do Brukseli międzynarodową konferencyą.“

Członkowie komitetu zajmują się gorliwie zbieraniem składek, na cel tak ważny w sprawie cywilizacji, pierwszy z Francuzów Leseps, posłał do Belgii znaczną kwotę pieniężną; przykład ten znajdzie wielu zapewne naśladowców.

Leseps przedstawił akademii nauk, raport kapitana Rondaire ty czący się morza na piaskach afrykańskich, poniżej Algeryi i Tunisu. Kapitan Rondaire przekonany że ta piaszczysta nizina, tworzyła niegdys zatokę morza Śródziemnego. Gdyby nawet, jak utrzymują przeciwnicy projektu, zatoka ta nie istniała w przeszłości, rzeczą jest dowiedzoną, iż poziom tych miejsc niższy od poziomu morza. „Jakikolwiek przyczyny, mówi sprawozdawca, utworzyć mogły te zasy oddzielające dolinę od morza Śródziemnego, wiadomo jednak że przekopanie ich bardzo łatwe i nie kosztowne: woda sama dokona resztę, byle jęj drogę utworzono.“

Pod względem ekonomicznym kapitan Rondaire pokazuje nieobliczone korzyści z utworzenia morza na południe Algeryi. Złagodzenie klimatu wpłynęłoby zbawiennie na wzrost rolnictwa w kraju, gdzie susza najcięższą jest plagą. Nowo urządzone drogi żelazne rozwinęłyby handel i przemysł tych okolic: możnaby za ich pomocą, utrzymywać stałe stosunki z krajami Afryki środkowej, tak dziś potrzebne i upragnione. „Wzrost ogólnego dobrobytu, dodaje w końcu kapitan, powinien stać się bodźcem dla ludzi serca, których wielkie przedsiębiorstwo dopełniłoby godnie wielkiego dzieła ojców: morze w Afryce, to prawdziwa korona zdobycia Algeryi.“

Zamiar podróży w około świata, w celu dopełnienia nauk szkolnych, o którym spominaliśmy niedawno, bliskim już jest urzeczywistnienia. Porucznik marynarki Biard, promotor zamiaru tego, ma dyrygować wyprawą: zajmuje się już bardzo czynnie, odpowiedniem urządzeniem parostatku. Liczba zapisanych podróżników, dotąd nieoznaczona, wiemy tylko że nazwiska Francuzów przemagają między zapisanemi. Kobięty zupełnie wyłączone. Wyprawa wyruszy w dniu 31 maja z Marsylii; powrót do tegoż miasta nastąpi 14 kwietnia 1878 r.

Wyszła już z druku książeczka: *Le tour du monde en 320 jours*, wraz z planem statku i mapką; oznaczony tu cały bieg żeglugi i miejsca przystanków, zkąd urządzone będą ekskursye w głąb rozmaitych krajów. W ciągu tego lata podróżnicy zwiedzą Amerykę Południową, Bretanią i t. d.; w jesieni od San-Francisko zapuszczą się w głąb Stanów Zjednoczonych, poczem zwrócą do Australii; w zimie zwiedzą Japonią, część Chin i Indye Wschodnie, z początkiem wiosny Egipt.



Trzech profesorów wykładać będzie nauki przyrodnicze, fizykę i klimatologią, jak niemniej nauki społeczne, obejmujące stan handlowo-przemysłowy różnych krajów, obyczaje i zwyczaje, stosunki wzajemne ludów, historią, widoki na przyszłość i. t. p.

Zachęczone tym przykładem Stany Zjednoczone urządzają ze swęj strony podobną podróż, ale na szerszą daleko skalę: prawdziwie po amerykańsku. Podróż ta trwać będzie co najmniej dwa lata. Celem podróżników zwiedzić wszystkie zakąty ziemi, mało znane badaczom nauk przyrodzonych, zgromadzić jak najliczniejsze okazy; poznać typową architekturę każdego kraju, zbierać notaty archeologiczne.

Będzie to podróż prawdziwie naukowa, biorą w nią udział profesorowie głównych uniwersytetów, liczba uczniów ograniczona do 80; towarzyszyć im ma lekarz, fotograf i kapelan.

Sądzymy, że po pierwszej próbie, Towarzystwo francuzkie pójdzie w ślady Amerykanów, przedłużając zakres podróży, aby uczynić ją prawdziwie korzystną. W każdym razie popęd już dany, Francya patrzy z nadzieją na daleką wyprawę synów swoich i powtarza słowa Platona: „Gdyby nie podróż obywateli, rzeczpospolita byłaby zbiorem istot dzikich i grubiańskich.“

W literaturze angielskiej niesłychane sprawiła wrażenie, ogłoszona niedawno ośmiotomowa powieść Georges Elliot (pani Leves), pod tytułem *Daniel Deronda*. Pomijając artystyczną stronę, powodem rozgłosu, jaki znalazła powieść, jest podniesione w niej zagadnienie społeczne. W głównym bohaterze Danielu, autorka skreśliła idealny typ izraelity. Czynności jego, myśli i marzenia, skierowane do jedynego celu: tym celem odbudować królestwo Izraela, które ma być połączeniem starożytnych tradycyi judaickich z nowoczesnemi ideami. Myśl podniesiona przez powieściopisarkę, nie jest prostém marzeniem poetycznym. Od lat kilku wychodzi w Londynie przegląd, pod tytułem *Sztandar Izraela*, dziennik Towarzystwa anglo-izraelskiego, poświęcony téjże samęj propagandzie.

Prasa angielska silnie powstała przeciwko powieści Georges Elliot; mimo to dzieło znalazło niesłychany pokup. Czytamy w sprawozdaniach dziennikarskich, że rozeszło się już w 400,000 egzemplarzach; połowa dochodu w ilości 100,000 fr. przypadła autorce.

Wielki rabin angielski Adler, wyrzekł niedawno z kazalnicy, że powieść Daniel Deronda jest dziełem najwyższéj doniosłości, jako „wskazujące najlepiej dążność dzisiejszych izraelitów.“ Dążności téj nie objaśnił rabin, w ostatnich dziennikach czytamy wyraźne jéj określenie. Zapewniają, że izraelici angielscy weszli w układy z sułtanem o kupno Palestyny. Gdyby zamiar doszedł do celu, Jerozolima przeszłaby na własność bezziemnego Towarzystwa, które połączyłoby miasto święte z Europą, kilku liniami dróg żelaznych. Mówią nawet o tunelu pod Bosforem. Dzisiejsze niepokoje na Wschodzie, zawiesiły na czas ja-

kiś układy; lecz Towarzystwo ma zamiar prowadzić je dalej, gdy pokój przywróconym zostanie.

Właśnie gdy kończymy kronikę naszą, rozbiega się po Paryżu wieść o skonie jednego z czterdziestu akademików, Józefa Autran. Umarł nagle w Marsylii, rodzinném mieście; tu spędzał zwykle zimę, latem zaś przemieszkiwał w ulubionj zaciszy wiejskiej. Śmierć wytrąciła poecie pióro z ręki, nie w przenośnym ale w literalnym słowa znaczeniu: żyła pękła mu w sercu, w chwili gdy dyktował wiersze sekretarzowi.

Autran miał lat sześćdziesiąt trzy. Lubo dotknięty chorobą serca i zagrożony utratą wzroku, zachował w całej sile talent poetyczny.

Wydawca Lewy zajął się niedawno ogólnym zbiorem jego utworów. Piąty tom wyszedł właśnie pod tytułem: *La Lyre a sept cordes* (Lira siedmiostrunna). Tom VI wyjdzie wkrótce, VIII zakończy później całe wydawnictwo.

Wielbiciel Lamartina, Józef Autran pod wpływem wielkiego poety, rozpoczął literacki swój zawód. W r. 1832, kiedy Lamartine odpływał z Marsylii na Wschód z żoną i słabą córką, dziewiętnastoletni uczeń ujrzał go po raz pierwszy. Rozradowany tém spotkaniem, napisał w nocy odę: *Le Depart pour l'Orient*; z rana ofiarował ją wsiadającemu na statek mistrzowi. Lamartine ocenił wielkie zdolności młodzieńca; poszepnął mu kilka słów gorącej zachęty. Autran z wiarą i nadzieją podjął lutnię, której pozostał wiernym, aż do ostatniej chwili życia.

W kilka lat po tém spotkaniu, wydał pierwszy zbiór pod tytułem *Poemata morskie*. W pysznych obrazach oddał niezrównane piękności oceanu, dopełniając je dramatycznymi ustępami z życia majtków i ubogich rybaków. W następującym zbiorze: *Laboureurs et Soldats*, wyśpiewał prace rolników i trudy żołnierzy. Później poprobowował sił w dramacie. Tragedya: *Córka Eschilesa* odegrana w Odeonie w r. 1848, zjednała mu nagrodę akademicką i pomieściła go w liczbie pierwszorzędnych poetów. Otrzymał krzesło po Ponsardzie w r. 1868.

Odtąd umilkł chwilowo Autran, a raczej pracował w ciszy i głębokiém skupieniu ducha. Po klęskach dopiero Francyi wystąpił z pięknym zbiorem *Legend*, nacechowanym myślą wysoko patriotyczną. Owe *Legendy Paladynów*, o których mówiliśmy w swoim czasie, głęboko poruszyły Francją, przypominając jój wieki bohaterskich zapasów i wywalczonj chwały. Piąty tom, ogólnego zbioru, świeżo wydany obejmuje przysłowia Salomona, owiane czystym technieniem poezyi biblijnej. Ostatni utwór, przy którym śmierć zaskoczyła poetę, był to żartobliwy wiersz na *realistów*. Niezmordowany zapaśnik ideału, skonał na wyłomie, z podniesionym w górę sztandarem, któremu wiernie służył przez lat czterdzieści!

Najważniejszy wypadek literacki w tym miesiącu, stanowią *Nowe Legendy wieków*, Wiktora Hugo. Dzieło ukazało się 26 lutego, w dniu,

w którym wielki poeta skończył siedmdziesiąty piąty rok życia, a sześćdziesiąty rok zawodu literackiego. O godzinie 4 z południa, cały nakład rozerwany został; wiemy o tém, z ogłoszonego drukiem listu wydawcy Levy. Wstrzymujemy się dziś ze sprawozdaniem z dzieła takiej doniosłości. Potrzeba czasu na odczytanie dwóch wielkich tomów, potrzeba téż miejsca, aby napisać o nich choćby najpobieżniej. Zostawiamy to do majowej kroniki. Z odczytanych dotąd ustępów, powiemy tylko, że w wielu z nich geniusz Wiktora Hugo nie stracił dawnego blasku ani dawniej potęgi. Są jednak inne ustępy, których sam tytuł przejmie boleścią i wstrętem. Wszystkie pisma paryzkie zajęte Legendami, dają z nich szerokie wyjątki. Niektórzy i to znakomici krytycy utrzymują, że pod względem poetycznym, Hugo w tych epopeach przewyższył wszystko, cokolwiek dotychczas utworzył.

Wzajemna nienawiść Francuzów i Niemców, objawia się od czasu do czasu w sposób bardzo bolesny. W tych dniach padł jój ofiarą młody geograf, na którym Francya najpiękniejsze budowała nadzieje. Mówimy tu o Markizie de Compiegne, słynnym już podróżniku, który przed trzema laty, z towarzyszem p. Marche, dotarł do Afryki podrównikowej, w miejsca niezdeptane dotąd ludzką stopą. Byliśmy obecni na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego, kiedy młody podróżnik, blade jeszcze i wycieńczony, w skutek poniesionych trudów i żółtej febry, opowiadał w zajmujący sposób nie jedno spotkanie z dzikim lwem i tygrysem, lub niemniej dzikim ludożercą. Czytaliśmy później zajmujący opis wyprawy, ogłoszony drukiem w dwóch tomach. Uderzył nas w nim głęboki pogląd psychiczny na antropofagów. Pan Compiegne spostrzegł w tych barbarzyńcach wielką zdolność do pojęcia cywilizacji; pragnął gorąco pracować nad ich oświeceniem, marzył o nowej podróży, skoro siły pozwolą na to. Pamiętamy z jak szczerym zapałem, słysząc iż Niemcy gotują podobną wyprawę, zawołał w obec zgromadzenia: „Upředźmy nieprzyjaciół naszych! na tém jedynie polu możemy dziś walczyć i zwyciężać! Co do mnie, pójdę naprzód: nie cofnę się przed niczém.“

Skazany na kilkoletni spoczynek wyrokiem lekarzy, młodzian odłożył nadal podróż, ale sposobił się do niej wytrwałą pracą w geograficznym zawodzie. Rok temu, Kedif Egiptu powołał go z innymi do uorganizowania Towarzystwa geograficznego w Kairze. Ztąd niechęć prezydującego Schweinfurhta, który opuścił Towarzystwo. Niemcy widzieli w tém intrygę Francuzów. Jeden z nich Majer obwiniął szczególnie Compiegne'a. Przyszło do osobistych zniewag, do zarzutów miotanych na Francją. Zakłóciła krew w szlachetnym młodzianie. Nastąpił pojedynek. Compiegne padł ugodzony kulą niemiecką. *Nie cofnął się przed niczém!* własną krwią okupił część narodu!



## Opłynięcie jeziora Albert-Nijanza.

W sierpniowym nr. naszego pisma podaliśmy wiadomości o zbądaniu jednego z najmniej znanych jezior Afryki Środkowej: Wiktorya-Nijanza. Obecne odkrycie geograficzne, dokonane zostało, również jak i poprzednie z inicjatywy Gordona baszy, gubernatora generalnego Afryki równikowej, który w tym celu uzbroidł dwie łodzie żelazne, powierzając wyprawę Romalowi Gosse. Ponieważ owoce tej wyprawy posuwają naukę daleko po za granice dotychczasowego jej stanu, przeto uznajemy za stosowne podać główne fakta ze sprawozdania p. Gosse, przedstawionego królewskiemu Towarzystwu geograficznemu w Londynie: „Osadziwszy, pisze p. Gosse, pod d. 5 maja, na powierzonych mi dwóch statkach ośmnastu żeglarzy i dwunastu żołnierzy, opuściłem Dufi d. 7 marca 1876 i dopłynąłem po jedenastu dniach do ujścia jeziora. Przeciwny wiatr, deszcze i prądy spowodowały tak niezwykłą powolność. Zadaniem mojem było zbadać część rzeki od Dufi do jeziora, zwiedzić Magungo i opłynąć jezioro. Przed opisem samego jeziora, uważam za stosowne przedstawić pewne szczegóły dotyczące tej części Nilu, a dotąd przez nikogo niezbadane.

Od Dufi do jeziora odległość wynosi 164 mil, rzeka na całej tej przestrzeni jest żeglowną, głęboką i szerokość w niektórych miejscach przechodzi 700 jardów (=2100 stóp ang.). Na  $\frac{2}{3}$  odległości od Dufi Nil tworzy odnogę obszerną, płynącą w kierunku północno-zachodnim, prawdopodobnie ku Makraka, w krainie Niam-Niam. Okolica jest nadzwyczaj bogato uposażoną; krajowcy odziani w skóry kozłów i antylop; w płodach wszelka różnaitość: proso, pszenica, sezamowe ziele, miód, tytoń, boby, banany i t. p.; bydła obfitość wielka, zgoła lud zdaje się zażywać dostatniego bytu.

Pod same jezioro dopłynęliśmy na przesileniu marcowém, t. j. w chwili burz wiosennych i to nas zmusiło do powstrzymania żeglugi. Dnia 20 marca, złudzony powabem pięknego poranku, puściłem się na północny róg jeziora w kierunku Magungo; ale już w drugiej większej połowie tej linii zaskoczył nas nagły wiatr odlądowy i nie dopuścił do brzegów. Wszelkie wysiłki okazały się bezskutecznymi, wiatr wznagał się gwałtownie; wypadło przecieź przyjąć walkę i wszelkiemi siłami trzymając się widniejących na horyzoncie brzegów, odkryć odpowiedni punkt do zarzucenia kotwicy. Dostrzeżone w oddali piaszczyste wybrzeże zdawało się przedstawiać niejaką nadzieję; ale na nieszczęście zajętem było przez oddział rozpuszczonych wojsk Kaba Rega, zbliżających się z zamiarem napadu. Groźna ich postawa zmusiła nas do dalszej żeglugi; zachowali się jednak spokojnie, w nadziei, że burza prędzej lub później spędzi nas na brzegi.

Po wielu trudnościach postanowiliśmy wymknąć się z tak niebezpiecznego sąsiedztwa i zarzuciliśmy kotwicę w przystani mającej kształt

podkowy. Słota trwała ciągle, o północy wiatr wzmógł się tak dalece, że jedna z łodzi zerwała się z kotwicy, utkwionej w dnie piaszczystém i o 3-jej z rana spędzoną została na brzeg, pełna piasku i wody. Wypadek ten zniszczył całe nasze zapasy i narzędzia obserwacyjne. Położenie stało się groźném, byliśmy bowiem jeszcze w sąsiedztwie z wojskiem nieprzyjacielskiém. Z materyałów przeto wyrzuconych falą na brzegi powstała barykada, jednym tylko punktem wystawiona na niebezpieczeństwo napadu. Dwa działa, nabite kartaczami stanęły na pozycji. O świcie wiatr ucichł i wzburzone jezioro opadło. Spuściwszy żagiel, zaczęliśmy opróżniać statek z wody i piasku i wkrótce przy współdziałaniu osady i jej wojska, łódź wróciła na prąd, płynąc w kierunku Magungo. Dnia 30 marca dopłynęliśmy do Magungo, lecz nieprzyjazna postawa krajowców zmusiła mnie do zwrócenia się na Victoria-Nil dla odszukania jakiejś wioski należącej do zarządu Aufina. Przy katarakcie Murchisson spotkałem się z podwładnym rządu (egipskiego), który podjął się odesłać moją odezwę do Aufina, tam bowiem stał dowódca wojsk naszych. Po dziesięciu dniach wojska przybyły. Dwunastego kwietnia puściłem się w dalszą podróż.

#### *Wyjątki z dziennika podróży.*

Dnia 12 kwietnia. O godzinie 4-jej z rana dotarliśmy pod pierwszą wyspę leżącą 5—7 mil od brzegu: są tu łany piasku z niejaką roślinnością stanowiące schronienie od wiatru. W chwili mojego przybycia zajęte one były przez tłumy krajowców, którzy się tu przed pogonią wojsk schronili.

Dnia 13-go kwietnia. Dalszy ciąg żeglugi aż do ostatniej wysepki. Stały ląd jeziora jest niski, brzegi piaszczyste, jego wnętrze obfituje w roślinność i drzewo budulcowe. Przechodzimy kataraktę jedną, drugą i trzecią. Od mieszkańców wioski zasiągnąłem następującą wskazówkę: „Pierwsza katarakta ma nazwę: Huima, druga Wahambia, trzecia Nanza. Wychodzą one z wielkiej rzeki, która nigdy nie wysycha: nazywa się Tisa.“

Nie wątpię, że to będzie rzeka, którą Sir Samuel Baker nazywa Kaiigiri. Krajowcy świadczą, że pomimo zapuszczania się daleko w głąb Uganda po kość słoniową, nigdy jednak do źródeł téj rzeki nie dotarli.

*Kwiecień* (15 i 16). Dalszy ciąg podróży. O godzinie 8 wieczorem, wieje silny wiatr wschodni, wzmagający się gwałtownie do godziny 10-jej. Spuszczamy żagle i o drugiej zrana zatrzymujemy się w przystani, którą nazwałem Port Szubra. Mamy tu kilka wiossek. Będzie to Vacovia pana Baker; lecz nazwa zaginęła, ponieważ inne plemiona wyparły z niej poprzednich mieszkańców. Szerokość portu wynosi 250 jardów, długość do 700. Brzeg tworzą skały zachodzące w wodę.

Deszcz lał nieustannie przez 36 godzin.

18-sy kwietnia. Wiatr pomyślny. Po 40 milowój żegludze dostrzegano w oddali wyspy i roślinność. Woda zmieniła kolor, staje się białawą; z masztu wydaje się czerwona; ołowianka wskazuje głębią tylko na 12 stóp: dno błotniste. Niema wątpliwości że jesteśmy w pobliżu rzeki. Po 10 milach żeglugi wpływamy na rzekę. Na siódmiej mili zatrzymuje nas gęstwina papyri i innej wodnej roślinności. Z wyżyn spada kaskada nierównie większa niż trzy poprzednie. Rzeka się kończy w tym *cul de sae*. Mieszkańcy uciekli; nie chciałem jednak opuszczać tego miejsca, nie zasięgnąwszy pewnych wiadomości. Po kilku godzinach oczekiwania jeden z osady wskazał mi hippopotama, który właśnie wynurzając się z wody sunął w gęstwiny. Wystrzał z Reilly nr. 8 położył koczownika: kula przebiła mu czoło.

Trzej krajowcy z wolna zbliżyli się do nas, jakkolwiek huk wystrzału spowodował z początku pewną trwogę. Oświadczyłem im, że przeznaczam hippopotama na ucztę. Rozpoczęła się operacja lancami, zwabiając innych, tak że wkrótce pięćdziesięciu z nich rozebrali zdobyć aż do szkieletu. Sowita porcyca „suk-suka” zdobyła zaufanie do tego stopnia, że dowiedziałem się, iż: wodospad pochodzi z wód nagromadzających się w górach i tworzy rzekę na porę deszczową, lecz wysycha razem z rzeką w porze suszy. Zastyszawszy, że zmierzam do kresu jeziora, odezwali się:

„Jesteście już u końca jeziora: dalej po za zarośle dostać się nie można, bo rzeka jest tak płytka (i pokazali wysokość do kolan). Zapewniali również, że za kresem jeziora nie ma ani rzeki ani wodospadu. Wróciliśmy więc do łodzi, zwłaszcza że zerwała się burza i ledwo zdążyliśmy podnieść kotwicę dla umknięcia przed płynącą wyspą, która nacierała na nas z niesłychaną szybkością. Kraina ta nosi nazwę Quando, mieszkańcy silnie są podejrzani o ludożerstwo.

19 kwietnia. Zwróciliśmy do rzeki, usiłując przedrzeć się przez zarośla, lecz wszelkie usiłowania były bezskuteczne. Niekiedy płytkość dochodziła do tego stopnia, że tram łodzi ocierał się o dno. Woda przybiera tu kolor czarny i pić jój nie można; brak wszelkiego prądu, dno piaszczyste.

Trzymając się brzegów zarośli, przeżeglowaliśmy jezioro blisko na 40 mil od wschodu ku zachodowi, nie znalazłszy przejścia. Z masztu łodzi zauważyłem, że las zarośli (ambateh) ciągnie się daleko, a za nim pole czy też dolina okryta roślinnością, sięgająca do podnóża gór. Na przeciwległym brzegu pragnąłem zasięgnąć wskazówek od mieszkańców wioski, lecz rozproszyli się; Nogarowie zaś zebrali wojsko i stanęli w postawie nieprzyjacielskiej. Spokojnie oczekiwaliśmy końca tej wojennej ewolucji, spodziewając się jakiegoś poselstwa. Ściemniło się, odpływamy nieco od brzegu. Następnego poranku, (20 kwietnia) zbliżam się znowu do brzegu; krajowców nie widać; tymczasem bicie w bębny trwało przez noc całą. Jeden z osady wysłany na brzeg donosi, że znajdują się blisko, ukryci setkami po krzakach. Była to zasadzka. W pół godziny później przybywa pięciu krajowców z oznajmieniem, że



ich władca oczekuje nas, że przygotował dla nas mięso i merisę, i że mamy wyjść na łąd. Zaproszenia nie przyjąłem. Po półgodzinnej żegludze dopłynęliśmy do drugiej wioski. Mieszkańcy uciekli wprawdzie w góry z dobytkiem, lecz nie widać było zamachów nieprzyjacielskich. Przeciwnie, niebawem przyszło do rozmowy przez naszego tłumacza. Prosiłem ich o wezwanie władcy. Niebawem ukazał się starzec blisko 60 letni i usiadł na wybrzeżu. Udarowawszy starca hojnie szklanymi paciorkami i drutem miedzianym, zawiązałem następującą rozmowę z jego królewską mością.

*Pytanie.* Chciałbym dostać się do granicy jeziora; proszę mi wskazać, gdzie mógłbym znaleźć przejście.

*Odpowiedź.* Nie możecie przejść zarośli; niema wody.

*P.* Jaka może być głębokość w przystępnych miejscach zarośla?

*O.* (Wskazał mi głębokość na fajce, miała wynosić 15 cali).

*P.* Jest tam rzeka, przy końcu jeziora; chciałbym widzieć.

*O.* Niema rzeki tam ani gdziekolwiek; tylko na tamtym brzegu, który właśnie niedawno opuściliśmy.

*P.* Czy woda katarakty trwa ciągle?

*O.* Nie. Skoro Harif ustanie, rzeka i wodospad ustają także.

*P.* Nazwa téj rzeki?

*O.* Nie słyszałem nigdy, aby się miała nazywać.

Tak więc wszelkie usiłowania były nadaremne. Stojąca, czarna woda, piaszczyste dno, zupełny brak prądu, płytkość, wszystko to dowodziło, że za jeziorem niema rzeki. Od Vacoria do końca jeziora i po stronie zachodniej, góry spadają prostopadle do jeziora, ogołcone z drzewa budulcowego i pokryte jedynie krzakami.

...Przy pomyślnym wietrze przebyliśmy trzy katarakty, o których nam podeszły władca nadmienił. Za nadejściem nocy zerwał się silny wiatr, o północy mieliśmy huragan. O godzinie 3-ój z rana położenie nasze było rozpaczliwe.

Gwałtowne uderzenie wiatru, następujące kolejno we wszystkich kierunkach i wpychające fale, co chwila groziły zatopieniem. Wypadało powyrzucać wszystkie zapasy, nie wyłączając kotwicy i drutu. Całej osady użyłem do wylewania wody ze statku. Istna chwila agonii. Wzdłuż całego pobrzeża żadnej przystani. Wreszcie wiatr złagodniał i około 5-ój wieczorem na horyzoncie ukazało się M'Caroly.

W ciągu całej podróży nie dostrzegłem prądów; jedynie przy mocnych wiatrach południowo zachodnich woda posuwała się ku północno-wschodzie, a przy półn. wsch. ku północo-zachodowi.

Dostrzegłem jednak linię na skałach w 4 calach nad obecnym poziomem wody, ale nie śmiem utrzymywać aby ta linia oznaczała maximum podniesienia się jeziora, gdyż mieszkańcy wszystkich okolic zapewnili mnie, że wody jeziora ani się wznoszą ani opadają. W końcu wi-

nieniem nadmienić, że tylko zwiedzający jezioro Albert-Nianza w porze mokréj, mogą wytworzyć sobie wyobrażenie o niesłychanej masie deszczu spadającego w téj krainie. Długość jeziora wynosi 141 mil, największa szerokość 60 mil.

## DROGI ŻELAZNE W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PRAWA AKCYONARYUSZÓW \*).

PRZEZ

A. Wrotnowskiego.

V.

Koncesya na budowę i eksploatacyę drogi *Warszawko-Bydgoskiej* udzieloną była łącznie z koncesyą na drogę Wiedeńską, przez tę samą umowę nadawczą, pod dniem 10 października 1857 r. zatwierdzoną, i tymże samym czterem kapitalistom <sup>1)</sup>. Specyalne jedynie warunki co do drogi Bydgoskiej, objęte zostały *umową dodatkową*, jednocześnie podpisaną i zatwierdzoną <sup>2)</sup>. I w istocie, obowiązek zbudowania drogi wkładany na koncesyonaryuszów i zapewnienie im pomocy budżetowych, co do zebrania kapitału ryczałtowo na ten cel oznaczonego, wywoływały potrzebę oddzielnego aktu, mającego określać stosunek, różniący się radykalnie, od stosunków drogi Wiedeńskiej, udeteminowanych przez główny akt nadawczy.

Koncesyonaryusze przyjęli obowiązek zbudowania drogi w ciągu lat 5-ciu <sup>3)</sup> odpowiednio do warunków technicznych zatwierdzonych przez rząd, otrzymując w zamian: 1) prawo do jęj eksploatacyi na lat 75, licząc od dnia otwarcia na nięj ruchu <sup>4)</sup>, i 2) poręczenie 4<sup>o</sup>/<sub>o</sub> procentu i 1<sup>o</sup>/<sub>2</sub><sup>o</sup>/<sub>o</sub> na umorzenie kapitału, oznaczonego ryczałtowo w stosunku 45,000 rubli na każdą wiorstę jęj długości <sup>5)</sup>. Długość ta nie była

\*) Zobacz zeszyt marcowy z r. b.

<sup>1)</sup> Art. I umowy nadawczej co do drogi Warszawsko-Wiedeńskiej.

<sup>2)</sup> Art. XIII umowy dodatkowej.

<sup>3)</sup> Art. VII téjże umowy.

<sup>4)</sup> Art. II téjże umowy.

<sup>5)</sup> Art. III téjże umowy.

wówczas wiadomą. Przypuszczano iż wyniesie około 120 wiorst, skoro w ustawie tworzonego Towarzystwa akcyjnego, oznaczono jej kapitał na rubli 5,400,000 <sup>1)</sup>). Rzeczywista przeciw długości drogi od Warszawy do Aleksandrowa, wynosi wiorst 130,<sup>693</sup> <sup>2)</sup>; Towarzystwo miało więc prawo, zebrać kapitał rubli 5,886,000. Rękojmia przez rząd udzielona, zapewniała znowu, iż gdyby czysty dochód drogi, nie czynił rocznie rsr. 264,870 (co odpowiada procentowi  $4\frac{1}{2}\%$  od powyższej summy), że w takim razie wszelki na tymże dochodzie brak, dopełnianym będzie z budżetu krajowego.

Sama budowa, pożytywana za przedsiębiorstwo, także samo jak każda inna antreprzyza, dopełnioną być miała *na koszt, zysk, lub stratę* koncesyonaryuszów, (*à forfait*) <sup>3)</sup>; skutkiem czego, cała oszczędność na kosztach budowy (t. j. na kapitale rubli 5,886,000), stawałaby się prawną, sprawiedliwą i godziwą korzyścią tychże koncesyonaryuszów. Jakoż, mniejsza lub większa oszczędność musiała być przez nich spodziewaną, skoro nie jest prawdopodobnem, iżby podejmowali się budowy, jedynie w celu oprocentowania swych pieniędzy w stosunku  $4\%$  rocznie, w obec tylu innych sposobów lokacyi, nieprzedstawiających niebezpieczeństwa jakiegokolwiek bądź straty. W umowie dodatkowej przewidziano przeciw, iż gdyby kapitał po rs. 45,000 na wiorstę, okazał się być niewystarczającym na zbudowanie i urządzenie drogi, że w takim razie, koncesyonaryusze lub spółka bezimienna, mająca stać w ich prawach, będą władnemi zaciągnąć pożyczkę na dokończenie robót; wszakże ani procent, ani umorzenie zaciągniętego długu, nie będą już korzystać z poręczenia rządowego <sup>4)</sup>. W takim przeto razie, rzeczony procent i amortyzacya, musiałaby znajdować pokrycie z owego dochodu, poręczonego przez rząd; skutkiem czego ów dochód nie wystarczałby już, nawet na procent  $4\%$  od kapitału oznaczonego na budowę, i kapitaliści biorący interes, musieliby poprzestać na procencie jeszcze niższym. Ubiegaliby się przeto o antreprzyzę, *pour l'amour de l'art*, czemu znowu nikt nieda wiary.

Umowa dodatkowa będąc jedynie dopełnieniem aktu nadawczego głównego, i rozciągając do drogi Bydgoskiej wszystkie jego warunki, przez tęż umowę dodatkową nie zmienione <sup>5)</sup>, a zestawione w poprzedzającym rozdziale, postanowiła nadto: że zaliczenia czynione corocznie na uzupełnienie poręczonego dochodu, będą rządowi zwracane, procentem w stosunku  $4\%$ , skoro czysty dochód drogi znacznie przewyższać ową poręczoną cyfrę <sup>6)</sup>. Ilekroć zaś czysty dochód drogi, przewyższy

<sup>1)</sup> § 7 ustawy Towarzystwa.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie za rok 1875.

<sup>3)</sup> Art. I i XIII umowy dodatkowej, w związku z art. I umowy nadawczej.

<sup>4)</sup> Art. V umowy dodatkowej.

<sup>5)</sup> Art. XIII téjże umowy.

<sup>6)</sup> Art. VI téjże umowy.



znowu 6 $\frac{1}{2}$ % od kapitału oznaczonego na kosztą budowy, trzecia część téjże przewyżki, oddawaną być winna na rzecz rządu <sup>1)</sup>.

Otrzymujący nadanie, zawiązując niezwłocznie spółkę bezmieniemą, niezaniechali podstawić jój we wszelkie swe prawa i we wszelkie swe zobowiązania. Jako przedmiot téjże spółki, mającej istnieć lat 75 <sup>2)</sup>, wskazaną była „budowa i eksploatacyą drogi żelaznej od Łowicza do granicy Pruskiej w kierunku Bydgoszczy <sup>3)</sup>“. Inny przepis ustawy spółkowej zastrzegł: że „założyciele ustępują i przelewają na Towarzystwo, wszelkie prawa do budowy i eksploatacyi drogi, jakie im umową nadawczą są nadane;“ że „skutkiem takiego ustępstwa i przelewu, Towarzystwo podstawia się wprost i bezwarunkowo, w miejsce i położenie otrzymujących nadanie, we wszystkiém co się tyczy praw, im przez umowę nadawczą udzielonych, jak również co do wszelkich zobowiązań które z niój wynikają <sup>4)</sup>.

Droga zbudowaną być miała za fundusze ogółu, t. j. dostarczone przez publiczność, a zarazem poręczone przez budżet krajowy. Towarzystwo otrzymało bowiem prawo wypuszczenia 54,000 sztuk akcji sto rublowych, z możliwością powiększenia tego kapitału spółkowego, przez dodatkową emisją akcji, w granicach 45,000 rubli na wiorstę, a więc o sumnę rub. 486,000 lub przez zaciągnięcie długu. Dla zachęcenia zaś publiczności do udziału w tém przedsięwzięciu, rząd poręczył akcyonaryuszom dochód czysty po rub. 2025 na każdą wiorstę drogi <sup>5)</sup>. 1-sza serya akcji w ilości 14,000 sztuk rozebraną została przez czterech założycieli <sup>6)</sup>; jednakowoż, postarali się oni większą część tychże akcji rozdać niezwłocznie znacznej liczbie osób, przyjmując od nich zobowiązania (subskrypcye) pod względem wpłaty *al pari*, po 100 rub. na każdą akcyą. Do uczestnictwa w przedsięwzięciu, subskryptorowie ci, także byli zachęconemi nadzieją udziału w jego zyskach. Jakoż, mieli wszelką zasadę oczekiwać, iż z kapitału dochodzącego do 6,000,000 rubli, da się otrzymać mniejsza lub większa na budowie oszczędność, która w następstwie pomiędzy akcyonaryuszów zostanie podzieloną. Nic bowiem nie upoważniało do opierania rachunku na wysokości dochodów eksploatacyi po otworzeniu ruchu na drodze; samo poręczenie rządowe, dozwalało raczej przewidywać, że nawet procent 4% od akcji, nie da się pokryć bez dopłat czynionych przez rząd. Że zaś tak niska stopa procentowa pociągnąć publiczności nie byłaby zdolną, obok zwłaszcza *risico* połączonego z naturą każdego takiego przedsięwzięcia, uczestnictwo przeto brane w spółce, przypisać należy zaufaniu do samychże założycieli, zaufaniu niedopuszczającemu téj myśli, iżby oni

1) Art. XI umowy dodatkowój.

2) § 5 ustawy Towarzystwa.

3) § 2 téjże ustawy.

4) § 6 téjże ustawy.

5) Artykuł III umowy dodatkowój i § 7 ustawy Towarzystwa.

6) § 9 ustawy Towarzystwa.

podjęli się byli przedsięwzięcia budowy bez dokładnych obliczeń rokujących oszczędność.

Nadmienić należy, że chociaż założyciele zastrzegli dla siebie: *a*) rentę założycielską i *b*) prawo do wzięcia *al pari* dwóch trzecich części akcji emisji następnych (zupełnie tak samo jak w Towarzystwie warsz.-wiedeńskim), oba te prawa <sup>1)</sup> nie przyniosły im dotąd i wedle wszelkich danych nie przyniosą im i na przyszłość żadnej korzyści. Do pobierania renty założycielskiej nie przyjdzie bezwątpienia, niema bowiem nadziei, by w obec budujących się i jeszcze zamierzonych dróg żelaznych, Towarzystwo było kiedykolwiek w możności uiszczać procent od akcji i fundusz na ich umarzanie, bez dopłat ze strony rządu, czynionych na skutek danej przez niego gwarancji. A gdyby nawet czyste dochody z eksploatacji, przewyższyły kiedykolwiek sumę potrzebną corocznie na tenże procent i na tęg amortyzacją, jeszcze i wtedy wszelka przewyżka nie przeistoczy się w naddywidendę dla akcyonaryuszów, ale będzie musiała być obracaną na zwrot zaliczeń rządowych, już obecnie 2,110,787 rub. 75 kop. wynoszących <sup>2)</sup> i procentów, przypadających rządowi za długi okres czasu od tychże zaliczeń. Żadna znowu dodatkowa emisja akcji nie jest możliwą, wobec dzisiejszego ich kursu; niema zaś zasady do przypuszczenia, iżby tenże kurs kiedykolwiek przeszedł imienną ich wartość. Przy emisjach zaś dopełnionych dotychczas, założyciele z prawa wzięcia dwóch trzecich części akcji nie korzystali wcale.

Jedyna przeto korzyść i akcyonaryuszów i samychże założycieli, jako zatrzymujących udział w przedsięwzięciu i przyjmujących na siebie jego kierownictwo <sup>3)</sup>, mogła się znaleźć w oszczędnościach na saméjże budowie drogi. Ułatwiała zaś zadanie ta wyjątkowa okoliczność, iż rys drogi nie był poprzednio przez inżynierią rządową zaprojektowanym i sama koncesya udzieloną została bez sporządzania anszlagów i kosztorysów; z kąd wynikała dla przedsiębiorcy nieograniczona swoboda wyboru kierunków najłatwiejszych i najtańszych i koncesyonaryusze przystąpili do interesu na podstawie własnych studyów i własnych obliczeń. Nie pozostawało więc, jak przedewszystkiem przyjąć stałą metodę działania, albo prowadzić roboty administracyjnie, gromadząc dla Towarzystwa oszczędności jakieby się na poszczególnych kategoriach osiągnąć dały; albo podzieliwszy drogę na oddziały, same zaś na każdym z oddziałów roboty na odpowiednie kategorie, przywołać podantrepreneurów i zachowując nad nimi kontrolę Towarzystwa, starać się dlań o rabat od cen do swego własnego kosztorysu wprowadzonych; albo wreszcie oddać całą budowę jednemu przedsiębiorcy za cenę niższą od oznaczo-

1) Ostatni ustęp § 8 i § 43 ustawy Towarzystwa.

2) Sprawozdanie za rok 1875. Aneks XXIV i artykuł VI umowy dodatkowej.

3) §§ 20 i 21 ustawy Towarzystwa, także samo jak w ustawie wiedeńskiej. *confer.* przypisek 1, str. 392 Bibl. Warsz. za marzec r. b.

nę w umowie nadawczej. W każdej zaś z tych trzech alternatyw, a zwłaszcza przyjmując ostatnią z nich, należało pośpiech robót mieć przedewszystkiem na oku, mianowicie zaś, dopilnować by ruch na drodze otworzonym został w dwa, a najpóźniej w trzy lata, zamiast lat pięciu zakreślonych przez akt nadawczy, by przyspieszając tym sposobem zastosowanie gwarancyi rządowej, pokrywać procent od kapitału akcyjnego z dochodów eksploatacyi, uzupełnianych przez rząd, a tém samém zwolnić fundusz budowy od ciężaru tegoż procentu <sup>1)</sup>).

Kierownicy spółki bezimiennęj, potrzebowali przecież 2 lat czasu na uczynienie wyboru między powyższemi metodami działania. Jakoż dopiero na trzecim ogólném zebraniu w r. 1861, akcyonaryusze mieli sobie doniesioném, że w roku poprzednim, rada zarządzająca zawarła układ z braćmi Rische z Brukseli, którzy zobowiązali się wybudować drogę, *przyjmując w zapłacie akcyje Towarzystwa al pari*; że tenże układ *opiera się na kosztorysach*, że wreszcie rada zarządzająca pozostawiła braciom Rische emisją akcyi 2-ięj seryi, 8972 sztuk, po rubli 500 każda <sup>2)</sup>). W dwa zaś lata później, akcyonaryusze usłyszeli, że bracia Rische podjęli się budowy za sumę *ryczałtową* rub. 5,182,704, Towarzystwo zaś na roboty przygotowawcze, koszt nabycia gruntów, umebłowanie sal i biur, umundurowanie służby i sprawienie sprzętów i narzędzi dla warsztatów, tudzież na koszta administracyi w czasie budowy i na *procenta od akcyi*, wydało rub. 703,296, co uczyni razem rub. 5,886,000 *i co własnie równa się co do kopiejki kapitałowi przez rząd zagwarantowanemu*, czyli funduszowi, za który Towarzystwo podjęło się antreprzyzy zbudowania drogi <sup>3)</sup>).

<sup>1)</sup> Towarzystwo zapłaciło procentów z kapitału budowy w roku 1860 rubli 15,789 kop. 90, w r. 1861 rub. 69,160 kop. 59 i w r. 1862 rubli 212,749 kop. 71; razem rub. 297,700 kop. 20.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie za rok 1860 str. 4 i mowa prezesa Towarzystwa do tegoż sprawozdania dołączona.

<sup>3)</sup> W sprawozdaniach drogi Bydgoskiej spotykamy niezgodności, których rozjaśnić nie umiemy. I tak: w sprawozdaniu za r. 1862 czytamy, iż bracia Rische podjęli się budowy za cenę rycznałtową rub. 5,182,704; w sprawozdaniu znowu za r. 1863, że ciż bracia Rische mieli obowiązek zrobić ogrodzenia i wały ochronne od śniegów, jednak w skutek późniejszej umowy, sumę *kosztorysu* na te roboty przeznaczoną, odstąpili Towarzystwu (str. 2). Istniał więc jednocześnie i *kosztorys* (już poprzednio wspomniany w sprawozdaniu za rok 1860 str. 4) i *ryczałtowość*, czyli antreprzyza *à forfait*. Z drugiej zaś strony, bracia Rische powinni byli otrzymać wyż wzmiankowaną sumę rubli 5,182,704 zmniejszoną o wartość ogrodzeń i wałów ochronnych. Tymczasem otrzymali oni od Towarzystwa rub. 5,193,451 kop. 96 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>, o czém znowu poucza aneks XV przy sprawozdaniu za rok 1867. Na te i inne podobne niejasności sprawozdań nie kładziemy przecież żadnego nacisku, gdyż one na rezultat przedsięwzięcia nie miały wpływu, musiały zaś być rozjaśnionemi przez komisję rewizyjną, skoro na jęj wniosek rada zarządzająca otrzymała naj-



Oświadczenie powyższe przekonało więc akcyonaryuszów, że całe przedsiębiorstwo żadnego nie da zysku ani na cenie, ani na czasie zakreślonym przez rząd. Rzeczywiście zaś, Towarzystwo znalazło się nawet w obec pewnego niedoboru, skoro ogólna suma kosztów budowy z końcem 1866 roku wynosiła nie rubli 5,886,000 ale rub. 5,960,630 kop. 34½, a więc o rub. 74,630 kop. 34½ więcej nad kapitał poręczony przez rząd, mianowicie zaś po rubli 45,501 kop. 31, zamiast po rubli 45,000 na wiorstę długości drogi <sup>1)</sup>).

Towarzystwo nie umiało przeto z położenia swego wyciągnąć możliwych korzyści; założyciele zaś, zamiast się sami emisją akcji 2-iej seryi zająć i zaopiekować, a z braćmi Rische umawiać się na gotowiznę, zapłacili ich temż akcyami; zaczęm poszło, iż postąpili im cenę przynajmniej o 20% wyższą nad koszt i wartość. O czém wkrótce sami się przekonać mieli sposobność, gdyż bracia Rische zaraz w r. 1862 wystawili na sprzedaż akcye otrzymane w zapłacie, i tym celem ogłosili w Amsterdamie publiczną subskrypcyą po 82%. Strącając jeszcze z téj ceny kosztu i prowizye bankierskie przy każdej takiej subskrypcyi nieuniknione, nie otrzymali oni gotowizną nawet 80% ceny, jaką im Towarzystwo za budowę drogi przyznało. Że zaś wiadomo, iż nawet obok téj kombinacyi finansowej, przynoszącej im zaledwo 4,000,000 rubli, zamiast owych 5,193,451 kop. 96½ zamieszczonych w sprawozdaniu za rok 1867, jako zapłaty im przez Towarzystwo dopełnionej, jeszcze na swój antreprezyje nie stracili; jasny ztąd wniosek, że byliby się chętniej podjęli zbudowania drogi za sumę 4,000,000 rubli płatną gotowizną, niż za sumę 5,193,000 rubli płatną akcyami, dla których dopiero szukać musieli umieszczenia.

Kombinacya finansowa założycieli z braćmi Rische, acz nie obca zwyczajom handlowym, nie odpowiadała przecież pojęciom o kontrakcie spółki bezimiennéj. Podstawą i warunkiem istnienia takiej spółki, jest zebranie kapitału oznaczonego w akcie jéj zawiązania; o ileby zaś tenże kapitał w całości zebrany być nie mógł, spółka musi być wtedy poczytaną za niedoszłą do skutku, lub ulega rozwiązaniu <sup>2)</sup>. Konce-

rozciąglejsze i najogólniejsze zakwitowanie od ogólnego zebrania akcyonaryuszów.

<sup>1)</sup> Sprawozdanie za rok 1866 str. 2 i dołączony tamże aneks IX.

<sup>2)</sup> Pojęcia te są koniecznym następstwem różnicy zachodzącej pomiędzy spółką firmową lub komandytową, a spółką bezimienną. Osobista i solidarna odpowiedzialność spółników firmowych, będąca główną cechą kontraktu i rękojmią dla osób trzecich, nie istnieje w spółkach bezimiennych; rękojmię tę przeto daje sam kapitał spółkowy. Dopóki ten kapitał nie jest uzupełnionym, spółka bezimienna ostatecznie założoną nie jest. Zebranie tego kapitału, (uozy *Troplong*) jest pierwszym zadaniem założycieli (*Commentaire du contrat de société nr. 425*). „L'objet de la société étant donné,” (pisze inny znowu uczony), „voyons comment elle va s'organiser? il faut avant tout un capital” (*Traité des sociétés commerciales p. Michel Fourcix*. Paris, 1856 str. 126.

syonaryusze, nie zebrawszy ani odpowiedniej liczby uczestników spółki jaką zawiązać przyrzekali, ani kapitału jaki na budowę drogi był potrzebny, sami o sobie dali świadectwo, iż wchodząc w układ z rządem, siły swe przeceniali, iż podjęli się wykonać przedsięwzięcie, które większego kredytu, i większego na świat handlowy wymagało wpływu, nad kredyt i wpływ, jakimi oni rozporządzali. I w istocie, kto w obec rządu stawia się jako konkurent do dzieła téj doniosłości, jak budowa drogi żelaznej, i w umowie z rządem publicznie poręcza, iż dzieło to wykona albo własnymi środkami, albo kapitałem, oznaczonym liczebnie dla spółki, jaką w tym celu zawiązać oświadcza się być gotowym, ten powinien się uprzednio upewnić, iż jedno lub drugie zobowiązanie urzeczywistni. Niezłożenie całego kapitału potrzebnego na koszt budowy, i niemożność zebrania tegoż kapitału od uczestników zawiązanej spółki, a więc niemożność znalezienia dostatecznej ich liczby, przyniosła jednocześnie smutny zawód dla tych, którzy do przyjęcia udziału w interesie namówieni, zobowiązali się byli zapłacić *pari* za akcje seryi 1-jej w przekonaniu, że koncesyonaryusze zakładają spółkę na seryo, i że już mają wszelką pewność pod względem umieszczenia wszystkich 54,000 sztuk akcji. Jakoż, godzi się wątpić, czy ktokolwiek byłby był się zgodził na wzięcie akcji *al pari*, gdyby był miał jakąkolwiek wątpliwość co do zebrania całego kapitału oznaczonego w ustawie Towarzystwa na 5,400,000 rub., i gdyby jednocześnie nie miał był nadziei iż przedsięwzięcie budowy drogi przyniesie zysk i korzyść.

Kombinacya finansowa braci Kische z bankierami w Amsterdamie, to dla owych subskryptorów 1-jej emisji spowodowała następstwo, iż rozebrane przez nich akcje spadły z dnia na dzień w kursie o 18%. I nie mogło stać się inaczej, skoro publiczność dostawała już po 82% zupełnie takież same akcje przez braci Rische w Amsterdamie wystawione na sprzedaż.

Zysk lub strata na antrepryzach podejmowanych bądź przez osoby pojedyncze, bądź nawet przez spółki udziałowe, firmowe lub komandytowe, jako rezultat działalności prywatnej, nie może być przedmiotem ani ocenień w druku, ani krytyki; wymaga tego nietykalność, przynależna stosunkom prywatnym. Spółki bezimienne wychodzą przecież poza granice dla stosunków prywatnych zakreślone. Zezwolenie rządu konieczne do zawiązania każdej takiej spółki, do wypuszczenia papierów publicznych na okaziciela wystawianych, notowanie ich kursu na wykazach giełdowych, wpływ władzy prawodawczej, przeistaczający każdy warunek kontraktu spółkowego w przepis, acz specjalny, nie mniej przecież obowiązujący dla ogółu na równi z przepisami kodeksu,

„La société anonyme” (czytamy wreszcie w dziele: *Manuel de droit commercial* p. Bravard - Veyrières str. 23) „a son actif et son passif, mais n'étant composée que de choses, que d'une réunion de capitaux, la garantie qu'elle offre au public ne s'étend pas au dela.” Porównać wreszta przepisy artykułów 1833 ust. 2, 1845 ust. 1, i 1846, Kod. Nap., z art 49. 30. 33. 40 i 45 Kod. handl.



przywileje nadawane Towarzystwu na cały czas jego istnienia, sama wreszcie organizacja takich spółek, ich ogólne zebrania, obowiązek ogłaszania sprawozdań i bilansów, ileż to cech świadczących że wszystko co się do takich spółek odnosi, już należy do dziedziny publicznej. Tém bardziej należą do niej towarzystwa akcyjne mające za przedmiot budowę i eksploatacją dróg żelaznych, skoro są poddane nadzorowi rządowemu i korzystają z gwarancyi wkładającej ciężary na budżet krajowy. Są to już raczej *instytucje publiczne*, zawdzięczające ogółowi swój początek, i istniejące dla ogółu przy pomocy tegoż ogółu, niemożące się przeto wyłamywać z pod kontroli publicznej.

Cyfra zysku lub straty na antrepryzie budowy drogi żelaznej, jest bezwzględnie obojętną dla ogółu. Pytania wszakże, czy korzyści są rozdzielone sprawiedliwie, bez wzbogacenia jednych z krzywdą drugich, lub gdzie szukać przyczyny zubożenia znacznej liczby osób w razie straty, stanowią już przedmiot ogólniejszego interesu, i zwracać muszą uwagę czytających i piszących. Z tego więc stanowiska rozpatrując sprawozdania i bilanse Towarzystwa drogi Bydgoskiej, nie możemy przemilczeć, iż znaczna liczba osób, powołana przez koncesyonaryuszów do przyjęcia uczestnictwa w tej spółce, *utraciła jedną piątą część funduszów*, przyniesionych na budowę téjże drogi. Ta strata wyniknęła znowu z niedostatecznej troskliwości tychże koncesyonaryuszów, którzy płacąc braci Rische akcyami zamiast gotowizną, powinni byli przynajmniej urządzić rzeczy w ten sposób, iżby i subskryptorowie 1-jej seryi, otrzymać mogli akcye liberowane po kursie 82%. Gdy zaś przepomnieli o tym szczególe, jest więc zasada do wniosku, że ciż koncesyonaryusze przy układzie z braćmi Rische na interes swych spółników, nie mieli należytego względu.

Z całego zaś sposobu poprowadzenia przedsięwzięcia przez tychże koncesyonaryuszów przyjętego, możnaby nawet przypuszczać: że poczytując budowę drogi Bydgoskiej, za ciężar, za narzucony warunek, od którego udzielenie koncessyi na drogę Wiedeńską było zależném, po otrzymaniu téjże koncessyi i po pozbyciu ile się dało z 14,000 sztuk akcyi seryi 1-jej, na wykonanie obowiązków umową dodatkową opisanych, już *ab initio* mniejszą zwracali uwagę; pierwsze bowiem przedsięwzięcie przeprowadzili dobrze i dla siebie i dla akcyonaryuszów, chociaż lepiej dla siebie niż dla nich; drugie zaś z widoczną ich szkodą.

W dalszém obniżeniu kursu akcyi Bydgoskich <sup>1)</sup>, nie można już po stronie rzeczonych koncesyonaryuszów dopatrzeć winy; obniżenie to bowiem, było następstwem podwyższenia stopy procentowej, zaszłego w całej Europie, i w obec kursu pięcioprocentowych listów zastawnych (nie o wiele przechodzącego 90%), nikogo u nas nie powinoby dziwić. W chwili przecież subskrypcyi na akcye Bydgoskie ogłoszonej w Amsterdamie, listy zastawne czteroprocentowe stały wyżej *pari* i na tutejszj giełdzie regulowały kurs papierów przez rząd poręczonych.

<sup>1)</sup> Przecięciowy ich kurs od lat kilku jest 70%.



Położenie przeto subskryptorów akcji 1-jej seryi, nie jest do pozazdrosczenia, zwłaszcza gdy finansowy stan Towarzystwa, żadnego w przyszłości polepszenia nie rokuje. Wprawdzie Towarzystwo zbudowało jeszcze odnogę z Aleksandrowa do Ciechocinka, wiorst 7<sup>200</sup>, długość przeto całej drogi wynosi wiorst 137,<sup>893</sup> <sup>1)</sup>, i z mocy 2-jej umowy dodatkowej z dnia 8 listopada 1868 r., kapitał spółki udeterminowanym został ostatecznie na rub. 6, 201,000, a roczny czysty dochód drogi, poręczony przez rząd na rub. 279,045 <sup>2)</sup>. Towarzystwo wypuściło więc dodatkowo 3150 sztuk akcji storublowych <sup>3)</sup>, czyli podniosło swój zakładowy kapitał o rub. 315,000 <sup>4)</sup>, tak, że procent i amortyzacja kapitału spółkowego, dorównywa już co do kopiejki, czystemu dochodowi drogi, poręczonemu przez rząd. Co znowu jest dowodem: a) że nawet oszczędność na kosztach budowy drogi z Aleksandrowa do Ciechocinka, położenia nie polepszyła <sup>5)</sup>; b) że jakkolwiek opłata procentów i amortyzacja akcji są zapewnione, przecież struna jest wyciągniętą do możliwych granic; i c) że w razie zaciągnięcia długu, Towarzystwo musiałoby część poręczonego dochodu odłączyć na procenta i na umarżanie tegoż długu <sup>6)</sup>, a tém samém stopę procentową od samych akcji, obniżyć w odpowiednim stosunku.

Towarzystwo nie posiada żadnego funduszu zasobowego <sup>7)</sup>, a chociaż remanent na rachunku budowy wynosi rub. 83,998 kop. 77 $\frac{1}{2}$  <sup>8)</sup>, równoważy się on znowu z różnicą między kosztem budowy drogi a ceną *à forfait* przez rząd oznaczoną. Towarzystwo bowiem wydatkowało na budowę po rub. 45,490 kop. 81 zamiast po rub. 45,000 na wiorstę, (rub. 6,277,732 kop. 63 $\frac{1}{2}$ , zamiast 6,201,000) <sup>9)</sup>.

Posiada ono 33 parochodów i 641 powozów i wagonów <sup>10)</sup>, nie jest więc zbyt zasobnym w tabor, za który zapłaciło rub. 1,058,639 kop. 20 $\frac{1}{2}$  <sup>11)</sup>; gdyby przeto rząd odbierał drogę z tymże taborem, prze-

<sup>1)</sup> Sprawozdanie za rok 1875 str. 1.

<sup>2)</sup> Toż sprawozdanie str. 2.

<sup>3)</sup> Upoważnienie ministra finansów z dnia 27 kwietnia 1874 r.

<sup>4)</sup> Aneks XXVII przy sprawozdaniu za rok 1874.

<sup>5)</sup> Budowa tej odnogi kosztowała rub. 203,101 kop. 67, czyli po rub. 29,000 na wiorstę, (sprawozdanie za rok. 1874), rząd zaś podniósł cyfrę danego przez siebie poręczenia o rub. 14,175 rocznie, co jest procentem i amortyzacją (4 $\frac{1}{2}$ <sup>0</sup>/o) od kapitału 315,000 rub.

<sup>6)</sup> Art. V umowy dodatkowej.

<sup>7)</sup> Bilans za r. 1875. Zbieranie tego funduszu, przynajmniej do wysokości rub. 100,000, jest zastrzeżonem przez §§ 43 i 45 ustawy Towarzystwa.

<sup>8)</sup> Aneks XVI sprawozdania za r. 1875.

<sup>9)</sup> Bilans i sprawozdanie za r. 1875.

<sup>10)</sup> Toż sprawozdanie, aneksy XI i XII.

<sup>11)</sup> Tytuł XII pozycya a aneksu XVI dołączonego do tegoż sprawozdania.

wyżka nad 5,000 rub. na wiorstę, czyli na summę rub. 690,000 <sup>1)</sup>, wynosząca jedynie około 368,000 rub. pokryłaby część zaledwie zaliczeń rządowych już rub. 2,110,787 kop. 75 a z procentami, znacznie więcej wynoszących <sup>2)</sup>, i znowu z téjże kategorii nicby akcyonaryuszom nie przypadło przy likwidacji spółki. Ruch na drodze wzrasta bardzo powoli; w r. 1875 przewieziono po niej osób 402,612, towarów 17,349,870 pudów i pakunków 150,413 pudów <sup>3)</sup>. Eksploatacja przyniosła dochodu *brutto* rub. 1,038,360 kop. 60; potrąciwszy wszakże koszta utrzymania drogi i koszta administracji, (między któremi same płace służby uczyniły rub. 173,362 kop. 13 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>), czysty dochód nie wystarczył na pokrycie procentu i amortyzacji kapitału spółkowego, skutkiem czego posiłkowano się zaliczeniem rządowem rub. 75,134 kop. 66 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> <sup>4)</sup>. Nic znowu nie zapowiada lepszych w przyszłości rezultatów eksploatacyjnych, w obec tylu innych dróg w handlu przewozowym z drogą Bydgoską konkurujących; miejscowy zaś przemysł nie nabiera rozwoju, czego najlepszym dowodem fakt, iż boczne linie do zakładów przemysłowych dotychczas zbudowane, mają długości tylko wiorst 3, <sup>658</sup> <sup>5)</sup>.

Subskryptorowie akcyi seryi 1-éj, uwięzili więc fundusz na bardzo długo; muszą bowiem wyczekiwać na wylosowanie swych akcyi, do tego zaś czasu porzestawać na procencie tylko 4% rocznie.

## VI.

Koncesyonaryusz drogi *Warszawsko-Terespolskiej* postąpił inaczej.

W umowie nadawczej pod dniem 21 października 1864 r. zatwierdzonej, przyjął on obowiązek zbudowania drogi od Warszawy do Terespolu, na *swój* koszt, zysk lub stratę, albo na koszt, zysk lub stratę *spółki bezimiennéj*, do zawiązania której jednocześnie uzyskał upoważnienie <sup>6)</sup>. Rząd oznaczywszy ryczałtowo koszt zbudowania téj drogi (*à forfait*) na rubli 53,000 w złocie, za każdą wiorstę jéj długości, ze swéj strony poręczył, że czysty dochód téjże drogi uczyni corocznie najmnieéj 5% w złocie od powyższego kapitału, czyli po rs. 2,650 w złocie na każdą wiorstę, tudzież fundusz na umorzenie tegoż kapitału, w stosunku 0,132161% (około <sup>2</sup>/<sub>15</sub>%) także w złocie. Poręczenie to <sup>7)</sup> udzieloném zostało na cały czas nadania, mającego trwać lat 75 od dnia

<sup>1)</sup> Art. XXII umowy nadawczej, w związku z art. XIII umowy dodatkowej.

<sup>2)</sup> Aneks XXIV sprawozdania za r. 1875, poz. 7-a stanu biernego i art. VI umowy dodatkowej.

<sup>3)</sup> Sprawozdanie za r. 1875 str. 9 i 11.

<sup>4)</sup> Sprawozdanie za r. 1875 str. 52.

<sup>5)</sup> Sprawozdanie za r. 1875 str. 3.

<sup>6)</sup> Artykuł 1 umowy nadawczej.

<sup>7)</sup> Artykuł 8 i 9 umowy nadawczej i §§ 7 i 42b ustawy Towarzystwa.

otwarcia całej linii <sup>1)</sup>, i stosowanem być miało do każdego z oddziałów, na jaki też droga została w tym celu podzieloną. Mianowicie zaś, uznano za oddział I linię z Warszawy do Kałuszyna, za oddział II z Kałuszyna do Siedlec i Żukowa, za oddział zaś III od tych miejscowości do Terespoła. Umówiono się przeto, że poręczenie zacznie mieć skutek co do każdego z osobna oddziału, licząc od dnia otwartego na nim ruchu; po otwarciu zaś całej linii stosować się będzie do wszystkich oddziałów w ogóle, gdyż czysty z nich dochód zleje się wtedy w jedną całość <sup>2)</sup>. Przyjęto wreszcie, także samo jak co do drogi Bydgoskiej zastrzeżenie: że zaliczenia rządowe czynione corocznie na skutek rzeczzonego poręczenia, uważane będą jako pożyczki i mają być rządowi zwracaniem, z procentem w stosunku 5% rocznie, ilekroć czysty dochód drogi, przewyższy cyfrę dochodu poręczonego <sup>3)</sup>, i że jedna trzecia część przewyżki czystego dochodu nad 6% należeć będzie do rządu <sup>4)</sup>. Koncesyonaryusz otrzymał także prawo, ustąpienia służących sobie nadań, na rzecz spółki bezimiennój <sup>5)</sup>.

Odnosnie do przedmiotu jaki nas w tém miejscu zajmuje, ustawa dla téjże spółki, różni się od ustawy Towarzystwa drogi Warszawsko-Bydgoskiej, w tych jedynie punktach:

a) że na żądanie otrzymującego nadanie, dozwołonem zostało Towarzystwu drogi Terespolskiej zebrać kapitał spółkowy: 10,200,000 rubli, nie w samych akcyach, ale w akcyach i obligacyach storublowych <sup>6)</sup>.

b) że 1 serya akcyi miała się składać z 30,000 sztuk <sup>7)</sup>; że nie trzecia część (jak w Towarzystwie Warszawsko-Bydgoskiem), ale dwie trzecie części, następnych seryi, pozostawi się dla posiadaczy akcyi seryi 1-szej; zaś, nie dwie trzecie (jak w rzeczonym Towarzystwie) ale jedna trzecia część, zachowaną będzie do rozporządzenia założyciela <sup>8)</sup>.

c) że wreszcie, objaśniono wyraźnie: iż przez cały ciąg czasu budowy i aż do dnia otwarcia eksploatacyi, procent 5% rocznie akcyonaryuszom uiszczanym będzie z kapitału na tę budowę przeznaczonego, a który aż do owéj chwili nie przynosił dochodu <sup>9)</sup>.

1) Art. 6 umowy nadawczej.

2) Art. 9 téjże umowy.

3) Art. 14 téjże umowy.

4) Art. 15 téjże umowy.

5) Art. 1 i 16 téjże umowy.

6) Art. 4 i 16 téjże umowy i § 7 ustawy Towarzystwa.

7) § 8 téjże ustawy, i upoważnienie rządowe, wyrażone w odezwie ministra sekretarza stanu z dnia 8 grudnia 1864 r., tudzież akt, spisany d. 21 grudnia t. r. między naczelnikiem Zarządu komunikacyi w Królestwie z jednéj, a koncesyonaryuszem z drugiey strony.

8) § 8 ustawy Towarzystwa.

9) § 42 téjże ustawy.



Przystępując do zawiązania Towarzystwa akcyjnego i znaczną liczbę osób powołując do przyjęcia w nióm udziału, koncesyonaryusz przyniósł był obmyśloną już metodę działania, którą jako prezes Towarzystwa <sup>1)</sup> konsekwentnie przeprowadził. Mianowicie zaś:

1) Przedewszystkiem rozdzielił kapitał spółkowy na akcye i obligacye, a wypuszczając tychże obligacyi na sumę 5,000,000 rub., postawił spółkę bezimienną w potrzebie zebrania od wszystkich uczestników już tylko 5,200,000 rubli. Co miało znowu ten skutek, iż wszelka oszczędność na kapitale budowy, rubli 10,200,000 wynoszącym, stając się własnością samych akcyonaryuszów, musiała się dla nich w przyszłości zdwajać; rozdzielała się bowiem w stosunku 5,200,000, nie zaś w stosunku 10,200,000, skoro posiadacze obligacyi, będący jedynie wierzycielami spółki bezimiennéj, udziału w jéj korzyściach brać nie mieli już tytułu.

2) Przenosząc solidność interesu, chociażby przy mniejszych korzyściach dla akcyonaryuszów, nad straty, a chociażby nad samo niebezpieczeństwo mogące dotknąć spółkę, w razie niewykończenia drogi, dobrze i w czasie jak można najkrótszym, powołał do budowy przedsiębiorców angielskich Vignolsa i Brassey'a; pierwszy z nich, jako inżynier, znany z dokładności dokonanych poprzednio robót za granicą i w Cesarstwie, dawał Towarzystwu rękojmię pod względem dobroci budowy; drugi znowu, jako znany konstruktor i zarazem przedstawiciel zamożnej i szanowanej firmy w Londynie, przynosił z sobą pewność co do wykończenia drogi na oznaczony termin. Gdy zaś przygotowawcze studia i wytknięte kierunki drogi, z jednéj, a cena zażądana przez rzeczonych przedsiębiorców, i przyrzeczony przez nich pośpiech robót, z drugiéj strony, dozwalały przewidywać, iż budowa ta da się dokonać z oszczędnością przynajmniej 520,000 rubli na kapitale, ryczałtowo przez rząd ustanowionym; ta przeto summa, jeszcze przed rozpoczęciem robót, wyobrażała już *minimum* oszczędności na tymże kapitale, (10,200,000 rub); co postawiło założyciela w możności zażądania od 1-szych subskryptorów akcyi, tylko po 90 rub., pozostawiając w ich ręku po rub. 10 tytułem udziału w zysku otrzymanym na przedsięwzięciu przez Towarzystwo podjętém. Wedle bowiem pojęć kodeksowych <sup>2)</sup>, i odpowiednio do deklaracyi subskrypcyjnych, każdy z nich

<sup>1)</sup> Podług § 20 ustawy Towarzystwa, założyciel miał być przez lat 5 prezesem, a przez lat 15 członkiem rady zarządzającej. (*Confer.* przypiski: 1, str. 392 za m. marzec, i 3, str. 116 za m. kwiecień Bibl. Warsz. z r. b.).

<sup>2)</sup> Art. 1833 Kod. Napol: „chaque associé doit apporter à la société ou de l'argent, ou d'autres biens, ou son industrie“. Art. 1845 tegoż kodeksu: „chaque associé est débiteur envers la société de tout ce qu'il a promis d'y apporter.“ Art. 1846 tegoż kodeksu: „l'associé qui devait apporter une somme dans la société, et qui ne l'a pas fait, devient de plein droit et sans demeure, débiteur des interrets de cette somme à compter du jour ou elle devait être apportée.“ Uczy téz Troplong że „tout associé est débiteur envers la société du montant de son action.“ (*Commentaire du contrat de Société* n. 457).

był w prawnym obowiązku uiścić po 100 rub., na każdą akcyą, i w razie nieotrzymania żadnej oszczędności na budowie, byłby był musiał summę tę do kasy spółkowej całkowiec wpłacić. Wydanie więc każdemu z nich storublowej akcyi całkowiec wpłaconej (liberowanej), pomimo uiszczenia jedynie 90 rub., nie da się pojąć inaczej, jak za rozdział zysku spółkowego, będącego wyrazem owęj oszczędności na kapitale, oznaczonym przez rząd *à forfait* na cel zbudowania drogi. Jakżż gdy istniał zysk spółkowy, przypadający do rozdziału pomiędzy akcyonaryuszów, po rub. 10 na każdą akcyą, i gdy nawzajem, każdy z nich miał obowiązek dopełnić ostatnią wpłatę w takięjże wysokości, znaleźć przeto musiała zastosowanie *kompensata* kodeksowa <sup>1)</sup> i uwolnienie subskryptorów od wniesienia rzeczonęj wpłaty, inaczej ze stanowiska prawnego wytłumaczyć się nie da <sup>2)</sup>

3) Wchodząc zaś w układ z Vignolsem i Brasseyem na podstawie ceny dającęj im także widoki zysku na podejmowanęj budowie, koncesyonaryusz zażądał od nich przedewszystkiem możliwego pośpiechu robót i włożył na nich obowiązek wykończenia oddziału do Łukowa, przed końcem roku 1866, a całej drogi najpóźniej w ciągu r. 1867. Każde przedsięwzięcie podjęte *en gros*, staje się prawdziwie korzystnym wtedy jedynie, gdy nietylko nie pociąga strat dla żadnego z przyjmujących częściowy udział w zadaniu, ale gdy każdemu z nich dozwala otrzymać odpowiednią nagrodę za risico, koszta i pracę, jakie w podantreprzyę wkłada. Mieli przeto znaczny zarobek, nietylko Vignoles i Brassey, ale i ci, których oni do częściowych robót na drodze użyli. Zarobek ten nie powinien obudzać niczyjęj zazdrości, tém mniej zaś nieukontentowania ze strony akcyonaryuszów; rękojmia bowiem wykończenia budowy w krótkim terminie, dana Towarzystwu przez Vignolsa i Brasseya, wyobrażała dlań korzyść może wyższą od tych, jakieby przy powolniejszém prowadzeniu robót, na poszczególnych kate-

<sup>1)</sup> Art. 1289 Kodeksu Napol. „lorsque deux personnes se trouvent débitrices l'une envers l'autre, il s'opère entre elles une compensation, qui éteint les deux dettes de la manière et dans les cas ci-aprés exprimés.“ Art. 1290 tegoż kodeksu: „la compensation s'opère de plein droit par la seule force de la loi, même à l'insu des débiteurs; les deux dettes s'éteignent réciproquement, à l'instant ou elles se trouvent exister à la fois, jusqu'à concurrence de leurs quotités respectives.“

<sup>2)</sup> W rachunku budowy, zamieszczonym w sprawozdaniu za rok 1868, zysk ten wykazany jest pod niewłaściwą rubryką „*różnica kursu na akcyach i obligacyach* rub. 1,032,010;“ ściśle bowiem biorąc należało rubrykę rozdzielić na dwie: *zysk spółkowy oddany akcyonaryuszom* rub. 520,000 i *strata na kursie obligacyi* rub. 512,010, tak jak to wykazuje bilans drogi fabryczno Łódzkiej za r. 1875, w wyrazach: *zwrócono akcyonaryuszom po rub. 7 kop. 50 na każdą akcyą* rub. 84,090: chociaż i oni tak samo nie otrzymali zwrotu w gotowiznie, ale jedynie przez kompensatę zapłacili za każdą po rub. 92 kop. 50, zamiast po rub. 100.

goryach kosztorysu osiągniętymi być mogły. W każdym zaś razie, Towarzystwo otrzymywało pewność spełnienia obowiązków zaciągniętych względem rządu i zarazem oszczędność na procentach, które do dnia otwarcia eksploatacyi na drodze, musiały obciążać kapitał budowy <sup>1)</sup>.

Jakoż, gdyby linia do Siedlec otworzoną była dopiero w maju roku 1868, a cała droga w dniu 1 listopada 1869 r., t. j. w terminach wskazanych za ostateczne przez umowę nadawczą <sup>2)</sup>, procenta uiszczane akcyonaryuszom przez cały czas budowy, musiałyby być czerpaniami z kapitału spółkowego. Przez otworzenie ruchu na drodze na oddziale do Siedlec w dniu 9 października, a do Łukowa w dniu 1 grudnia 1866 roku, przyspieszono wykończenie drogi na pierwszym z nich o 1½ roku, na drugim zaś o lat 2 i miesięcy 11. Przez otworzenie zaś całej drogi w dniu 17 września 1867 r., przyspieszono znowu wykończenie oddziału trzeciego do Terespoła o lat 2 miesiąc 1 i dni 13. Procenta od tak przyspieszonych terminów, obliczane w stosunku 53,000 rub. za każdą wiorstę otworzonego wcześniej oddziału, pokrywane już były z dochodów eksploatacyi, uzupełnianych dopłatami rządowemi, zamiast obciążać, a więc odpowiednio zmniejszać fundusz budowy. Wyniknęła ztąd oszczędność dla spółki, około 990,000 rubli, wyobrażająca dla akcyonaryuszów 2-gą kategorią zysku czyli korzyści na przedsiębiorstwie budowy <sup>3)</sup>. Do summy tej dodać należy oszczędność na kosztach adminis-

1) § 42 ustawy Towarzystwa.

2) Art. 2 umowy nadawczej.

3) Obliczenie tej oszczędności jest bardzo łatwe. Otworzenie oddziału do Siedlec d. 9 października 1866 r. o półtora roku wcześniej przed terminem oznaczonym przez rząd, uwolniło fundusz budowy, od ciężaru opłacenia za tenże czas procentu od sumy 53,000 rubli pomnożonej przez wiorst 84, czyli od kapitału. . rub: 4,452,000, oo czyni rub. 333,900

Otworzenie oddziału od Siedlec do Łukowa d. 1 grudnia 1866 r., o lat 2 miesięcy 11 wcześniej przed rzeczonym terminem, uwolniło znowu tenże fundusz budowy, od ciężaru opłacenia za tenże czas procentu od sumy 53,000 r. pomnożonej przez wiorst 26, czyli od kapitału. . rub: 1,378,000, oo czyni rub. 200,958 kop. 33½

Otworzenie wreszcie oddziału od Łukowa do Terespoła, czyli ostatecznie całej drogi dnia 17 września 1867 r. o lat 2 miesiące do przeniesienia . . . 5,830,000 534,858 kop. 33½



tracy, ściśle obliczyć się nie dającą, wynoszącą przecież około 75,000 rubli, skoro już z dniem otworzenia oddziału do Siedlec, płaca znacznej liczby urzędników uskuteczniانا poprzednio z kapitału budowy, przeniesioną została na etat służby drogi, i już odtąd uiszczaną była z dochodów eksploatacyi.

Gdy zaś następny zysk na budowie drogi, przez spółkę bezimienną otrzymany, summie téj nie dorównywa <sup>1)</sup>; widoczną jest więc rzeczą, iż gdyby budowa wykończoną była nie wcześniej terminów oznaczonych przez rząd, (jak to właśnie miało miejsce z drogą Bydgoską), że w takim razie nie byłaby przypadła do rozdziału między akcyonaryuszów żadna oszczędność, a pierwsi subskryptorowie byłiby nawet w konieczności, dopłacić na akcyą owe 10 rubli, a przynajmniej połowę téj kwoty, poczytanéj przy pierwiastkowym obliczeniu za ich korzyść i skompensowanéj z przypadającą od nich wpłatą.

Nie mogą więc oni odmówić koncesyonaryuszowi pełnego uznania, przedewszystkiem za przeprowadzenie przedsięwzięcia spółkowego śpiesznie, w czasie jak się dało najkrótszym, w sposób solidny i korzystny zarazem.

Udeterminowanie cyfry oszczędności przez spółkę bezimienną otrzymanych, nie mogło nastąpić wcześniej, jak po ostatecznym zamknięciu rachunku kosztów budowy drogi. Od samego przecież rozpoczęcia działań Towarzystwa, akcyonaryusze byli corocznie powiadamiani o gromadzonych na ich rzecz oszczędnościach, jakie się stopniowo uwydatniały. Zaraz pierwsze sprawozdanie za czas od 10 października 1866 roku do końca 1867 roku obejmowało następujące objaśnienie:

„Wychodząc z zasady, że ważniejszą jest dla Towarzystwa rzeczą, pewność pod względem dobrego i szybkiego wykończenia drogi, aniżeli drobiazgową, źle zrozumianą oszczędność, zwrócono się do znanych

z przeniesienia . . .	5,830,000	534,858 kop. 33 1/2
siąc 1 i dni 13 wcześniej przed rzezonym terminem, uwolniło nakoniec fundusz budowy od ciężaru opłacenia za tenże czas procentu od sumy 53,000 rubli, pomnożonéj przez wiorst 84, czyli od kapitału . . . . . rub:	4,452,000, co czyni rub. 455,692	
W ogóle od kapitału rub:	10,282,000	rub. 990,550 kop. 33 1/2

Tym zaś sposobem, Towarzystwo zapłaciło z kapitału budowy, przez czas robót i aż do otworzenia eksploatacyi, tylko rubli 972,443 kop. 37, o czém objaśnia rachunek budowy (pozycya XI) zamieszczony przy sprawozdaniu za rok 1868 (str. 6).

<sup>1)</sup> Wynosi bowiem około 700,000 rub., *confer.* niżej przypisek 3, s. 130.

i odpowiedzialnych zagranicznych przedsiębiorców i z nimi układy rozpoczęto. Wypadkiem tych układów była umowa z Vignolsem i Brasseyem, znanymi przedsiębiorcami angielskimi zawarta. W umowie tej, roboty i dostawy budowy drogi i wprowadzenia jej w eksploatacyę dotychczas, podzielonemi zostały na dwie kategorie:

Do 1-szej zaliczonemi zostały roboty i dostawy następujące: wygotowanie ostatecznego projektu, mającego się przedstawić pod zatwierdzenie rządu, roboty ziemne, mosty, przejazdy poprzeczne, budowa wierzchnia wraz z dostawą szyn, przyborów, podkładów, zwrotnic i rozjazdów, domki dróżnicze pojedyncze i podwójne, urządzenie telegrafu elektrycznego i dzwonkowego, wszelkie znaki drogowe, okopcowanie linii i wszelkie inne roboty do powyższych odnoszące się. Do 2-iej kategorii robót: wzniesienie budowli stacyjnych, oraz wykonanie robót ziemnych do nich się odnoszących, dostawę i umieszczenie wszelkich przyrządów stacyjnych tak stałych jak i ruchomych, wybudowanie i urządzenie warsztatów mechanicznych na Pradze, sprawienie taboru, t. j. parochodów, powozów i wagonów, sprawienie inwentarza stacyjnego i drogowego, wreszcie wszelkie roboty i dostawy do kategorii 1-iej nie należące. Roboty i dostawy 1-iej kategorii oddanemi zostały Vignolsemi i Brasseyowi w antreprzyę na ich zysk lub stratę, za ryczałtowym wynagrodzeniem rub. 28,500 za wiorstę <sup>1)</sup>.

W przedmiocie robót i dostaw kategorii 2-iej postanowiono, że takowe dopełnione być mają na rachunek i risico Towarzystwa, jego funduszami, pod nadzorem i kierunkiem przedsiębiorców, za wynagrodzeniem po rubli 420 na wiorstę <sup>2)</sup>; nabycie gruntów potrzebnych na drogę i stacye <sup>3)</sup>, pozostało ciężarem Towarzystwa, bez żadnego w tej mierze ze strony przedsiębiorców obowiązku <sup>4)</sup>.“

Akcyonaryusze zostali jednocześnie zawiadomieni, o wykończeniu i otworzeniu drogi wcześniej przed terminami przez umowę nadawczą oznaczonemi <sup>5)</sup>; co im zapowiadało korzyść spółkową, na którą prezes Towarzystwa położył był nawet wyraźny nacisk w słowach: „że acz w owęj chwili, niewątpliwa oszczędność na budowie, uczyniła już 29,250 rubli, jest przeciw do przewidzenia, że po ostatecznym wykończeniu robót, oszczędność będzie znacznie większą, *bo nie potrzeba już*

<sup>1)</sup> Otrzymali oni od Towarzystwa,  $28,500 \times 193^{670}$  wiorst = 5,519,766 rubli (pozyoya III rachunku budowy, zamieszczonego przy sprawozdaniu za rok 1868).

<sup>2)</sup> Z tego znowu tytułu otrzymali od Towarzystwa  $420 \times 193^{676}$  wiorst = 81,393 rubli 92 k. (ta kwota mieści się w większej summie 99,587 r. 85 kop. wykazanęj w pozycyi X tegoż rachunku).

<sup>3)</sup> Towarzystwo zapłaciło za grunta nabyte pod drogę i stacye, rubli 326,874 kop. 27 (pozycya II tegoż rachunku).

<sup>4)</sup> Str. 4 wzmiankowanego sprawozdania.

<sup>5)</sup> Tamże.

*dziś płacić procentów od akcji i obligacji z funduszu przeznaczanego na budowę* 1).“

Ktokolwiek przeto czytał ustawę Towarzystwa 2), ten z powyższych wyrazów już był powinien rozumieć, że rzeczona cyfra jest jedynie punktem wyjścia, nie zaś miarą zysku spółkowego. Uczestnicy zaś Towarzystwa sięgający okiem w dalszą jego losów przyszłość, mogli jeszcze zauważyć, iż cały kapitał spółkowy zostanie zamortyzowanym na rok przed ustaniem spółki; powinni więc byli zaznaczyć, że w ostatnim roku jój istnienia, cały poręczony dochód drogi, rubli 526,807 kop. 50 w złocie, ulegnie rozdziałowi pomiędzy posiadaczy 52,000 akcji użytkowych, że oprócz tego w poprzednim roku, z czystego poręczonego dochodu drogi, pozostanie dla tychże posiadaczy reszta rubli 288,910 kop. 41 3).

Na następniem ogólném zebraniu, akcyonaryusze obok sprawozdania za rok 1868, mieszczącego już rachunek kosztów budowy, usłyszeli znowu: że *niewątpliwa oszczędność jaka już do owój chwili osiągnięta została, wynosiła rubli 442,379 kop. 4* 4).

Wiadomość ta uzupełnioną została przez prezesa Towarzystwa, następującem oświadczeniem: „z przyjemnością przychodzi mi objawić akcyonaryuszom ten rezultat. Być może, że summa ta powiększoną jeszcze będzie przez oszczędność, jaka osiągnięta zostanie na funduszu rubli 367,541 kop. 4, przeznaczonym na wydatki i potrzeby 1869 roku.

*Wykazana oszczędność jest bezwarunkową własnością akcyonaryuszów.* Ze względu jednak, że cyfra jój może być jeszcze wyższą, byłoby obecnie przedwczesnem przedstawienie wniosku, a tém bardziej obradowanie nad przeznaczaniem i obrotem funduszy oszczędzonych na budowie.

Niewzruszoném przekonaniem rady zarządzającej jest, że *fundusze te są i pozostaną własnością akcyonaryuszów*” 5).

Prawo zatém służące akcyonaryuszom do rozdzielenia się zyskiem otrzymanym na przedsięwzięciu spółkowym, było uznawaném, zastrzeżaném, a nawet przypominaném od samego początku. Pragnąc je zamienić w czyn i dać początek jego wykonaniu, rada zarządzająca Towarzystwa postanowiła: summę rzeczzonego zysku, wzrosłą w ciągu roku 1869 do 500,000 rub. odłączyć od reszty majątku spółkowego,

1) Mowa prezesa Towarzystwa otwierająca 1-sze zwyczajne ogólne zebranie akcyonaryuszów w r. 1868, zamieszczona przy sprawozdaniu za czas od 10 października 1866 do końca 1867 roku.

2) § 42 ustawy Towarzystwa.

3) Cztery tabele umorzenia akcji i obligacji Towarzystwa, dołączone do sprawozdania za czas od 10 października 1866 do końca 1867 r. i §§ 7 i 45 ustawy tegoż Towarzystwa; art. 8 umowy nadawczej.

4) Mowa prezesa Towarzystwa, otwierająca 2-ie zwyczajne ogólne zebranie akcyonaryuszów w r. 1869, dołączona do sprawozdania za r. 1868.

5) Taż mowa.



i prowadząc oddzielny téjże summy rachunek, pod nazwą *funduszu akcyonaryuszów*, poddać ją oprocentowaniu. Gdy zaś w owój chwili niektóre szczegółowe rachunki z 2-jej kategorii robót i dostaw oczekiwaly jeszcze załatwienia i zamknięcia, a ztąd ostateczny rezultat przedsięwzięcia spółkowego jeszcze nie mógł być wiadomym; taż rada uczyniła wniosek do ogólnego zebrania akcyonaryuszów, o uchwaleniu: iżby z procentów jakie tenże fundusz będzie przynosić, uiszczać tymże akcyonaryuszom po  $\frac{1}{2}\%$  w złocie <sup>1)</sup>. Ogólne zebranie przyjęło tenże wniosek jednomyślnością <sup>2)</sup>. Skutkiem czego, poczynając od 1 października 1869 r., akcyonaryusze pobierali po 50 kop. od akcji, oprócz procentu 5% w złocie, uiszczanego im z dochodów eksploatacyi, uzupełnianych przez rząd. Objasnić bowiem wypada, iż cyfra majątku spółki, sposób jego procentowania i rozdział korzyści jakie daje, są to przedmioty nie mające żadnej łączności z samą eksploatacją drogi, będącą pod kontrolą rządu, i prowadzącą oddzielny rachunek wydatków i wpływów, z którego wynika cyfra czystego dochodu, uzupełniania przez rząd, ilekroć nie czyni summy poręczonej przez umowę nadawczą. Jeżeli spółka bezimienna ma długi, musi wtedy z tegoż dochodu uiszczać od nich procenta, a tém samym obniżać procent płacony akcyonaryuszom; i nawzajem, jeżeli ma fundusze własne lub zarobione na budowie, które przynoszą jój procent, jest w niezaprzeczoném prawie, tenże procent dzielić między akcyonaryuszów, niezależnie i poza obrębem owego dochodu.

Wykazany powyżej zysk spółkowy na budowie drogi, wzrósł jeszcze w skutek załatwienia i zamknięcia rachunków za wszystkie roboty i dostawy. Szczęśliwie zaś z tak powiększonym zyskiem obroty finansowe, (kupna i przeżade papierów publicznych, realizowanie kuponów od tychże papierów i t. p.), nie tylko dostarczyły fundusz na coroczne dopłacanie akcyonaryuszom po  $\frac{1}{2}\%$  oprócz procentu 5% uiszczanego z dochodów eksploatacyi drogi, ale nawet pozostawiły w remanencie na r. 1876 korzyści rub. 459,500 kop. 74 $\frac{1}{2}$ . W ostatecznym przeto rezultacie, ogólny zysk spółkowy, nie licząc już owych 520,000 rubli skompensowanych z ostatnią na akcje wpłatą, składa się:

1) z summy zapisanej na oddzielnym rachunku pod nazwą *funduszu akcyonaryuszów*, o której była mowa . . . . . rub. 500,000

2) z różnych funduszków oszczędzonych na poszczególnych robotach i dostawach przy budowie drogi, r. 171,083 k. 82, rub. 99,329 kop. 1 czyli łącznie. . . . . „ 270,412 k. 83

3) z procentów i zysków na operacjach finansowych czynionych funduszami *ad 1 i 2* . . . . . „ 459,500 „ 74 $\frac{1}{2}$

W ogóle więc <sup>3)</sup> . . . . . rub. 1,229,913 k. 57 $\frac{1}{2}$

<sup>1)</sup> Protokół 3-go zwyczajnego ogólnego zebrania akcyonaryuszów, odbytego w r. 1870, dołączony do sprawozdania za r. 1869.

<sup>2)</sup> Tenże protokół.

<sup>3)</sup> Bilans za r. 1875, dołączony do sprawozdania za tenże rok. Podług

Nastąpiło więc rozdzielenie i rozplacenie części tego zysku spółkowego pomiędzy akcjonaryuszów; pozostawienie bowiem nadal w kasie spółkowej pewnego zasobu, jest zawsze dla Towarzystwa pożytecznym. Jakoż odpowiedni zasób pieniężny jest zawsze miarą solidności każdej spółki, chociażby dla tego, że zabezpiecza przed zaciąganiem długów, w razie jakiej nieprzewidzianej potrzeby. Tembardziej zaś działają roztropnie Towarzystwa używające gwarancyi rządowej, ilekroć do téjże stosują się reguły, skoro niejednokrotnie przychodzi im takie czynić wydatki, któremi eksploatacyja drogi nie może być obciążoną <sup>1)</sup>, i gdy płacą kupony od obligacyi i akcyi w stałych terminach, bez względu na to, iż zaliczenia rządowe uzupełniające dochód drogi na tenże cel idący, wpływają do kasy spółkowej dopiero w kilka miesięcy po każdym z tych terminów. Zasób pieniężny uwalnia przeto spółkę od konieczności odwoływania się za każdym razem do kredytu, i ponoszenia wydatków jakie on za sobą pociąga; zasób ten więc i jój samodzielność pod każdym podnosi względem. Temi powodowane uwagami, nadzwyczajne ogólne zebranie akcjonaryuszów w r. 1876 *ad hoc*

tegoż bilansu kapitał oznaczony przez rząd na budowę rub. 10,200,000 rozpada się na dwie kategorie: rzeczywiste kosztta budowy, wydatkowane przez spółkę bezimienną rub. 9,429,587 kop. 17, i zysk spółkowy na téj antreprzyzie rub. 770,412 kop. 83, wykazany w tekście *ad* 1<sup>o</sup> i 2<sup>o</sup>. Ściśle wszakże biorąc należałoby kosztta budowy zmniejszyć o rub. 520,000 (skompensowana ostatnia wpłata na akcyje), mianowicie zaś odjąć tę summę od pozycyi XI rachunku, zamieszczonego przy sprawozdaniu za r. 1868 (porównać powyższj przypisek 2, str. 125), w takim zaś razie rachunek stawi się jak następuje:

1 <sup>o</sup> kosztta na budowę drogi, wydatkowane przez spółkę	R.
2 <sup>o</sup> zysk spółki na antreprzyzie budowy:	
a) skompensowana ostatnia wpłata na akcyje . . . . .	R. 520,000
b) fundusz akcjonaryuszów . . . . .	500,000
c) różne fundusze oszczędzone . . . . .	270,412 k. 83
Razem rub. . . . .	1,290,412 k. 83

R.

Co wyczerpuje kapitał spółkowy . . . rub. 10,200,000  
 zyski bowiem z operacyi finansowych, wynoszące rub. 459,500 kop. 74 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>, nie mają żadnego związku ani z antreprzyzą budowy, ani z kapitałem spółkowym, aczkolwiek powiększają korzyść akcjonaryuszów, która tym sposobem wynosi rzeczywwiście rub. 1,749,913 kop 57 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>, (więcej niż po rub. 33 na każdą akcyje sturublową) a zawsze oprócz pobieranych corocznie 50 kop. od akcyi, co czyni znowu, 26,000 rub. w złocie za każdy rok.

1) Jak np. uchwalona na ogólném zebraniu akcjonaryuszów w r. 1876, coroczna opłata po rub. 6,000 na utrzymanie szkoły technicznj przy warsztatach drogi (*confer.* protokół tegoż zebrania, dołączony do sprawozdania za r. 1875).



zwołane, uchwaliło rozpłacić z wykazanego powyżej zysku, rub. 520,000; co czyni po rub. 10 na każdą akcją. Zostawiając zaś do dalszego rozporządzenia tychże akcyonaryuszów, resztę wynoszącą rub. 709,913 kop. 57½, zastrzegło: aby i na przyszłość tak samo jak to miało miejsce dotychczas, uiszczaną była tymże akcyonaryuszom coroczna dopłata po kop. 50 na każdą akcją, niezależnie i obok procentu 5% płaconego z dochodów drogi poręczonych przez rząd <sup>1)</sup>.

Jestto fakt nieznanym dotychczas w spekulacji budowania dróg żelaznych. Roczniki téj spekulacji dostarczają wiele smutnych przykładów zupełnej lub częściowej ruiny akcyonaryuszów, w obec jednoczesnego wzbogacenia się założycieli spółek bezimiennych na antreprzyje budowy. Wykazywały także, zwłaszcza w spółkach mających gwarancją rządową, solidną lokacją kapitału uczestników, którzy pobierając oznaczony procent, dochodzili do zwrotu wpłat poczynionych na kapitał spółkowy, w skutek losowania i umarzania akcji. Zapisywały zresztą fakta przypuszczania akcyonaryuszów do udziału *w części* zysku na kapitale budowy, mające miejsce, ilekroć założyciel Towarzystwa oddawał im akcye niżej *pari*; co znowu miało najwięcej na celu zachęcenie publiczności do udziału w przedsięwzięciu, z którego resztę korzyści zabierał on dla siebie.

Nie było jednakże do dziś na całym kontynencie przykładu, by w kilka lat po zbudowaniu drogi, rozdzielono pomiędzy akcyonaryuszów jakąkolwiek oszczędność na kapitale budowy, ustanowionym w akcie koncesyi, tak dalece, iż zdawałoby się mogło, jakoby tenże kapitał był zawsze zaledwie wystarczającym, samą zaś antreprzyę zbudowania drogi podejmowano wszędzie bez żadnego interesu po stronie ubiegających się o koncesyę. Zespołenia wszakże interesu koncesyonaryusza i zarazem założyciela spółki bezimiennéj, z interesem jéj akcyonaryuszów, dania im równego z nim udziału w oszczędnościach na budowie drogi, to jest rozpfacenia korzyści spółkowych w stosunku liczby akcji przez każdego uczestnika posiadanych, nikt dotychczas nie był świadkiem, a przynajmniej takiego faktu w żadnym Towarzystwie akcyjnym na kontynencie nie mogliśmy odszukać. Towarzystwo drogi Terespolskiej przedstawia więc jedyny pod tym względem wyjątek i daje przykład, w jaki sposób każda spółka bezimienna powinna być pojmowana, a prawa każdego z jéj uczestników uszanowanemi, jeżeli koncesyonaryusz pragnie pozostać w zgodzie z zasadami i przepisami nie tylko kodeksów, ale nawet i samychże ustaw spółkowych, nie zaś obejść je w ten lub inny sposób. Uznali to akcyonaryusze rzeczzonego Towarzystwa za pośrednictwem własnego swego organu, komisji rewizyjnej, która mając sobie przedstawionym bilans za r. 1869, oznajmiła ogólnemu ich zebraniu co następuje: „te cyfry aż nadto same przez się wymowne, uwalniają komisję rewizyjną od wykazania, jak sumiennie i z jak wielką

<sup>1)</sup> Protokół nadzwyczajnego ogólnego zebrania akcyonaryuszów z dnia 28 września 1876 r.



pieczołowitością rada zarządzająca opiekowała się majątkiem akcyonaryuszów <sup>1)</sup>.

W obec tego co się dotąd gdzieindziej przy budowie dróg żelaznych widziało, rzeczono uznanie przedewszystkiem do koncesyonaryusza odniesionem być musi. Z uwagi zaś na związek, zachodzący niewątpliwie pomiędzy działaniami Towarzystw dróg żelaznych, a społecznosciami wśród których one istnieją, powyższe uznanie podzielnem być musi przez każdego, kto dziś lub w przyszłości w sposób postępowania koncesyonaryuszów z uczestnikami spółek bezimiennych się wpatrując, zechce badać pulsa i stan zdrowia naszego społeczeństwa w 2-jej połowie bieżącego stulecia; i między témże społeczeństwem a innemi krajami, czynić pod tym względem porównania.

Że przy dotychczasowym rozdziale korzyści spółkowych, przypadła dla założyciela znaczna ich summa, temu się dziwić nie należy, skoro on wielką ilość akcji zachował był dla siebie; rozdział zaś ten, jak już nadmieniono, dopełnionym być musiał nieinaczéj, jak na każdą akcją a więc w stosunku do liczby posiadanych akcji. Przychodził on przeto do tego podziału *jako akcyonaryusz, nie zaś jako założyciel spółki*, i w tych jedynie granicach jakie przez kodeks i ustawę spółkową są właśnie wskazanemi. Gdy zaś przepisy téjże ustawy, mające na celu przyznanie mu renty założycielskiej okazały się być literą bez żadnych pieniężnych następstw, i one przeto nie naruszyły w niczem harmonii zasad, jaką w każdym stosunku spółkowym znaleźćbyśmy pragnęli. Jakoż: 1<sup>o</sup> z 22,000 sztuk akcji 2-jej seryi, wypuszczonych w r. 1866, należało część trzecią zostawić do rozporządzenia założyciela <sup>2)</sup>. Emisya ta przecież spotkała się z pamiętnym zagranicą kryzysem, jak niemniej z wypuszczeniem listów likwidacyjnych Królestwa, pięcioprocentowych pożyczek premiowych i gwarantowanych przez rząd papierów kilku Towarzystw dróg żelaznych w Cesarstwie <sup>3)</sup>. Skutkiem czego, kurs akcji Terespolskich spadł był wtedy niżej 90 rub. za sztukę i zaledwie po upływie roku doszedł do téj ceny <sup>4)</sup>. Chociaż więc założyciel, dla dania świadectwa o solidności przedsięwzięcia, zatrzymał był trzecią część rzeczonej emisji, żadnej przecież bezpośredniej korzyści na tychże akcyach nie miał, skoro tak samo jak każdy mógł był wtedy nabyć je na giełdzie o kilka rubli taniej na sztuce.

2) Czyste znowu dochody drogi nie pokrywają jeszcze summy poręczonej przez rząd, żadna przeto opłata na rzecz założyciela zastrzeżona <sup>5)</sup>, utworzyć się nie mogła. Dane zaś jakie istnieją, prowadzą do wniosku, że nawet przy najpomyślniejszym rozwoju ruchu na dro-

<sup>1)</sup> Wnioski komisji rewizyjnej na ogólném zebraniu akcyonaryuszów w r. 1870, zamieszczone przy sprawozdaniu za r. 1869.

<sup>2)</sup> § 8 ustawy Towarzystwa.

<sup>3)</sup> Sprawozdanie za r. 1867 str. 5.

<sup>4)</sup> *Confer* rubryka kursów giełdowych w dziennikach za r. 1866.

<sup>5)</sup> Przez § 43 ustawy Towarzystwa.

dze, czysty dochód nie przeniesie nigdy rzeczonój summy; z eksploatacy więc żadna naddywidenda dla akcyonaryuszów nieprzypadnie, bez niej zaś o żadnej znowu rencie nie może być mowy. Przypuściwszy nawet, że w ciągu istnienia Towarzystwa, dochody z eksploatacy zaczęłyby dawać nadwyżkę, jeszcze i wtedy poszłyby one nie dla akcyonaryuszów ale wyłącznie na zwrot zaliczeń rządowych <sup>1)</sup>, czyniących już sumę rub. 2,785,405 kop. 58 a z procentami 5% rocznie, znacznie więcj <sup>2)</sup>.

Summa tych zaliczeń wzrośnie bez wątpienia, zanim tytułem rzonego zwrotu jakakolwiek kwota wpłynie poraz pierwszy do kasy rządowój. W r. 1875 przewieziono osób 407,039, wojska 76,569, towarów 13,169,182 pudów i pakunków 183,636 pudów; przy takim zaś ruchu dochód *brutto* uczynił rubli 1,701,468 kop. 76 <sup>3)</sup>. Pomimo to przecież, po zaspokojeniu kosztów administracyi, (między któremi same płace służby wyniosły rub. 310,879 kop. 35½ <sup>4)</sup>, i wydatków na utrzymanie drogi, odnowienie podkładów i szyn, utrzymanie i odnowienie taboru, i t. p., na czysty dochód pozostało jedynie rub. 529,892 kop. 26; skutkiem czego rząd na uzupełnienie cyfry przez siebie poręczonój, dopłacił Towarzystwu rub. 89,035 kop. 60 w złocie <sup>5)</sup>. Wzrost wpływów *brutto*, nie byłby zresztą miarą wzrostu czystego dochodu; zwiększający się bowiem ruch na każdej drodze, pociąga za sobą zwiększenie się kosztów eksploatacy, a zwłaszcza utrzymania i odnawiania szyn i taboru, zużywających się w miarę liczby przebiegających pociągów i ilości przewożonych ciężarów. W początkach istnienia Towarzystwa można się było spodziewać, stałego, acz stopniowego rozwoju ruchu, czyniąc porównania między corocznemi sprawozdaniami, a zwłaszcza ze względu, że tenże rozwój zdawał się wynikać z geograficznego położenia drogi, zapewniającego jój przewóz towarów i płodów surowych, zamienianych pomiędzy połową Cesarstwa a Europą. Zbudowane późniój drogi: Grajewska z jednéj, a do Podwołoczysk i Brodów z drugiėj strony, uczyniły z dróg: Wschodnio-Pruskiėj (*Ostbahn*) i Galicyjskiėj Karola Ludwika, dwie arterye handlowe, dla drogi Terespolskiėj jak najbardziej konkurencyjne, i obsługując handel międzynarodowy za pomocą tariff, tak zwanych *bezpośredniėj komunikacyi*, rozwojowi ruchu na drodze Terespolskiėj musiały tém samém położyć tamę.

Z chwilą znowu otworzenia drogi Nadwiślańskiėj, konkurencyjnój *par excellence* pod względem przewozu towarów pomiędzy Odessą, Kijowem i Warszawą, droga Terespolska przewozić będzie jedynie, między tém ostatniém miastem a Smoleńskiem, Mohilewem i Moskwą.

<sup>1)</sup> Art. 14 umowy nadawozéj.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie za r. 1875, anex XXIV.

<sup>3)</sup> Toż sprawozdanie str. 13, 15, 17, 24 i anex XXIII.

<sup>4)</sup> Toż sprawozdanie — anex I.

<sup>5)</sup> Sprawozdanie za r. 1875, str. 4.



Że zaś miejscowy przemysł do rozwoju ruchu na drodze prawie się nie przyczynia, widocznym tego dowodem nieistnienie linii bocznych, jakie na drodze Wiedeńskiej wywołane zostały samą potrzebą. Nadzieja więc wzrostu czystych dochodów drogi Terespolskiej, jest widocznie bardzo słabą.

Pomimo przecież tych okoliczności dla rozwoju nieprzyjaznych, finansowy stan spółki bezimiennój, nic do zyczenia nie pozostawia. Długość drogi od Pragi do początku linii Terespolsko-Brzeskiej, wynosi wiorst 193,<sup>363</sup>; długość téj ostatniej linii z odnogą do Muchawca <sup>1)</sup> wiorst 8,<sup>363</sup>, a licząc po linii głównej od końca drogi Warszawsko-Terespolskiej, do końca stacyi Brześć, wiorst 5,<sup>75</sup>; — ogólna długość całej drogi z liniami bocznymi i zapasowemi, wiorst 251,<sup>364</sup> <sup>2)</sup>. Dochód poręczony przez rząd, rub. 526,807 kop. 50 w złocie <sup>3)</sup>, odpowiada kapitałowi rubli 10,264,828; że zaś Towarzystwo wypuściło akcyj i obligacyj za sumę 10,200,000 rub., miałyby więc prawo kapitał swój w razie potrzeby uzupełnić kwotą rub. 64,800, za pośrednictwem dodatkowego wypuszczenia obligacji na taką kwotę; co stanowiąc dlań nową kategorię zasobu, fundusz akcyonaryuszów widocznie zwiększa.

Droga zbudowana dobrze, przy użyciu wyborowego gatunku szyn, akcesoryj i całego taboru, obsługiwana jest przez 32 parochody i przez 631 powozów i wagonów <sup>4)</sup>; pod względem dokładności dzieł ziemnych i wodnych, dobroci szyn i taboru, ma wedle zdania kompetentnych znawców stać w rzędzie najlepiej zbudowanych dróg na kontynencie.

Fundusz w złocie na procenta i amortyzacją kapitału spółkowe-go, jest zapewnionym. W przedostatnim roku istnienia Towarzystwa, reszta poręczonego dochodu, w kwocie rub. 288,910 kop. 41, a w ostatnim roku, cały poręczony dochód, od wszelkich zobowiązań wolne, pozostaną, jak już wzmiankowano, do rozporządzenia akcyonaryuszów.

Co wszystko, obok wykazanego wyżej ich majątku oddzielnego i od rezultatów eksploatacyi nie zawisłego, uczyniło z obligacyj, a nawet i z akcyj Towarzystwa, pierwszorzędny papier lokacyjny, pod każdym względem solidny.

<sup>1)</sup> Eksploatowana przez Towarzystwo drogi Terespolskiej, na podstawie oddzielnego kontraktu, zawartego z rządem, a zamieszczonego w protokole 3-go zwyczajnego zebrania ogólnego akcyonaryuszów, z d. 18 czerwca 1870 r., str. VII.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie za r. 1875, str. I.

<sup>3)</sup> Rub. 513,241 kop. 40 na procent, a rub. 13,566 kop. 10 na umorzenie.

<sup>4)</sup> Wartość tego taboru wykazaną jest na rub. 1,055,297 kop 39 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> w sprawozdaniu za r. 1873.



## VII.

Budowa i eksploatacja drogi *fabryczno-Łódzkiej*, oddaną była siedmiu osobom, z zezwoleniem zawiązania w tym celu spółki bezimiennej na akcyach <sup>1)</sup>. Akt nadawczy i ustawa dla tejże spółki <sup>2)</sup>, obejmują także same przepisy i zasady, co także akta, wydane dla dróg: Bydgoskiej i Terespolskiej. Koszt zbudowania i urządzenia drogi fabryczno-Łódzkiej, oznaczonym był ryczałtowo po rub. 49,000 w złocie za każdą wiorstę jej długości <sup>3)</sup>, spółka zaś otrzymała upoważnienie wypuścić 12,500 sztuk akcji storublowych, a więc działać z kapitałem rub. 1,250,000 <sup>4)</sup>. Wobec wszakże długości drogi, wynoszącej wiorst 26 <sup>5)</sup>, byłaby ona władną podnieść tenże kapitał o rub. 24,000, gdyż summa rub. 1,274,000 wyobraża cenę, za jaką taż spółka bezimienna podjęła się była *à forfait* zbudować i urządzić drogę. Cena ta jednakże musiała być obniżoną o rub. 32,800, z powodu, iż rząd poręczając czysty dochód z każdej wiorsty po rub. 2,450 w złocie <sup>6)</sup>, a więc po rub. 63,700 z całej drogi (co odpowiada procentowi 5% od wzmiankowanego kapitału budowy 1,274,000 rub.), nie dał spółce żadnego poręczenia pod względem amortyzacji tegoż kapitału, aczkolwiek ją wyraźnie zastrzegł <sup>7)</sup>. Pociągnęło to za sobą, iż sama ustawa spółki musiała przeznaczyć ów poręczony dochód i na procent i na umorzenie kapitału zarazem <sup>8)</sup>, czyli w stosunku do kapitału 1,274,000 rub., razem na oba cele zapewnić tylko 5%; — nie mogła już bowiem dodać na rzeczoną amortyzację  $\frac{1}{2}\%$ , jak w Towarzystwie Bydgoskiem, ani  $\frac{2}{15}\%$  jak w Towarzystwie Terespolskiem, skoro żadna frakcja procentu na tenże cel nie jest przez rząd oddzielnie poręczoną. Gdy zaś taż ustawa jednocześnie zastrzegła, iżby przynajmniej o 133,161% od imiennego kapitału akcji było corocznie umarzanem <sup>9)</sup>; nie pozostawało więc, jak kapitał spółkowy zmniejszyć o taką summę, iżby poręczony przez rząd coroczny dochód drogi, wystarczył i na opłatę procentu 5% i zaradem na umarżanie tegoż kapitału.

Rachunek wykazał, iż ograniczając kapitał spółkowy do summy 1,241,200 rub., można z dochodu drogi poręczonego przez rząd, uiszczając przez lat 75 po 5% od tegoż kapitału i zamortyzować go w ciągu

1) Art. 1 i 16 umowy nadawczej.

2) Zatwierdzona przez Namiestnika Królestwa pod dniem 1 września 1865 r., z mocy upoważnienia daty 30 lipca tegoż roku.

3) Art. 8 umowy nadawczej.

4) § 7 ustawy Towarzystwa.

5) Sprawozdanie za rok 1875, str. 1.

6) Art. 8 umowy nadawczej.

7) Tamże.

8) § 42 ustawy Towarzystwa.

9) § 44 tejże ustawy.

tegoż czasu <sup>1)</sup>. Spółka bezimienna zachowała więc 328 sztuk akcji jako fundusz na amortyzacyą 12,412 sztuk <sup>2)</sup>; co znaczy, że kapitał spółkowy zmniejszyła o 32,800 rubli, te bowiem 328 sztuk nie będą już nigdy zapłaconemi i uleż muszą prostemu skasowaniu. Tym jedynie sposobem można było zapewnić akcyonaryuszom procent w stosunku 5%, inaczej bowiem, a mianowicie przy utrzymaniu kapitału spółkowego w cyfrze przez akt nadawczy oznaczonej (rub. 1,274,000), ciż akcyonaryusze byliby musieli poprzestawać na procencie około  $4\frac{17}{20}$  % rocznie, lub też biorąc po 5% utracaliby swe w interes wkłady, czyli sam kapitał.

Zaznaczyć także wypada, iż w obec nieznacznój odległości między Koluszkami i Łodzią, ustawa nie mogła przewidywać potrzeby zwiększania w przyszłości kapitału akcyjnego; nie istnieje więc zastrzeżenie pod względem zestawienia części emisji następnych do rozporządzenia koncesyonaryuszów.

Liczba ich zresztą, kapitał budowy stosunkowo mniej znaczny, a na zebranie którego sami bezwątpienia złożyć się byli w możności i nie wielki udział jaki początkowo publiczność w tém przedsięwzięciu była przyjęta, czyniły toż Towarzystwo zaledwie wychodzącem z dziedziny spółek udziałowych, ogólniejszego nie budzących zajęcia. Przynależy mu przeciw wzmianka z powodu oszczędzenia na budowie drogi kapitału 84,090 rub. i niepobrania przy ostatniej wpłacie od 11,212 sztuk akcji pierwiastkowo wypuszczonych, po rubli 7 kop. 50, a więc tak jak gdyby zwrócenia téj oszczędności uczestnikom spółki <sup>3)</sup>.

Zbudowała ona i urządziła drogę za pośrednictwem podantreprzyzy oddanej Filipowi Jellinek, który przyjął był obowiązek:

a) wykonania budowy dolnej, mostów, przejazdów, domków dróżniczych, budowy wierzchniej wraz z dostawą szyn, zwrotnic, rozjazdów i podkładów, oraz urządzenia telegrafu optycznego i dzwinkowego, za summę *à forfait* po rub. 26,500 od wiorsty i:

b) postawienia budynków na stacyach, także *à forfait* za summę po rubli 4,000 od wiorsty; razem przeto rubli 30,500  $\times$  wiorst 26 = 793,000 rubli <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Fundusz na umorzenie po 0,133,161%, czyni rocznie rub. 1640, wypadało przeto zmniejszyć kapitał Towarzystwa o sumę rub. 32,800 (sprawozdanie z budowy drogi, str. 11, tabela amortyzacyjna kapitału 1,241,200 rubli, dołączona do sprawozdania za rok 1869).

<sup>2)</sup> Pozycya 2 bilansu za rok 1875.

<sup>3)</sup> Art. 1 i 16 umowy nadawczej § 6 i 44 ustawy Towarzystwa, poz. 1 bilansu za r. 1875, *confer.* powyżej przypisek 2, str. 125.

<sup>4)</sup> Sprawozdanie z budowy str. 10. Z rachunku budowy dołączonego do tegoż sprawozdania (rozchód Kategoria III poz. B i C) okazuje się, iż Towarzystwo zapłaciło podantrepreneurowi, rub. 786,375, t. j. mniej o 6,625 rub. a to skutkiem zmiany zatwierdzonych spadków, oraz przyjętego przez władzę innego systematu szyn.

Pozostawało więc dopełnić jedynie nabycia gruntów pod drogę i stacje, taboru, machin do wodociągów i części żelaznych, tudzież postoi obrotowych.

Po obliczeniu kosztów, Towarzystwo widziało się być w możności, wypuszczenia akcji tylko 11,212 sztuk, zachowując resztę sztuk 1,200 na uzupełnienie w przyszłości taboru <sup>1)</sup> i jak to już powiedziano, przypadającą oszczędność w kwocie rub. 84,090 przeznaczyć na korzyść akcyonaryuszów <sup>2)</sup>.

Czyste dochody drogi nie dochodzą do sumy przez rząd poręczonej. W r. 1875 przewieziono osób 161,461, towarów i bagaży 10,101,417 pudów. Dochód *brutto* uczynił rubli 185,198 kop. 88½; po pokryciu wszakże kosztów eksploatacyi (między którymi płace służby drogi wyniosły rubli 39,281), pozostało na czysty dochód r. 28,290 kop. 34½; rząd przeto dopłacił Towarzystwu rubli 48,627 kop. 40½; dla uzupełnienia sumy rubli 63,700 poręczonej w złocie <sup>3)</sup>. Towarzystwo w obec bardzo małego taboru: 5 parochodów, 14 powozów i 37 wagonów, nie posiada żadnych zasobów finansowych <sup>4)</sup>.

Założycielom nie przypadło nic tytułem renty, tak samo jak w latach poprzednich.

## VIII.

Rozbiór pierwszego z praw jakie służą akcyonaryuszom Towarzystw dróg żelaznych, prawa do udziału w korzyściach na przedsię-

<sup>1)</sup> *Confer.* stan finansowy dołączony do sprawozdania z budowy. Z funduszu tego pozostaje w kasie Towarzystwa z d. 1 stycznia 1876 r. rubli 24,859 kop. 69, jak to objaśnia poz. 2 bilansu za r. 1875.

<sup>2)</sup> Żadnego innego zysku na budowie drogi Towarzystwo nie miało; cały bowiem kapitał rub. 1,241,200, a po strąceniu owej, akcyonaryuszom pozostawionej oszczędności rub. 84,090 wynoszący rub. 1,157,110 wydało na budowę wraz z kwotą rubli 25,177 kop. 18 zebraną z procentów i innych wpływów w czasie budowy. Dwie ostatnie sumy czynią razem 1,182,287 rubli 18 kop. i tyleż czynią kosztą budowy drogi rubli 1,157,427 kop. 51 wraz z resztą funduszu na uzupełnienie taboru rubli 24,859 kop. 67. Koszta budowy rozdzielają się znowu jak następuje: podantrepreneurowi za obie kategorie robót 786,375 rub.; nabycie gruntów 32,217 kop. 61. Koszta administracyi 25,779 rub. 7½ kop. Procenta od kapitału spółkowego przez czas budowy 38,631 rub. i 33 kop., koszta studyów na drogę Kaliską 25,129 rubli 15 kop., tabor 210,042 kop. 33, inne pomniejsze pozycye pomijamy. (*Zamknięcie rachunku budowy drogi dnia 18/30 stycznia 1868 r. dołączone do sprawozdania téjże budowy i bilans za r. 1875*).

<sup>3)</sup> Sprawozdanie za rok 1875 str. 2 i komisji rewizyjnej z dnia 13 czerwca 1876 roku str. III. Ogólna suma zaliczeń rządowych po koniec 1875 roku dopełnionych wynosi rubli 448,585 kop. 25 (bilans za rok 1875 pozycya 4).

<sup>4)</sup> *Annex V* przy témże sprawozdaniu.



bierstwie budowy tych dróg i sposobu w jakim toż prawo było wykonaném, nietylko postawił nas w konieczności zestawienia odpowiednich cyfr i danych, ale musiał zarazem wywołać krytykę przy ocenianiu tychże danych. Ta krytyka jest bezwątpienia raczej za mało niż za bardzo pobłażająca; im jest przecież surowszą, tém każdy łatwiej i wyraźniej dostrzeże, iż nawet ci z koncesyonaryuszów, których krytykujemy, bezzaprzeczenia zasługują na wyróżnienie od smutnie słynnych gründerów zagranicznych. Wyróżnienie to rozciągnąć należy i do założycieli innych spółek bezimiennych, powstałych u nas w ciągu ostatnich lat kilkunastu, a jakkolwiek byliśmy widzami pewnych wyjątkowych dążeń w kierunku przeciwnym, nie znalazły one jednak odpowiedniego dla siebie gruntu i dlatego nie mogły się dotychczas ani urzeczywistnić ani powieść.

Każdy przeto bezstronny badacz musi przyznać, że pod tym względem nasza społeczność nie jest dotychczas w stanie chorobliwym, szerzącym gdzieindziej materyalne i moralne zniszczenie. Porównanie z zagranicą widocznie wypadające na naszą korzyść, może bezwątpienia przynieść pociechę na dziś, niezabezpieczając przecież społeczeństwa co do jutra, nie powinno wywoływać bezwzględnego zaufania na przyszłość, ani upoważniać do apatii.

Jakoż, wobec tego co się gdzieindziej w dziedzinie spółek bezimiennych działo i dzieje, myśl niepowstrzymywana owém uczuciem pociechy, pragnęłaby jednocześnie zbadać, czy podobne krachy nie spadną i na nasze społeczeństwo w bliższej lub dalszej przyszłości? Pytanie to przecież, nie należy do rzędu pytań bliższych, teoretycznych, stawianych przez tę lub inną gałąź nauki albo przez ciała naukowe w rozwoju wiedzy ludzkiej; ale jest jedną z kwestyi, które stawiają się same, wprost z życia społecznego, a na które w danym momencie odpowie dopiero sama rzeczywistość.

Poprzestając przeto na zaznaczeniu powyższego pytania, nie przynosimy na nie odpowiedzi ani twierdzącej ani przeczącej.

Że jednakże rzeczywiste niebezpieczeństwo pod tym względem istnieje, temu nikt zaprzeczyć nie będzie w stanie. Bez potrzeby bowiem sięgania w odleglejszą przeszłość ani wglądania w dzieje oszukaństwa, spoliacy i blagi, chociażby tylko od czasów Law'a, żyjące pokolenie ma przed oczyma świeże przykłady ruiny tysięcy rodzin, spowodowanej niesumiennością gründerów, która wypowiedziała ostateczne słowo w krachach wiedeńskim i berlińskim <sup>1)</sup>.

Blizkie nam Księstwo Poznańskie i Galicya dają miarę, jak dalece może być zubożoną każda społeczność, która zaniedba lub nie potrafi uzbroić się wcześniej przeciwko siłom zastawionym, na nieogłędność

<sup>1)</sup> Ciekawe a zarazem pouczające fakta, obejmuje: *der Börsen und Gründungs-Schwindel in Berlin* von Otto Glagau (Leipzig verlag von Paul Froberg, 1876).

połączoną z gorączką bogacenia się zyskiem łatwym, bez pracy, najczęściej przeciw zawodnym.

Miałoby nasze społeczeństwo zawsze wyróżniać się pod tym względem od sąsiednich społeczeństw zubożonych przez gründerów, miałyby na straży jego interesów stać mocniejsze niż gdzieindziej zasady moralności i cnoty publicznej, umozębniające wejście na scenę i działalność podobnego rodzaju spekulantów, albo łatwowierność lub chęć zysku bez pracy, miałyby być wśród nas mniejszemi? czyż wreszcie, utrzyma się długo sumiennosc i dbałość o sąd opinii publicznej i owa tradycja, podkopywania z tyłu stron, a jeszcze do dziś oddziaływająca nawet na stosunki pieniężne i której wzmiankowane wyróżnienie naszego świata finansowego mamy głównie do zawdzięczenia; o tém wszystkiem wolno przynajmniej powątpiewać. Jesteśmy przeciw przeswiadczeni, iż zubożenie o jakim mowa, nie nastąpiło nigdzie bez winy i zaniedbania ze strony samychże społeczeństw, padających ofiarą oszukaństwa i spoliacy, że tego rodzaju ruiny majątkowe są zawsze następstwem ogólnego szału i lekkomyślności łatwej do uniknienia.

Jakoż, zasługuje na taki zarzut, każdy a zwłaszcza każdy ojciec rodziny, który oszczędności własne lub otrzymane w spuściźnie rzuca w wir spekulacji, o której nie ma dokładnego pojęcia, i powierza je w ręce ludzi o których sumiennosci dostatecznego przekonania nie ma. Takim jest bezwątpienia każdy, kto na samą wieść o tworzącej się spółce bezimiennój, zawsze zapowiadającej świetne rezultaty, spieszy kupować jej akcje, jak gdyby do tej formy lub nazwy papieru przywiązanym był wpływ magiczny, koniecznie sprowadzający same zyski, a chroniący od wszelkiej straty. Nie rzadko przychodzące rozczarowanie, mało kogo poucza; a jednak najprostsza ostrożność każdemu doradza, rozpoznać przedewszystkiem warunki przedsięwzięcia mającego być celem i przedmiotem spółki, porównać je z rezultatami podobnych spółek zawiązywanych zagranicą <sup>1)</sup>, i chociaż przybli-

<sup>1)</sup> Zachęty do brania udziału w przedsięwzięciach spekulacyjnych, a zwłaszcza takich które zagranicą niejednokrotnie podejmowano, poupadały, są niewłaściwemi. Spotykamy je przeciw często w różnych dziennikach i czasopismach. I tak np. zachęcano u nas zawiązanie Towarzystwa *budowniczego*, bez względu na to, iż wszystkie Towarzystwa budowlane istniejące w Paryżu, w Marsylii, w Berlinie, w Wiedniu i w innych miastach poupadały, akcyonaryusze zaś potracili całość a przynajmniej połowę funduszków w przedsięwzięciu włożonych. Na jakiej podstawie zachęcający spodziewali się że także Towarzystwo będzie w Warszawie wyjątkiem, i nie straci przynajmniej znacznej części włożonego kapitału, jak to miało miejsce w tylu innych miastach, tego zrozumieć nie mogliśmy. Mniemamy, że należałoby przyjąć za stałą regułę, zachęcać każdego do pracy, oszczędności i do umieszczania funduszków oszczędzonych wyłącznie w papierach lokacyjnych, pozostawiając dziedzinę spekulacji tym którzy się na nią znają i z niej czynią swoe codzienne zajęcie. Gdy zaś ci ostatni zachęty dzienników nie potrzebują, nie ich więc ma ona

zenie obliczyć jakich korzyści spółka spodziewać się może; przy tém zaś przedwstępnie badaniu szukać przedewszystkiém solidności, a na drugiem miejscu stawiać i obliczać zyski. Potrzeba także odczytać umowę spółkową, czyli ustawę Towarzystwa akcyjnego, dla przekonania się, czy jej przepisy nie zapewniają założycielom części lwiej z zysków, nie pociągając ich jednocześnie do odpowiedniego udziału w stratach *możliwych w każdej antreprzyzie*. Co zaś najważniejsza, przynajmniej nie iść do interesu, bez pełnego przeświadczenia nietylko o uczciwości założycieli Towarzystwa, dającej moralną rękojmią, iż oni kosztem swych spółników zbogacić się nie zechcą, ale i o znajomości rzeczy, dającej równie potrzebną rękojmią co do tego, że przedsięwzięcie potrafią poprowadzić dobrze. Niezdolny acz uczciwy kierownik przedsięwzięcia, może także spowodować dla akcyonaryuszów stratę, z tą jedynie różnicą, iż nietylko sam się nie zbogaci z ich szkodą, ale i złe losy spółki w należnym stosunku wraz z nimi podzieli.

Czy między kupującemi papiery spekulacyjne jest wielu takich, którzyby przedewszystkiém powyższe dane zebrać zapragnęli? niech odpowiedzą ci, którzy właśnie na takich papierach potracili. A jednak słynna reguła: *aide toi le ciel l'aidera*, ma najpełniejsze zastosowanie, właśnie w dziedzinie spekulacji pieniężnej. Kto więc w mowie będących danych zebrać nie chce lub nie potrafi, ten zamiast kupować na ślepo papiery spekulacyjne, powinien wyłącznie pozostać przy papierach lokacyjnych <sup>1)</sup>. Ostrożność jest przeto koniecznym warunkiem

na celu, ale ogół publiczności, tych właśnie, którym raczej ostrożność doradzać nie zaś ich pożądlivość zysku rozbudzać by przystawało. Tém mniej zaś godzi się zachwalać przed niemi przedsięwzięcia z natury swęj ryzykowne, a zwłaszcza takie, które już wszędzie zrobiły zupełne *flasco*.

<sup>1)</sup> Jeszcze dotąd można się u nas spotkać z mylnemi pojęciami o naturze papieru lokacyjnego, najwięcej rozpowszechnionego, o Listach zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie. Łatwość ich spieniężania na giełdzie, po kursie nieulegającym raptownym fluktuacyom, zrodziła w niektórych umysłach mylne mniemanie, jakoby ten papier był *pieniądzem* takim samym a przynajmniej bardzo zbliżonym do biletów bankowych czyli do monety obiegowej. Mniemanie to zaś, podtrzymują niektóre dzienniki i czasopisma, często ponawiając zarzuty, jakoby posiadacze rzeczonych Listów zastawnych, *więzili swe zasoby nieprodukcyjnie dla społeczeństwa*, odwracając je od spekulacji i od wszelkiej działalności ekonomicznej. Należy koniecznie i raz na zawsze porzucić to mylne zapatrywanie i niezapominać o różnicy zachodzącej między gotowizną a papierami spekulacyjnymi i lokacyjnymi, różnicy, będącej abecadłem w tym przedmiocie.

*List zastawny nie jest czém inném, jak obligiem hypotecznym*, udoskonalonym przez to, iż poświadczając zbiorowe zobowiązanie właścicieli ziemskich, przedstawia większą pewność od weksłów najzamożniejszych domów handlowych; ta zaś pewność czyni spieniężenie tegoż obligu w każdej chwili łatwém. Gotowizna za tenże oblig zapłacona, nie jest bynajmniej zamkniętą



dla osłonięcia publiczności przed szalbierstwem pierwszego lepszego gründera, który na ruinach majątkowych wśród naszego społeczeństwa z bogaciłby się zapragnął. Bez tej ostrożności ze strony ogółu, musiałoby ono stać się prędzej czy później łupem nieuczciwej spekulacji, jaka już niejednokrotnie pochłonęła oszczędności od naszych zasobów daleko większe, a nagromadzone pracą kilku pokoleń w ościennych nam krajach i w blizkich nam prowincjach. Rany temi krachami zadane, nie są tam jeszcze zagojonemi. Im zaś zasoby naszego społeczeństwa są skromniejszymi, tém konieczniejsza jest nieustająca baczność i ostrożność w dziedzinie spekulacji i spółek bezimiennych.

Przez poczucie tej konieczności podjęliśmy niniejsze studyum, w celu zaś zwrócenia na nią uwagi oddajemy je do druku.

(Dokończenie w jednym z następnych zeszytów).

w skrzyni, ani wycofaną z obiegu, ale wypożyczona na potrzeby rolnictwa, pozostaje jak przedtém w cyrkulacji ogólnej. Między nabywcą Listu zastawnego a eskontującym weksel, niéma pod tym względem żadnej różnicy. Obadwaj wprowadzili swe zasoby w działalność ekonomiczną, 1-szy na potrzeby rolnictwa, 2-gi na potrzeby przemysłu i handlu. Przedaż Listu zastawnego i zeskontowanie wekslu ani powiększyły ani zmniejszyły ogólnej summy pieniędzy cyrkulujących w kraju, (złota, srebra, biletów bankowych); zmienili się jedynie posiadacze tegoż Listu zastawnego, i tegoż wekslu. Mający pieniądze, ulokował je w jednym z tychże papierów, i już nic więcej do wprowadzenia w działalność nie ma; posiadacz zaś tychże papierów otrzymał w zamian gotowiznę, którą wprowadza w obieg. Ta zmiana osób jest dla społeczeństwa najzupełniej obojętną; nie może zaś ono żądać, by każdy, sam osobiście prowadził przemysł, spekulacją lub handel. Komu rodzaj zajęcia i pracy nie dozwala przyjąć osobistego udziału w działalności ekonomicznej, *ten nie może swych oszczędności użyć produkcyjnie*, jak oddając je w ręce tych, którzy właśnie na polu produkcji krajowej działają. Jakoż, *w stosunku do samego siebie używa je produkcyjnie*, skoro od danych pieniędzy pobiera procent; *w stosunku zaś do całego społeczeństwa używa je także produkcyjnie*, skoro jednocześnie idą one na posługę rolnictwa, przemysłu lub handlu.

Że przy tej operacji, ponawiającej się codziennie, oddający pieniądze, bierze na nie dowód pod postacią listu zastawnego lub wekslu, temu się nikt dziwić nie powinien. Za te przecież pieniądze, rolnicy budują, uprawiają ziemię, sieją, zbierają plony, zaprowadzają maszyny i ulepszenia, — kupy zaś i przemysłowcy rozwijają handel i przemysł. I zaprawdę, nie byłby do pozazdroszczenia los rolnictwa, gdyby wszyscy posiadacze gotowizny, dla uniknięcia często stawianych w druku zarzutów, zaprzestali umieszczania swych oszczędności w Listach zastawnych; — tak samo jak ustałby musiał przemysł i handel, gdyby znowu posiadacze téjże gotowizny, zaprzestali eskontowania weksli. Powtarzamy zaś, iż ogólna summa gotowizny istniejącej w kraju,

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Broekera b. oficera b. legionów francuzko-polskich. Tłumaczone z oryginału niemieckiego, przez córkę jego Paulinę Cybalską. Warszawa, drukiem Józefa Ungra, 1877. (w 12-ce str. XVI, 339, z popiersiem autora).*

„Rendez l'honneur a celui qui mérite d'être honoré.”

W dziejach Księstwa Warszawskiego ciekawy zajmuje ustęp wojna hiszpańska, w której nie mały udział brały pułki armii polskiej. Fryderyk hr. Skarbek, który troskliwie badał ten okres, a biorąc sam w nim udział, dał nam dokładny obraz utworzenia, organizacji tego państewka na wzór francuzki i owoczesnej społeczności, za ledwie o tój wyprawie za Pireneje wspomina.

W niejto poraz pierwszy zwycięzkie sztandary Napoleona I-go kłęską dotknięte zostały i swój urok straciły, a wielki wojownik poznał dopiero, co to jest walka z narodem, który chce i umie walczyć za swą niepodległość. Pułki wojska Księstwa Warszawskiego w najważniejszych chwilach oddawały tak przeważne usługi armii francuzkiej, że *w starój gwardyi* wywoływały podziw i uwielbienie. Dość tu przytoczyć zdobycie wąwozów *Somosierra* przez Szwoleżerów polskich pod dowództwem Kozieltulskiego, czém otworzyli drogę Napoleonowi do bram Madrytu. Pod Almonacid ginie bohaterską śmiercią dzielny pułkownik Sobolewski, życiem oplakając świetne zwycięstwo: Okana, Almeida, Talawera, Walladolid i Alkazar, były świadkami waleczności i poświęcenia naszych rodaków. Tu znaleźli mogiły dzielni: Dziewanowski, Krzyżanowski, Rudawski, Sielski, Wiśniewski, Gajewski, Tomicki, Bogucki, Horowicki, Szot, Emeryk, Bieliński, wreszcie prosty żołnierz Suryn, który odznaczony się nadzwyczajnym mężstwem, poległ pod Alkazar i pogrzebanym został w pobliżu rzymskich wodociągów, z serdecznym żalem swoich towarzyszków.

nie zwiększa się bynajmniej: — jeżeli np. w danej chwili wynosi sto milionów, nie wzrośnie przecież ani o grosz, chociaż Piotr sprzeda Pawłowi Listów zastawnych za milion. Że zaś posiadacze tychże listów, poprzestają na procentie umiarkowańszym, od procentu jakiby im inne papiery publiczne dać mogły, tego im za złe poczytywać nie należy, skoro umiarkowana stopa procentowa, oddziaływa właśnie na korzyść pracy skierowanej w dziedzinę rolnictwa.

Do pamiętnej tej wyprawy nie braknie nam obfitych materyałów nietylko w dziełach obcych, ale mamy zbiór zasobny pamiętników samychże naszych wojowników, którzy w niej brali udział.

W dziele: *Cmentarz Powązkowski pod Warszawą* (1858 r.) mamy z nich obszerne wyciągi. *Dodatek Czasu* podał także wiele tego rodzaju zabytków. Generał Mroziński opisał szczegółowo oblężenie Saragossy, w której góruje pomiędzy wszystkimi wojownikami postać nieustraszonego Chłopickiego. Wówczas też powstał poeta żołnierz Kantorbery Tymowski, który dumając w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem, wyśpiewał wymownie swoje i towarzyszków swoich uczucia, myśli, żale i tęsknotę.

„Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,  
Księżyc srebrnego wozu bładym promień ciska;  
Drż w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy  
Zamku, gdzie panowały kiedyś Abderamy.  
Wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże,  
Których spiż polskiej broni, a odwaga strzeże;  
Stokroć odgłos „kto idzie!” wiekami nieznanym,  
Obija się o czarne sklepienia i ściany,  
Bezpieczni tarczą hasła: *zginę lub zwyciężę!*  
Oparci na żelazie spoczywają mężowie;  
Noc, spokojność rozlewa na całą naturę,  
Mnie tylko sen przerywa wspomnienia ponure.

Zwracając myśl rzewną do poległej braci, woła z boleścią:

„Na obcej ziemi chwila biła wam ostatnia!  
Już smutnych grobów waszych, Iza nie skropi bratnia,  
Ani ich mirtem ręka kochanki ocieni,  
Ni przyjaciele zwiedzić przyjdą zasmuceni!  
Kiedyś rolnik hiszpański wyorze te szczątki,  
I urągać się będzie z przykrą pamiątką!”

Do tego to okresu przybywa nam nowy a ważny przyczynek w pamiętniku Stanisława Broekera oficera legionów francuzko-polskich. Zachowanie go od zatury i wydanie zawdzięczamy córce tego wojownika p. Paulinie Cybulskiej, która w siedemnaście lat po zgonie ojca, z niemieckiego rękopismu przełożyła na język polski.

Autor w przedmowie wyraża: że „znalazłszy wiele niedokładności w dziełach opisujących wojnę hiszpańską od r. 1808—1811, przedsięwziął jako w niej uczestnik i naoczny świadek, sprostować je i opisać.”

„Historia nie może wskazać epoki (pisze dalej), w którejby tak jak w pierwszych latach bieżącego wieku, narody europejskie były wzburzone i pałające żądzą wojny: wtedy każdy prawie młodzieniec



w najpiękniejszej porze życia, opuszczał swe strony rodzinne, a nauczył się obcych języków, zapomniał nieraz ojczystej mowy, jak również swego kraju, nie odnajdując już częstokroć drogich swemu sercu osób! Gdzież nie powstała noga żołnierza polskiego? Czyliż się nie potykał z Egipcyaninem, z zaciętym Kalabryjczykiem w Apeninach, z dumnym Hiszpanem w rejteradzie na najwyższym szczycie Sierra-Moreny, albo w ciemnych i wązkich ulicach Saragossy? Walczył nawet na drugiej półkuli z zamorskimi mieszkańcami St. Domingo. Szczęśliwy ten kto swą ojczyznę odnajdzie. Nietylko Hiszpan powracający do swego łagodnego klimatu, ale każdy cieszy się zobaczywszy progi rodzinne; chociażby zimne i puste, są one zawsze dla niego najmilszymi."

Wyjaśniliśmy niesprawiedliwy powód do téj wojny, i osadzenie przez Napoleona I-go brata swego Józefa na tronie hiszpańskim, przystępuję S. Broeker do osobistych wspomnień.

Nasz autor urodził się 1789 r. w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, niedaleko miasteczka Międzyrzecza. Od r. 1803 kształcił się w szkole wojskowej, ale po bitwie pod Jena, 1806 r., w której cała armia pruska rozbitą została, z szeregów pruskich przeszedł do wojska Księstwa Warszawskiego, i umieszczony został w pułku 9-ym liniowej piechoty, pod dowództwem księcia ordynata Antoniego Sułkowskiego, który takowy sformował i mianowanym został jego pułkownikiem. W końcu czerwca 1808 r. wyruszył do Hiszpanii. Opisał marsz przez Niemcy aż do Renu i przez Francją, staje wreszcie na ziemi hiszpańskiej. Po podanej liście imiennej oficerów niższych i wyższych stopni, swego pułku, kreśli szczegółowo marsz do Madrytu, i przestrasch mieszkańców.

Nie będziemy podawali szczegółów, chociaż zajmujących, przygód naszego wojaka: ranny, i opatrnością Bożą uratowany od pewnej śmierci, w Toledo 1809 r. wraz z pułkiem swoim znajduje wygodny spoczynek. Ale był on tylko chwilowym, bo wkrótce trzeba było wystąpić do krwawej walki, którą niemal codzień odnawiano. Teraz występują przeciw Napoleonowi I Anglicy na Zachodzie, i z nimi stacząno boje.

Nie możemy pominąć ustępu, który Broeker poświęca wspomnieniu pułku 1-go ułanów legii nadwiślańskiej. „Pułk ten był rozdzielony: jedna część licząca 800 ludzi znajdowała się przy naszym korpusie, druga zaś tak samo silna była w Arragonii przy korpusie *Sucheta*. Ci w naszym korpusie taką odznaczyli się śmiałością, że byli postrachem Hiszpanów, a szczególnie ich kawaleryi we wszystkich bitwach. Pierwsi rzucali się na nieprzyjaciela, niezważając na ogień ścigali go krok w krok. Zabawą dla nich było zdobyć baterye lub rozbić czworobok, w wielu bitwach piechota nie dała nawet wystrzału, gdy oni wszystko roztrzęśli i rozproszyli, co oszczędziło nam wiele trudu i straty ludzi. Hiszpanie zwykle uciekali, skoro tylko ułanów (*los lanceros Polacos*) ujrzeli. Częstokroć aby złudzić Hiszpanów, kiedy się ukazali

chowali swoje lance między konie; ci więc myśleli że są to strzelcy konni albo huzarzy: pomyłki tej nieraz żałowali, gdyż ułani mieli lekką polową baterią, podarowaną im przez cesarza Napoleona, i wszędzie prowadzili ją za sobą. Zapalem swym i odwagą zjednali dla siebie szacunek, byli też ulubieńcami generała głównie dowodzącego: pełniąc służbę przy jego boku, używani byli do eskorty, podczas ataku razem z generałem znajdowali się we froncie."

Bitwa pod Ocanną 19 listopada 1809 r. i świetne zwycięztwo nad 80,000 armią hiszpańską zamyka pierwszy dwuletni okres. Niebrak w nim rzewnych, zajmujących, jak zgrozą przejmujących obrazów; nie była to walka bowiem w otwartém tylko polu z regularnym żołnierzem, ale bój krwawy z narodem podbudzanym dwoma najsilniejszymi bodźcami: uczuciem patriotyzmu i fanatyzmu religijnego: była to walka, jak wyrzekł bohaterki obrońca Saragossy: „Walka na noże."

Rozpraszano armię hiszpańską, brano tysiące niewolników: powstawały nowe zastępy a wszędzie roili się *gierylasy* z włościan i miast zbiegający się ochotnie, którym często mnichy przewodzili a zawsze podniecali do boju z wrogiem. Gromady te zbrojne, walcząc dzielnie, przecinając drogi, po bitwie „siedząc (jak wyraża nasz autor) przy ognisku, paląc papierosy, jedząc ryż ze stokfiszem, co mięso zastępuje, przy gitarze tańczyli ohocho i wesolo *landango*, w trzewikach ze szpagatu, a nas przeklinali swoim zwyczajem." W zdobytej szturmem Maladze d. 8 lutego 1810 r., odpoczęli nasi wojacy nieco po ciężkich trudach, gdzie się raczyć mogli przez dwa miesiące wyborném winem, i bawić towarzystwem Hiszpanów więcej oświeconych. Tu pożegnali swego pułkownika księcia Sułkowskiego, który mianowany generałem, został zarazem gubernatorem tego miasta.

Z nad Tagu przemaszerowali nasi wojacy nad brzegi morza Śródziemnego, stojąc przez trzy miesiące w zachwycającej pięknością przyrody Almeryi. W Grenadzie wspomina o świetném zwycięztwie kapitana Młokosiewicza pod Fiungirola nad Anglikami.

Trzy kompanie pułku naszego autora, stanęły w słynnej Alhambrze, daje jej więc opis obszerny i szczegółowy.

Po zwycięztwach przyszły kłeski, w r. 1811 dostaje się wraz z wielu towarzyszami broni do niewoli; wśród rozżartych gierylasów ocalonym został od pewnej śmierci przez oficera hiszpańskiego Conde de Montijo, rodem Szwajcara. Tu kończy swój zawód na polu bitwy Broeker, a rozpoczyna się prawie czteroletni obraz smutny, bolesny, strasznej niewoli. Daremnie usiłowali śmiałym czynem z niej się uwolnić; zdradzeni przez nikczemnego Niemca, w gorszą popadli niewolą. Wsadzeni na okręt, wytrzymują groźną burzę, głód i ucisk nieopisany. Wyrzuceni na Majorce, przewiezieni wreszcie zostali na wyspę Iwice i w mieście téjże nazwy osadzeni. Tu autor opisuje zajmującą przygodę miłosną towarzysza broni.

Broeker wybrał sobie w sionce zaciszny zakątek ale ciemny, bo okno było zamurowane dużą taflą z piaskowca na sześć cali grubego. Mając świderk i dłutko, cierpliwie a długo pracując wywiercił okienko



małe kwadratowe i otworzył się piękny widok. Tu cisnęło się wielu, ale największym wielbicielem tego widoku był porucznik Pawłowski z tegoż pułku. „Z natury (pisze autor) stworzony na prawdziwego Kupidyna, ten młody i przystojny mężczyzna, wdychając, wyglądał ciągle na ową wielką przestrzeń czarującego świata, aby co ujrzyć dla smutnego i spragnionego serca, oraz pokonać w więzieniu swe nieznośne i dręczące nudy, które go ciągle męczyły. Człowiek ten posiadał tak bystre oko, iż najwięcej oddalone przedmioty odrazu rozeznawał i takowe jaknajlepiej widział: aż nareszcie wypatrzył przedmiot swych pożądanych marzeń.

„Za fortyfikacją w jednym domu na pierwszym piętrze, siedziała piękna signorita, która szcieniem ciągle zajęta była. Od téj pory rozmarzone serce jego, gwałtownie bić zaczęło; zdawało się jakoby chciał wyskoczyć i precisnąć się przez to małe okienko, aby lotem ptaka mógł się przybliżyć do niej: ale niestety, otwór był za mały. Ponieważ wszelkie przeszkody w życiu dla miłości są niczem, prawdziwa przeto miłość wszystko z drogi usunie i wszystko pokona; dlatego też i nasz porucznik potrafił sobie poradzić.“

Jakoż z dalszego ciągu opowieści widzimy, że potrafił zbliżyć się nietylko do bohdaniki, ale nawiedzić ją w jej domu. Piękna signorita Pepika była córką bogatego inspektora salin, wroga zaciętego grasującej armii. Ojciec mając podejrzenie, potrafił porucznika schwytać w czasie tych odwiedzin i już chciał go zastrzelić, gdy Pepika, wyznając swoją miłość, uratowała go od pewnej śmierci. Za wpływem duchowieństwa ojciec się udobruchał, zezwolił na połączenie zakochanej pary. Po ślubie pan młody otrzymał w posagu od niego 1,000 piasstrów czyli 9,000 złp.

Broeker pełen rzewności maluje nam obraz rozpaczy małżonki Pawłowskiego, gdy uwolnieni brańcy opuszczali ziemię hiszpańską. Senhora Pepika przybyła szczęśliwie z mężem do Polski. W nowój organizacji Królestwa Polskiego mianowany porucznikiem 2-go pułku strzelców, następnie został adjutantem placu fortecy w Modlinie. Tu umarł pozostawiając wdowę z dwojgiem dzieci. Po zgonie męża kupiła małą kolonijkę w pobliżu Warszawy: Broeker zrobił tam wycieczkę umyślną, ale już Dueney Pepiki nie znalazł; powiedziano mu tylko, że wyprowadziła się w Augustowskie.

W niewoli z dala tylko otrzymywali wieści o wyprawie 1812 roku i o strasznej klęsce wielkiej armii Napolcon. Otrzymawszy wolność w dniu 14 lutego 1814 r. wraca autor przez Włochy do ojczyzny.

Dwa przedostatnie rozdziały (XIII i XIV) poświęca szczegółowemu opisowi Hiszpanii, charakterowi jej mieszkańców, ustrojowi społecznemu, jak zwyczajom i obyczajom, o ile je mógł zbadać w czasie swego pobytu w tym kraju; szeroko kreśli obraz ulubionej walki byków. W oddzielnym ustępie podaje wreszcie listę oficerów tak polskich jako i innych narodowości, którzy w niewoli siedzieli od 30 sierpnia 1811 r. do 1 czerwca 1814 roku.



Wraca wreszcie do ukochanej ziemi rodzinnej; widzi sędziwego ojca: „Matkę zaś moją już nie zastałem przy życiu. O! jakże chętnie chciałbym ją był zobaczyć i uścisnąć drogie dla mnie jej nogi! lecz Bóg inaczej rozrządził.“

Na tym kończy swój pamiętnik S. Broeker, równie zajmujący jak ważny dla badacza tej pamiętnej wyprawy, która nierozważnie podjęta przez Napoleona I., zachwiała jego potęgą, a wkrótce zdruzgotaną została nad brzegami Berezyny, gdzie pycha dumnego zwycięzcy Europy ukorzona, zawiodła go na pustą i skalistą wyspę Ś. Heleny.

Pamiętnik ten uważać musimy jako cenny przyczynek do dziejów części armii księstwa Warszawskiego, z której druga walczyła, broniąc od najazdu austriackiego. Dziwne zrządzenie losu: nad wybrzeżem pełnej grozy Berezyny, tu się nasi wojacy spotkali z dywizją hiszpańską, która walczyła pod chorągwią Napoleona. Jój żołnierzom Józef Rudnicki, późniejszy major inwalidów polskich, winien ocalenie, bo doznał przyjacielskiej pomocy, gdy odezwał się ich rodowitym językiem, jak sam w swoim pamiętniku zeznaje. W tym oddziale bitnych Hiszpanów, znaleźli nasi wojacy już teraz nie wrogów, ale szczerych braci po szabli i bagnecie.

Książka ta Broekera, pisana jest starannie, a jak z tłumaczenia sądzić możemy, stylem potoczystym i jasnym. Żołnierz ten wykształcony naukowo, umiał władać piórem; w wielu miejscach wybija szczerzy zapal i myśl zacna. Dla wielu rodzin miłą zawsze będzie pamiątką, bo w niej żyjący znajdują chlubne wspomnienia o swoich przodkach lub pokrewnych bliżej, co albo krwią zdobywali zwycięstwo, lub opłacali je własnym życiem w celach, dobitnie wypowiedzianych przez Kantorberego Tymowskiego w dumie, z której ułamki tylko powyżej przytoczyliśmy.

K. Wł. Wójcicki.

*Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.* Tom IX. Nakładem tegoż Towarzystwa. Poznań, 1876 rok, (w 8-ce str. 339).

Tom ten w obszernych rozmiarach, obejmuje rozprawy z działu literatury i historii. O pierwszych najprzód złożymy sprawozdanie.

W artykule „Szoari i rapsody arabskie w Egipcie“ (str. 233 do 255), p. Józef Kościelski podaje nam w pięknym przekładzie ustęp z eposu arabskiego: „Sirèt-Abu-Said.“

Obok samej treści, pismo p. Kościelskiego zasługuje na uwagę, ze względu na rozproszone w nim tu i owdzie rysy artystycznego wyzna-

nia wiary autora. Słychać tam, rzadkie już dzisiaj głosy tęsknoty za usuwającym się wciąż pod społecznością gruntem, za pieśnią i natchnieniem. Autora smutkiem przenika widok skarłowacenia społeczności, zastępującej herkulesowem kowadłem, Apollinów belwederskich i śpiewne kształty Wenus medycejskiej, a lubiącej się przedewszystkiem w dziełach téj pracy, która ogłasza kursa giełdowe. Pojmujemy, że do takiego eligijnego nastroju, szczególnieij usposobić go mogło zetknięcie się z klejnotami poezyi wschodniej. Poetyczność patryarchalną upatruje nasz autor nie tylko w dziełach fantazji Wschodu, ale widzi ją w samym żywocie, i to, zdaniem jego, nadaje tym ludom rękojmiał, wiecznie młodzieńczej, że nie powiem wiecznie dziecięcej świeżości umysłu.

Zdumiewające niegdyś, ale dziś już pod klosz złożone typy naszych gęślarzy, w Egipcie zachowały się dotąd niepokalanie. „Ktokolwiek, mówi p. Kościelski, wieczorną porą błakając się po ciasnych zaułkach stolicy Egiptu, wmieszał się w tłumy podczas uroczystości religijnych lub zabaw ludowych, kto wędrował po urodzajnej dolinie Nilowej, i zatrzymał się o zmierzchu u studni, otoczonej palmami, przy której ludzie i wielbłądy gaszą codzienne pragnienie; tego z pewnością uderzył widok grupy mężczyzn różnego wieku i odzienia, słuchających pilnie, nawet chciwie, opowiadań poważnego, siwobrodego starca. Któż jest ten starzec? O! jestto pomimo swój dłoni i szat w łachmanach, osobistość przynosząca zaszczyt narodowi, jestto najwybitniejszy przedstawiciel jego duchowego życia, jestto natchniony wieszcz-poeta. A co on opowiada swoim, wiecznie chętnym słuchaczom? Oto jeden z licznych epizodów jednego z licznych utworów epopeicznych literatury arabskiej. Nosi on téż zaszczytne miano: *Szaer* (a w liczbie mnogiej *Szoary*), t. j. poety, a raczej improwizatora, wysnuwającego na własną rękę powieści o bohaterach Egiptu, dzikich królach stepowych, przetykane przegrywkami na jednostrunnych *skrzypcach poety* (*Rabah-esz-szaer*).

Ustęp, podany przez autora, na podstawie przekładu angielskiego (Edw. Wil. Lane'a) stanowi pewnego rodzaju prolog do wielkiej epopei, której bohaterem naczelnym jest Abu-Said. Żałujemy, że p. Kościelski wielką część tego obrazu podaje nam tylko w streszczeniu i ogranicza się jedynie na powieści Khadry, kiedy ta synowi opowiada jego tajemnicze pochodzenie. Sama treść, zwięzle przedstawiona przez Kościelskiego, najwymowniej dowodzi, ile tu zyskałby czytelnik, mając żywo przed oczyma całość źródłową. Emir Risk, dotknięty najsroższą dla Araba klęską, bezdzietnością (miał bowiem tylko córki) doczekał się wreszcie syna. Rozradowała się sieroca dusza Emira. Przyniesiono dziecko. Jeden z najciekawszych szejków uniósł zastłonę, pokrywającą dziecko i spuścił ją natychmiast z okrzykiem zgrozy: dziecko było czarne. Szejkowie zgorzzeni, jakoby dowodem niewierności Khadry, małżonki władcy, wymogli na nim aby odepchnął wiarołomnicę.

Po różnych klęskach wygnaństwa wraz z synem, Khadra, nieśmiejąca wrócić do domu ojca swojego, znajduje schronienie u jednego z naczelników szczepu, który wzruszony powieścią nieszczęśliwej sieroty,



przyszłego bohatera poematu, wychowuje na równi z synami własnymi. Sierota, wyrósłszy na bohatera, dowiaduje się od matki o swoim pochodzeniu. Ale Khadra, która nigdy nie mogła przeboleć krzywdzącego podejrzenia ze strony męża, fałszuje zdarzenia i oznajmia synowi, że Risk Emir zabił jej ojca.

Tak więc mściwa kobieta oddaje życie dawnego męża, na zemstę, zamierzając syna uczynić ojcobójcą. Chwila zemsty nadchodzi. Syn, po całym szeregu zwycięstw, dochodzi wreszcie do wyzwania samego Emira Riska, nieznanego sobie ojca. Risk waha się przyjąć wyzwanie, albowiem dochodzą do niego słuchy o tajemniczym pochodzeniu młodego przeciwnika, o jego mężtwie i czarnej cerze. Ale czarny wojownik nieodstępnie domaga się boju, zwłoka więc dalsza stała się niepodobną; następuje spotkanie: Abu-Said po krótkiej walce z ojcem, wysadza go z konia, a powaliwszy go o ziemię, podnosi miecz dla śmiertelnego ciosu. Aż oto w Khadrze przebudziło się serce: wbiega pomiędzy walczących, jednem słowem obezwładnia mściwą syna prawicę i ocala męża od śmierci, a syna od zbrodni ojcobójstwa.

Rzeczywiście szkoda, że tyle palnych żywiołów, tyle sytuacji dramatycznych, sprawozdawca uwięził w ramy streszczenia.

Nie bez zasady więc, zwłaszcza po energicznie wykonanym przez p. Kościelskiego przekładzie: „Opowiadania Khadry,“ upominać się możemy u tłumacza i sprawozdawcy o rozleglejszy wypis z samego poematu w jednym z przyszłych tomów Roczników.

W artykule poświęconym pamięci Karola Libelta, p. Stanisław Koźmian podaje (str. 223—231), obok biografii, treściwy obraz obywatelskiej, literackiej a przedewszystkiem filozoficznej działalności wiekopomnego mędrca. Jestto głos pośmiertnego hołdu, wychodzący z ust tej instytucji, której ś. p. Libelt poświęcił pracę lat swych ostatnich.

Wdzięczna pamięć czytających te karty rodaków, mówi p. Stanisław Koźmian, troskliwie przechowująca cały poczet zasług obywatelskich tego wiernego i niezłomnego pracownika, ożywi niezawodnie przyćmione tu tło i zapewni pominięte w niniejszym zyciorysie przestrzenie. Autor starannie wylicza prace Libelta, poczynając od pisma konkursowego o Spinozie (z r. 1828), uwieńczonego złotym medalem, które zjednało autorowi wysokie uznanie u profesorów, a mianowicie u najskynniejszego z nich w owe czasy Hegla. Wyliczywszy rozliczne pisma Libelta, tak odrębnie wydane, jak i po pismach czasowych rozrzucone, podnosi następnie jego „filozofią i krytykę” streszczając ogólnie ducha kierunku, w jakim Libelt myśl teoretyczną posuwać zamierzył.

Wybitnie też przedstawia p. Stanisław Koźmian działalność obywatelską Libelta, który, jak nasz autor mówi w końcu: „czy w piśmie, czy w działaniu, nic innego nie miał nigdy na względzie, prócz dobra, i prawdy... I nic mu w życiu tak pięknie nie przystało, jak chwalebny koniec.”



Obszerniejszych rozmiarów jest artykuł tegoż autora o Szekspirze. W chwili, kiedy utworzę Makbeta potomność zaszczyca taką czią, jaką niegdyś Dantego zaszczytili Włosi, tworząc specjalną katedrę dla studyów nad Komedią Boską, kiedy w Anglii zawiązano towarzystwo Szekspirowskie, nie dziw, że i w naszych kołach odzywają się echa tój wielkiej działalności. Studya Szekspirowskie posuwają się w dwóch kierunkach. Z jednej strony badacz na drodze poszukiwań zewnętrznych stara się dotrzeć do pierwotnego wężła genezy, a szczególnie wyśledzić fakt, rozesnuty w dramacie. Ztąd owe—naturalnie sofistyczne zamachy na samotwórczość Szekspira (np. na Otella, a teraz świeżo na Romea i Julię), odkrywanie po archiwach piśmiennictwa anegdotek lub powieści blizkich, albo przybliżonych do głównej kanwy jego dramatów. Drugi kierunek znowu otwiera nam wewnętrzną stronę kwestyi; pod poetą odszukuje człowieka i to stanowi nierównie ciekawsze zapytanie, szczególnie w zastosowaniu do umysłów tój potęgi, jak Szekspir. Jeżeli do zrozumienia tysiącznych aluzyi, zwykle przysłowiowych, a co najmniej, technicznych, niepodobnaby obejść się bez pochodni oświecającej zakulisy wieku Elżbiety, tedy jeszcze niezbędniejszą jest ona do odczytania owych między-liniowych niedomówień, w które Szekspir włożył bodaj, czy nie najważniejsze zadatki swoich teoryi ludzkich. Otóż pismo p. Stanisław Koźmiana bada Szekspira w tym drugim kierunku. Jako poeta *nowożytny* w najwyższém znaczeniu wyrazu, Szekspir bezwarunkowo zasługuje na to, aby go postawić przedewszystkiem, pod takim punktem widzenia. Pomimo wysokiego uznania przez dwór i wybraną spoleczność swojego czasu, Szekspir nie zachowywał się i względem obojga, tak biernie, tak panegirycznie, jak Tennyson. Zapewne, nie uwłóczy w chwale talentu Laureata, że się nie urodził w epoce płodnej w materiały dziejowe do przyszłych typów tragicznych, że odpywał hołd cnotom domowym współczesnych sobie wielkości. Uszanowaliśmy też głos, zwrócony na czele nocy arabskich i innych mniejszych utworów do matki żony i królowej; uszanowaliśmy łzę pocieszyciela, uronioną na zboląte serce wdowy; ale apostrofa otwierająca wstęp do *Idylli o królu*, mimowolnie wzbudza podejrzenie o Horacyuszowskiem przymilaniu się; w każdym razie nie do poety to należało wypowiadać, iż zmarły w oczach jego był nie kim innym, jak owym wymarzonem przez poetę samego „idealnym palatynem,” który nie uwodził się ani duchem stronnictw, ani ich walką i t. p. Szekspir wprawdzie żył nie w czasach ciszy arkadyjskiej, ale pewni jesteśmy, że w owych aluzjach, w półpowiedzeniach, nie zastąpiłby go nasz laureat.

Nie hołdy, nie potulne aluzye spotykają Elżbietę np. w III akcie Antoniusza i Kleopatry. Szekspir wytykając krew i zalotnictwo, tyle chyba jest dworakiem, że Elżbietę nazywa Kleopatram.

Kiedy tam Aleksas mówi jój o Heroldzie żydowskim, Kleopatram odpowiadając mu, że chciałaby mieć sobie wydaną jego głowę, dodaje ze smutkiem: „ale cóż począć, skoro odjechał Antoniusz; to na kogóż mam zdać moje zlecenie“

Mamy więc najuniższej podane zwierciadło, do przyjrzenia się „straszliwej królowej.“

Oto znowu obraz Elżbiety zazdrošnicy:

*Kleopatra.* Heroldzie, czyś ty widział Oktawie? (żonę Antoniusza, rywalkę Kleopatry).

*Herold.* Tak! straszliwa królowo!

*Kleopatra.* Gdzie?

*Herold.* Pani! w Rzymie, patrzyłem na nią oko w oko. Szła opierając się na ramionach brata męża (Antoniusza).

*Kleopatra.* Czy jest tak wysoka, jak ja?

*Herold.* Nie, pani.

*Kleopatra.* A głos jęj słyŝyłaś, czy to głos dźwięczny, czy niski?

*Herold.* Słyŝyłem jęj głos: to głos niski.

*Kleopatra.* O! to z tém jęj nie dobrze; on jęj długo kochać nie może.

*Charmiana* (dama orszaku). Kochać ją? O! na Izydę, to rzecz niepodobna.

*Kleopatra.* Tak sądzę Charmiano, język ciężki, ochrzypły. A jesteŝ majestat w tęg postawie? Przypomnijno sobie, jeŝeli kiedy patrzyłaś na majestat.

*Herold.* Ona pełza, jęj ruch albo stanie, to wszystko jedno; pokazuje raczég ciało, aniŝeli życie: to raczég poŝąg, aniŝeli twór oddychający.

*Kleopatra.* Ale, czy niezawodnie tak?

*Herold.* Chyba, ŝe ja nie umiém spostrzegać.

*Kleopatra* (do Charmiany). To człowiek z poznaniem jak widzę. (do Herolda). A zgadujesz jęj lata? proszę cię.

*Herold.* Pani! Ona była wdową.

*Kleopatra.* Wdową? czy ty słyŝysz Charmiano?

*Herold.* I zdaje mi się, ŝe ma lat trzydzieści.

*Kleopatra.* A twarz jęj, ściągła, czy okrągła?

*Herold.* Okrągła aż do zbytku.

*Kleopatra.* Takie twarze, zwykle bywają głupie. A włosy, a kolor?

*Herold.* Ciemne, pani, a czoło ma tak niskie, ŝe juŝ dalej nie idzie.

*Kleopatra.* Masz, oto złoto dla ciebie.

(do Charmiany). To człowiek wytworny. Czy on rzeczywiście widział w swoim życiu majestat, Charmiano?

*Charmiana.* Czy widział majestat? Ach! na Izydę, słuŝąc tak długo tobie!”

Zaprawdę nie potrzeba głębokiego zmysłu historycznego na to, aby domyślić się właściwego imienia owęj Kleopatry, której tak dalece chodziło o kolor włosów, postawę i lata współzawodniczki.

Otóż p. Stanisław Koźmian, obecny artykuł poświęca na otworzenie najtajniejszego, najbardziej osobowego przybytku duszy Szekspira,

a mianowicie jego przekonań religijnych; owszem rozszczegóławia nawet zapytanie i na zasadzie rozrzuconych tu i owdzie w dramatach Szekspira napomknień, wnioskuje że Szekspir, tylko dla pozorów, powierzchownie, z konieczności położenia i czasu był rzekomym protestantem, a w zasadzie i uczuciu pozostawał wierny kultowi pierwotnemu katolickiemu.

W skróconym żywocie Szekspira p. Koźmian nagromadził fakta tak charakterystyczne, że niepodobna oprzeć się pokusom odstąpienia od obowiązujących dotąd przekonań większości. Takim jest np. fakt następny. Jak wiadomo nienawiść ku Maryolatryi, jak zwano wówczas kult rzymski, za panowania Elżbiety doszła do najwyższego stopnia; mimo to jednakże w Ryszardzie II, Szekspir mówi:

„Ten błogi ogród, to berło, ta Anglia,  
Hoża piastunka, płodna macierz królów,  
Przesławnych rodem, strasznych krwi potęgą,  
Którzy po wszystkie ludy zasłynęli  
Z dzieł swych rycerskich i służb chrześcijańskich,  
Aż tam świecących, gdzie w krnąbrnej Judei,  
Grób Zbawcy świata, Syna Maryi Świętej,  
Kraj dusz tak dzielnych...  
. . . . . Dziś srom związał w brudne  
Zabazgranego pargaminu szmaty;  
Anglia, co innych nawykła podbijać,  
Teraz się sama podbiła bezwstydnie.

Równie charakterystycznym pod tym względem jest „Henryk VI.” P. Koźmian wskazuje nam, jako wymowny dowód przemówienie króla przed bitwą pod Azincourt, tchnące najczystszy płomieniem wiary. Po bitwie rozkazuje:

„Idźmy w pobożnej procesyi do wioski,  
W wojsku ogłoście, by pod karą śmierci  
Nikt się nie chelpił z zwycięztwa i Bogu  
Odbierał chwałę, co się przynależy  
Jemu jedynie...  
Spełnijmy wszystkie kościelne obrządki  
I zaśpiewajmy: *Non Nobis, Te Deum.*”

Niemniej wydatne wskazówki upatruje p. Koźmian w Henryku VIII-ym. Wolsey w chwili upadku, odrodzony „wyrastający przed śmiercią na najwspanialszy wzór godności i pokory,” jest postacią, w której usta Szekspir włożył swoje przekonanie religijne. Podobnym duchem tchnie wygłoszone przez Wolseya, uwielbienie dla stałego i niezłomnego w wierze Tomasza Morusa. Z powodu Katarzyny autor nasz mówi:

„Wiadomo, jakimi złorzeczeniami, jakimi przekleństwami obrzucano za Elżbiety, pamięć jej poprzedniczki, katolickiej Maryi, którą



przewano „Maryą krwawą“ (*the bloody Mary*), a tu właśnie, w tej wspaniałej scenie, nad którą sama prawda i świętość się unosi, poeta, ostatnim tchem Katarzyny, wygłasza taką pochwałę jęj córki:

„Dobroci króla śmiem jeszcze polecié  
 Obraz miłości naszej, jęgo córkę;  
 Niech na nią z nieba błogosławieństw rosa  
 Spada rżęsiście. Śmiem króla upraszać,  
 Aby cnotliwe dał jęj wychowanie;  
 Jest młoda, skromnej, szlachetnej natury,  
 Da Bóg, że ludziom dobrze się zasłuży.  
 Niech ją, choć trochę, miłuje przez pamięć  
 Jęj matki, która zawsze go kochała,  
 Bóg wié, jak czule.“

Są to jak widzimy, fakta nie dające się lekceważyć. Wywody wysnute z nich przez autora, nie przypadną do smaku „wysokiej krytyce” przewidujemy to aż nadto. Bo tym sposobem wbrew jęj, wyskakują niespodziewane kanty, nie pozwalające wtłoczyć wielkiej postaci w wymarzoną formułę, nazywającą Szekspira uosobieniem ery przełomu w przekonaniach religijnych, a tém samém i w sztuce. P. Koźmian daje (str. 305) wyborną odprawę tym Mucyuszom-krytykom, co gotowi są uciąć głowę nawet posągowi, byle się im pomieścił w systemacie.

Wybornie téż kreśli nam p. Koźmian charakter Ben Johnsona, tej niezaprzeczonej potęgi poetycznej, ale o duszy krzywej, zdradzieckiej, mściwej, pochlebcy i smakosza, którego ani szkatuła królewska Jakóba i Karóla nakarmić, ani coroczny gościniec 42 gallonów kanaryjskiego szampana z piwnicy Whitehallu nigdy napoić nie mogli.

Na str. 293—295 autor dotyka sonetów Szekspira, w których widzi obraz znużenia i zwichnięcia się duszy poety, zmierzającej do kresu.

Ogólne wnioski dotyczące głównego zadania, oraz energiczny głos odparcia pewnych uprzywilejowanych przesądów historyozoficznych, zamąja to piękne i pouczające studyum.

F. Jezierski.

*Ortyle magdeburskie*, przedruk homograficzny z Kodeksu Biblioteki Kórnickiej objaśnił dr. Michał Bobrzyński. Poznań 1876 r. (w 8 ce).

*Statut Wiślicki w polskim przekładzie r. 1460*, przedruk homograficzny z Kodeksu Kórnickiego wykonał A. Piliński. Poznań 1876 r. (w 8-ce).

*Prawa polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagielly* przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna R. 1449. Przedruk homograficzny z Kodeksu Puławskiego wykonał A. Piliński. Poznań 1877. (w 4-ce).

*Prawa ksiąg Mazowieckich* przełożone na język polski przez Macieja z Rożana R. 1450. Przedruk homograficzny z Kodeksu Puławskiego wykonał A. Piliński, Poznań 1877, (w 4-ce).

Cztery te pomniki najdawniejsze prawa polskiego, Jan hr. Działyński nakładem swoim ogłosił w najwierniejszej podobiznie.

Nader ważny dla zbadania stosunków prawnych materyał mieści się w tak zwanych *Ortylach magdeburskich*, to jest w wyrokach a raczej wyjaśnieniach prawnych, które sąd magdeburski na zapytanie innych sądów wydawał i rozsyłał. Wyjaśnień takich zasięgały z Magdeburga i miasta polskie na prawie magdeburskiem osiadłe, głównie za pośrednictwem Krakowa, przez całe czternaste stulecie. Otrzymane zaś z Magdeburga wyjaśnienia zbierano razem i układano z nich zbiory prejudykatów: w ten sposób powstały i polskie magdeburskich ortylów, które się po dziś dzień w licznych kodeksach rękopiśmiennych przechowały. Dr. Michał Bobrzyński, jeden z najgruntowniejszych prawa polskiego znawców i badaczy, zajął się objaśnieniem tego pomnika.

Posiadamy kilkanaście kodeksów zawierających w sobie zbiory Ortyłów magdeburskich, do Polski a głównie do Krakowa przesłanych. W kodeksach tych, *Ortyle* znajdują się spisane w językach niemieckim, łacińskim i polskim; porządek ich, forma i następstwo są rozmaite; ustawiając jednak wszystkie kodeksy dokładnie, Dr. Bobrzyński przyszedł do spostrzeżenia, że we wszystkich główny rdzeń zbioru stanowią jedne i te same ortyle, a każdy kodeks zawiera tylko kilka lub kilkanaście ortylów, które w innych się nie znajdują, i jego właściwość stanowią. Jest to więc jeden zbiór ortylów magdeburskich w liczbie około półtrzecia sta, do Polski w w. XIV przesłanych. Zbioru tego jednakże jest kilka odrębnych redakcyi, które Dr. Bobrzyński wykazując, zamyka wstęp swój krytyczny, bliższem objaśnieniem wydanego homograficznie kodeksu Kórnickiego.

*Statut Wiślicki w polskim przekładzie 1460 r.*—Bibliotekarz Kórnicki Dr. Zygmunt Celichowski, ten rok położył na czele, idąc za



zdaniem Lelewela, jakkolwiek A. Z. Helcel o pięć lat wcześniejszą podaje datę t. j. rok 1455. Pomnik ten znanym już jest ze wzmianek Lelewela, J. W. Bandtkiego, a mianowicie z umiejętnego a dokładnego opisu A. Z. Hecla, umieszczonego w tegoż „Starodawnych prawa polskiego pomnikach. (T. I, XXVIII—XXXVII.) Profesor A. Małecki kodeksowi pomienionemu przyznaje w rzędzie pomników dawniej mowy polskiej pokażne, bo piąte miejsce, ubolewając przytém, że nie został dotychczas opisany i wyrażając niejako powątpiewanie czy kiedykolwiek będzie ogłoszony drukiem. Uprowadził życzenia uczonego profesora właściciel biblioteki Kórnickiej, gdy zamiast w zwyczajnym przedruku wydał ten Statut w wiernej podobiznie, która zadowolnia wszelkie życzenia badaczy języka polskiego, bo oryginał sam stawia przed oczyma każdego.

*Prawa polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagielly, przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna R. 1449.* Zabytek ten starodawnego prawa i języka polskiego znany już jest z przedruku ogłoszonego przez Lelewela w dziele: „Księgi ustaw polskich i mazowieckich, na język polski w latach 1449, 1450, 1503, 1541 przekładane. Wilno 1824 r.” Wydanie Lelewela, jakkolwiek dokonane z wielką starannością, nie jest wolne od usterek i wywołało sąd nawet surowy wydawcy Biblii Królowej Zofii, prof. A. Małeckiego. Podobizna niniejsza usuwa wszelkie wątpliwości i złagodzić musi za zbyt gorąco wyrok prof. A. Małeckiego wydany na pracę mozolną wielkiego badacza, blisko przed pół wiekiem ogłoszoną. Drogocenny ten pomnik udzielił książę Władysław Czartoryski z zamożnego zbioru biblioteki puławskiej.

*Prawa Książąt mazowieckich* z tegoż zbioru wydane, przełożone na język polski przez Macieja z Rożana r. 1450, były już drukowane przez Lelewela 1824 w dziele powyżej wzmiankowanym. Zawierają Statuta Sochaczewski, Czerski, Zakroczymski, Warszawski i Nowomiejski z lat 1377, 1387, 1389, 1390, 1391, 1397, 1401, 1406, 1407, 1410, 1412, 1414, 1421, i 1426.

Dwóch tych ostatnich pomników wydanie, zdobną na czele każdego karty illustrowane kolorami, wiernie podług oryginalnych kodeksów pergaminowych. Przy prawach polskich, pierwsza karta przedstawia króla polskiego w otoczeniu panów rady i duchowieństwa wyższego; przy prawach mazowieckich, grono sześciu sędziwych mężów. Są to cenne zabytki dla sztuki polskiej.

Przed trzydziestu laty K. Wł. Wójcicki, dla uczczenia pięćsetletniej rocznicy ogłoszenia praw w Wiślicy przez Kazimierza Wielkiego, wydał w roku 1847, podług zachowanej księgi rękopiśmiennej w archiwum głównem Królestwa, zwaną *Wiślicią*, przedruk, a dla uprzywilejowania ogółowi w dzisiejszej pisowni <sup>1)</sup>. Mozolnej tej pracy podjął się Antoni Muczkowski adjunkt archiwum tegoż i wykonał ją z całą sumiennością. Znany badacz ojczyściej mowy Feliks Żochowski, wezwany przez wydawcę,

<sup>1)</sup> *Statuta polskie w Wiślicy złożone, z rękopismu wydał K. Wł. Wójcicki, w Warszawie. W Drukarni Komisji Rządowej Sprawiedliwości 1847,*



uwagi swoje nad językiem polskim tego zabytku i objaśnienia znaczenia wyrazów, nie znanych B. S. Lindemu ułożył, które na końcu są pomieszczone. Leleweł księgi *Wislicia* używał dla porównania do swojego wydawnictwa. Kazimierz Stronczyński, którego imię dobrze znamy na polu prac numizmatycznych i archeologii krajowej, wydał ją, w podobiznie na lat kilka przed ogłoszeniem *jubileuszowym* Statutu Wiślickiego, ale zaledwie w kilkudziesięciu egzemplarzach. Dziś ta publikacja do rzadkości bibliograficznych należy.

Obecnie szósty już wiek się zaczyna, bo upłynęło lat pięćset trzydzieści, gdy ostatni z królujących Piastów ogłosił narodowi w Wiślicy zasadnicze dla niego prawa; i po upływie tylu stuleci, dzięki zacnemu staraniu właściciela biblioteki Kórnickiej, mamy je w najwierniejszej podobiznie, dla chwały naszej, a zarazem rzetelnego i miłego sercu wspomnienia, odtworzone dla pożytku badań naukowych w gałęzi starożytnego prawa polskiego.

K.

(573). *Krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust ludu*. Zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa. Nakład i druk Jana Noskowskiego 1877 r. (w 8-ce str. 153). z godłem:

„Porachuj dziewczyno  
Gwiazdeczki na niebie,  
Tylem ja wydeptał  
Ścieżeczek do ciebie.“

Oddawna zbiory *Krakowiaków*, owych krótkich a pełnych życia piosnek, malujących tak dobitnie lud krakowski, wychodziły drukiem ogłaszane.

W pierwszych latach naszego stulecia ukazywały się na straganach przykościelnych, na bibule odbijane, a pomimo to tak skwapliwie je rozchwytywano, że dziś świstki zarówno z gockimi drukami do osobliwości bibliograficznych należą. Jeżeli w nich przechowywano czysto ludowe piosnki, w pierwszym już zbiorze pieśni ludowych Waćława z Oleska <sup>1)</sup>, zakradły się utwory wierszopisów wykształceńszej warstwy naszej społeczności.

W naszym okresie niedawno, bo przed sześciu laty wyszedł ostatni zbiór tych piosenek, w Krakowie 1870 r., nakładem i drukiem Fr. Ksawerego Pobudkiewicza, p. n.: *370 Krakowiaków najdelikatniej-*

(w 8-ce str. VII, 179). Na czele zdbi to wydanie cała postać króla Kazimierza Wielkiego, zdjęta z jego grobowca w Katedrze na Wawelu.

<sup>1)</sup> Pieśni ludu galicyjskiego z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego, zebrał i wydał Waćław z Oleska. Lwów 1833 r.

*szych. Spiewane w kółku towarzyskiem.* W malutkim formacie, bo wielkości dłoni. Tych większa połowa nie jest znana krakowskiemu ludowi.

Obecnie Zygmunt Gloger archeolog i etnograf, którego prace w tych obu kierunkach są wysoko cenione, zajął się wydaniem czysto ludowych krakowiaków.

„Nad brzegami Wisły, (mówi w przedmowie), w pięknych dolinach Chrobacyi, w sercu staréj Słowiańszczyzny wykwitła najbujniej pieśń wesela i miłości. Pieśń ta, przy krótkiej formie, uderzająca żarem uczuć, znajomością serca, trafnym obrazowaniem, dowcipem, szczerością, siłą słowa i dosadną melodyą, zajęła wybitne stanowisko w niepisanéj literaturze ludów słowiańskich. Krakowiak rozbrzmiał się swego czasu zarówno w zamku jak dworcu szlachcica i pod strzechą kmiecia a rozplenił „jako piasek w morzu i gwiazdki na niebie.”

Wydawca wybrał z poprzednio ogłoszonych zbiorów ludowej poezyi i do tego wieńca krakowiaków włączył, zebrane przez siebie u stóp Wawelu i w innych stronach.

Piosenki te, rzecz godna uwagi, że pomimo rozmiarów swoich drobnych, gdyż zwykle składają się z dwóch lub czterech wierszy, rzadko kiedy więcéj, dają nam obraz wymowny rysów charakterystyki Krakowiaków i gorących uczuć jego serca. W najdłuższych dumach miłosnych, z innych okolic, nie znajdziemy tak poetycznej myśli, jak w tych krótkich przyśpiewkach:

„A jużemci ja był po kolana w niebie,  
Jakiem cię zobaczył, skoczyłem do ciebie.“

\* \* \*

„Cieszyłem się tobą, niby rybka wodą;  
Przyjdzie mi oszaleć dziewczyno za tobą.“

\* \* \*

„Tylem razy westchnął dziewczyno do ciebie,  
Gdyby tak do Boga, byłbym dawno w niebie.“

\* \* \*

„Przeleciał, przeleciał przez stodołę sokół,  
Jakiem poznał dziewczę jużem ci nie wesół.“

\* \* \*

„Oczka moje, oczka, gdzie wy poglądacie,  
Wszystko ku téj stronie, gdzie dziewczynę macie.“

\* \* \*

Jakże to poetyczny obrazek, gdy rozkochany parobczak śpieszy do swéj ulubionéj.

„Zachodzi słoneczko za las kalinowy,  
Zimna rosa pada w ogródek wiśniowy!  
Nie padaj, nie padaj, moja zimna roso,  
Aże ja zabiegnę do dziewczyny boso!“

\* \* \*

Często wiejski poeta łączy wymówkę na obojętność swojej bogdan-ki z wyrażeniem uczuć serca:

„Porachuj dziewczyno gwiazdeczki na niebie,  
Tylem ja wydeptał ścieżeczek do ciebie.“

\* \* \*

„Przemówiła woda, przemówiła skała;  
Tylko Marysieńka przemówić nie chciała.“

\* \* \*

„W lesie przy strumyku jeleń wodę pije,  
Dla ciebie jedynie dziewczyno ja żyję.“

\* \* \*

„Stoi dąb nad wodą, konary się chwieją,  
Do ciebie dziewczyno, oczki mi się śmieją.“

Nieraz łączy z oświadczeniami miłości i myśl dla niego religijną:

„Dolina, dolina, przy dolinie kościół,  
Chciéjże mnie dziewczyno, będę do cię pościł.“

Z jak szczerą prostotą wyraża, że go wdzięk oblicza dziewoi przy-  
nęca:

„Śpiewa ptaszek, śpiewa na zielonym dębie;  
Jakże cię nie kochać kejs ładna na gębie.“

Niepewny wzajemności, lub zawiedziony w swoich nadziejach rze-  
wnie przyspiewuje sobie:

„A moja dziewczyno wkradłaś mi się w serce,  
Że mi się na żadną teraz patrzeć nie chce.“

\* \* \*

„Jednym słońce wschodzi i wybija w górę,  
A mnie biedakowi zachodzi za chmurę.“

\* \* \*

„Zaszumiały bory, zaszumiały lasy,  
Kiedy była miłość minęły te czasy!“

Jeżeli wszystkie te śpiewki brzmią w ustach dzielnych, czerstwych  
parobczaków, nie braknie odpowiednich i dla krasnych dziewoi. Są to  
improwizacye młodych poetek:

„Na wysokiej jodle gołąbeczek siedział,  
Jabym cię kochała, gdyby nikt nie wiedział.“

\* \* \*

„Lata srocza lata i ogonkiem kiwa,  
Będę Jasia kochać, póki będę żywa.“

\* \* \*

„Powiadają ludzic, że nie stoją o mnie,  
Ja też nie przepiórka, nie wolam: „pójdź do mnie.“

\* \* \*



Wiadomo jest, że lud nasz nadaje ptakom niektórym głos ludzki, a między temi i przepiórcę, która gdy zboże latem dojrzewa, woła wyraźnie: „pójdźcie żać! pójdźcie żać!”

Jakże wymownie skarży się dziewczę zdradzone:

„Leciały gołębie, w stawie wodę piły;  
Bodaj cię chłopaku moje łzy zabiły!”

\* \* \*

Jak naiwne robi obojętnemu wymówki:

„Ujrzałeś mnie przedtém przez dziesiątą ścianę,  
Teraz mnie nie widzisz choć przed tobą stanę.”

\* \* \*

I biedna sierota smutnie przyspiewuje:

„Czego ty pogładasz sieroto do nieba?  
Cóż nie mam pogładać, kiej mi Jasia trzeba.  
Sierotam po matce, sierotam po ojcu,  
Jeszcze będę większa po nadobnym chłopcu.”

\* \* \*

„Słowik ze słowikiem rozstać się nie może,  
A ja z tobą muszę, ach! mój mocny Boże!”

Zamykamy ten dział krakowiaków, gorącą modlitwą do Boga-Rodzicy:

„Najświętsza Panienko! pociesz mnie, pociesz,  
Bo mnie nie pocieszy matka ani ojciec.  
Najświętsza Panienko, Tyś-ci matka moja,  
Pociesz mnie, pociesz, jeśli wola Twoja!  
Najświętsza Panienko, Tyś moja opieka;  
Zachowajże mnie też od złego człowieka.”

Przejrzyjmy teraz zbiór tych śpiewanek, które nam malują dosadnie ten lud dzielny.

Z pomiędzy wszystkich rodzin ludowych naszego kraju, związanych jedną mową, obyczajem i zwyczajami, Krakowiak wydatnieje życiem, rzeźkością, swobodą myśli jak udatnością w postawie, ruchach i obejściu.

Krakowiak chciwy do konia, bo niecierpi pieszej służby, do swęj ulubionęj téż śpiewa:

„Wolę być ułanem i być porąbanym,  
Niżli ciebie kochać a nie być kochanym.”

Skory do bójki, nie tai tego w swojej piosence:

„Krakowiaczek-ci ja, krakowskiéj natury,  
Kto mnie w drogę włazi, ja na niego z góry.“

Z wesołém zawsze obliczem maluje się dobrze:

„Poczém-ci to poznać chłopca Krakowiana,  
Choć wiatery w kieszeni, mina jak u pana.“

Ochoczy do zabawy, szalenie lubi tańczyć, dobrych grajków wysoko ceni i do nich przyspiewuje:

„Mospanie muzyka  
Nie żałuj nam smyka,  
Zagraj Krakowiakom  
Pocziwym hulakom.  
Niech się co chce dzieje,  
Krakowiak się śmieje;  
Byle lęknał piwa  
Już i mina żywa.“

Kiedy dudarze starodawni już w téj krainie zniknęli, skrzypek zajął ich miejsce; za najwyborniejszą jednak muzykę uważa Krakowiak, gdy na zabawie obok skrzypek wturuje basetla, a do tego cymbalista. Taką muzyką rozweselony, na jéj cześć przyspiewuje:

Skrzypicielu, będziesz w niebie!  
I basista koło ciebie,  
Cymbalista jeszcze dalej,  
Bo w cymbały dobrze wali.“

Z jakim zapałem tańczy, dosadnie wyraża:

„A jak ci ja urznę krakowiaka z nogi,  
Pójdą wiechcie z butów a trzaaki z podłogi.“

I w uniesieniu radości, z ironią przyznaje się do szlachectwa:

„Z chłopca Krakowiaka kawałek szlacheca,  
Nie tańczy po ziemi, tylko gdzie tarcica.“

Brodziński w sielance krakowskiéj *Wiesław*, wybornie nam ten lud odzwierciedlił, gdy nam bohatera swego poematu maluje:

„Choć pracowity, choć pokorny w domu,  
Bywał i Wiesław szpakiom pokryjomu:  
Zajechać drogę choćby wojewodzie,  
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie,  
Z karczmy rozpędzić cesarskie wojaki,  
Wyśmiać wędrownym góralom chodaki.“

Melodya do tych śpiewanek ma charakter oddzielny i właściwy, czém się różni wielce od mazura, kujawiaków i *wyrwasa* kurpiowskiego. Jak taniec, tak i piosnki rozpowszechniły się po dworach ziemiańskich i gdy w nich swobodne wrzało życie, taniec ten ze śpiewem w połączeniu, bywał okrasą wesołego koła krewnych, przyjaciół, sąsiadów, w radosnej zabawie.

Na owych gwarnych kuligach, których pamięć przechowali nam: Malczeski w *Maryi*, a J. Słowacki w oddzielnym poemaciku, przebrana młodzież po krakowsku, jako drużyna weselna, w porze zapust, wraz ze śnieżycą zimową, objeżdżała gościnne dwory, rozpoczynając radosną ochotę tańcem krakowiaka i śpiewkami.

Wiele wtedy obok dawnych, nowych piosenek improwizowano, zastosowanych do okoliczności, miejsca, osób zgromadzonych, a głównie do pięknych i uroczych dziewic po wiejsku przebranych. Z tych piosenek udatniejsze, a pełne prostoty, przeszły do ludu.

Pierwotne wszakże krakowiaki zachowały swoją właściwą cechę, gdyż szczeroludowa pieśń tego rodzaju, zawsze się rozpoczyna od obrazka z natury wziętego, a następnie dopiero, śpiewak myśl czy uczucie swoje wyraża.

Do prawdziwie ludowych krakowiaków należą i te, w których mamy wspomnienie starożytnego grodu z Wawelem. Dla ludu, bliższych i dalszych okolic Krakowa, gród ten wyrzył się głęboko w pamięci i sercu. W słynnej świątyni XIII stulecia *Panny Maryi*, gdzie wielki ołtarz zdobi arcydzieło dłuta Wita Stwosza, najradziej się modli: ochotnie bieży na Wawel, w odwiedziny grobów królów polskich, i z tych niemych marmurowych pomników, uczy się historii. Dotąd pamięta rody kmieci *Brózdów* i *Zbroi*, których ojcowie rozmawiali z Kazimierzem Wielkim, przyjmowani zawsze łaskawie przez tego *króla chłopków*. Ztąd do najdawniejszych piosnek należy i ten krakowiak, dziś jeszcze powtarzany, w którym miasto i swój kościół wspomina:

„Oj! od Krakowa jadę, krzemienista droga,  
Kochajże mnie dziewczę, bój się Pana Boga.  
Oj! od Krakowa jadę, od *Panny Maryi*,  
Daj mi dziewczę gęby — nie umykaj mi jój.“

Oddawna lud krakowski odznaczał się wybitnie pomiędzy wszystkimi. Dzielność charakteru, odwaga przy wesołości, skory, jak to mówią, do „wypitki i wybitki,“ zwrócił uwagę twórcy teatru narodowego Wojciecha Bogusławskiego, który pierwszy wprowadził go na scenę w słynnej historycznie u nas operze: *Krakowiacy i Górale* i przedstawił w 1794 roku.

Za zasługę liczymy badaczowi naszemu, że starał się w ogłoszonym przez siebie zbiorze, zgromadzić czyste utwory poetyczne ludu krakowskiego.

K. Wł. W.



*Antoni Zygmunt Helcel jako prawnik-historyk*, przedstawiony w sprawozdaniu z czytania jego Starodawnych prawa polskiego pomników, które dając pod rozwagę światłej publiczności, wydaje jako trzeci artykuł dopełnień Prawodastw Słowiańskich Wacław Aleksander Maciejowski. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1876 r. (w 8-ce str. 206).

Jest to jedna z ostatnich prac uczonego męża, który w sędziwych latach swoich, z równym zapałem dzierży pióro, jak przed czterdziestu kilku laty, gdy pierwszy raz ogłosił „Historią prawodastw słowiańskich.“

Życiorys zmarłego badacza zaledwie tu dotknięty, ale w  *dodatku* mamy potemu bogaty materiał, w kilkudziesięciu jego listach pisanych w ciągu lat trzydziestu sześciu. W nich, znajdujemy wybitne cechy charakteru A. Z. Helcla, który obok najszlachetniejszych myśli i uczuć, trudzącą pracę siły żywotne wyczerpał i padł jej ofiarą jako nieustraszonego żołnierza na ostatnim wyłomie. Owoce tej pracy, my zbieramy, wdzięczną pamięcią otaczając dostojne imię zgasłego autora.

Ścisłe stosunki od dawnych lat wiązały go z W. A. Maciejowskim: obaj uczniowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, szczylic się zarówno względami bibliotekarza i profesora tegoż Uniwersytetu Jerzego Samuela Bandtkiego, gorliwego opiekuna młodzieży polskiej. To też w gorących słowach rozpoczyna badania nad dziełem swego przyjaciela.

„Pokochałeś nad miarę mnie i moją rodzinę, luby Antoni! przez to włożyłeś na mnie obowiązek odpłacić ci powiną wdzięcznością i wajemném ukochaniem tych szczególnie prac twoich, które nader skromnie oceniałeś, a które z dzieł całkowitych statutami i ustawami zwanych, tudzież z wyciągów na tysiące liczonych składając się, chlubę jak słowiańskiemu piśmiennictwu w ogóle, tak w szczególności polskiemu przynoszą. Świadczą one wymownie o tém, że rozwoju dziejów naszych, osobliwie wewnętrznych nie posiędziemy, jeżeli nie będziemy głęboko zaglądać do źródeł, na jakie nas naprowadziłeś i opracowania ich przykładać nam dałeś.

„Pracę twą oceniając, a przytém na niedostatki jej dla przestrogi tych, co się w nią dalej, iż tak powiem wkopywać będą i powinni, uwagę zwracając, hołd ci swój wdzięczności, choć nader słabo, odpłace. Słowami oraz Rzymianina (Tacyt w życiu Agrykoli) przemawiając do ciebie, drogi cieniu, pocieszam się tą myślą, że straciwszy ciebie znajdziemy takich, którzy naśladowaniem prac twych, podobną twój, w miarę sił własnych przysługę narodowi wyświadczą nieomieszkałą.“

Po takim wstępie W. A. Maciejowski zaczyna swój rozbiór od uwagi: że gdy każde prawo najprzód się przez zwyczaj, a następnie przez

ustawę kształtuje, stara się wykazać wielką zasługę zmarłego w tém, że nas nie tylko z prawem zwyczajowém polskiem obeznał, ale nadto pierwszy z naszych naukowo ukształconych pracowników podał środek do odgadywania, jak się pierwotnie prawo polskie kształtowało, rozwijało, dojrzewało, a przytém jak przez to rozum samego narodu dojrzewał.

Przechodzi następnie w krytycznym wykładzie „Prawo zwyczajowe polskie i jego najdawniejsze pomniki,“ „Prawo polityczne,“ „Prawo cywilne,“ „Prawo karne,“ objaśnia: „Organizacyą sądów,“ „Postępowanie sądów cywilnych i sądów karnych“ mówi o „przejściu do prawa ustawowego“ przytaczając tego prawa pomniki najdawniejsze. Przyznając Helclowi, że z badań jego „wytrysło nowe źródło dla dziejów Polski, osobiwie wewnętrznych“ wykazuje co historia prawa zyskała nowego w zastosowaniu do własnego dzieła W. A. Maciejewskiego „Historia prawodawstw słowiańskich.“ Tu rozwija nam obraz stanu w połowie XV stulecia Królestwa Polskiego, przedstawia władzę króla, stanowisko jego rodziny i książąt udzielnych; opisuje skład ich dworu: mówi o urzędach ziemskich i dworskich, rzuca mnóstwo szczegółów cennych dla naszych starożytności i domowego życia i ostatecznie swoje słowo co do herbów i herbownictwa polskiego wyraża. Wiele tu znajdujemy zarówno wyjaśnień o stanowisku prawném polskich niewiast i stosunkach rodzinnych, jak charakterystycznych rysów szlachty saméj. Rozdział osobny obejmuje: „piśmiennictwo polskie XV wieku“ i na nim kończy pracę swoje.

Na 144 stronicach daje nam sędziwy badacz w rozrzuconych prawdach szczegółach, zbiorowo w ład pewny ułożonych, wielką ilość wiadomości do odtworzenia obrazu owego stulecia: są to jakby okruchy z rozbitéj mozaiki, które nasz uczony troskliwie i umiejętnie do siebie gromadzi i jakkolwiek w drobnych ułamkach zestawia, całości składać w zupełności nie może, bo brak wielu cząstek, które chyba czas i praca późniejsza odnajdzie i uzupełni; zawsze to co dał, na wdzięczne uznanie zasługuje. Do obszernéj téj monografii dodał W. A. Maciejewski cztery dodatki: w pierwszym pomieścił 27 listów A. Z. Helcla pisanych do siebie od d. 30 kwietnia 1834 do 8 marca 1870 r. Jest to list ostatni, który autor „Starodawnych prawa polskiego pomników,“ złamany ciężką i nieuleczoną chorobą, z łoża boleści na 28 dni przed zgonem nakreślił. W dwóch dodatkach następnym mamy przyczynki do słowników polskiego średniowiecznego i łacińsko-średniowiecznego, w ostatnim wykazuje: „Skazy i niedostatki dostrzeżone w dziele Helcla, ważność jego pracy nie tylko dla dziejów prawa polskiego, w całym swym ogromie uważanego, lecz i dla Historii prawodawstw słowiańskich powszechnie dziś uznawane.“

W zakończeniu przypominając zdanie zmarłego badacza jakie wyrzekł o dziele „Historii prawodawstw słowiańskich,“ zamyka z pewnym szlachetnym zadowoleniem rzecz swą w tych słowach: „Bacząc na to (mówi) co nasz wieszcz wypowiedział, śpiewając: „dni nasze jak dnie

motyłka“ nie śmiem tuszyć sobie, że doczekam, jak mój następca, podniecony do nowego krytycznego zbadania odkrytych i na jaw wystawionych odemnie wskazówek, uzna to samo co i ja, tak o Słowianach w ogóle, jak w szczególe o Polakach: ale mam pewną otuchę, że uzna być prawdą com wypowiedział, zwłaszcza gdy odkryte przez Helcia źródła prawie niczemu nie zaprzeczyły, com w *Historji prawodawstw słowiańskich* wyrzekł.

„Cześć mężowi, który te źródła wskazał! cześć dziełu, które sta-  
wiło je na widok publiczny.“

Nie możemy pominąć ustępu, w którym daje swoje zdanie sam autor pomienionej monografii, że jego badania mogą dać osnowę i wątek do powieści historycznych, do wiernych obrazów przeszłości. Postawiwszy w naszej literaturze jako jedyny wzór w Klementynie z Tańskich Hoffmanowej, której „cudną powieść o domowém życiu wieszczka z Czarnolesia,“ stawia na czele, nie może się dość nachwalić zgasłego zawczasie Władysława Chomętowskiego, którego opowiadanie historyczne *Synowie hetmańscy* było drukowane w *Bibliotece Warszawskiej* w roku zeszłym.

„Nie mogłem wyjść z podziwu (pisze), czytając to opowiadanie. Chomętowski przedstawia naszą przeszłość w tém z moją myślą zgodnie, że wybierając z bogatych w zdarzenia ważne dziejów postacie, przedstawia je plastycznie i otacza atmosferą właściwego im czasu.“

Oceniając całą wartość dobrze napisanej powieści historycznej, ma nadzieję, że przeszłość wiernie przedstawioną „rozgłosi wieszcz Boskiem natchnieniem ogrzany, tłumom je wyśpiewa głosem zrozumiałym, i w czarowny ubraną wieniec dostępną dla nas uczyni.“

Oby te słowa naszego badacza, co już liczy w czerstwości jeszcze, dziewiąty krzyżyk wieku, stały się wróżbą prawdziwą! R.



## KORRESPONDENCYA.

List księdza Csaplara S. P. do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

*Szanownym i światłym Członkom Redakcyi Biblioteki Warszawskiej,  
pozdrowienie zasyla Benedykt Csaplár Piar Prow. Węgierskiej.*

W początkach grudnia dowiedziałem się, że gazeta „Czas” (w nr. 274 z r. 1876) zamieściła wiadomość, iż w dziele które mam wydać, zamierzam wykazać znakomite Polaków XVIII wieku w oświacie prace i świetne postępy, szczególniej zaś męża nieśmiertelnój godnego sławy St. Konarskiego pamięć uczcić i żywot jego nie z samych tylko ogłoszonych już dokumentów skreślić, lecz i z tych co dotąd w ukryciu pozostawały, dokładniej niż dotychczas wyświecić.

Uprzejmość ta, z dobrej woli objawiona, zdaje się być oznaką przychylności dla samego przedsięwzięcia, a poniekąd zapowiedzią że ziszczą się moje nadzieje osiągnięcia tego, czego z upragnieniem od gorliwych tamtejszych badaczy przeszłości wyglądałem, i o co uczonych znanych mi z imienia i uprzejmości listownie prosiłem.

Słuszne bowiem względy ostrzegały mię, gdym rozważał przedmiot mający stanowić treść dzieła mojego, aby w rzeczach i was dotyczących, waszych także uczonych rady i pomocy wezwać.

Niejednokrotnie przeto i szczegółowo poznać dawałem: co zamierzam, z jakich źródeł rozpoczętą pracę czerpię, jakich zaś brak uczuwać mi się dawał, jakich pomocy ze źródeł waszych ojczystych studia te wymagają, aby nawzajem i historii waszego narodu przyczynek niejaki przyniosły.

Opracowując z dokumentów wiarogodnych historiją Piarów, mianowicie Prowincyi Węgierskiej, przekonywałem się często jak wiele nam i wam zależy na tém, by sobie wzajemnie udzielać rad i pomocy, i aby przy wspólném niejako świetle, rzeczy ojczyste zostały poznane i wyjaśnione, te zwłaszcza co się do uprawy umysłu i postępow w naukach odnoszą.

Do spełnienia tego obowiązku jak najumiejtniej wzywają uczonych i naszych i waszych, same czasów potrzeby, a to nie tylko przeszłość, lecz i obecność i przyszłość.

Ztąd to wynikła owa troskliwość starająca się budzić umysły przez konkursa i nagrody, aby wspólne dawniej chwały zabytki, od za-

traty łącznemi siłami uchować, to co w ruinę zapadło, zbiorową pracą wydobyć i wskrzesić.

Moich usiłowań podniętą nie jest żądza nagrody ani próżnej chwały. Poczuciem szlachetnego obowiązku wiedziony, dążę do kresu zamierzonego. Gdy się przecież zbadaniu prawdy poświęcił, godziwem mi się zdało o niej jaką pomoc upraszać tych, którzy sądzą że praca moja w maluczkiej chociażby mierze pożytek światu naukowemu przyniesie.

Takie mając przekonanie, prosiłem niektórych z pomiędzy was o pewne wiadomości, takie mianowicie o które mi tu najtrudniej, jak w szczególności mogące posłużyć do wyświetlenia żywotu St. Hier. Konarskiego, męża i w waszym narodzie i w naszym Zgromadzeniu znakomitego, którego pamięć uczcić należnym hołdem oddawna już było powinno wdzięczne jego zasług wspomnienie, tém więcej że od zgonu jego, ciężki wiek upłyniony wiele dostarczył umysłom naszym i oczom co było powinno nauczyć zbawienne dążności mądrego męża oceniać.

Jego przeto trudy dla dobra powszechnego podjęte, należyście wyjaśnić, nowemi dowodami poprzeć i pełnię opowiedzieć, niż są wyłożone w tych pomnikach literackich, które dotąd miałem możność poznać, tém gorętsza budziła się żądza, im więcej o nim objawiały mi źródła ukryte, a które szperając w naszych bibliotekach i archiwach powynajdowałem.

Ażebym zaś w zamierzonej pracy, do której po wielu namysłach mocniej mię teraz nagłą okoliczności, dać oraz poznać u nas i owe usiłowania narodu polskiego, który w podniesieniu oświaty upatrywał dobro kraju; chciałem należyście poznać współczesną narodu historią, szczególnie w tém co się odnosi do oświaty i działalności uczonych. Wskazówki niejakię potemu podaje J. Dan. Janocki, lecz dzieła jego *Polonia Literata* tylko część I tu się znajduje, następne bardzo byłyby pożądane.

Lecz pomimo dotkliwych braków postanowiłem co można próbować, aby nie ściągnąć na siebie nagany za opuszczenie czegoś, co by dla przedsięwzięcia mogło być korzystnym. Znowu przeto udałem się do niektórych, wywiadywałem się, wyczekiwałem, odracając termin wydania dzieła.

Obawiałem się bowiem, aby coś niebacznie napisanego nie zaszkodziło rzeczy, której pragnę powodzenia. I chociaż rocznica stuletniego obchodu, tak stosowna do uczczenia pamięci pomnikiem, już minęła a ważniejsze pobudki do kończenia dzieła nagliły: sądziłem, że nie przekroczę granic skromności, które mię powstrzymywały od naprzykrzania się tym o których usposobieniu ducha nie pewnego nie wiedziałem.

I jeżeli ten i ów, nawet z pomiędzy was dodawał śmiałości abym się tych dotychczasowych skrupułów pozbył: wołałem wszakże upraszać tych, do których listownie udać się życzliwość przyjaciół zachęcała.

Tymczasem choć wątpliwości niektóre niewiele światła z samych tylko krajowych źródeł otrzymać mogły, dzieło z nieustanną prowadzone pilnością, w ostatnich czasach znacznie wzrosło. Część obejmująca biografią St. Konarskiego już się przygotowuje do druku. Dotąd przecież od tych Polaków których się radziłem nic nie nadeszło, a na powtarzane wielokroć do uczonych prośby o zdanie, o radę w niektórych kwestiach, żadnej nie otrzymałem odpowiedzi: milczenie to chyba czasu obecnego trudnościom przypisać wypada.

W niepewności tedy zostaję czy jeszcze mam oczekiwać, czy też w wykazie źródeł i pomocy powiedzieć coś o omyloném tém staraniu czerpania z własnych każdego kraju źródeł; przykroby mi bowiem było wyznać jawnie to, coby mogło obwiniać albo mnie albo cenionych przezemnie mężów, o zaniedbanie rzeczy ze wszech miar uwagi godnych.

Teraz wszakże nie mniej jak wprzódę dręczy umysł żądza dowiedzenia się, coby jeszcze przybyć mogło z waszych archiwów i bibliotek, ażeby przez srogość czasów rozerwane niejako członki, napowrót dały się złożyć. Przeto i téj drogi, która wprzódę była mi wskazaną i wielokrotnie zalecaną, chcę spróbować, w przekonaniu że powinni być przecież między wami i w niemałej liczbie, którzy pamięć rzeczy takich i w należnej zachowują czci, i starać się będą aby i nadal była przechowana.

Tą nadzieją ożywiony wracam znów do usilnych prośb, które spodziewam się po świeżo doznanej życzliwości, będą dla mnie pomyślne.

Aby zaś prośb moich zaspokojenie ułatwić, streszczam je i obejmuję w zapytania, na które świadomi rzeczy krótkie dać będą mogli odpowiedzi.

1. Która według zdania uczonych, biografia opisuje żywot i czyny St. Konarskiego z całą dokładnością, a chociażby tylko zupełniej niż to co podał Sz. Bielski w *Vita et scripta quor. e Congr. S. P. Pr. Pol. 1812*. Tudzież Edw. Raczyński w dziele *Gabinet Medal. Pols. 1843. Wykład*.

2. Czy niema obfitszych i pewniejszych świadectw nad te co są w wymienioném dziele E. Raczyńskiego o Konarskiego rodzicach, braciach, pokrewnych i powinowatych, o jego związkach familijnych z dostojnikami państwa.

Czy prawdą jest co L. Chodźko w żywocie Konarskiego twierdzi (w *Nouv. biogr. gén. Paris 1859*), że biskup Jan Tarło, jego protektor, był oraz jego wujem.

3. Przebywając od 1722—1725 w Warszawie, jakie w każdym z tych lat obowiązki spełniał, w którym roku nauczał, w których latach słuchał teologii, kiedy i od kogo święcenia kapłańskie przyjął.

4. Jakimi już wtedy czynami się odznaczył i na przychylność przełożonych zasłużył. W r. 1733 jakie pobudki skłoniły go ku stronnictwu Leszczyńskiego, jak długo z jego protekcyi korzystając przebywał we Francyi, jakie środki zbogacania swoich wiadomości miał tak



tam jako i w Niemczech, z jakimi uczonemi oprócz Fontenella miał zażyłość.

5. Pomiędzy cudzoziemcami, z jakimi uczonemi i znakomitościami zostawał w naukowych stosunkach, czy nie pozostało śladów jakich tego obcowania w listach, czy zebranych, czy rozproszonych.

6. Czy nie pozostało po nim jakich zapisek z podróży, czy pamiętnika lub spisu jakiego dzieł na obczyźnie pisanych, choćby pismek drobniejszych, w języku francuzkim, polskim, lub innym nowożytnym, bezimiennie lub pod pseudonimem ogłaszanych.

7. Czy też nie znajduje się katalog dzieł Konarskiego, w szczególności polskich lub na polski język tłumaczonych, zupełniejszy niż przez Sz. Bielskiego do życiorysu jego dodany.

8. Czy pisał wiersze polskie, zwłaszcza w wieku młodszym? Z pomiędzy krytyków, czyje zdanie o Konarskiego pismach i czynach według sądu uczonych Polaków za najsprawiedliwsze jest uznanem.

9. Jakim tytułem i za jakie mianowicie zasługi otrzymał od Ludwika XV pensją roczną, i jak długo z tego dobrodziejstwa ku pożytkowi nauk w ojczyźnie swojej korzystał.

10. Z pomocą jakich prócz tego opiekunów założył w Warszawie konwikt. Jakie wiadomości o powodzeniu tegoż konwiktu podają Roczniki i pomniki dziejowe, mianowicie zaś archiwa, które w kolegiach Pijarskich, a głównie w Warszawie, były, jak o tém świadczą liczne dokumenta dziejów tego Zgromadzenia, już w r. 1742 z Podolińca przeniesione. *Annales Coll. Podolinensis* etc.

11. O tycho mianowicie życzyłbym sobie być dokładniej powiadomionym, a to dla materyałów do biografii St. Konarskiego, którą chciałbym w całej świetności przedstawić. Lecz i dla innych części pracy mojej bardzo potrzebną jest wiadomość o stanie archiwów, które niegdy do Zgromadzenia Piarów należały. Waszym przeto względem i to żądanie osmielam się polecić.

12. Cokolwiekby przyczynić się mogło do zupełnego poznania dziejów Zakonu, niech wskazać przynajmniej mi raczą ci, dla których szczerą miłość nauki jest bodźcem do wyświecenia pamięci rzeczy minionych. Bardzoby mi było przyjemnie, aby mi przynajmniej wskazano rzeczy drukiem już ogłoszone, a do pracy mojej przydatne, jak np. w tych dniach otrzymana „Kronika collegium Lubieszowskiego księży Piarów, przez księdza Antoniego Moszyńskiego, Kraków 1876.”

Łaskawa odpowiedź, w jakim bądź języku, im wcześniej mię dojdzie, tém większą pomocą się stanie dziełu *wkrótce wyjść mającemu*, atoli późniejsze nawet z wdzięcznością przyjęte będą; w każdym razie rzucą nieco światła mającego się odbić na bóstwa ojczyste, którym cześć należną oddać usiłujący, z taką ufnością o pomoc tę prosi. Ktokolwiek ten będzie co przyjaznego nie odmówi współdziałania, niech będzie przekonany że się pożytecznie do rzeczy ojczystych przyczyni, i że wdzięcznym rękom je powierzy. Jak bowiem i zwyczajem jest i obowiązkem pisarzy, każdy przyczynek i dodatek we właściwem miejscu

i czasie, z wdzięczną wzmianką o podawcy, wyraźnie wymienionym będzie. Życzenia te i prośby podać do wiadomości tych, którzy badaniom takich rzeczy się oddają, uprasza wasz szczerzy wielbiciel

Buda-Pest w Węgrzech,  
w gmachu gimnazjum Piarów.

Dnia 20 lutego 1877.

*Benedykt Csaplár.*

Historyograf Piarów węgierskich.

(*tlumaczenie z oryginału łacińskiego*)<sup>1)</sup>.

## ROZMAITOŚCI.

### *List nieznaný Juliusza Słowackiego.*

(Do matki).

Dzieło profesora Antoniego Małeckiego o Juliuszu Słowackim, zwróciło baczniejszą uwagę naszego ogółu i krytyków na osobistość poety. Professor Stanisław Tarnowski starał się je uzupełnić dość obszerną pracą; w r. 1875 wyszły we Lwowie *Listy Juliusza Słowackiego do matki*, o których p. Kazimierz Kaszewski pisał obszernie w r. b. w „Bibliotece Warszawskiej.“ Listy te nazwane są w przedmowie wydawców „korrespondencją zupełną.“ Tém bardziej więc zasługuje na ogłoszenie list nieznajdujący się w owym zbiorze. Nie będziemy tu zastanawiali się nad treścią i wartością tego listu, ani wchodzili w to, czy ogłoszenie „korrespondencji zupełnej“ wypadło na korzyść lub niekorzyść Juliusza, i o ile było lub nie było koniecznym. Uzupełniamy tylko fakt.

List niniejszy pisany z Paryża pod datą 19 lipca 1845 i adresem „Madame Salomé“ (imię matki), wypełnia lukę między majem a wrześniem, którą znajdujemy w zbiorze listów wydanych i objaśnionych poniekąd list wrześniowy. Ciekawy ten zabytek udzielony został redakcyi naszego pisma przez p. Ludwika Gołębiowskiego, z następującym objaśnieniem: „Pani Becu, matka Juliusza, mieszkając w Krzemieńcu, udzieliła cały zbiór listów swego syna Sewerynowi Gołębiowskiemu, młodemu historykowi<sup>2)</sup>. Był to może pierwszy z literatów, który te listy czytał i zdaje się, miał zamiar o nich pisać. Po śmierci zawczesnej

<sup>1)</sup> Redakcyja ze swój strony w granicach możności zadość uczyniła życzeniu w powyższym liście wyrażonemu, i wzywa inne osoby, ażeby tak znaczne przedsięwzięcie księdza Csaplára wiadomościami lub dokumentami w posiadaniu ich zostającymi, poprzeć zechciały.

<sup>2)</sup> Seweryn był synem Łukasza Gołębiowskiego, zasłużonego badacza przeszłości krajowej, bratem zaś Ludwika, miłośnika i badacza ceramiki, który list ten nam przesłał.

Seweryna Gołębiowskiego, znaleziony został w jego papierach cały zeszyt wyjątków z listów poety, a zarazem jeden list oryginalny, który pani Becu ofiarowała na pamiątkę, Gołębiowskiemu. Widocznie w ręku matki nie pozostał wcale odpis tego listu, oryginał zaś przechowany w papierach rodziny Gołębiowskich, nie był znany profesorowi Małeckiemu, ani ogłoszony w „korrespondencyi zupełnej.“ Oto całkowity i wierny jego przedruk:

*Paryż, d. 19 lipca 1845 r.*

„Znów tak długo, droga moja, bez żadnej mię wieści zostawiasz: czyś ty chora? czy się gniewasz na mnie? czy cię nareszcie owe dziecko długo, tak tobie niepotrzebne i nierozweselające duszy twojej, znudziło, że już chcesz nareszcie bez niego ułożyć życie twoje, i z nadziei go twoich wymazać jako rzecz, która ciągle i wiecznie zawodziła twoje nadzieje.... Powiedz, droga, co ja mogę zrobić dla twego szczęścia? Na łono Boga rzuciłem się z największą miłością i nie odrzucił mię, a tybys mnie lepszego teraz kochać nie miała?... Gdzież są ręce ducha mego, abym je wyciągnął i dostał aż nóg twoich uściśnął je.... z pokorą dawnego człowieka.... Gdzież jest, promienny wzrok ducha mego, abym mógł widzieć teraz twarz twoją i rozjaśnić ją jeżeli smutna! Może ty pojechałaś na wieś, może list twój zaginął.... bo mi ze starożytnego miasta donoszono żeś zdrowa, żeś krzyżek posłała dziecinie malarza; więc z daleka mi wieści o tobie dochodzą, a ty milczysz?... Wpadam na jedną z najdziwniejszych myśli.... czy w kwietniu około 20.... nie zostałaś przerażoną jakim znakiem widzialnym duchowym, we śnie lub na jawie?... bo (ale tego co piszę nie powiadaj nikomu) jam był, uderzony światłami niebieskimi widzialnie, przy największej spokojności krwi i zmysłów, a z taką potęgą, że chyba po śmierci coś podobnego uczuję.... bo w ciebie więcéjbym nie wytrzymał. Jeżeliś nic podobnego nie czuła, zapomnij o tém co piszę.... a sama nie chciéj moją dlitwą ani egzaltacją prosić o takie rzeczy.... bo grzech byłby może i niebezpieczeństwo.... proszę poważnie, weź do siebie te słów kilka, a po świecie ich nie rozrzucaj, bo nie są dla świata, ale dla ciebie, którą sądzę świętą przez zasługę cierpienia i przez wrodzoną piękność duszy. Tego roku nie odbywam mojej zwyczajnej podróży do morza, bo jéj nie potrzebuję; wyjadę może na parę tygodni w okolice, aby pochodzić po lasach, i trochę kwiatów łącznych zobaczyć, bo te, które mam przed oknami nudzą mnie, pyłem zasypałe.... kwiatki od ciebie mam i nawet mi przyrosły.... z téj więc strony ze strony zdrowia bardzo mi dobrze, ale sercu memu braknie przedmiotów umiłowania. Nie uwierzysz, jak nieraz po waryacku szukam serca, i ile mi w tém szukaniu łoż leje się z oczu.... bo wiele jest umęczonych na świecie.... Czemuż ci nie mogę opisać tych małych zdarzeń, za które wiem iżbys mnie ukochała; ale nie mogę, bo tak błahe są i tak z okolicznościami i ze stanem uczucia mego połączone, że długich opisańby potrzebowały.... Są one jakoby muzyką ciągłą,



która mi czyni atmosferę, a ja w niej chodzę, ruszam się i żyję... są muzyką czucia, jakimś tonem miłości serdecznej, rozlitowanej nad światem, nad temi mróweczkami ludzkimi, które się po gościńcach małych wloką, każda ze swoim ciężarem.... jak gdyby niosły trumny swoje.... gdy ja taki lekki, i tak obroniony od Boga od wszelkich trudów, oprócz tych, które na sercu są.... Mam jednak boleść jedną większą, a tój trudno mi tobie wypisać: oto mi się zdaje, że tobie czasem może kwiatów zabraknąć, a ty się do mnie nie odezwiesz, ani będziesz miała tój litości nademną.... Cóżby to było za upokorzenie dla mnie, gdyby kiedy tak się stać miało!.... co za boleść nie kończąca się aż zemną razem!.... Pamiętaj, pamiętaj.... Bo co do innych trosk które na duszę twoją spaść mogą, od tych ja ciebie ochronić nie mogę, a Bogu zostawiam; ale od tój.... w matkę bym się tobie zamienił.... wszystko ci piszę: listy moje są spowiedzią, dla tego są święte.... Od Zosińki dawno już nie mam wiadomości, o Władysławie chciałbym wiedzieć i Filach. O tych ostatnich lękam się aby nie stracili na wsi tój piękności duchowej, za którą ja oboje ich tak kochałem.... Fila błękitne oczy, gdy przyszedł na świat, przestonione były tęczą kolorów, duma szlachetna w sercu była; teraz z tój tęczy może nie zostać nic, a duma może się w próżność jeżdżącą na drynduli zamienić.... jam był już przyszedł do tego stanu, żem był zerwał wszelki związek z duchem piękności na świecie. Lat temu pięć nazad, w jednej chwili, stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, śród brzoź i drzewek, nagle uczułem się martwy, jakby martwą naturą otoczony.... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stanęły przedemną jak obce figury. Myśl zimna poleciała po ich gałązkach,—niebo, i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie.... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu.... ale mię zaraz Pan Bóg obudził, albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczęła przewiewać przez okna czarne eleganckiego w którym byłem salonu, że mi nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu, włosy podniosło na głowie, i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa ... A to ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi.... a które rozpoczynają mizantropiję czarną.... Lękam się, aby ci kochani Filowie, nie przestali tak snuć tój cudownej girlandy wrażeń, która z ducha naszego snując się ciągle, jedynie o życiu zaświadcza.... Sylli ta.... którą ja ciągle w profilu widzę na błękicie niebios Litewskich.... Ten Fil.. który w ciemnej malarni swojej wileńskiej, tyle mi snów o Rafaelu nastreczył.... bom w jego małym pokoiku czuł jak dziecko jakiś zapach niewymówiony, dawnego artystycznego włoskiego żywota.... ze strachem prawie do tych pokoików, gdzie on skubent malował, wchodziłem.... Niechże mi oni, taką przeszłością zemną powiązani, choć w kilku słowach błysną sercem.... I Fortunat także: często myślę o nim.... więcej ją z wami niż się spodziewacie... a od cie-

bie, która w modlitwach moich jesteś, każdy dzień zaczynam... Pomnąc na to, że u was słońce wschodzi godziną wcześniej niż tutaj, możesz myśleć, że codzień około 9-tój rano imię twe jest na ustach moich.... Bądź zdrowa, i odpisz mi jak najprędzej.... bo mam ciężar niespokojności na sercu....

Jul.“

---

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

---

## WARSZAWA.

*Marzec 1877.*—Od roku zeszłego, wydawnictwa prof. Adolfa Pawińskiego zasługują na uwagę i uznanie. Są to cenne prace w gałęzi dziejów krajowych. Najprzód ogłosił w 4-ch tomach *Pamiętniki Marcina Matuszewicza Kasztelana Brzesko-Liteńskiego*, dalej dzieło prof. H. Zeissberga: *Dziejopisarstwo Polskie wieków średnich*, dwa tomy (Warszawa 1877 r.) i od roku już rozpoczął publikacją wielce cenną p. n. *Zródła dziejowe*. Dwa pierwsze tomy wyszły 1876 roku i obejmują: *Krzyštofa Grzymułtowskiego Wojewody Poznańskiego listy i mowy*, wydał A. Jabłonowski. *Dzieje Zjednoczenia Ormian Polskich z kościołem Rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego w przekładzie polskim* wydał A. Pawiński. W roku bieżącym wydał: *Lustracye Królewsczyzn ziem Ruskich, Wołyńa, Podola i Ukrainy z pierwszej połowy XVII wieku*, opracowane przez Aleksandra Jabłonowskiego i *Stefan Batory pod Głańskiem w 1576 do 1577 r.* Listy, uniwersały, instrukcyje wydał i szkicem historycznym poprzedził Adolf Pawiński.

— *Krakowiaki* o których mówimy w dziale piśmiennictwa, są pierwszą częścią zbioru, w którym p. Zygmunt Gloger zamierza w dalszym ciągu i następnych seryach podać *Dumy i pieśni, mazurki, kujawiaki i wyrwały ludowe*.

— *Teorya państwa Ahrensa*, wykład dogmatyczno-krytyczny przez Edmunda Krzymuskiego Kand. Praw. Warszawa 1876 r. Jest to rozprawa konkursowa nagrodzona medalem przez wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego, obecnie przez autora spolszczona i po-

większona. W pierwszej części pracy swojej autor przedstawia znaczenie organicznej teorii o państwie w ogóle a teorii Ahrensa w szczególności; w drugiej daje ocenę takowej i odpiera czynione jej zarzuty. Ze względu na doniosłość przedmiotu i mało stosunkowo uprawiany u nas dział nauk państwowych, z przyjemnością zaznaczamy zjawienie się tej pracy.

— Zajmującą wiadomość podała nam Gazeta Warszawska, o ważniejszych ruinach i zwaliskach dawnych zamków i budowli, jakie się zachowały dotąd w naszym kraju. Oto są te miejscowości: w Ciechanowie (gubernia Płocka), Liwie (Siedlecka), Czersku (Warszawska), Rawie (Piotrkowska), Łęczycy (Kaliska), Drzewicy, Itzy, Bałowie, Podgrodziu, Ossolinie, Ujeździe (zwany niegdyś Krzysztopory), Janowcu, Solcu, (Radomska), Chęcinach, Sobkowie, Szydłowie, Ogrodzieńcu, Smoleniu, Rabsztynie, Ojcowie (Kielecka), Olsztynie, Mirowicach, Bobolicach (Piotrkowska); Kazimierzu Dolnym, dotąd pozostała jeszcze wielka wieża okrągła, w której Maciej Borkowicz wojewoda poznański, za publiczne rozboje i nadużycie zaufania Kazimierza Wielkiego, głodną śmiercią życie zakończył; Dąbrowicach, w okolicy miasta Chełma, tak zwane Chełmskie wieże. Jedna z nich stoi pod wsią Biełwinem, wśród błotnistej płaszczyny o pół mili od Chełma, druga zaś, nierównie lepiej dochowana, we wsi Stołpie; oraz w Rejowcu (Lubelska). Również w Dowspudzie gubernii Suwalskiej, dawny dwór ze zwierzyniec rodziny Paców, w miejsce którego hr. Ludwik Pac w roku 1823, według planu Henryka Markoniego zaczął stawiać wspaniałą pałac, który miał być jedną z najpiękniejszych budowli w całej gubernii, dziś leży prawie w gruzach. Niektóre jednakże z tych budowli podźwignięte zostały z upadku, jak w Bykach pod Piotrkowem pałac Bony, staraniem dziedzica tychże dóbr p. Jeziorańskiego doprowadzony do stanu mieszkalnego; w samym Piotrkowie zamek przez Kazimierza Wielkiego, na starych murach wystawiony, odrestaurowany ostatnimi czasy, oddany został na użytek miejscowej władzy wojskowej; jak również w Opocznie w odrestaurowanym zanku Kazimierza Wielkiego mieści się biuro naczelnika powiatu, a dom niegdyś Esterki, ulubienicy królewskiej, po wyrestaurowaniu, oddany został radzie opiekuńczej zakładów dobroczynnych.

— Z drukarni gubernialnej wyszło: *Sprawozdanie rady gubernialnej warszawskiej i rad powiatowych opiekuńczych z ich czynności pod względem zarządu zakładami dobroczynnymi, oraz ze stanu tych zakładów za rok 1874.* Wydrukowano z decyzji warszawskiego gubernatora. (Warszawa 1876 r. w 8-ce str. 43 i VIII tablic).

— Z pracowni rzeźbiarskiej p. Syrewicza wykończony biust K. Wł. Wójcickiego, wykonany z przyczyny jubileuszu tegoż a przeznaczony jako dar dla Muzeum archeologicznego krakowskiego, przesłanym został według swego przeznaczenia.



— W zbiorze autografów p. W. G. z Żytomierza, zachowanym jest następujący własnoręczny wiersz Antoniego Malczeskiego autora *Maryi*:

„O! jak przykro do swoich wracać bez nadziei!  
Toczy się łucznie powóz w znajomej kolei,  
Mija znane przedmioty, ojczyście zagony,  
Ale widok ich dla mnie kirem osłoniiony....  
Ach, czemuż tak jak dawniej o szczęściu nie marzę?  
Gdzież te, co się tak lubo uśmiechały twarze?  
Gdzie te serca, co czuły każde mego bicie?  
Znikły... przez chwilę tylko ozdobiły życie...  
Jak promień, co z obłoków na samotne góry  
Błyśnie i znów go skryją wiatrem gnane chmury....  
Teraz cicho... Żadne mnie nie witają głosy,  
Tylko wiatr jęczy smutnie uginając kłosa...

Żałować potrzeba, że nie znamy daty, w jakim czasie ten wiersz pełen smutku napisał; byłby to szczegół nieobojętny do życiorysu jego, jaki to ucisk duszy i cierpienie wywołały tę rzewną skargę.

— Pisma rosyjskie donoszą, że p. J. Turgieniew za najnowszą swą powieść *Nowina* (*Now'*), otrzymał od redakcyi *Więstnika Europy* po 425 rs. za arkusz druku; ponieważ utwór ten obejmuje około 16 arkuszy druku, przeto honorarium wynosi około 7,000 rs. Nie wchodzi zaś w to prawo osobnego odbicia.

— Powieść Kraszewskiego *Jermola*, wydana najpierw w Warszawie w r. 1857, w przekładzie francuzkim przez panią St. Marcel dokonanym, wyszła w Paryżu w r. 1869, następnie w tymże roku w holenderskim języku w Arnhem. W Petersburgu r. 1861 wydano rosyjskie jej tłumaczenie p. t. *Jermola, Derewenskie oczerki*, a świeżo wyszła w języku niemieckim w lipskiej *Uniuersal Bibliothek*, w przekładzie doktora Löbensteina.

Znane to wydawnictwo Reclam'a księgarza stolicy nadelsterskiej, drukowało już poprzednio po niemiecku *Maryę* Malczeskiego, sonety Mickiewicza i inne znakomite twory.

— Matejko ofiarował na dochód szpitala dziecinnego w Krakowie szkic przedstawiający Matkę Boską, niesioną przez czyste dusze aniołów i wybranych. Jestto jakby ilustracya do *Psalmu Dobrój Woli* Zygmunta Krasińskiego. Po raz pierwszy mistrz jako artysta malarz wstąpił w sferę gwiazdzistój misteryi; z Grünwaldzkiego pola, na którym po całych dniach przebywa, uniósł się geniuszem w krainę tajemnic i nieba. Szkic znalazł zaraz nabywcę, ofiarującego 600 fl., lecz żona Matejki złożywszy na ręce ks. Marceliny Czartoryskiej, projektorki szpitala, 700 fl., stała się właścicielką mistrzowskiej ilustracyi.

— Wiadomo, że w Galicyi ogłoszono składki na zakupienie obrazu Matejki: „*Unia Lubelska*,” ażeby umówioną sumę ztr. 30,000 (120,000) zebrać. W tych czasach, brakującą jeszcze kwotę wypłacono artyście, a obraz wręczono wydziałowi krajowemu, w celu zawieszenia go w gmachu sejmu krajowego jaki ma się zbudować.

— W jednym z czasopism krakowskich p. Adam Krasiński ogłosił następującą odezwę: Szanowny Redaktorze! „Dowiedziawszy się z korespondencyi w twém piśmie, że w Poznaniu w drukarni Kraszewskiego wyszły Pamiętniki ojca mego ś. p. Józefa hr. Krasińskiego, jakoby wydane przez d-ra Reuttowicza, czuję się w obowiązku upraszać cię, abys w łamach pisma swego umieścić raczył następujące oświadczenie: Rękopism pamiętników ś. p. ojca mego znajduje się w moim ręku i dotąd nikomu do wydania, ani téż do jakiegokolwiek bądź korzystania z niego powierzony nie był. Wydanie więc owych pamiętników uważać należy za fabrykat fałszywy, wynikły jedynie z nadużycia zaufania. Upraszam, aby to moje oświadczenie wszystkie pisma polskie powtórzyć raczyły.

*Adam Krasiński.*“

— Śpiewak *Zachwyconej i Błogosławionej*, poeta i rzeźbiarz zarazem, wykończył właśnie model, który już jest w odlewie gipsowym, do drzwi dla skarbcza w kościele Ś-go Stanisława na Skatce w Krakowie, które mają być w bronzie odlane. Ornamentykę tych drzwi stanowi sześć płaskorzeźb wziętych z żywota Ś-go Stanisława: 1) Wskrzieszenie Piotrowiny. 2) Porwanie pięknej kobiety z rozkazu Bolesława Śmiałego i strofowanie za ten czyn króla przez biskupa. 3) Śmierć Ś-go Stanisława na Skatce. 4) Legenda o Ś-tym Stanisławie. 5) Kanonizacya Ś-go Stanisława. Styl téj kompozycyi przypomina wiek XV.

— Do szeregu polskich muzyków, co wyrabiają sobie imię znakomite za granicą, przybył młody fortepianista p. Henryk Kowalski. Kilka jego utworów znanych już było w Warszawie, a polonez koncertowy niejednokrotnie był tam wykonywany. Owoż bawiąc obecnie w Nicei, p. Kowalski skomponował na cześć Aubera *Chant sacrée* wykonany przez chóry i orkiestrę. Pełne siły *Memento mori* mnichów, na tle uroczystego marszu, ma się odznaczać blaskami natchnienia i świetnymi efektami instrumentacyi. Utwór kończy się poetycznym chórem Serafów niebiańskich. Kompozycya ta, za którą autora spotkały świetne owacy od mieszkańców, ma być powtórzoną w tych dniach na koncercie dla biednych wyrobników lyońskich, urządzanym za inicjatywą p. Kowalskiego.

— Pierwszy Rocznik *Przeglądu sądowego i administracyjnego*, wychodzącego we Lwowie pod redakcją Karola Stromengera i z współdziałaniem sił fachowych, ziszczył nadzieje, jakie w nim pokładano, tak doborem artykułów i rozpraw umiejętnych, jak i obfitością przykładów z praktyki sądowej i administracyjnej. Już przegląd nazwisk współpracowników wskazuje, że Redakcya starała się sumiennie wywiązać ze swego zadania. PP. radca wydziału krajowego Edmund Mochnacki, prof. dr. Kas-

parek, dr. Kleczyński, dr. prof. Piętak, dr. Balasits, dr. E. Till i inni zasilali to pismo pracami, w największej części zastosowanemi do potrzeb chwili. Najwięcej pożądaną jest stała rubryka p. t. Przegląd tygodniowy, który prawnika utrzymuje w ciągłej baczności wszystkiego, co obchodzić i zająć może. Judykatura wszystkich naczelných trybunałów i bardzo dokładny zbiór normaliów i rozporządzeń władz najwyższych, nigdzie zresztą niedrukowanych, podnoszą praktyczną wartość tego pisma i zastępują w podręcznym użytku osobne zbiory orzeczeń i normaliów. W pierwszych numerach z tego roku zamieścił *Przegląd* obok zwykłych, starannie prowadzonych rubryk, kilka krótszych rozpraw, mianowicie d-ra Tilla: *O zawisłości prawa hipoteki*; p. M. Z. „O materyałach powszechnych księgi ustaw cywilnych;“ d-ra Kleczyńskiego: „O opodatkowaniu się gmin,“ prof. d-ra Kasparka „O metodzie badania w naukach politycznych“ i inne. Pismo to, którego cena jest bardzo przystępną, pożytecznym być może nietylko dla prawników, lecz dla każdego, kto zajmuje się sprawami krajowemi; dział administracyjny bowiem obejmuje najżywotniejsze sprawy ustawodawstwa krajowego.

— Na wystawie obrazów austriackiego stowarzyszenia artystów, znajduje się serya Artura Grottgera *Litwa*; Karol Vincenti recenzent *Wiener Zeitung* tak pisze w tym dzienniku: „Zawsze głęboką uczuвам boleść, ilekroć spotykam się z którymkolwiek kartonem Grottgera. Geniusz, tak przerażająco poetycznemi nawiedzony inspiracyami, musiał wcześniej pozrywać okowy cielesne, w wieku lat 30 zaledwie, wyzionął ducha. Była to jedna z najszlachetniejszych i najsympatyczniejszych natur artystycznych.“

— W Kołomyi mieście powiatowém na Starém Pokuciu (w Galicyi), w pobliżu Prutu, liczącém do 18,000 mieszkańców, słynące przysłowiem: *Francuz z Kołomyi*, wychodzi dwutygodnik literacki pod napisem *Ogniwó*.“

— Smutny i bolesny stawia nam obraz korespondent *Gazety Warszawskiej* z Poznania. Oto co czytamy. „Kto od dawnego, kilkonasio a choćby tylko kilkoletniego czasu zakątka naszego wielkopolskiego nie oglądał, nie poznałby go, a przynajmniej dopatrzyłby się w nim zmieniających radykalnie fizyonomię kraju i społecznosci różnic. Czy to z zewnątrz czy z wewnątrz, jakieżto niesłychane, jakieżto doniosłości odmiany w porównaniu z niedawną jeszcze przeszłością! Zaczynając od owego *zewnątrza*, zależnego bezpośrednio od innego, aniżeli nasz żywiołu, jakie różne postępowanie jego z tém, co było dawniej a choćby jeszcze tylko nawet przed wojną francuzką. Miał wprawdzie i przedtém pierwiastek nasz narodowy bardzo słusznie powody zażaleń i skarg w obec tego, co mu się zkađinał działo; skargi podobno odpierano, skoro się przed trybunał sejmowy dostały, nie inaczej zwykle niż dzisiaj, odmownemi odprawami ławy ministe-



ryalnej; ale były przecież pisane prawa i przepisy mówiące tu i owdzie na korzyść naszą, z których w razie woli i konsekwencji można było ostatecznie zrobić użytek. Jakże inaczej dzisiaj! Dzisiaj wyrugowały reskrypta pana Falk'a język ludności krajowej ze szkoły, choćby nawet elementarnej wiejskiej, bo o wyższych zakładach naukowych W. Księstwa nie warto nawet pod tym względem mówić; nowoukute prawo z dnia 28 sierpnia 1876 r. wypędziło tenże sam język z przed krutek sądowych i z praktyki administracyjnej. W dodatku niema pewnie ani jednego numeru *Dziennika urzędowego*, któryby całemi szeregiami nie zamieszczał oficjalnych przemian nazwisk miejscowości polskich na nowe, najdowolniejsze niemieckie. Najstarsze, najhistoryczniejsze nazwy miasteczek i wsi ulegają podobnej metamorfozie. Z Trzemeszna robi się Tremedder, z Grzymisławia Grimsleben, z Chwałkowa Weissenburg, z Tomic Oranienhof, z Dusznik Kaiserhof, ze Strzeszyna Sedan. Wśród tego chaosu trudno się znaleźć, ludność wiejska nie umie się wśród niego zorientować, na poczcie nie wiadomo często, jak adresować, a dzięki podobnemu zamieszaniu potrzebne już, jak się to zresztą nawiasowo powiedziawszy, stało, słowniki pouczające publiczność, jak się nowo-przechrzczone miejscowości nazywają „w obu krajowych językach.”

Niedokładnością byłoby pominąć jeden jeszcze z licznych pojavów, które noszą na sobie wyraźne piętno odbywającej się na fizygnomii kraju i ludności, dzięki naciskowi zewnętrznych okoliczności przemiany. Jest to działalność tak zwanych praw majowych. Przed bardzo niedawną przeszłością jeszcze był kościół z całą swą organizacją, z podwładnym sobie duchowieństwem, twierdzą jakoby nietkniętą, poza której mury wpływ obcy tylko wtedy sięgał, gdy go hierarchia naczelną sama dopuszczać z najrozmaitszych powodów chciała. Dziś inaczej, a owo *inuczej* odbija się nader charakterystycznie na fizygnomii tak kraju jak ludności. Uderza owa zmiana choćby już w Poznaniu samym. Owa część miasta kościelno-duchowna, jeżeli tak wolno powiedzieć, na prawym brzegu Warty, ów *Tum*, jak ją język ludowy pospolicie nazywa, dawniej pełna życia w swoim rodzaju, pełna snujących się sutan, pełna księży i kleryków, urozmaiconą niekiedy w dni świąteczne kursującemi około pałacu arcybiskupiego i kuryi kanoników ekwipażami, jakże zmieniona do niepoznania! jakże opustoszała i grobowo milcząca! Seminarjum duchowne zamknięte, pałac arcybiskupi jest siedzibą kurzawy i pajaków, piękne pałacyki członków kapituły w znacznej części pozabawione swych mieszkańców, gmach konsystorski stał się rezydencją zawiadującego majątkiem kościelnym komisarza królewskiego, pana Massenbach'a czy Perkuhna, warsztatem najrozmaitszych nowych rozporządzeń, postanowień karnych przeciw księżom niechęcącym z nową władzą wchodzić w korespondencją.

Taż sama zmiana fizygnomii w téjże samej dziedzinie na prowincyi. Mnóstwo już teraz probostw osieroconych po zmarłych księżach, kościoły pozamykane, a ludność skazana szukać ukradkowo po-

mocy duchownej po przyległych parafiach; mieszkania księży jakże często uderzają na pierwszy rzut oka widokiem ubóstwa jakże często świecą pustkami spowodowanymi ekzekucjami administracyjnymi za odmowę korespondencji z komisarzem królewskim!

Nadto tu i owdzie jest już także tak zwany *proboszcz państwowy*: w Kościanie, w Obornikach, w Grodzisku czy w Sierakowie, zostający najczęściej w wojnie ze swymi parafianami, prawiący najczęściej do pustych ławek, znajdujący się pod czujną opiekunczą strażą żandar mów, zaasekurowany przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu ze strony „wiernych” całym gradem procesów, jakie się za najmniejszy czyn obelgi czy oporu przeciw nim syją. Jak już zaś dalekie zdaje się owe czasy solennych i sutych odpustów, na które lud zbiegał się tłumnie do kościoła, na które potem świecka i duchowna okolica zbierała się na plebanią!

Dzisiaj odbywają się skromnie, cicho i milcząco, bo nie wiem już istotnie, na mocy jakiego paragrafu, majowego czy niemajowego prawa, wystawia się na odpowiedzialność kryminalną ksiądz, któryby sąsiedniemu konfratrowi przyszedł w dzień odpustowy w pomoc z kazaniem, ze mszą, czy ze spowiedzią.”

Po takim obrazie *zewewnętrznej* postaci, niemniej smutny i stan *wewnętrzny* tej prowincyi. Upadek pod względem ekonomicznym i zubożenie powszechne, po zgnębieniu stanu ziemian i duchowieństwa. Przyszłość okazuje się w całej swojej grozi!

— Towarzystwo przemysłowców polskich we Wrocławiu, ogłosiło sprawozdanie za ubiegłe półrocze, t. j. od 24 lipca 1876 do 22 stycznia 1877 r. Ze sprawozdania tego okazuje się, że Towarzystwo odbyło w minioném półroczu 24 posiedzenia, pod kierownictwem prezesa p. Bauma, i pod opieką radcy p. Głębockiego. Na posiedzeniach starał się zarząd iść w kierunku wytkniętym, a mianowicie, dążył do rozwijania wiedzy między członkami. Dokładano starań, aby na każdym posiedzeniu był odczyt, i usiłowania te przyniosły skutek, dzięki pomocy akademików. Odczytów było 13 przeważnie z dziedziny historii i literatury polskiej. Nadto Towarzystwo wyraża wdzięczność dla pana radcy Głębockiego, za odpowiedzi jego na piśmienne zapytania w kwestyach naukowych. W ubiegłym półroczu p. G. odpowiedział na 13 zapytań tego rodzaju, starając się zawsze zrozumiale i szczegółowo rzecz objaśnić. Prócz szerzenia nauki i oświaty między członkami, nie zapomniało Towarzystwo i o tém, aby członkowie w czasie wolnym od pracy i codziennych zatrudnień, wspólnie zabawić się mogli. To też po każdym skończoném posiedzeniu, odbywają się śpiewy i t. p. W zabawie urządzonej przed trzema miesiącami, brali udział akademicy, oraz kilka rodzin czeskich. W ogóle Czesi chętnie uczęszczają na te posiedzenia, i nawzajem zapraszają członków na swoje zebrania. Towarzystwo urządziło czytelnię, jak na początek, dość szczupłą, dla braku środków. Z pism warszawskich jest tam

tylko egzemplarz „Kuryera Warszawskiego,” dostarczany bezpłatnie, przez jednego z Polaków, zamieszkałych we Wrocławiu. Każdy z członków ma prawo brać jedno pismo do domu, a po tygodniu takowe zwracać. Liczba członków Towarzystwa wzrasta. W roku zeszłym przybyło 18 nowych członków. Wszystkich razem jest 95.

— W Lipsku u Brockhousa wyszło nowe wydanie „Kirgiza“ i „Stepów“ Gustawa Zielińskiego, w przekładzie Alberta Weissa. Zamierzając sobie obszerniej pomówić o tym przekładzie, ograniczamy się dziś na powtórzeniu słów wydawcy: „Oba rzezone utwory, blisko sobie pokrewne treścią, a malujące poetycznie naturę i obyczaje stepowego ludu Kirgizów, należą do najlepszych utworów literatury polskiej. Przedstawiamy je obecnie w przekładzie, uznanym przez samego autora za ścisły, wierny i nader udatny.“

— Dziennik włoski: *Gazzetta Ufficiale* z dnia 28 lutego (N. 49) ogłasza następujący dekret:

*„Królewski Uniwersytet w Rzymie.*

Rektor, zważywszy uchwałę Senatu Akademickiego co do umieszczenia pamiątkowej tablicy na cześć Mikołaja Kopernika i założenia Muzeum dla przechowania wspólnie z biurem darowanym przez ministra Scialoję cennych pamiątek, posiadanych przez Uniwersytet, a dotyczących naukowej działalności wielkiego astronoma;

Zważywszy dar uczyniony Uniwersytetowi przez kaw. Ignacego Kraszewskiego z Drezna;

Zważywszy propozycją doktora Artura Wołyńskiego do złożenia w darze dla Muzeum pamiątek przez niego posiadanych, a dotyczących życia i prac naukowych Mikołaja Kopernika;

Zważywszy upoważnienia ministerjalne z dnia 25 lipca 1874 i dnia 16 stycznia 1877 roku do przyjmowania darów, jako też do ich umieszczenia;

Zważywszy stosowność powołania osób poważnych i doświadczonych do ostatecznego umieszczenia w Muzeum, jego zachowania i odpowiedniego a stałego urządzenia, dekretuje:

Przy Uniwersytecie Rzymskim, pod prezydencją rektora *pro tempore*, ustanawia się komisya złożona z dostojnych komendantów: Dominika Bertego, Cezara Correntego, Kwintyna Selli, członków parlamentu: Piotra Blazerny, Honorata Occioni'ego i Wawrzyńca Respigni'ego profesora, której obowiązkiem będzie obmyśleć środki do umieszczenia w oddzielnym Muzeum, cennych pamiątek Kopernikowych, jużto darowanych, już też obiecanych Uniwersytetowi, zachowania w odpowiedni sposób drogich zbiorów i pomieszczenia w Muzeum.

Dyrektor Sekretaryatu Uniwersyteckiego będzie pełnił obowiązki Sekretarza Komisji.

Rzym, 15 lutego 1877 r.

Rektor Uniwersytetu,  
*Prof. Kajetan Valeri.*”



— Włoski uczony *Correnti*, zasiadający w parlamencie włoskim, i naczelnik w nim *środek*, pracuje oddawna nad wielkiem dziełem i mozolnym: *Dzieje Polski*. Dla ukończenia krytycznego tej pracy, ma przepędzić czas dłuższy w Krakowie i we Lwowie. Zajmuje się nadto przekładem poezyj Mickiewicza.

— W czasopiśmie Muzeum czeskiego, profesor uniwersytetu wiedeńskiego Szembera ogłosił następną statystykę ludności czeskiej. Oto główne dane:

1. *Czechów* jest:

a) w Austrii	w Czechach . . . . .	3,304,046
	w dolnej Austrii (Wiedeń) . . .	129,460
	w górnej Austrii . . . . .	3,000
	w Galicyi . . . . .	982
	w Węgrzech . . . . .	7,182
	w Chorwacyi . . . . .	2,088
	w wojsku . . . . .	55,000
	Razem	<u>3,501,758</u>

b) Po za Austryą:	na pruskim Szlązku . . . . .	11,119
	w Brandeburgii . . . . .	110
	w Królestwie Polskiem . . . . .	4,400
	w Ces. Rosyjskiem . . . . .	8,250
	w Ameryce . . . . .	120,000
	Razem	<u>143,879</u>

2. *Morawian* jest.

a) w Austrii:	na Morawie . . . . .	1,272,129
	na Szlązku . . . . .	112,061
	w dolnej Austrii . . . . .	62,630
	w wojsku . . . . .	22,000
	Razem	<u>1,468,820</u>

b) Po za Austryą:	na pruskim Szlązku . . . . .	61,911
-------------------	------------------------------	--------

2. *Słowaków* jest:

	w Węgrzech . . . . .	2,125,399
	na Morawie . . . . .	223,374
	w dolnej Austrii . . . . .	15,753
	na Bukowinie . . . . .	2,000
	w Sławonii . . . . .	5,292
	w wojsku . . . . .	33,000
	Razem	<u>2,404,818</u>

A zatem razem *Czechów, Morawian i Słowaków*:

w ziemiach korony czeskiej . . . . .	4,911,610
w innych krajach Rakuzkich. . . . .	2,463,787
Razem w Austryi	7,375,397
Po za Austryą . . . . .	205,790
Ogółem. . . . .	7,581,187

— Dyrektor archiwum weneckiego Ceccetti przesłał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu prośbę, o udzielenie wiadomości dotyczących archiwów w Polsce, pożądane i potrzebne dla oddziału archiwum weneckiego, przeznaczonego wyłącznie do spraw polskich. Jest to zbiór bogaty do dziejów naszych.

— Etnograf autor znany już ze swojego poprzedniego dzieła *O życiu społecznem w Grecyi* J. P. Mahaffy wydał obecnie: *Wycieczki i studia o Grecyi* (*Rambles and studies in Greece*).

Studia autora poświęcone są głównie zbadaniu Attyki i Teb, w Grecyi północnej i Peloponezie do Argolidy. Przedstawiając nam doskonały obraz krain przez siebie zwiedzonych, autor wśród opisu, niejednokrotnie od przestrzeni zbacza w dziedzinę czasów, a że (na wielką pochwałę jego pracy) powiedzieć można, iż zwiedzał Grecyą, z naukowemi tradycjami w dłoni i w sercu, przeto i czytelnik pociągniętym zostaje co chwila do świata starożytnej wiedzy, poezyi, architektury i wiecowego życia Hellenów. Jest tu i miejsce dla szlachetnie zrozumianej subiektywności, pod której to tchnieniem w opisach podróżnika czytelnik wraz z nim pod widomem, wypatruje lub doczuwa się i czegoś niewidomego. Widok Akropolu rysującego się na widnokręgu przy wschodzie słońca, w chwili gdy z drugiej strony w cieniach oddali pogrążona, drzemać się zdaje, nowożytna część miasta, budzi w naszym autorze ów nastrój bajronowski, któremu oprzecz się niepodobna. Autor zdaje nam się być Irlandczykiem, gdyż na każdym kroku urocze sprzeciwieństwa kształtów natury greckiej, każde urwisko, góra, parów lub ruina przypomina mu Irlandyą. Nie oszczędza też p. Mahaffy dostojnych lordów, którzy dostojnie mówiąc, Helladą złupioną z całego wcielenia tej duszy, przewieźli i przewożą do muzeów brytańskich: *quod non fecerunt gothi...*

— *Jeruzalem podziemne* (*Underground Jerusalem, by Charles Warren. London*) opowieść o trudnościach napotykanych w jego badaniu, a zarazem opis wyprawy przez dolinę Jordanu i wycieczka do Samarytanii.

Pod tym tytułem wyszło w Londynie (u Betley'a) dzieło wysokiej wartości, szczególniej pod względem topografii Ziemi Świętej. Najgłośniejsze ustępy odnoszą się do tak zwanój świątyni Heroda. Po między innemi wskazujemy tu fakt, iż na północ od świątyni Salomona znajdowała się warownia, zwana Antonią, wzniesiona przez wiekopomych Machabeuszów.

Obok poszukiwań dotyczących wysokiej architektury, autor nie pomija i budownictwa zwyczajnego. Domy mieszkalne, jak dowodzi, tak w Syrii, jak i w Palestynie, były drewniane o płaskich dachach. Dopiero po spaleniu okolicznych lasów, podczas oblężenia przez Tytusa, budowanie z drzewa zastąpioném zostało architekturą kamienną. Do nader charakterystycznych obrazów należy opis wycieczki do krainy Samarytańskiej, gdzie pomiędzy innymi mamy odmalowaną ceremonię pożywania Paschy na górze Gerezym. Protestując jedynie przeciw hipotezie autora dotyczącej ognia świętego w grobie Zbawiciela, z całym uznaniem zalecamy dzieło K. Warrensa jak w ogóle miłośnikom archeologii, tak mianowicie tym czytelnikom, których zasmuca ta myśl, że na grobie namaszczonej przeszłości wznosi się obecnie Haram. „Podziemne Jeruzalem,“ stanowi piękny komentarz do Biblii.

— *Wycieczka przez Vatna Jökull czyli Sceny Islandskie* p. Williama Lorda Watts (*Across the Vatna Jökull, being a description of hitherto Unknown Regions*).

Jest to druga z kolei wędrowka śmiałego lorda do gleczerów Islandyi (pierwsza wyprawa dokonana przez niego przed trzema laty nie powiodła się). Autor z życiem opisuje podróz swoją do kraju lodów i wulkanów połączoną z poważnemi niebezpieczeństwami, po największej części na saniach, ciągnionych przez ludzi, wśród mass i zapadlin śniegowych, przy demoniczném wyciu wiatrów, o jakim mieszkaniec lądu wyobrażenia mieć nie może. Główną zdobyczą naukową, którą William Watts okupił ceną śmiertelnego znużenia i niebezpieczeństw, jest pomiędzy innymi dotarcie do Vatna Jökull i odkrycie kilku zagasyłych wulkanów, dotąd nieznanych. Nadzwyczaj ciekawym jest rozdział o „Skrzyni“ (*Askja*), stanowiącój krawędź straszliwego wybuchu w roku 1875, który spowodował takie spustoszenie w Islandyi wschodniej.



Dnia 24 lutego r. b. zakończył życie w Warszawie **Franciszek Kupiezeński** emeryt, b. starszy dyrektor banku polskiego. Ukończywszy Uniwersytet warszawski, Kupiezeński poświęcił się służbie rządowej; lat kilka zarządzał warzelnią soli w Ciechocinku, a wreszcie jako starszy dyrektor kierował w banku polskim wydziałem przemysłu. Z zamiłowaniem pracując nad ekonomią polityczną, wydał następujące dzieła: *Solnictwo czyli nauka o wyrobie soli kuchennej*, przerobione z niemieckiego dzieła Karola Jana Karsten'a (Warszawa, 2 tomy z tablicami, 1856 r.). *Zasady ekonomii politycznej*, przekład z niemieckiego W. Roscher'a (Warszawa 1860 r.). *Nauka ekonomii rolnictwa i ubocznych płodów surowych*, przekład także z Roscher'a (Warszawa 1861 r.). Przekłady te nader cenne pod względem naukowym, odznaczają się głęboką znajomością przedmiotu, wytrwałością w nader mozolnej pracy, tudzież pięknością poważnej polszczyzny nau-



kówj. Szczególniej tom pierwszy Roscher'a, z uzupełnieniami Wołowskiego, jest nader cennym nabytkiem dla pragnących poświęcać się trudnej nauce gospodarstwa społecznego. Przekład jego jest prawdziwą zasługą obywatelską ś. p. Kupieńskiego.

— Dr. *Teodor Trypplin*, w pierwszych dniach marca r. b. zakończył życie w okolicach Pizy. Kilkanaście ostatnich lat spędził na tułaczce po różnych krajach zachodniej Europy i umarł w nędzy. Praktykując jako doktor medycyny, dał się świetnie poznać z talentu pisarskiego, wydaniem w Poznaniu we 2 tomach *Podróży po Szwecyi i Norwegii*. Za powrotem do kraju, rozpoczął zawód literacki jako współpracownik Biblioteki Warszawskiej, drukując w niej wielce zajmującą *Podróż po Hiszpanii*, gdzie wiele lat bawił. Od téj chwili stał się wielce ulubionym pisarzem i przez lat kilka wydawcy księgarze Warszawy jak Wileńscy, na wyścigi zakupywali gotowe rękopisma, lub nowe prace zamawiając, hojnie jak na owe czasy opłacając. Powieść T. Trypplina. *Pan Zygmunt w Hiszpanii* (w 4-ch tomikach) zanadto swobodnej treści, w ciągu kilku miesięcy rozchwytaną została, zarówno jak: *Pamiętniki lekarza Polaka* i wiele innych utworów. Życiorys jego starannie skreślony, przedstawiający głównie jego działalność na polu literackim, byłby niemało zajmującym.

---

## S P R O S T O W A N I E.

W rozprawie: *Filozofia Spinozy i dzisiejszy Panteizm* na str. 36 wiersz 8 od góry, zamiast *Abraham Cohen Trira* czytać należy *Irira*. Na str. 37 wiersz 2 od góry poprawić w ten sposób należy: *i wyraźne poznawanie za pomocą intuicyi, czyli bezpośredniego intuicyjnego rzeczy oglądania*. Na str. 55 wiersz 7 od góry, zamiast *niemniejszą*, czytać należy *niniejszą*.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca *Józef Berger.*

## DRUGA I CZWARTA CZĘŚĆ DZIADÓW.—GRAŻYNA.

(DRUGI I TRZECI ODCZYT HR. JARNOWSKIEGO).

### II.

Różne są drogi i dzieje kształcenia poetów.

Z początków Krasińskiego niktby był nie wróżył, że on wyrośnie kiedyś na autora *Nieboskiej komedji i Psalmów*; u Mickiewicza zaraz w początkach znajdują się choć nie w tym stopniu potęgi może, wszystkie pierwiastki jego wielkości, doskonałość *Tadeusza* i natchnienie improwizacyi: już on jest odrazu takim, jakim być ma. Rozwinie się, rozrośnie, ale się nie zmieni. Uczucie człowieka zmienia dwa razy przedmiot: Gustaw stanie się Konradem, później doszedłszy tam, gdzie już twórczość ludzka się kończy i wyżej pójść nie może, odrzuci ją, zrzuci ją z siebie jak dziecianną suknię, z której się wyrosło, będzie szukało bezpośredniego połączenia z Bogiem; ale twórczość poetycka, natura talentu, nie zmienia się ani razu. Podnosi się wyżej, chwilami spada, ale od pierwszej chwili ma już ten charakter, który zachowuje w swoich dziełach najwyższych. Dziwiono się nieraz tym nierównościom, temu jakoby nieregularnemu postępowi Mickiewicza, dziwiono się, że w jego dziełach nie można oznaczyć porządnego stopniowania doskonałości, że *Grażyna* artystycznie tak doskonała, idzie przed Wallenrodem, którego niektóre ustępy przewyższają ją natchnieniem, a który jako całość jest od niej niższy. Dziwiono się, że trzecia część *Dziadów* artystycznie najwięcej podległa krytyce, co do czasu graniczy z tą absolutną pięknnością, która się nazywa *Tadeuszem*. Przyzwyczailiśmy się u innych poetów i artystów, nawet największych, do pewnych zmian nie tylko sposobu tworzenia, ale samej natury talentu pod wpływem zewnętrznych przejść i zdarzeń życia; przyzwyczailiśmy się do tego, że dzieła poety dają się dzielić jak pokłady geologiczne, na takie epoki, z których każda ma swoją cechę, jeżeli nie swoją szkołę, i manierę. U Mickiewicza dzielimy łatwo na takie epoki wewnętrzne życie człowieka, ale nie kształcenie się jego poetycznego geniuszu, a ztąd wpadamy w pewne pomieszanie; nie wiemy jak go uchwycić i ułożyć i zdaje nam się, że w rozwoju téj twórczości, jest jakiś nieład, jakiś chód nielogiczny i nieprawidłowy. Otóż nie wiem, czy to, co się nam bezładem wydaje, nie jest poprostu skutkiem tego, że ten talent odrazu, od pierwszej chwili jest już gotowy, zupełny, uzbrojony we wszystkie swoje bronie jak Minerwa; w dalszym ciągu życia dobywa z siebie więcej siły ale już nie nabywa nic, a to co się nam zdaje niewytłómaczoną w nim fluktuacją, to jest tylko skutkiem tego, że raz jeden, drugi raz inny pierwiastek tego talentu bierze górę: w *Grażynie* wyobraźnia i refleksya, w *Wallenrodzie* i w *Dziadach* uczucie, dopóki wszystkie trzy nie

połączają się w równej mierze, w najdoskonalszej równowadze i harmonii w *Panu Tadeuszu*, który jest ostatniem i najwyższem słowem jego geniuszu. Jeszcze raz zdaje mi się, że na epoki i na warstwy dzielić można uczucia Mickiewicza, nie jego poetyczną twórczość.

A teraz zapytajmy, jakie jest właściwe piętno jego geniuszu, co go odróżnia od innych poetów? Trzy są rzeczy, które składają geniusz poetyczny, odpowiadające trzem pierwiastkom doskonałości: uczucie, które odpowiada dobru i powinno to dobre odbić, odtworzyć w poezyi; wyobraźnia, która pojmuje i odtwarza piękno, wreszcie myśl, rozum, który w poezyi i sztuce odpowiada prawdzie, i ma być jej przestregaczem, zastępcą, niejako reprezentantem. Od stopnia potęgi tych trzech pierwiastków i od ich harmonijnego połączenia, zawisł stopień wielkości, zawisł geniusz poety. Uczucie samo, choćby najwznioślejsze i najpotężniejsze, bez wyobraźni nie stworzy nic pięknego; co najwięcej samo siebie zdoła pięknie objawić, bez rozumu zabłąka się samo w sobie. Wyobraźnia, która, jak dobrze mówił Śniadecki, sama przez się nie żyje, ale wspiera się tylko uczuciem, myślą, pamięcią, żyje z innych władz duszy; bez hamulca i kierunku rozumu odbiegłaby od rzeczywistości i prawdy, roiłaby tylko jakieś mary bez kształtu i znaczenia, z rozumem bez uczucia zdobyłaby się co najwięcej na piękne kształty bez duszy i życia. Rozum wreszcie, myśl bez wyobraźni i uczucia, wydałaby może naukę, filozofią, ale nie poezją, nie sztukę, doszedłby do prawdy może, ale nigdy do piękności. Równość i harmonia między temi trzema władzami czy pierwiastkami geniuszu jest rzeczą najrzadszą na świecie. Dlaczego naprzykład, czcząc i wielbiąc Krasińskiego nie policzymy go pomiędzy największych poetów. Dlaczego gdybyśmy chcieli go postawić na równi z Mickiewiczem, znajdzie się zaraz jakiś głos wewnętrzny, który nas ostrzeże, że nie można? Czujemy instynktem, że tam czegoś brak, że nie wszystko jest tam takie, jak być powinno, a brak ten jest: że jeden z trzech pierwiastków, jest słabszy, mniej rozwinięty od dwóch drugich: tym niedostatecznym pierwiastkiem w talencie Krasińskiego, jest wyobraźnia. U Słowackiego znowu, dlaczego uczucia tak są niesforne i z sobą niezgodne, dlaczego postacie jedne nie trzymają się ziemi, inne nie trzymają się same siebie, są niewierne sobie, sprzeczne z sobą; dlaczego wyglądają nieraz jak jeden kształt ludzki złożony z części, z członków należących do kilku różnych ludzi: przecież tak jest i przez to znowu do największych poetów, do geniuszów go nie liczymy. A zkad to? Oto zkad, że myśl, refleksya, pierwiastek logiki i prawdy nie jest u niego tak silny i tak czynny jak fantazyja. To samo widoczne jest na poetach zagranicznych, nawet na największych: u Byrona, uczucie osobiste, czysto podmiotowe tak opanowało wszystkie inne władze, że wyobraźnia tylko te uczucia może odtwarzać, a rozum tego nie spostrzega; u Schillera stosunek jest bardzo szczęśliwy, bardzo blizki równości, jednak uczucie góruje nad wyobraźnią i nad refleksją. U Göthego, mówią niektórzy, rozum z wyobraźnią przytłumił uczucie, i to mówią głupcy, którzy nie umieją dostrzedz



uczucia tam, gdzie nie widzą sentymentalności i roztkliwienia. Kto stworzył *Fausta*, *Gretchen*, *Mignon*, ten musiał czuć więcej niż tysiące i krocie tysięcy ludzi razem. Tylko u Göthego uczucie nie lubi objawiać się wprost, samo przez się, ale w wyobraźni, niejako przez jej pośrednictwo; być może zresztą, że jak u Schillera górowała nad dwoma innymi władzami, tak tu zostaje cokolwiek poniżej tamtych. Bądź co bądź, kombinacja tych trzech pierwiastków stanowi o wielkości poetów i charakterze ich poezyi; ideałem poetycznego geniuszu byłby ten, któryby łączył wszystkie trzy i w ich najwyższej, jaka być może potędze, i wszystkie trzy w potędze równój.

U Mickiewicza stosunek ich był dziwnie rzadko szczęśliwy. Byli może poeci z fantazyą bujniejszą i rozmaitszą (Szekspir, Göthe, nawet Milton), z równie plastyczną było ich bardzo mało, tylko Grecy, Szekspir, Göthe. Byron, nawet Schiller, nie stworzyli nic tak żyjącego, tak plastycznego jak *Pan Tadeusz*. U Danta, u Szekspira i u Göthego, myśl była może potężniejszą, może obejmowała więcej i sięgała głębiej, może lepiej przenikała nawskroś naturę i duszę człowieka, ale nie wiem, czy u Mickiewicza nie trzymała lepiej fantazyi na wodzy, aniżeli u Danta, nawet nieraz u Szekspira; czy nie było z nim tak jak z Göthem, u którego refleksya połączona z wyobraźnią, sprawiała tę najtrafniejszą miarę, tę artystyczną doskonałość, tę skończoność, jakiej niema u Danta, jaką Szekspir miéwa tylko miejscami i czasami. Zresztą, jeżeli bierzemy myśl, rozsądek, za żywioł prawdy i miary w poezyi, to w każdym razie tego żywiołu jest u Mickiewicza w jego umyśle, w jego pomysłach, w jego postaciach więcej aniżeli w Byronie; i gdybyśmy chcieli wziąć za najwyższy filozoficzny pomysł Byrona, *Manfreda* naprzykład, to bez uprzedzenia pomysł *Konrada* jest większy i prawdziwszy, nie mówiąc już o tém, że jest moralnie wyższy, szlachetniejszy.

Co do uczucia, to istotnie zdaje się przeważać u Mickiewicza. Wszystko jest niém przejęte, przesiąknięte, nawet *Pan Tadeusz*, najbardziej obiektywny z jego utworów, ten, w którym osobistość autora nie występuje zgoła, nawet tam widoczne jest, że poeta widzi ten świat, który maluje przez pryzmat uczucia. Ale uczucie to nie szkodzi prawdzie i plastyczności postaci. Nie jest to jak u Byrona owo nieposkromione uczucie osobiste, które się wybija, jak cecha na każdym pomysle poety, które się wdziera w każdą jego postać i sprawia, że w końcu nie można rozpoznać, gdzie się kończy Byron, a gdzie zaczyna *Korsarz* lub *Manfred*. U Mickiewicza raz tylko i to z zupełną świadomością rzeczy z umysłu, bohater poematu identyfikuje się z poetą. Zresztą wszystkie jego postacie nie mają nic z niego, mają własną duszę niepodobną w niczém do duszy poety, a pierwiastek uczuciowy, który w nich jest, zamiast zaciérać ich właściwe rysy, zdobi je tylko, jest w nich o tyle, że znać po nich, iż były poczęte w miłości wielkiej tego świata, do którego należą, poeta widział nie siebie w pomysłach i postaciach, ale te postacie jak one są; tylko widział je w idealnym świetle uczucia, kochał je, kochał świat, które one składały, i dlatego ten pierwiastek liryczny

nietylko nie zniża wartości artystycznej *Pana Tadeusza*, ale ją owszem podnosi, bo nie szkodząc nic prawdziwie i wyrazistości figur, nadaje im taki wdzięk, że one nietylko działają na wyobraźnię, nietylko w nią się wpajają, ale trafiają i przemawiają do serca. Tak jak w dobrym obrazie niewidać słońca, a przecież wszystko jest tём słońcem oświecone, ogrzane, nawskroś przeniknione, tak tu wszystko jest ożywione, ozłoczone, przejęte uczuciem, którego nie widać. I gdyby można wyjąć, wypompować z *Pana Tadeusza* ten pierwiastek liryczny, to on nie stałby się przez to plastyczniejszym jak jest, ale zimniejszy byłby; takiego uroku, takiego wrażenia jużby nie wywierał. Dowód mamy na innym poemacie Mickiewicza, jedynym, w którym tego pierwiastku lirycznego niéma, na *Grażynie*, której niezaprzeczona i niezrównana doskonałość artystyczna nie pomaga na to, że ten poemat po *Tadeuszu* najdoskonalszy, przecież ze wszystkich Mickiewicza robi najmniej wrażenia, jest najobjętniejszy. Uderzający wybitny charakter uczucia u Mickiewicza jest ten, że ono jest bezosobiste, że on sam nie jest jego przedmiotem i może dlatego widoczne jest w nim takie stopniowanie, taki postęp do coraz wyższej piękności. Najosobistszém, najbardziej związanym z nim samym i z jego szczęściem, jest to, które się odezwało pierwsze, miłość pierwszej kochanki; potem wychodzi ono z siebie, wyzuwa się ze wszystkiego co indywidualne i własne, staje się zbiorowém uczuciem miłości, przechodzi całe w miłość powszechną, dla siebie już z niego nie zostaje nic. Później tego przedmiotu już nie trawi, nie zmienia go, ale stara się pojąć go i kochać wyższym, doskonalszym sposobem, chce się otrząść i wyrwać ze wszystkiego co ziemskie, kochać tylko Boga, absolutne dobro i w tём i przez to kochać to, co jest dobrego na ziemi. I tak, jak w pierwszej młodości wyszedł ze sfery uczuć osobistych, w wyższą sferę uczucia zbiorowego, tak w epoce ostatniej, w tój, w której jego czynność poetyczna już była skończoną, rozszerza się znowu zakres tych uczuć i obejmuje nie już jeden naród swój, ale ludzkość połączoną w miłości prawdy, sprawiedliwości Boga w jakimś idealnym braterstwie, które stało się jedną z podstaw doktryny, w której jego myśl nieraz błędziła, ale uczucie zawsze wniosłem i szlachetnym zostało. W tój ostatniej epoce jego żywota czynność poetycka już się skończyła, niéma więc mowy o poetycznym natchnieniu, próżno byłoby chcieć dochodzić, do jakiej potęgi byłoby się ono wzniosło, gdyby był poetycznie tworzył. W dwóch pierwszych wzbija się jego uczucie do takiej potęgi, do jakiej najwięksi poeci świata rzadko kiedy dosięgli; w pierwszym okresie uczucie jeszcze osobiste, uczucie miłości, dochodzi do najwyższego natchnienia w Gustawie—świadomość siebie, poczucie własnego geniuszu, znajduje swój wyraz najwspanialszy w *Farysie*, a zwłaszcza wznosi się do potęgi nadludzkiej na przejściu właśnie z niższej sfery uczuć własnych do wyższych uczuć zbiorowych: w *Improwizacji*, uczucie patryotyczne dochodzi swego szczytu, w *Pieśni Wajdeloty* i w niektórych ustępach *Tadeusza*. W *Grażynie* znowu, w ostatnim ustępie *Dziadów*, przeważa pierwiastek wyobraźni kierowa-



nej refleksją, pierwiastek artystyczny. W *Tadeuszu* łączą się wszystkie trzy w równą mierze i w najdoskonalszej harmonii i składają się na arcydzieło Mickiewicza, na jedno z wielkich arcydzieł świata. A przez ten szczęśliwy stosunek trzech pierwiastków poetycznego tworzenia był Mickiewicz tym najdoskonalszym, pierwszym, wyższym nad zmiany czasów, smaków i cywilizacji nieśmiertelnym poetą swego narodu, był on głowa, ojciec poezji romantycznej, klasykiem w całym znaczeniu słowa, jedynym klasykiem u nas w Polsce, klasykiem jak Grecy i jak Göthe.

Trudno jest wyobrazić sobie Mickiewicza jakim był, zanim objawił się w poezji, wyobrazić go sobie w tej epoce pierwszej młodości, kiedy dusza dziecka rozrastała się i potężniała w duszę mistrza i wiejszcza. O Krasińskim, Słowackim, Byronie, Schillerze i Göthem, wiemy dobrze jakie nasiona geniuszu każdy z nich przyniósł z sobą i pod jakimi wpływami z tych nasion rozwijała się i dojrzewała późniejsza natura człowieka i literata. Mickiewicz z nich wszystkich sercem najprostszy, najmniej osobisty, nie zbierał nigdy materiałów dla swego przyszłego historyka, a w dziełach swoich raz jeden tylko umieścił siebie samego i to z zamiarem i wiedzą. Nerwową, chorobliwą naturę Słowackiego, jego nieograniczoną miłość własną znamy od dzieciństwa, widzimy ją jak rośnie; rezultat łatwo nam odnieść do najdalszej przyczyny. Krasińskiego znamy także dzieckiem rojącem różne fantastyczne, dziwaczne kształty i mary, i znamy chwilę, w której wielki ból z tych rojeń bezładnych, wyprowadza poezją. Jakim był Mickiewicz przed rokiem 1822, jakie były epoki i fazy jego duszy, zanim ona stała się taką, jaką się pokazała w pierwszych poezjach, nie wiemy. Jedynym śladem, jedynym jego podobieństwem z tego czasu, zdaje się być Gustaw, ale Gustaw nie w czwartej, tylko w pierwszej części *Dziadów* (fragment ogłoszony w paryżkim wydaniu), ten Gustaw swobodnie śpiewający pieśń strzelecką, goniący Muzę na łowach, lubiący trud i naturę, Gustaw jeszcze szczęśliwy i swobodny, ale już gotowy i pytający, czemu nie jest jak drudzy, sam nie rozumiejący:

Leż pustych, które nie wiem zkąd się w oczach świecą,  
Westchnień bez celu, które nie wiem dokąd lecą;  
Nie do sąsiadek pewnie, na wiatry, na gaje  
Ku marzeniom:

Tu westchnienia, które lecą w powietrze, one widocznie już tylko czekają przedmiotu, do któregoby się kierowały; już ten Gustaw tak tęskni za drugim sercem i uczuciem, że go czuje koło siebie choć go niema.

Zawsze mi się zdaje,  
Że ktoś lży moje widzi i słyzy westchnienia  
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia.

Wiedząc, że *Dziady* są poematem osobistym, że przetworzenie Gustawa w Konrada jest historią, można wniesć, że Mickiewicz przed



swoją miłością musiał być takim, jakim ten Gustaw. Jeszcze w spokoju, szczęśliwy przyjaźnią i poezją, ale już przeczuwający, że mu to niedługo wystarczy; jeszcze dusza nie czynna i jeszcze niezupełnie rozwinięta, ale już pragnąca tego rozwinięcia, pragnąca się poznać w jakimś uczuciu wszechwładnym i wszystko ogarniającym; musiał być tak, jak Adam Michała Anioła, Adam w chwili stworzenia, po którym znać, że są w nim zawarte wszystkie ludzkie myśli i uczucia, że co tylko ludzkość wielkiego uczuje, pojmie, pocznie, zrobi to, *w możliwości* zawarte jest jak w ziarnie w tój nadludzko pięknej formie ojca ludzkiego rodu; ale on sam jeszcze nie żyje, jeszcze o sobie nie wie; instynktowo tylko, pod wpływem wyższej woli podnosi rękę, przez którą wpłynie w niego życie za dotknięciem palca Bożego. Tak u Mickiewicza przed potrąceniem jego duszy przez miłość, już w pierwszej epoce musiało *w możliwości* być wszystko, co składało jego geniusz tylko bezwiednie.

Dzieje się zwykle, że talent lub geniusz, już gotowy, wykształcony, żeby się objawił na zewnątrz, żeby tworzyć, potrzebuje potrącenia od zewnętrznych okoliczności. Adam Michała Anioła ma już w sobie wszystkie siły i zdolności ducha i ciała, ale ich nie czuje, nie zna, nie używa, leży jak senny, dopóki go palec Boży nie dotknie. Takiem potrąceniem geniuszu z zewnątrz dla Mickiewicza, była miłość. Przed nią był to ten Gustaw szczęśliwy przyjaźnią, swobodny, tęskniący tylko za czémś; sam nie wiedział za czém, którego widzimy w pierwszej części Dziadów: przyszła miłość i zrobiła z niego Gustawa części czwartej.

Jaką była kobieta, która miała ten dar fatalny, że go zrobiła nie szczęśliwym i poetą, i jaka była rzeczywista historia tój miłości? Czy była to miłość wyjawiona, wyznana, podzielona i poprzysiężona wyznaniem wzajemnym? czy była wzajemność, nadzieja, obietnica dana a potem złamana, a więc z przeniecierzeniem? czy tylko uczucie z jednej strony zdradzające się, a nie wyznane, z drugiej dostrzeżone i milczkiem przyjęte (obowiązek bez zobowiązania), czy też z jego strony miłość głęboko w sercu tajona, której druga strona nie przeczuła, kiedy on, ufny w sympatyą dusz, myślał że ją przeczuć i podzielić była powinna? tego nie wiemy naprawdę, wiedzieć nie potrzebujemy. Z jednego ustępu *Dziadów*, gdyby już koniecznie chcieć dochodzić, zdawałoby się, że to ostatnie przypuszczenie ma za sobą najwięcej prawdopodobieństwa, gdybyśmy nie wiedzieli z korespondencji Mickiewicza i jego przyjaciół, że było wyznanie. Ale mniejsza o to. Młodzieniec kochał, ta którą kochał poszła za innego, a czy to była zdrada czy obojętność, czy niewiadomość, skutek był ten sam: rozpacz, cierpienie bez granic, życie skończone. Równie obojętną jest dla nas i osobistość tój kobiety; w takich razach nie chodzi nigdy o kobietę, jaka ona była, tylko o to co sprawiła, jaki skutek wywarła ta przyczyna. Tój nie znamy: kobieta w żałobie z *Dziadów* nie daje o nią żadnego wyobrażenia. Współcześni świadkowie tych czasów, przyjaciele Mickiewicza, zachowują dla niej pewien

rodzaj pobłażliwej obojętności: nie oskarżają o zdradę ani o brak odwagi, ani o poświęcenie uczucia i kochanka dla ludzkich widoków, majątku i t. p.; sądzą, że poszła za męża nie z musu ani wyrachowania, ale prosto z przywiązania za człowieka, który ze wszech miar miał na nie zasługiwać i od niej ze wszech miar być wyższym. Jego opisują znajomi, jako człowieka wielkiej wartości i wielkiego wdzięku, ją jako istotę dość zwyczajną, jako twarzyczkę ładną, ale nie bardzo, dość pospolitą i nieznaczącą, jako inteligencją mierną, jako serduszko dobre, spokojne, nie zdolne uczuć bardzo silnych, bądź to w dobrém, bądź w złem, mówią o niej jednym słowem „taka panna jak wszystkie;” dodają tylko że miała wyobraźnię nieco rozmarzoną, nieco sentymentalną i że lubiła zatapiać się w smutnych romansach, zwłaszcza w sławnej *Waleryi* pani Krüdner. To wszystko kazałoby mniemać, że była to istota dość zwyczajna, prawie tuzinkowa, ale cóż to ma do rzeczy? Ta, która dla wszystkich jest „taka jak wszystkie panny” dla jednego będzie jedyną na świecie, będzie więcej jak reszta świata, a jakkolwiek była ona przyczyna, to skutek będzie jeden; tego jednego wzniesie w niebo, albo mu złamie serce i życie. Jaką była ta, co to zrobiła z Mickiewiczem, to obojętna; mogła być taką jak wszystkie panny, dość że jego zrobiła większym od wszystkich mężczyzn. Jednak w poezyi jego zachował się jój szkic, który stwierdza nie złe owe ustne podania o sentymentalności i rozmarzeniu. Jest to pomiędzy fragmentami *Dziadów*, dziewczyna z pierwszej sceny pierwszej części, późniejsza „kobięta w żałobie.” Tak jak Gustaw goni Muzę po lasach i za czémś tęskni, tak ona w swoim pokoiku czyta po nocach romanse i tęskni także. Jeszcze się nie widzieli, nie znają, ale każde z osobna już przeczuwa drugie, już za nim tęskni:

Dwa serca pałające na dwóch krańcach ziemi  
Rozmawiają jak gwiazdy promiećmi drzącemi.

Cóż będzie jak się spotkają?

Co będzie z Gustawem, wiemy: co z dziewczyną? wiemy tylko, że z tajonym wyrzutem sumienia przychodzić będzie na *Dziady*, żeby ujrzeć jego ducha, ale zblizka już się ona nie pokaże; widzimy ją ten jeden raz, schyloną nad romansem przy dogasającej świecy, zazdroszczącą bohaterce, że ją „ubóstwiał kochanek”

O którym inna całe życie marzy;

skarżącą się, że jój serca nikt nie rozumie, a jednak „Stwórca dał jój to serce, choć w codziennym tłumie

Nikt go poznać nie może, bo nikt nie rozumie;  
Jest i musi być kędyś, choć na końcach świata  
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi wzlata.

i dalej:

O! gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,  
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry i t. d.



Z tych słów można wnosić, że podanie o rozmarzeniu sentymentalności Maryli jest prawdą, a powtórę, że początkiem stosunku było obustronne pragnienie i przecucie miłości. Jakie było spotkanie, czy w tém spotkaniu dziewczyna poznała w nim przedmiot swoich marzeń, tak jak on w nią; czy sobie to wzajemne o sobie marzenie i przecucie wyznali, tego nie wiemy: dalszego ciągu tej części *Dziadów* niema i widzimy ich dopiero po zerwaniu, jego jako Gustawa, ją jako kobietę w żałobie.

Warto jeszcze wspomnieć i o romansie, który Maryla czyta; romansem tym jest *Walerya* pani Krüdner, a ten romans grał pewną rolę i w romansie Mickiewicza.

Wyobraźmy sobie *Werthera* napisanego bez geniuszu Götthego i przemienionego w arystokratyczny świat ministrów i ambasadorów. *Walerya* jest żoną posła szwedzkiego przy Rzeczypospolitej weneckiej. *Werther* jest *attaché*. Albert jest ambasadorem a przytem najlepszym przyjacielem Gustawa, i jako znacznie starszy, jego opiekunem. Cały romans schodzi na tém, że Gustaw wyrzuca sobie miłość do Waleryi jak zdradę, choć doprawdy uczciwość jego dochodzi do heroizmu, bo nigdy nawet Waleryi uczuć swoich nie wyznaje, ona ich nie podziela, kocha męża, długo się nawet nie domyśla; widząc Gustawa nieszczęśliwego, zapytuje o przyczynę i przestaje na tej, którą podał, że kocha jakąś kobietę w Szwecyi; raz przecież, kiedy Gustaw w ciągu rozmowy padł przed nią na kolana i zemdłał, zaczęła się domyślać prawdy. Gustaw się oddała, kryje się w jakimś odludném miejscu w Apeninach, ale w listach do swego przyjaciela Ernesta (w Szwecyi) wyznaje, że z tej miłości umiera. Ernest donosi o wszystkim hrabiemu. Wspaniałomyślny Albert spieszy pocieszać i ratować *Werthera*, uspakaja go, pociesza; uratować nie może: Gustaw w parę dni później umiera. Taka jest treść romansu, który był ulubionym romansem Mickiewicza w młodości, który czyta dziewczyna w pierwszej scenie *Dziadów*, który on czytał z Marylą i rozpamiętywał w długich z nią rozmowach i na którego pamiętkę bohaterowi swego poematu, sobie samemu, dał imię Gustawa.

Gustaw z *Dziadów* jest jednym z tych chorobliwych bohaterów, z tych ofiar miłości, w które obfitowała ta epoka, a których ojcem i typem jest *Werther*. Było coś przeciwnego zdrowej i prostej naturze w tém uczuciu. Naturalnym popędem człowieka jest zawsze opór przeciwko cierpieniu, z natury człowiek nie chce cierpieć, tylko chce nie cierpieć, zatem w nieszczęsnej miłości jak we wszystkim inném wrodzony instynkt człowieka jest, wydobyć się z uczucia, które sprawia cierpienie. Instynkt ten nawet w organizmach najzdrowszych, nawet z pomocą woli i rozumu, nie zawsze bierze górę nad miłością a prawie nigdy prędko; ale w owym czasie oni z umysłu systematycznie ten instynkt tłumili i zabijali, wola nie chciała go wspomagać, wyrabiała w sobie stan sztuczny i przeciwny naturze, rozkochania się w tém miłosnym cierpieniu, a z przeciaganiem się tego stanu dochodzili do tego,



że kochali nie już tę kobietę, nie samo uczucie miłości, ale swoje cierpienie; nowa i pierwszy raz na świecie widziana forma kochania siebie: kochali siebie w miłosnej męczarni, tak jak człowiek kocha siebie w rozkoszy i szczęściu. We fragmencie pierwszej części Dziadów jest dość nie zrozumiała ballada o zaczarowanym młodzieńcu (*Poraju*), który przez całe wieki wpatruje się w zwierciadło i co chwila po trochu więcej kamienieje. Twardowski chce z niego zdjąć ten czar i wrócić mu życie, ale młodzieniec woli swoje zwierciadło: wziął je w rękę, przysunął, pocałował i cały stał się kamieniem.

Chcąc dochodzić znaczenia tej allegoryi, trzeba się zatrzymać nad domysłem, że Poraj patrząc w zwierciadło, we własne serce i jego męczarnie, kamienieje, obumiera dla świata i dla wszystkich innych uczuć, ale woli skamienieć zupełnie, jak oderwać wzrok od tego widoku, jak oderwać się od uczucia, od cierpienia, które go zabija; a zważywszy, że w Dziadach jest bardzo wiele rzeczywistej historii, że tego skamieniałego młodzieńca nazywa w sposób dość przezroczyście, od swego herbu Porajem, trzeba przypuścić, że to uczucie chorobliwe jest nie tylko uczuciem fikcyjnego bohatera poematu Gustawa, ale że takie było i uczucie rzeczywistego Mickiewicza. Który z poetów lub z bohaterów poetycznych lub romansowych owego czasu wpłynął najwięcej na taki u niego kierunek uczucia? Pośrednio oczywiście Werther, który był ojcem wszystkich innych, ale bezpośrednio jak świadczą współcześni, działał na jego wyobraźnię najwięcej Gustaw pani Krüdner.

Że *Dziady* powstały bez planu, to jest aż nadto widocznem. Dowodzi tego sam wielki przedział czasu pomiędzy częścią drugą, a czwartą, a trzecią: dowodzi ta znaczna liczba ułamek ogłoszonych dopiero po śmierci autora, i dowodzi ten niedostateczny, poprostu przewrócony porządek w następstwie części po sobie. Planu być nie mogło, kiedy pisał część drugą i czwartą (Mickiewicz sam nie przeczuwał części trzeciej ani jej bohatera). Przyjąć więc trzeba za pewne, że część druga i czwarta powstały jedynie pod wpływem osobistego uczucia nieszczęśliwej miłości, że były tylko prostym wybuchem tego uczucia, które mu rozsadało serce i musiało wydobyć się na zewnątrz.

Treść jest czysto z osobistego uczucia, z tego co sam doznał i przeżył. Wszystkie uczucia Gustawa są jego uczuciami, stosunek do kobiety w żałobie, jego stosunkiem do Maryli. Ale prócz tego co jest więcej w Dziadach? jakie wpływy są tam widoczne? co utworzyło ich formę?

Odpowiedź prosta. Że są *Dziadami*, że są przybrane w formę, w dekoracyą ludowego mniemania i obrzędu, to jest wpływ i skutek poezyi romantycznej, która szukała odrodzenia w poezyi gminnej, w wyobrażeniach i uczuciach ludu, która tam chciała znaleźć bajeczne źródło młodości, odmłodzić się w prostocie i w nietkniętej prawdzie uczuć ludzkich i rodzimych polskich. Czy poezya romantyczna obrała właściwą drogę po temu, kiedy z wyobrażeń i przesądów ludu brała żywcem duchy i upiory i te fantastyczne kreacje, czy rzecz ich wyma-

gała i czy usprawiedliwiła, czy nie przenosiła do poezji artystycznej, do poezji ludzi oświeconych którzy w nie wierzyć nie mogli? to rzecz inna. Lepiej może było z uczuć i wyobrażeń ludu brać to co jest ogólne, ludzkie, co się zmienić nie może, a nie to, co przypadkowe i co raz wyrzucone z poczucia ogółu, wrócić do niego nie może. Ale było rzeczą aż nadto naturalną, nieuniknioną, że poeta wierzący w odmłodnienie poezji przez infiltracją pierwiastków rodzimych, naczelnik tego poetycznego wyznania, a do tego jeszcze bardzo młody, uważał za dobre i dla jego celu skuteczne wszystko, co znajdował w tych rodzimych utworach fantazyi lub uczucia ludu. Ztąd więc mamy tę obrzędową i dekoracyjną stronę Dziadów, te gusta, ewokacje duchów i ich zjawienia, a samo tło, obrzęd Dziadów, nadawało się do jego zamiarów tém lepiej, że sam uważał się za nieżyjącego na świecie, za upiora; zatem w tym obrzędzie mógł wyrazić i to uczucie swojego niebytu na świecie i te wszystkie, których doznał będąc jeszcze na świecie, a które pamięta.

Dla tego obrząd Dziadów, dla tego guślarze i widma, dla tego te fantastyczno-ludowe przybory i ozdoby, ten koloryt poematu. Jego rysunek zaś, jego budowa, szkielet, jego układ, jako dramatu fantastycznego, ten znowu wzięty jest z poezji romantycznej zagranicznej.

Zkąd się wziął dramat fantastyczny w poezji europejskiej, jaki był powód jego bytu? Wziął się ztąd, że Göthe napisał Fausta, a napisał go jako dramat fantastyczny, nie dla tego iżby był szukał formy nowej i fantastycznej, a fantastyczność pojmował jako wprowadzenie dyabłów, duchów i czarownic, ale dla tego, że swego pomysłu w dramat zwyczajny zamknąć nie mógł. Z dwóch znanych sposobów przedstawienia czynu lub czynów w poezji (a zapewne trzeciego nie wymyślił nikt) przez opowiadanie, albo téż wprost, przez rozmowę i działanie; pierwszego sposobu epickiego Göthe, do Fausta użyć nie mógł, bo istotą i treścią poematu w jego zamiarze miały być kolejne przeobrażenia ducha, które nie mogły objawić się inaczej jak przez walki i przemiany myśli, a te opisowo traktować się nie dadzą; z pierwszych monologów Fausta nikt nie zrobił jednej pieśni poematu epickiego. Musiał zatem Faust być poematem dyalogowym, dramatycznym. Zaś w zwykłą formę dramatu ująć się nie dał, bo to wymagał takiej jedności sprawy dramatycznej, której całość dałaby się rozwinąć i ukończyć w zwykłych materyalnych rozmiarach dramatu. Pomysł Fausta przekraczał niezmiernie te rozmiary nietylko przez to, że jest tak obszerny, ale i przez to, że jest tak różny, że w jego rozwoju przedmiot, sprawa, zmienia się kilka razy. W samej pierwszej części możnaby rozróżnić dwa dramata osobne i skończone, dwóch Faustów: pierwszy do chwili odmłodzenia, Faust który całe życie poświęcił dla jednej myśli, dla wiedzy, a zawiedziony, zwątpiały, zaczyna czuć w sobie wszystkie te popędy do używania życia, które w sobie zabijał; potem historya Małgorzaty. W części drugiej takich zmian zupełnych, takich spraw odrębnych (choć są z sobą połączone) jest nierównie więcej, i dlatego Faust nie mógł się



zmieścić w ramy zwykłego dramatu, dlatego Göthe dał mu tę formę dowolną, którą romantyczność nazwała dramatem fantastycznym.

A dlatego, że była tak dowolną, że żadnych reguł i przepisów nie znała ani uznawała, dlatego w tych czasach reakcyi przeciw pedantycznej estetyce francuzkiej, rzucili się poeci do dramatu fantastycznego, czy go ich pomysł [usprawiedliwił i potrzebował, czy nie. Dramat fantastyczny pojmowano nie jako formę konieczną dla pomysłów wielkich rozmiarów, które w zwykłym obrębie zmieścić się nie mogły, ale jako nową formę, która się tém zalecała, że dopuszczała, owszem wymagała tego co dotąd było owocem zakazanym: widm, duchów, upiórów i t. p. przyborów, w których źle zrozumiana romantyczność zakładała swoje chwałę i swoje istotę. Byron rozpowszechnił dramat fantastyczny i wprowadził go w modę. W *Kainie* innéj formy użyć nie mógł, a téj użył świetnie; ale *Manfred*, Manfred który się stał typem dramatów fantastycznych późniejszej romantyczności? Zapewne jest fantastyczny; duchów, widm w nim nie brak. Tylko kiedy w *Fauście*, duchy ile razy się zjawiają, mówią rzeczy złe lub dobre, ale takie których Faust sam myśleć i powiedzieć nie mógł, do Manfreda przychodzą duchy na to, żeby mu powiedzieć to, co on sam myśli. Te wszystkie duchy, to jest ten sam Manfred, zawsze ten sam Byron pod inną postacią. W *Fauście* we wszystkich co mówi czy Mefisto, czy duch ziemi, czy ten zły duch, który szepcze do Gretchen podczas nabożeństwa, wszystko jest mądre, wszystko jest potrzebne, we wszystkim przy najtrzeźwieszém zastanowieniu widzi się zawsze myśl. Duchy w *Manfredzie* mówią rzeczy, które na pierwszy rzut oka olśniewają wyobraźnię, ale wzięwszy je pod chłodną rozagę, widzi się wyraźnie, że pod ich tajemniczymi słowami myśli nie ma, albo jest tylko powtórzenie téj, którąśmy przed chwilą słyszeli od Manfreda, tak że w końcu trzeba się zapytać po co tu te duchy, chyba po to, że są w *Fauście* i że Manfred miał być jego drugą, poprawną edycją. Romantyczność późniejsza tak nadużyła i formy dramatu fantastycznego i wszystkich jego sztuczek, widm, upiórów, dyabłów i t. d. a używała ich tak niezręcznie, tak niepotrzebnie i bez myśli, tak wcielała w potworne, nadnaturalne postacie, potworne pomysły filozoficzne, polityczne, historyzoficzne, że niebawem doszedłszy do karykatury, zdyskredytowała ten rodzaj, zrobiła go śmiesznym. Ale w r. 1820 uprawiany przez Byrona, uświęcony jego powagą, przyjęty i podziwiany on był z zapamiętaniem przez całą Europę, a młodemu poecie, który szukał formy dla swoich pomysłów, ta naturalnie nasuwała się pierwsza.

Wziął więc Mickiewicz od Götheo i Byrona dramat fantastyczny, jako formę dla swego poematu, za tło wziął litewski ludowy obrząd zaduszny, za treść swoje własne uczucia i doświadczenia i napisał drugą i czwartą część *Dziadów*.

Ale do jakiego stopnia *Dziady* są dramatem fantastycznym? Jeżeli w tém znaczeniu, że nie regularnym, nie prawidłowo zawiązanym, rozwiązanym, zaokrąglonym, to zapewne. Ale jeżeli weźmiemy fanta-



styczność w znaczeniu wpływu jakichś istot z drugiego świata na istoty i wypadki świata naszego, to wtedy okaże się, że one są bardzo mało fantastyczne.

Rzeczą główną w Dziadach jest część czwarta i trzecia, Gustaw, i jego przemienienie w Konrada: wszystko inne, to są dodatki, przybory, dekoracje, których mogło nie być, a rzecz przez to nie zmieniłaby się wcale. W Gustawie zaś i w Konradzie jest najrzeczywistsza historyczna prawda indywidualnych dziejów jednej duszy, ale nadnaturalnego nie ma nic wcale, a przynajmniej nie ma potrzeby nadnaturalności. Wprawdzie na pierwszy rzut oka, dopóki się sądzi, że poeta wprowadza Gustawa jako prawdziwego upiora i za takiego go ma, możnaby sądzić inaczej; ale raz doszedłszy do niechybnego przekonania, że to jest człowiek żyjący, który tylko uważa się za upiora, bo „serce zamarło, piers już lodowata,“ bo „choć na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata,“ nie można w nim widzieć nic nadnaturalnego, nic fantastycznego. W części zaś trzeciej występują wprawdzie anioły i szatany, ale czy są konieczne? czy ksiądz Piotr i Ewa nie mogli mieć widzenia tego samego bez tej widocznej interwencji aniołów? nie wiem. Co więcej, szatan pychy, który opętał Konrada, który go prowadzi do tego zuchwałego wyzwania Boga w Improwizacji i którego potem ksiądz Piotr wyrzuca, mógł być, mógł natchnąć Konradowi te same słowa buntu i wyzwania a nie być tym dyabłem osobistym, indywidualnym, który potem przemawia różnemi językami. Improwizacja i uspokojenie, nawrócenie Konrada przez księdza, mogły się tak samo odbyć bez niego. Ztąd wniosek, że cały ten pierwiastek nadnaturalny i fantastyczny w Dziadach jest dodatkowym, niekoniecznym, pływa po wierzchu, istoty rzeczy nie zmienia, ani na nią nie wpływa i dałby się od niej oddzielić zupełnie, a ona zostałaby mimo to taką, jaką jest. Forma dialogu, forma dramatyczna, była dla Mickiewicza konieczną, w żadnej innej nie byłby mógł tak oddać tego, co oddać chciał; ale pierwiastek nadnaturalny i fantastyczny, koniecznym nie był, był tylko może hołdem oddanym panującemu zwyczajowi: dramatem fantastycznym, w ścisłym znaczeniu tego słowa, Dziady nie są.

Gdyby pierwsza część „Dziadów“ była czémś więcej jak zbiorem fragmentów, mielibyśmy w niej zapewne oprócz szkicu Gustawa i Maryli przed poznaniem, obraz tego poznania i stosunku ich aż do chwili zerwania. Część druga odbywa się już po spełnioném nieszczęściu, już Gustaw jest upiorem, nie upiorem prawdziwym w pojęciu ludowém, nieboszczykiem, tułającym się po tym świecie, ale upiorem przez to, że serce zamarło i piers już lodowata; jest umarłym, bo choć na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata, jest upiorem moralnie, jego dusza nie żyje, jego serce jest zabite, jego zdolność, jego nadzieje, jego zapały, jego szczęście są skończone: dlatego sam sobie wydaje się umarłym, a tak jak upiór gminnych podań błąka się po świecie, na którym żył niegdyś, tak on, choć serce zamarło, żyje i błądzi tylko

po krainie tego samego uczucia; z wszystkich władz duszy została tylko pamięć dawnych czasów i dawnego uczucia:

Gwiazda pamięci promyków użycza,  
Umarły wraca na młodości kraje  
Szukać lubego oblicza.

Poeta wyobraża sobie cały ten utwór jako widmo przeszłości, które wstało z grobu, żeby się jeszcze raz pokazać téj niewiernéj czy niewdzięcznéj kochance:

„Daruj małą winę,  
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić:  
Mara przeszłości, na jedną godzinę  
Obecne szczęście zakłócić.  
I może raczysz cierpliwie do końca,  
Grobowej dosłuchać mowy.”

Te słowa, gdyby dowodu było potrzeba, byłyby dowodem jak poemat jest osobisty, stwierdzają to te przypomnienia przeszłości: „śmieli się niedyś przyjaciele moi:

Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;  
Starszy ramieniem ścisła i obchodzi,  
Lub mądrą nudzi mnie radą:  
Choć i sam może nie lepszy od drugich,  
Sambym się gorszył zbytecznym zapalen,  
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

Tego doświadczył w czasie swojej miłości: jéj wspomnienie, jéj obraz może dozna podobnego losu:

Jedni mnie będą egzorcyzmem chłostać,  
Drudzy uciekną zdziwieni.  
Ten dumą śmiesz, ten litością nudzi,  
Iny szyderskie oczy zechce krzywić,  
Do jednéj idąc, za cóż tyle ludzi  
Muszę obrażać lub dziwić.

Widoczne jest w tych słowach uczucie, że poemat pisany jest dla jednéj i jéj tylko przystępny, a widoczna także może i obawa poety, że jego utwór spotka się z naganą, z szyderstwem; mniejsza o to, byle ona ze łąką w oku spojrziała na tę pamiątkę przeszłości: „tylko, o luba, tylko ty z upiorem powitaj się po dawnemu,“ ty przebacz, że on powraca, że tę przeszłość stawia ci przed oczy i mąci twój spokój jéj wspomnieniem. Cały ten ustęp, ta przedmowa do *Dziadów* ostrzega i tłó-

maczy naprzód, że upiór jest żywym człowiekiem, umarłym tylko na sercu, a powtóre, że poemat jest odbiciem osobistych przeżyć, uczuć i wrażeń. Cała część druga jest właściwie wstępem, przygotowaniem; właściwa treść zaczyna się dopiero w samym jej końcu, ze zjawieniem się upiора milczącego, a rozwija się i wyjaśnia dalej. Sama przez się ta część byłaby niezupełną, niedokończoną, niezrozumiałą; pierwsze widma możnaby wziąć poprostu za obraz obrzędu *Dziadów*, ale ostatnie, ten duch z krwawą raną na piersiach, który wpatruje się w pasterkę, wzdycha i milczy, ta pasterka, która go poznaje, to jest oczywiście jakiś stosunek niewytłómaczony, jakiś początek bez końca.

Wszystko zaś co poprzedza zjawienie się ostatniego widma, dwoje dzieci, pasterka z barankiem, zmarły pan otoczony gromadą drapieżnych ptaków, owszem sam obrzęd, cmentarz, kaplica, guślarz, sławne, tyle razy powtórzone *cicho wszędzie*, wszystko to jest tylko przygotowaniem, tłem, dekoracją, na której dopiero zarysować się ma prawdziwa scena, scena pomiędzy widmem a pasterką w żałobie; widma poprzednie ułatwiają tylko wstęp główniejszej roli.

Takie jest znaczenie tej części w całości poematu. Gdyby zaś zapytać, jaka jest jej wartość bezwzględna, to w odpowiedzi trzeba by wyznać, że jest w porównaniu do dalszych części *Dziadów* niestosunkowo niższa. Piękności są: najpiękniejsze może są te oznajmienia praw tamtego świata „Bożego rozkazu,” które każde widmo zostawia znikając: „kto na ziemi nie był ni razu, ten odrazu, nie będzie w niebie i t. d.,” z których każde zawiera myśl bardzo piękną. Na całości jednak znać trochę, że nie powstała sama, ale była wymyślona dla tego, iżby przygotować wyjście na scenę upiора. Wszystko jest wymyślone dobrze, na tym obrzędzie ludowym zjawiać się mogą tylko widma z wiejskiego świata, wiejska dziewczyna, zły pan, dwoje drobnych dzieci, wszystko to jest na swoim miejscu: są to widma, które na swoich widzów mogły działać, które były blizkie ich wyobraźni i ich uczucia.

Pomysł dziewczyny pokutującej zato, „że żyła dla świata, lecz ach, nie dla świata“ jest śliczny, a opis jej kary „wyglądam kogoś za każdym szelestem“ może jest najpiękniejszym ustępem tej części *Dziadów*; ale w jej opisie, w tych przyborach, które jej towarzyszą, baranek, motylek, badylek, jest coś zanadto pasterskiego, zanadto zefirowego, zbyt ładnego, co przypomina konwencyonalne postacie dawnej sielanki. Lud wiejski na *Dziadach* wyobraziłby sobie taką dziewczynę inaczej; nie goniłaby za motylkiem, nie wołałaby „baś, baś, mój baranku,” byłaby mniej pasterką, a za to podobniejszą do tego, co lud zna i widzi.

Wogóle te pasterki w *Dziadach*, ta pasterka w żałobie, to w pełnej epoce romantycznej chyba przypomnienie klasycznej poezji, jakieś mimowolne odbicie rzeczy, których się Mickiewicz nasłuchał i naczytał za młodu. Pasterek niema tylko w idyllach i to Floryana lub Karpińskiego. Szymonowicz, który ma tak szczęśliwy dar chwytania podobieństwa ludu, zna żeńców i kosiarzy, ale mało pasterek.



W idyllach sycylijskich lub z Kampanii rzymskiej, pasterz był prawdziwym i rzeczywistym, u nas z wyjątkiem gór Karpackich, to nie jest formą życia i zatrudnienia wiejskiego i dlatego pasterz musi być sztucznym i mimowolnie widząc go, myśli się o sztucznych sielankach jest się przeniesionym w jakiś konwencyonalny, świat Karpińskiego. Dwoje dzieci proszących o dwa ziarenka gorczycy, to obrazek bardzo ładny, jednak i ten jest cokolwiek za ładny: za arkadyjski

Śpiewać, skakać, biegać w pole,  
Urwać w polu dla Rusalki i t. d.

Chciałoby się tego aniołka widzieć podobniejszym do wiejskich dzieci, a dziecko wiejskie mogło żyć tak swobodnie, ale opowiadałoby swoje życie, inaczej, możeby i mniej rozumowało:

Zbytkiem słodczy na ziemi  
Jesteśmy nieszczęśliwemi.

To nie dziecinna myśl, ani dziecinne wyrażenie, témbardziej nie dziecka wiejskiego.

W trzecim widzeniu złego pana są rysy rzeczywiście zbyt energiczne, koloryt zbyt jaskrawy:

Szponami, krwawemi dzioby  
Szarpajmy ciało na sztuki,  
Chociażbyś już trzymał w gębie  
I tam ja szponę zagłębię,  
Dostanę aż do wątroby.  
albo: Każdą kość, jak z kłosa żyto  
Jak od suchych strąków grochy,  
Od skóry mojej odbito.  
albo: A jak suchy snop cierniowy,  
\* \* \* \* \*  
Tak od potępieńca głowy,  
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

„Iskrzyska“ nie są mocniejsze jako wyrażenie od zwyczajnych iskier, a czytelnik czuje zaraz, że to wyrażenie niby mocniejsze, jest tu tylko dla rymu. Zresztą nie trzeba być pedantycznym Osińskim, trzeba tylko zamknąć oczy i starać się w wyobraźni zobaczyć tego trupa, któremu kruk czy sowa dziobem wyrwa jakieś jedzenie „z gęby,“ kiedy inne ptaki szarpiają jego ciało do kości, żeby uczuć, iż ten obraz wchodzi w kategorię tych, co więcej odrażają jak przerażają.

Ważną i znaczącą w całości poematu i w historii rozwoju talentu Mickiewicza, i w historii jego życia, jest dopiero następna część, czwarta: *Gustaw*.

Ten przedstawia jedną trudność, której rozwikłać i wytkłomaczyć jest prawie niepodobna; jest nią samobójstwo upiora czy pustelnika. Oczywiście jest, że to właśnie jest momentem głównym w tym ustępie, że poeta na to Gustawa wprowadził, na to mu kazał powtarzać dzieje swojej miłości, żeby dojść do tej chwili samobójstwa, która miała być zamknięciem całego epizodu Gustawa i rozwiązaniem jego duchowej zagadki, naturalnym uzupełnieniem i zarazem wyjaśnieniem całego stanu jego duszy. Tymczasem jeżeli cała postać Gustawa jest nie jasną, jeżeli są szczegóły, które, jak żeby umyślnie trzymają nas w niepewności i nie dopuszczają do pewności żeśmy zamiar i pomysł poety dobrze zrozumieli; tedy to samobójstwo jest ze wszystkich wątpliwości i trudności największą. Czém ono jest? Nie jest rzeczywistém samobójstwem. Gustaw kiedy się przebił, „przecież nie upada.“ Może dla tego, że jest upiorem, duchem, którego żelazo zabić nie może? Takby się zdawało, gdyby nie następne słowa:

„Tylko dla nauki,

Scenę boleści powtórzył zbrodzień.“

Z tych słów pokazuje się, że karą upiora jest to błędzenie po krainach pamięci, rozpamiętywanie wszystkich chwil i przejść dawniej miłości i dla nauki, dla pokuty powtarzać scenę boleści. „Wybiły dwie godziny miłości, rozpaczy,“ tamto już się skończyło, a teraz następuje „godzina przestrogi,“ godzina obrachunku z samym sobą, żalu, wyrzutu sumienia. Ale jaki to wyrzut? zaco ta pokuta? czy on żałuje i cierpi za jakąś rzeczywiście w szale rozpaczy powziętą myśl samobójstwa? czy ta myśl wydała mu się tak grzeszną, że jej rozpamiętywanie jest karą, pokutą, męczarnią jego duszy? Kilkakrotne w ciągu poematu wspomnienie Werthera mogłoby naprowadzać na myśl, że poeta, który wyobraźnię swoją w młodości wyegzaltował był czytaniem namiętnych, smutnych, miłosnych historyi, może śladem tych bohaterów wpadł kiedy na złą myśl, może przeleciało mu przez głowę, że dobrze byłoby skończyć. Być może także, że to materialne samobójstwo Gustawa jest tylko alegoryczną figurą samobójstwa moralnego, odrętwienia dla innych uczuć, skamieniałości do jakiej doprowadził swoją duszę przez nieustanne wpatrywanie się w to jedno uczucie z lubieżnością, rozpaczy, może myślał, że to wyteżenie rozpaczy paraliżowało, zabijało jego duszę; może spostrzegłszy się, wyrzucał sobie ten stan, jak grzech, jak samobójstwo moralne? Może być i jedno i drugie, może być coś innego, czego dojrzyć nie umiem; jednej tylko rzeczy przypuścić trudno, to jest, żeby to samobójstwo było obojętném, wymyśloném w fantazyi poety, rozwiązaniem rzeczy, któreby z rzeczywistością uczuć i wrażeń, jakie sam przeżywał, nie miało nic wspólnego.

Na takich uczuciach i wrażeniach, na historycznej rzeczywistości oparty jest cały poemat, ta część równie jak następna; trudno więc zrozumieć, żeby to, co jest punktem kulminacyjnym tych uczuć, ich ostatecznym kresem i przesileniem, było czysto imaginacyjnym dodatkiem.

Przesileniem, bo cokolwiek było to, co w życiu Mickiewicza odpowiadało samobójstwu u Gustawa, (rzeczywista myśl o samobójstwie, letarg duszy, czy coś innego), zawsze było to najwyższym punktem rozpacz i od tej chwili zaczął się zwrot. Gustaw, który scenę boleści powtarza, dla nauki, który mówi, że „teraz następuje godzina przestrogi“ to Gustaw, który już przyszedł do refleksyi, już porównywa swoje namiętność ze swoim sumieniem, już widzi w niej coś złego, już tego żałuje. Refleksya, rozpamiętywanie, wyrzut sumienia, to wszystko są oznaki namiętności już opadającej i ustępującej; była ona załata całą duszę człowieka, teraz się cofa, a z pod niej zaczynają się wynurzać inne pierwiastki duszy i jej samoistność. Była jakaś myśl, lub jakaś chęć, która była najwyższem spotęgowaniem namiętności i sprowadziła zwrot, wejście w siebie, wyrzut i żal. Jaka była, nie wiemy i w tém leży główny powód niejasności Gustawa. Pewnem jest tylko to, że on się sam za coś karze, że za swoją karę i pokutę uważa świadomość i pamięć jakiejś myśli, czy chęci.

Nie jest to jedyna niepewność. Gustaw nie jest waryatem, jak nie jest prawdziwym upiorem. On jest tylko tak opanowany swoim uczuciem, tak się w nim zamknął i zdziżał, że na ludzi może robić wrażenie waryata. Jego dziwny ubiór, bezład jego myśli i jego pamięci; te wspomnienia, które się w jego głowie snują, płaczą i zrywają; te strofki jakichś dawnych słyszanych śpiewek, które się odzywają mimowolnie i urywają nie wiedzieć dla czego (jak u Ofelii): to jest stan człowieka, który sam myślał, że z rozpachy może wpaść w obłąkanie, który się tego sądził blizkim, ale pomimo, że się księdzu i dzieciom takim wydaje, obłąkanym on nie jest; świadomości siebie i otaczającego świata nigdy nie traci. A więc pocóż te pozory szaleństwa? poco ta gałąź jedliny, o której raz mówi, że jest jego przyjacielem, drugi raz, że listkiem cyprysu; po co te udawanie głosu ducha zamkniętego w stole, te wszystkie rzeczy, z których możnaby wnosić, że ma naprawdę umysł pomieszany? Czyby Gustaw udawał obłąkanie jak Hamlet? dlaczego? Są w nim szczegóły, w których z zamiaru autora trudno sobie zdać sprawę.

Jakkolwiekby, jest Gustaw jednym z typów miłości chorobliwej, która zabija człowieka materyalnie lub moralnie, jest z téj samej rodziny co Werther, co Gustaw, pani Krüdner, i wielu innych poetycznych lub romansowych bohaterów z téj epoki. Ta egzaltacja w miłości, to nadzwyczajne spotęgowanie jęj strony uczuciowej, ta przewaga przyznana temu uczuciu nad człowiekiem i nad wszystkimi innymi uczuciami, była może w owéj epoce reakcją, rehabilitacją, wynagrodzeniem miłości, za to niskie, czysto zmysłowe pojęcie, jakie panowało tak długo w wieku XVIII, a ta reakcja jak wszystkie inne po zwycięstwie przebrała miarę i przeszła w chorobliwość, w nadmiar egzaltacji, w sentymentalizm. Gustaw kochał w ten sposób, jego uczucie ma ten charakter nerwowy i chorobliwy i przez to należy do grupy wszystkich bohaterów podobnych. Jednak różni się



od większej ich liczby tém, że ma świadomość tego co w nim jest chorobliwém. Nie jest to obojętne, obiektywne studjum sentymentalnej egzaltacyjnej miłości jak Werther, to jest osobiste wspomnienie, ale tak, jak Göthe pisząc Werthera wiedział doskonale, że Werther jest człowiek chory, tak Mickiewicz kiedy tworzył poemat ze swoich dawnych uczuć i wspomnień, już wiedział, że w tych uczuciach był nadmiar i była chorobliwość. Daje to wyraźnie do poznania dużo wyraźniej niż Göthe w Wertherze, kiedy mówi, że „to jest godzina przestrogi, że to jest nauka,“ z czego wnieść można, że jego Gustaw pokutuje za swoją miłość i sam to wie. W pojęciu poety, w pojęciu swoim własném nawet, Gustaw nie jest w prawdzie, niema słuszności i dlatego choć on sam jako postać należy do bohaterów chorobliwych, to całość poematu, czwarta część *Dziadów* pojęta razem, taką się nie okaże.

Że oprócz Werthera jednego, żaden z bohaterów podobnych z nim równać się nie może, o tém zbytecznie mówić. Dwa wpływy zewnętrzne, które wytworzyły formę *Dziadów*: literatura zagraniczna i popęd do odmłodzenia poezyi w pojęciach i uczuciach ludu, widoczne są i na Gustawie. Z pierwszej przeszło w niego to, co w nim jest Wertherycznego, z drugiego to, że jest upiorem (lub przynajmniej jako taki występuje), że się łączy z obrzędem *Dziadów*, że tego obrzędu przed księdzem broni, że szuka duchów w stole lub udaje że szuka; wszystko to jednak, to zewnętrzny strój Gustawa, strój zastosowany do mody czasu, który jednak łatwo od niego oddzielić i odróżnić od tego, co jest w nim istotném i konieczném, co jest treścią téj postaci a nie jój przypadkowym nieledwie ubiorem. Te ubiory i przybory jednemu mogą wydać się pięknymi, drugiemu nie, mniejsza o to, to jest szczegół; cokolwiek o nich myśleć będziemy, to pewna, że one konieczne nie są, że istota rzeczy i jój piękność nie leży w nich, ale poza niemi. Odrzućmy księdza, dzieci, świece, duchy, *Dziady*, gałąź jedliny i całą tę dekoracyą, odrzućmy wszystkie pozory obłąkania; zapomnijmy o upiorze, o pustelniku, o waryacie; wyobraźmy sobie, że tego wszystkiego niema i że z całej czwartej części *Dziadów* zostało tylko jedno opowiadanie Gustawa: to wtedy mielibyśmy jeszcze wszystko, co jest istotą rzeczy, na czém prawdziwie zależy: mielibyśmy Gustawa zupełnego i tak dobrego jak jest w tym całym swoim fantastycznym stroju. Jestto nawet dziwne i musi być poczytane na niekorzyść poematu, że związek pomiędzy rzeczą główną a dodatkowemi nie jest silniejszy; że one nie więcej są z sobą zrosnięte i dadzą się od siebie oderwać. Gustawa można sobie wyobrazić bez tych dodatków z samém tylko jego opowiadaniem, a nic na tém nie straci, jest nie tylko możliwy ale taki sam niezmieniony. Cała piękność i istota rzeczy jest w tém opowiadaniu, a ono jest jednym z najpiękniejszych poematów miłości, jakie są na świecie.

Nawiasem trzeba wspomnieć, że w naszej literaturze pierwszy raz odzywa się miłość. Ckliwe westchnienia Karpińskiego do Justyny, wiersze Książnina, były to wprawdzie dźwięki tego uczucia, ale dźwię-

ki bardzo niedołążne. Poeci XVI wieku, jak żeby wcale miłości nie znali. Kochanowski tak pełen rzewnego uczucia zaczął pisać po polsku wtedy, kiedy to uczucie było już u niego uspokojone. Za Stanisława Augusta sama przyzwoitość nie dopuszczała tego uczucia w poezyi, dziwnym zbiegiem okoliczności reprezentowanej głównie przez biskupów, a miłość jaka się odzywa w wierszach Trembeckiego, to nie uczucie. Brodziński nieraz umie ją wyrazić szczęśliwie i rzewnie, ale u niego także to tylko pojedyncze oderwane dźwięki, z których się większa całość nie składa. Zdaje się jak żeby miłość także, żeby w naszej poezyi znaleźć godny wyraz, czekała była na to ogólne podniesienie serc, które doszło do szczytu około pierwszej ćwierci naszego wieku. Pierwszym poematem miłości w Polsce jest Gustaw. Pierwszym jój poetą, pierwszym, który jój dostarczył słów na wszystkie jój pragnienia i cierpienia, który ją podniósł, uszlachetnił, zrobił piękniejszą i silniejszą przez swoje natchnienie, był Mickiewicz. Smutno jest myśleć, że jego serce musiało się rozedrzeć, że on sam musiał przejść przez wszystkie męki biédnego Gustawa na to, żebyśmy mieli piękny poemat; jednak taki los poetów, zmienić go nie w naszej mocy, a ich pociecha i nagroda może w tém, że na ich uczuciach inni uczą się może czuć piękniej, lepiej, szlachetniej!

Na pierwszy rzut oka uderzają w Gustawie tylko te miejsca nierównanej rzewności, te słowa które tamują oddech i ściskają serce: wspomnienia lat dziecińczych: „niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki;” odwiedzanie ogrodu, w którym się odbyło ostatnie pożegnanie: „byłem i w ogrodzie pod tęż porę w jesieni etc: jest się tak pod wrażeniem, tak przejętym, tak żywo się czuje i rozumie jak on cierpiał, że myśl i uwaga przywiązana do tych ustępów najpiękniejszych zrazu nie dostrzega ciągu i związku i stopniowania całości. Prawda, że co za ustępył nigdy, odkąd jest mowa polska na świecie, nigdy jeszcze ten naród w swojej mowie takich nie słyszał, nigdy nie widział uczucia tak wielkiego, tak przejmującego i tak się wyrażającego:

Jutro miałem wyjechać, błędę po ogrodzie.

a zakończone tak smutnie:

*Idźmy każde w swoją drogę!*

Ja cię wiecznie będę

...wspominać...

albo znowu po tych wspomnieniach domu i szkoły i tych miejsc, gdzie ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci; widok tego człowieka „dzisiaj po latach tyłu, po takiej przemianie na miejscach najszczęśliwszych w najsmutniejszym stanie“ tak poruszy wszystkie nerwy w człowieku, tak go nastroi, że kiedy przyjdzie wreszcie końcowy ustęp o kamieniu, najpiękniejszy może w tej części Dziadów, jeden z piękniejszych w całej poezyi Mickiewicza, człowiek doznaje czegoś takiego, po czém mówi sobie, że nie zasługuje na to, by był rzuconym prosto do piekła.

Przestaje się na tych pięknościach, nie wchodzi się w to, nie pyta się zrazu o to czy i jak one się z sobą wiążą, tymczasem wiążą się



przypadkiem może, bez zamiaru, w ciąg i całość obejmującą wszystkie tony i odcienia tego cierpienia, które się nazywa nieszczęśliwą miłością. Psycholog któryby chciał zrobić studyum, opisać całą gamę uczuć, z których się taki stan duszy składa, nie mógłby opisać ich dokładnie, z większą prawdą i znajomością ich następstwa i stopniowania, jak tu zrobiło bezwiednie uczucie samo, pamięć rzeczy doznanej.

Zrazu to niezmacona niczém swoboda duszy prawie dziecięcej, ta tęsknota i miłość ideału nieznanego, widzianego tylko przez poezję i w poezyi; to marzenia o sławie, cały zbiór, bukiet uczuć jeszcze nie rozwiniętych, z których jedno niebawem nad wszystkie wystrzeli, ale które? nie wiedzieć. Zrazu to młodzieniec, który zna tylko rozkosz marzenia, a nie zna jeszcze uczucia, który chodzi do gaju wieczór lub przededniem:

By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,  
Albo oglądać Jana zwycięztwo pod Wiedniem.

W takim był stanie, kiedy ją ujrzał raz pierwszy i wtedy „umarł we mnie Gotfred i Jan III,“ marzenia znikły, zaczęła się prawda uczucia:

„Ach! odtąd dla niej, tylko o niej, przez nią, za nią.“

Zrazu to uczucie jest szczęściem: zrazu być uczczonym pierwszym rozromy wyrazem, czytywać Russa

„Z lasu przynosić kwiatki, patrzeć jak  
Z tych źródeł stojąc przy mnie wywabiała wędka  
Srebrnopiórego pstrąga z krasną centką.“

to dosyć; uczucie jeszcze nie zupełnie siebie świadome, na tém przestaje i tego używa. Ale nie długo: rosnąc, potężniejąc, chce wzajemności, a tej jeżeli otrzymać nie może, lub jeżeli otrzymaną raz musi stracić, wtedy w jednej chwili następuje śmierć tego, co człowiek najwięcej kocha; jego szczęście wtedy stoi nad niem jak nad ciałem ukochanej osoby i mówi on sobie: ty już nie wrócisz nigdy, mówi sobie że musi żyć, a tego czegoś najdroższego nie widzieć nigdy. Uczucie częste na tym świecie, a znać jedno z najsilniejszych i najsmutniejszych, kiedy poezya zawsze od początku świata do niego wraca, zawsze go coraz nowym sposobem wyraża. Rzadko kiedy tak pięknie jak tu:

Pamiętam, wśród jesieni, przy wieczornym chłodzie,  
Jutro miałem odjeżdżać i t. d.

Stało się, szczęście znikło, serce pękło. Ale w pierwszj chwili nie objęło ono ogromu swego cierpienia; dopiero później, pomału, z każdym dniem, z każdą godziną odkrywają się coraz nowe głębie żalu, coraz grubsze ciemności rozpaczy. Z razu nie można pojąć jak się to stać mogło, zdaje się że to przeciw naturze, przeciw Bogu; w uczuciu człowieka jest coś egoistycznego i coś zarozumiałego, co nie przypuszcza, żeby ono mogło się nie udzielić i nie być podzieloném. Ono tak potężne, tak piękne, jedyne na świecie (każdy to o sobie myśli).



„O! nie, nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu;  
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu i t. d.”

a choć ona ten związek zerwała, choć sama myśli, że kocha innego, związek trwa, nieśmiertelny jak dusza i ona mu podlega choć sama o tém nie wie:

„Bóg dusze obie, łańcuchem uroku  
Powiązał z sobą na wieki”

i z tego uczucia płynie smutna pociecha; ziemskie śluby trwają tylko do śmierci a po niej znajdują się dusze, które do siebie należą.

Gdy nad podłém wzbijemy się ciałem,  
Złączy się znowu w jedność, dusza z duszą zleje.

A potem nieskończone zmiany tego samego uczucia, skargi, przekleństwa, wyrzuty, zemsta i znowu miłość. Skarga na obojętność naprzód, na nieczułość:

„Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele,  
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!  
Zrobiwszy mnie komarem, chceć zmienić w Atlasa  
Dźwigającego niebo kamienném ramieniem.  
Napróžno....

Teraz groch ten od ściany odpada.”

Potém uczucie, że ona jest stracona, że nie jest tém czém była, że téj którą on kochał, już niéma. Gustaw mówi o śmierci téj, której nie chce nazwać, o śmierci która nie umarza odrazu, ale zabija dwa serca, z których jedno pęka, a w drugiem czucie rdzewieje i zostaje nakształt głazu. A przecież pomimo tych oskarżeń, pomimo téj pozornéj nienawiści i wzgardy, o niej tylko myśli, w niej tylko żyje: myśl i wyobraźnia na to się tylko siłą, żeby zgadnąć, jak ona rano wstaje, czém się bawi z rana, „czy sama czasem niechcąc nie wspomina o mnie. Wspomnienie, rozkosz i tortura razem, *nessun magior dolore*, a przecież do niego się ustawicznie wraca, w niem się przebywa, niem się karmi:

Byłem i w ogrodzie.  
Pod tęż porę w jesieni....

I tak zatapiając się w wspomnieniu, odkrywa się że i to wspomnienie, na które się liczyło jak na konieczność, że i to było złudzeniem. Gustaw znajduje na ziemi drugą połowę swojego listka cyprysu:

„Więc ostatni przeszłości odrzuciła szczałek,  
Więc już jój moich nosić nie wolno pamiątek“

a wtedy wściekłość, wściekłość na nią:

Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto i t. d.

a potem zemsta: Gustaw pójdzie, zabije ją, tego którego ona kocha i siebie: „błyskotkę niosę dla jasnych panów i t. d.“ Ale nie, miłość silniejsza od wszystkiego

Precz to żelazo! niech ją własna pamięć goni,  
Niech ją sumienia sztylety rania;

on się zemści, ukarze, ale tylko wzrokiem, tylko jęć się przypomni: to kara nad wszystkie. Ale za cóż kara? czy ona winna? czułość bierze górę nad wszystkim, dawny ideał zaciera pamięć niewiernej, następuje zwrot w siebie. Za co się mścić, z kąd prawo? ona nie zdradziła, ona nic nie przyrzekała; jakie prawo do niej lub do jęć uczucia.

I jakie są jęć grzechy?

Czyli mnie słówkiem dwuznacznym podwiódła? nie, już niczego nie chce, nic nie żąda, tylko jednego, żeby czasem zjawił się w jęć pamięci:

O! gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie.

A potem, rys niezmiernie prawdziwy i naturalny: budzi się uczucie osobiste, instynkt zachowania siebie, pod formą dumy. Gustaw nie będzie płakał jak dziecko, reszty dumy nie da sobie wydrzeć, litości żebrać nie będzie. Biedny człowiek udaje, wmawia w siebie, że nie dba, że zapomina, a to w siebie wmawiając jeszcze myśli, że ją ta obojętność zdziwi, dotknie, zaboli:

Powiedz że byłem zawsze rumiany, wesoły;  
Że mi się w tańcu ot skręciła noga.

I znowu inny odcień uczucia: przyszłość czém będzie przyszłość bez niej całe życie, długie, nudne, szare; człowiek sam jeden na świecie, na końcu gdzieś daleko śmierć, ale i sama śmierć smutna, śmierć pustelnika, któremu

„Dłoń przychylna powiek nie zamyka,  
Zapłakać nie ma komu.”

Przez taką skalę uczuć która obejmuje wszystko, co człowiek przez miłość cierpieć może, dochodzi Gustaw do tego samobójstwa, które w poemacie jest może odbiciem jakiejś myśli podobnej w rzeczywistości, tak jak wszystkie aż dotąd uczucia Gustawa są wiernym obrazem tych, których doznał poeta. Czy on miał taką myśl, czy ona go tak wstrząsała, że aż sprowadziła upamiętanie, uspokojenie, przesilenie, próżno dochodzić. Ale Gustaw od chwili, kiedy dla nauki powtórzył tę najstraszliwszą scenę boleści, ukazuje się uspokojonym: obłąd, szal znikają, zostaje ten smutek ciężki ale spokojny, który jest początkiem rezygnacji; wie on że jego szczęście skończone, bo:

Kto znalazł drugą swoją połowę istoty,

Ten przyczepiony do lubej postaci,  
Jój tylko staje się cieniem.

więc i on przez resztę życia może już tylko:

Jak cień błądzić przy kochanych wdziękach.

Ale już się nie skarży, nie mści, nie przeklina, ani nie spodziewa; poddaje się nieszczęściu, a pociesza się w niem tą nadzieją, że choć

„Długo jeszcze po świecie błakać się potrzeba,

przecież

Gdy ją Bóg w swoje objęcia powoła,  
Natenczas śladem lubego anioła,  
Cień mój błędny wkradnie się do nieba.”

To już miłość, która na ziemi niczego nie pragnie, nie lęka się ani spodziewa, która na ziemi jest skończona, i godzi się na to, żeby czas życia przebyć w wyrzeczeniu się, byle odżyć w lepszym świecie, a przytém wierzy, że zostanie zawsze tłem duszy, uczuciem jój pierwszszym i najsilniejszym, choć już bezczynnym i biernym. Nie wiedział Gustaw, że przed nim w życiu, stały jeszcze wrażenia inne, większe, które z jego duszy miały wydobyć inne uczucia i tak tę duszę przetworzyć, że kiedyś minie pasterkę w żałobie i nawet na nią nie spojrzy.

Są w poezji Mickiewicza rzeczy od Gustawa wyższe, doskonalsze formą, potężniejsze uczuciem i rodzajem uczucia. Natchnienia i dążenia Konrada i całej po Konradowej epoki w życiu poety, są rodzajem wyższym od czysto osobistego uczucia Gustawa; miłość ojczyzny, miłość ludzkości, Boga, jest w sobie większą aniżeli miłość kobiety, miłość szczęścia. I to prawda, że Gustaw nie jest dziełem artystycznym doskonałym, że panuje w nim pewien umyślny bezład i niejasność, które policzyć trzeba na karb romantycznej manieri i jój wpływu na poetę bardzo jeszcze młodego. I to także prawda, że miłość Gustawa jest miłością, w której rozigrane nerwy, rozbijała wyobraźnia znaczą, przynajmniej tyle co uczucie, a przez to on sam staje się nie bezwzględnie pięknym i poetycznym typem miłości, ale historycznym pomnikiem miłości takiej, jaka była podówczas. Ten charakter chorobliwy jego uczucia sprawia, że ono zupełnie pięknym, zupełnie pojętym, podziwianym, podziwianym być nie może, że on nie jest tym ideałem poetycznym, w któryby można wierzyć i któryby można kochać bez restrykcji. Historycznie może to właśnie nadaje mu wartość największą, poetycznie to ją zniża.

Ale pomimo tego wszystkiego, a to jest wszystko, co złego i najgorszego o Gustawie powiedzieć można; pozostanie on jednym z najpiękniejszych poematów miłości na świecie, najpiękniejszym w poezji polskiej, oprócz jednego tylko. Jest to tylko poemat liryczny i poemat z uczuć osobistych, subiektywny w największym stopniu, bo jest niemal historią poety: niech go za to karcą kto chce. A karcili nawet romantycy, nawet wielbiciele, nawet przyjaciele. W listach niektórych



jego przyjaciół są wyraźne dowody, że takie ogłoszenie własnych uczuć i dziejów, poemat o sobie i swojej miłości, wydawał im się być pewnym ubliżeniem i tój miłości i samój godności piszącego. „Sądzę” pisze jeden z nich (Zan) do Franciszka Malewskiego dnia 12 maja 1822 r. „że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami, niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie”. Zapewne że przyjaciel poety byłby wołał, iżby on cierpienie swoje był w sobie zamknął i nikomu w nie spojrzeć nie pozwolił: że widziałyby w tém większą godność charakteru, większą delikatność i wstydlivość uczucia. Ale dla nas czytelników, dla nas publiczności, dla nas dość, że tyle rzewności, tyle smutku, tyle goryczy, i tyle czułości, nikt przed nim, po nim tylko jeden zdołał oddać słowami; że nigdy nikt, przynajmniej w polskiej poezji, nikt nie poruszył tak jak on wszystkich razem tych strun, które składają akord nieszczęśliwej miłości i że ona nikomu nie odpowiadałaby takim dźwiękiem, pełnym, mocnym a rzewnym i rozdzierającym. Sztuka i moralność nawet może nie być zbudowaną tym, zbyt rozmarzonym i sentymentalnym kochankiem, ale uczucie ludzkie nie zaprzeczy mu nigdy i nigdy się go nie wyprze. A prócz tego, prawda że Gustaw jest zbyt rozmarzony i sentymentalny, że jego namiętność jest chorobliwą: ale jak jest przytém szlachetną, jak piękną, jak idealnie wysoką. Książd ma słuszną kiedy mu mówi że:

Przeciwno światu i przeciwno sobie,  
Cięższe twoje niżeli przeciw Bogu grzechy...

bo ta miłość, która jego zbyt mocno dręczy, grzech przeciw sobie, przez którą on może się zmarnować, grzech przeciw światu, jest tak wzniosła i piękna, przy tém że nie obraża godności duszy, ani praw moralnych, ani Boga. Dusza zdolna miłości tak wielkiej, zbyt wielkiej, a zdolna w samym tym nadmiarze, w samój namiętności zachować ten wzniosły i szlachetny charakter, musiała także być zdolną wznieść się coraz wyżej, stawać się coraz piękniejszą. I taką też stała się, kiedy wyszedłszy ze sfery cierpień osobistych i pierwszych wrażeń młodzieńczych, stanie na wyższym szczeblu uczuć szerszych i wyższej natury.

### III.

Mówiąc, że w Mickiewiczu uzdolnienie poetyczne nie wyrabiało się pomału ale było gotowe odrazu, miałem na myśli ten fakt, że równocześnie z drugą i czwartą częścią Dziadów wyszła Grażyna. Współczesność to trudna do wytłumaczenia: tam cały ogień, cała burza gwałtownego subiektywnego uczucia i cała sentymentalność uczucia chorobliwego, roznamiętnionego; tu najzupełniejsza równowaga ducha, który jest panem siebie; tam zależność od panującej mody, romantyczność ze wszystkiemi swoimi zwyczajami, z całą swoją fakturą, z niektórymi swojemi przesadami; tu podjęcie i przedstawienie rzeczy wprost przeciwnie, klasyczny spokój w myśli i wyobraźni poety, w jego pomyślach, postaciach i obrazach, klasyczna plastyczność, klasyczna czy-

stość i prostota linii. Jakim sposobem te dwie rzeczy tak różne mogły wyjść razem z jednéj głowy? z kąd tak wysoka artystyczna doskonałość w pierwszej próbie poety i ten jego wewnętrzny spokój w wieku tak jeszcze młodym? Z kąd wreszcie ta niezależność od wszelkiego wpływu obcego, od Byrona, od weszbranego prądu romantyczności i jój upodobań? Nie próbuję tłumaczyć. Jakaś szczęśliwa chwila pogody w przerwie między dwiema burzami, jakiś promień greckiego słońca, wdzierający się na chwilę w smutny pochmurny horyzont Litwy i poety, jakiś stan uspokojenia i wytchnienia, który zapewne nie trwał długo, ale to, co wśród rozpaczy Gustawa i zemstę Wallenroda i tytanicznych szamotań się Konrada wydać mogło ten uroczy przeddźwięk Pana Tadeusza, który się nazywa Grażyną. Od Dziadów, od Wallenroda różni się ona wszystkim. Wiemy z kąd się wziął Gustaw, wiemy dla czego on się zmienił w Konrada, wiemy jakie uczucia i wypadki zrodziły Wallenroda, cała ich genealogia, ich geneza jest nam jasną. Grażyna, przeciwnie, nie wiemy z kąd się wzięła, nie znamy jój rodu ani pochodzenia. W tamtych bije silnie i gwałtownie uczucie poety, własne czy zbiorowe; tu jest ono tak uciszone i spokojne, jak żeby go wcale nie było; tam zajęty tém uczuciem i wrażeniem jakie ono ma sprawić, o wszystko inne troszczy się mniej, ma jakiś cel oprócz poematu i poza nim: tu nic podobnego. Grażyna pisana jest jak żeby pod hasłem *Sztuka dla sztuki*. Na dnie bardzo głęboko, na dnie można dojrzeć jakiejś myśli moralnej i patriotycznej, myśl jakaś w poemacie w dziele rozumnym być musi; ale jest ona tutaj rzeczą podrzędną, nie szuka się jój, nie myśli się o tém, żeby ją wydobyć i wyrozumić. Przy Dziadach jest to natężenie myśli żeby zrozumieć, przy Wallenrodzie uczucie silnie wstrząśnięte wyteża się żeby uczuć wszystko i tak jak czuł poeta; przy Grażynie nie: przy niej chce się tylko patrzeć, używać.

Ależ bo jest na co patrzeć i czego używać. Ze wszystkich powieści poetycznych, jakich wydał tyle nasz wiek, w literaturze angielskiej, francuzkiej, niemieckiej nie ma jednéj, któraby była podobną do epopei jak Grażyna. Nie jest nią naturalnie, jest małym obrazkiem, treści nawet dość obojętnéj: można ją sobie wyobrazić jako epizod w poemacie bohaterским, nie jako taki poemat. Ale ma to epickie traktowanie przedmiotu, to usunięcie się poety na stanowisko zupełnie zewnętrzne, ten sposób przypatrywania się rzeczom i ludziom, i opisywanie ich, nie mieszając się do nich, czego nie ma w żadnej innéj powieści poetycznej z wyjątkiem *Hermana i Doroty*, który należy do innego wieku, do wyjątkowego geniuszu, a którego sama treść ułatwiała ten sposób tworzenia. Bo powieść poetyczna, obejmująca w ramach małego obrazu jakieś wypadki wielkie, a przynajmniej tragiczne, jakieś namiętności gwałtowne i jakieś straszne walki i kolizye, taka powieść, a właśnie taka panowała w pierwszej połowie naszego wieku, była wynalazkiem Byrona i wynalazkiem dla niego genialnym. Nie była epopeją, nie przyjmowała tak wielkich zobowiązań, nie miała do walczenia z wielkimi wspomnieniami, nie potrzebowała się lękać niebezpiecznych porównań, ani na-



wet niewygodnej kontroli, czy jest tém czém być powinna, czy odpowiada swoim warunkom, bo warunki były dowolne, reguł ani wzorów nie było, a wolność wszelka. Wolność tworzenia postaci jakie się podobają i w sposób w jaki się podoba, wolność używania ich za pozór, za formę dla wypowiedzenia własnego uczucia, wolność rozwodzenia się z opisami, traktowania rzeczy opisowo i plastycznie, lub téż gubienie jój z umysłu w mgłach i chmurach liryzmu, dygresyi, eksklamacyi, refleksyi, nawet deklamacyi.

Powieść poetyczna jest właściwie kompromisem, mięszaniem pierwiastku opisowego i lirycznego; dla tego ona tak wybornie odpowiada rodzajowi talentu Byrona, dla tego on ją wynalazł. Bo on zupełnie ściśle epickim być nie mógł; był zanadto opanowany przez siebie samego, nie zdołał nigdy z siebie wyjść i na to co stworzył patrzeć z zewnątrz: był w najwyższym stopniu liryczny i subiektywnie liryczny. A znowu z drugiej strony miał potężną fantazyą, która spokojną być nie umiała, która musiała snuć jakieś kształty, jakieś postacie, jakieś sceny i obrazy; te produkta fantazyi domagały się życia, musiały się objawić, indywidualność poety musiała objawiać się także w tych postaciach naprzód i poza niemi, także w różnych lirycznych opisach i dygresyach. Całkowitej, prawdziwej epopei wyobraźnia ta począć nie była zdolna; rozmiary przechodziły jój zakres, a osobiste uczucie poety nie pozwalało nigdy na epickie traktowanie przedmiotu. Tymczasem były w téj wyobraźni takie skarby, nie kształtów wprawdzie, ale kolorów, które w poezyi czysto lirycznej nie znajdowały dla siebie miejsca, nie dawały się użyć, a pokazać się chciały koniecznie. I wtedy jako dziecko tych czynników, jako kompromis między niemi zrodził się w poezyi ten nowy rodzaj poetycznej powieści, w którym Byron mógł swobodnie puszczać wodze i temu liryzmowi, którego powstrzymać nie mógł i równie swobodnie rozwieszać wszystkie jaskrawe, świetne, iskrzące od złota i kolorów tkaniny swojej wyobraźni. W poemacie bez akcji w takim jak *Harold* np., choć były rozwieszone, nie mogły zrobić takiego wrażenia. Wisały jak piękne sztuki wschodnich materii w sklepie; ale na kimś, choćby na drewnianej figurze do przymerzania sukien, na martwym modelu sfałdowane w sutą draperyą, zwinięte w turban, roztoczone jako tło jakiejś grupy odalisk i kleftów, słowem obrócone na dekoracyą, jakiejkolwiek, choćby pozornej akcji, zrobiły nierównie większy efekt. Nieraz nawet zdarza się, że ta akcja jest tylko pretekstem; rzeczą główną, główną pięknością poematu, dekoracyą ze swoim jaskrawym, łudzącym, fantastycznym kolorytem. W epopei niktby na tém nie poprzestał. W powieści poetycznej, od której się mniej wymaga dla tych piękności, wybacza się ubóstwa treści, jednostajność, bliźniacze podobieństwo lub wewnętrzną czczość postaci. We wszystkich niemal powieściach poetycznych Byrona, tém co się podoba, co ńci i ludzi, nie jest Medora, ani Gulnara, ani Zulejka, ani Mazepa, ani nawet Giaur, tylko koloryt, dekoracya.



Rodzaj ten dla Byrona najwłaściwszy, przez niego stworzony i uprawiany, przeszedł natychmiast do wszystkich literatur europejskich; raz dlatego że był Byrona, a Byron na szczycie chwały; powtóre dlatego, że poeci instynktem odgadli w nim zaraz rodzaj łatwiejszy, lżejszy, nie wymagający takiej intensywności ani takiej ekstensywności wyobraźni; rodzaj w którym mniejsza piękność łatwiej ujdzie i lepiej się wyda. Żle mówić o powieści poetycznej i lekceważyć ją, nie byłoby ani słusznym, ani rozsądnym; ona w każdym razie miałaby się czem bronić, wskazałaby szereg poematów, które nie są zapewne Homerem ani nawet Tadeuszem, tylko czemś daleko mniejszem, ale powiedziałyby, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Nikt nie lekceważy krajobrazów Salwatora Rosy, płócien Rembrandta dlatego, że są na świecie freski Rafaela, i miałaby słusność. A nam Polakom mogłaby powiedzieć prócz tego, że mamy względem niej szczególne obowiązki poszanowania i wdzięczności, bo u nas ona jakoś szczególnie sobie podobała i wydawała bodaj czy nie najpiękniejsze swoje kwiaty. Gdyby ściśle porównać powieści Byrona z jednej strony, a z drugiej *Wallenroda*, a choćby *Maryę* Malczewskiego, kto wie, czyby się nie pokazało, że powieść wiodła się lepiej w tej kolonii polskiej, niż w swojej matce ojczyźnie.

U nas zresztą wydała ten kwiat jedyny, jaki na jej polu wyrósł: *Grażynę*. Dlaczego Mickiewicz, u którego pierwiastek liryczny był niezmiernie silny, nie skorzystał tym razem z tej licencji, jaką mu dawała forma powieści, z jej kompromisowego charakteru i liryzmowi przymiślać się tu nie dał, kiedy w *Wallenrodzie* dał mu wszelką swobodę: czy dla tego że ją pisał w jakiejś chwili spokojnego uczucia, czy może chciał wypróbować swoją artystyczną zdolność, w niej rozkoszował; czy go może nęciła myśl zrobienia płaskorzeźby, jak żeby ułamka od jakiegoś ateńskiego fryzu, na którymby Grek był wykuł żmudzkie figury w niedźwiedzich skórach i rysich kołpakach: dość że ta pierwsza w Polsce powieść poetyczna najmniej ma familijnego typu, najbardziej się oddala od panującego powszechnie rodzaju. W *Wallenrodzie*, w *Maryi*, nic łatwiejszego jak wykryć wpływ Byrona; w powieściach Goszczyńskiego, Słowackiego z pierwszej manieri, już nie wpływ ale otwarte naśladowanie. *Grażyna*, nie ma z *Byronem* nic wspólnego; na pozór, na pierwszy rzut oka zdaje się że ma jedno, to jest tajemniczość postępków *Grażyny*: *Byron* bardzo lubi takie tajemnice, jako obudzające ciekawość i zajęcie. Otóż to zmylenie czytelnika, który przez długi czas naprawdę nie wie, czy ma przed sobą *Grażynę* czy *Litawora*, ta wątpliwość zostawiona umyślnie, to wygląda na jedną ze sztuczek zwykłej byrońskiej manieri.

Jednak tak nie jest: zastanowiwszy się, widzi się dobrze, że *Mickiewiczowi* nie chodziło wcale o drobny teatralny efekcik, że ta tajemniczość i wątpliwość była koniecznością, następstwem uczynku *Grażyny*, który cały polega właśnie w zmyleniu. *Mickiewicz* nie myśli wcale rozciekawiać czytelnika, intrygować go; on tylko przedstawia zmylenie, podziwienie, wątpliwość rycerstwa, które *Grażynę* otacza: to

ona zmyliła tych, a nie poeta nas. To Byron intryguje czytelnika, wprowadza dwie postacie, które wiedzą o sobie doskonale czém są, a tak się z tém kryją, że czytelnik dopiero na końcu dowiaduje się, że paż był przebraną kobiętą, lub coś podobnego. W Wallenrodzie może intryguje trochę i Mickiewicz, kiedy pomału, stopniowo każe się domyślać stosunku Konrada z pustelnicą i jego tożsamości z Alfem; ten biały płaszcz, który pokazuje się pod wieżą a potem znika, te niezrozumiałe słowa z wieży, w tém istotnie jest cokolwiek intrygi, jest jój nieco i w śpiewie Halbana o Wilii, który coś daje do zrozumienia i domysłu, a nie jasno; wszystko to jest zastosowanie faktury Byrona. Ale w Grażynie niema i tego: tu tajemnica i wątpliwość nietylko nie jest sztuczną i dodaną dla ozdoby, ale jest tak konieczną, że bez niej akcja stałaby się niemożliwą, niedorzeczną.

Jeżeli pojmuje się łatwo, że czwarta część Dziadów musiała oburzyć starych klasyków, to tego znowu zrozumieć nie można, że ich Grażyna nie zachwycała. Postawmy się na ich stanowisku, wyobraźmy sobie, że jesteśmy Koźmianem, który całe życie spędził na wpatrywaniu się w Wirgiliusza, albo Osińskim przywykłym do nieskazitelnego poprawnego snaku i wystawmy sobie, że czytamy po raz pierwszy Gustawa, który tylko co się ukazał. Rzecz prosta, że nie możemy zrozumieć téj figury ani w niej smakować, nie wiemy co począć z tym upiorem, który nie jest upiorem, z tym waryatem, który nie jest waryatem; że się gniewamy na te wszystkie niejasności a oburzamy do najwyższego stopnia na trupy szarpane przez drapieżne ptaki; że wdzięk takiéj romantycznój muzy jest dla nas zupełnie niepojętym: wszystkie przyzwyczajenia, cała przeszłość wyobrażeń i życia literackiego sprawia, że z tém pogodzić się nie możemy. Ale obok tego romantyzmu, w całej jego dla nich rażącej nagości, obok Gustawa, była rzecz, która nietylko odpowiadała ich pojęciom o sztuce i smaku, ale nawet ich regułem i przepisom, a ta powinna była im się podobać, bo stosując do Grażyny nawet najdrobniejsze, najmniej ważne wymagania estetyki Laharpa, jeszcze i wtedy nie można jój nic zarzucić. Przypadkiem naturalnie, ale znajdują się w niej wszystkie te warunki mniejsze i większe, których żądano od poematu opisowego, nawet jedność miejsca i czasu; cała powieść odbywa się na bardzo małej przestrzeni w zamku i jego najbliższej okolicy, cała powieść trwa przez ciąg jednój nocy, zakończenie, spalenie ciała Grażyny odbywa się nazajutrz, zatém wszystko razem nie trwa jak jedną dobę: czyni więc ona zadosyć nawet kaprysom klasyków, a co do wymagań rozsądniejszych, tło z jakichś burzliwych wypadków sytuacji dramatycznych zajęć, które dają sposobność do pięknych obrazów i porównań, wszystko to spełniała Grażyna w najświetniejszy sposób i gdyby trochę mniej uprzedzenia i zaślepienia, klasycy powinni byli oddać jój sprawiedliwość, a wtedy nie byłoby może przyszło do walki z romantykami i do sromotnój przegranej. Nie będąc wcale wyznawcą Laharpa, kiedy się zastanowić, z kąd może pochodzić nadzwyczajna plastyczność i doskonałość Grażyny, trzeba przyznać, że jednym z sekretów téj doskonałości jest ta krótkość czasu jój trwania



i nadzwyczajna prostota akcyi, która niema żadnych pobocznych figur, zajść, wypadków, zawikłań, tylko najprostszą i najkrótszą drogą bieży do swego końca, do rozwiązania. Jest to historia jednej nocy, a w tej nocy trzy chwile, trzy główne sceny tylko (każda z nich składa się z pewnej liczby scen pomniejszych), odesłanie posłów, podstęp Grażyny i bitwa. Scena czwarta pogrzebowa, jest tylko zakończeniem.

Otóż ta mała liczba wypadków, te dzieje jednej doby pozwalały opisać się dokładniej, wyraźniej, aniżeli dzieje Wallenroda naprzykład, które sięgają jeszcze jego młodości, a w ciasnych ramach powieści obejmują mnóstwo rzeczy, jego obiór na mistrza, jego tajemne rozmowy pod wieżą, potem całą wojnę, potem sąd; rzecz jasna, że to wszystko w takich ramach mogło być opisanem tylko z grubsza, pobieżnie. W Grażynie przeciwnie, zdaje się jak żeby żadna chwila tej nocy nie była pominiętą; pomiędzy jedną sceną a drugą, niema najmniejszej przerwy ani odstepu czasu i może dlatego te figury wydają nam się tak wybitne i wyraźne, że je widzimy ciągle, a każda z nich w każdej chwili coś robi. Rymwid zaledwo skończył rozmowę z Litaworem, idzie zaraz po radę do Grażyny, Grażyna zaraz do Litawora, a potem zaraz przychodzi rozkaz odesłania posłów krzyżackich. Następuje chwila spokoju, światła u księżnej gasną, Rymwid sam już idzie na spoczynek, kiedy wpada goniec z doniesieniem o bliskim szturmie Krzyżaków. I wtedy druga zmiana: rozkazy Grażyny i jój wyjście w pole na czele wojska. Tak jak w dawniej tragedyi francuzkiej scena nigdy nie mogła zostać prózną, tak tu nie jest nią nigdy; niema żadnych przestanków, żadnych przerw, nic nie jest zostawione domysłowi i wyobraźni: wszystko chwila za chwilą, pokazane jest na oczy i może dla tego widzi się te sceny i figury tak, jak żeby się między nimi było lub jak żeby stały przed nami w teatralnem przedstawieniu.

Drugi raz skutek podobny podobnej przyczyny daje się widzieć w Tadeuszu, którego czas trwania jest bardzo krótki, a przez to wszystko co się w tym przeciągu czasu zdarzyło, dawało się obszernie i szczegółowo traktować w opisie, co przy Wallenrodzie już być nie mogło.

Ta nadzwyczajna plastyczność Grażyny może poniekąd szkodzić jój treści. Konzszachty Litawora z Niemcami, bohaterstwo Grażyny i jój śmierć, wszystko to cofa się w głąb przed niesłychaną pięknoscią szczegółów pojedynczych obrazów. Z takim podziwieniem, z taką rozkoszą i z taką lubieżnością artystycznego używania, patrzymy się na nich w każdej chwili i słuchamy, że nas to mniej obchodzi, zapominamy o tém, co oni robią; spuszcza my z uwagi ogół ich myśli i zamiarów, bo każda myśl i słowo z osobna zabiéra całą uwagę. Treść zresztą w Grażynie, jak w każdym prawdziwym poemacie opisowym jest uboga; Treść Pana Tadeusza rozebrana ze szczegółów wyda się bardzo skąpą; szlachcice polowali ze sobą na zające, na niedźwiedzie, chodzili do lasu na grzyby, raz się pokłócili, jeden drugiego zajechał, a kiedy wojsko chciało robić między nimi porządek, rzucili się na wojsko, z czego zro-



biła się bójka, w skutku której wielu z nich musiało uciekać. Bójka Iliady ściągnięta do najprostszych wyrazów byłaby ta, że zrobiła się kłótnia między Achilesem a Agamemnonem, w skutku której Achilles nie chciał się bić, aż dopiero gdy Hektor zabił jego przyjaciela, Achilles wystąpił do walki i zabił Hektora. Treść Jerozolimy Tassa opowiedziana w krótkości wydawałaby się daleko obfitszą, bardziej obiecującą, treść Henryady, Stefana Czarnieckiego także, a rzecz? Otóż Grażyna ma tę samą oszczędną prostotę treści. Książ, który wszedł w układy z Niemcami, żeby najechać drugiego; żona, która czuje, że to się nie godzi i na własną odpowiedzialność te układy zrywa, a potem boi się przyznać mężowi co zrobiła i sama za niego idzie w pole i ginie; to wszystko rozpoczęte koło północy, skończone o wschodzie słońca, jest całą historią Grażyny. Tylko ta treść jest traktowana tak, jak nie mówiąc o Koźmianie lub Wolterze, ale jak Tasso swojego bujniejszego przedmiotu nie traktował.

Naprzód, godne uwagi jest to, że w poemacie rozmiarów tak małych, nie było właściwie miejsca na odkrywanie tła historycznego, na którym się ten obraz miał roztaczać. Tło takie jednak i związek z jakąś szerszą i ważniejszą akcją historyczną są potrzebne. Pan Tadeusz bez Napoleona, bez roku 1812 zeszedłby do daleko skromniejszego znaczenia i mniejby nas obchodził. Grażyna jest połączona z takim ogólnym i ważnym stanem historycznym, ze stanem Litwy rozdrobionej na udzielne księstwa, rozdartej niesnaskami swoich kniaziów, a pomiędzy nich wsuwa się zgrabnie Krzyżak, rozdziela, rozsada, żeby po jednemu wszystkich pochłonać. Ten stan rzeczy, to tło historyczne przedstawić wyraźnie w poemacie tak małym, nie musiało być rzeczą łatwą. Mickiewicz go nie opisuje, nie mówi nic o wewnętrznych zatargach Litwy ani o zamiarach zakonu, a przecież od pierwszej sceny czuje się, że między temi dwoma światami jest nieprzyjaźń nieublagana, śmiertelna, że Krzyżak Litwina zdradza, a Litwin nawzajem jak Krzyżaka schwyci, przywiąże go do drzewa i żywcem spali. Jedno słowo tego strażnika, co spuszcza most zamkowy przed komturem i rzecz zrobiona; wiemy czego się trzymać, w jakim świecie jesteśmy. Nienawiść litewska objawia się biernie prawie, skrycie, półsłówkami, mručeniem umyślném ale dobrze pozorami osłoniętém, wytrzymaniem Krzyżaka na wietrze i zimnie w zamkowym dziedzińcu; niemiecka wybucha z całą wściekłością, z całym uczuciem swojej wyższości wobec na pół dzikiego Litwina, z całą arrogancją i pogardą w chwili, kiedy komtur opuszcza zamek. To, to stosunek dwóch sił sprzecznych w Grażynie niemieckiej i litewskiej, a wewnętrzny stan Litwy ten znowu odbija się w tej goryczy i zazdrości, z jaką Litawor mówi o Witoldzie. Dawniejsza estetyka, która przywiązywała taką wagę do zawiązania poematu krótko, treściwie, a tak żeby w tém zawiązaniu były już widne wszystkie żywioły tego poematu, powinna była bić czołem przed ekspozycją Grażyny, bo piękniejszej i doskonalszej trudno znaleźć. Wstęp, nocny widok zamku na barkach nowogrodzkiej góry, jest opisem takim, jakie-

go dotąd nikt w poezji polskiej nie widział, a i po nim mało, bo sam Mickiewicz choć robił równie piękne opisy natury, to piękniejszych nie robił; to jest arcydzieło tak zupełne, tak doskonałe i skończone, że się to wszystko widzi: to nie jest opisane, ale malowane słowami. Pośpiech, niecierpliwość Krzyżaków, ich ton rozkazujący, ich pewność zdobywcy, a przecież gorączkowa chęć, żeby to już było spełnionem, żeby ta zмова z Litaworem na szkodę Litwy już się nie mogła odstać: to w kilku rysach charakterystyka jednej ze stron działających w poemacie. Obraz następny, rozmowa Litawora z Rymwidem wprowadza nas w tok rzeczy, objaśnia bliżej o co chodzi, a przytém jest w innym rodzaju taką doskonałością jak pierwszy opis. Przemowa Litawora jest przepyszna: gorycz, zazdrość, namiętność człowieka dzikiego lub dziecka, do rzeczy jaskrawych i błyszczących, do szyb szklanych i kobierców, wszystko to wyraża się z taką energią i z taką prawdą i tak wymownie, że Litawor, który właściwie ten jedyny raz przemawia i daje się poznać przez tę jedną przemowę, staje się żywą postacią, a ten głos sumienia, który przez słowa przebić się nie może, ale objawia się tém, że Litawor unika wzroku Rymwida, że gasi lampę niby to przypadkiem: to go uzupełnia tak, że mniema się widzieć wszystkich tych synów Gedymina lub Olgerda, Kiejstutów, Jagiełłów, Witoldów z ich naturą dobrą w gruncie, a zapalną, chwiejną, skłoną do zazdrości. Witold tak musiał gasić lampę, kiedy się zwał z cesarzem przeciw Jagielle i tak jemu zazdrościł Krakowa i korony, jak zazdrości Litawor Witoldowi szyb szklanych, kobierców i gmachów na Wilnie lub Trockiem jeziorze.

A naprzeciw tój natury łatwój do skuszenia, pomiędzy nią a pokusą, prawdziwy instykt litewski narodowy i prosty, instykt sumienia, Rymwid, może pierwsza najważniejsza figura w poemacie. Początek jego mowy, te wspomnienia dawnych wypraw, te rady jak ująć nowych poddanych z Lidzkiego księstwa, te opowiadania o sposobie ciągnięcia w pole, to jest homerycznej doskonałości, to przypomina rzeczywiście niektóre perory Nestora albo Ajaksa. A dalej kiedy prawda już się odkryła, kiedy i jako Litwin i jako wierny sługa swego pana nie może się zgodzić z myślą przymierza z Krzyżakami na Litwę; kiedy oburza się w nim i sumienie i uczucie czci własnej i nienawiść do Niemca: wtedy wybucha on słowami, które doprawdy godne są liczyć się pomiędzy najpiękniejsze, najbardziej mistrzowskie przedstawienia wzburzonego uczucia sposobem epickim. Gdyby ten ustęp nie był napisanym po polsku a przez to nieznanym światu, niezawodnie byłby cytowany wszędzie i zawsze jako wzorowy, klasyczny, może nie obok prośby Pryama lub pożegnania Hektora z Andromachą, ale niedaleko po nich, a blisko przemowy Nestora, Ajaksa i Odysseusza do zagniewanego Achileasa w namiocie, któremu przekładają także jak Rymwid Litaworowi, że nie powinien dla własnych krzywd gubić wspólnej sprawy.

W całym ciągu tój mowy jest stopniowanie uczucia i dowodów, coraz większa siła i wymowa jednego i drugich, a szczytem są te porównania, które mu podsuwa nienawiść Krzyżaków:



Zdarza się nieraz, że sąsiad sąsiada...

Po tej ekspozycji występuje dopiero główna postać poematu, Grażyna.

Przedstawienie jęj musiało być ogromną trudnością. Cała jęj natura, cała jęj rola, owszem cała treść powieści polega w tém, że ona fizycznie przechodzi zwykłe rozmiary kobiety. Gdyby nie była „równa książęciu wzrostem,” gdyby „całą postawą nie wydawała męża,” gdyby nie miała ręki wprawnej do rycerskich ćwiczeń, nie mogłaby Grażyna zmylić wojska, pójść na bitwę w zbroi Litawora, a wtedy nie byłoby powieści. Jeżeli zaś bohaterka rycerskiego i męskiego ducha, amazonka, jest zawsze wielkim szkopułem dla poetycznej inwencji a zwłaszcza dla poetycznego wykonania, bo bohaterem prawdziwym jak mężczyzna być nie może, a musi się wyzuć z kobiecęj natury i wdzięku, to czemuż dopiero musiała być ta, która fizycznie nawet ma te proporcye wyjątkowe, kolosalne na kobietę. Dziewica Orleańska nie jest wcale amazonką, ona nie wojuje mieczem ani włócznią, ale siłą Bożego ducha: zostaje kobietą, dziewczyną, choć w pancerzu.

Armida wojuje czarami, Klorynda mięsza się we wrzawę wojenną nie tyle z miłości rycerstwa jak z miłości rycerza. Bradamanę Aryost przedstawia jako istotę wyjątkową. Wreszcie te bohaterki należą do sfery bajki, legendy, fantazyi i dlatego samego są prawdopodobniejsze, że nie żądają żebyśmy w nie zupełnie wierzyli. Ale Grażyna inaczej: ona jest amazonką poprostu i do tego amazonką kolosalnych rozmiarów, jęj było trudniej jak każdej innęj być rzeczywistą, prawdziwą, a zostać piękną, nie stać się rażąca.

Mickiewicz poradził na tę trudność z dziwnie szczęśliwym zmysłem artystycznym, właściwie mówiąc, ominął ją. Pokazał nam tylko tę Grażynę wielką, silną, podobną do tych amazonek rzeźby greckiej, których proporcye są za duże na zwyczajną kobietę, kości za mocne, muszkuły za sprężyste, stawy i spojenia murowane, w których delikatności kobiecęj i gracji nie ma, a które przecież są kobietami i są piękne. W tym rodzaju jest i ta Grażyna, której poeta bardzo trafnie daje wiek średni, po lat niewieścich schodziła południu. W tym wieku można sobie wyobrazić piękność połączoną z majestatem postawy w pełnem rozwinięciu form i linii, chociażby cokolwiek więcej jak naturalnej wielkości. A tak ją pokazawszy, zaraz ją chowa. Grażyna ciągle działa, jest duszą wszystkiego, a prawie jęj nie widzimy na scenie. Ledwo zamieniła kilka słów z Rymwidem, idzie do męża, znika; my widzimy że ona działa, ale nie widzimy jęj, tylko Rymwida, który podsłuchuje jęj rozmowy z Litaworem. Później kiedy goniec donosi, że Krzyżacy się gotują do szturm, znowu Grażyna po kilku słowach znika; jakie byty jęj walki z sobą i obawy, jak w jęj głowie powstało postanowienie, tego nie widzimy: „ja sama idę budzić męża” mówi Grażyna, domyślamy się, że chce z nim mówić sama, żeby mu wyznać co zrobiła i usprawiedliwić się, a co się wtedy dzieje nie wiemy, i widzimy dopiero rycerza z mieczem u prawego boku, który bez hasła i do-



wództwa milczkiem wyjeżdża z zamku. Tak z dziwną sztuką umie poeta utrzymać Grażynę ciągle w działaniu, a nigdy nie wysunąć jej naprzód i tym sposobem unika wszystkich rysów bliższych, w których musiałaby była wydać się niemiła sprzeczność między naturą kobietą, a poroczanymi i sposobem życia amazonki. Jak Mickiewicz dbał o to, żeby jej nie nadać tego charakteru *virago* a zostawić jak najwięcej natury kobiecej, dowodzi to, że ją robi jak może najślabszą: ona ledwo miecz dźwiga, a ciąć nie ma siły; robi ją żoną uległą, poddaną, owszem cokolwiek bojącą się męża; te obawy i wątpliwości Grażyny, to jej wahanie kiedy do niego idzie, kiedy puka do drzwi, „później jej pomieszanie kiedy się dowiaduje o odjeździe posłów,” pomieszanie kobiety, która poszła za pierwszym popędem uczucia i stworzyła przez to położenie, któremu nie może poddać, na które sama czuje się zasłabą; to wszystko jest po prostu mistrzowskie, bo naszkicowane tylko kilkoma rysami, kilkoma słowami, a tak wyraziste, tak widoczne, tak wystające, jak płaskorzeźba.

Drugi walny moment powieści, bitwa, objawił w całej świetności i pełni talent epicki Mickiewicza. Przepyszny był obraz nocy jesiennej i Nowogrodzkiego zamku, figury w scenie Krzyżaków, w scenie Rymwida z Litaworem, Rymwida z Grażyną, niezmiernie plastyczne; ale co innego jest piękny opis natury, piękna postać, piękna rozmowa a jeszcze co innego taka wielka scena zbiorowa, taki obraz jak bitwa. Różnica taka jak w malarstwie między widokiem lub jedną postacią a kompozycją: tu każdy szczegół musi żyć i ruszać się sam przez siebie, każdy musi należeć do jakiejś grupy, która każda znowu musi mieć swoją całość i harmonią, a wszystko, pojedyncze szczegóły, postacie grupy, muszą być tak ułożone, żeby pozwalały zawsze widzieć całość tego co się dzieje. Pod tym względem do rzeczy najdoskonalszych na świecie należy bitwa z Pana Tadeusza; bitwa w Grażynie nie tak wykończona, szkicowana tylko ogólnymi rysami, bitwa w której z ogólnego tła bitwy wystają tylko trzy postacie: Grażyna, Komtur i Czarny rycerz, jest na mniejszą skalę, ale jest godnym przygotowaniem do tamtej, pozwala ją przeczuć. Że rozmiary powieści nie pozwalały poecie rozwieść się szeroko z opisami i opowiadaniem, że owszem musiał się jak najbardziej streszczać, więc właściwie całość obrazu, ruch bitwy, ujęty jest w trzy porównania: pierwsze na wstępie, kiedy Litwini zdala ujrzeni Krzyżaków (Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie), druga w samym ogniu walki, kiedy jedna strona drugiej przemódz nie może (Tak ojciec Niemen), trzecia, kiedy na blizkich zwycięztwa Niemców spada jak piorun rycerz nieznajomy (Jako leśnicy).

Porównania prawdziwie godne Iliady, lub najpiękniejszych porównań Wirgiliusza. Z wyjątkiem jednego Miliona, cała poezja opisowa chrześcijańska na takie się nie zdobyła. I znowu pojąć nie można, że jeżeli już nie co innego, to te porównania tak symetryczne, tak regularne, tak klasyczne nie rozbroiły klasyków. A teraz następuje pięta Achillea, tej doskonałości tego arcydzieła, tej perły wykonania i maestryi. Trzeci moment powieści, zakończenie, od upadku Grażyny na polu bit-

wy, aż do spalenia jój ciała na stosie, to nie jest tak wykonane jak cała powieść aż dotąd. Piękna jest zawsze, zwłaszcza ten ustęp, w którym zebrany lud niespokojnie i smutno patrzy na przygotowania do spalenia ciała, ale nie jest to już ta nieprzerwana ciągłość i następstwo scen równie doskonałych; traktowane to jest pobieżniej, niedosć może rozwinięte, niedosć opisane, zwłaszcza kiedy Rymwid poznaje Grażynę. Dla utrzymania tajemnicy przed wojskiem, może dlatego żeby ją odsłonić dopiero z efektem w ostatniej chwili, kiedy Litawor podnosi przyłbicę i rzuca się na stos, na którym płoną zwłoki Grażyny; ten moment bardzo ważny, jeden z najważniejszych, jest zaledwo dotknięty: poeta się przez niego prześliznął tylko, nie opisał go. Ze sam czuł niedostateczne wykończenie tych scen ostatnich, dowodzi ten dodany epilog, który jednak złemu zaradzić nie może. On tłumaczy tylko wątek powieści, objaśnia co się stało: to zbyt, to zbyt, wiedzielibyśmy, rozumielibyśmy i bez epilogu, a nie może naprawić pobieżnego, nieco zaniedbanego wykonania ostatnich scen, które same przez się są bardzo piękne, ale tracą na sąsiedztwie z niezrównaną pięknnością poprzednich.

Ze stanowiska artystycznego jest Grażyna jedną z przedziwności poezyi opisowej, nietylko polskiej, a w dziele Mickiewicza pod tym względem staje zaraz za Tadeuszem. Psychologicznie jest dziwną zagadką, bo trudno pogodzić jój zupełną obiektywność z tą najwyższą subiektywnością jaką był Gustaw, jój rówieśnik co do czasu, a zagadkę tę wytłumaczyć sobie można tém tylko chyba, że talent Mickiewicza był już od samego początku, we wszystkich swoich kierunkach wyrobiony i gotowy. Pomimo całej swojej piękności jednak, jest Grażyna tém jego dziełem, które na nas robi najmniej wrażenia, względem którego jesteśmy najobojętniejsi. Przemawia ona tylko do naszego zmysłu artystycznego, uczucie zostawia w spokoju. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do tego, że nasza poezya mówi do pewnych strun naszych uczuć, że gdzie tego nie ma, tam urok poezyi nie działa na nas, tak jakby mógł: albo może z natury z naszym usposobieniem miękkim, skłonném do rozrzewnienia, żądamy bezwiednie od poezyi, żeby nas rozrzewniła jakim bądź sposobem, ale żeby nas rozrzewniła koniecznie. W Stowackiego *Szwajcaryi*, w *Ojcu Żadźmionych*, ta pewna struna nie odzywa się wcale, a dla tych nie jesteśmy tak obojętni jak dla Grażyny; widać że nam w poezyi trzeba koniecznie choćby jednej szczypty liryzmu, którego w Grażynie i tylko w niej jednéj u Mickiewicza niéma. Ale nie idzie za tém, żeby nie było w niej głębszej, poważnej, a łatwej do zrozumienia myśli; niéma chwilowych namiętności, niéma alluzji do bliższych czasów, ale sam stan Litwy zagrożonej, poczucie Grażyny i Rymwida, że w takim stanie stawiać osobiste cele lub urazy wyżej nad interes wspólny, jest niesławą i występkiem: wszystko to ma swoje przystosowanie może dalekie i pośrednie, ale łatwe i widoczne. Nie trzeba téż szukać w Grażynie apoteozy kobiet polskich, jak to niektórzy chcieli, a tém mniej zamiaru wyniesienia ich wysoko z ujmą męczyzn; najmniej zaś apoteozy amazonek, kobiet wojujących, to nie Grażyna jest poetyczném obrobieniem daw-



nęj legendy, nie nowoczesną ideą ani tendencją; jednak jest w niej niezaprzeczenie prawda psychologiczna, ogólna, która na chwałę kobiet wychodzi, to jest, że nieraz tam, gdzie sumienie męzkie uwiedzione namiętnością, a otumanione sofizmem posunie się lub gotowe posunąć się do złego, tam instykt, uczucie kobiety znajdzie prawdę, znajdzie powinność, znajdzie to co jest dobrém, a wzdrygnie się na złe. Grażyna jest mimowolnem może, bez wyrachowania, ale bardzo piękném, poetyczném wyobrażeniem téj prawdy.

Jednak ze wszystkich poezyi Mickiewicza, ona ma u nas najmniej nie ceny może, ale wziętości. Na to poradzić nie możemy; a może téż za to ona będzie wynagrodzoną kiedyś w przyszłości, jak ludzie spokojniejsi, żyjący w stosunkach normalnych, będą czuli na piękność artystyczną i lepiej usposobieni do zachwycania się tą pięknoscią. Wtedy nadejdzie może czas *Grażyny*. A należy się jej to słusznie, bo co do piękności, doskonałości, wykończenia, jest prawdziwym klejnotem naszej poezyi, arcydziełem skończoném.

---

## FILOZOFIA SPINOZY I DZISIEJSZY PANTEIZM \*).

PRZEZ

*Dra M. Straszewskiego.*

### IV.

Podobnie jak w soczewce łączą się i skupiają rozproszone promienie światła, aby przeszedłszy przez nią rzucić w oddali wydatniejsze obrazy przedmiotów, od których pochodzą; tak w wszechstronnym a syntetycznym umyśle Spinozy zbiegły się i skupiły wszystkie odcienia i kierunki panteizmu, aby się później znowu rozproszyć i z tego jednego punktu tém potężniej na dalszy ruch umysłowy oddziałać.

Panteizm może być stosownie do obranego punktu wyjścia albo panteizmem teologicznym, albo mistycznym, albo przyrodniczym, albo téż może przybrać także charakter przeważnie logiczno-metafizyczny. Teologicznym a przytém mistycznym był panteizm filozofów żydow-

\*) Dalszy ciąg—ob. zeszyt za kwiecień r. b.



skich, przyrodniczym nowy panteizm włoski w epoce odrodzenia, podczas gdy we filozofii greckiej i średniowiecznej chrześcijańskiej przybię-  
 rał on cechy systemów albo przeważnie metafizycznych albo też misty-  
 cznych. Tymczasem panteizm Spinozy jest tak dobrze teologicznym  
 jak mistycznym, tak dobrze przyrodniczym jak ulanym z formy pojęć  
 i określeń metafizycznych. Nie trudno sądzić wyprowadzić z tego wnio-  
 sek, że system Spinozy musi być najwięcej skończonym typem panteis-  
 tycznego na świat poglądu, że błędy jego muszą być wspólne wszystkim  
 poszczególnym kierunkom panteizmu, i że wyniki, do jakich żelazna  
 doprowadziła go konsekwencya muszą być najwierniejszym i najpraw-  
 dziwszym wyrazem rezultatów panteizmu w ogólności. Przekonaliśmy  
 się w poprzedniej części naszej pracy, że filozofia Spinozy opiera się na  
 logicznie fałszywym pojęciu substancji czyli bytu, że nie jest dalej  
 w stanie wytłumaczyć różnorodności bytu oraz istnienia myślącego pod-  
 miotu a nareszcie, że w praktycznych wynikach zmierza do zaprzecze-  
 nia jedynie możliwych warunków prawdziwej moralności; nie mogąc zaś  
 utrzymać należytej równowagi między pojęciem wolności jednostki a si-  
 ły społecznej, zmuszoną jest ostatecznie poświęcić jednostkę jako objaw  
 niższego rzędu na rzecz społeczeństwa, jako objawu wyższego i skończyć  
 na apoteozie siły, jako jedynie w objawach wszechistnienia uprawnionej  
 zasady. Doszliśmy zaś do takiego pojęcia systemu Spinozy dlatego, że  
 nie łudzimy się wcale wyrazami, że zewnętrznej formy nie bierzemy za  
 istotę i treść rzeczy. Prawdą jest, że Spinoza miał najwznioślejsze po-  
 pędy, prawdą, że od młodości głęboko był przejęty religijnością, prawdą  
 nareszcie, że moralne udoskonalenie samego siebie w cnocie i w wiedzy,  
 było celem całego jego życia; ale cóż z tego, kiedy nad wszystkim  
 przeważała i wszystko opanowała dążność do wszechjedności, dążność  
 przesadna, mająca swoje źródło zarówno w fałszywym pojmowaniu po-  
 łączenia się z Bogiem, jak w fałszywym pojęciu samego Boga, substan-  
 cji i przyrody, dążność, która pierwotnym chęciom nadała inny zupeł-  
 nie obrót i inne znaczenie, a w konsekwencyach obaliła wszystko, co  
 z początku dla umysłu Spinozy najwyższy miało urok. Przy końcu pozos-  
 tały już tylko nazwy dawne, które nigdy nie przestały być dlań drogic  
 i święte. W oczach Spinozy były one zawsze jedne i też same, albowiem  
 proces przetapiania ich odbywał się w jego umyśle stopniowo i nader  
 powoli, ale w rzeczywistości napełniły się one treścią zupełnie niepodob-  
 ną do téj, jaką posiadają w prawdziwym teistycznym na świat poglą-  
 dzie. Poznał się też na filozofii Spinozy, pomimo zewnętrznej powłoki, któ-  
 rą może sam Spinoza się łudził, prosty i naturalny zmysł ówczesnego spo-  
 łeczeństwa przejętego jeszcze nawskróś zasadami religii chrześcijańskiej,  
 a filozofia ta wydała się ówczesnej opinii publicznej dziwnie obcą  
 i wstrętną. Straciła na tém oczywiście szlachetna postać samegoż my-  
 śliciela, oczerniona i oplwana przez fanatycznych i głupich przeciwni-  
 ków, którzy nie mogąc podobać orlim lotom jego myśli, mścili się przy-  
 najmniej na osobie ich twórcy. Ale gdy z drugiej strony rozsiewane ze  
 wszech stron ziarno panteizmu, zaczęło coraz bujniej wschodzić, gdy co-

raz dalej sięgała reakcja najpierw przeciw kościołowi a później przeciw chrześcijaństwu w ogóle: wówczas umysły zaczęły coraz więcej zwracać się w tę stronę z kąd biło owo jasne światło powstałe ze zjednoczenia się na jednym punkcie rozproszonych przedtém promieni, a spotęgowane błyskiem wielkiego geniuszu, i zaczęto coraz pilniej przeglądać się w tém świetle, każdy zaś przeglądający, zobaczył tam siebie i myśli swoje. I nic dziwnego, gdyż w systemie Spinozy można każdy kierunek panteizmu zobaczyć, zależy to tylko od stanowiska jakie zajmujemy i od miary, jaką doń przyłożymy.

Każdy przeto kierunek skłaniający się do panteizmu w apoteozie Spinozy wielbił właściwie własne myśli swoje. Dlatego też zachowanie się różnych filozoficznych i unysłowych kierunków wobec filozofii Spinozy, podaje nam wyborne kryterium do ocenienia zawartej w nich istotnej treści.

W pismach Spinozy musi każdego na pierwszy rzut oka uderzyć objawiająca się wszędzie głęboka cześć dla religii i uczucia religijnego, połączona jednak z chęcią zracyonalizowania prawd religijnych i nadania im nowego mistyczno-rozumowego znaczenia i podścieliska. Ponieważ wszystko we wszechświecie jest wynikiem bezwzględnej konieczności, a zatem jest i religia koniecznym w rozwoju ludzkości objawem, jest wyrazem związku człowieka z wszechjednością, z Bogiem naturą, czyli objawu z substancją. Ale między religią pojętą jako mistyczne uczucie wynikające z rozumowego pojęcia świata a religią, ujętą w stałe dogmata podawane w formie prawd nadprzyrodzonych, jest według Spinozy wielka bardzo różnica: jeżeli ten pierwszy rodzaj religii wywyższa on nad wszystko, to przeciw drugiemu z całą oświadcza się stauowczością. W słynnym swoim traktacie teologiczno-politycznym, poddaje Spinoza tak dobrze dogmatyczny Judaizm jak i dogmatyczną powagę kościoła katolickiego surowej krytyce a nietolerancję religijną, smaga nielitościwie. On nie uznaje żadnych prawd nadprzyrodzonych, albowiem wszystko u niego jest przyrodzonym i koniecznym; on nie potrzebuje dogmatów, albowiem matematyczna pewność w dziedzinie wiedzy, jest dlań podstawą wiary i mistycznego uczucia w religii. Gdy jeden z jego dawnych uczniów i przyjaciół, który przeszedł na katolicyzm, pragnąc pociągnąć go za sobą, pisał do Spinozy że filozofia jego jest chimerą i pytał, „a z kąd wiesz, że filozofia twoja jest najlepszą?” to Spinoza odpowiada mu na to: „szalony młodzieńcze, ty nazywasz filozofią moję chimerą i pytasz z kąd ja wiem, że ona jest najlepszą. Czym odkrył najlepszą filozofią tego nie wiem, ale to wiem, że u mnie poznał jedynie prawdę, a wiem o tém, dla tej samej przyczyny, dla której ty wiesz, że suma trzech kątów w trójkącie równa się dwóm kątom prostym<sup>1)</sup>. O ile zapatrywania takie musiały razić przywiązanych do kościoła katolików, o ile nawet protestanci wierzący i żydzi gorszyli się z początku surową krytyką tekstu Pisma Świętego, to z drugiej strony musiały one przy-

<sup>1)</sup> Op. post. 610 Ep. LXXIV, Nobilissimo Juvenci Alberto Burgh.



paść do przekonania teologów skłaniających się ku mistycznemu racjonalizmowi. Imię Boga było ciągle na ustach Spinozy, ale imię Boga natury poznawanego jedynie i wyłącznie przez rozum i przez mistyczne uczucie; ztąd poszło, że wpływ Spinozizmu uwydatnił się najpierw w racjonalistycznej teologii.

Panującym w XVII wieku w Holandyi wyznaniem był kalwinizm. Twórca tego wyznania słynny reformator XVI wieku, posunął się najdalej ze wszystkich w reformie swojej. Odrzucając hierarchię i wszelkie pośrednictwo między Bogiem a człowiekiem, z nauką swoją o bezwzględnej predestynacji, przechylił się stanowczo na stronę mistycznego racjonalizmu i panteizmu. Człowiek jako jednostka nawet dla swego własnego zbawienia nic zdziałać nie może, Bóg wszystko przewidział, Bóg ustanowił konieczność, która nie zostawia miejsca dla woli jednostki. W obec takiego stanowiska zajętego w teologii przez kalwinizm, nie można dziwić się, że jeden z wyznawców kalwińskiej religii a równocześnie uczeń Kartezjusza, Geulinx, przekształcił filozofią tego ostatniego w tak zwany okazyonalizm, który tłumaczy stosunek między duchem a ciałem w człowieku na zasadzie nieustającego pośrednictwa Istoty Boskiej. Wynikła z tego Etyka stawiająca rezygnacją i poddanie się wyższej konieczności jako najdoskonalszą cnotę, w metafizyce zaś Geulinx znajduje się twierdzenie, że my jesteśmy objawami (modi) ducha Boskiego i nie posiadamy warunków samodzielnego istnienia <sup>1)</sup>. Od kalwinizmu przeto do filozofii Spinozy był tylko krok jeden, potrzeba było tylko predestynacją nazwać koniecznością, z człowieka w teorii zrobić to, co z niego kalwinizm zrobił już w praktyce, a Pismo Święte podać mistyczno-racjonalnemu tłumaczeniu, w czym Kalwin nawet dał już przykład, aby system Spinozy jaknajściślej zespolić z kalwińską teologią. Zespolenia takiego dokonali rzeczywiście z końcem XVII i na początku XVIII wieku, niektórzy kalwińscy kaznodzieje, a kazalnica była pierwszym miejscem, z którego rozpoczęło się popularyzowanie Spinozizmu, tak pod względem etycznym jak dogmatycznym.

Fryderyk van Leenhof kaznodzieja w Zwolle w Holandyi był tym, który zaczął przekształcać kalwińską moralność na modłę Spinozizmu. W dziele swoim wydanem w r. 1703 pod napisem: *Raj na ziemi* <sup>2)</sup>, zastąpił Leenhof kalwińską predestynacją, koniecznym wszechrzeczy porządkiem Spinozy, i przejął od niego nie tylko całą naukę o człowieku ale i jego sposób tłumaczenia pisma. Wówczas jednak zreformowany kościół kalwiński zanadto był jeszcze chrześcijańskim, nie mógł więc zgodzić się na nauki Leenhofa, który nie chciał nawet przyznać, żeby była między nim a Chrześcijaństwem jakaś różnica; rzucono

<sup>1)</sup> Zob. Erdmann Gr. der Gesch. der Phil. II str. 27.

<sup>2)</sup> Zob. Ant. van der Linde Spinoza etc. str. 135. Oryginalny tytuł dzieła Leenhofa brzmi jak następuje: Den Hemel op Aarden of een korte en klare beschryving van de ware en standvastige blydschap: zoo naar de Reden als de H. Schrift voor alle slag van menschen en mallerlei voorvallen.



więc na niego ekskomunikę <sup>1)</sup>. Drugim, który chciał wprowadzić Spinozizm do zreformowanej teologii kalwińskiej był *Pontiaan van Hattem* kaznodzieja w Philippsland w Zeelandy <sup>2)</sup>. Tak on jak uczeń jego Buitendyk doszli ostatecznie do skrajnego panteistycznego racjonalizmu, w którym matematyczna tylko forma Spinozy została zastąpioną biblijnym sposobem wyrażania się; natomiast Jakób Brill <sup>3)</sup>, wytworzył znowu z połączenia nauki Kalwina, z filozofią Spinozy panteistyczny mistycyzm. Bóg jest jednością, czyi Brill, a wszystko jest w nim jednością. On jest istotą wszystkich rzeczy, które same przez się są niczém, czém są, są w Bogu, gdyż Bóg jest wszystkim. Cały wszechświat jest tylko Jego cieniem, my jesteśmy Jego objawami, kształtami, obrazami. On jest Jedyńą Istotą i jedynym bytem. Tak samo jak w arytmetyce zera nic nie znaczą, i zawsze zero wydają, ponieważ są niczém; tak samo rzeczy doczesne są to *non entia*. Gdy jednak zera dostaną przed siebie jedynekę to wtedy nabierają dopiero znaczenia <sup>4)</sup>. W takich to formach dostała się filozofia Spinozy do religii i teologii kalwińskiej, z początku władza kościelna broniła się przeciw niej wszelkimi siłami, ten sam los który spotkał Leenhofa, spotkał później Hattema i jego uczniów. Ale walka taka nie mogła potrwać długo, kalwinizm bowiem nie ma siły oprzeć się zasadom Spinozy. Tam gdzie byt indywidualny ma tak mało przyznanej sobie niezależności, tam utrzymanie się na stanowisku teistycznym i chrześcijańskim, jest rzeczą niemożliwą. Doczekaliśmy się też dzisiaj tego, że panująca obecnie w Holandyi teologia szkoły lejdeńskiej, przekształciła predestynacyą w bezwzględny etyczny determinizm, i doszła do zupełnego panteistycznego monizmu. To też dzisiejsi kalwińscy kaznodzieje i teolodzy mieniący się zawsze jeszcze chrześcijanami, dołączają także głosy swoje do ogólnego chóru apoteozującego Spinozę, przełamanie dualizmu Kartezjusza i dojście do zupełnego monizmu poczytują mu za największą zasługę, i przyjmują jego sposób tłumaczenia nauk chrześcijańskich, w którym właściwe ich znaczenie zupełnie się zatracą <sup>5)</sup>.

Jeżeli teologia kalwińska uległa dzisiaj zupełnie potężnemu wpływowi filozofii Spinozy, to ten sam los spotkał teologię żydowską. Charakterystycznym jest następujący fakt: na początku zeszłego wieku pewien teolog i filozof żydowski, nazwiskiem David Nieto został oskarżony o panteizm, ponieważ uczył w myśl Spinozy, że Bóg i natura to jedno. Wszyscy byli pewni że spotka Davida ten sam los co i Spinozę, tymczasem rabin amsterdamskiej synagogi, téj saméj która kilkadziesiąt lat przedtem rzuciła klątwę na Spinozę, nazwiskiem Chacham

<sup>1)</sup> Van der Linde str. 136.

<sup>2)</sup> Tamże str. 144.

<sup>3)</sup> Tamże str. 147.

<sup>4)</sup> Tamże str. 159 — 160.

<sup>5)</sup> Zob. J. H. Scholten doctor und professor der theologie in Leiden.

Zwi Aschkenasi uwolnił Nieta, uwolnił go zaś na tój zasadzie, że i Biblia uczy także szukać i znajdować Boga w naturze. Zaiste dosyć prędko zmieniły się czasy i stosunki; a dzisiaj przyszło już do tego, że uczeni teologowie żydowscy chlubią się Spinozą, a wyrzucając przodkom swoim brak tolerancyi i zaślepienie, widzą w nim nowożytnego apostoła Judaizmu. Jestto objaw zupełnie naturalny; religijne bowiem spekulacye żydowskie, wszedłszy raz na drogę Talmudu i Kabbali, musiały skończyć na Spinozynie, który jest ich ostateczną konsekwencyą. Po odrzuceniu zabobonów Talmudu i fantastycznych przenośni Kabbali, cóż pozostaje dla myślących żydów jako metafizyczna podstawa ich religijno-filozoficznego na świat poglądu: oto wszystkość, przestrzeń nieskończona (Hamakom), jako treść Istoty Boskiej, to samo co uczył Spinoza. Tak kalwinizm przeto jak i średniowieczny judaizm, w jedną popadli ostateczność, a nie przyznawszy stworzeniu dostatecznych warunków bytu wobec Stwórcy, doszli do stanowiska, z którego patrząc na filozofię Spinozy, zobaczyli w nim najwierniejszy obraz myśli swoich. Nie darmo też uczeni dzisiejsi rabini na Zachodzie zajmują się filozofią Spinozy, równie gorliwie a może nawet gorliwiej niż Biblią i Talmudem. Dochodzą, jak np. między innymi Joël, związku między filozofią żydowską średniowieczną a myślami Spinozy<sup>1)</sup>, starając się przedstawić je jako najszczytniejszy wynik narodowej spekulacyi żydowskiej. To też pod wpływem Spinozizmu zmienił się dawny religijno-mistyczny panteizm żydowski, w zupełny racjonalizm. A w dwóchsetną rocznicę śmierci Spinozy, mógł rabin z Alzey dr. Rothschild ogłosić filozofią Spinozy ze stanowiska judaizmu, za *bezwzględną prawdę ludzkiego rozumu*, która wpływa na całą nowożytną filozofię, która będąc w zgodzie z religią w ogóle, a w szczególności z religią żydowską, wpływa także w sposób najbardziej stanowczy na religijny kierunek ostatnich wieków<sup>2)</sup>.

Narodem, wśród którego wpływ Spinozizmu najgłębsze na wszystkich umysłowych kierunkach wyrzył ślady, gdzie dotrwał aż do obecnej chwili, i w oczach naszych wzmaga się potężnie, są Niemcy. Przyczyny tego objawu są bardzo różne. Należy ich przedewszystkiém szukać w ogólnym charakterze umysłowości niemieckiej, skłonną zawsze do mistycznego racjonalizmu, a zatem i do panteizmu. Pierwszym, prawdziwie narodowym płodem myśli niemieckiej jest mistyka Eckharta; tutaj już znajdujemy rzuconą myśl, że jedynym, prawdziwym

1) Zob. prace Joëla: Don Chasdai Creskas Religions-philosophische Lehren in ihrem geschichtlichen Einflusse dargestellt. Berlin 1866. Spinoza's theologisch-politischer Traktat auf einem Quellen geprüft. Breslau 1870. Zur Genesis der Lehre Spinoza's. Breslau 1871.

2) Dr. Rothschild, Spinoza, Zur Rechtfertigung seiner Philosophie und Zeit. Eine Denkschrift zum 200 jähr. Todestage, Leipzig 1877 str. 22. Dr. Rothschild dowodzi na str. 30, że hebrajski wyraz *Ihvh* (Jehova) odpowiada najwierniej pojęciu Boga u Spinozy.



bytem jest Bóg, wszystko zaś co nie jest Bogiem jest niczém; dlatego też stworzenie nietylko jest z niczego, ale samo dla siebie wzięte jest niczém <sup>1)</sup>. Pierwszym praktycznym owocem tój mistyki niemieckiej, była reforma Lutra. Że Luter był w rzeczy samój mistykiem, i że nauka jego o skuteczności wiary bez dobrych uczynków, odmawiając człowiekowi wszelkiej samodzielności, w konsekwencyach zmierza do zupełnego zlania człowieka z Bogiem, z wszechjednością, to prawdy te zostały w ostatnich czasach przez samych protestantów w części uznane. Aby od religijnego mistycyzmu dojść do racjonalizmu z panteistycznym zakrojem, do tego potrzeba było tylko, Pismo Święte poddać surowszej krytyce i symbolicznemu tłumaczeniu, a opartą na powadze Pisma wiarę zjednoczyć z pojęciem wiedzy, a w takim razie ostateczny wynik żadnej nie mógł ulegać wątpliwości. Takiego to właśnie w dziedzinie protestanckiej teologii przewrotu dokonała filozofia niemiecka XVIII w., dokonał głównie Lessing i Herder. Rzecz jednak dziwna zaiste, że do takiego rzeczy obrotu, przyczynił się bardzo wiele myśliciel, którego filozofia jest najzupełniejszą antytezą Spinozyzmu, przyczynił się pomimo woli i chęci Leibnitz. Wiek XVII był w Niemczech wiekiem reakcyi, wiekiem usiłowanych we wszystkich kierunkach kompromisów. Na polu umysłowém, najświetniejszym wyrazem tych dwojakich dążeń jest działalność Leibnitza. Filozofia jego jest z jednéj strony reakcyą, i to reakcyą podjętą z całą świadomością przeciw mistycyzmowi i przeciw filozofii Spinozy; działalność zaś jego na polu polityczno-religijném, była skierowaną głównie do pogodzenia kalwinów z protestantami, protestantów z katolikami, do przywrócenia państwu niemieckiemu politycznej i religijnej jedności.

Potężny umysł Leibnitza łatwo poznał się na filozofii Spinozy i dostrzegł, że jest ona absolutném przeciwieństwem chrześcijaństwa. Ponieważ zaś cała ta filozofia stoi na pojęciu substancyi, chcąc zatem dojść do filozoficznego na świat poglądu, któryby raz na zawsze stanowczo wykluczał panteizm, potrzeba koniecznie poprawić pojęcie substancyi, i w królestwie tego pojęcia uwidocznic możność istnienia substancyi stworzonej czyli bytu w istnieniu swoim ograniczonego. Istotę pojęcia substancyi stanowi według Leibnitza istnienie czyli działanie. Bez działania nie masz istnienia, bez istnienia nie masz substancyi; wszystko zaś co działa jest siłą, w pojęciu substancyi musi być zatem wyrażone, że ona posiada warunki działania, że jest siłą. Siła a substancya to pojęcie zupełnie identyczne, wszystko co działa jest siłą, jest substancją. Otóż faktem jest, że działanie objawia się we wszystkich rzeczach, duchy myślą na podstawie własnych w nich zawartych zdolności, ciała poruszają się i istnienie swoje w sposób czynny objawiają. Wynika z tego, że musi koniecznie istnieć wielość substancyi, jeżeli bowiem przyjmiemy jedną tylko substancją, to

<sup>1)</sup> Zob. Pfeiffer *Deutsche Mystiker des 14-ten Jahrh.* 2 Bd. 1857 p. 186.



w takim razie nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć działania poszczególnych rzeczy i duchów, nie jesteśmy w stanie pojąć różnorodności w bycie. A zatem pojęcie substancji postawione przez Spinozę jest złe. Chcąc je poprawić potrzeba koniecznie w pojęciu substancji uwidocznić, że był wszelki aby mógł działać a zatem istnieć, musi być czemś pojedynczym, jednostkowym, czyli że substancja nie może być jedna ale musi być ich wiele. Określa zatem Leibnitz substancją w przeciwieństwie do Spinozy jako siłę jednostkową, która posiada warunki działania w sobie, jako monadę, która jednak nie koniecznie musi być *causa sui*. Wszechświat zatem według Leibniza nie jest objawem sił jednej substancji i nie jest jednym wielkim oceanem bytu, jak utrzymywał Spinoza, ale jest zbiorowiskiem nieskończonej liczby substancji i jest jedną olbrzymią republiką monad czyli sił działających. Każda monada ma w sobie warunki bytu swego i działania a w Bogu jako monadzie pierwszej i najwyższej przyczynę swojego istnienia. W ten sposób usiłuje ominąć Leibnitz szkopał panteizmu, wychodząc z tego nader trafego założenia, że panteizm nie jest w stanie wystawić różnorodności bytu a zatem, że jest błędnym w zasadzie i w założeniu.

Ale jeżeli Kartezjusz chcąc utrzymać zupełną odrębność ducha od materji przesadził w jednym kierunku, przyznając zamało warunków istnienia bytowi ograniczonemu, to Leibnitz przesadził znowu w przeciwnym, przyznając mu ich zawiele. Utorował przez to sam mimo woli i chęci późniejszej filozofii niemieckiej drogę do powrotu na panteistyczne stanowisko Spinozy.

Leibnitz do tego stopnia obawia się, aby jego monady nie były zjednoczone w jednej substancji, iż nie chce nawet przypuścić między monadami wzajemnego oddziaływania na siebie. Monady czyli siły jednostkowe są to substancje, których cała działalność jest wewnętrzna, polega na wewnętrznym rozwijaniu, każda zatem monada tworzy sama dla siebie całość i świat osobny, w niej wszystko jest zawarte, z siebie czerpie całą treść rozwoju, jest zwierciadłem wszechświata, w którym całe *universum* się odbija bez żadnego z jego strony na też monadę oddziaływania. Że zaś porządkowi myśli i idei w każdej monadzie odpowiada zawsze porządek rzeczy w wszechświecie, to przyczyną tego jest najprzód ustanowiona przez Stwórcę najmędrszego odwieczna harmonia wszechświata. Harmonia ta sprawia, że każda monada znajduje się zawsze na takim stopniu rozwoju, na którym znajdowałyby się wówczas, gdyby wszystkie inne monady rzeczywiście na nią działały. Zamiast więc jednej substancji, mamy u Leibniza nieskończoną ich ilość, z których każda nader podobną jest do owiej jednej substancji Spinozy. Życie i działanie każdej monady polega jak tu tak i tam na wewnętrznym rozwijaniu się; wszechświat zaś cały dla każdej monady z osobna jest tak samo dla niej objawem jej wewnętrznego działania, jak u Boga natury w systemie naszego wielkiego panteisty. Monada nie potrzebuje do istnienia swego i działania innych monad, ona sama w sobie a nie przez inne jest ograniczoną, ona sama z siebie wszystko wytwarza. Nawet Bóg w końcu staje się w tym

systemie prawie jakby zbyt czynnym, naprzód przez Niego ustanowiona harmonia zastępuje Go najzupełniej. Bóg jest wprawdzie najmędrszy, najdoskonalszą monadą, ale jak rozumieć stosunek między Nim a światem, między monadą boską a stworzonymi monadami? Bóg jest samą, czystą siłą, bez żadnego ograniczenia; wiemy jednak że siła na zewnątrz działać nie może, w takim więc razie monady są owocem jej wewnętrznej działalności, są objawami myśli Boskiej, są to jej wieczne modi i oto schodzimy na stanowisko Spinozy. Ale Leibnitz pojmuje monady jako fulguracje Istoty Boskiej, od wieków obok Niej istniejące, które w sobie rozwijają się i działają. W tym przypadku Bóg potrzebnym był tylko do stworzenia monad, na które potem oddziaływać nie może. Nadto Bóg w wszechmocy swojej jest według Leibniza ograniczony, gdyż stworzył on tylko świat *o ile mógł najlepszy a nie bezwzględnie najlepszy*. Harmonia w wszechświecie została tak urządzona, że złe sprowadzone zostało do możliwego *minimum*, usunięciem zaś całkowicie być nie mogło. W ten sposób Leibnitz przyznawszy zawiele ograniczonemu bytowi, rozbił cały wszechświat na nieskończoną ilość sił nie mogących i niepotrzebujących na siebie wzajemnie oddziaływać; gdyż każda z nich stanowi *universum* dla siebie. Jeżeli Spinoza nie był w stanie wytłumaczyć różnorodności w bycie, jeżeli w systemie jego niema miejsca dla myślącego podmiotu, to z drugiej znowu strony Leibnitz nie jest w możności wytłumaczenia stosunku podmiotu do przedmiotu, myśli do bytu a od systemu jego potrójna na powrót prowadzi droga do panteizmu. Albo weźmiemy zupełnie na seryo pojęcie Boga jako siły, najwyższej monady i postawimy je jako najważniejsze pojęcie na czele; wtedy chcąc uniknąć sprzeczności, musimy wszystkie inne siły czyli monady pojąć jako w Bogu będące, jako objaw Jego działania wewnętrzznego (żadna bowiem monada wyjść z siebie nie może, monada niema okien jak powiada Leibnitz); wówczas byt ograniczony przybierze cechę objawu sił Boskich, w nim samym działających, a Bóg staje się właściwą wszechrzeczą substancją. Albo weźmiemy pojedynczą monadę jako myślący podmiot, jako zwierciadło wszechświata, za zasadniczą podstawę filozoficznego systemu. Wówczas całe *universum* i wszystkie substancje czyli przedmiot w ogólności przybierze cechę objawu wewnętrznego, cechę myśli, przedmiot staje się w całości dziełem podmiotu, a myśl czyli idea jako wynik siły myślenia staje się substancją wszechrzeczy. Albo téż możemy także, unikając sprzeczności Leibniza, zastąpić tak Boga jak i wszystkie monady prestabilizowaną harmonią prawem odwiecznej konieczności; Bóg zniknie wówczas gdzieś w obłokach, rozplynie się w odwiecznej wszechświata harmonii, będącej Jego koniecznym i nigdy niezmiennym prawem; poszczególne monady czyli siły staną się objawami tego prawa, które będąc pierwszą i najwyższą siłą, wszystko ogarnia tak, że bez niego monady są niczem. I rzeczywiście we wszystkich tych trzech kierunkach filozofia niemiecka zdążyła do panteizmu, pragnąc poprawić Leibniza.



Dla Lessinga i Herdera pojęcie Boga miało wartość najwyższą, dla filozofii transcendentálnej po Kancie pojęcie monady jako podmiotu myślącego, dla którego cały wszechświat jest objawem myśli, dla przyrodniczego zaś panteizmu, który się w Niemczech po roku 1830 rozwinął, konieczne prawo odwiecznej harmonii i stopniowego rozwoju jestestw w wszechświecie. Dla wszystkich zaś tych kierunków filozofia Spinozy wydała się ową gwiazdą przewodnią, mogącą ich wyprowadzić z labiryntu sprzecznych ze sobą poglądów i wyłómaczyć wszystko w jedném pojęciu. Dla Herdera, który szukał Boga w świecie i ludzkości, o ileż wyższym musiał wydać się Bóg Spinozy od Boga Leibnitza. Następcy Kanta przypomnieli sobie, że u Spinozy substancja myśli i poznaje siebie przez medium poszczególnych objawów czyli podmiotów i że świadomość podmiotu jest częstką wszechwiadomości substancji czyli absolutu. Filozofia przyrody znowu powstała na gruzach Hegelianizmu, dopatrzyła się u Spinozy najlepiej uzasadnionego prawa konieczności. Wszystkie zaś te kierunki dlatego tak stanowczo zwróciły się ku Spinozie, iż u wszystkich przeważało nad innymi względami dążenie do monistycznego pojęcia świata, przeważała potrzeba utworzenia poglądu na świat, któryby całość stworzenia w ścisłym przedstawiał związek. Była to reakcja przeciw wygórowanemu indywidualizmowi Leibnitza tak, jak Leibnitz był reakcją przeciw monizmowi Spinozy.

Reakcja rozpoczęła się od tego, iż Lessing dopatrzył się sprzeczności w takim pojęciu stosunku Boga do świata, jakie postawił Leibnitz. Jeżeli wszelkie działanie monad jest działaniem wewnętrzném, to i działanie Boga nie może być inném, a zatem rzeczy stworzone mogą istnieć tylko w Bogu czyli w myśli Boskiej; Bóg jest jeden i jest wszystkim, wszystko w Nim się mieści, On jest *Ἐν καὶ πᾶν*.

W ten sposób uczynił Lessing pierwszy krok ku panteizmowi, co było dlań rzeczą tém łatwiejszą, iż Lessing z natury i skutkiem wykształcenia, które odebrał, był nader skłonnym do mistycznego racjonalizmu. Pojmując świat w przeciwieństwie do Leibnitza jako całość w Bogu będącą, położył główny nacisk na pojęcie rozwoju istot w Bogu; dlategogo metoda jego polegała na tłumaczeniu wszystkich faktów i objawów, szczególnie zaś faktów historycznych, jako stopni w rozwoju jednej wielkiej całości. Z tego stanowiska zapatruje on się także na religię, odróżniając jej istotę od spisanego w Biblii słowa. Religia nie jest dla niego czémś niepojętém, czémś zakres rozumu przekraczającym, jak utrzymywał Leibnitz; prawdy religijne są prawdami, które stopniowo odsłaniają się człowiekowi w historii, na czém polega wychowanie rodzaju ludzkiego. Nawet dogmat Trójcy nie jest dla Lessinga tajemnicą, kto zrozumiał stworzenie jako rzeczywiste objawienie się Istoty Boskiej, kto doszedł do przekonania, że Bóg wszystko co myśli stwarza, ten pojął i zrozumiał Trójcę.

Takie zracyonalizowanie religii połączone z mistyczném pojęciem istnienia wszechrzeczy w Bogu, zbliżyło Lessinga ku Spinozie, tak że Jakobi zamiast znaleźć w nim sprzymierzeńca przeciw Spinozizmowi,



trafił, jak sam powiada, całkiem niespodzianie na skrytego zwolennika tego systemu. Jednakowoż Jakobi nie miał racji nazywać Lessinga we wszystkim stanowczym zwolennikiem panteizmu Spinozy; Bóg Lessinga jest Bogiem osobistym, świadomym celów swego działania, a nie bezwzględną koniecznością; człowiek czemś więcej niż przemijającym tylko objawem, dla rozwoju zaś ludzkości w tém znaczeniu jak je pojmował Lessing, w systemie Spinozy miejsca niema.

Lessing trafił na dobrą chwilę. Wykonany przez niego zwrot od Leibniza ku Spinozie i spór między Jakobim a Mendelssohnem o mniemany Spinozizm Lessinga, uczyniły w Niemczech głośniejszym i filozofię samotnego holenderskiego myśliciela z XVII wieku. Jakobi utrzymywał, że Lessing był w całej mocy tego wyrazu panteistą i zwolennikiem Spinozy, przeciwko takiemu zaś twierdzeniu wystąpił stanowczo Mendelssohn, do sporu wmieszali się w chęci zagodzenia go Herder i Göthe; im dłużej zaś on trwał, tém więcej schodziły na drugi plan poglądy Lessinga, a występowała na pierwszy, postać samego Spinozy. Herder rozluźnił się w jego mistycznym racjonalizmie, w jego wiedzy intuicyjnej, opartej na uczuciu i w pojęciu jedności Boga ze światem i stworzeniem. Z początku niechętny jego filozofii nazwał ją przy nadarzonej sposobności siecią nieudanych hipotez, później im lepiej ją poznawał, tém więcej się nią zachwycał. Już w liście pisanym do Jakobiego z dnia 6 lutego 1784 przyznaje otwarcie, że właściwie tylko filozofia Spinozy jest sama z sobą w zgodzie, *πρωτον ψευδος* Jakobiego i wszystkich Anti-Spinozistów należy według Herdera szukać w ich mniemaniu „jakoby Bóg to wielkie ensentium, *ta we wszystkich zjawiskach działająca i ich istotę stanowiąca przyczyna* był zerem i abstrakcyjnym tylko pojęciem, podczas gdy według Spinozy jest on jeden najrzeczywistszy i najczynniejszy, który sam do siebie mówi: Ja jestem, i który we wszystkich przemianach mojego objawienia się będę tém czem będę <sup>1)</sup>” Na twierdzenie jakoby Bóg istniał poza światem, odpowiada Herder: Jeżeli Bóg nie istnieje w świecie, wszędzie w świecie cały i niepodzielny (gdyż cały świat jest tylko objawem Jego wielkości, to w takim razie nie istnieje nigdzie <sup>2)</sup>). Pełną genialnych błysków jest odpowiedź Jakobiego na ten list Herdera, odpowiedź datowana z 30 czerwca tegoż roku. Jeżeli odróżnimy, pisze, spinozizm od nauki Spinozy, to przytaczam, że można wysnuć z niej filozofią nie ateistyczną, na taką filozofię jednak potrzeba nam jeszcze czekać. Ale z etyką Spinozy na żaden sposób nie można pogodzić wiary w Opatrzność, w plan świata, w Boga, któryby istniał sam dla siebie, któryby posiadał świadomość siebie w sobie, a nie w stworzeniu i nie był w niem całkowicie roztopiony *ουδεν και παν* <sup>3)</sup>. Czyż można było wyrazić się lepiej i z większą prawdą! W słowach tych trafił Jakobi w sam rdzeń

<sup>1)</sup> Herders Werke 18 str. VII. Berlin, Hempel.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Tamże str. IX.

rzeczy. To też rozpatrzywszy się w tej żywej wymianie myśli między Jakobim, Mendelssohmem i Herderem, przychodzi się do przekonania, że z nich wszystkich jeden Jakobi pojął Spinozę do gruntu. Mendelssohn ze stanowiska swojego racjonalnego teizmu nie rozumiał go wcale, Herder widział u Spinozy to, co widzieć chciał, a nazywając go zamiast *Atheum theissimum i christianissimum* dowiódł, że patrzył na spinozizm przez szkła nader poezją zafarbowane; jeden Jakobi widział rzeczy jasno bez uprzedzeń i oceniał Spinozę takim, jakim on był rzeczywiście. A jednak filozofia Spinozy użyta przez Jakobiego za broń do walki z Mendelssohmem, stała się w jego rękach bronią obosieczną. Jakobi zamiast ją obalić, przyczynił się sam najwięcej do ustalenia i rozszerzenia jej wpływu na niemieckie umysły. Jakobi aby uzasadnić potrzebę objawienia dowodził Mendelssohnowi, że rozum sam sobie zostawiony, musi dojść do panteizmu Spinozy; wystawił więc jego stanowisko jako szczyt konsekwencji rozumowej, od której tylko przy pomocy objawienia, obronić się można. Zwolennicy spinozizmu korzystali z tego, aby powołać się na Jakobiego i z tryumfem zwycięstwo panteistycznych idei ogłosili. Pod naciskiem Herdera i pod wpływem tego poetycznego obrazu filozofii Spinozy, który Herder w swoich rozmowach o Bogu roztoczył, ustąpił Jakobi nawet cokolwiek ze swego pierwotnego zapatrywania, przyznając, że nauka Spinozy przedstawia się zupełnie jako religia <sup>1)</sup>. W ten sposób trzech obok Schillera i Göthego największych pisarzy niemieckich: Lessing, Herder i Jakobi mimo woli przyczyniło się najwięcej do propagandy spinozizmu w Niemczech. Obok nich stanął Göthe, jako sprzymierzeniec i walkę myśli stanowczo na korzyść Spinozy rozstrzygnął. Göthemu imponował znówu obiektywizm i spokój Spinozy. Ten Göthe, który sam nie zaznał nigdy prawdziwego zaparcia się siebie, ten najszcześniejszy z pomiędzy śmiertelników, zachwycał się spokojną abnegacją myśliciela Spinozy. Czuł on w nim potężnego w szczęściu współzawodnika i może nieraz nasunęło mu się w myśli pytanie, który z nich dwóch był właściwie szczęśliwszy? czy Spinoza, którego całe życie było zaparciem się siebie i rezygnacją, czy on podobny do półboga olimpijskiego między śmiertelnikami.

Takim był ruch przygotowawczy. Filozofia Spinozy odgrzebana przez Lessinga, a w najrozmaitszy obrabiana sposób przez tak potężne umysły jak: Herder, Jakobi i Göthe, stała się czynnikiem najdzielniej wpływającym na ruch umysłowy niemiecki w naszym stuleciu. Szczególnie zaś filozofia we wszystkich odcieniach uległa do tego stopnia wpływowi spinozizmu, iż wobec tego faktu powszechna dla Spinozy cześć i uwielbienie, jakie się w naszym wieku w Niemczech nieustannie objawiało i jeszcze ciągle objawia, wydaje się nam rzeczą zupełnie naturalną. Najważniejsze filozoficzne kierunki w Niemczech, poznały w Spinozie swego najbliższego protoplastę, dopatrzyły się u niego tak

<sup>1)</sup> Herders Werke str. XXXVII. Berlin, Hempel.



samo, jak Herder i Lessing swoich własnych idei i poglądów. Filozofia niemiecka w naszym wieku dzieli się na dwie zupełnie odrębne epoki: na filozofią aż do śmierci Hegla i na ruch, który się po roku 1830 t. j. po jego śmierci, zaczął rozwijać i aż do dni naszych dotrwał. Charakter filozoficznych spekulacji niemieckich w tych dwóch epokach, jest zupełnie różny. Przed rokiem 30-ym była wszechwładną panią w dziedzinie myśli transcendentálna metafizyka, po roku 30-ym uzyskały panowanie nauki przyrodnicze. Na początku obu tych epok zdawało się, że filozofia wchodzi na nowe zupełnie tory, że zrywa stanowczo z przeszłością; tymczasem tak w pierwszej jak i w drugiej skończyła powrotem na stanowisko Spinozy.

Kant, który doszedł do swojej krytycznej filozofii, zupełnie niezależnie od całego ówczesnego ruchu umysłowego w Niemczech, nadał spekulacyom nowy zupełnie kierunek. Przed nim głównym przedmiotem spekulacji filozoficznych był byt, on zaś zrobił takim przedmiotem myśl i wiedzę. Rozpatrując się krytycznie w charakterze myśli i wiedzy, doszedł do przekonania, że wiedza jako wspólne dzieło podmiotu i przedmiotu, nie może wcale dotrzeć do istoty bytu i że badaniem téjże istoty nigdy nawet zajmować się nie powinna. W miejsce dawnych zasad metafizycznych postawił Kant ideały naszego praktycznego umysłu, nie ujęte przez teorye pełne sprzeczności ze stanowiska wiedzy teoretycznej, a przecież konieczne. Kant mniemał, że tym sposobem podwójnego dokonał dzieła, że ograniczył raz na zawsze rozum nasz do zakresu, który jedynie dlań jest przystępnym i że z drugiej strony ustalił te dla człowieka tak konieczne i niezbędne ideały, jak pojęcie osobistego Boga, wolności i nieśmiertelności ducha. Ale już za życia swojego mógł się Kant przekonać, że dzieło jego inne zupełnie, aniżeli mniemał zrodzi owoce. Kant nadał całej wiedzy naszej charakter podmiotowy, zmienił ją w dzieło zasad *a priori* w umyśle naszym zawartych, przywrócił on wprawdzie podmiotowi i myśli indywidualnej prawa, które jej się najzupełniej należały; ale tu popełnił błąd zupełnie podobny do błędu Leibniza. Jeżeli Leibnitz ratując byt indywidualny od powodzi panteizmu posunął się tak daleko, że ze swojego stanowiska nie był w końcu w stanie wytłumaczyć ani stosunku bytu indywidualnego do Boga, ani współdziałania monad między sobą; to Kant znowu zerwał wszelki łącznik między podmiotem a przedmiotem, między myślą a bytem. Nie trudno bowiem było dostrzedz, że w systemie Kanta *rzecz sama w sobie*, to pojęcie odgrywające tu zupełnie podobną rolę, jaką u Leibniza odgrywała naprzód ustanowiona harmonia. To téż rewolucyjny Fichte zerwał śmiało i bez żadnych względów wszystkie węzły między myślą a bytem, podmiotem a przedmiotem, a raczej przywrócił je w ten sposób, iż podmiot działający i doskonalący się moralnie uczynił twórcą przedmiotu: Jaźń stawia sama siebie, własny swój byt i jaźń przeciwstawia sobie przedmiot, jako ograniczenie, które przełamujemy i w ten sposób na coraz doskonalsze wznosi się stanowisko. Myśląca i w swoim własnym wnętrzu działająca monada staje się tu już nie tylko zwierciadłem



całego *universum*, ale oryginalnym twórcą wszelkiego istnienia. Bóg zaś Fichtego to harmonia zupełna i doskonała wszystkich działających i doskonalących się duchów; taki do ostatecznych granic posunięty indywidualizm, gdzie byt ograniczony łamie wszelkie ograniczenia i w nieskończoność się rozszerza tak, że zamiast jednej bezwzględnej substancji, mamy ich nieskończoną ilość, nie da się na żaden sposób w konsekwencyach utrzymać, przesada popycha myśl w stronę przeciwną t. j. ku stanowisku Spinozy. Czém dla Lessinga i Herdera było pojęcie Boga u Spinozy, tém dla Schellinga i Hegla stało się jego pojęcie substancji. Jeżeli dla tamtych Bóg Spinozy przywracał zwiczną między Stwórcą a stworzeniem harmonię, to tu znowu substancja zyskała magiczną moc zjednoczenia w jednym pojęciu rozdzielonych zupełnie przez Kanta i Fichtego podmiotu i przedmiotu. Różnica zaś jaka między Schellingiem i Heglem istnieje, polega głównie na tém, iż pierwszy z nich powracając do pojęcia substancji u Spinozy uwzględnił przede wszystkim i rozwinął stronę przyrodniczo-metafizyczną, Hegel natomiast stronę logiczno-metafizyczną tegoż pojęcia.

Podmiot jest dziełem podmiotu, powiedział Fichte, wszystko jest dziełem podmiotu, ale nie podmiotu empirycznego, dodaje, ale podmiotu pojętego jako *noumenon*, jako rzecz sama w sobie, Jaźni transcendentalnej. Cóż z tego wynika: oto że ta jaźń transcendentalna, ten podmiot sam w sobie uważany jest jednością podmiotu i przedmiotu, jest jedynym absolutnym bytem, jedyną substancją wszechistnienia. Jeżeli świat natura jest jego dziełem, to niemniej podmiot empiryczny jest jego objawem. Absolutny podmiot czyli substancja, zmierzając do stopniowego doskonalenia się, do coraz wyższej świadomości, myśli najpierw siebie jako przedmiot, jako *nie-jaźń*, a dalej, myśli siebie jako podmiot Jaźni, i dochodzi w końcu do uznania do świadomości, że tak podmiot jak przedmiot, tak myśl jak rzecz pomyślana, tak duch jak natura to jedno, to objaw jednego i tego samego absolutnego bytu: Boga natury substancji. Oto rozumowanie, które przeniosło Schellinga na grunt panteistyczny, tak że z ucznia Fichtego stał się uczniem Spinozy. Nie wypierał się on też wcale mistrza swego, między oboma myślicielami bowiem tak było wielkie pokrewieństwo duchowe, iż w oczach Schellinga goniącego za ideałem bezwzględnej prawdy, Spinoza musiał wydać się jég najwymowniejszym, i najwięcej natchnionym apostołem z przeszłości. Schelling w pismach swoich stanowiących przejście od transcendentalnego idealizmu, do filozofii opartej na zasadzie tożsamości, otwarcie wyznaje, iż odwróciwszy się od Fichtego powraca do Spinozy, i całą filozofję swoją na tég samęj co Spinoza pragnie oprzeć podstawie <sup>1)</sup>; to jest na pojęciu istoty absolutnej, jednej, wiecznej, w której gubią się i jednoczą wszystkie różnice; któż na pierwszy rzut oka nie pozna w absoluście Schellinga pojęcia substancji Boga Spinozy. Na-

<sup>1)</sup> Bruno oder über das göttliche und natürliche Prinzip der Dinge. Ein Gespräch Schellings SWW. 1 Abth. 18. 235.

wet metoda, która Schellinga do poznania absolutu prowadzi, jest w gruncie rzeczy ta sama, którą i Spinoza nad wszystkie rodzaje wiedzy wywyższył. Nie refleksyja, nie analityczna lub syntetyczna metoda, ale *umysłowe oglądanie, które równa się intuicyjnej wiedzy* Spinozy, prowadzi nas do poznania absolutu. Stopniem zaś do téj wiedzy intuicyjnej, jest wyłącznie tylko filozoficzna konstrukcyja czyli demonstracyja, podobna do téj, jaką posługiwał się Spinoza. Zadaniem filozofii jest poznać wszystkie rzeczy jako wyraz niepodzielnej doskonałości absolutu <sup>1)</sup>, *sub specie aeternitatis*, powiedzielibyśmy mówiąc językiem Spinozy. Doszła więc do Spinozizmu filozofia niemiecka po Kancie, i zjednoczyła się z nim tak pod względem zasady jak i metody. Węzła tego nie zerwał i Hegel, pomimo pozornej między nim a Spinozą różnicy. Substancją wszelkiego bytu jest u Hegla idea, ale czyż Bóg natura, substancya Spinozy, nie jest także w istocie swéj absolutną ideą. Poznaje ona siebie przez *medium* poszczególnych objawów czyli *modi*, cóż łatwiejszego jak wyprowadzić z tego wniosek, że idea jaką te poszczególne modi razem wzięte wytwarzają o substancyi, że idea ta która jest jéj własną świadomością, jest równocześnie istotą jéj bytu, a zresztą przecież i Spinoza nauczał już, że *ordo et connexio idearum idem est ac ordo et connexio rerum*. Hegel jako jeden z epigonów Kanta potrzebował tylko zdanie to odwrócić, i z twierdzenia że *ordo et connexio rerum idem est ac ordo et connexio idearum*, wywnioskować że proces w bycie czyli w substancyi, musi być ten sam co w myśli, a myśl czyli idea tém samém co substancya. Dla Spinozy myśl i rozciągłość, były to jeszcze równorzędne przymioty czyli siły w substancyi, ale Kant wykazał że rozciągłość jest tylko formą myślenia, jest w podmiocie, w myśli a nie w przedmiocie; z dwóch zatem przymiotów substancyi, pozostał tylko jeden to jest myśl, a drugi zmienił w objaw czyli modus pierwszego, i filozofia stanęła na Heglowskiém stanowisku, które było ostatnią konsekwencyą Spinozizmu zasianego na gruncie krytyki Kanta. Ale przecież między Schellingiem i Heglem z jednej strony, a Spinozą z drugiej jest jedna wielka różnica, o której nie wolno nam przemilczeć, jest ona bowiem jedynym istotnym krokiem naprzód, w systemach tych dwóch myślicieli niemieckich. Różnicę tę stanowi pojęcie rozwoju, którego filozofia Spinozy nie znała zupełnie. Wprawdzie pojęcie to nie po raz pierwszy pojawia się w systemach Schellinga i Hegla, filozofia zawdzięcza je Leibnitzowi, który pojął wszechświat urządzonego na podstawie naprzód ustanowionej harmonii, jako zbiór bytów indywidualnych, wznoszących się stopniowo na coraz wyższy stopień indywidualnej sobie doskonałości. Otóż Lessing i Herder zastosowali pojęcie to stopniowego rozwoju i doskonalenia się istot, do dziejów ludzkości a Schelling i Hegel do rozwoju absolutnej substancyi. Stopniowo doskonalące się monady Leibnitza, stanowiące nieprzerwany łańcuch jestestw od najniższego stworzenia aż do Boga, przemieniły się tutaj

<sup>1)</sup> Bruno oder i t. d. str. 391.



w nieprzerwany łańcuch, coraz doskonalszych objawów substancji. Matematyczny system Spinozy takiego stopniowego rozwijania się objawów nie zna wcale, niema tam miejsca dla niego, a Schelling i Hegel przyjąwszy je od Leibniza, musieli równocześnie przyjąć do swojej filozofii teologiczny sposób tłumaczenia zagadek bytu. Pod tym jednak względem, systemy ich jakkolwiek bogatsze o jedno pojęcie od systemu Spinozy, grzeszą jednak zato wielkim brakiem konsekwencji. Jakim bowiem sposobem nieświadoma własnego bytu, i dopiero do świadomości zmierzająca substancja, może mieć jakiś cel w działaniu, to pojęcie jest rzeczą zupełnie niemożliwą<sup>1)</sup>. Tutaj Spinoza był bez porównania konsekwentniejszym, nie łudził on się wcale możliwością pogodzenia teleologii z panteizmem, i wykluczył bezwarunkowo wszelką celowość z swego systemu.

Dzieło, które rozpoczęli Lessing i Herder, dokończyli Schelling i Hegel, a Spinoza stał się od tego czasu ulubieńcem narodu myślicieli. Schelling umiał go tak ładnie przystroić, iż nawet katolicki myśliciel Nowalis przyrównał Spinozę do człowieka upojonego Bogiem, a Spinozizm nazywał systemem nawskróś Bóstwem przesyconym<sup>2)</sup>.

Wpływ ten jednak filozofii Spinozy na katolickich myślicieli niemieckich był nader wyjątkowy i przemijający, zato protestancka teologia nie była w stanie jęj się oprzeć, i pod przewodem Schleiermachera uczyniła Spinozę także apostołem swoim. Wskazaliśmy już poprzednio, że wszelka doktryna religijna która nie położy dostatecznego nacisku na samodzielność i współdziałanie jednostki w dziele zbawienia, musi skłonić się w końcu do panteizmu. Jeżeli wiara sama, jak uczył Luter ma zbawiać, i do połączenia z Bogiem prowadzić, to potrzeba wiarę tę zracyonalizować i nazwać ją rodzajem mistycznej wiedzy, aby się znaleźć na gruncie Spinozizmu. Kto nam nie zechce wierzyć, niechaj rozpatrzy się w teologii Schleiermachera. Jego Bóg to Bóg Spinozy, Bóg którego głównym przymiotem jest życie i siła, a nie osobowość, to Bóg który nie ma niezależnego osobnego od rzeczy doczesnych istnienia; Bóg i świat to jedno, to dwie wartości należące do jednego i tego samego zrównania<sup>3)</sup>, to *Deus sive natura*. Schleiermacher stanowczo zaprzecza jakoby Bóg mógł istnieć bez świata, wszystkie zaś pojęcia religijne przekształca zupełnie na modłę Spinozizmu: „wśród doczesności połączyć się w jedność z bytem nieskończonym, i być w każdej chwili wiecznym, oto prawdziwa nieśmiertelność według zdania Schleiermachera. Wszelka inna nieśmiertelność wydaje mu się bardzo wątpliwą<sup>4)</sup>. W tłumaczeniu i objaśnianiu prawd religijnych, Spinoza jest wszędzie mistrzem Schleiermachera a nawet jeżeli chcemy,

<sup>1)</sup> Jeden tylko Hartmann mógł takie absurdum z całą świadomością przyjąć do podstawy filozofii.

<sup>2)</sup> Zob. Zeller *Gesch. der deutschen Phil. sect. Leibnitz. München 1875.*

<sup>3)</sup> Tamże str. 616.

<sup>4)</sup> Tamże.



to nawet pojęcie religii jako uczucia zdradzającego w nas przybytek nieskończoności, znajduje się w jego systemie. Nie oparła się więc jak widzimy konsekwencyom Spinozizmu, ani transcendentalna spekulacja po Kancie, ani teologia protestancka, i nie mogło być inaczej, fałszywe bowiem pojęcie stosunku Stwórcy do stworzenia, lub myśli do bytu, przesadzone wyobrażenie czyto o istocie ograniczonego bytu, czy myśli naszej, musi wywołać zawsze reakcją, która objawiając się jako przesadna dążność do przywrócenia zakłóconej harmonii, i zwichniętej jedności, kończy zawsze na panteizmie, którego najwszechstronniejszym wyrazem jest i będzie system Spinozy.

Zdawało się że po roku 1830, metafizyka i spekulacja filozoficzna zakończyła raz na zawsze panowanie swoje. Społeczeństwo sprzyrzyło sobie przesadny idealizm i romantyzm, skłoniło się do realistycznej we wszystkich kierunkach reakcyi. Miejsce strąconej po śmierci Hegla z tronu filozofii zajęły nauki przyrodnicze, a na gruzach jego systemu rozpostarł panowanie materjalizm ze swoją siłą i materją. Panowanie to jego było jednak bardzo krótkie, zadały mu bowiem cios śmiertelny, same nauki przyrodnicze a mianowicie fizyka i fizyologia zmysłów, kończąc rozpoczęte przez Kanta dzieło. Dokładniejsze badania nad naturą zmysłów przekonały nas bowiem, iż wszystko co tylko jakością czucia zmysłowego nazywamy, ma przyczynę swoją w naszej duchowej i fizycznej organizacyi, a zatem, że wszystko co tylko jest własnością materji, bywa nie z zewnątrz do naszego wnętrza przeniesionem ale odwrotnie. Przedmiot przemienia się w obec najnowszych wyników fizyki i fizyologii w prawidłową grę sił, których jakościowe różnice i własności są wytworem pobudzonego przez nie do działania podmiotu. Materja wraz z własnościami swemi gubi się całkiem w pojęciu siły. Powstała przeto w miejsce materjalizmu, który ze swoim scholastycznym dualizmem był nadal nie możliwy, nowa filozofia siły oparta głównie na następujących teoriach przyrodniczych: na prawie o utrzymywaniu się siły w wszechświecie, na teorii mechanicznej ciepła, na fizyologii zmysłów, na teorii o tworzeniu się światów Kanta i Laplace'a a nadewszystko na teorii Darwina. Siła ta zaś to znowu tylko inne miano na określenie tego co Spinoza nazywał substancją czyli *Deus sive natura*, co Schelling nazwał absolutem a Hegel ideą; przeważna bowiem liczba dzisiejszych przyrodników nie zgadza się na pojęcie siły postawione przez Leibnitza, ale wystawia ją sobie jak jedną wszędzie i we wszystkich objawach. Trzeba jednak przyznać, że ten dzisiejszy panteizm siły ze wszystkich kierunków panteizmu jakie tylko od czasu Spinozy pojawiły się, najwięcej do jego filozofii jest zbliżony. Wszystkie bowiem poprzednie kierunki przyjmując od Leibnitza pojęcie rozwoju, musiały uznać równocześnie pewną w wszechświecie lub w dziejach celowość, w czem znacznie od ducha Spinozizmu odstępowały. Tymczasem dzisiejszy panteizm siły wyklucza stanowczo raz na zawsze celowość i teleologię z zakresu filozofii; zna on tak samo jak Spinoza tylko konieczne naturalne przyczyny,

z których wszystko z nieodmienną koniecznością wypływa. Pomimo tego pojęcie rozwoju nie zostało z dzisiejszego przyrodniczego panteizmu wykluczone, zachowanie jego bowiem i ustalenie niezależne od teleologii umożliwiła dopiero teoria Darwina. Słynny ten przyrodnik angielski uznając rozwój i stopniowe doskonalenie się organizmów, usiłuje wytłumaczyć takowe na zasadzie koniecznej walki o byt i naturalnego płciowego doboru. Rzeczywiście panteizm potrzebował jeszcze tego jednego uzupełnienia. Było to właśnie słabą stroną systematów panteistycznych, iż nie mogły ze swego stanowiska bez pomocy teleologii wytłumaczyć rozwoju ani w naturze ani w dziejach. Pytanie to przez Spinozę wcale nie uwzględnione od czasu Leibniza pominięciem być nie mogło, wszyscy też panteiści późniejsi aż do Hegla włącznie, tłumacząc rozwój popełniali zawsze z konieczności niekonsekwencję i uciekali się do pojęcia celowości. Zdawało się że o ten szkopuł, każdy panteizm się rozbija, że tu jest luka której żadna dyalektyka zapełnić nie może, aż tu naraz zjawia się Darwin i podaje sposób tłumaczenia zjawisk rozwoju w świecie organicznym na podstawie działania koniecznych sił bez żadnego względu na celowość. Z nieudanym też zapałem rzucono się do teorii Darwina, usiłując zastosować ją do tłumaczenia rozwoju nie tylko w świecie organicznym, ale także w świecie społecznym a dzisiaj jest już nawet w astronomii mowa o teorii Darwina i walce o byt. Darwin więc dokończył dzieło Spinozy, a jeżeli system tego ostatniego jest najkonsekwentniejszym panteizmem, to Darwinizm znowu jest jedynym konsekwentnym uzupełnieniem Spinozyzmu. To co Spinoza pomiął i czego nie umiał wytłumaczyć, to tłumaczy filozofia rozwoju na Darwinie oparta. Ale Darwin i z innego jeszcze względu dopełnił Spinozę. „Modus,” według systemu Spinozy jest objawem attributu czyli siły która stanowi istotę substancji; im więcej zaś w objawie mieści się siły, tym objaw ten czyli modus jest doskonalszym, tym wierniej wyraża istotę substancji. Przypomni sobie czytelnik zapewne owo 40-te zdanie etyki, że im więcej rzecz jakaś posiada doskonałości, tym więcej działa, tym mniej cierpi, i odwrotnie: im więcej działa, tym jest doskonalszą. Otóż zasadę tę postawioną przez Spinozę w formie metafizycznej, przekształca Darwin w przyrodnicze prawo walki o byt i usiłuje udowodnić jego działanie w całym zakresie biologii. Poszczególne organizmy, to objaw siły, to modus; im ten organizm jest żywotniejszy, tym dzielniej wytrzymuje walkę o byt i żywotność swoją na następne przenosi pokolenia; w walce o byt przeto objawy organiczne czyli organizmy, im więcej działają, im mniej cierpią, tym są doskonalsze, tym łatwiej zyskują dla siebie nieśmiertelność w następnych spłodzonych przez się pokoleniach. Zasada ta zastosowana do gatunków, tłumaczy trwałość doskonalszych gatunków, upadek słabszych; zastosowana do narodów, tłumaczy, dlaczego naród silniejszy ma prawo bytu dziejowego a słabszy go niema. Walka o byt uzasadnia również 20-te zdanie z czwartej księgi Etyki, że im kto więcej szuka swego pożytku aby utrzymać



swoj byt, tém większą wówczas obdarzony jest cnotą <sup>1)</sup>. Spinoza nazwał cnotą, szukanie własnego pożytku w celach lepszego utrzymania swojego bytu. Darwinizm tłumaczy dlaczego tak jest. Szukanie własnego pożytku zapewnia w walce o byt, zwycięstwo silniejszym a więc cnotliwszym organizmom i jest zwycięstwem doskonalszych objawów substancji nad mniej doskonałymi.

Widzimy więc z tych kilku porównawczych uwag, że dzisiejszy przyrodniczy panteizm siły dochodzi przy pomocy teorii Darwina nie tylko w dziedzinie filozofii przyrody, ale także w filozofii społeczno-moralnej do tych samych co Spinoza wyników. To cośmy powiedzieli o Spinozie, to jest że u niego siła jest najwyższym prawem, gdyż siła jest koniecznością; to samo możemy powtórzyć o dzisiejszym przyrodniczym panteizmie takiego Haeckla <sup>2)</sup>, Straussa <sup>3)</sup>, Herberta, Spencera <sup>4)</sup>, a nawet o panteizmie Hartmanna <sup>5)</sup>. Z podanego tutaj krótkiego szkicu, obejmującego rozwój nowożytnego panteizmu, każdy z łaćwością może przekonać się, iż kierunek ten filozoficzny przechodził w dziejach nowożytnych zupełnie te same fazy, które przeszedł w umyśle Spinozy. Objawił on się najpierw w formie doktryn mistyczno-teologicznych i filozoficzno-religijnych, nie zdając sobie wcale sprawy z zachodzących między nim a Chrześcijaństwem różnic. Co więcej, cały szereg teologów usiłował nawet wykazać, że jedynie panteistyczne pojęcie Boga odpowiada duchowi Chrześcijaństwa. Ponieważ Spinoza także od pojęcia Boga rozpoczyna, ponieważ panteizm jego w pierwszej fazie jest także teologicznym, a nauka jego nosi na sobie ten sam mistyczno-racjonalny charakter, a zatem najpierw teolodzy uczynili Spinozę apostołem swoim i w filozofii jego znaleźli uzupełnienie tego dzieła, które rozpoczął Kalwin i Luter. Dla patrzących przez szkła własnych poglądów, wydał się Spinoza najbardziej religijnym i bogobojnym myślicielem, a nawet czystej wody teistą. Później wystąpił panteizm w szacie metafizycznej, zastępując pojęcie Boga pojęciem Jaźni transcendentalnej, Absolutu, Idei i t. d. Zwolennicy takiego panteizmu, ujrzeni również w Spinozie swojego pierwszego i najgenialniejszego apostoła. Wszak już Spinoza postawił na czele systemu swego pojęcie jedynj absolutnej substancji; starał się, z jednego najwyższego

1) Patrz zeszyt z kwietnia str. 52.

2) Zob. Ernst Haeckel *Natürliche Schöpfungsgeschichte*. Berlin, 1874.

3) Dawid Friedrich Strauss. *Der alte und der neue Glaube*. Bonn 1873.

4) Herbert Spencer: *First Principles*. London, 1870.

5) Substancja Hartmanna nazwą tylko różni się od tego pojęcia u innych panteistów. Oryginalność Hartmanna, to jest uznanie przez niego celowości, jest w jego systemie najwyższą niekonsekwencją. To jednak co można przebaczyć Schellingowi i Heglowi, to u Hartmanna razi w wysokim stopniu.



wychodząc założenia, wykonstruować cały wszechświat *a priori*, tak samo jak Schelling i Hegel. Przybrał nareszcie nowożytny panteizm charakter przyrodniczy, wykluczył tak samo, jak to uczynił w końcu Spinoza, wszelką teleologię, a uzupełniony i wsparty na teorii Darwina, doszedł do tych samych zupełnie co on wyników. Między dzisiejszym panteizmem siły a nauką Spinozy, tak jak nam się ona w ostatecznych przedstawia konsekwencyach etyki, zachodzi tylko stopniowa różnica. Panteizm dzisiejszy jest dokładniejszy w tłumaczeniu szczegółów, obfitszy w treść, bogatszy w pojęcia, uzupełniony pojęciem rozwoju, wynikającym z koniecznych przyczyn wywołujących walkę o byt, ale nie wydał kierunku ten dotąd ani jednej pracy, któraby jego własne zasady i filozoficzne wyniki określała lepiej, dosadniej i w formie logicznie ściślejszej od Etyki Spinozy. Zwolennicy przyrodniczego panteizmu zatem nie zwracają uwagi na teologiczny mistycyzm Spinozy, ale patrzą na charakter i konsekwencye ostateczne systemu; przemawia do nich również ta pozornie tak ścisła matematyczna forma rozumowania, tém więcej, że dążeniem dzisiejszych nauk przyrodniczych jest sprowadzić wszystkie przyrodnicze prawa do najogólniejszych zasad mechaniki <sup>1)</sup>. Są jednak i inne jeszcze przyczyny, które ściślej szemi węzły łączą dzisiejszy przyrodniczy panteizm z filozofią Spinozy. W obozie zwolenników tego kierunku, przestano się już łudzić, przestano oszukiwać siebie i drugich, jakoby zasadnicze myśli tego nowego na świat poglądu, dały się w jakikolwiek sposób pogodzić z zasadami chrześcijańskiej religii i moralności. Mógł jeszcze łudzić się Herder, że Bóg Spinozy jest Bogiem chrześcijańskim; mógł łudzić się Schelling, Nowalis lub Schleiermacher, ale Strauss już się nie łudzi, już przyszedł do tej świadomości, że między Chrześcijaństwem a monizmem panteistycznym nie masz żadnej wspólności, że albo jedno albo drugie stanowisko musi ustąpić. Mamyż się więc obywać nadal bez wiary i religii? Wcale nie! Wszyscy wiedzą to dobrze, że religia jest człowiekowi tak potrzebną, tak z jego istotą zrośniętą, iż bez niej obejść się nigdy nie potrafi. Ale miejsce dawniej wiary ma zastąpić wiara nowa, religia, która pozbywszy się raz na zawsze pojęcia osobistego Boga, uczyni Bogiem swoim wszechświat i siłę będącą istotą wszechrzeczy, siłą jedną i niezmienną w nieskończonej różnorodności zjawisk <sup>2)</sup>. Czemżeż zaś jest ten nowy Bóg, jeżeli nie *Deus sive natura* Spinozy; on to pierwszy wyzuwszy pojęcia religijne z dawniej ich treści, wlał w nie treść nową zupełnie i nadał w ten sposób filozofii swojej charakter nowej religii. Tę samą zupełnie religią wyznaje dzisiejszy panteizm. Strauss w dziele: *Der alte und der neue Glaube*, wyrzekając się stanowczo i raz na zawsze wiary dawniej, nie postawił ani jednego nowego

<sup>1)</sup> Zob. Du Bois Reymond: Ueber die Grenzen des Naturerkenntens. Leipzig, 1876. 4-to Aufl.

<sup>2)</sup> Zob. Straussa: Der alte und der neue Glaube, str. 144 i Hartmana: Die Selbstersetzung des Christenthums. Berlin, 1874, str. 99—122.

dogmatu, któryby się nie znalazł już u Spinozy, z wyjątkiem dogmatu rozwoju, który zawdzięcza darwinizmowi. Filozofia Spinozy zatem jako nowa religia, oparta na wiedzy, zmierzająca do ubóstwienia wszechświata, musi budzić uwielbienie u wyznawców tych samych dogmatów, musi wydawać im się dziełem największego geniuszu, który natchnieniem i intuicyą przeczuł i *a priori* rozwinął te najwyższe zasady, do jakich społeczeństwo dzisiejsze powoli i z mozółem dochodzi. Religia Buddy i filozofia Spinozy, oto te dwie skarbnice, z których ma czerpać religia przyszłości. A czyż moralność dzisiejsza, moralność filozoficzna w teorii, a polityczna w praktyce, inną jest od moralności Spinozy; wszak on już postawił zasadę, że im kto lepiej własnego pilnuje pożytku, im większą obdarzony jest siłą, tym jest cnotliwszy i doskonalszy. W inném znowu miejscu Spinoza wyraża się: im kto lepiej urzeczywistni ideę odpowiedniego objawu który jest w substancji, tym jest doskonalszy. W tym samym zupełnie duchu stawia Strauss jako najwyższe prawo moralności, urzeczywistnienie idei swojego gatunku, w tym indywidualnym kształcie, który ona w każdej przybiera jednodostce <sup>1)</sup>. Jeżeli zaś, z takiego wychodząc założenia, Strauss mówi o uznaniu tej idei w drugich; jeżeli każe swojemu narodowi szanować prawa innych narodów: to jest to u niego wielką niekonsekwencyą, której Spinoza nigdy nie byłby się dopuścił, a której ziomkowie Straussa w praktyce politycznej wcale trzymać się nie myślą. Tam, gdzie chodzi o urzeczywistnienie idei własnego gatunku w sobie, tam wszelki wzgląd na drugich musi ustąpić, jeżeli drudzy urzeczywistnieniu tej idei stają na przeszkodzie. Narody, które będąc słabszemi, przeszkadzają innym w urzeczywistnieniu idei ich gatunku, narody takie muszą i powinny, według tej zasady, zniknąć z powierzchni ziemi. Ulegając w walce o byt, padają one ofiarą tej moralności, która doskonałość i prawo widzi tam, gdzie jest siła, czyli mówiąc innemi słowy: ofiarą moralności panteizmu. W nauce o państwie, każdy konsekwentny panteizm musi postawić państwo wyżej od jednostki, a wzgląd na dobro jednostki lub na dobro poszczególnych części organizmu społecznego, poświęcić względom na siłę państwową. Można wahać się jakiś czas między pojęciem wolności a siły; ale w końcu, każda filozofia społeczna, oparta na panteistycznych założeniach, zmuszoną jest poświęcić pojęcie wolności osobistej dla pojęcia siły zbiorowej, tak jak to uczynił w końcu Spinoza w swojej politycznej rozprawie <sup>2)</sup>.

Tak więc postępując po tych samych co Spinoza drogach, doszła myśl nowożytna pod każdym względem do tych samych co i on wyników. W dwóchsetną rocznicę swojej śmierci, zyskał Spinoza w całej pełni tę nieśmiertelność, o której marzył, t. j. uwiecznił się w ideach swoich; to też przeważające obecnie na polu religijném, filozoficzném, politycznym i społeczném kierunki moglibyśmy najlepiej określić dwoma

<sup>1)</sup> Der alte und der neue Glaube, str. 242,

<sup>2)</sup> Tractatus politicus Op. p. str. 265—354.



wyrazami: *Spinoza redivivus*. Filozofia jego była potężną i genialną intuicyą przyszłości, intuicyą tego, co przyszłe wieki urzeczywistnić miały, pomnik zaś który stanie w Hadze, aby uwiecznić w spiżu postać tego wielkiego myśliciela, może być uważany za pomnik, który panujący dzisiaj tak w religii jak w filozofii, jak w polityce panteizm, własnym wznosi zasadom.

Zdawaćby się mogło napozór, że niema i nie może być wspólności np. między teologią kalwińską ze szkoły w Leyden lub protestancką, ze szkoły Schleiermachera a Darwinizmem filozoficznym, między metafizyką Hegla i Schellinga a dzisiejszą polityką zewnętrzną i wewnętrzną państw; tymczasem w gruncie rzeczy blizkie jest bardzo między tymi kierunkami pokrewieństwo. Bóg Schleiermachera i teologów kalwińskich to Bóg w świat wcielony, to *Universum Straussa*, to nieświadoma siebie inteligencya Hartmanna, czyli zbierając wszystko razem, to substancya Spinozy; człowiek tak tu jak tam jest objawem jednego absolutnego bytu, człowiek istnieje w Bogu, a Bóg czyli *universum* dochodzi w nim do świadomości siebie i swojego istnienia. Polityka zaś dzisiejsza, to powszechna walka o byt, w której chodzi o zniszczenie i pokonanie słabszego, o wyzyskanie jednych warstw społecznych na korzyść drugich; organizm bowiem posiadający więcej siły czyli więcej doskonałości i cnoty, ma prawo zniszczyć organizm słabszy, nie umiejący lub nie mogący bronić się; w polityce wewnętrznej zaś idea państwa przedewszystkiem: precz z partykularnemi interesami które idei państwa nie służą.

Jeżeli zapytamy jakim sposobem społeczeństwo dzisiejsze mogło dojść do takich zasad jakie dzisiaj w polityce wyznaje, to odpowiedź na to bardzo prosta. Doszło ono do nich po téj samej drodze, po której filozofia doszła do panteizmu w teorii. Do jego powstania przyczyniło się jak wiemy najwięcej fałszywe pojęcie bytu ograniczonego, do powstania zaś panteizmu politycznego fałszywe pojęcie praw jednostki. Kto rozbił wszechświat na atomy, z których każdy tworzy *universum* dla siebie bez względu na inne, kto nie uznał współdziałania monad między sobą, ten utworzył drogę do panteizmu w metafizyce; kto rozbił społeczeństwo na atomy ludzkie, z których każdy posiada pewne wrodzone prawa i za własnym tylko gonić na pożytek bez względu na innych, ten utworzył drogę panteizmowi w filozofii społecznej. Ruch umysłowy podobny jest do ruchu wahadła: im dalej w jedną zapędzi się stronę, tém dalej sięga, później reakcyja w przeciwnym kierunku. Ucisk średniowiecznego feudalizmu i hierarchii, absolutyzm monarchiczny XVII i XVIII wieku wywołał przesadne i wyuzdane dążenia do wolności, po których nastąpił zwrot od idei państwa i siły społecznej. I znowu widzimy tutaj ten sam proces, który odbył się na mniejszą skalę w umyśle Spinozy. Prześladowania synagogi wywołały energiczne wystąpienie w imię wolności ducha, a wolność ta doprowadziła go do apoteozy siły i konieczności w wszechświecie i w społeczeństwie.

Ale panteizm dzisiejszy dzieląc ze Spinozyzmem wszystkie charakterystyczne cechy, dzieli zarówno i wszystkie jego błędy.



Jeżeli filozofia Spinozy nie była w stanie wytłumaczyć różnorodności w bycie, jeżeli niema w niej miejsca dla myślącego podmiotu, jeżeli w wynikach obalała podstawę moralności i podstawę harmonii między jednostką i między drobniejszymi organizmami społecznymi, a ogółem; to ten sam los dzieli z nią tak transcendentálny panteizm Schellinga i Hegla jak i przyrodniczy panteizm, którego najwymowniejszymi rzecznikami jest szkoła filozoficznych Darwinistów. Zkąd się bierze różnorodność sił w bycie, czy ona istnieje w substancji, czy w poszczególnych umysłach, jakim sposobem jedna substancya może posiadać nieskończoną ilość sił, a działając prawdziwo, nie mieć żadnej o tém działaniu wiedzy i potrzebować dopiero pośrednictwa swoich objawów i walki o byt samą z sobą, aby wreszcie uzyskać tak drobną wiedzę o sobie, jaką jest nasza samowiedza wobec wszechświata; jak dalej znowu z kombinacyi nieskończonéj ilości sił i działań może wyniknąć jedność naszej świadomości duchowej: to są pytania, na które panteizm nie miał i mieć nie może odpowiedzi. Niewiele może w tém podobnym Darwinizm, którego charakter umiejętny i podstawy nader są problematyczne, jak to wybornie wykazał znakomity botanik niemiecki Albert Wiganel w słynném dziele swoim: *Der Darwinismus und die Naturforschung Newtons und Cuviers* <sup>1)</sup>. Darwinizm będąc prawdziwym we wszystkich szczegółach, byłby bardzo dla panteizmu przydatną doktryną, gdyby pogląd ten na świat był możliwy tak logicznie jak metafizycznie i psychologicznie, gdyby był w stanie wytłumaczyć nam choćby tylko w przybliżeniu do prawdy, ale wszechstronnie całą rzeczywistość tak tę, którą jesteśmy, jak i tę, którą nie jesteśmy. Tymczasem panteizm nie jest w stanie tego uczynić, jak to wykazaliśmy na przykładzie Spinozizmu, który jest najdoskonalszym, najwszechstronniejszym i najwięcej skończonym panteistycznym systemem jaki kiedykolwiek istniał. Czego więc nie dokonał Spinoza, tego i następcy jego nigdy nie dokonają, bo nikt nie zrobi koła kwadratowém, nikt więc z pojęcia jednéj substancji nie wyprowadzi koniecznéj różnorożności zjawisk, a z różnorożności działających sił nie wytłumaczy faktycznéj rzeczywistéj jedności.

Niechaj nas nie obalamuca cześć oddawana dzisiaj Spinozie, w nim zbiegły się wszystkie kierunki panteizmu, a więc panteizm dzisiejszy, na który pracowała, tak dobrze teologia jak filozofia i nauki przyrodnicze, czci w nim swojego apostoła i stawia pomniki. „Spinoza był” (jak się wyraził o nim Ernest Renan w mowie mianéj w Haadze dnia 21 lutego r. b.) „widzącym swojego wieku, za swoich czasów był on tym który najgłębiej popatrzył w Boga.” To jest w Boga takiego, jakiego czczą, przeważające dzisiaj we filozofii kierunki, Boga siły i konieczności, Boga, którego istotą jest wszechświat a świadomością, człowiek. Renan który właśnie takiego wyznaje Boga, który istotę religii

<sup>1)</sup> Ostatni tom (trzeci) tego dzieła, będącego najgruntowniejszą krytyką Darwinizmu, wyszedł w bieżącym roku. Braunschweig, 1877.

i jój wieczystą podstawę widzi wyłącznie tylko we czci oddawanój ideałowi będącemu duszą świata, jego Bogiem i pierwszą przyczyną, Renan, powiadam, miał prawo odezwać się do współwyznawców swoich, że każdy wykształcony człowiek, przechodząc koło pomnika Spinozy pomyśli sobie: oto z tego miejsca Bóg był najbliższój widzianym <sup>1)</sup>.” Słowom tym jego, wiemy to dobrze, przyklasną całém sercem dzisiejszy świat uczony, ale czy przyklasną inni i przyszłe pokolenia, o tém ośmielamy się powątpiewać. Dzisiejszy przyrodniczy panteizm siły jest ostatnim stopniem w rozwoju tego kierunku. Gdy on się zużyje, gdy wykaże swoję nieudolność w tłumaczeniu rzeczywistości, i w określeniu zasad moralnych i moralnego stanowiska człowieka, wtedy musi nastąpić reakcja. Filozofia przyrody powróci wówczas do pojęcia siły jednostkowej, filozofia ducha do uznania samodzielnego istnienia siły duchowój, a metafizyka do pojęcia osobistego Boga, którego dziełem jest wszechświat, jako harmonijna całość indywidualnych bytów; który stworzywszy je, umożliwił ich wzajemne na się oddziaływanie, w celach wzajemnego doskonalenia się: jedném słowem do pojęcia Boga miłości i najwyszszój mądrości, w miejsce Boga siły i konieczności; moralność zaś będzie zmuszoną oprzeć się na idei przeznaczenia człowieka, gdyż prędzój czy późniój społeczeństwo dojdzie do przekonania, że moralność oparta na idei pożytku i siły nie jest żadną moralnością, istota moralności nie polega bowiem na tém, iż człowiek pełni coś nie ze względu na swój osobisty pożytek, ale dlatego żeby spełnić obowiązek, który wypływa zawsze z pojęcia naszego indywidualnego i ogólnego ludzkiego przeznaczenia. Ale filozofia indywidualistyczna, po ciężkich próbach które teraz przechodzi, powinna pamiętać o tém, iż wtedy tylko będzie mogła zapewnić sobie panowanie, jeżeli określi należycie pojęcie bytu ograniczonego, jeżeli się oprze na zasadzie wzajemnego tychże bytów współdziałania, z którego wypływa naturalna boska w wszechświecie harmonia, będąca jego prawem; jeżeli w filozofii, religii i w etyce wróci szczerze na grunt chrześcijański: jeżeli wreszcie życie i rozwój społeczny pojmie nie na zasadzie egoizmu i walki o byt, ale na zasadzie harmonii praw, jednostki z jój obowiązkami względem drugich, tudzież na podstawie harmonii, własnych każdego interesów z interesem drugich. Nie potrzebuje ona wcale wyrzekać się nowożytnój wiedzy, która jest chlubą, potęgą ducha ludzkiego; owszem powinna ją uznać i własnością swoję uczynić: z nauki tej niechaj ukuje broń przeciw panteizmowi, a wtedy musi zwyciężyć. Panteizm bowiem to zawsze objaw skrzywionego stosunku, między Stwórcą a stworzeniem, między człowiekiem a światem, między myślą a bytem; to dzieło, owój odwiecznej, tytanicznej w duchu ludzkim tęsknoty, o której śpiewa nasz wielki poeta myśliciel:

„Aż znów się zbudzi odwieczna tęsknota,  
Dni zwątpień wróć, pokusa się wzmoże;

<sup>1)</sup> Zob. Journal des Debats z 1 marca 1877.



Znów mu się wyda że z niego sierota  
Rzucony oślepi na zaguby morze."

Ale Tytan, w którym na nowo zbudziła się odwieczna tęsknota wiedzy, nie poprzestał na wątpieniu, dumny z wielkich dzieł swoich które już wykonał, dumny z tego iż światłem i ciepłem z nieba zabraném, mógł ogrzać siebie i drugich *zwątpiwszy w Boga*, sam zapragnął zostać Bogiem, a miejsce pobytu swego w niebo zmienić. Podjął on jednak nierówną walkę: choćby piętrzył góry na górach, nieba w posadach nie wzruszy, nieba ziemią nie zastąpi. Baruch Spinoza to jeden z Tytanów ludzkości, jeden z najpotężniejszych. Współtowarzysze jego w tytanicznej walce przeciw Bogu, wielbią w nim dzisiaj swego przewodcę, swego proroka i apostoła. My z naszej strony, w dwóchsetną rocznicę jego śmierci, składamy mu hołd, jako najgenialniejszemu przedstawicielowi z gruntu fałszywego kierunku, i kończymy pracę naszą, słowami może nieco drastycznymi ale wybornie rzecz określającymi słowami Trentowskiego <sup>1)</sup>: „Dziwny to bardzo obłąd i zatór ludzkiego myślenia, iż dotychczasowa umiejętność mogła jakiś tam ogół siebie samego nieświadomy, jakiś tam *bezmiar garnek pusty*, stawić wyżej od osobistości będącej jego jądrem i sercem z niebios, jego przeświadczeniem, rozumem i wolą, jego alfą i omegą; iż podnosiła *całość martwą* a opuszczała *żywą w niej całość*.”

---

<sup>1)</sup> Panteon wiedzy ludzkiej I. str. 93.



# BRYTAN-BRYŚ.

BAJĘDA DRAMATYCZNA W IV AKTACH,

W I E R S Z E M \*).

PRZEZ

Aleksandra hr. Fredrę.

## AKT II.

(Inna częśćó lasu).

SCENA 1.

ZAJĄC, TCHÓRZ, później DANIEL stary.

TCHÓRZ.

Tak, nieinaczej, rozpatrzywszy zblizka  
Te nasze pakta, rzecz to dyable ślizka.  
Wszystko na jawie, wszyscy myślą o mnie,  
A ja z tém wszystkiem boję się ogromnie.  
„Nie duś gołębi!” Dobrze, ja nie duszę,  
Bo możni każą, — słaby, słuchać muszę;  
Ale nuż, panie, z onych możnych który,  
Zapragnie mięsa, albo mojej skóry?  
Cóż wtedy? Powiedz?

ZAJĄC.

A, ba!

TCHÓRZ.

Jakto, a ba!

ZAJĄC.

Nie spodziewam się.

TCHÓRZ.

Gwarancya za słaba.

Tu nie nadziei, tu trzeba pewności,  
Bo każdy przecie kocha swoje kości.  
Już mi, na honor, nieraz na myśl wpada,  
Dérnać z téj rzeszy.

ZAJĄC.

Dérnij.

TCHÓRZ.

Łatwa rada!

Dérnij!... Ja dérdać umiém, to nie plotka,  
Ale któż ręczy, co za górą spotka?  
Mogą gdzie z krzaków zasadzkę odsłonić,  
Mogą mnie w polu, jak łotra dogonić;  
Jak zbiega chwycić i napół żywego  
Przed sądem stawić. I cóż będzie z tego?

\*) Daluzy ciąg—obacz zeszyt za kwiecień r. b.

ZAJĄC.  
TCHÓRZ.

Źle.

Źle, a widzisz, źle niezawodnie;  
Będą mi zbrodnie ładować na zbrodnie,  
A i pies za mną, nie szczeknie w tej sprawie.  
Obrona Tchórzez niepodobna prawie.

ZAJĄC.  
TCHÓRZ.

To rzecz okropna! Wszystko zność mogę:  
Głód, hańbę, wzgardę... Ach! tylko nie trwożę.  
Instykt mi mówi, że nie jest bezpieczny,  
Sam widok możnych, przestach dla mnie wieczny.  
Wczoraj gazetę czytając, Ryś kichnął,  
Ja mówię *vivat!* A on się uśmiechnął.  
Oho!...

ZAJĄC.  
TCHÓRZ.

Ale jak?... Ażem struchlał cały!  
Dziś, nad strumykiem siadł gołąbek biały,  
Chciałem dzień dobry powiedzieć mu zcicha;  
Lézę... wtém... słucham... coś za krzakiem wzdycha...  
Spojrzę, Wilk! Patrzę, a on na mnie mrug, mrug:  
Padłem mospanie, padłem jak ścięty z nóg;  
I wskroś ze strachu przejął mnie ból taki,  
Że... że...

ZAJĄC.  
TCHÓRZ.

Rozumiem. Czy nie masz tabaki?  
I to jest życie? I to jest opieka?  
Dawniej, jedynie bałem się człowieka,  
A że ten w nocy ślepy jak łopata,  
A ja że nigdy w dzień nie widział świata,  
Żem drwił z żelazek, dzięki mej naturze,  
Żyłem więc jak król na strychu w mej dziurze.

ZAJĄC.

Wprawdzie na strychu nie byłem jak żyję,  
Ale swobodniej dziś me serce bije,  
Niż mych pradziadów kiedykolwiek biło.  
Dziś i poskakać i wyspać się miło,  
A dawniej w lesie, pod rządem człowieka,  
Nikt nie mógł wiedzieć, co nazajutrz czeka.  
I w letniej porze, gdzie niby w moc prawa  
Wszelkie strzelanie i rozbój ustawa,  
Zajac bywało, odpoczynku niema;  
Wciąż z otwartymi musiał spać oczyma.  
Na wakacje przybył panicz z miasta,  
Hajże z fuzyjką po lesie się szasta...  
Puka... do czego? Ot tam do zająca.  
Psiarnię wygryzła zgraja szczekająca...  
Hajże do lasu! goni jak najęta...  
Kogo? Zająca. Wprawiają się psięta,  
By skowyczały wszystkie tropem jednym...  
A na kim? Juźci na Zającu biédnym.

Nawet darmojad kundys z leśniczówki,  
Goni Zająca na mgliste dodniówki.  
Zawsze Zająca i Zająca wszędzie...  
A padam do nóg! Tegoć już nie będzie.  
Dawniej, co robić, najmędrzy nie wiedziat:  
Zginął mój dziadek, że za twardo siedział,  
Zginął pradziadek, że pomknął zawcześni...  
Słowem, tak czy siak, na jawie czy we śnie,  
Zawsześ pod sobą miewał grób otwarty.

TCHÓRZ.

A charty, charty! Wiész ty co to charty?  
Czy wiém? Aj gwałtu! Jak razu jednego  
Zoczyłem charta pod płótem zdechłego,  
Cztery dni potém nie wylazłem z dziury...

ZAJĄC.

O! straszne, straszne, są dzieła natury.  
Słuchajno, słuchaj, ja powiem nietyle:  
Kiedy, mospanie, nadchodziły chwile,  
Gdzie wiatr jesienny żółtym wstrząsał lasem,  
Liść leciał, zoładź padała z hałasem,  
Wtenczas się zwykle wychodziło w pole:  
Tamto, za wiatrem, do słoneczka, w dole,  
W krzaku paproci, nieraz się chrapnęło.  
Nie raz téż jeden, w trwodze się ocknęło.  
Słyszę, bywało, jakiś szum po trawie,  
Coś dudni głucho. W miejscu się poprawię,  
Łypnę za siebie... Strach! czereda w dali  
Ludzi, psów, koni, prosto na mnie wali.  
Czém to pachnie, wiém... łatwo téż i widzieć.  
Ale umykać, czy téż w miejscu siedzieć,  
To jest pytanie, to wieczna zagadka  
Nierozwiązana z dziadka i pradziadka:  
Pomknę się, złapią, a może ucieknę?  
W miejscu, prześlepią, a może i beknę.  
Nareszcie myśl w myśl... strach wielki... czas drogi!  
Szustl.. dalej w nogi.

TCHÓRZ.

Oczywiście w nogi.

ZAJĄC.

Wtedy dopiero grzmot, łoskot... pioruny!  
Pędzą psy wściekłe, a wrzeszczą ryzuny,  
Hajże go! hajże! co gardła wystarczy,  
A tentent bliżej, coraz bliżej warczy.  
Świat mi się miga, aż mi w oczach ciemno,  
A ziemia dudni, dzwoni aż podemną.  
I tyle ludzi, tyle psów i koni,  
Wszystko to za mną, za mną jednym goni;  
Wszystko to godzi na mnie, mnie jednego,  
Jednego i z nich wszystkich najstarszego!  
I tyle uciech i tyle radości,  
Że może wkrótce wyrwą mi wnętrzności,



Że dzieląc członki z rozjuszoną psiarnią,  
 Miłą zabawkę sprawią mą męczarnią.  
 Ach! kiedy w końcu, ledwie na półżywy,  
 Dopadnę haszczów, tarni lub pokrzywy,  
 I bez tchu legnę, gdzie zanosły nogi,  
 Potém ochłone i z trudu i z trwogi,  
 Pytam się, pytam, acz sam nie wiem kogo,  
 Za com na świecie karany tak srogo?  
 Komu i przez co ja nieszczęsny szkodzę?  
 A jeśli szkodzę, pocóż się i rodzę?  
 Jak każdy słaby musisz cierpieć wiele,  
 Ale natura dała ci w udziale  
 Czujność i szybkość. W nich obrona twoja;  
 Jakkolwiek licha, jedyna to zbroja.  
 Lecz biada tobie, jeśli chcąc ująć męce,  
 Zechcesz ją złożyć w czyjekolwiek ręce;  
 Jeśli za wolność, w jakimbądź sposobie  
 Obcą opiekę zechcesz kupić sobie.  
 Młodego, panicz obudził cię czasem,  
 Młodego, młodzież przeganiała lasem;  
 Dla tego później, wprawny i świadomy,  
 Mogłeś przez ludzkie przesuwać się gromy,  
 Mogłeś, szaloną przemocą przyparty,  
 Wyprzedzić w biegu i konie i charty.  
 Ale dziś, jeśli z powodu opieki,  
 Nawykniesz twardo przymykać powieki;  
 Jeśli spoczynek twą szybkość zagrzebie  
 Cóż ci zostanie ze samego siebie?  
 Nic mieć nie będziesz na świata padole,  
 Jak cudzą łaskę, raczej cudzą wolę.  
 A łapa w straży nad tobą rozwarta,  
 Ścisnąć się może jak i szczeka charta.  
 Tak, zamiast wroga, protektor cię złupi,  
 Boś nie mniej słaby, lecz więcej był głupi.  
 Cóż więc słabemu zostaje?

DANIEL stary.

ZAJĄC.

DANIEL stary.

Przymierze,  
 Co pomódz zdolne, a wolność zastrzeże.  
 Ale w przymierzu, nie miara postaci  
 Niech ci wskazuje wrogów albo braci:  
 Równe potrzeby i dążności równe,  
 To kit przymierza, to zasady główne.  
 Słoń wielki, silny, nie zje cię, choć może,  
 A szczur zje zawsze, jak mu traf pomoże.  
 Cóż więc mam robić?

ZAJĄC.

DANIEL stary.

TCHÓRZ.

Ufać tylko sobie.  
 A ja nieszczęsny, cóż ja teraz zrobię?

DANIEL stary. Zmykaj!  
 TCHÓRZ. Boję się.  
 DANIEL stary. Zostań.  
 TCHÓRZ. Niebezpiecznie.  
 DANIEL stary. Zginę z mym rodem.  
 Nie, będziesz żył wiecznie.  
 (odchodzą).

## SCENA 2.

## BÓBR, KOT.

BÓBR. Nie, nie, już dłużej wytrzymać nie mogę,  
 Ze sceny świata cofam swoją nogę.  
 Wróć w jeziora nadbrzeżne ukrycie,  
 I płakać będę, płakać całe życie,  
 Płakać jak żaden Bóbr nie płakał jeszcze;  
 Nie, że krew moją podłe piły kleszcze,  
 Że owoc pracy, niknie moja budka,  
 Nie, że się dałem wystrychnąć na dudka;  
 Ale żem stracił wiarę w głos sumienia,  
 W czystość zamiarów, w świętość poświęcenia,  
 Co, jakby kruszec zrośnięty z opoką  
 Dno mego serca zaległo szeroko.  
 Wyrwano mi ją, z korzeniem wyrwano,  
 Serce zostało jedną tylko raną,  
 Zostało puszcza i głuchą i czarną,  
 Gdzie i nadziei już nie jeździe ziarno.

KOT. O hańbo, hańbo! O zgrozo bez miary!  
 Dobrzy bez względu, złoczyńcy bez kary,  
 Hojność wygasła, niknie wszelka cnota,  
 Bo nikt, niestety, nie chce słuchać Kota.

BÓBR. Dawniej, zło w świecie często górę brało,  
 Było ucisku, bezprawia nie mało,  
 Było za wiele zwierzonego sile  
 Ależ i było podłości nie tyle.  
 Takto: Lew mniemał, że jego pazury  
 Dają kierunek biegowi natury;  
 Tygrys, że ziemia zamrze i spróchnieje,  
 Jeśli krwią wrzącą czasem się nie zleje;  
 Hyena nawet nocne śląc rozboje,  
 Myślała spełniać posłannictwo swoje.  
 Podobne zdania dumy, błędu, szału,  
 Wyssane z mlekiem, wzrastały pomału;  
 Ich zwolennicy posąg im stawiali,  
 Ale padł posąg, oni wraz padali;  
 Na rozwaliskach swój własnej budowy,  
 Mieli dość wstydu by nie cofnąć głowy,

I często zgonem wielkim, jakby cnota,  
 Ścierali skazy błędnego żywota.  
 Lecz dziś, te Wilki, te Lisy, Borsuki,  
 Owe doktory ryjącej nauki,  
 Z Kretem i Tchórzem ta podziemna rzesza,  
 Szychowe szmaty za sztandar rozwiesza,  
 W który tak wierzy ich podła obłuda,  
 Jak wierzy kuglarz w swoje własne cuda.  
 Wabią gorliwych, kradną poświęcenie,  
 Chęci i wiarę, cnotę i sumienie;  
 Kradną złodzieje szlachetne uczynki,  
 Każdy, na szczebel do swojej drabinki,  
 Po której pnie się do własnego celu;  
 Ale by za nim nie pięto się wielu,  
 Zaledwie w szczycie utopi swe szpony,  
 Potrąca dźwignię, którą był wzniesiony,  
 I na stos głupich wijących się w dole,  
 Rozrzuca nędzę, hańbę i niewolę.  
 Hojność wygasła, niknie wszelka cnota,  
 Bo nikt niestety, nie chce słuchać Kota.

KOT.

BÓBR.

Taka to, taka, ta mądra potęga,  
 Która proroczo w całą przyszłość sięga,  
 Na którą nasz świat czekał lat tysiące  
 Aby go pchnęła naprzód w samo słońce;  
 A jak się uda, i na drugą stronę.  
 O nędzo pychy! O głupstwo szalone!  
 Nie naprzód idziem w tej błotnej przepaści,  
 Bo pod tém futrem rozmaitej maści,  
 Pstrém, białém, czarném, pokładném, zjeżoném,  
 Twardém czy miękkim, z kitą czy ogonem,  
 Wiesz co się mieści? co się w środku kryje?  
 Oto bestya, w swym pierwotnym wątku,  
 Ta sama zawsze od świata początku;  
 W niej krwi popędu i hamulca myśli  
 Spór nieustanny, wieczne koło kręśli.  
 Tak i ten ogrom, co my zowiem światem,  
 Jest tych jednostek ruchomym warszatem;  
 Wieki dźwigają dobrą stronę w górę,  
 Wieki ściągają w bezdroża ponure.

KOT.

O Bobrze, Bobrze! piękne twoje słowa,  
 Kto raz usłyszy na zawsze zachowa;  
 Idź, idź w jeziora nadbrzeżne ukrycie,  
 Tam kończ szlachetne, wielkie, czyste życie;  
 Ale żeś Bobrze bezdzietny i stary,  
 Filarom cnoty zostaw swoje dary,



- I nim odejdiesz żyć od nas daleko,  
Zapisać tu Kotom twój domek nad rzeką.  
A to konkluzya w dość dziwnym sposobie!
- BÓBR. Chcesz Kocie domku, to go postaw sobie.  
KOT. Kot nic nie stawia, wszystkiego używa.  
BÓBR. Żniwo bez siejby, to sztuka prawdziwa.  
Ale powiedz mi, z jakiego powodu,  
Bóbr ma pracować dla Kocięgo rodu?
- KOT. Wspierać go, wspierać wielkomowny Bobrze;  
Bo niedość pragnąć, niedość myśleć dobrze,  
Niedość i płakać głosząc dobre chęci:  
Z płaczu, jak z piasku, bicza nie ukręci;  
Potrzeba działać, wytrwać w każdym dziele,  
Bo kto nie działa, wrogom drogę ściele.
- BÓBR. Działać? Działaniem i nie będę więcej.  
Sama bezdenność głupoty zwierzęcej,  
Dowodzi sobą wolę przeznaczenia,  
Którą nie łamie, którą nic nie zmienia;  
Niech więc obali, niech mnie teraz dusi,  
Ja teraz mówię: jak jest, tak być musi.
- KOT. Ależ, mój Bobrze, to fatalizm czysty,  
Inaczej mówiąc, nonsens oczywisty;  
Bo przeznaczenie dało wolę tobie,  
Abyś się wyspał, jak pościelesz sobie.  
Nie umiesz pływać, nie leż do głębiny,  
A jeśli toniesz, chwytaj się wikliny,  
Która z nad brzegu, silniejsza od prądu  
Podaje pomoc szukającym ładu.  
Dlatego mówię, widząc twoją trwogę:  
Wesprzyj mnie darem, bo ja działać mogę;  
Ja działać umiem więcej, jak kto inny:  
Jestem cierpliwy, przezorny i czynny.  
Kot kiedy drzymie, wszystko ma na oku,  
Kiedy się skrada, nikt nie słyszy kroku;  
Nigdy nie puści, kiedy co gdzie złapie,  
Wszędzie wyskoczy, wszędzie się wydrapie,  
A jeśli padnie, to zawsze na nogi,  
Kot, Kot, opiekun i przyjaciel drogi;  
Dlatego rzekłem, wesprzyj swoim darem  
Tych, których cnota jedynym zamiarem,  
Których chęć silna i silna wymowa.
- BÓBR. Gdzie niema czynu, tam kłamstwem są słowa.  
Są Koty zacne, ale ich nie wiele,  
Ja równym tobie tę radę udzielię:  
Chcesz uczyć cnoty, bądź cnotliwy wprzód,  
W przykładzie własnym najlepsze dowody.

Chcesz wskazać prawdę, nie zasłaniaj sobą,  
 Bo brud twą szatą, czystość jój ozdoba;  
 Jój i twojego nie mięszaj widoku,  
 Bo i ją zbrzydźsz tak sercu jak oku.  
 Chwalisz swą zdatność, liczysz twe zalety,  
 Czemuż ich czynem nie wspierasz, niestety!  
 Wszystko uważasz, lecz cóż ztąd dobrego?  
 Cicho się skradasz, ale do cudzego.  
 Wszędzie wyskoczysz tam, gdzie cię nie proszą,  
 Umiesz się wynieść, jak kijem przepłoszą;  
 Coś chwycił, trzymasz, piętrzysz w swoim domu,  
 A choćby konał, nic nie dasz nikomu.  
 Jesteś cierpliwy, przezorny i czynny,  
 Lecz gdzie interes Koci a nie inny:  
 Ztąd to, że w nocy widzą tylko Koty,  
 Pragniesz na świecie niezmiennój ciemnoty;  
 A ja że pragnę rzetelnój oświaty,  
 Nie dam ci domku. Popraw się kosmaty! (Odchodzi).

KOT (*sam, po długim milczeniu*). Bodajżeś popadł w apteczne otchłanie,  
 Ty przeciw spazmom śmierdzący arkanie!

## S C E N A 3.

ŚWINIA—KOT.

ŚWINIA (*podnosząc się z kałuży*).  
*Oui, oui, oui! c'est bien.* *Oui, oui, oui,* oświata;  
 Ale w czém ona, to zagadka świata.  
 Jeśli oświata są ludzkie budynki,  
 Gdzie sadła, kiszki, kiełbasy i szynki  
 Plotą się wieńce, w piramidy wznoszą,  
 Aby obrzydłą stawać się rozkoszą,  
 Taką oświatę niech czarci zagaszają,  
 Bo jest krwią, sercem, ciałem, skórą naszą.  
 Kot. Tak, to źle, ale łatwo może zbłądzić,  
 Kto chce ze swego stanowiska sądzić...  
 ŚWINIA. Jakto ze swego! a z czyjegoż może  
 Ten, nad kim zawsze ostre wiszą noże?  
 Ty tylko możesz nieznać stanowiska,  
 Bo ciebie i pies nie weźmie do pyska.  
 Ja krzyczęć będę, niech wszyscy to wiedzą:  
 Tam jest oświata, gdzie kiełbas nie jedzą;  
 Tam gdzie ma każdy, na dole czy w górze,  
 Pełne korytko i własną kałużę.  
 Tak ja powiadam i tak myślą krocie;  
*Oui oui oui c'est cela* — a tyś głupi Kocie. (Odchodzi).

KOT (*sam, po krótkim milczeniu*). Już więc i Świnia chce znosić kiełbasy:  
 Wszędzie reforma. O czasy! O czasy! (Odchodzi).

## S C E N A 4.

BYK—WILK—CAP—BARAN—BRYTAN-BRYŚ (*w głębi nie widziany*).

BYK. Czemu ty Wilku łazisz za mną wszędzie?  
 WILK. Bo ja cię kocham. Wszak prawda Baranie?  
 BARAN. Oho! Wilk kocha.

WILK. Wiecznie kochać będzie:  
 Wszak prawda Capie?

CAP. Takie moje zdanie.

BYK. Niech kocha sobie ale niech nie nudzi.  
 WILK. Mógłbyś być wzorem dla zwierząt i ludzi,  
 Boś piękny, silny, dobry i wspaniały;  
 Gdybyś mnie wierzył, twój byłby świat cały.  
 BYK. Dajże mi pokój.

WILK. Chciój tylko być panem,  
 A służyć będę z Capem i Baranem.

(*Do Capa i Barana*).

Prawda?

A prawda.

CAP.

BARAN.

Święte Wilka słowa.

BYK (*do Barana*). Czego się trzęsiesz?

BARAN.

To drgawka nerwowa.

WILK (*do Byka*). Gdybyś chciał tylko, sam miałbyś tę paszę;  
 Ja chętnie Gęsi i Trzody odstraszę,  
 A ty Niedźwiedzia.

BYK.

Niedźwiedź się nie pasie.

WILK.

Hm, hm! kto to wie co może być w czasie.  
 Niedźwiedź fałszywy, Brytan-Bryś fałszywy,  
 Ja tylko jeden, ja tobie życzliwy.  
 O Byku, Byku! nie znasz się na sobie,  
 Ja ciebie wielkim, ja wszechwładnym zrobię:  
 Będziesz panował nad stepem i borem,  
 Mnie zrobisz tylko... owczarni rektorem.  
 Oho, ho!

Co?

BARAN.

WILK.

BARAN.

WILK.

Nic.

Będę młodzień kształcił,  
 A biada temu, coby prawo gwałcił,  
 Coby śmiał twojej sprzeciwić się woli.  
 O Byku, Byku! Tyś jeszcze w niewoli,  
 Idź śmiało naprzód. Silnych zmieszaj z błotem,  
 O resztę nie dbaj... Ja wystąpię potem,  
 A świat ci sławy cały pozazdrości,  
 Bo ja chcę tylko braterskiej miłości.  
 Patrz, łzę nadziei powieka zroszona...  
 Pozwól się liźnąć w koniuszeczki ogona.



BYK.

O hola, hola! Wstrzymaj twe zaloty,  
Z tyłu nie lubię waścinyj pieszczoty,  
A chcesz koniecznie, liźnij moje rogi.

WILK.

O Byku, Byku! przyjacielu drogi,  
Róg, to rzecz ostra — trafia się czasami...

BRYTAN-BRYŚ.

Że róg zadzwoni wilczemi zębami.  
Zachodź więc z tyłu, bo z przodu niesładnie,  
Bo z przodu każdy twoję myśl odgadnie;  
Jakkolwiek jesteś bezwstydnego czoła,  
Łgarz w tobie łotra zasłonić nie zdoła.  
Rad nie rad, musisz przed okiem bez skazy  
Spuszczać powieki, płatać twe wyrazy.

Czołgaj się zatem, całuj i kopyta.  
Podły twój umysł o środki nie pyta,  
Byle u głupich wyłudzić coś wiary,  
Byle zawichrzyć najczystsze zamiary.

Główny namówco gwałtu i rozboju,  
A tchórz pierwszy. Gdy przyjdzie do boju,  
Czekasz, co drudzy szponami rozerwą,  
Bo twoim celem, twojém życiem—ścierwo.

WILK.

Brysiu, te słowa kiedyś ci nagrodzę;  
Ja cię unikam, ty mi stajesz w drodze.

BRYTAN-BRYŚ.

To ty, hultaju, siejąc wkoło trwogę,  
Cierniem najgładszą zaścielasz mi drogę,  
Tak, że nie jeden w dawnéj brnie kolei,  
By z tobą wspólnéj nie mieć i nadziei....

Lecz mówić z Wilkiem szkoda tylko czasu,  
Bo Wilka ciągnie natura do lasu;  
Jego odpowiedź na wszelkie dowody:

„Baranie, nie mąć wody.“

Ale ty Capie, co już przez twą brodę  
Zwiastujesz światu postęp i swobodę,  
I ty Baranie, głupoto bez zmayı,  
Co nim raz stąpisz, cofasz się dwa razy,  
Powiedzcie szczerze, co zyskać możecie,  
Jak Wilk pożogę rozdmucha po świecie?  
Jak kły zaświecą, zabłysną pazury?  
Jak wełny trzeszczeć, pękać będą skóry?  
Powiedzcie, czemu becycie na chlubę  
Temu, co wieczną zaprzysiągł wam zgubę?  
Czemu ściągacie jeszcze głupszych zgraje,  
Że Wilk sam niegdyś, dziś już w kole staje,  
Że już acz błaha, lecz przecieć osłona  
Na jego nagie łotrostwo rzucona?  
Jeżeli z trwogi zebrzecie przyjaźni,  
Więcój podłości nie zmniejszy bojaźni;

Wszystko daremnie, poginiecie marnie,  
 Bo jak Wilk chrupnąć będzie mógł bezkarnie,  
 Chrupnie was pewnie, ani się zakrzusi.  
 Cóż was więc nęci, co w tę przepaść kusi?  
 Albo też może, szczerze macie chęci,  
 Żyć razem z Wilkiem w niezgastłej pamięci?  
 O, jeśli o to idzie wam w tej dobie,  
 To bardzo łatwo pozyskacie sobie;  
 Będą, ja ręczę, będą koło drogi,  
 Broda na płocie, a na wierzbie rogi,  
 Mówić przechodniom od rana do rana:  
 Tu zjadł Wilk Capa, a tu zjadł Barana.  
 Jak tu gorąco!

CAP.

BARAN.

BYK.

WILK.

BRYTAN-BRYŚ.

WILK.

CAP.

WILK.

BARAN.

WILK.

BARAN.

WILK (*sam*).

Zimno w samej rzeczy.

Co rzekł Brytan-Bryś, mało kto zaprzeczy.  
 Ja to wiem dobrze z dziada i pradziada,  
 Że nigdy Wilka nie puszczają do stada,  
 Bo jak świat światem,  
 Wilk Bydlęciu nie będzie bratem.

O Brytan-Brysiu! przyjdzie chwila jeszcze,  
 Gdzie ja na górze, w dole cię umieszczę.

Cóż ztąd? ja w mojej pozostanę skórze,  
 A ty, łotr w dole, będziesz łotrem w górze.

*(Odchodzą z Bykiem).*

Chodź, chodź mój Capie, ty studnio rozumu,  
 Sam na sam zemną, daleko od tłumu,  
 W ciemnej ustroni, przy mrużącój wodzie,  
 Powiesz twe sławne zwycięstwo w ogrodzie.

Chętniebym poszedł... ale patrz na nogę,  
 Takie nagniotki, że stąpić nie mogę;  
 Patrz, drogi Wilku: nagniotki jak gałki. *(Odchodzi).*

No, to ty Baziu, chodźmy na fijałki.

Ohoho! chciałbym....

Chodź, luby Baranie....

Lecz mój żołądek w oplakany stanie,  
 Kroku nie mogę postąpić uczciwie....

Do nóg upadam.... żałuję prawdziwie. *(Odchodzi).*

Znowu sam jestem.... sam zostanę pewnie....

Darmo się łaszę, darmo płaczę rzewnie....

I choć motłochu nazbieram z mozołem,  
 Niknie jak rosa, nim działać zacząłem,  
 Bo żadne zwierzę nie jest dosyć głupie,  
 Aby czekało, póki go nie złupię....

A prawdę mówiąc, po wykrętach wielu,  
 Muszę finalnie przy tym stanąć celu.

Precz zatém pęta, w których nie wyrosłem!  
 Nieład żywołem, zdrada mém rzemiosłem.  
 Niech wojna w ludzkiej i zwierzęcej rzeszy,  
 Pokarm dostarcza i serce mi cieszy.  
 Nie będę dłużej walczyć z przeznaczeniem,  
 Wolę żyć Wilkiem, jak ginąć Jeleniem. (*Odchodzi*).

## S C E N A 5.

ZWIERZĘTA (*wpadając hurmem*). Na wybory! na wybory!

Precz z drogi kto nie skorył!

Hejże, hejże! na wybory!

LIS (*zastępując im drogę*). Słówko! panowie zwierzęta!

Lis pokornie was uprasza,

Niech oświeci rada wasza,

Kogo wybrać na Rejenta.

Lis słaby, biędny, maleńki:

Zgodnie z wami działać musi;

Lecz przecie chciałby poręki,

Że wybrany go nie zdusi,

Bo Lis słaby, Lis maleńki.

Za kim więc jesteś, Baranie?

BARAN.

Tak dalece.... uważając....

Dobrze wiedzieć.... cudze zdanie.

LIS.

Kogóż ty chcesz, mości Zając?

ZAJĄC.

Hm! szanowny panie Lisie,

Wyznam szczerze — pytaj mi się,

Kogo chcę mieć za sąsiada,

To ci Zając wnet odpowie;

Lecz kto w górze gdzieś tam włada,

Co tam z tego Zającowil

A ty, Kundlu?

LIS.

Chcę człowieka.

KUNDEL.

Czy oszalał! Co on szczekał

ZWIERZĘTA.

Człowiek gałgan, wy gałgany:

KUNDEL.

Wszystko jedno. Wolę przecie

Cierń kolący ale znany,

Jak nieznanne wasze śmiecie.

A Wieprz za kim?

LIS.

To pytanie,

WIEPRZ.

Mam wybierać, toć Mosanie,

Wolę siebie jak innego;

*Prima charitus ab ego.*

LIS.

Co Cap na to?

CAP (*po długim milczeniu*).

W każdym dziele



- Przy rozwadze i przy zgodzie,  
Sprezystości trzeba wiele;  
Jak mój przykład uczy właśnie.  
Raz, będąc w pewnym ogrodzie...
- ZWIERZĘTA.  
BORSUK. Cicho, Capiel stare baśniel  
Pozwólcie-że mi panowie,  
Niech wasz sługa słówko powie:  
Lis słaby, biedny, maleńki;  
Wszak i my, jak tu stoimy,  
Ani wielcy, ani możni;  
Jak Lis, tak i my pragniemy  
Jakiś takiś zkaż poręki,  
Ze ten, co na szczycie siedzie,  
Dusić nas słabych nie będzie.  
Cóż więc Lisa od nas różni?  
Nic, ale Lis acz maleńki,  
Wielki rozum w jego głowie.
- LIS (*skromnie spuszczać oczy*).  
O! O!
- BORSUK. Wielki, każdy to wie,  
Prawda?
- ZWIERZĘTA.  
BORSUK. Tak, tak, każdy to wie.  
Niechże zatém Lis nam powie,  
Jakie jego jest w tém zdanie.  
LIS. Cóż ja biedny, mogę wiedzieć.  
BORSUK. Myśl przecie możesz powiedzieć.  
LIS. Nie śmiem.
- ZWIERZĘTA.  
LIS. Gadaj, gadaj Lisie.  
Ha! Każecie, niech się stanie.  
A więc powiem: zdaje mi się,  
Ze nam słabym, trzeba w zgodzie  
Wziąć takiego kandydata,  
Którego róg nie przebodzie,  
Którego kieł nie rozplata...  
Słuchajcie! Słuchajcie!..
- BORSUK. Bravo!
- ZWIERZĘTA.  
LIS. Którego pazur nie złupi.  
BORSUK. Bravo! wybrać mamy prawo.  
I nie pojmie chyba głupi,  
Mądry zaś przyjmie bez sporu  
Za zasadę do wyboru,  
Ze nam potrzeba Rejenta  
Bez kłów, rogów i pazurów:  
Pamiętajciez to zwierzęta.
- ZWIERZĘTA (*odbiegając*). Do wyborów! Do wyborów!

## S C E N A 6.

BORSUK—ORZEŁ.

*(Zwierzęta rozbiegły się; Borsuk drwiąco za niemi spogląda: nagle Orzeł przed nim siada).*

BORSUK. Ha! Orzeł.

ORZEŁ. Tak jest, Orzeł.

BORSUK. Słyszałeś?

ORZEŁ. Słyszałem!

BORSUK. I cóż?

ORZEŁ. Nic, nie dziwię się. Ja naprzód wiedziałem, że, gdzie tylko podziemna występuje rzesza, Tam ona pewnie wszystko podryje, zamiesza.

BORSUK. Maż być lepsza do dzieła, rzesza latająca? Którą każdy wiatr ciągnie, każdy wiatr odtrąca; Która dumna, że lata gdzieś tam, aż pod nieba, Wraca jednak na ziemię, bo tu żyć potrzeba.

ORZEŁ. Bywało dla mnie wracać i odpocząć miło, Dopóki stał dąb jeszcze, gdzie me gniazdo było. Tam zaledwie piskłębem przejrzałem noc ciemną, Widziałem wieńce wkoło, a błękit nademną; Wiatr kotysał, szum śpiewał, słońcem piersi grzałem, I wprzód niebom polubił, nim ziemię poznałem. Później, kiedy mnie skrzydła w górę już wznosiły, Lot z rodzinnych konarów podwajał me siły, A gdy mogłem nareszcie zawisnąć wysoko, Zawsze na moim dębie wstrzymywałem oko; Między gniazdem a niebem, w wolnym żyłem locie, Reszta dla mnie poziomą, leżała w ciemnocie.

Ale lata mijały, niejedno szło z niemi, Coraz częściej musiałem dotykać się ziemi; Coraz zimniej mi było przez noce ponure, Ale coraz i silniej ciągnęło mnie w górę... Zaledwie zaświtało, już skrzydła-m rozpięrał, I o promyk jutrzeńki brud ziemi-m ocięrał, I grzałem serce moje zadrętwiałe chłodem, I pierś zimnem ściśniętą, przed płonącym wschodem.

BORSUK. Ze się grzałeś, to dobrze, bo nie masz na grzbiecie Takiego, jak ja futra, najlepszego w świecie. Jesteś upośledzony, żal mi, Orle, ciebie... Musisz skrzydłem pracować w najlichszej potrzebie, Bo masz zamiast nóg czterech, tych badyłków parę, Na których nie pobiegiesz; chodzisz jak za karę, Jakby źrebiec spętany, skaczesz krok po kroku: Co ja zbiegnę w dniu jednym, ty ledwie w pół roku.

Rozumiem więc, że lataasz od góry do góry,  
 Z drzewa na drzewo; dobrze: ale poco w chmury?  
 Na co owe w obłokach obroty, zygzaki?  
 Z góry w dół, z dołu w górę dziwaczne m ajaki?  
 Na co krążysz, jak gdyby chwycony zawrotem:  
 Co chcesz, powiedz, osiągnąć twym szalonym lotem?  
 Co ty biedny jamuiku, ryjąc w swoim błocie,  
 Możesz wiedzieć i sądzić o orlim polocie?  
 Pozwól, niech cię ostrożnie wezmę w moje szpony...  
 Dziękuję.

ORZEL.

BORSUK.

ORZEL.

W górne, piękne uniosę cię strony:  
 Tam poznaszto świat inny, poznasz inne cele  
 Jak te, które przypadek pod nogi wam ściele.  
 Dziękuję: jakbym latał.

BORSUK.

ORZEL.

Więc i cudzej sile  
 Nie dasz się podnieść w górę, choć na jedną chwilę?  
 Nie. Bom stworzon do ziemi i nie znam powodu,  
 Czemu lot ma być lepszym od mojego chodu;  
 Ja zawsze gruntu tykam, a ty powiedz, czego?  
 Zawsze mam punkt oparcia, ty nie masz żadnego.  
 A mam ci szczerze wyznać, Orle przyjacielu:  
 Głupim ten był i będzie, co lata bez celu.

ORZEL.

Bez celu? A mógłżebym żyć jeszcze w tej dobie,  
 Gdybym w górze powietrza nie zaczerpał sobie?  
 Tam w błękitach gdzie krążę, pod wieczorną gwiazdą,  
 Tam już ojczyzna moja, tam będzie me gniazdo;  
 Tam jak znajdę gałązkę, jak na niej zasięde,  
 Wtenczas nad lasy, góry, już latać nie będę;  
 Wtenczas do was na ziemię nigdy nie powrócę,  
 I czołganiem się waszém, serca nie zasmucę.

(odlatuje).

BORSUK (*sam po krótkim milczeniu*).

Leć, leć latawczel szukaj w lotnym pędzie  
 Gałązki, której nie zna nikt i znać nie będzie;  
 Lepsza jama wśród ziemi, jak to twoje gniazdo  
 Na wietrze gdzieś oparte, a okryte gwiazdą.

(*po krótkim milczeniu*). Hal.. zresztą... prawdę mówiąc... ty w pierzu,  
 [ja w futrze...

Ja żyję w dniu dzisiejszym a ty żyjesz w jutrze...  
 Ale czy się tam lata, czy się w błocie brodzi,  
 Wszystko to ponoś w końcu na jedno wychodzi.

KONIEC AKTU II-GO.



## AKT III.

## SCENA 1.

KOŃ—BRYTAN-BRYŚ.

BRYTAN-BRYŚ. Wiész ty gdzie pędzą te wszystkie zwierzęta?  
 KOŃ. Nie trudno zgadnąć: nowego Rejenta  
 Śpieszą powitać.

BRYTAN-BRYŚ. Polizać kopyta,  
 I czyje? Osła. Osła zgraja wita,  
 Zgraja, co zawsze tłoczy się, naciska,  
 Co w jednej dobie, choćby na granicie  
 Wydepcze ścieżki do władzcy siedliska.  
 KOŃ. O! trudno pojmie, kto nie był na szczycie,  
 Ile podłości pod nogi się ściele;  
 Jak tam serc mało, a żołądków wiele;  
 Jaka tam chciwość, zaręczność nie syta,  
 Co sobie chwyta, o drugich nie pyta.

BRYTAN-BRYŚ. Patrz, ci najwięcej zadzierają pyska,  
 Ci mnie znać nie chcą nawet i z nazwiska,  
 Co jeszcze wczoraj z supliką nikczemną,  
 W błocie się, w błocie, czołgali przedemną.  
 Nie, ten skład rzeczy, tak zostać nie może,  
 Nie będę brodził w tém bezwstydném dziele,  
 Zbiorę przyjaciół, trwożliwych ośmielę,  
 Jak grom uderzę na głupią hołotę,  
 A głupszą jeszcze Rejenta istotę  
 Chwycę za uszy, za kudłatą grzywę,  
 I aż na ludzką wywlekę go niwę.  
 KOŃ. A potem?

BRYTAN-BRYŚ.  
 KOŃ.

Potém?

Tak, co będzie potem?  
 Co chcesz poprawić tym gwałtownym zwrotem?  
 Głupstwo? daremnie. Czyż głupców nie stanie?  
 Rosną bez siejby, jak grzyby na ścianie.  
 I któż ci ręczy, że jak bój się wznieci,  
 Iż nie skorzysta jaki gorszy trzeci?  
 Cóż uniewinni wtedy czyn zuchwały,  
 Który zmarnował nadziei skarb cały,  
 Czasu spuściznę, dziedzictwo przyszłości?  
 Co uniewinni twój wybryk śmiałości?  
 Zapał szlachetny? Lecz i podła zdrada,  
 Maskę zapału nader często wkłada,  
 Pcha naprzód! naprzód, aż gdzieś w stanowisko,  
 Gdzie wszędzie ślisko, a przepaści blisko.

BRYTAN-BRYŚ. Taką więc rzeczą, niech się co chce dzieje:  
Mądry, kto cierpi; kto działa, szaleje.

KOŃ. Mądry, kto czeka, aby działać w porze;  
Tój pory poznać szalony nie może.

I, mam ci wyznać szczerze i otwarcie:  
Tyś dał Osłowi najdzielniejsze wsparcie.  
Ja?

BRYTAN-BRYŚ.

KOŃ.

Tak jest. — Zamiast błędy i przymioty,  
Z których natura splata swe istoty,  
Kierować, stawiać naprzeciwko siebie,  
Aby się strzegły, zwalczały w potrzebie:  
Jak dwie trucizny, co niszczą jad jadem;  
Chciałeś wraz wszystko jednym popchnąć śladem.  
Wpadłszy porywczy, nie przejrzałeś pola,  
Gdzie rozuzdana harcowała wola;  
Zacznym czynem i ostrym wyrazem,  
I obnażałeś i chłostałeś razem;  
Zdawało ci się, że wszyscy są ślepi,  
Że dość oświecić, by działali lepij.  
Cisnąłeś światło, aleś w oczy cisnął,  
I ogień sparzył, nim jeszcze zabłysnął.  
Dumny go odparł, zamilczał mniej hardy,  
Lecz każdy chwycił pocisk twojej wzgardy,  
Schował go w sercu, schował w swój pamięci,  
I stał się wrogiem każdej twojej chęci.  
Gdy się zaś chwila wyborów zbliżyła,  
Jakaż myśl skryta głównych stronnictw była?  
Stronnictwo Lisa pchało naprzód Osła,  
Aby intryga za tą tarczą rosta;  
Stronnictwo Wilka, w burzach czerpiąc życie,  
Słabości tylko mogło chcieć na szczycie;  
Stronnictwo możnych, w jednostki rozpadłe,  
Sobie zawistne, na siebie zajadłe,  
Pragnęło miejsce mdłej zwierzyć obronie,  
Nim między sobą rozprawi się o nie:  
W zamiarach zatém nie było różnicy,  
Lecz nikt z tajemnej nie śmiał wyjść granicy,  
Gdy ty ją łamiąc w gwałtownym sposobie,  
Wszystkich złączyłeś w nienawiść ku sobie;  
Wszyscy, jak jeden, mszcząc się swój urazy,  
Tego, którego spodliły twe razy,  
Którego w błocie twoja wzgarda grzebie,  
Wznosząc do góry, wzniesli wyżej ciebie.

BRYTAN-BRYŚ.

A więc, jak widzę, nic w świecie, nic zgoła,  
Z osobistości nie może wyjść koła:

Dobro ogólne, próżne tylko słowa,  
Które wytrąca rozmarzona głowa.  
Być może.

KOŃ.  
BRYTAN-BRYŚ.

Jakto? Te wyżyny, szczyty,  
Którými dumnie świat cały okryty,  
Dziś, przed którymi nachylamy głowy,  
Jak przed początkiem gdzieś, jakiejś budowy,  
Jest tylko wyrzut martwy i konieczny,  
Który interes własny, ten kret wieczny,  
Ryjąc za łupem, szerząc swoje nory,  
Sypie i sypie, i piętrzy do góry?  
Niestety!

KOŃ.  
BRYTAN-BRYŚ.

Nigdyż w jedną dobrą stronę  
Potęgi łącznie nie będą zwrócone?  
Potęgi tylko ze sobą w potrzebie  
Ważyc się mogą, nie spływają w siebie;  
Wszystko wzajemnym tu stoi odporem:  
Pada, jednym pchniętę torem.  
Równowaga: życie, moc;  
Przewaga: chaos, noc.

KOŃ.

## SCENA 2.

KOŃ—BRYTAN-BRYŚ—MUŁ.

MUŁ. Jak się masz, Brysiu, (*do Konia*) kłaniam, panie bra-  
[cie.

Cóż? może prośbę do Rejenta macie?  
Rejent mój kuzyn: przemówię za wami.  
(*do Konia*) Tém chętniej, że i między nami  
Powinowactwo jakieś tam zachodzi...  
Dalekie wprawdzie, ale nic nie szkodzi;  
Nie jestem hardy, acz kuzyn Rejenta,  
Muł że jest Mułem, przed wszystkim pamięta.  
Ale czas drogi—kuzyn na mnie czeka,  
Zawsze mu moja potrzebna opieka.  
Jak czego chcecie, idźcie prosto do mnie:  
Rejent mój kuzyn — ufa mi ogromnie. (*Odchodzi*).

BRYTAN-BRYŚ (*do Konia*). Nie, nie, mów co chcesz, sam zbytek ze-  
[psucia,

Musi wyrzucić jaką iskrę czucia;  
Znajdą się tacy, co pojną, uchwycą,  
I drogę prawą w przyszłości oświecą.

## SCENA 3.

Ciz sami i PUDEL.

PUDEL. Cóż eks-Rejencie? szanowny szłapaku,  
Obrok prywatny pono nie do smaku?



Los twój, jak mówią, tyle cię zasmuca,  
 Żeś chwycił zamiar ostrzydz się na Kuca.

(*Koś odchodzi*).

BRYTAN-BRYŚ (*zastępując drogę Pudłowi*). Słuchaj Pudlika: gdy w tój  
 [dziwnój dobie,

Każdy mniej więcej, coś pozwala sobie,  
 Cóżbyś powiedział, gdybym i ja równie  
 Uległ tój chętcie, co ciągnie gwałtownie,  
 Chętcie szlachetnej: pochwyć cię z góry  
 I na łbie twoim przeciagnąć fryzury.

PUDEL. Ach, patrz! Wilk dusi.... Jagnię bez obrony...

BRYTAN-BRYŚ (*obracając się*). Gdzie?

PUDEL. Tam, za górą... (*uciekając*). Słu-  
 [ga uniżony.

BRYTAN-BRYŚ. Czekaj, bultaju!

PUDEL. Na honor: nie mogę.

BRYTAN-BRYŚ. Uciekaj! Znajdę ja do ciebie drogę. (*Odchodzi*).

#### SCENA 4.

(*Inna część lasu*).

OSIOŁ—LIS—BORSUK—KRET, później PUDEL.

OSIOŁ. Co? Dwóch ministrów cała moja rada?

LIS. Gdzie Osioł rządzi, i jeden za wiele.

OSIOŁ. To prawda—ale parada, parada.

LIS. Ekscelencyi mądre zdanie dzieję,  
 Zatem trzeciego oto masz przed sobą:  
 Kret, policyi minister.

OSIOŁ. To bobo?

Co? Policyi minister bez uszów?

Kanclerzu mój, jesteś głupi.

LIS. Ekscelencyo! Kret gwiazda geniuszów:

Nikt go nie zoczy, małem nie przekupi.

On zna podziemne krużganki i nóry,

On widzi w nocy, on wietrzy przez mury,

On się podryje i to w takiej ciszy,

Że co kto przez sen powie, on usłyszy.

OSIOŁ. Być może.... ale parada, parada!

*Que diable!* I dla gminu coś robić wypada.

Ucho rzecz piękna, ma zawsze znaczenie...

Ot kusy Zając, nikczemne stworzenie,

A że natura obdarzyła w uszy,

Szusta zuchwale i postawą puszy:

Dostał dlatego komendę w kapuście.

BORSUK. Zając acz dzielny, zaśnie czasem twardo.

OSIOŁ. Zaśnie, nie zaśnie: Zając w moim guście.

- BORSUK. Ten wybór będzie przyjęty ze wzdargą.  
OSIOŁ. Co mi to szkodzi? Niechaj gardzą sobie,  
A ja przez to swoje zrobię;  
Nadewszystko chcę parady.  
No, ministrowie, dalej do narady:  
A nie długo, węzłowato.
- LIS. Ekscelencya raczysz przystać na to,  
By z pod praw wyjąć gromadę skrzydlatą.  
OSIOŁ. A to dla czego?  
BORSUK. Wszędzie pierzem sieje:  
OSIOŁ. To drażni piersi.  
OSIOŁ. Ja się z tego śmieję:  
BORSUK. Mam piersi jak dzwon.  
OSIOŁ. Ale drugim szkodzi.  
OSIOŁ. Szkodzi?  
BORSUK. Szkodzi.  
OSIOŁ. Cóż to mnie obchodzi?  
BORSUK. Wniosek odrzucony.  
OSIOŁ. Koguty pieją, jak nocne upiory.  
BORSUK. Niech pieją zdrowe.  
OSIOŁ. Nie szanują pory  
Na spoczynek przeznaczonéj.  
OSIOŁ. Bajka! Ja śpię doskonale.  
BORSUK. Ale drudzy nie śpią wcale.  
OSIOŁ. To niech nie śpią, do stu ludzi!  
Co mnie może być do tego,  
Że tam, gdzieś, ktoś kogoś budzi?!  
LIS. W saméj rzeczy, nic w tém złego,  
Ja sam, lubię kukuryku;  
Ale od pewnego czasu,  
Ptastwo umknęło się z lasu,  
Teraz siada na owsiku.  
OSIOŁ. Na owsiku?  
LIS. Tak jest, panie,  
Tam gdzie chodzisz na śniadanie.  
OSIOŁ. Co! po moim, moim łanie,  
Po młodym, słodkim owsiku,  
Pierzasta buja gromada,  
I Ministrów cała rada  
Milczy? cierpi bezrząd taki?  
Pozwala owsik rabować?  
KRET. Cóż robić?  
OSIOŁ. Dusić, mordować,  
Wytępić do pazurka:  
Do ostatniego piórka.  
KRET. Ależ, panie, to są ptaki.

- OSIOŁ. Hm?
- KRET. A ptaki mają skrzydła.
- OSIOŁ. To niech zaraz skrzydła złożą.  
Wydać rozkaz.
- LIS. Tak się stanie;  
Przytém strażę się pomnożą,  
I zastawią różne sidła:  
W tém na Lisa spuść się panie.
- OSIOŁ. Powiedziałem, że was mało...  
Więc przerobię radę całą...  
Pudła, co przez wiele lat  
Żył z panami za pan brat,  
Co nie tracił czasu marnie,  
Bo przed baronem nosił dwie latarnie,  
A przez to ze świecą  
Obeznany nieco,  
Chcę nominować Ministrem oświaty.
- BORSUK. Co? co? Ministrem, ten błazen kudłaty?
- OSIOŁ. Błazen, to prawda; lecz dla tego właśnie,  
Zbudzi na radzie, jak się czasem zaśnie.
- LIS. Ekscelencya raczysz mieć na względzie,  
Że Pudel szczeka.
- OSIOŁ. Szczeka doskonale.
- LIS. Jakoś nie przystoi wcale:  
To nas zawsze straszyć będzie.
- OSIOŁ. Straszyć? Czemu?
- LIS. Jak zaszczeka,  
Nie przypomni-że człowieka,  
Co postąpił tak szkaradnie,  
Żeś ekscelencya potem  
Leżał jak ścierwo pod płótem?
- OSIOŁ. A prawda, prawda, leżałem pod płótem.  
Śmiać się będę (*ryczy*). Ja się śmieję,  
Bo to nigdy nikt nie zgadnie,  
Co mu z góry na grzbiet spadnie,  
A co łupnie, to zagrzeje...  
Ot i dowcip powiedziałem,  
Niech się rada zemną śmieje (*ryczy*).  
Ja się śmiałem.
- (*po krótkim milczeniu*)  
Wszystko to są fraszki u mnie,  
Krótko mówiąc a rozumnie,  
Ja się nie boję człowieka;  
Nawet lubię... lecz z daleka...  
A psa więcéj, psa najwięcéj  
Z całej gromady zwierzęcéj;



Ztąd mi myśl przyszła, podziwienia warta,  
Na adjutanta przyjąć sobie Charta.

LIS (*przestraszony*). Charta?

BORSUK (*podobnie*). Charta?

LIS. Okropności!

BORSUK. Pędziwichra!

LIS. Drapichrusta,  
Co po głowach wszystkich szusta,  
Że aż w stawach trzeszczą kości.

OSIOŁ. Na cóż ten się przydać może?  
Zaraz, zaraz myśl przedłożę,  
A poznacie żem nie Ciele:  
Widzicie moi kochani,  
Najlepsi przyjaciele,  
Mnie potrzeba mieć przy boku,  
Kogoś, co by w mojem oku  
Odgadywał co pomysle,  
I piorunem bez pardonu  
Wykonywał wszystko ściśle.  
Otóż Chart tego zakonu:  
Niechbym tylko kiwnął uchem,  
A Chart, panie, szusnie duchem  
I z was każdego w potrzebie,  
Za łeb chwyci i przyniesie,  
A tak, cicho będzie w lesie.

BORSUK (*na stronie*). Piękne aspekta!

KRET (*na stronie*). Przecie nie wygrzebie.

BORSUK (*cicho do Lisa*). A co, Lisie?

LIS (*podobnie*). Trochę ślisko:

Trzeba stanąć...

BORSUK. Jamy blisko.

OSIOŁ. No, a teraz mądry Krecie,  
Czegoż się dowiem od ciebie?  
Co tam o mnie słyhać w świecie?

KRET. Miłość wielka, zapał rzadki:

Każdy szczęścia Panu życzy.

OSIOŁ. Czemuż *vivat* nikt nie krzyczy?

KRET. Już na *vivaty* rozdałem zadatki.

OSIOŁ. A Łania?

KRET. Łania?

OSIOŁ. Co Łania powiada?

Ja Łanię lubię.

LIS. Ekscelencya raczy

Pozwolić, ta rzecz w mój zakres przy pała.

OSIOŁ. Chciałbym...

LIS. Rozumiem.

- OSIOŁ. Prędko.  
 LIS. Nieinaczéj.  
 OSIOŁ. Idź więc.  
 LIS (do Borsuka). Ostygam powoli,  
 Łania na Psa nie zezwoli.  
 PUDEL (przebiegając). Bryś mnie goni! Bryś mnie goni!  
 (Osioł ryknął z przestachu. Lis i Borsuk uszli w krzaki. Kret wrył się  
 w ziemię).  
 OSIOŁ. Do mnie! Do mnie, ministrowie!  
 Zasłońcie piersi waszemi!...  
 Gdzie jesteście!  
 PUDEL (wracając). Już nie goni.  
 LIS (wyłażąc z krzaków). Jam w zasadzce stał w ustroni.  
 BORSUK (wyłażąc z rowu). Jam na przeskok czychał w rowie.  
 OSIOŁ. A gdzież trzeci?  
 PUDEL. Pewnie w ziemi.  
 OSIOŁ. Jakże go znaleźć w potrzebie?  
 LIS. Jak się wrył, tak się wryje.  
 Oto patrzcie, już się grzebie,  
 Ziemię z dołu w koplec bije,  
 OSIOŁ. Kopnę kopiec, złamię drogę,  
 Biédakowi świat odkryje.  
 (kopnąwszy kretownicę).  
 A co? Dobrze?  
 PUDEL. Tam do diaska,  
 Przeszła miarę pańska łaska;  
 Urznął kozła: już po Krecie!  
 OSIOŁ. Taki słaby? istne śmiecie! (odchodzi z Pudlem)  
 LIS. Skonał.  
 BORSUK. Skonał.  
 LIS. Otóż niemy  
 Ten, któremu losy dały  
 Mądrość, dowcip, cnotę, wiedzę....  
 BORSUK. Szkoda tylko że tak mały.  
 LIS. Ha! Cóż robić? co jest, zjemy;  
 Niech nie depczą po koledze. (Zjadłszy, odchodzi).

## SCENA 5.

(Inna część lasu).

ŁANIA—MAŁPA—KROWA—JAZÓWKA, później inne zwierzęta.

- KROWA. To moje pierwsze i ostatnie słowo,  
 A ty rób jak chcesz.  
 ŁANIA. Ależ, moja Krowo,  
 Powiedz wyraźnie, cóż ja złego robię?  
 Czém krzywdę nosę drugim albo sobie?

- KROWA. Złego nic nie robisz, chętnie temu wierzę,  
Lecz pozór dajesz, to ci powiem szczerze;  
A pozór z prawdą często w parze chodzi.  
Pozór jak prawda, skaleczy, zaszkodzi;  
Pozór jak prawda, hańbą okryć może,  
Zatem dość złego w samym już pozorze.  
Owe gonitwy, skoki i wybryki,  
Nie jedni ganią, biorą na języki.  
O! na języki któż zważa na świecie?
- ŁANIA. Ha! moja lubko, trzeba zważać przecie.
- KROWA. Wszakże i dawniej, różne były plotki,  
ŁANIA. Naprzykład: wiem to od nieboszczki ciotki,  
Bywał tu kiedyś piękny Bawół młody...  
KROWA. Oszczerstwo! kłamstwo wyuzdanej trzody,  
Ale jak każde w tym rodzaju dzieło,  
Wzgardą okryte, prędko koniec wzięło.  
ŁANIA. Nie bardzo prędko, kiedy doszło do mnie;  
Nie sroż się zatem na mnie tak ogromnie,  
Bo się różnimy jedną tylko siłą,  
Jaka być musi między *jest a było*.
- KROWA. W gorzkie, jak widzę, przechodzisz wymówki.  
Ale kto jak ja, dwie młode jałówki  
Ma na wydaniu, musi baczyć ściśle,  
Gdzie je prowadzić.
- MAŁPA. Na paszę, ja myślę,  
Na paszę, Krówko. Tam, nic nie zamęci  
Czystych przykładów i niewinnych chęci.  
(*do Łani na stronie*).
- Co się tam wdajesz z tą głupią sędzią,  
Żeś młoda, ładna, to jest twoją winą.  
Używaj świata, a z wesotój strony,  
Jak używały skromne dziś matrony;  
A gdy wiek kiedyś włoży na cię pęta,  
Będiesz jak one, poprawą zajęta.
- DANIEL. Rejent pozdrowia naszą piękną Łanię:  
Prosto z narady przyjdzie na śniadanie.
- KROWA (*na stronie do Jałówki*). Moja Siwucho, trzymaj się też prościój,  
I śmieję się często, masz ząbki po temu;  
A ty Gniadeńko, nie stroń Oślej mości,  
Masz ładne oczy, zwracaj je ku niemu:  
A jak zagada, nie zaczynj beknięciem,  
Już też na czasie, przestać być cieleciem.
- SARNA, KLACZKA, SARNIUK (*wpadają galopem*)
- KLACZKA. A to prawdziwie, nie do wytrzymania!  
Ledwie się zbliżę, on ucha nakłania,



- Już jedna, druga, rozmowy nie syta,  
Na nowe harce, puszcza się z kopyta.
- ŁANIA. Któż tak niegrzeczny, powiedz Klaczko miła?  
KLACZKA. Któż? ciotka Szkapą i mama Kobyła.  
MAŁPA. Ha! starszym muszą ustępować młodzi.  
KLACZKA. Ależ i młodym zabawić się godzi.  
LIS. Rejent przeprasza, dziś służyć nie będzie:  
Na radzie państwa do późna zasiędzie.  
(*do Łani cicho*). Nad strumykiem na cię czeka,  
Spiesz, a obiegnij z daleka.
- ŁANIA (*głośno*). A więc i ja temu rada,  
Bo mój Jeleń rogi składa  
I gorączka dziś go trawi:  
Przy nim posiedzieć wypada.  
Małpa zajmie miejsce moje,  
Szanownych gości zabawi.  
Przepraszam po tysiąc razy...  
*Adieu!... Adieu!..* Bez urazy,  
Moja Krowo... przyjaźń twoję  
Nadewszystko sobie cenię.
- KROWA. Niepotrzebne przeproszenie,  
Gdzie nas obowiązek woła,  
Tam uchylić trzeba czoła.  
Idź, idź lubko, nie trać czasu,  
Ja bez tegom odejść miała  
Za przybyciem tu rejenta;  
Moja drużyna nieśmiała,  
Stroni od ciżby, hałasu:  
Chodźcie drogie Jałowięta.

(*Łania z Lisem w jedną stronę, Krowa odchodzi w drugą z Jałowkami*).

- MAŁPA. Rodzina arcycnotliwa,  
Wychowana na oborze;  
Lecz się na nas wszystkich gniewa,  
Że chce błądzić, a nie może.
- SARNA. A my, co będziemy robiły?  
KLACZKA. Na gonitwach z przeszkodami,  
Popróbujmy naszej siły.  
No, Panowie, chodźcie z nami.
- SARNIUK. Niegłupim.  
MAŁPA. Niegłupiś, może,  
A niegrzeczny, niezawodnie.  
SARNIUK. Co tam grzeczność w naszym borze!  
Ja to robię co wygodnie.  
Pójdę sobie między bydło,  
Z barłogu splotę bawidło,

I rozciągnę się na trawie,  
I najlepiej się ubawię.  
(*odchodzi*).

SARNA (*da Daniela*). A ty, bratku?

DANIEL. Niémam czasu.

SARNA. Cóż ty robisz?

DANIEL. Konspiruję.

(*odchodzi*).

MAŁPA *sama*.

Jak w pałacach, tak śród lasu,  
Każdy sobek, a małpuje;  
Każdy moję piosnkę pieje,  
Mojém berłem wstrząsa dumnie,  
Ale ja się w kułak śmieję,  
Bo mój rozum został u mnie.

KONIEC AKTU III-GO.

## AKT IV.

Kilka dni później.

SCENA 1.

LIS—BORSUK.

BORSUK.

Coś na kicie siedzisz Lisie,  
Jakiś smętny zdajesz mi się.

LIS.

O! bynajmniej; moczę nogi,  
A poranku oddech błogi,  
Do tęsknoty, do dumania,  
Serce moje zawsze skłania.  
„Te brzóz kilka, ten bieg wody,  
Jak mi wiele przypomina:  
Tum przeigrał mój wiek młody.”

BORSUK (*kończąc*).

„Tu niegdyś była zwierzyna.”

LIS.

Tu, tu z nad brzegu strumyka,  
Słuchałem nieraz Słowika...

BORSUK.

A waszmość lubisz Słowika?  
Dyable chudy... i na drzewie.

LIS.

Ależ ja mówię o śpiewie.

BORSUK.

A tak, ptaszyna to luba.

Ale waści łapka gruba:  
Czyś nie zakłuł w radzie stanu?

LIS.

Nie lepiej coś i waćpanu,  
Pysk na bakier, jakby czapka;  
Czy przypadkiem jaka łapka

- Nie zapadła w Radném kole?  
 Artrytyczne to me bole...  
 Pod tusz blizki szedłem właśnie.
- BORSUK.
- Lis. Ej! co obwiać tu w bawełnę...  
 Niechaj Osła piorun trzaśnie,  
 Za kopyto zdrady pełne!  
 Dwóch ministrów, w jednéj dobie!  
 Mnie stłukł nogę, mordę tobie.
- BORSUK (z westchnieniem). I ząb wybił.
- Lis. Tam do kata!  
 Może ten... ten... obosieczny?
- BORSUK. Nieinaczéj.
- Lis. Wielka strata!  
 Wielka szkoda i żal wieczny!  
 Więc już tylko w jedną stronę  
 Będiesz ciąż mógł, panie bracie?  
 W jedną tylko, w jedną stronę!  
 Można skapić po téj stracie...  
 Wprawdzie będziesz logiczniejszy,  
 Ale ci się zysku zmniejszy.
- BORSUK. Na zaczepkę, na obronę,  
 Znajdę jeszcze ząb w potrzebie;  
 Ale bardziej żal mi ciebie,  
 Biédny Lisie kuternogo:  
 Kurki teraz piąć ci mogą.  
 Kogut z Lisa śmiać się będzie,  
 Kurczę nawet na grzbiet siedzie.  
 Otóż to skutki twojéj przebiegłości;  
 Osioł u steru, bez nas sobie gości,  
 Bo nigdy rozum głupstwa nie przekupi;  
 Lepszy wróg mądry, jak przyjaciel głupi:  
 A cóż dopiéro, gdy przy władzy stoi!  
 Wiész ty, gabinet jaki się dziś roi?  
 Torbę finansów syn Świni otrzyma,  
 Bo na przysłowie argumentu niéma,  
 Że zrób się Świnią, a będziesz bogatym,  
 A we finansach cała sztuka na tém.
- Lis. On wszystko zeżre.
- BORSUK. Ale się upasie.
- Lis. Któż pieczęć bierze?
- BORSUK. Téj niéma w tym czasie.  
 Jeleń przy sprawach zagranicznych staje,  
 Osioł to Łani, jak wet za wet daje.  
 Muł ma wziąć wojnę, jako blizki krewny,  
 A Wilk policyją... lecz swego niepewny,



Bo oprócz Osła, nikt go nie popiéra.  
 Ponoś po Jeża wysłano kuryera,  
 Cap oświecenia, Baran handel bierze:  
 Tak więc zwycięża, beczące przymierze.

## S C E N A 2.

LIS—BORSUK—PUDEL.

- PUDEL. Co? Lis i Borsuk jak stare czeczotki,  
 Sklejają dawne niedorzeczne plotki?  
 Kiedy tymczasem nowowzrosła siła,  
 Jakby piorunem, skład cały zmieniała.
- LIS. *Vivat!* Niech żyje!
- PUDEL. Kto?
- LIS. Ten co na górze;  
 Ten, co ujarzmił rozprzęgnięte burze,  
 Co mądry, wielki...
- BORSUK (*do Pudła*). Powiedz kto na dole,  
 Niech na nim skaręc ucisk i swawolę.
- PUDEL. Słuchajcie! Kiedy zgromadzona Rada,  
 Danym rozkazom powagi dokłada,  
 A wszystkich cieszy, wypadek przyjemny,  
 Że już kark skręcił gabinet podziemny...
- LIS. Niewdzięczni!... my... my...
- PUDEL. Promotory Osła.  
 Ale słuchajcie, jak ta burza wzrosła?  
 Kiedy więc drżemie zgromadzona Rada,  
 Chart z depezą nagle wpada,  
 A Tchórz mężnie ją ogłasza:  
 Że dziś Zając bitwę stoczył,  
 I *Vivat!* wygrana nasza.  
 Biegły Zając ledwie zoczył,  
 Że przy jednej długiéj dzidzie,  
 Mandarynów siedmiu idzie,  
 Obces z kapusty wyskoczył.  
 Takim manewrem skończył bój zacięty:  
 Sześciu uciekło, a jeden ujęty.  
 Jeden? Zająca oskarżę o zdradę.
- BORSUK. Wieść ta, wpływ inny wywarła na Radę,  
 Baran z kolei prezydując wtedy,  
 Baran co ledwie zabezpiezał niekiedy,  
 A ciągle dzwonił, sam na co nie wiedział,  
 Bo Wilk figlarny z tyłu za nim siedział;  
 Baran wnioskuje a Rada stanowi,  
 Wieniec jarmużu posłać Zającowi.

Rejent zaś krzyknął: „wieniec to zamało,  
 Ja go chcę moją zaszczycić pochwałą.”  
 A na to Niedźwiedź: „co z pochwały osłój?  
 Lepiej półmacek jarzyny mu poszlij.”  
 Na te wyrazy, Osioł uszy ściska,  
 A prezes, który już był zwietrzył zbliska  
 Torbę ministra, czémprędzej się zrywa,  
 Dzwoni i mówcę do porządku wzywa:  
 Powstał rozgardyasz jak na ludzkim sejmie.  
 Próżno do zgody Kot skłania uprzejmie,  
 Gdy szczęściem, w górze wrzasnęły Gawrony,  
 I hufcem starych Królików wiedziony,  
 Wstąpił Mandaryn i stanął przed nami;  
 Wszyscy bez dzwonka zamilkliśmy sami.

Mandaryn długi, giętkiego pacierza,  
 Trzy razy nosem kolano uderza,  
 I głosem drżącym, w rozmaite trele  
 Zaczął, że ludzie — zwierząt przyjaciele;  
 Że nie wie, czemu wzięto się do boju,  
 Gdy właśnie przybył z conceptem pokoju.  
 To niesłychanie ucieszyło Osła,  
 Że w Mandarynie mógł powitać posła.  
 Sapie i dmucha, rośnie na trzy pędzi,  
 Mandarynowi każe dać żołędzi,  
 I na północny przegląd go zaprasza,  
 Po którym, koncert, bal i wielka pasza.

Taką grzecznością, Mandaryn ujęty,  
 Zgiął się we troje, ściągnął obie pięty;  
 Nos utarł, krząknął i śmielój tym razem,  
 Takim, mniej więcej rozpoczął wyrazem:  
 „Panowie bestye! Panowie rogaci  
 I nierogaci! Imieniem mych braci,  
 Żal za niewdzięczność oświadczyć wam muszę,  
 Że właśnie teraz zrywacie sojusze,  
 Kiedy patentem dla Rzeszy zwierzęcej,  
 Pod liczbą Milion pięć kroć sto tysięcy,  
 Wyłączne prawo zniesionóm zostanie,  
 I wszystkim teraz wolne polowanie.

„Precz z polowaniem, krzyknęły zwierzęta,  
 Albo wet za wet człowiek popamięta.  
 Precz z polowaniem!” — „Ależ za opłatą,  
 Woła Mandaryn, bo zważajcie na to,  
 Że nam potrzeba futra i zwierzyny.”  
 Drgnął Jeleń, Niedźwiedź poprawił czupryny,  
 A jakby jeden, wszyscy razem wstali,  
 Lecz ambasador kichnął i rzekł dalej:

Handel ucierpi, podatku ubędzie...  
 „To niech ubędzie i nigdy nie będzie,“  
 Groźno zagrzmiało wszędzie.

Pobladł Mandaryn i spojrzął ukradkiem,  
 Czy który z ludzi nie słyszał przypadkiem.  
 A gdy ucichło groźne wszystkich słowo,  
 On się ukłonił i zaczął na nowo,  
 Jak polowaniu na stałej zasadzie,  
 Kodeks olbrzymi, inną formę kładzie.  
 Zaczął cytować dekreta, uchwały,  
 Patenta, księgi, oddziały, rozdziały,  
 A wszystko z datą, a wszystko z numerem,  
 Tak, że jak gdyby zakadził eterem,  
 Głowy nam zwisyły, w oczach czarne płatki,  
 Niby Mandaryn, strzelby i podatki,  
 I koniec końców, taki wir zaszumiał,  
 Że się sam siebie, nikt już nie rozumiał.

Ale Odyniec mniej w nerwach drażliwy,  
 Tak się odzywa najeżywszy grzywy:  
 „Cicho człowieku! cicho, bo cię płatnę;  
 Prawo polowań płatne, czy niepłatne,  
 Jest zawsze prawem do skóry zwierzęcej;  
 My go już znosić nie będziemy więcej,  
 I każde teraz wasze polowanie,  
 Wojną i wojną okropną się stanie.“

Nareszcie w końcu, krzyknął nieroztropnie  
 Parlamentarskie przekraczając stopnie:  
 „Rozumiesz Osieł?“—Tym głośnym wyrazem,  
 Osieł zbudzony i zwiedziony razem,  
 Że z jego nazwą i jego posada  
 Mandarynowi w dziedzictwo przypada,  
 Wierżgnął i kopnął człowieczego postą;  
 Kot chciwy steru, wyskoczył na Osła,  
 A Wilk nie wchodząc w dalsze interesa,  
 Wilk już na piękne wziął się do Prezesa.  
 Wtém, Byk co dawno pogrzebywał nogą,  
 Co dawno ryczał głucho ale srogo,  
 Rozprawą znudzon, znudzon głupstwem całym,  
 Nareszcie walki powchwycony szalem,  
 Rogi swe, nagle na walczących zwrócił,  
 I wszystkich pięciu w powietrze wyrzucił.  
*Saltum mortale*, pamiętne na wieki,  
 Osieł bez oka, Wilk runął bez szczęki;  
 Baran bez uda, nie wiem czy nie kona,  
 Kot padł na nogi, ale bez ogona;



Mandaryn w bagno wleciał aż po uszy,  
 Ale Mandaryn nieugiętej duszy,  
 Pośrodku błota jeszcze się ocucił  
 I jeszcze trzysta paragrafów rzucił.  
 Byk zatem panem, Byk staje przy sterze,  
 I Brytan-Bryśia za doradzcę bierze.  
 Wszystko to piękne, ale mnie już nudzi;  
 Bywajcie zdrowi: ja wracam do ludzi.  
 BORSUK. I my tu bawić już czego niemamy,  
 Wiész kumie Lisie, ot wróćmy do jamy.

## S C E N A 3.

LIS—BORSUK—PUDEL—BYK—BRYTAN-BRYŚ—ZWIERZĘTA.

BYK (*do Lisa i Borsuka*). Dokąd śpieszycie?

LIS. Winszować ci, panie.

BYK. Pana tu niema. Byk bykiem zostanie,  
 Chciwy porządku, pragnący pokoju,  
 Ale w potrzebie i silny do boju.BRYTAN-BRYŚ. Jadł Pies Zająca, Wilk wypleniał trzody,  
 Lis dusił kury...

LIS. Byłem bardzo młody.

BRYTAN-BRYŚ. Borsuk...

BORSUK. Jabłuszka, ja tylko jabłuszka.

BRYTAN-BRYŚ. O! wy szlachetne, niewinne serduszka!  
 Ale już o tém niech nie będzie mowy,  
 Nową myśl nieśmy do nowój budowy.  
 I gdy pośród nas nieprzyjaźń zacięta,  
 Człowiecze na nas przyciągnęła pęta,  
 Spróbujmy teraz, czyli nasza zgoda,  
 Od ich ucisku tarczy nam nie poda.  
 Ja dobre oko, Byk ma dobre rogi;  
 Obadwa staniem na pośrodku drogi.  
 Niech Sępy, Dudki, Gawrony i Sowy,  
 Wrzeszczą i gwiżdżą ponad nasze głowy,  
 Niech Węże, Żmije, Ropuchy, Szkorpiony,  
 Pod nasze stopy wleką jad spodlony;  
 My idąc silnie i prosto przed siebie,  
 Potrafić bronąć i karcieć w potrzebie:  
 Potrafić wzmacniać wolności szczep młody  
 Siłą porządku i potęgą zgody.

KONIEC.

L I S T Y

TERESSY-KUNEGUNDY SOBIESKIĘJ,  
ELEKTOROWĘJ BAWARSKIEJ.

PODAŁ

J. T. L.

Pewien badacz objawów społecznych, opierając się na doświadczeniu i spostrzeżeniach, mniema że nic tyle pod względem moralnym i fizycznym nie psuje ludzi, co zamożność: jak rozkład u ryby, powiada, rozpoczyna się od głowy, tak i zepsucie szerzy się z góry; walka bowiem przeciwko pokusom nadużywania dostatków jest do przeprowadzenia trudniejsza niż pasowanie się z nędzą. Giną wprawdzie rzesze z niedostatku; ale na ilużto czołach zatarło zacość, przesylenie się władzą i zbytkiem? Szczęśliwy jednak ten tylko naród, w którym klasy zamożne posiadają poczucie obowiązku, a niższe tyle godności, iż postęp opierają nie na sile i liczbie, lecz na podniesieniu poziomu moralnego i religijnego.

Saint-Simon w Pamiętnikach, które zawierają nie jedną kartę dorównywającą powadze i prawdziwości historii, ganiąc rozwiążłość obyczajów za czasów Rejencyi we Francyi, powiada że Paryż stawał się przytułkiem nierządnic panujących. W jednym i tym samym roku, mianowicie 1717, zamieszkały w nim faworyty królów Francyi, Anglii, Sardynii, i aż dwie—dodaje—elektora bawarskiego; a obok tego dzieci z tego rodzaju związków panujących we Francyi, Anglii, Sardynii, Bawaryi, Danii, Saksonii, Lotaryngii i Wirtembergu, z linii Montbelliard. Jednym z dotkniętych powyższym ustępem, a więc jednym z czynników w rozkładzie który doprowadził rządy i narody do katastrof wieku XVIII, był Maksymilian Emmanuel, elektor bawarski, mąż Teressy-Kunegundy Sobieskiej, królownej polskiej <sup>1)</sup>. Faworyty elektora, o których wspomniano wyżej: hrabina d'Albret i hr. d'Arco, ta ostatnia oddana „namiętnie grze,” spędzały resztę życia w Paryżu.

Maksymilian Emmanuel urodził się dnia 10 lipca 1662 roku. W Europie podzielonej na stronnictwa domów panujących Burbonów i Habsburgów, elektor w młodości służył temu ostatniemu. W wojnie toczącej się w Węgrzech, pomiędzy cesarzem a Turkami obecnym był oblężeniu Wiednia w r. 1683, Neuhausel w r. 1685, Budy w r. 1686; brał udział w bitwie pod Mohaczem w r. 1687, i dowo-

---

<sup>1)</sup> Teressa-Kunegunda Sobieska urodzona 4 marca 1671 r., umarła 17 maja 1730. (Stecki).

dził główną armią z którą zdobył Belgrad w r. 1688. Wprawdzie książe Lotaryngii, mąż królowej Eleonory, wdowy po królu Michale, został zawsze o pięć lub o sześć mil od obozu; w ten sposób dzięki skromności tego ostatniego, cesarz nie był pozbawiony usług jego biegłości wojskowej, a zarazem zadosyć uczynił próżności elektora. Znajdował się on nadto przy oblężeniu Moguncyi w r. 1689, i stał na czele wojska cesarskiego nad Renem w r. 1690.

Powołany na gubernatora generalnego w Niderlandach w r. 1692, przebywał częściej w Brukselli niż w Mnichowie; gdy wtém otworzyło się znicnacka pole świetne, jeżeli nie dla niego, to dla jego potomstwa. Ożeniony bowiem pierwszym ślubem dnia 15 lipca 1685 z Maryą Anną arcyksiężniczką austriacką, (zmarła 24 grudnia 1692), córką cesarza Leopolda I, doczekał się on uznania starszego syna domniemanym spadkobiercą monarchii hiszpańskiej, po bezdzietnym Karolu II. Niespodziany atoli zgon syna w r. 1699, oraz nowe układy, przrzuciły go do stronnictwa Ludwika XIV: chwycił się interesów francuzkich żarliwie, pchnięty żądzą władzy, dostatków, znaczenia i rozgłosu, a niewsparty na żadnych zasadach moralnych lub narodowych. Łudzone go raz nadzieją posiadania królestwa Neapolu i Sycylii, drugi raz Sardynii, to znowu otrzymaniem na dziedzictwo Niderlandów.

Marszałek Villars <sup>1)</sup>, który poznać miał sposobność elektora w Wiedniu i w Węgrzech, oraz dowodząc z nim i pod nim armią francuzko-bawarską w Niemczech, opowiada dziwne przykłady lekkomyślności, płochości i rozrzutności małżonka Teresy-Kunegundy. W kilka lat, powiada, Maksymilian Emmanuel roztrwonił skarb po ojcu, 16 milionów, zrobiwszy drugie tyle długu. Przygotowując się do uroczystości weselnych z arcyksiężniczką Maryą Anną, kazał sporządzić gwoli téj okoliczności zastawę stołową szczerozłotą; wiadomo zaś z kądinąd że do czasów rewolucyi francuzkiej, były wszystkiego w Europie cztery zastawy podobne: pierwsza w Berlinie; druga w Wiedniu kupiona przez cesarza Franciszka I w r. 1760; trzecia ofiarowana przez miasto Amsterdam dziedzicznemu Stathalterowi Wilhelmowi V; oraz czwarta znajdująca się w Anglii, w posiadaniu księcia Newcastle, oszacowana na 20 milionów złp.

Dotrzymywał przymierza z cesarzem, szczególnie tylko przez przywiązanie dla hrabiny Kaunitz, żony jednego z ministrów. Pragnąc przeciągnąć elektora na stronę swego króla, Villars nastroczał mu nowe niekostki: usiłowania jednak w tym kierunku hrabiny Valen, Wenecyanki Canosy, pauny Zizendorf były daremne, rozbijając się o niestałość serca elektora. W chwilach gdy należało powziąć najważniejsze postanowienia, elektor sobie stawiał pytanie: czy pojedzie spędzić karnawał w Wenecyi albo czy wypowiedzieć wojnę. Otoczony przez nieprzyjaciela, wyprawiał bale i uczyty, z tańcami, maskami, kolacją i muzyką. Villars pomimo iż korespondencye prowadził umówionemi cyframi, spostrzegł że był o wszystkich zamiarach uprzedzonym przeciwnik. Objawiają-

<sup>1)</sup> Coll. Petitot. t. LXIX.



cemu zdziwienie, elektor z zimną krwią odpowiedział, iż wie o tém oddawna, że lepiej znane są cyfry nieprzyjacielowi, niż jemu samemu: otoczony był bowiem zwolennikami Austrii którzy go zdradzali. Z jakimi przestawał ludźmi, powziąć można wyobrażenie, pomiędzy innemi, ze stosunków z hrabią Ruggieri. Awanturnik ten dostał się do łaski skutkiem tego, iż miał go nauczyć robienia złota. Elektor go też obsypywał godnościami, jeden z pułków przewzał jego imieniem, oraz mianował komendantem Mnichowa i feldmarszałkiem. Przekonany wreszcie o szalbierstwo Ruggieri, osadzonym został w Grünwaldzie, z kąd, po wysiedzeniu sześciu lat, uciekł i dostał się do Prus, gdzie stracono go na szubienicy.

Ze słynnej wyprawy przedsięwziętej dla zawojowania Tyrolu w roku 1703, powrócił wioząc porcelaną z gabinetu cesarskiego i konia z brązu; generałowie zaś zrobili dobre interesa pieniężne wyciągając okupy z ludności za uwolnienie od kontrybucyi. Villars odparł armię nieprzyjacielską: elektor cieszy się ztąd, bo to da możność postawienia ponownie rzemieślnika dla ukończenia letniego pałacyku. Villars tłumaczy potrzebę obwarowania Mnichowa: elektor odpowiada że jest rad iż ma możność jeszcze w ciągu miesiąca października ozdobić cieplarnią cennemi marmurami.

Na polu jednak bitwy elektor dawał oznaki niepospolitej odwagi. Pod Belgradem na widok jego Turcy pierzchali, wołając: „król błękitny! król błękitny!” Maksymilian miał płaszcz podziurawiony kulami; koń, ugodzony pod nim, padł nieżywy: (jeżeli to nie jest wymyśłem pochlebców dworskich), elektor samoszóst wszedł na mur zdobytego grodu. Kiedy do przebywającego w Brukselli, doszła wiadomość o mającej się stoczyć bitwie w r. 1706, na rozstawnych koniach przyrędkł pod Ramillies, w samą chwilę rozpoczęcia walki, a to ku wielkiemu niezadowoleniu marszałka Villeroy, który wolałby był niemiec jednego więcej świadka niepowodzenia. Pod Hochstadt w roku 1707, w bitwie, gdzie pod wodzą marszałka Tallarda, zginęła niemal cała armia francuzka, częścią położona trupem częścią wzięta do niewoli, „on jeden niestracił przytomności,” powiadają naoczni świadkowie.

Maksymilian Emmanuel, po zgonie pierwszej żony, która go odjechała i wkrótce po ślubie umarła w Wiedniu, w Burgu, pojął Teresę-Kungundę Sobieską 15 sierpnia r. 1694. Dwadzieścia cztery listy które drukujemy, adresowane do brata królewicza Aleksandra <sup>1)</sup>, złożone dawniej w archiwum księży Kapucynów w Warszawie, znajdują się obecnie w bibliotece uniwersyteckiej <sup>2)</sup>. Sądziłszy że dla charakterystyki czasu i osób wypadało zachować pisownię taką, jaka wyszła z pod pióra piszącej. Listy są opatrzone pieczęcią z czarnego laku.

1) Aleksander-Benedykt-Stanisław Sobieski, królewicz polski, urodzony 6 grudnia r. 1677, umarł 19 listopada r. 1713, w Rzymie.

2) Odpisy udzielił uprzejmie p. prof. Barsow, bibliotekarz biblioteki uniwersyteckiej; za doznana uczynność przyjąć zechce naszą szczerą podziękę.

Pierwsze pochodzą z czasów jeszcze pobytu w Polsce: reszta pisana po zamążpójściu.

Na widok piękności naszej królowny, baron Simeoni zajeżdżający drogę w imieniu elektora, zapewniał że stanie się ona przedmiotem głębokiego przywiązania męża. Kilka listów następnych malują miłość jaką jest przejęta oraz jaką nawzajem wzbudza: reszta zaś stanowi opowieść kobiety co los swój związała z człowiekiem, u którego ideałem żeńskim był spotykany na lagunach weneckich, wśród dźwięków szalonych pieśni gondolierów. Przejście pospolite i wiecznie powtarzające się, póki będą serca dziewicze dla których świat nie przestał być tajemniczą i uroczą głośką, oraz młodzieńcy którzy lata wiosny życia spędzili w zbytku, obrani z tradycyjnej narodowej karności, obowiązku i pracy. Krótkie było Teressy-Kunegundy szczęście, trwało tyle, ile trwa kwitnienie róży, a więc przez wieczór pięknego letniego dnia, podług słów poety; po niem nastąpiło rozczarowanie długie, nużące i śmiertelne. Być jednak nie może objętną dla nas opowieść zawarta w tych listach.

Oto są listy królowny elektorowej:

## I.

*Mon frer.* Dzikuje Barzo WKM ze mnie niezapominasz pisaniem swoim y oznaymuiesz o zdrowiu swoim kturę ze tam w tych obozowych niewszasach dobre iest ciesze sie s tego oznaymuie tyisz WKM ze Krolowa Jmosci Dobrodzieyka nasza z łaski Boży zdrowa wiency dla odchodzenia pretkiego tych listaw pisać nie moge. Zostaię WKM z serca kochaięncą siostrą Teressa Krolowna.

(Na odwrotnéj stronie listu w poprzecz napisano):

te tyisz karteczka odeslele cos mi WKM w moiem liscie odesła pannie starosiońce Roszainski <sup>1)</sup> na znak tego ze sie nie odmienił affekt dawny przeciwko niey WKM.

## II.

*Mon tres cher frer* bardzo Waszeczy dżęku(ie) zes mi tak wyraznie fszystko wypisał iako było o Szębeku rozumiem ze nie do mnie paly ale do chtury panny gurny co o tamtem to iusz wiem ze nie do mnie tagze bom se dowiedziła iak kocha pane Legio u chtury do drugi po pulnocy przesadal y scyskal ręce i po szyi plaskal i spiał z nio nymam Waszeczy nic do oznaimienia tylko to ze bardzo tu tesknie zostaięc waszeczy serca kochaięca siostra i słuğa Teressa K. P.

<sup>1)</sup> Marya-Józefa Wessłówna, późniejsza żona Konstantego Sobieskiego (1685—1762).

## III.

*Mon frer* Odebrałam przez te poczcie list od Waszeoi mui braciszku s kturego odbiram wielkie ukatętowanie ciesze sie ge WM. mui braciszku zdruw przy tych obozowych fatygach i ze tak mile odemnie przyimuiesz pisanie moie a co WM piszesz do mnie ze jagby pana Korniaktuwna i pana Grątałuwna miały wnisc zakluzure tedy to szczyry zart iest bo zadna z nich o tem nie mysly prawda ze teras wszyscy w klasztorze mieszkamy ale by ich tu iezuici podobno nie przyieli prosze WM. abys tam na mieiscu moiem słuęul Krulowi iedgomoicy a mnie przed niem nie zapominał i zebysmi o wsztkiem co sie będzie działo dali oznaimował dai Boge iako nailepsze odbierac wiadomoicy i zebi sie prentko witac z WM. mui braciszku otsyłam WM respas na one karteczke a prosi ta osoba WM zebys io WM nikomu nie ukazywał ni maiac nic do oznaimienia WM mui braciszku zostaie WM mui braciszku kochaiącą siostrą Teresa Krolewna Polska.

## IV.

*W Glaznowie 18 nowemris.*

*Mon tre cher frer* Z wielkiem ukontentowaniem odebrałam list od waszeoi chtury mi iest barzo wdzieczny przynamni kiedy nie osobą to listem sie muszę kontentowac chtura mi iest tak mila ze lubo w odległości ale zawsze sercem iedzem z waszeą proszę waszeczy nade wszystko zebys mie nigdy nie zapominał przet Krulem iegomoicy i przet Krulowa imoicy s chturą Wasze iak naiczesci o mnie muw i sciskai na moiem miesou za nuszki kiedy ia sama nie mogę byo tak chceśliwa zazdroszce waszeci tego szczescia mui kochany braciszku wczora rano wyiechał baron Symeoni chtury iak muwiul ze pewnie kiedy Elektorowi powi zem tak piekna iak mie znaiduie ze wyiedze iak naidali bendze mugł i tak muwil ze rozumi za Olandią ze iak by to miało byc za sztyry niedzele o wszystko to ia nie dbam kiedy nie moge widzyo moich kochanych rodzycuw o *cruelle destin de se separer de qu un aym* nie podobna wypowiedzyo w iaki tesknoicy zostaie ani rodzicuw ani braci ani nikogo swego widzyo nie maiąc tu nic do oznaimienia waszeci tilko to zem iest na zawsze zyczliwa i serca kochaiąca siostra Teresa E. B.

## V.

*Henderstorf 3 Descembre (1694).*

*Mon tres cher frer* Odebrałam przes poczcie list ot waseci w chturem to syfry byli chture pan Duom deoyfrował prosze zebys zafsze ze mno korespondował botysz tylko ta iedna konsolacia a prosze tysz zebys mi nie przestawał oznajmowac cose dze (je) zlidzbo piec a za tet serdecznie waszeci sciskam zostaiąc kochaicą siostrą i słuęa Teresa E. B.

Adres: A mon tres cher frere le Prince Alexandre.



## VI.

w mynden 22 10 bris (1694).

*Mon tres cher frer* bardzom iest wdzieczna ze waszec regularno chcesz mi korespondowac bos sie iusz obawiała ni mając ras przez pewno okazycie listu od waszeczy zeby tego czescy nie bywało a ia ni mając nic miłszego iako odbirac nowiny od waszeczy tobym rada ich iak naicząscy odbirała a teras prosze nim bende miała te pocoeche obłapic waszeczy prosze zebyś mi oznaimiul poufalie czego byś sobie zycul s tych kraiuł co waszec lubisz prosze mui kochany braciszku zebyś sie wywiedzal od pany Sząbef czembym sie mogła przyśluzyc KMosci dobrodzice abo s korunek iakich abo z iakich galanteriek chture lubi prosze pana Kontu <sup>1)</sup> wylaiąc ze obiecał pisywac a i razem ni miała zadnego listu od niego ni mając czasu nie moge więcy pisac do waszeczy bo o pulnocy pisze bom chorowała cały dzienie i teras serdecznie waszmosc caluiąc zos(t) aie kochaiąc siostrą Teressa Elektorowa B.

Krulewicz Konstantego <sup>2)</sup> mile sciska ni moge do niego pisac bom chora. Pan Duom otpisuię cyframi bo ia ieszcze nie umiem.

## VII.

le 1 januię (1695).

*Mon tres cher frer* bardzo sie ciesze z liepszego zdrowia waszeci mui kochany braciszku i zycze zeby zafsze iak nallepsze zdrowie było iako ta chtura waszeci bardzo kocha i będzie na zafsze kochaiąc siostrę i slugą Teressa Elektorowa

## VIII.

bruzelle ca 17 (1695).

*Mon tres cher frer* Odebrałam od waszeczy ty poczty list s chturegom była bardzo uceszona bom srodze dawno ni miałam listow *jagge weize* (?). Krulowa imosc sie na mnie skarży i podobno gniewa dla tego ze odemnie nieczesto miwa listy prosze mie tam wymuwio i moie strone trzymac bo Bug widzy ze iak naicząsci moge to pisuię chyba ze nie dochodzo listo co do Krula iegomosci to nie smiem pisac bo zda mi se nie rat otpisuię prosze mie przes-trzye iesly by to było miło kiebym do niego czescy pisywała ia to tylko oznaimiue waszeczy co wiem ze waszeczy bende miło przeczytac tak mie kochaiąc iak mie waszec kochasz zem iest szczęśliwa iak bym go sobie obrala i w umorze i w osobie docę na tem ze sie kochamy amorami wzaiem iako kawaler z damo nigdy nie sądze ieno klęczy abo stoi przedemną caluiąc mie w ręce amuwiając mi ze

<sup>1)</sup> Ludwik de La Grange d'Arquien, hrabia de Maligni, brat królów Maryi-Kazimiry.

<sup>2)</sup> Konstanty-Filip-Władysław Sobieski, król polski (1680 — 1726).

mie adoruje ze nigdy tak nie kochał iak mie kocha dai Boga zebys waszec sam na to pretko patrzal iusz bywa szczypanie iak waszeczy bywał powiedzialam mu ze waszec mui faworyt srodze sobie zyczy obaczyo iak naipredzy waszecuf tu w bruksel ale dosc na tem ze se waszeczy podoba bo i piękny i ładny i rozum bardzo dobry i srodze wesoly jak Krulewicz Starzy <sup>1)</sup> czasem to on tak zafsze wesul modlitwo to KM to u Pana Boga uprosily takie moie ukontentowanie iusz musze koczyc bo mi nie da elektor pisac co moment to do mnie przychodzy zostaje kochaiaca siostra i sługa Teressa E. B.

## IX.

*Bruzelle ce 4 mars (1695).*

*Mon tres cher frer* nie mogąc tyz poczty zaras odpisac na waszeci list dla wielkiego slabego zdrowia chture do tych czas cirpie bo nimasz tego dnia zebym ni miała womitowac ledwe mi i teras pozwolili pisac muwiąc ze mi to bendze szkodziło a mnie sie zas widzy ze mi potym lepi będzie (z) samego ukontentowania ze kiedy nie mogę widzie i muwic dla odleglosci miesca to przynamni mi to ukontentowanie zostaje listowna wzaiem korespondencya prosze zebys mi oznaimioul iezeli iest jaki podobiestwo ze waszec tu bendzece bo ia tego czekam z wielko inpacyięcyo i radabym zeby to było iak naipredzy dla siłu racii chturyoh nie podobna poccie powierzyc ia tu stą ni mam nic tak dalece do oznaimienia tylko to ze zostaje Waszeczy serca kochaiące siostra i sługa Teressa Elektorowna.

## X.

*a Brusselle le 21 Mars (1695).*

*Mon tres cher frer* ni maiąc wiecy czasu bo tak nie rychło pisze ze poczta prawie wychodzi nie zostaje mi czasu tylko waszeci serdecznie scisnąc i prosie zebys odemnie oddał Krulowi iego moscy obras swientego Piotra co przez Cieszkoskiego posylam bo sama nie smiem turbowac swoim pisanem a teras Waszeca zostaje kochaiąco siostrzo Teressa.

Posylam Waszeczy przez Cieszkoskiego szarpe-zloto i krawat i krulewiczowi Kostantemu szarpe i krawat chture prosze zebys oddał odemni a Waszec sobie wyberz iako starzy lubom ia tam napisala.

## XI.

*dnia 25 Apryla (1695).*

*Mon tres cher frer* odebrałam z wielko pocecho lis (list) od Waszeczy chtury znaczy lepsze zdrowie s chturego sie serdecznie ciesze nie smiałam pisywac do waszeczy zym nie była fatygowała f ty nieszczesny ospie ale chwala Bogu ze nie będzie znac bo by była była wielka szkoda ty piekny twarzyczki

<sup>1)</sup> Jakób-Ludwik Sobieski, starszy syn króla Jana III (1667—1731).

prosze tam moie strone tam w kozdy okazji trzymac a teras zostaje waszeczy serca kochajaca siostra i sluga Teressa Elektorowa.

## XII.

*z brusel 30 maia (1695).*

*Mon tres cher frer* mialam ty poczty list od Krulowy imoscy f chturem mi pisze ze bym do waszeczy pisala i zawiadzala milosco isly nie kochasz ze bys ze bys (sic) f sukniach francuskich chodzula tedy o to prosze gdysz waszeczy daleko w nich lepi nisz w polskich. Krulowi tego moscy posylam maluskie wiozanie prosze ze bys uwazal isly bedze dobrze przyiete i potem mi oznaimiul bardzo sie ciesze ze nic na Waszeczach nieznac ospy boby bylo skoda ty pieknoscy teras nie mogao wiecey pisac zostaje kochajaco siostru i sluga Teressa Elektorowa.

## XIII.

*z bruksel dnia 3 Juin (1695).*

*Mon tres cher frer* nie miafszy przes tak dlugi czas tylko ieden od Waszeczy list poczelam byla troche wontpic o stateczny miloscy waszeczy przecyfkco mnie ale odebrafszy ostatny list przes chtury mi waszec asekurujesz nieodmieniy afek swui chturemu ia zafsze bende wzaiem odpowiedala serdeczna w. oblapifszy zostaje kochajaco siostru i sluga Teressa El.

## XIV.

*de brusel le 13 iuin (1695).*

*Mon tres cher frer* bardzo mi to dzywno ze do mnie piszesz zes dawno nie mial pisania odemnie chyba nie doszly bom zafsze na kozdy list odpisalam alem *cmies* (?) bardzo tego razu wdzieczna ze waszec na to nie dbajac ze nie odbirasz odemnie listuf przes miloso bratersko nie ustaiasz korespondencyi ze mno prosze sie odemnie klaniac krulowiczowi starszemu i krulewiczowy i xicstrzeniczki odemnie pocałowac panio woiwodzyne kalyska odemnie mile oblapic czekam ty waszecuf z wielko impacyencyo miloscy sie braterski zaleccam zostaiac kochajaco siostru i sluga Teressa Elektorowa.

Prosze sie pani Rosznaiski odemnie klaniac i powiedzyc ze sie dzywiue ze o mie zapomnia(a) przes dwie poczty nie pisala.

## XV.

*z brusel dnia 20 iuin (1695).*

*Mon tres cher frer* radam bardzo zes Waszec odebral odemnie list dla tego zes poznal ze nie zadny niekontynuaci korespondencyi nie pisalam do wa-



szeczy przez kilka czasów ieno dla tego zem nie chciała turbować f tak ciężki chorobio ale chwała bogu że się minęła ta nieszczęsna ospa że słysze nic nie poprosiła ty piękny twarzyczki i mnie bardzo kochany dla chtury siła białogłuf bendo umirali s kochania i iusz umirają ia tu wielki tesknoścy czas mui trawie bez mego Elektora prosze waszeci zebys prosił dziadusięka <sup>1)</sup> i księdza Ludwika zebys przecie przypominali mui posak zebys go odano bo się szyscy dzywuio że ieszcze nie oddany. Księdza Fulzasa <sup>2)</sup> prosze odemnie pozdrowic i powiedzyc zem bardzo wdzięczna że do mnie pisał a prosze go zebys i on przypominał a za tem zostaie waszeci kochającą siostrą i sługą Teresa Elektorowa.

## XVI.

*z bruksel dnia 22 iuin (1695)*

*Mon tres cher frere* bardzo się dzywuio że i krulowa imosc i waszec piszesz że nie odbirasz odemnie pisania a ia zadny nie omieszka pocztą zebym nie miała pisac to tedy nie ia wina ieno ci co przeimio listy księca biskup plocki <sup>3)</sup> mi straszno rzecz wyrządził musze waszeci szysctko opisac bendąc w drodze widziałam się s księżną poczaszno kturym prosiła zebys namalowała sama obras swego meza nieboszczyka i zebys mi przysłała do bruksel ona obiecała do księdza biskupa go przyslac iam się zafszę upominało księdza biskupa on zafszę muwił że ieszcze nima kiedy teras pani wiliska się z nim widziała ona i pitala islim kontenta s portretu pani Wiliska powiedział zem go jako żywo ni miała ona powiedziała że księca biskup do ni pisał że mi go odal i przysłała iego list na dokument prosze tedy zebys mi musie waszec upominal i koniecznie odebrał (i potem mi przysłał) bo się niegodzy księdzu tak szalbiersko poczynac i pokazac iemu iego list własny prosze tedy pofturnie oto zostaiąc waszeci kochającą siostrą i sługą Teresa Elektorowa.

Pani woiwodzini prosze odemnie kondolecyo uczynio. Prosze mi potym iego list odeslac.

## XVII.

*z bruksel le 4 iullet (1695).*

*Mon tres cher frere* bardzo Waszeci za to dziekuie zes posłuchał moi rady chtura bardzo zycziwa była strona francuskiego stroiu a zaluie badzo ze waszeci f tym stroiu nie moge widzyc ale prosze zebys waszec oznaimiul isli co niesłychac o waszecuf iechaniu do cudzych krajuf bo tego czekam z wielko impacioncyo bardzo si ciesze zes Waszec wszystkie zahencania ty osoby grodzisko (?) mimo uszy puszczał dai Boze zebys tak było zafszę bo statek iest zafszę piękny f kochaniu ia waszeci serdecznem afektem caluie i gębusie szycpie przez imainacyio zostaiąc kochającą siostrą i sługą Teresa Elektorowa.

- 
- 1) Henryk de La Grange, markiz d'Arquien.
  - 2) Fagguoli, sekretarz księdza nuncjusza Santa-Crozze.
  - 3) Andrzej Chryzostom Załuski, biskup plocki.

Proszę się odmnieić kłaniać królowiczowi starszemu i królowiczówny <sup>1)</sup> a pocałować odemnie siostrzeniczkę i cūrke hrzesno <sup>2)</sup> rada bym bardzo żeby waszecz pisał kiedy do Elektora mego bo waszeczy bardzo kocha.

## XVIII.

*de Brusel dnia 24 iuliet (1695)*

*Mon tres cher frere* nie pisałam tamty poczty do Waszeczy bom chorowała na oko ledwim mogła kilka słuf pisacie do k(r)ulowy imocy posyłam iakim mogła dostac tabaki iszpaski bardzo się s tego ciesze ze Waszecz poufale do mnie piszesz prosze żebyś tak zafszo czyniul czego sobie będziesz zyczul to napiszesz iako do kochaiący siostr(y) chtura zostaio do smiercy serca kochaiący siostrę i slugo Teresa Elek.

## XIX.

*z bruksel dnia 7 augusta (1695).*

*Mon tres cher frere* dzięki Waszeczy zes w moim interesie muwiul Królowy imocy strone posagu poslalimy informacyo KWM na pana staroscianko się gniewam ze cale nie pisuie do mnie podobno o mnie zapomniela czy i tysz starsi zakazali zebym o ni zapomniela zebym o nio nie prosila tu ale ia ni moge i zapomnie i zafsze ia jednakowo kocham imosc pani Wiliska cale do mnie nie pisze podobno się odmieniła przeciwo mnie przecie się nie czuie zebym miała dac okazyo odmianie prosze i to przeczytac i prosie żeby dotrzymala słowu obiecane mu iak naipredzy proze odemnie Królewicza Konstantego obłupic ni mam nic do oznaimionia waszeczy ieno zes my wzeli Namur serdecznie waszeczy oblapiam i zostaie kochaiący siostrę i slugo Teresa Elektorowa.

## XX.

*de brusel le 13 nouabre (1695).*

*Mon tres cher frer* bardzom waszeczy obligowana zes mnie przesstrik ze się na mnie gniewa Królowa imosc ale się srodzo o to turbuie bom prawdziwie nie wina isli o pisanie tom nie mogła w likarstfaoh ale iak em tu przyiechala tom zadny poczty nie opuścila oprucz tamtego tygodnia tom nie mogła dla wielkiego cesta (?) cos my mieli ale ottont nieopuszcze zadny okazyi prosze tam moie strone trzymac i przypominac mi czesto zebym nie byla oddalona od milosci tak kochany matki co ia Waszeczy otslugowala bendo f czem bendo mo-

<sup>1)</sup> Jadwiga-Elżbieta-Amelia, księżniczka Palatyno-Neyburska (1673—1722), żona królewicza Jakóba-Ludwika Sobieskiego.

<sup>2)</sup> Marya-Kazimira (1695—1723) córka królewicza Jakóba-Ludwika Sobieskiego.

gła i do smierci bende kochac iako kocham bendąc na zafszce serca kochaią(co) siostró i slugo Teresa Elektorowa.

## XXI.

*Bruzelle ce 21 Feuries (1696).*

*Mon tres cher frer* odebrałam ty poczty list od Waszeci w chturem mi Waszecó piszesz zes mi nie chcec oznaimowac o zlem zdrowiu krula iego mocscoy bardzo waszeci za to dziękiuie boiu sie doś naturbowala odebrafszy od drugich te złą nowine ale tera ze sie lepi ma chwala Bogu to sie srodze s tego ciezsze zas co mi waszec oznaimujesz ze tu smutne dni bezemnie odprawuiesz iabym serdecznie rada zebyś tu ze mno iak naiprędy iak naiweselszych zazywał mam nadzieie ze to kiedyskolwiek będzie prosze waszeci zebyś mi oznaimował nowiny co sie tam bezemnie dzalo bardzo zaluie ze nie za mnie ieszcze przyiechal Ksiaze Kurlancki <sup>1)</sup> bardzo go zaluie ze sie tak odmieniul ja tu ni mam nic stąd do znaimienia tylko to zem chwala Bogu zawsze iednako kontente tylko troche słaba prosze Waszeci zebyś mi oznaimiul co sie dzieie z memi bapkami isly Kamieniecka iest Warszawi i Kuchmistrowa a teras zostaie Waszeci serca kochaiąca siostró i unizona sluga Teresa Elektorowa.

## XXII.

*le 25 (1696).*

Moui kochany braciszku z wielkiem ukontentowaniem odebralem nowine przyiazdu waszecouf do Gan <sup>2)</sup> ale by moie oukontentowanie bylo zoupelesnieze kiebym tou waszecouf mogła widzye dla moi malouski zeby miała te pocochy widzye swoich kochanych wouiaszkouf zaraz tego momentow wysle kouriera do elektora prosząc zeby mi pozwolouf icchac do Gan abo zebyśoe tou waszecó mogli przyiechac poniewasz naiwieksza troudność zeby sie z niem nie widzye teras go nimasz w Bruksel to waszecó moziecie przyiechac prosze tedy waszeci moui kochany braciezku ze byście czekali na respans electora ktoury jak odbiore to waszecoum dam znac tym czasem rozoumialabym ze byśoe waszecó dobrze ouczynili zebyście poslali Pana De Nofa <sup>3)</sup> abo starosty lelowskiego do elektora s komplementem i daiąc znać zescie waszecó przyiechali do Gan i ze zalouiecie ze dla iego interesouf nie moziecie sie z niem widzye ale go prosycie zeby mi pozwolouf tam przyiechac abo tou waszecoum prosze tym czasem dac mi znać co za respas bendze ot elektora nigdy bardzy nie pragne tam widzye sie z waszecami jako teras dla rouznnych racyi chtoure nie moge powierzye listowi czekam tedy z wielko inpacyięcy na respans ot elektora i od waszeci tym czasem przes list serdecznie waszecouf oblapifszy zostaie kochaiąco siostró i slugo Teresa Elekt.

1) Fryderyk-Kazimierz, (1650—1698).

2) Gandawa.

3) Stanisław Denhoff, Starosta Kocierzyński.



## XXIII.

de Breuselle 19. (1696).

*Mon tres cher frere* bardzo jest na to zalosna zem tak dawno ni miała pisania od zadnego waszecouf tak rozumiem ze plezyry ktoure są f Paryzou son preszkodo temu a memou outrapieniu nimasz rouwnego iezdem gorzynysz mniszka jousz do tego przysło ze mi zakazał z yzby wychodzic a sam nigdy ou mnie niepostanie ani w dzenie ani w nooy a to fszystko dla metrosy <sup>1)</sup> chtourą adorouie a mnie nie nawidzy na ostatniem balou na chturem em była we czwartek takie mi afronta uczynił ze nie podobna wypowiedzyc porwal mie ot tanieceu i wypchnął do sieni laiąc mie iako psa glosno co fszyscy słyszeli rozumiałam ze mie będzie bil przy fszystkich a kiedy pytam o racio to mi nie nie odpowi iodyna ze tak mie mepryzouie iak by mie był z milosierdza wziol fszyscy iego loudze mie nie loubio nimam nawet przet kiem sie ouskarzyc moia gran metres czyni kour metresie nie mnie ieno w bogou jednem mam nadzie a waszecach ze mi iaki poratounek dace bo by mi przyszło co z desperacy uczynic prosze dla miloscy Bozy iaki mi sposoub dac do inszego zyca s panio markizowe <sup>2)</sup> sie poradzifszy dony nie pisze bo sie boie zeby chcto nie przeczytał nimby doni doszeł prosio io odemnie oblapic boie se zeby chto nad tém listem nie zastał mousze tedy konczye oblapiaiac serdecznie obouigou Waszecouf zostaiąc serca kochaiąco siostru i slougo Teresa Elektorowa.

## XXIV.

z Brouksel dnia 30 (1696).

*Mon tres chere frer* bendąc s tak wielkiem zalouzem ni miała to oukontentowania widzyc sie z memi kochanemi bracio prosze zeby przynamni nazad iadąc s Paryza nie minąo albo przynamni w Nameurze <sup>3)</sup> na mnie poczekac bo sie ia bardzo boie zeby znowou nie nalezli iaki raci iesli pokoui nie bendze sie w Brouxel nie bendzemy mogli widzyc moje zyce iest bardzo mizerne niepodobna tego powiezyc listowi chyba asz sie obaczemy skąt bym miała mie konsolacie ot kroulowy to mi taki list napisala com sie ledwe nad niem nie rozpoukla Elektora bardzo kocha dla pieknyoh listouw co do ni pisze iest on wielki polityk przes listy a ia i za nio i za fszystkich musie cierpic co mi codzenie wymawia prosze za panem Zeligoskiem zebysce waszec na niego byli laskawi i do ni pisali zeby ieszcze odemnie nie odizdzała bo ieno te konsolacie mam w moim outrapieniu posyłam waszeci list od Kronlowy prosze mi go potem odesłać a moui list spalić nie mogąc wiency pisac dla głowy bolenia oblapiam serdecznie zostaiąc siostru i slougo Teresa elektorowa.

<sup>1)</sup> Anna-Franciszka de Louchier, hr. d'Arco.

<sup>2)</sup> Marya-Ludwika de la Grange d'Arquien, markizowa de Bethune, siostru królowej Maryi Kazimiry.

<sup>3)</sup> Namur.

Kroulewicza Konstantego serdecznie obłapiam a proszę nie pokazywać przed nim tego listu otwoi courki kłaniam oboudwom striiaszkom.

Niemniej surowemi były następne koleje życia. Po bitwie pod Hohstadt, cesarz, jako zwierzchni władca Niemiec, pozbawił Maksymiliana elektoratu, ogłaszając za bannitę, a poddanych zwolnił od przysięgi. Względem nieposłusznych rozkazom cesarza ustanowiono prawodawstwo drakońskie: co piętnasty wskazany losiem z ludności wiejskiej miał być powieszonym, a co dziesiąty z ludności miejskiej: też samą zastosowano karę, z wyboru, po jednym obywatelu na okrąg sądowy. Reszta ludności mogła być zaliczoną do szeregów wojskowych lub do robót rządowych przeznaczoną; a to wszystko jeszcze w drodze łaski: usunięto bowiem karę śmierci, na którą jakoby, w razie nieposłuszeństwa cesarzowi, *cala* ludność zasługiwała.

Elektor wydalili się do Brukselli; elektorowa rozłączona, nie mogła za nim podążyć, i wyjechała do Wenecyi, oddając dzieci na łaskę i niełaskę cesarzowi. Córkę tedy zamknęto w klasztorze Klarysek *in Angern* w Mnichowie. Siedmiu synów, których zabroniono nazywać inaczej jak tylko hrabiami z Wittelsbachu, i niewolno było czynić przed nimi wzmianki o rodzicach, wywieziono do Austrii, z osadzeniem nasamprzód w Klagenfurcie a następnie w Gratzu. Rodzice przez cały rok nie mieli wiadomości o ich losie: dwaj synowie w więzieniu umarli. Nieszczęścia ukończyły się dopiero po zawarciu pokoju w Rastadt: elektorowi zwrócono Bawaryą w styczniu r. 1715.

Nie powtarzamy, ani rozbieramy, ani przyjmujemy z wiarą zarzutów czynionych Teressie-Kunegundzie przez niektórych historyków. Dwu mianowicie świadków oświadczyło się przeciwko niej. Pierwszym jej własny mąż, w listach niedawno ogłoszonych. Lecz zasługuje na wiarę ten, o którym Fenelon powiedział, (elektora poznał przyjmując go u siebie w Cambray), iż „rzeczywistym jest księciem ze krwi panujących; z charakteru bowiem niedołączny, a z obyczajów rozwiązy;” i który na wyrzuty czynione przez żonę odpowiadał, że *nowość jest ewangelią miłości?* Drugim i poważniejszym, z pewnemi zastrzeżeniami, świadkiem jest dr. Vechse, jeden z namiętnych działaczy w wytworzeniu jedności Niemiec za pomocą piśmiennictwa <sup>1)</sup>. Wiedziony tą myślą przewodnią, Vechse zrobił sobie wyłączne założenie gromić nadużycia drobnych władzców, co jest słuszném; podnosić i utrzymywać miłość ojczyzny, co jest wzniosłém; poniewierać narodowości ościenne, co jest naganném.

Dla nas, Teressa-Kunegunda niech na zawsze posostanie córką króla-bohatéra, i niech ją w oczach naszych zaleci ów zarzut, czyniony przez Niemców, że sama niedostatecznie, jak widać z listów, wykształcona w języku ojczystym, pragnęła ażeby dzieci jej uczyły się przewa-

<sup>1)</sup> (Gesch. d. Höfe der Häuser: Baiern, Württemberg, etc. Hamburg, 1853.

źnie języka polskiego. Dowód to iż, pomimo długiego szeregu lat i okoliczności nieprzyjaznych, wierną pozostała ojczystym wspomnieniom.

W Polsce rodzina Sobieskich świetnie była rozpoczęła zawód: mądrość opromieniała skronie Jakóba; sława wojenna dorównywająca owój z pierwszego wieku samobytu państwa, zaświeciła nad czołem króla Jana III; a w tém

„...kamieniem stał się naród dla nich.”

## STAROŻYTNOŚĆ WSCHODU, WEDŁUG NOWO ODKRYTYCH ŹRÓDEŁ \*).

### Król Assur-bani-pal i biblioteka jego.

#### I.

Stanowisku Assyrii za czasów Sargonidów całkowiec odpowiadała świetność Niniwy. Czwartą z kolei stolicą tego kraju a raczej rezydencją jego królów, Niniwa należała do miast, według tradycji hebrajskich (Gen. X, 11, 12), najstarszych w ziemi Assura. Długi szereg wieków, przynosząc rozmaite zmiany polityczne, rozmaicie wpływał na jej losy; przechodząc różne koleje w czasach poprzedzających wzniesienie się Sargonidów, została zburzoną i opuszczoną. Stwierdzają to liczne napisy. Według nich syn Sargona Sin-akhi-erib śmiało zasługuje na nazwę wskrzesiciela Niniwy i jemu to początkowo zawdzięczać winno to miasto wielkość i znaczenie swoje. Czytamy albowiem w jednym z wielu jego napisów (walec Bellino): „Ninua jest miejscem rozkoszy, miastem gdzie czczą Istar; posiada ona wszystkie świątynie bogów i bogiń; nad jej starożytnym *Timin* (kamień węgielny, kamień kładziony na znak zakładania miast i gmachów) czuwają oni nazawsze. Lecz od dawnego już czasu napisy na kamieniach zatarły się; czyny, które głosiły, przeszły w niepamięć; pismo przestało być przedmiotem starania i wykładów, nieopowiadało o potędze rządu, jego czujności, modłów nie uczyniło, zostało zupełnie zniszczonem. Napróżno królowie, moi ojcowie, zgromadzali oddawna w tém miejscu skarby i daniny ze czterech pochodzących krajów; żaden z nich niepomyślał, żeby przybytek królewski otoczyć murem obronnym, żeby czuwać nad gmachami, wznosić je;

\*) Ob. Bibl. Warsz. za m. kwiecień 1877 r.



nikt nie pomyślał, żeby czuwać nad miastem, przeprowadzać ulice, kopać kanały, stawiać drogoskazy, zmieniać co się okazało złem." „Lasy i równiny, dodaje w innym miejscu, były wysuszone z przyczyny braku wody, wszystko zniszczone; ludzie nie mieli wody do picia; dla zaspokojenia pragnienia, zwracali oczy do nieba." A jeszcze w innym: „Pałac ten był zbudowany przez królów, moich ojców, by składać w nim skarby, uczyć konie, mieścić żołnierzy; fundamenta pałacu nie były już mocne, przednia ściana rozpadła się w skutek czasu; Timin (kamień węgielny) usunął się, podmurowanie nie stało już prostopadle." Taki był stan miasta, okolic i gmachów, gdy Sin-akhi-erib „powziął myśl, żeby wziąć się do dzieła odbudowania miasta i przejął nią swój umysł" <sup>1)</sup>.

Władza nieograniczona nad swoim narodem, a przemoc nad obcymi, dostarczały mu tysiące robotników; każda część kraju jego i podbitych, dostarczały mu materiału do budowania, we właściwych swęj ziemi bogactwach. Widzimy to z następnych słów: „Żołnierze z mojego wojska długi czas byli używani do przewożenia marmurów z kopalni." „Wypędziłem z ich mieszkań ludzi krajów, Kaldi (między Tygrysem a Eufratesem, poniżej Assyrii) Aram, Van (kraj na północ Assyrii) Kui, Kilakhu (Cylicyi), którzy byli mi niepodlegli; rozkazałem im... wyrabiali cegły. Kazałem w kraju Kaldi wyciosywać bryły kamieni i dostarczać. Wydałem rozporządzenie, by do robót używać powstańców, których moje ramię zwyciężyło." „Posłuszny woli najwyższej bogów, moich władców, poleciłem wykonanie moich rozkazów wszystkim królom Akhari (kraj między Libanem a morzem Śródziemnem, na północ Palestyny), których mój władzy poddałem. Wycinali oni ogromne belki cedrowe na górach Khamanu i dostawiali je do Ninua."

Tyle rąk do pracy, tyle materiałów budowlanych, dostarczanych zewsząd, dozwalało wiele pomysłów wykonać. Czytamy albowiem następne rzeczy: „Całkowicie zburzyłem starożytną rezydencją. Na miejscu jęj usypałem wyniosłe wzgórze, wzniosłem tarasy ponad całe miasto." Lub też: „Rzeka Tigulti, ochraniająca z tej strony zamek od napadu nieprzyjaciela, podmyła podmurze pałacu, a woda dosięgła węgielnych kamieni. Zniosłem przeto ów pałac do szczytu, zmieniłem bieg rzeki Tigulti, zwróciłem w inną stronę jęj koryto, wzniosłem tamy; fundamenta ich były z cegieł: obłożone zaś zostały płytami kamiennymi."

W licznych napisach wspomina o kanałach przekopywanych, o wodociągach wodę z odległych źródeł do miasta sprowadzających; ochronnych murach otaczających miasto, wieżach i bramach. Nowy swój pałac tak opisuje: „Zbudowałem gmach wspanialszy niż ten, któ-

<sup>1)</sup> Powyższe, jak również i wszystkie następne cytaty tekstów assyryjskich, są wzięte z napisów królów assyryjskich zebranych i wydanych przez J. Ménant w dziele p. t. *Annales des Rois d'Assyrie*. Paris, 1874.

ry stał przedtém na tém miejscu, zbudowałem według planów budowniczych mojego państwa, na rezydencją mojego majestatu. Pokrywały go belki wyrobione z wielkich cedrów, ozdabiały wysokie kolumny, ozdabiały przepyszne rzeźby z wielką umieszczane sztuką. Kazałem wyciosać z marmurów pochodzących z krajów Beleda lwy ogromne i woły, w celu ozdobienia niemi portyków. Rozszerzyłem dziedzińce w celu zbierania dowódców wojska i ćwiczenia ich w sztuce ciskaniania dziurytów i t. d. Odnowiłem, skończyłem ten pałac od fundamentów do szczytu i na nim pomieściłem pamięć mojego imienia.”

„W taki to sposób odbudowałem Ninua, miasto mojego majestatu, wyprostowałem ulice; ilość kanałów i źródeł powiększyłem i jak słońce Ninua wspaniała się stała.” Dokonane prace podziw i radość w nim samym wzbudzają: „Zamieszkałem ten pałac ku zadowoleniu serca mojego, radości umysłu i wspaniałości oblicza. Oby w tym przybytku rodziło się mnie potomstwo. Oby istnienie moje do najodleglejszych dni było przedłużone. Opiekuńcze bóstwa, stróże życia mojego, niech utrwalają szczęście i bogactwo w obrębie tych gmachów do czasu, aż runą te wrota.”

Przeczytawszy to wszystko, zapytamy siebie, co następcom Sin-akhi-eriba pozostało jeszcze dokonać w tej „wspaniałej jak słońce Niniwie,” co mianowicie mógł zrobić Assur-bani-pal, o którym wiemy, że dokonał wiele na tém polu. Wspaniałość tych gmachów była krótkotrwała. Na to składało się wiele: klimat, grunt (przypomnijmy sobie opowiadanie o rzece Tigulti); po części materiały używane do budowy, nakoniec, wykonawcy częstokroć fantastycznych pomysłów, a skwapliwie dogadzający im budowniczym i inżynierowie, którym nauka mogła naówczas niedostarczać jeszcze należytych środków do wznoszenia tak wielkich gmachów i prowadzenia wodnych związków z tém robot<sup>1)</sup>. Świadczą zaś o tém ciągłe wzmianki o przebudowaniach, znajdowane w napisach, a najwymowniej historyczny fakt szybkiego ostatecznie upadku tych gmachów i miast i zniknięcia nawet śladu ich ruin. Słowem z jaką szybkością wznosiły się miasta, stawały rezydencje, z taką najczęściej pierwsze upadały, drugie rozsypywały się w zwaliska. Na to mogła jeszcze, przy pewnych okolicznościach, wpływać rywalizacja królów w budowaniu sobie pałaców; z kądem zazdrość, a w danym razie przemoc: burzono jedne pałace, by z tych materiałów wzniesić nowe. Napisy na cegłach dowodzą, że pałac Asur-akhi-edina w Kalah był wzniesiony z cegły pochodzącej z pałacu Salman-assara. Wiktor Place zaś twierdzi, że wiele ozdób i rzeźb ze znalezionych w Kojundzuku pochodzi z Khorsabadu, z pałacu Sargona.

W napisach i opowiadaniach swoich Assur-bani-pal przypisuje sobie chwałę odnowiciela królewskiej rezydencji. Posłuchajmy słów jego: „Bit-riduti jest pałac w Niniwie, wielkiem mieście, ulubioném przez Istar; pałac ten wznosił Sin-akhi-erib, ojciec mojego ojca, na

<sup>1)</sup> Czyt. Place: Ninive et l'Assyrie, tom II, str. 89 i następn.

mieszkanie dla siebie. Gmach stał się starym, rozpadły się komnaty. Ja, Assur-bani-pal, król wielki, król możny, król narodów, król ziemi Assura, król czterech państw, odbudowałem Bit-riduti... W miesiącu pomyślnym, w dniu szczęśliwym, założyłem fundamenta pod ten gmach... Kamień węgielny położyłem przy muzyce, wśród radości i zabaw... Ludzie kraju mojego wyrabiali cegłę, by zbudować Bit-riduti. Królów Aribi, (Arabii) którzy przeciwko mnie powstali i których żywymi wśród bitwy schwytałem, zmusiłem do pracy przy budowaniu... Rozszerzyłem, powiększyłem gmach znacznie, pokryłem belkami z cedrów kraju Siruru i Labnana (Syryi i Libanu); drzwi dałem z dobrego drzewa z lasów; wzmocniłem je sztabami miedzianymi, wzniosłem kolumny z brązu. Bit-riduti, królewską moją rezydencją, ja skończyłem, ja najzupełniej wykończyłem; w okrąg drzewami osadziłem na chwałę mojego majestatu; przyniosłem ofiary wielkim bogom, moim władzcom; złożyłem je na wysokich miejscach i w dolinach.“

Tym słowom assyryjskich królów sławiących wspaniałość gmachów, wygody i bezpieczeństwo miasta, a raczej swoje zasługi w dostarczaniu ich miastu, jak echo wtórują wzmianki o Niniwie w księgach izraelskich proroków. „Niniwe było miasto bardzo wielkie, na trzy dni drogi, w którym jest więcej nizeli sto i dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy nie umieją rozeznąć między prawicą swoją i lewicą swoją” (Jonasz III, 3, IV, 11) to jest dzieci, a przeto (przyjąwszy stosunek 1 do 5) do 700,000 mieszkańców<sup>1)</sup>; „miasto weselące się, które siedzi bezpiecznie, mówiące w sercu swoim: jam miasto, a oprócz mnie niemasz takiego,” (Sof. II, 15) twierdzą autorowie ksiąg Jonasza i Sofoniasza.

Nietrwałość gmachów wznoszonych przez królów, szybki wzrost, a szybszy jeszcze upadek miast, były poniekąd obrazem trwałości i mocy assyryjskiego państwa. Polityka władców Assyrii nieznacznie lecz wytrwale przygotowywała i wytworzyła taki stan rzeczy, jak woda, co podmywała podmurza, jak klimat, co rozsadał mury, to rozpalając je promieniami słońca, to znów oblewając strumieniami ulewy.

Aczkolwiek świetną na zewnątrz, w rzeczywistości zaś o tyle smutną a niewdzięczną ze względu na niego samego, o ile niebezpieczną dla narodu, stała się misya Assur-bani-pala, gdy ojciec jego Assur-akhi-idin, „Król ziemi Assura, wypełnił wolę Assura i Beltis, bogów czuwających nad nimi, którzy go wywyższyli i rozkazali mu ustąpić władzę” synowi.

Pradziad Assur-bani-pala, Sar-kim (biblijny Sargon (סַרְגִּין Izaj. XXI, 1) podbił Syryą i Samaryą. Dziad, Sin-akhi-erib (biblijny Sanherib סַנְחֶרִיב 2 Król. XVIII, 13) Chaldea, Arabią, Cylicyą. Ojciec, Assur-akhi-idin (biblijny Asarhaddon אֲסַרְחַדְדִּן 2 Król. XIX, 37) Egipt, przytém drobne państewka Azji mniejszej i Fenickiego wybrzeża. Granica przeto posiadłości Assur-bani-pala, jeżeli za punkt wyjścia przyjmujemy zacho-

<sup>1)</sup> Schrader: Die Keilenschriften und das A. T. str. 286.



dnia granicę Cylicyi, szła na północ gór Taurus do południowo-wschodniego brzegu morza Czarnego; następnie poniżej gór Kaukazkich, południowym brzegiem morza Kaspijskiego („wyższe morze wschodzącego słońca”); zkad zwraca się pod kątem prostym na południe, w prostopadłej prawie linii, do zatoki Perskiej („niższe morze wschodzącego słońca”); dalej na zachód przez Arabią, morze Czerwone, Egipt przechodziła poniżej Teb na lewy brzeg Nilu, gdzie idąc już prawie równolegle tej rzecze dosięgała morza Śródziemnego („wielkie morze zachodzącego słońca”), na którym obejmowała jeszcze nadbrzeżne wyspy.

W obrębie tych granic leżały kraje należące do rozmaitych narodów i plemion, znajdujące się na różnych stopniach cywilizacji i społecznego rozwoju. Jedne, np. Chaldea i Egipt ze świetną przeszłością historyczną, ze swymi miejscowymi tradycjami, wyższą nauką, wykształcześniejszą literaturą niezdolały na długo zapomnieć o swjej przeszłości i prawach, które nadaje długi żywot dziejowy, a przeto nie mogły kornie chylić czoła tylko przed przewagą miecza przemocą siły, nie mogły ulegać bezprawiu, obrażającemu nietylko  *pewnego*  narodu, lecz ogólnie ludzką godność i w minionej lecz nieutraconej wielkości czerpały odwagę i siły do walki o niepodległość; drugie, np. małe nadbrzeżne państewka we właściwem tylko sobie zajęciu, organizacyi i instytucjach, a przytém w swém położeniu geograficznem znajdowały punkt oporu; inne zaś były zamieszkane przez plemiona, wśród których dopiero budziło się życie dziejowe, wyrabiały się dopiero żywioły i siły społeczne, którym przeznaczono było z kolei zająć wybitne miejsce na widowni historycznego Wschodu. Jednych przeto świetna przeszłość i wyższość cywilizacji i nabyte przez nie prawa, drugich przyszłość i właściwa wyrabiającym się organizmom politycznym pewna rozprężliwość, do ciągłej walki z najezdniczą potęgą pobudzały.

Nie wyłączenie tylko rozkaz bogów, jak utrzymuje Assur-bani-pal w przytoczonym powyżej tekście, lecz jak się zdaje, powstanie w ujarzmionym niedawno Egipcie, na czele którego stanął Tahraka, władca niezależnej Etyopii, a poskromienie którego wymagało większej energii niż ta, na jaką zdobyć się mógł stary monarcha, skłoniły Assur-akhi-idina do abdykacyi na rzecz syna.

„Z radością wszedłem do pałacu królewskiego,“ twierdzi młody władca, gdy „w miesiącu Airu poświęconym Nisrukowi, władcy ludzi, dwunastego dnia (12 kwietnia 667) w dzień święta Bela, według woli Assura, Bela (wylicza wszystkie główne bóstwa) zebrał (ojciec) ludzi z ziemi Assura, wielkich i małych, tych od morza Niższego, tych zaś od morza Wyższego dla uczestniczenia w uroczystości objęcia przemnie władzy i następnie władzy nad ziemią Assura ustąpił mi.”

Otrzymawszy władzę nad krajem z woli a łaski bożej, Assur-bani-pal rozpoczyna rządy od zbadania ksiąg świętych, proroctw i przepisów religijnych; do przytoczonych słów dodaje bowiem: „Zebrałem w tym pałacu wyrocznie i wszystkie księgi królestwa; pojąłem za-

warte w nich tajemnice, rozwiązałem ich trudności. Przykazania bogów ogłosiłem.“

Następnie dowiadujemy się o woli bogów, objawionej mu: „Rozkazali mi bogowie rozszerzać moje państwo, utrzymywać ich świątynie.“ By zaś wzbudzić poszanowanie dla swęj władzy wyznaje, że oprócz oparcia jęj na woli bogów, mocen jest dowieść mieczem swęj prawowitości i potęgi, powtarza bowiem: „bogowie potęgę moję podnieśli, obalili nieprzyjacioły moje. Jestem potężny wojownik, czciciel Assura i Istar, ich królewski potomek.“

Bogowie, wynosząc na tron ulubieńca i wybrańca swego, nieomieszkali widomymi znakami zadowolenie swe okazać; czytamy bowiem: „Od czasu gdy Assur (i innych 10 bogów i aż dwie Istary z Niniwy i z Arba-ilu) szczęśliwie mię posadzili na tronie ojca, który dał mi życie, Bin zsyła deszcze, Nisruk napełnia radością swój naród.“ Dobrze żniwa, zebrane zapasy, urodzaj owoców, płodność bydła, sprowadza dobrobyt, zadowolenie.

Lecz Assur-bani-pal, badając wolę bogów i proroctwa Nabu, dowiedział się tylko, że: „bogowie rozkazali rozszerzać państwo, utrzymywać ich świątynie,“ przeto śpieszy zebrać żołdactwo, wybrać dorodniejszą młodzież, a najsilniejszą część swojego narodu oderwać od pracy; groźbą, strachem a przemocą wypędzić z domów tłumy ujarzmionych narodów, zarówno nienawidzących jego, jak i ci, na których miał je prowadzić; śpieszy jedne ludy, jak psy szczwając psami, zwalić na drugie, by zapomocą tych pozbawić tamtych praw ludzkich; praw, do których jedni z prowadzonych nie byli jeszcze dorośli, a drudzy już mieli sobie odjęte; a może, by zaprawiając do wydzierania praw innym, nauczyć a wdroyć swój naród do lekceważenia i plugawienia praw ludzkich wogóle, by potém nigdy nie powziął on myśli zażądać ich dla siebie, lub wytworzyć je wśród siebie; by wszyscy jednakowo spodleni, rozwściczeni nienawiścią ku wszystkiemu czego niegodni tchnący, zwycięztwami jak narkotykiem upojeni, do uczuć, godności i praw ludzkich nigdy dojść, nigdy ich pojąć nawet nie zdołali..

„Postuszny Assurowi i Istar zgromadziłem potężne siły, opowiada Assur-bani-pal, siły, które Assur i Istar w ręce mi dali. Postanowiłem wyruszyć przeciw krajom Musuri i Kus (średni Egipt i Etyopia). Tarku pogardził potęgą Assura i Istar, wielkich bogów, moich władców. W siły swoje zaufał i wystąpił przeciw królom, osadzonym przez ojca mojego. Zatrzymał się w mieście Mimpi, mieście, które był zajął ojciec mój i przyłączył do krajów ziemi Assura. Byłem zajęty w mieście Ninua, gdy wieść o tęp doszła do mnie. Zostałem zdumiony, a serce moje zasmucone.“

„Szybko się zbliżyłem do miasta Karbanit; Tarku, król ziemi Musuri i Kus, dowiedziawszy się w Mimpi o mojej wyprawie, by pokonać mię i wydać bitwę, zgromadził na moje spotkanie liczne wojsko. Z pomocą Assura i Istar, wielkich bogów, moich władców wydałem wielką bitwę i wojska jego rozproszyłem. Tarku dowiedział się

w mieście Mimpi o porażce swego wojska. Strach Assura i Istar obalił go. Cofnął się przed przybliżeniem się mego majestatu. Bogów jego wynieśli na moje spotkanie; sam opuścił Mimpi i by ocalić życie swoje, schronił się do Ni'a (Teb). Zdobyłem to miasto; wojsko moje weszło i zajęło je." „Wszyscy ci królowie, naczelnicy i wodzowie, których mój ojciec ustanowił nad krajem Musuri, a którzy przed zbliżeniem się Tarku, opuścili swoje kraje i urzędy i uciekli na pustynię, zostali powróceni do swoich ziem i do swojej władzy. Zdobyłem na nowo kraj Musuri i Kus, który mój ojciec był zdobył. Podatki cięższe od dawniejszych nałożyłem. Powróciłem do Ninua w pokoju, z licznymi łupami i bogatą zdobyczą." „W czasie tej wyprawy dwudziestu dwu królów z brzegów morza i ze środka jego (wysp), wszyscy moi hołdownicy, wystąpili naprzeciwko mnie i uściskali moje kolana.“ W liczbie tych królów, znajdowali się królowie Tyru, Judzkiej ziemi (Manasse?) Edomu, Moabu, Gazy, Askalonu.

Pokój wszelako trwał niedługo. Wszyscy hołdowniczy w Egipcie królowie, podtrzymywani potęgą assyryjskiego mocarza, a rządzący pod nadzorem assyryjskich urzędników, według słów jego, „złączyli się przeciwko mnie. Pogardzili wyświadczonemi przeze mnie im łaskami, serca swoje ku zdradzie skłonili; buntownicze rozsiewali słowa i wchodzili z sobą w zgubne narady; wyprawili posłów do Tarku, króla Kus, w celu zawarcia z nim umowy i przymierza, mówiąc: „zrobmy umowę a zawrzyjmy przymierze z sobą; jedni będziemy podtrzymywali drugich, a innego władcy mieć nie będziemy.“ Uknowali więc wiarolomny spisek przeciw wojskom ziemi Assura, zastępom mojej potęgi... Moi urzędnicy odkryli ten spisek. Zatrzymali wysłańców, pochwycili listy i dowiedzieli się o ich buntowniczym postępowaniu. Schwytali tych królów, okuli ręce i nogi ich w żelazne łańcuchy, w żelazne kajdany. Przymierze zerwane z Assurem, ojcem bogów, ciążyło nad temi, którzy powstałi przeciwko wielkim bogom, chcącym rozszerzać dobro za pośrednictwem ich rąk,... w tym zdračnym spisku miasta wielkie i małe do wierności zostały doprowadzone przez wojsko. Moi żołnierze nic na miejscu nie zostawili; trupy wśród zwaliska włóczyli; mury miejskie z ziemią zrównali. Zywych stawiono przedemną w Ninua tych królów, którzy knowali zgubę wojsku ziemi Assura."

Względy jednakże polityczne, albowiem Tahraka odebrał był podówczas Memfis i Teby <sup>1)</sup>, odniosły zwycięztwo nad uczuciem zemsty i łaskawością pastwienia się nad zwyciężonymi; „przyjąłem ich łaskawie," twierdzi Assur-bani-pal. Jednego z nich, Niku, ojca sławnego później w dziejach Egiptu Psametika, na dawniejsze nawet wyniósł stanowisko. „Odziałem go, mówi, we wspaniałe szaty, ozdobione złotem; miałem kazać ozdobić złotemi obręczami; obdarzyłem go mieczem stalowym ze złotą pochwą. Na mieczu kazałem opisać sławę mego imienia i dałem mu ten miecz. Przyćém, daro-

<sup>1)</sup> Maspero, H. A. 429.



wałem mu wiele wozów, koni, była pociągowego, i wysłałem do Egiptu z moim urzędnikiem.“

Wojna wszelako dopiero zaczęła nie zaś skończoną została. Gdy Tarku wkrótce umarł, „gdy dusza zeń uleciała,“ według słów tekstu, pasierb jego, Urdamanu, objął po nim władzę i umocnił Teby, zebrał wojsko i wszystko do obrony przygotował. Nastąpiła przeto druga wyprawa do Egiptu. I w niej jak w pierwszej nieprzyjaciel pobity cofa się i nakoniec ucieka; liczny zaś poczet królów holdowników, oraz rozmaici „naczelnicy a urzędnicy, których nasłał do ziemi Misuri,“ wychodzą na jego spotkanie i padają mu do nóg. Sprawozdanie z tej drugiej wyprawy, kończy Assur-bani-pal opisem wzięcia Teb. „Wziąłem miasto i poddałem je obrządkowi Assura i Istar. Zagarnąłem złoto (króla), srebro, drogie kamienie, skarby jego pałacu, szaty tkane z wełny i bawełny, rosłe konie, zabrałem niewolników jego, mężczyzn i kobiet; dwa obeliski pokryte wspaniałymi rzeźbami. Wszystko to kazałem znieść przededrzwi wielkiej świątyni i przewiozłem do ziemi Assura z innemi niezliczonymi łupami. Z Ni'a wtargnąłem do kraju Kus z moją wojskiem, i tam wielką zdobyłem sławę. Nakoniec powróciłem do Ninua, mojej stolicy, ze znaczną zdobyczą.“

Długa ta wojna, a zwycięstwo częstokroć chylące się to na tę to na ową stronę, musiała wywrzeć wpływ na stan rzeczy, obudzić nadzieję w sąsiednich krajach, znajdujących się w jednakowym z Egiptem politycznym położeniu. Czytamy przeto, że Bahali, król Tyru, jeden ze składających hołdy Assur-bani-palowi, w poczcie owych dwudziestu dwu królów „z nad morza i ze środka jego,“ „pogardził wyrokami moją królewskość, nie usłuchał rozkazów ust moich. Napadłem przeto na jego zamki, przeciąłem komunikacje, osaczyłem go, zmusiłem by pijał wodę morską dla zaspokojenia pragnienia. Upokorzyłem ducha jego, zgniotłem jego potęgę. Nałożyłem nań moje jarzmo; stawiłem przed sobą, by zostały mojemi niewolnicami, córki jego i siostry.“

Wśród łupów, zwykłej nagrody zwycięzcy i podarków wymożonych strachem, otrzymuje on jeden, „któremu nie było nic równego.“ Jamelki, syn nieszczęsnego Bahali, ukorzył się przed nim i dał mu swą córkę i córki braci swoich, wraz z innemi znacznymi podarunkami. Pokora i dary popędliwość zwycięzcy wstrzymały: „okazałem mu łaskę swoją i powróciłem mu tron, jemu i synowi serca jego.“

I inni królowie „Jakinklu, król kraju Aruadda, który mieszka wśród morza, Mugali, król Tabal, Sanda z Khlakhu, widząc zapewne pożądane skutki „daru, któremu niema nic równego,“ posyłają mu również swoje córki, oraz niezliczone podarki. Lecz gdy i ten dowód uległości przestał zadawalniać i gdy jednemu z nich, Jakinklu, królowi Aruadda, Assur-bani-pal zabrał królestwo jego, innych już dziesięciu, „którzy mieszkali pośrodku morza,“ stawili się sami z darami i uściłali kolana jego.

Bogowie opiekuńczy, jak widać czynami pobożnemi Assur-bani-pala, a rozkrzewianiem ich czci ujęci, już nie tylko niewiedomie dostarczając mu zwycięstw a upokarzając nieprzyjaciół, lecz osobiście, czynnie w sprawach jego występują. Dowiadujemy się bowiem co następuje: „Guggu (Gyges), król ziemi Luddi (Lidyj), kraju odległego, po drugiej stronie morza położonego, o którym to kraju nigdy nie słyszeli królowie, moi ojcowie, dowiedział się we śnie od boga Assura, boga stwórcy mojego, o wielkiej chwale mojego imienia: „Przyjm — rzekł do niego bóg Assur — jarzmo Assur-bani-pala, króla Assyryi, ulubieńca Assura, króla bogów, władcy świata; złóż hołd jego majestatowi, poddaj się jego władzy. Ogłaszając się jego sługą, składając mu daninę, uczyni by doszły twoje słowa aż do niego.“ W dniu następnym wyprawił do mnie posłów, prosząc o moją opiekę, i oznajmił mi o tym śnie przez wysłańca, który mi o tém opowiedział.“ „A od dnia, dodaje Assur-bani-pal, w którym przyjął jarzmo moje, podbił władzy Assura i Istar, bogów moich władców, naród Gimiri (Cymbrów?), pustoszący jego państwo, nie lękający się ni moich ojców, ni mnie.”

Podczas, gdy Assur-bani-pal był w ten sposób zajęty wojną i polityką na zachodniej granicy swego państwa, na południu i wschodzie gotowały się groźne wypadki.

Po ostatecznym podbiciu Chaldei i Babilonii, a wygaśnięciu ich obrońców w dynastyi Marduk-bal-adana; po zdobyciu i zburzeniu Babilonu przez Sin - akhi - eriba, które temi opisuje on słowy: „miasto i świątynie od fundamentów do szczytów zburzyłem, zniszczyłem mieczem, spaliłem ogniem; zamki i pałace, wieże z cegieł i wały z ziemi — zniostem; zwaliskami wielki zarzuciłem kanał;“ królowie Assyryjscy oględniejszą kierowali się polityką względem podbitego narodu, upadek którego ich wielkość stanowił. Assur-akhi-idin często przemieszkiwał w Babilonie; rządząc łagodnie, odbudowując a ozdabiając miasto, starał się ślady ojca swego ręki zagładzić; po abdykacyi swojej nawet zamieszkał w tém mieście i umarł w niem. Assur-bani-pal ciągle niepokoiony powstaniem i zajęty ich uśmierzeniem, bądź w skutek niemożności podołania wszystkiemu, rządzenia wszędzie i czuwania nad wszystkiem, bądź w celu oszczędzenia uczuć narodowych tego kraju i gwoli zgodniejszych z potrzebami rządów, w charakterze wicekróla wysłał do Babilonu swego brata Salummu-kina. Ten widząc niemożebność utrzymania w politycznej i administracyjnej zależności tego kraju, ze stanu rzeczy chciał skorzystać i stanął sam na czele powstańczych ruchów, wszedłszy uprzednio w związek i przymierze z sąsiednimi królami Elamu i Arabii.

O grożącym niebezpieczeństwie ostrzega Assur-bani-pala, lecz zarazem i napełnia go pewnością zwycięstwa, bóg Sin. Oto co opowiada assyryjski władzca: „Wówczas miałem widzenie podczas nocy; słyshałem słowa: oto co bóg Sin gotuje dla tych, którzy podnoszą miecz przeciw Assur-bani-palowi, królowi Assyryi; do bitwy wszystko

przygotowane; śmierć straszna ich oczekuje: ostrzem miecza, ogniem pożarów, głodem, sądem Nergala (boga wojny i zniszczenia), wydrę im życie. Wysłuchałem tych słów i we wszystkiem spuściłem się na wolę boga Sina, władcy mojego. Zebrałem przeto wojsko moje i postanowiłem wyruszyć na Salummu-kina.“

„Obległem wojsko jego w miastach: Sippara, Bab-ilu, Barsip, Kutha; zwyciężyłem je po miastach i w walkach w otwartém polu, rozproszyłem je, opowiada dalej Assur-bani-pal, co zaś pozostało, z woli boga Adar ginęło od głodu.“ Cała ta wyprawa — to tryumfalny pochód: nieprzyjaciel ginie od miecza, ognia i głodu, szeregi zaś bogów torują drogę zwycięzcy. „Naród Akkadów, który wszedł w związek z Salummu-kinem i zamyślał o oderwaniu się, nawiedzony był głodem. Zostali doprowadzeni do żywienia się, by utrzymać się przy życiu, ciałem swoich synów i swoich córek.“ „Assur, Sin, Samas, Bin, Bel, Nabu, Istar z Niniwy, Istar z Arba-ilu, Adar, Nirgal i Nut-hu, którzy szli przedemną, by zniszczyć nieprzyjacioly moje, wtręcili Salummu-kina, buntowniczego brata mojego, który podniósł oręż na mnie, w ogień wszystko pożerający i pozbawili go życia.“ „A naród, który był usłuchał Salummu-kina, buntowniczego brata mojego, musiał pójść za nim (w ogień), ponieważ popełnił przestępstwo, zasłużył na śmierć i łaski nie otrzymał. Kto tylko z Salummu-kinem, swoim paneim, nie został spalonym, uciekał przed ostrzem miecza, okropną śmiercią głodową, przed pożerającym wszystko ogniem, uciekał, by szukać schronienia. Gniów wielkich bogów, moich władców, nie był daleki; spadł na nich wszystkich, nikt nie uciekł, nikt nie został oszczędzony: wszyscy w moje ręce wpadli. I ich wozy wojenne, ich zaprzęgi i ich kobiety. Skarby ich pałaców zostały przezemnie zabrane. Ludzie ci, usta których knuły spiski buntownicze przeciwko mnie, przeciwko Assurowi, mojemu władcy, mieli wyrwane języki; dopełniłem ich zaguby. Co pozostało z narodu, byli stawieni żywcem przed wielkimi wołami z kamienia, które postawił Sin-akhi-erib, mojego ojca ojciec, ja zaś strąciłem w przepaść. Ówiertowałem ich członki, rzucałem psom, dzikim bestyom, ptakom, drapieżnym zwierzom z nieba (powietrznym) i z mórz. Trupy ludzi, których Adar pokarał i którzy z głodu poginęli, były zostawione psom i dzikim zwierzętom na pożarcie.“ I naiwnie, a zapewne szczerze zapewnia: „wykonywając to wszystko, radowałem serca wielkich bogów, moich władców.“ Znaleźć jednakże możemy dowody łaskawości i miłości ku poddanym: „ci synowie (mieszkańcy?) Bab-ilu, Kuthy, Sippar, którzy przy życiu pozostali, którzy nędzę i głód wytrzymali, otrzymali przebaczenie; rozkazałem oszczędzić im życie, i dozwoliłem pozostać w Bab-ilu.“ Dodaje tylko: „nakazałem im słuchać praw Assura i Beltis, bogów ziemi Assura, nałożyłem podatki i należności pobierane z krajów podległych mojej władzy,“ i porządek zapanował w Babilonie.

Aczkolwiek pomyślnie dla Assur-bani-pala i państwa, a ku radości serca wielkich bogów, ukończoną została wyprawa do Babilonu



i Chaldei, wojny na wschodzie i południu nie prędko jeszcze ustały. Sprawy babilońskie jedne z tych wojen odnowiły, drugim zaś dały początek. Odnowioną została wojna z Elamem, rozpoczęta zaś z królem Arabii, Sama'iti, gdyż według objaśnień dostarczanych przez kronikę Assur-bani-pala: „nie chciał on płacić swych należności i zrzucił jarzmo mojej potęgi... posłał wojsko, by podtrzymywać Salummu-kina, buntowniczego brata mojego.“

Bliższe przypatrzenie się stosunkom Assur-bani-pala z Elamem, wynikłym ztąd zatargom i wojnom doda kilka rysów charakteru do obrazu tego energicznego a pobożnego, okrutnego, lecz woli bogów uległego monarchy; a mianowicie, ukaże w nim zręczność w knowaniu zakulisowych intryg, a biegłość w polityce, za hasło której służyła dwa słowa: *divide et impera*.

Elam było to państewko niewielkie, na wschód od Chaldei, chociaż częstokroć zwyciężkie, lecz w późniejszych czasach nigdy zaborcze, nigdy zbyt sławne. Wolne, mogło dopomagać podbitej sąsiadce; podbite rozszerzało, według rozkazu bogów, granice państwa. Ojca i dziada zwyciężkie wyprawy wskazały Assur-bani-palowi drogę do Elamu. On zaś rozpoczął od uprzejmości. Panował podówczas w Elamie Urtaki; stracił on był swego starszego brata Umanaldasa I-go z tronu, a dzieci jego pozbawił wszelkich praw. Przypadek był wtedy w tej ziemi wielki głód; Assur-bani-pal posłał znaczne zapasy żywności królowi Urtaki; chroniących się zaś Elamitów w Assyrii i Babilonii przez cały ten groźny czas żywił i do domów swobodnie odesłał. Niepomny na otrzymane dobrodziejstwa Urtaki rozpoczął wojnę napadem i spustoszeniem nadgranicznych okolic. Zwyciężony przez wojska assyryjskie poległ on z ręki młodszego brata Te-Ummana, który naśladując tylko w tym razie dany przykład, władzę zagarnął i synowców od wszystkich odsunął. „Te-Umman, jak zły duch, podaje kronika, zasiadł na tronie Urtaki. Uknuł był zdradliwy spisek, by pozbawić życia dzieci Urtaki i dzieci Ummanaldasa, brata Urtaki. Umanigas, Ummanippa, Tamaritu, synowie Urtaki, króla Elamu, synowie Ummanaldasa, poprzednika Urtaki, sześćdziesiąt osób z rodziny królewskiej, znaczny poczet łuczników i dzieci zrodzonych w Elam, wobec mordów Te-Ummana, uciekli (do mnie) i przyjęli jarzmo mojej władzy.“

Współczucie dla pozbawionych praw synów królewskich, litość ku prześladowanym „dzieciom Elamu,“ skłoniły króla Assyrii do wyprawy na Elam; co jak wnosić możemy z następnych słów kroniki, dokładnie przez Te-Ummana przewidzianém było: „W miesiącu Tamuz (lipcu) trzy dni widział on zaćmienie wschodzącego słońca.“ „Król ziemi Elam będzie pogwałcony,“ taka była niezmienna wyrocznia. Lecz on nie znał tych rzeczy, które Assur i Istar na zglubę jego gotowali i zebrał swoje wojsko.“

Tu spotykamy w kronikach króla Assur-bani-pala scenę dowodzącą, jak się zdaje, pewnej obawy i wahania się; bądź w skutek gotowości do walki Te-Ummana, bądź zaś w skutek tego, że to zaćmienie

słońca, które widział Te-Umman, widział również i Assur-bani-pal; czytamy bowiem: „W miesiącu Ab (sierpień), miesiącu poświęconym planecie Łucznikowi (Istar) w czasie uroczystości prześwietnej królowy, córki Bela, składałem ofiary w mieście Arba-ilu, w mieście drogiem jęj sercu. Wówczas gotowało się najście ludzi z Elamu, którzy wystąpili sprzeciwiając się woli bogów i powtarzali te słowa: „Te-Umman jest również jak Istar potężny.“ On zaś mówił: „Nie zatrzymam się, aż go zmuszę do wojny.“ W skutek tych groźb Te-Ummana udałem się do prześwietnej Istar, stanąłem przed jęj obliczem, padłem przed nią na kolana i w tych słowach wszechmoc jęj błagałem, by mnie ocaliła: „O królowo z Arba-ilu, oto ja Assur-bani-pal, utwór rąk twoich... (życiem obdarzony) bym odnawiał świątynie w Assyrii, ozdabiał miasta w ziemi Akkad. Twój obrządek wznowiłem we wszystkich świątyniach; sam jestem przejęty czią twoją. Oto Te-Umman, on, który nie czci wielkich bogów, idzie na mnie. O! ty, pani nad władzcami, grozo wojen, bogini bitw, królowo bogów; ty, która w obec Assura, ojca co cię stworzył, zawsze wstawiasz się za mną, by skłonić ku mnie serce jego i przejechać wielkiego Marduka! Oto Te-Umman, król Elamu, który grzeszył przeciwko Assurowi, królowi królów, ojcu co cię stworzył, gardził potęgą wspaniałego Marduka, twego brata, wówczas gdy ja, Assur-bani-pal, staram się tylko cieszyć serce Assura i Marduka, oto zebrał on wojowników swoich, przygotował się do bitwy, podniósł swój oręż by uderzyć na Assyryą. O ty, która bogów zwyciężasz, a tyle wśród bitwy możesz, obal go, zetrzyj go! Istar wysłuchała mojego błagania. „Nie lękaj się, odrzekła i radością serce moje napełniła; stosownie do modłów twoich, które czyniłeś podniósłszy ręce, oczy twoje ujrzą sąd mój. Udzielam ci mojej łaski.“

„Téjże nocy, opowiada dalej Assur-bani-pal w swęj kronice, nocy, w której ją wzywałem, *widzący* (prorok?) spał i miał sen proroczy. Wśród nocy zjawiła mu się Istar; o tém opowiadał mi w następnych słowach: Istar, która przebywa w Arba-ilu, stanęła przedemną. Na lewo i prawo otoczona była płomieniejącém światłem; w rękę trzymała łuk, znajdowała się zaś na swym rydwanie, jakby w gotowości do boju. Ty stałeś, o królu, przed jęj wspaniałém obliczem. Ona patrzyła na ciebie jak matka patrzy na dziecię; ona, Istar, największa wśród bogów uśmiechała się do ciebie i objawiła ci swoje postanowienie w tych słowach: „Idź najprzód, zdobywaj łupy; przestrzeń przed tobą otwarta! Wyruszę i ja także.“ Ty jęj odrzekłeś: „władczyni władców, czy mogę iść za tobą wszędzie, dokąd tylko ty idziesz?“ Ona zaś ci odpowiedziała: „Będę cię wspierać, pozostań w miejscu poświęconém bogowi Nebo; pożywaj w spokoju jadło twoje, pij wino, każ muzyce grać, chwal imię moje, aż powrócę i ziści się przepowiednia moja. Żądania serca twojego spełnię. Oblicze twoje nie poblednie, nogi twoje nie potkną się, ty nie przyćmisz swęj sławy wśród bitwy.“ W swęj życzliwości ku tobie, dodaje *widzący* ona cię wspiera a w zajadłości trwa ku tym, którzy nie chcą uleść tobie. Poprzedza ją zawsze strasz-

liwy ogień, niszczący nieprzyjacioly twoje i jednych podburzający na drugich. Ona się zwróci na Ta-Ummāna, króla Elamu, który jest nienawistnym pod jęj obliczem."

Pokrzepiony na duchu rozmyślaniami pobożnemi a widzeniami, wierząc w objawione słowa Istar, „które się nigdy nie zmieniają," ufny w pomoc bogów a w świętość sprawy, Assur-bani-pal staje na czele swoich wojsk i tak o swojej wyprawie opowiada: „Jak uragan przez ziemię Elam przeleciałem i wszystko opanowałem. On obrał pozycyą przy rzece Ułai; rozbiłem tam wojsko jego, napelniłem rzekę trupami żołnierzy jego; bardzo wielu wymordowałem; bardzo wielu żywcem pochwytiłem; ich kobiety jak strzały rozbiegły się na wszystkie strony. Przed oczyma zgromadzonego wojska odciąłem głowę Te-Ummānowi." A gdy się stało zadość sprawiedliwości, gdy Ummanigas, „który był przyjął jarzmo" osiadł na tronie ojca, a najmłodszy, Tamarytu, został wyniesiony na hołdownicze królestwo w mieście Khidalu, Assur-bani-pal poprzestaje na łupach, czytamy bowiem: „Zabrałem mojami rękami, z okolic miasta Suzy i z nad brzegów rzeki Ułai wozy wojenne, konie, muły, zaprzęgi i wszystkie przedmioty do wojny należące i poświęciłem wielkim bogom... opuściłem kraj Elam i zostawiłem część wojska dla zabrania łupów."

Wielce charakterystycznym jest następujący epizod. Stanowi on rodzaj epilogu w tym krwawym dramacie, gdzie na przemiany intryga i wyższe cele, cud i dzikość, przebiegłość i łupiestwo występują w czynnych rolach. Zdumiewa w nim *ton* opowiadania, wymownie świadczący o sposobie zapatrywania na bieg rzeczy ludzkich. Wtrącony jest jakby *mimochodem*; sam fakt zaś przedstawiony jako naturalny wynik, lecz czego? Czy nieuszanowania z jednej strony praw? Czy też niemożebności, z drugiej, położenia kresu rozbujanemu bezprawiu? „Powracając, zwróciłem się na Dunanu, króla ziemi Gambul. Był on oddany królowi Elamu, mojej zaś władzy niepodległy. W gwałtowném natarciu zburzyłem ziemię Gambul a jak uragan ogarnąłem ją. Zdobyłem miasto Sapibel, jedno z obronniejszych w kraju. Dunanu i brat jego byli wzięci żywcem; porwałem żonę jego, synów i córki, dworskie kobiety, niewolników i niewolnice; zabrałem ich jako zdobycz; również złoto i srebro, skarby i sprzęty jego pałacu. Zdobyłem miasto, zburzyłem je i w morze zwałem. Spustoszyłem kraj do ostatniego kawałka ziemi. Przeciąłem drogę do ucieczki jego mieszkańcom. Ludzi z ziemi Gambul, woły, owce, osły, konie i muły z ziemi Gambul zabrałem do ziemi Assura."

Im więcej wymagało rozwagi i przygotowań wyjścia na wojnę, tém powrót z niej, po tak pomyślném zakończeniu, był radośniejszy. „Niosłem w tryumfie, dodaje Assur-bani-pal, głowy Te-Ummāna i Dunanu. Do Ninua wszedłem z radością, otoczony tłumem przygrywających na muzycznych instrumentach niewolników, objuczony łupami z ziemi Gambul, łupami z ziemi Elam, które ziemie ramię moje na rozkaz Assura zdobyło. Z łaski Assura, Bela, Nabu, wielkich bogów



pokonałem a zmiadziłem nieprzyjacioly moje, do Ninua w pokoju wróciłem.”

Główniejsze wypadki i postacie z téj strasznej wojny były ciągle uprzytomnione oczom i pamięci w licznych płaskorzeźbach i stósownych napisach. Wzmianka o niektórych może dać pojęcie o dekoracyjnej sztuce u Assyryjczyków, a zarazem, zastosowaniu jéj do pewnych celów.

I tak: nad dwiema postaciami, z których jedna zraniona strzałą, druga zaś łuk naciąga, czytamy: „Te-Ummān głosem rozkazującym mówi do syna: wypuść twą strzałę.” Nad dwiema zaś innymi: „Te-umman, król ziemi Elamu, w strasznej bitwie widzi porażkę swego wojska. Ucieka, by ocalić życie, pierzcha. Tamaritu, syn starszy, bierze go za rękę i, by ocalić życie, ucieka przez las. Na rozkaz Assura i Istar obaliłem ich i uciąłem im głowy.”

Nad osobą umieszczoną na rydwanie, a w rękę głowę ludzką trzymającą, znajduje się napis: głowa Te-ummana, ucięta wśród bitwy w oczach wojska mojego; odesłałem ją jako znak dobrej nowiny do ziemi Assura.

Płaskorzeźba przedstawia wojownika ciężko zranionego, czołgającego się po ziemi. Napis objaśniający postawę i fakt kładzie mu w usta słowa, które możnaby wziąć za zaprawione gorzką ironią. Urtaku, szwagier Te-Ummāna, jest zraniony strzałą, by prędzej zakończyć życie, temi słowy zwraca się do syna ziemi Assura: „poddaję się, utnij mi głowę i odeszlij królowi swemu panu; przyjmie to za dobrą wróżbę.”

Daléj widzimy miasto burzone przez wojsko; jeden oddział łupy porywa. Napis, zagładzając wady artysty i sztuki, przybywa w pomoc z nieodzowném objaśnieniem zaciekawionemu widzowi. „Napałem na miasto Kamanu, jedną ze stolic ziemi Elam, obległem to miasto, zdobyłem je, zniszczyłem, na ogień oddałem.”

Lub, nakoniec, wojownik odbiera hołdy. Napis wyklada znaczenie: „Ummanigas, tułacz, mój służebnik przyjął moje jarzmo. Na mój rozkaz, mój wódz wprowadził go do miasta Madaktu i do miasta Jakan wśród wielkich uroczystości, następnie posadził go na tronie Te-Ummāna, który był schwymany mojami rękami.”

Podane tu wypadki poprzedzały wystąpienie Salummu-kina w zmwowie i przymierzu z wielu narodami, przeciwko władzy Assur-bani-pala. Wystąpienie to, wojnę z Elamem odnowiło.

Jarzmo, które był przyjął, ciążyło mocno Ummanigasowi; dawna polityka nienawiści i oporu zwyciężyła. Wyprawił był on wojsko na pomoc „buntownicemu, jak wiemy, bratu” monarchy assyryjskiego. Ta okoliczność postawiła go w niemocy przed ciosami wewnętrznych intryg i zaburzeń, na czele których stanął własny syn Tamaritu. Późniejsze tego ostatniego dobre stosunki z Assur-bani-palem każą poniekąd domyślać się w nim położonych pewnych zasług dla Assyrii; przeto mógł on działać jak narzędzie obcej ręki. Jak ojciec Ummanigasa

z rąk swego brata, jak stryj jego z rąk jego ojca, tak też on ginie z rąk syna. Niechybnie, wewnętrzne te zamieszki sprzymierzonego z Chaldeą Elamu skutecznie wpłynęły na przechylenie się szali zwycięstwa ku stronie Assur-bani-pala. Ojcobójczy, wszelako wierny narodowej sprawie, lub też tylko porwany jej prądem, Tamaritu spieszy na odsiecz obleżonym przez Assyryjczyków chaldejskim miastom; lecz skutku dla sprawy nie przyniosło żadnego jego wystąpienie, albowiem, opowiada Assur-bani-pal, „zaniostem błagania do Assura i Istar; przyjęli oni moje modły, wysłuchali słów ust moich. Indabigas, służebnik jego, powstał przeciwko niemu i pokonał go na polu walki.” Przytęm znajdujemy wzmiankę o dalszym losie zdradzonego króla. „Tamaritu, jego bracia, potomkowie domu ojca jego z 85-ciu książętami uciekli przed Indabigasem i schronili się do Ninua. Ja, Assur-bani-pal, pan wspańskiego serca... przebaczyłem Tamaritu i przyjąłem go, jego i potomków z rodziny jego ojca w swoim pałacu. Tamaritu ucałował moje królewskie nogi, pokrył głowę swoją prochem z pod stóp moich. Z rozkazu Assura i Istar poddał się woli mojej, stawał przedemną i wynosił potęgę najwyższą bogów, którzy przybyli na pomoc moje.”

Zdrajca Indabigas w skutek zapewne tajemnych zobowiązań się, a przytęm widząc w otoczeniu Assur-bani-pala, który w ten sposób miał środek na niego, Tamaritu, dawnego swego a przez się zdradzonego pana, nie przyjął już czynnego udziału w wojnie chaldejskiej. Nie mogąc atoli ostatecznie spraw swego narodu zaniedbać i działać w brew interesom jego, dał schronienie znakomitszym chaldejskim wychodźcom. Assur-bani-pal zażądał wydania ich. Indabigas odmawiał ciągle; wojna już miała wybuchnąć, gdy tymczasem został zamordowany przez Ummanaldasa, dowódcę wojsk suzańskich, który też zasiadł na tronie. Czy zdradzając Ummanaldasa, czy też chcąc skorzystać z wewnętrznych zamieszek, Assur-bani-pal wchodzi z wojskiem do Elamu, prowadząc z sobą Tamaritu, „który stawał” przed nim. Nowy król ucieka w góry; Tamaritu zostaje jako hołdownik osadzony na tronie. Lecz wkrótce, według słów kroniki, „odrzucił dobrodziejstwa moje i pomoc okazywaną mu, zaczął knować wiarołomne spiski w celu pozbycia się wojsk moich; w swoim sercu tak mawiać począł: naród Elamu jest wydany na łup ziemi Assura.” Tamaritu został atoli wkrótce zdradzonym i wydanym w ręce Assur-bani-pala.

Postępek ten Tamaritu oddał znów cały kraj w ręce Ummanaldasa. Nowa przeto wyprawa została przedsięwziętą. Wojsko potęgą Ummanaldasa, udowodnioną w długim oporze, przestraszone wzmocniła Istar z Arba-ilu. Ukazawszy się bowiem wśród obozu w nocy, następane wyrzekła słowa: „zawsze poprzędzam króla Assur-bani-pala, którego własnymi utworzyłam rękami.”

Zdobywszy kilkanaście „miast królewskich” i niezliczoną ilość mniejszych, zagarnąwszy wszystkie bądź zależne od Elamu, bądź sąsiednie z nim ziemie, spustoszywszy kraj cały, wymordowawszy mieszkańców jego, Assur-bani-pal zabrał się do bogów Elamu. „Porwałem



Suzinaka, opowiada, boga zamieszkującego lasy, boskiego oblicza którego nikt nie był jeszcze widział; porwałem bogów Sunudu, Lagamaru (wylicza kilkunastu); porwałem wszystkich tych bogów i boginie wraz z bogactwami, skarbami i drogo cennymi naczyniami należącymi do nich, z kapłanami i czcicielami ich, i wysłałem do ziemi Assura. Bogów tych i boginie do niewoli wtrąciłem... Lasy bogów, gdzie noga jeszcze ludzka nie była stanęła, granic których nie była jeszcze dotknęła żadna stopa, moi żołnierze przebiegali i, podziwiając wspaniałość, palili. Miejsca gdzie składali ofiary królowie Elamu, dawniejsi i nowsi, królowie w których nie było bojaźni Assura i Istar, moich władców i którzy nie wypełniali rozkazów królów, moich ojców, ja zniosłem, zniszczyłem, spaliłem; kapłanów tych miejsc wyprawiłem do ziemi Assura; wierzących zostawiłem bez ołtarzy, wysuszyłem źródła święte"... I kończy opis temi słowy: „przez cały miesiąc i dwa-dzieścia pięć dni niszczyłem kraj Elam, rozsiewałem po nim spustoszenie, niewolę i głód... Pozostał proch z miasta Suzan, z miasta Madaktu (drugiej stolicy), z miasta Haltemas i ze wszystkich innych ich miast; wszystko zabrałem do ziemi Assura.. Bogom moim poświęciłem przednią część z łupów zabranych z ziemi Elam... Przechód ludzi, pędzenie wołów i owiec zniszczyło latorośle drzew i trawę; dzikim bestyom, zwierzom z pustyni a gazellom rozpleniać się dozwoliłem... Po mojem królestwie rozsiałem wojowników, łuczników, żołnierzy, których z ziemi Elam porwałem. Resztę nieszkafców jak stado owiec pognałem do miast, gdzie przezywają moi bogowie, mieszkają urzędnicy, naczelnicy wojenni i dowódcy...” Ummanaldas wszelako w górach trzymał się jeszcze; twierdzi więc: „ścigałem go aż w górach, miejscu jego schronienia; jak ptak zdobycz swoją, takem ja schwytał jego... odesłałem żywego do ziemi Assura... pozostali zaś obrońcy jego zbiegli ze szczytów gór i przyjęli moje jarzmo.”

Wyprawa na południe, iż pominię wyprawę na kraj Minni (kraj na wschód Assyrii), wyprawa do Arabii ze wszystkimi, znanymi już nam poniekąd z przytoczonych ustępów kroniki króla assyryjskiego, następstwami zaborczej a łupieskiej wojny, zamyka szereg zwycięstw i podbić Assur-bani-pala. Zabór tego kraju dokonywa tego dzieła.

Assur-bani-pal przeto, ów „lew,” do niego albowiem możemy zastosować obrazowe porównanie izraelskiego proroka, wypowiedziane w rzeczy o Assyrii i jej monarchach, „który dostatkami chwycił łwiąt swoim swoim i zaduszał dla lwic swoich, który napędniał łupem jaskinie swoje, a obłowem łóżyska swoje” (Nahum, II. 12) ujrzał cały ówczesny świat dziejowy, a głównie narody stanowiące szczerp semicki, leżące u swoich stóp. I „oto Assur był jako cedr na Libanie, mówi znów inny prorok, pięknych gałęzi a szeroko cień podawający i wysokiego wzrostu. Na gałęziach jego czyniło gniazda wszelkie ptastwo niebieskie, a pod latoroślami jego mnożyły się wszelkie zwierzęta polne, i pod cieniem jego siadali wszyscy narodowie zaci.” (Ezechiel, XXX, 3. 6.). Wszystkie ludy mówiące językami wspólnego pochodzenia zna-



lazły się w obrębie jednego państwa. Ta okoliczność dostarczyła im pewnych korzyści; mogły łatwiej porozumiewać się z pobratymcami zrozumialszą mową; aczkolwiek, wprawdzie, porozumiewać się mową już nie potrzebowali, stan rzeczy bowiem jeszcze prościejszy sposób porozumienia się im wskazał: jęk, rozumiwały nawet dla psa, kły, dla głuchego. Wszystkie ludy, aczkolwiek nie wspólnego z sobą nie mające w przeszłości, w teraźniejszości zaś tylko nienawiścią ku sobie a sztucznym stosunkiem, wytworzonym politycznym stanem, złączone, podległy jednemu berłu. Byli to przypadek czy też świadomy siebie cel polityczny, polityczny eksperyment czy też fantazja, trudno dziś odgadnąć. Jakiemi ofiarami to wszystko było okupione, widzieliśmy; jak długo miały te ludy zapewnione sobie te wszystkie korzyści, jak długo trwała owa świetność Assyrii, dokładnie nie wiemy.

Pochodzi to stąd, że źródła assyryjskie już się przerywają, nie-dostarczwszy nawet dokładnej wskazówki co do długości panowania Assur-bani-pala. Ostatnim w chronologicznym porządku jest następny znaleziony w Kalah, napis syna jego: „Ja Assur-idil-ili, król zastępów, król ziemi Assura, syn Assur-bani-pala, króla zastępów, króla Assyrii; rozkazałem wyrabiać cegłę dla zbudowania Bit-Zida (nazwa pałacu) w mieście Kalah, w celu przedłużenia dni moich.“

Niepodlegające wątpliwości fakta historyczne dowodzą, że pod koniec VII wieku (przed Chr.) Assyria, jako wielkie i niezależne państwo, nie istniała już. Z trzech stron padły na nią gromy: hordy dzikich Scytów, z dziesiątek lat wędrując w granicach jój posiadłości, opustoszyły ziemię Assura; połączone zaś sily Medów i Chaldei ostateczny jój cios zadały <sup>1)</sup>.

Cios był stanowczy, trafnie wymierzony a od serca zadany. Wszakże tak dalece doniosłe przewroty polityczne, które zmieniły kartę ówczesnego dziejowego świata, środek ciężkości państw przeniosły do Babilonu, na widownię zaś historyczną nowy naród, nowe plemię wprowadziły, wymagać musiały pewnego przeciągu czasu, by się dokonać mogły. Jeżeli przeto przyjmujemy liczbę lat (42) panowania Assur-bani-pala podawaną przez Smitha, to jeszcze za dni tego monarchy miało miejsce owe groźne najście Scytów; wojna zaś z Medami i Chaldeą niechybnie rozpocząć się już musiała. Przytém, sam fakt wznoszenia pałacu przez następcę i syna Assur-bani-pala i głoszenia się królem „zastępów” i Assyrii wymownie świadczy o ciągnącym się jeszcze, przynajmniej czas jakiś, politycznym żywocie kraju.

Upadek Assyrii był szybki, aczkolwiek konanie mogło być długie; nie wywołał żadnego oporu, żadnych patryotycznych dążeń do wskrzeszenia minionej wielkości, nie dostarczył żadnych dowodów sił żywotnych narodu; lecz owszem, pociągnął za sobą prawie natychmiastową zagładę wszelkich śladów istnienia. Upadek ten przeto, jak wnosić możemy, był ściśle konsekwentnym wynikiem stanu rzeczy, zgoto-

<sup>1)</sup> Maspero, w dziele wspomnioném (Hist. A.) podaje rok 625, jako rok upadku Niniwy, str. 477.

wanego Assyrii polityką jój monarchów, ich rządami. Byli oni bowiem w owe odległe czasy jeszcze jedynymi przedstawicielami narodów; byli oni zarazem władzcami narodu i bohaterami jego.

Ta polityka, ten stan rzeczy do upadku bez nadziei powstania wiodący, nie uszedł bacznosci proroków hebrajskich, tych pierwszych naszych polityków i moralistów. Jeden z nich woła: „Niemasz lekarstwa na ranę twoją, nieuleczona jest plaga twoja. Wszystkie twierdze twoje są jako drzewo figowe z owocem rychłym, którym gdy kto zatrząśnie, zaraz wpadają w usta tego, co jeść chce. Nieprzyjaciołom twoim szeroko będą otworzone bramy ziemi twojej, a ogień pożre zawory twoje. Obfitość ludu twego będzie po górach, ale nie będzie, kto by go zgromadził (Nahum III).

Trafność przytoczonych słów jest wielka. Jak się mogli bronić od nieprzyjaciół, w obronie zagrożonej ojczyzny „jak jeden mąż“ stanąć ci, wśród których, jak się wyraża Assur-bani-pal „rozsiałem wojowników, łuczników, żołnierzy,“ ze wszech stron do niewoli zabranych, przytém „mieszkańców jak stado owiec napędzonych“ z obcych krajów? Czy poczucie obywatelskich powinności, obowiązek bronienia kraju, mogły przemówić do tych, dla których ta ziemia była tylko ziemią wygnania? Przypomnijmy sobie losy Samaryi, Elamu, odtwórzmy obraz radości żydów na wieść o zbliżaniu się i zwycięztwach Cyrusa.

Upadek Assyrii, jak każdy wielki przewrót dziejowy, wywołał pewny ruch myśli, łańcuch sądów, dociekań, porównań; a przytém, jak w tym wypadku, wlał radość w serca i otuchę... Liczne ślady tego znajdujemy w hebrajskich prorokach, współczesnym tym przewrotom, świadkach jego, a jedyném, jak dotychczas przynajmniej, historycznym źródle. Czytamy bowiem: „Tak mówi panujący Jehowa: dla bezbożności jego odrzuciłem go, podałem go w ręce najmocniejszego, z narodów, aby się z nim srogo obchodził. Od grzmotu upadku jego zatrzwożyłem narody: gdym go wepchnął do grobu... ucieszyły się wszystkie drzewa Eden i co jest najwyborniejszego i najlepszego na Libanie (Ezechiel, XXXI).“ „Wszyscy ci, którzy powieść o tobie usłyszą, klaskać będą rękoma nad tobą, bo na kogóż ustawicznie nie przychodziło okrucieństwo twoje? Gdzież jaskinia lwów i pastwisko lwiat? Miasto krwawe, wszystko kłamstwa i łupieztwa pełne, a zdzierstwo z którego nie wychodzi? Rozkoszna nierządnicą, która zaprzedawała narody wszeteceństwem swemi (Nahum II, III).“

Upadek Assyrii jako państwa, pociągnął za sobą upadek i zburzenie owej, „jako słońce wspaniałej“ Niniwy. „I będą trzody legaty pośredku Niniwe i wszystek zwierz narodów i pelikan i sowa na gąłkach jego przebywać będą, głos ptastwa w oknach słyszany będzie, podwoje jego spustoszeją, gdy cedrowe listwowanie jego odedrą.“ Znajdujemy w księgach Sofoniasza (Sof. III), jak również i tę wymowną wzmiankę o wrażeniu a myślach wywołanych znikomością rzeczy ludzkich: „Jakoć się stało spustoszeniem jaskinią zwierzowi! Każdy przechodzący przez nie zaśwista i kiwać będzie ręką swoją.“

Padło zaborcze państwo, znikł i łupieżki naród: „A tak wyglądali go cudzoziemcy najśroźsi z narodów i porzucili go; na obaleniu jego mieszka wszelkie ptastwo niebieskie, zwierzę polny. I ci z nim zstąpili do grobu, do pobitych mieczem, którzy byli ramieniem jego i którzy siadali w cieniu jego w pośrodku narodów (Ezechiel XXXI).”

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

*Legenda wieków*, przez Wiktora Hugo: nowa serya, dwa tomy: *Tytan*; *Termopile*; *Kasandra*; *Attyla*; *Cyd z Biwaru*; *Ojcowstwo*; *Król Perski*; *Bitwa na cmentarzu w Eylau*; *Cuda świata*; *Epopoea robaka*; *Poeta*.—Ustęp z historii Węgier: *Monografia Zrynich*, przez p. de la Tour *Leonidas Węgierski*.—Konkurs Igrzysk Kwiatowych w Tuluzie.—Kolekcya Gazety z r. 1609, odkryta w Bibliotece Hejdelbergskiej.—*Les exilés* (Wygnańcy), melodramat p. Nus, z powieści księcia Lubomirskiego.—Raport z Aten o odkryciach Schliemana.—Koncerta pana Sowińskiego i panny Amelii Majdrowicz.

W świecie literackim najważniejszym wypadkiem tegorocznym, jest ukazanie się nowej seryi *Legendy wieków* Wiktora Hugo. Imię siedmdziesięcio-pięcio-letniego poety, przebiega dziś z ust do ust: wszystkie pisma i przeglądy, jednogłośnie chorem wygłaszają chwałę tego wielkiego geniuszu, który jednakim blaskiem przyświeca dziś Francji, jak jój zaświecił przed sześćdziesięciu laty. Zjawisko to prawdziwie wyjątkowe. Ani burzliwe koleje żywota, ani dwudziestoletni pobyt w pośród obcych, ani strata małżonki i trojga dorosłych dzieci, tak drogich sercu poety, ani klęski ziemi ojczyzny, nie zdołały wstrzymać tego orła, w polotach jego ku słonecznym wyżynom ideału.

Wiktor Hugo, starzec ze śnieżnym włosem, z czołem zoranem w bruzdy, nie mniej potężny dziś jak był w epoce przełomu romantycznego, kiedy podniósł tryumfalnie swój sztandar nad konającym klasycyzmem. Szkoła jego runęła. Z odłamów jój, nowi koryfeusz zbudowali świątynię na cześć ziemi; sam tylko mistrz, nie porwany prądem realizmu, podąży śmiało naprzód obraną drogą, na której nikt nie zdołał go wyprzedzić.

Korzymy czoło przed blaskiem geniuszu Wiktora Hugo; nie idzie zatem, żeby ów Tytan, miał być dla nas najwyższym wyrazem piękna,



dobra i prawdy. Ubolewamy szczerze nad obłędem tak potężnego ducha; ze zgrozą i przerażeniem czytamy wśród tych cudnych utworów, słowa podsycane jadem nienawiści, napiętnowane szaloną pychą. Nie mając jednak pretensyi do pisania krytycznego rozbioru, postanowiliśmy przemilczeć o tém wszystkiém, co mogło obrazić uczucia i przekonania nasze, a pragniemy jedynie zwrócić uwagę na piękną stronę nieporównanych poematów, składających nową *Legendę wieku*.

Poeta we wstępie określa znaczenie księgi swojej; wypowiada, żkąd brał wątek do tych obrazów, ciemnych jak noc, „rozjaśnionych zaledwie słabym brzaskiem przedświt.“ Z nieśmiałością pozwalamy sobie dać w przekładzie ten ustęp, równie jak kilka innych w dalszej kolei sprawozdania. Wiemy, że siły nasze nie pozwalają nam mierzyć się z takim olbrzymem jak Wiktor Hugo, liczymy jednak na po-  
błazanie czytelników. Oto zakończenie pieśni wstępnej:

Czémże jest ona księga, której każde słowo  
 Technie przeszłością, otchłanią i nocą grobową?  
 To gruz odwiecznych podań, co w chwili przewrotów,  
 Pod naciskiem rzucanych ręką Bożą grotów,  
 Skrył ziemię, gdy się do dna wstrząsły jój posady;  
 Gruz oświecon zaledwie brzaskiem jutrzni bladój!  
 To zrąb, wysiłkiem wieków podźwignion ku górze,  
 Pełen cieniu, lecz skąpan w idei lazurzel!  
 To wielki gmach, a raczej kostnica straszliwa,  
 Powalona wichrami, kędy śmierć przebywa;  
 Gdzie zaledwie chwilowo w pomroku mgły sinój,  
 Leciuchno jak promyczek, lub skrzydło ptaszyny,  
 Wolność obok nadziei na dachu przysiędział  
 To zwał, gdzie przez spiętrzone rumowisk krawędzie  
 Żmija bluzgając jadem, głucho się prześlizga;  
 Gdzie smok wiecznie zgłodniały szuka legowiska,  
 Gdzie czarna gnije chmura nim ku słońcu wzbieży:  
 Ta księga, to okrucha strasznej Babel wieży,  
 Dźwigniętej ludzką pychą! to pomnik on stary  
 Zła i dobra, żałoby i łez i ofiary!  
 Gmach, co niegdyś widnokrag emił olbrzymiem czołem;  
 Dziś zgliszczozę zasypane pożarnym popiołem,  
 Sterczące tajemniczo z czarnej nocy łona:  
 To ludzka epopea w gruzy powalona!

Po takim wstępie, poeta rozpoczyna *Legendę* szeregiem mitycznych obrazów, do których bierze wzory z teogonii indyjskiej i greckiej. Poemat *Tytan* należy do najpiękniejszych w całym zbiorze. Język poety, jak słusznie powiedziano, spełnia tu herkulesowe prace, godne szamoczącego się w łonie ziemi olbrzyma. Bohatér poematu Ftos, to jeden z pokonanych Tytanów, w Gigantomachii tesalskiej. Bogowie związali go sznurem spiżowym, i zamurowali we wnętrzu olimpijskiej

góry. Ale Etos nieśmiertelny: żyć mu nie wolno, umrzeć jednak nie może. Długo spoczywa bezsilny; wreszcie wybiła dlań godzina. Olbrzym pieni się z gniewu, oblicza siły własne:

Jakto? rzeka się toczy wśród zawał tysiąca!  
 Piskłę dziobkiem skorupę z pod jajka roztrąca!  
 Wiatr zbiega, choć grom jasny w ślad za nim uderzy,  
 Wilk sunie przed pogonią kundłów i pasterzy!  
 Szczur przegryza pułapkę! a Etos, który z łona  
 Wściekłejby żygnął lawą, niż Etna szalona,  
 On Tytan, ma znieść obręcz, co mu barki gnicie?  
 Oh, nie! wyprężył członki; chrzęsły kości w grzbiecie,  
 Szamocze się piekielnie: obręcz nie wytrzyma!  
 Co mooniejsze, spiż bogów, czy ramię olbrzyma?  
 Aż pod wściekłym wysiłkiem...

Oh! brzasku różowy!  
 Gdy drgną promieniem twoim zbudzone dąbrowy:  
 Ich poszmer nie tak słodki, jak on szczęk łańcucha,  
 Gdy pryśnie, i z uścisku wyswobodzi ducha!  
 Obręcz pękła na dwoje: pod opoki bryłą  
 Wielkie ciało Tytana zwolna się ruszyło,  
 Z piersi mu wybiegł okrzyk, istny piorun z chmury:  
 On wolny!...

Oh, nie! jeszcze całe brzemień góry  
 Cięży nad nim, spiż prysnął, lecz Tytan nad głową  
 Czuje olbrzymią jeszcze płytę granitową.  
 I czémże góra temu, kto stargał kajdany?  
 On ujdzie, choćby skruszyć miał piekielne ściany.  
 On zbiegnie w otchłań czarnym okrytą pomrokiem,  
 Niezmierzone odmęty przebrnie śmiałym krokiem;  
 Pod nim bezdenna przepaść, nad nim skał urwiska.

Wnurzył w skałę paznokcie: wnet opoka pryska,  
 Oburącz wielki kamień pochwycił jak w kleszcze:  
 Wyrwał go, potem drugi... ach! tyleż ich jeszcze!  
 Odwalił wreszcie otwór z szalonym wysiłkiem,  
 Wcisną się na półzgięty, aż wypelza chyłkiem...  
 Widzi próżnię okropną... jaka ciska głucha!  
 Noc, zgroza, wkrąg omentarna zgnilizna wybucha.  
 Wchodzi... nad nim sklepienie straszliwej pieczary;  
 Mknie jak wąż, po omacku dłoń przytknął do szpary;  
 Żyłastemi pięściami rozsądzi dwie bryły,  
 Skręcone drzew korzenie do skał się wszczepiły;  
 Zszarpał je... naprzód!... naprzód z trudem się przeciska,  
 Brodzi przez wód podziemnych świeże zdrojowiska,  
 Rozpiera się szalenie łokciami i piętą,  
 Naprzód, niezmordowany kroczy przez odmęty.

Ciężkim głazem grobowym przywalony górą,  
 Kruszy skały, granity odmiata jak pióro,  
 Aż sięgnął w końcu czołem do groźnej powaly,  
 Z której Olymp w obłoki dźwiga grzbiet wspaniały.  
 Niekiedy krok zatrzyma, i słyszy... tam w górze  
 Śmiech bogów się rozlega po modrym lazurze,  
 A ziemia drży z boleści i pocieka łzami!

Ftos przebił wreszcie głową skorupę ziemi, przez wyłom spogląda w nieskończoność. Widzi nad sobą miliony słońc, miryady światów krążące w lazurowej przestrzeni.

I stoi osłupiały, bo z niebiosów szczytu,  
 W miejscu, gdzie z zmrokiem nocnym zlał się brzask przedświtu,  
 Z pośród mgły, co widnokrąg zaściela szeroko,  
 Zobaczył w cieniu... wielkie, promieniste oko!

Bogowie weselą się wśród szalonej biesiady... I oto nagle Tytan, potarzan cały w błocie chaosu, jednym poskokiem dopada szczytu góry, zatapia wzrok w oblicze gromowładcy, i woła strasznym głosem:

Drżycie Olympianie! bo jest Bóg nad wami!

Po mytycznym cyklu Tytanów, następuje okres legend helleńskich. Tu Grecya okazuje się w pełnym blasku młodzieńczej chwały. W pięknym poemacie p. t. *Les trois cents* (Trzystu), widzimy Kserksesa prowadzącego za sobą nieprzeliczone ludy. Poeta na wzór Homera w Iliadzie, wylicza rozmaite plemiona, z których nie jedno zatraciło dziś dawne imię, a jednak nie postradało charakterystycznej swęj cechy. Jednym rzutem pióra uwydatnia je Hugo najwierniej; przewodnikiem jego Herodot:

Różne ich obyczaje: naprzód idą Scyty,  
 Burzyciele Zachodu, lud mordów nie syty:  
 Idą nadzy. Makrowie zdążają za nimi,  
 Głowy ich miast szyszaków strojne lby końskimi,  
 Dwoje kosmatych uszu sterczy im u skroni;  
 Dalej w tygryśich butach kroczą Paflagoni;  
 Daki, których król budę z gliny ma zlepioną,  
 Przez pół pomalowani biało i czerwono.  
 Dalej, przy huku bębnów, wśród wojennej wrzawy,  
 Podąża z czarną twarzą Etyop kędzierzawy.  
 Dalej Bersy, w turbanach zielonych na głowie,  
 Z długimi na stóp dziesięć włóczniami Trakowie,  
 Za wyroczni marsowej wieszczym idą głosem.  
 Nie policzyć Saspirów z przyplaszczonym nosem,  
 I Ligów, co w plugawęj kąpią się kałuży.  
 Dalej Saków i Mików i Partów tłum duży,



Dadyki od perskiego morza idą brzegów,  
 Na czole mają wieńce splecione z wareghów.  
 Kaspiowie w kozich skórach zgorzali na słońcu,  
 Niosą długie dziuryty przypalone w końcu.

Jakby woda w kotlisku woiąż powódź się wzdyma,  
 Chmary idą a idą, i któż im dotrzyma?  
 Ci ze stepów azyjskich, ci z pustyni Afryki:  
 Idą Sardy, zuchwali pogromce Korayki,  
 Moskowie z twarzą skłóta, w szlykach z twardej kory,  
 Tłoczą się kupy Getów strasznych jak potwory.  
 Zdążają Baktryany: mag Hystar ich strzeże,  
 Tybaryny z żórawich piór niosą puklerze.  
 Lybsey, Negry z puszczy leśnych brzęczą w turze rogi,  
 Abrody istne dyabły nie ustąpią z drogi,  
 Zbrojni w łuki palmowe i kamienne spisy;  
 Syryjczycy okuci w drewniane kirysy.

Wtém zabrękiły ligawki i śpiewne fujary,  
 Górali abisyńskich gromadzą się chmary;  
 Pędzą tabuny źreboów gwarliwie Numidy  
 Z kraju, kędy olbrzymie sterczą piramidy;  
 Kroczą Lidye w szyszak przybrani miedziany,  
 A dalej jasnowłose śpieszą Milijany.  
 Ludy wielce przezorne: ta strona w nich znana,  
 Że nigdy nie obrażą Boga, ni szatana.

\* \* \* \* \*  
 Żartko podąza naprzód za plemieniem plemię,  
 A król Kserkaes na wozie swym siedzi i drzémie;  
 Pyszny on, nieprzystępny... jego myśl ukryta.  
 Ziéwnie... „która godzina?“ niekiedy zapyta.  
 Arbatan, stryj królewski, mąż ówiczony w słowie:  
 — „Potężny synu bogów, z pokłonem odpowie,  
 Ty, co w mocy troiste dzierzysz Ekbatany,  
 Gdzie płyną rzeki święte, obrosłe w platany;  
 Słońce krąży wysoko, płomień bucha z nieba:  
 Śpij jeszcze, wielki królu, spoczynku ci trzeba.  
 Mnie obliczyć za ciebie one zbrojne chmary,  
 Co niby orłów stada zaległy obszary.  
 Śpij, panie!“ I król Kserkaes przymrużył znów oczy,  
 Wielki wóz hebanowy wartko się potoczy.  
 Stryj królewski w pochodzie sam oblicza siły,  
 Tyleż ich, że w dniu jednym Skamander wypity;  
 Gdzie pomkną, dym pożarów, ziemia od krwi śliska,  
 Za nimi z pysznych grodów sterczą rumowiska!

Nakoniec, pomiędzy Sestą a Medytą, król rozkazuje rzucić most  
 na cieśninie. Morze, po raz pierwszy ujarzmione, pieni się i żywa.

Simum przybiega mu w pomoc: dmie wściekle, druzgocze arkady, powala je na dno oceanu. Kserkses miotany gniewem, poprzysiągł zemstę rozhukanym żywiołom. Wzrok piorunujący utkwił w morze, woła w gwałtowném uniesieniu:

„Jam tu pan! wnet poskromię twą butę szaloną!“  
 I wytnie trzysta biczów w oceanu łono;  
 Każdy pocisk w dumnego ugodził Neptuna.  
 A bóg zakipi gniewem, i oto Fortuna  
 Wiecznie z nim sprzymierzona, z błękitu przybieży,  
 Z trzystu razów, wnet trzystu powstało żołnierzy;  
 I powstał Leonidas z prawicą szeroką:  
 Kserkses ich w Termopilach spotkał oko w oko.

W tym poemacie Wiktor Hugo stworzył myt, godzien zaprawdę stanąć obok najpiękniejszych mytów greckich.

W innym obrazie: *Ciesznina Eurypu*, Temistokles w przeddzień tryumfu pod Salaminą, uczestniczy w obradzie wodzów i kapłanów.

Trwożliwi pragną czekać: waży się narada,  
 A z pod powiek ojczyzny łza gorąca spada.

Augurowie przerażeni, w trzewiach ofiar złowrogie widzą znaki. Ale bohater zrywa się do zapasu. I on widzi niebezpieczeństwo, a przecież nie cofnie się na krok: dusza ojczyzny drga w każdym jego słowie.

„Walczmy!“ woła bohater, na odgłos téj wieści,  
 Wiatr flagami okrętów nagle zaszeleści;  
 W dwa dni potém, gdy zorza świat rumieni z lekka,  
 Rzekły słońca bieguny: „tam Kaerkses ucieka!“

W innym znów dramatycznym obrazku, widzimy Kasandrę, przywiezioną jako brankę przed pałac zwyciężkich Atrydów. Milczenie córki Pryamowej, wymowniejsze nad pioruny przekleństwa. Przytaczamy cały ten poemacik.

*Argos, dziedziniec przed pałacem.*

*Kasandra na wozie, Klitemnestra, Chór.*

*C h ó r.*

Ona córą królewską. Jój miasto zgorzało,  
 To jój wóz, ona siłą przyrosła doń całą.  
 Żadne słowo nie zbiegło z ust branki ponuręj,  
 Nad śnieg z wyżyn tulijskich, nad Syrty marmury  
 Zimniejszy lód, jój serce zamroził dziewicze;  
 Duchem zbiega przyszłości drogi tajemnicze.  
 Bóg milczący a groźny przepętnia jój łono,  
 Apolo, który wstrząsał przed wieki Dodoną,

A gdy lirę potrącał, mury Tebów drżały,  
 Wieszczyz światła płomieniem podsycą jój szaty.  
 Myślą przyszłych zapasów ogarnęła pole,  
 Żar pomsty na jój bladém już połyska czole.  
 To kapłanka, ta wieszczka z płomienną żrenicą,  
 Dziwneż losu koleje!... ona niewolnicą!  
 Siedzieć na złotym wozie, jój, królewskiej dziewie!  
 A ta nikczemna tłuszcza, co w bezmyślnym gniewie!  
 Pcha żelazne dziiryty w bosc jeńców nogi,  
 Rażona jój milczeniem, cała drży od trwogi.

*Klitemnestra.*

Niewiasto! zsiądźże z wozu, piechotę iść tobie.

*Chór.*

Zsiądź z wozu, to królowa! opór nie na dobie.

*Klitemnestra.*

U drzwi mego pałacu daremnoż-bym stała?  
 Śpiesz się... nim król nadjedzie, zsiądź branko zuchwała!  
 Jeśli tobie niezuane, mowy naszej dźwięki,  
 Odpowiedz mi oczyna lub skinieniem ręki.  
 W tym, coś go porzuciła barbarzyńskim kraju,  
 Taki sposób rozmowy, może w obyczajaju.

*Chór.*

Słowaby jój zdradziły duszy tajemnicę!  
 Kiedy na tę królewską patrzymy dziewicę  
 Rzekłby kto, że dzikiego ujęliśmy zwierza!

*Klitemnestra.*

Milczmy, jeszcze z krwi rana nie ociekła świeża.  
 Żałośna, nad pogodną niegdyś duma Troją!  
 Lecz wargi jój do uzdy rychło się przyswoją:  
 Nie długo krwawa piana pryskać z nich już będzie.

*Chór.*

Zsiądź z wozu, próżny opór, miej los twój na względzie!  
 Daj nogę okuć w pęta!... czyż więzy tak bołą?

*Kassandra.*

Nieba! wielcy bogowie! ratunku! Apolo!

*Apolo (ukazując się).*

Jam tu!... żyj!... wnet nad Argos ujrzy oko twoje,  
 Płomień z onych popiołów co pożarły Troję!



Inny znów dramatyczny obrazek, ma tytuł: *Pomoc dana Marżorynowi*, dążącemu do władzy cesarów. Całe dzieje najazdu barbarzyńców na Rzym, streszczone w tym krótkim dyalogu, który tu powtarzamy.

*Germania. — Las. — Zmierzch wieczorny. — Obóz. — Marżoryn po przedzie legionów. — Wielka śma ludzi w oddaleniu.*

*Człowiek z pomiędzy hordy.*

Chcesz wsparcia Marżorynie? my pomoc ci damy.

*Marżoryn.*

Kto tam?

*Człowiek.*

Ocean ludzi kołacze w twe bramy.

*Marżoryn.*

Ludu, kto twoim wodzem?

*Człowiek.*

Wódz zwie się gromada.

*Marżoryn.*

Masz tyranów?

*Człowiek.*

Pragnienie i głód nami włada.

*Marżoryn.*

Kto wy?

*Człowiek.*

My przednią strażą piorunów i cieni.

*Marżoryn.*

Wasz kraj?

*Człowiek.*

Noc...

*Marżoryn.*

Wasze imię?

*Człowiek.*

Zwiem się niezlicznemi!

*Marżoryn.*

Wasze-li one wozy co stoją pod borem?

*Człowiek.*

Część ich tu ledwie mała zaległa taborem,  
Bóg tylko, skoro wzrok swój na ziemi zatrzyma,  
Te ogromne zastępy ogarnie oczyma!

*Marżoryn.*

Cóż umiecie?

*Człowiek.*

Pchać naprzód nasze koczowiska.

*Marżoryn.*

Obliczysz-li tę chmurę co mój obóz ściska?

*Człowiek.*

Tak!

*Marżoryn.*

By przejść pod tym orłem błyszczącym na tarczy,  
Ile wam czasu trzeba?

*Człowiek.*

Tydzień ledwie starczy.

*Marżoryn.*

Cóż wy chcecie?

*Człowiek.*

Nieść pomoc. My z odmetu łona  
Możem króla wydobyć; w nas pewna obrona.

*Marżoryn.*

Cezar was zmógł...

*Człowiek.*

Kto?... Cezar?

*Marżoryn.*

Zaprzeczyć nie śmiecie.

Dentatus wasze hordy rozprószył po świecie.

*Człowiek.*

Zapytaj Dentatusa prochu: on ci powie!

*Marżoryn.*

Spyrks pokonał was...

*Człowiek.*

Bajka!

*Marżoryn.*

Zmogli was Cymbrowie.

*Człowiek.*

Zaledwie hełmów naszych tknęły ich szablice.

*Marżoryn.*

I któż was tu przypędził?

*Człowiek.*

Wichry! nawałnice!

Burze, grady, pioruny, szaruga straszliwa,  
Moc żywiołów; lecz ręka nie tknęła nas żywa.  
My potężni na ziemi, walki nas nie trwożą;  
Pędzim tu, gnani siłą nie ludzką lecz Bożą,  
Pragniemy spocząć ogrzani ciepłym żarem słońca:  
Daj nam je!... będziem z tobą: wiedźmy rzecz do końca.  
Chceszli? pokój czy wojna?... odpowiedz! czekamy.

*Marżoryn.*

Przestraszam was?

*Człowiek.*

Bynajmniej...

*Marżoryn.*

Znacież mnie?

*Człowiek.*

Nie znamy.

*Marżoryn.*

Któż jestem?

*Człowiek.*

Nic... Rzymianin... człowiek...

*Marżoryn.*

Gdzie dążycie?

*Człowiek.*

Ziemia dla nas gościńcem, naszym celem życie;  
Z łona nieskończoności błyska promień złoty;  
Gdy dobiegniem do kresu, rozbijem namioty:  
Nie wstrzymać nam pochodu aż nadejdzie chwila.

*Marżoryn.*

Dziwne słowa! Kto jesteś? powiedz!

*Człowiek.*

Jam Atyla!

Ztąd poeta śmiałą stopą kroczy po szerokiej przestrzeni średnich wieków. Długo zatrzymuje się w Biwarze, w zamku wielkiego Campeadora. Cyd pyszny i niezłomny, niby cedr Libanu, to żywe uosobienie staréj bohateréjskiej Hiszpanii. Widzimy, jak pokrzywdzony przez króla don Sanca, przyjmuje go w progu własnym. Gardzi jego



osobą, ale czci w nim ideał królewski. Sypie mu w oczy gradem ostrych wyrzutów, ale pod dachem jego, włos nie spadnie z głowy don Sancza, bo król, bądź cobądź królem, a Cyd, bądź cobądź Cydem! On nie splami poczciwej sławy, którą zdobył w długim dni paśmie. Wyrzućwszy żal z serca, tak przemawia do króla w progach Biwaru:

Spuszczam oczy: błysk złowrogi  
Gniewu mego nie tknie ciebie;  
Wstąp-że, królu, w moje progi:  
Jedną gwiazdę znam na niebie.

Niż rozjaśniam noc żywota,  
Szczęście nie drga w jój połysku,  
Ani chwała, ni chęć zysku;  
Lecz rycerska cześć i cnota!

Z ohlubą zgarniam na kolczudze,  
Tę nietkniętą brodę siwą;  
Kres nadchodzi mój posłudze:  
Już się kończy długie żniwo.

Moim stopom nie iść dalej:  
Gdy Chymena będzie wdową,  
U téj gwiazdy niech zapali  
Mą gromnicę pogrzebową.

Drugi poemat *Cyd wygnanecem*, inną opiewa chwilę. Alfons król Kastylii, zagniewany na Campeadora, oddał go od boku swego. Bohater schronił się do zamku Biwar, niby lew do jaskini. Królowi jednak trudno obejść się bez usług czujnego Cyda. Maurowie grożą nowym napadem: Cyd jeden powstrzymać ich może. Alfons wyprawia w posły do Biwaru, jednego z wazalów swoich, Santosa Rudego, króla jakiegoś kraiku zagrzebanego w Pireneach; przez tego pośrednika, chce wniknąć w układy z Campeadorem, skłonić go do powrotu. Santos puszcza się w drogę, szumno, buńczuczno; zbliża się wreszcie do Biwaru. Na widnokregu rysują się baszty zamczyska, w dolinie pasterze pasą trzody bydła i owiec; oracze krają pługiem glebę twardą i suchą jak opoka. Cyd, istny ojciec, panuje nad drużyną ubogich kmieci, podziela z nimi pracę. Santos przybywa z orszakiem, strojny w pióropusze i złoto.

Campeador przyjmuje gościa w stajni; daje mu posłuchanie u żłobu ulubionej Babiesy.

Spasła klacz po spoczynku czuje siły świeże,  
Z miłością za swym panem oczyma pogoni,  
A dobry Cyd ze żłobu garstkę owsa bierze,  
I obrok ulubionej podaje na dłoni.

Tu następuje scena pełna dramatyczności. Król Santos Rudy, gromi Cyda za zbytnią dumę: czemu grzbiet jego tak nieugięty, usta nieskore do pocałunku? czemu niedość szanuje osobę królewską?

Babiesa uderza w ziemię nogą, psy szarpią łańcuch i warczą za wrotami. Cyd odrzeczże spokojnie: „Zasłuż, królu, na mój szacunek, ja ci go nie odmówię!”

Wiktor Hugo z upodobaniem maluje starców i drobną dziatwę; równym blaskiem poezji otacza jasnowłosą główkę dzieciątka, jak porane w brózdy czoło starca, zwieńczone koroną śnieżnych włosów. W dziecku wita przyszłość, nieznaną, tajemniczą, w starcu czci piastu na tradycyi, widzi w nim żywy drogoskaz dla młodych a niedoświadczonych pokoleń. Kilku majestatycznych starców spotykamy w Legendzie. Jeden z nich Welf, pan grodzki z Osbar, jest bohaterem małego dramatu, przypominającego treścią *Burgrafów*. Stary ten rycerz, to ostatni z wolnych panów niemieckich; inni upadli pod naciskiem wszechwładnej monarchii. Welf mieszka w wysokiej baszcie najeżonej blankami; nad nią piętrzy się stroma góra. U podnóża jej straszna przepaść. Ostatnia ta strażnica dawnych praw, dumne czoło unosi pod obłoki, podczas gdy inne, podobne jój, sterczą kupami zwalisk.

Królowie Turynгии i Arelatu, równie jak cesarz Otton, niechętném okiem patrzą w to niedostępne gniazdo. Sami kołaczą do bram, sypią pogroźki, lub sieją najłudniejsze obietnice. Welf stoi niezłomny jak opoka; groźby go nie ustraszają: z dumą odtrąca łaskę.

Bramy rozwarły się nakoniec, nie dla królów, ale dla małej sierotki, żebrzącej kęsa chleba. Orzeł przyjmuje do gniazda zabłąkaną gołąbkę, ale w ślad ptaszyny, wdzierają się drapieżne jastrzębie. Zasadzeni oprawcy chwytają starca, okuwają w łańcuchy; tłum który mu niedawno przyklaskiwał, patrzy nań z urąganiem.

W innym obrazie, pod tytułem *Ojcowstwo* (Paternité), widzimy inną wspanialszą jeszcze postać starca. Haim niezłomny rycerz z siwym włosom, wymierzył policzek w twarz synowi, gdy ten wrócił tryumfalnie do zamku, złupiwszy miasto, wydarte podstępnie z rąk Maurów. Ugodzony syn ryczy jak lew; nie mogąc oddać zniewagi za zniewagę, opuszcza próg domowy. Ojciec nie ujrzy więcej tego drogiego mu oblicza, na którym wycisnął pięść sromu. Stary Haim z wieży zamkowej, wiedzie oczyma za odchodzącym synem, a gdy ten znikł już w załomie góry, zstępuje do krypty podziemnej, gdzie leży własny jego ojciec, zmarły oddawna don Alonzo. Zrozpaczony Haim upada na kolana, u stóp posągu, siedzącego na grobie; przyciska głowę do spiżowych nóg, oblewa je łzami, woła z najwyższym uniesieniem:

Olbrzymie przeszłości!

Policzkuj mnie, znieważaj, zsiecz do szpiku kości!  
 Bądź gromem, lecz bądź ojcem! bacz, żali czyn szpetny  
 Nie zmaćcił we mnie zdroju twojej krwi szlachetnej;

Strzeż we dnie i na jawie! Bodajbym w twym progu,  
 Jako pies legał nocą na garści barłogu,  
 Bylem cię czuł przy sobie, byleś był mym panem!

Pokora przebijają niebios! Lzy ukorzonego syna przemówiły do  
 serca umarłemu.

Nad starca obliczem  
 Powiał chłód; z głębi serca wytrysnął zródź nowy:  
 Uczuł słodką pieśczętą prawicy spiżowej!

Tą pieśczętą zmarły, jakże wymownie potwierdził powagę ro-  
 dzicielską!

W innym jeszcze maleńkim obrazku poeta ukazuje stosunek  
 dzieci do rodziców, tak skrzywiony nieraz między wielkimi świata,  
 przeciwnie zaś, tak serdeczny pomiędzy prostaczkami. Dajemy go  
 w całości:

Król perski ma stolicę wielką a bogatą,  
 Przez zimę w Ispahanie, w Tyflisie przez lato:  
 W ogrodach róż tysiące bucha kłębem woni,  
 W ręku straży królewskich, tysiąc szabel dzwoni,  
 Bo moczarsz własnym krewnym nawet nie dowierza.  
 Rankiem wyszedł na łąkę, tu spotkał pasterza:  
 To starzec, jego włosy bieluchne jak mleko,  
 Śpiewa, a wiatr piosenkę unosi daleko;  
 Przy ojcu za kozami stąpa chłopiec młody.  
 — Ktoś ty, starcze? król spyta.

Pasterz siwobrody  
 Przestał śpiewać i głowę pochylił głęboko,  
 I rzecze: „Zwę się Karan” pod stromą opoką  
 Siedzę tam, w niskiej chacie, ze mną syn jedyny;  
 Kocham go, więc gdy kozy spędzę na doliny,  
 Śpiewam jak niegdyś Hafiz, jak dziś Sadi śpiewa!  
 Jak drobny konik polny, wśród kłosów pobrzmięwa!

Na to młodzian ku ojcu przystąpi nieśmiało;  
 Całuje kornie rękę na słońcu zgorzałą  
 Starca, któremu płyną z ust Hafiza tony.  
 „On cię kocha! — król rzecze — choć twój syn rodzony!

Z kolei przechodzi poeta do czasów obecnych. Tu porywa szcze-  
 gólniej uwagę: *Bitwa na cmentarzu w Eylau*. Przedmiot wziął autor  
 z opowieści stryja, zasłyszanej przed sześćdziesięciu laty. Kapitan  
 Ludwik Hugo, z rozkazu wyższej władzy, zajął ten wiejski cmentarz  
 w trzystu pieszych. Ów posterunek był jakoby kluczem bitwy, od  
 utrzymania się przy nim zależało zwycięstwo. Do szóstej wieczorem  
 żołnierze muszą przetrwać najstraszliwszy ogień, choćby ich wybito do



jednego: tak wyraźnie brzmi rozkaz. Poświęcono mały oddział, by ocalić armię. Piechota stoi murem, zakopana w śnieg po kolana, wystawiona na ogień kartaczowy. Szeregi coraz to luźniejsze, ziemia coraz gęściej zasłana trupem.

Poeta z niesłychaną werwą, powtarza niby to opowieść kapitana. Niema tu czczych przechwałek. Słowa palące, urywane, sypią się jak strzały z baterii.

Zaczęła się bitwa:

Ryknie sześćset potworów, z ich olbrzymiej gęby,  
Wciąż wałą się płomienie, wałą dymu kłęby;  
Ciemne wokół tumany widnokrąg powlekły,  
Mój dobosz bije w bęben do szarzy jak wścickły.  
Z hukiem armat do taktu brzmi bojowa trąba,  
Na cmentarz w ślad za bombą, nowa spadnie bomba;  
Przemknie ponad grobami pędem błyskawicy,  
Czarne kruki gromadą zbiegają z dzwonnicy.  
Pomnę, jak granat wyryl straszną dziurę w ziemi;  
Kościotrup spojrzy na świat oczyma trupiemi;  
Snać w trumnie ze snu śmierci, ludzką zbudzon wrzawą!  
Wtém słońce się ukryło za śnieżną kurzawą.

Szeregowcy padają jeden po drugim, śnieżna zamieć nie daje nawet policzyć ofiar. Coraz to mniej walczących... ogień rotowy coraz to słabszy.

I umilkły działa.

Słyszę: „Chwała! zwycięstwo,“ i ja krzyczę „Chwała!“  
Światło zamigotało, gwar dobiega znany,  
Wlekę się na czworakach, cały w krwi starzany.  
Widzę czerwone plamy dokoła na śniegu,  
Zliczmy ilu zostało: „Wiara, do szeregu!“  
„Jestem!“ zawoła sierżant, „jestem!“ krzyknie mały,  
A pułkownik przez śnieżne brnie ku nam zawały;  
Chcę powstać... krew mi z rany wrzącą płynie strugą.  
— „Kto wygrał?“ — „Wy!“ — „Czyż prawda?“ — „Wy!“ — Tyżoś  
[tu Hugo?  
— „Ja!“ On spojrzy na trupy, w oczach mu ściemniało:  
— „Iluż was jeszcze żywych?“ — „Trzech tylko zostało!“

Poeta zacieka się częstokroć w wyżyny niedostępne myśli ludzkiej; staje jak nowy Edyp w obec tajemniczego Sfinksa, pyta o słowo straszliwej, niedocieczonej zagadki. Ogarniając wzrokiem pasmo minionych wieków, śpiewa na wszystkie tony smętno: *vanita vanitatis*. Zobaczmy *Siedm cudów świata*. Owe arcydzieła geniuszu i pychy ludzkiej, spierają się między sobą o pierwszeństwo. *Świątynia Efezu*

wysławia cuda płaskorzeźby, na swym niezrównanym frontonie; *Ogrody Babilonu* podnoszą piękność drzew, zawieszonych w przestworzu ręką Semiramidy; *Mauzoleum* wygłasza z chlubą cudowne kształty swoje, a bardziej serce żałosnej wdowy, która je utworzyła; *Jowisz Olimpijski* sławi dłuto Fidyaszowe; *Laternia morska* wynosi swe blaski wyżej gwiazd; *Kolos rodyjski* mieni się nieśmiertelnym, równie jak *Piramida* na piaskach Egiptu. A oto wybiega z błota ziemi straszliwy głos i urąga tym szalonym przechwałkom. To głos robaka: nic nie ujdzie przed głodną jego paszczą.

Podnoście pyszne czoła wysoko, w lazury,  
A ja pelzam i czekam. Z północy ponuręj,  
Z południa, od zachodnich i od wschodnich bram,  
Wszelki twór ku mnie dąży, w szczęściu czy w żałobie;  
Jam tylko wiecznie żywy, mój tron w czarnym grobie:  
Syn śmierci, tu nad ziemią, ja panuję sam!

Nie dosyć na tém, Wiktor Hugo, téj istocie marnéj a tak złowrogiéj, poświęca długą, żałosną epopeę.

Robak wyłazi z ziemi, opowiada czém jest. Wiecznym trawiony głodem, nigdy niesyty, oplata świat ohydną siecią. Żyje on nietylko w przegnitém cieple trupa, uściela niemniej gniazdo pod zieloną murawą, w pączkach nierozkwitłych nawet kwiatów. Nieprześlągany, wszystko toczy, zamienia w czarne próchno; niedosć mu łupów ziemskich, przez lazury wspiéra się ku gwiazdom, pożera konstelacje:

Gwiazdy błyszczą, więc człowiek śmie twierdzić zuchwały,  
Że robak nie dosięże ich promiennéj chwały;  
W nim tylko trwałe drga życie!  
On w proch stacza marmury, on w powietrzu dzwoni,  
On zarazem pożera jabłko na jabłoni,  
I gwiazdę w modrym błękoicie!

Ale poeta depcze pogardliwie robaka. „Stój nikkzemniku!—woła—duch ludzki nie ulegnie twojéj wszystko niszczącéj mocy!“

Masz wszystko, ale duszy nie zniszczysz potworze!  
Tego kwiatu twa ślina splugawić nie może!  
Niech się pastwi nad światem twa wścickłość szalona:  
Nie wgryziesz się nędzniku do piersi Katona!  
Co ziemskie, twoja paszcza na próchno roztoczy,  
Lecz zwycięzko wypłynie wielki duch proroczy;  
On wozem z błyskawicy w lazury ulata:  
Nie przegryziesz téj osi niszcycielu świata.  
Zawiś szamocze tobą, lecz nas nie dosięże:  
Cóż ztąd, że w ludzkéj chwale robactwo się lęże?

Nam żyć, działać i myśleć, bo w nas drga duch żywy;  
 Ty pełzaj, bo tyś atom nędzny a straszliwy,  
 Co sprawia, że ta ziemia stekiem kłamstw i nędzy,  
 Mąc falszem cudne pasmo tajemniczej przędzy!  
 Bądź karłem co królewską śmieć błyszczącą koroną.  
 Napróżno chcesz się nędzny wśliznąć w żywe łono,  
 Stargać Bożych obietnic wątek w ludzkiej duszy!  
 Wnet o prawdy opokę, twoja moc się skruszy.  
 Mądrość, cnota i serce pod rozumu władzą,  
 W twoje zdradzieckie sidła wplątać się nie dadzą.  
 Pożeraj to, co gnije w nędznym bagnisk ścieku,  
 Nie twoją żywa iskra drgająca w człowieku.  
 Za grobem jeszcze serca łączy miłość święta,  
 Ty nie przeszkodzisz temu potworo przekłeta.  
 Acz zowiesz siebie wszystkiem, tyś niczém w twój moocy  
 Tylko przeczyć i pełzać w mroku czarnej nocy!  
 Drżą mędrcy i pytają w niebo zapatrzeni,  
 Dla czego, równém Bogu robactwo się mieni?  
 Czemu chmura émi słońce, a zrodzeni w pyle,  
 Przecz się ważą Homerom urągać Zoile?

Zobaczymy teraz, jak Wiktor Hugo pojmuje znaczenie poety:

Ten poeta, kto w siebie wszystek świat pochłonie.  
 Rzym się cały szamotał w Plautowém łonie;  
 Homer ślepy, a w prawdę wniknął tak głęboko,  
 Choć mrok nocy pogodne mu zasępnął oko.  
 Hektora z Achilesem wypiastrował w duszy!  
 W Eschylu żył Prometej, co kajdany kruszy.  
 Wszak Rable piersią własną wykarmil wiek cały;  
 Każdy olbrzym, myśliciel, spowity w blask chwaly.  
 Czy potężny on Szekspir, czyli Homer wielki,  
 Czuł w duchu, jakby w łonie matki rodzicielki,  
 Życiem drgającą dziatwę. Miłość ich też sama,  
 Gdy jeden niańczył Lira, a drugi Pryama;  
 Obaj własne jak matka przeleli w nich życie.  
 Poeta w jasnym nieba skąpany błękiecie,  
 Oddycha błogo piersią, lub drżący od grozy  
 Słyszy, jak grzmia w przestrzeni płomieniste wozy,  
 Gdy prorocze natchnienie rozpala mu ducha,  
 Pędzi naprzód a naprzód, nie widzi, nie słucha.  
 Mknie myślą rozpląsaną po bezdennym wirze!  
 Archiloch, śmiało kroczy wsparty na Satyrze,  
 Eurypid, złowrogie chwytą Fedry słowo.  
 Molier patrzy w ciemną duszę Alcydową.  
 Chwast i kwiaty do jednych zaplata on wieńców.  
 W chór zlewa skargi mądrych ze śmiechem szaleńców,



Cerwantes z Donkiszotem coś gwarzą tam oba.  
 Szatan zdradnemi rady płacze myśl Hijoba,  
 Dant, w otchłań duszy własnej wzrok puszcza na zwiady,  
 Horacy, widzi Faunów tysiące gromady;  
 Marlow, goni oczyma niewidzialne światu  
 Wyległe z piekieł sfory czarnego sabatu.

Tak wieszcz rośnie otoczony siły potężnemi,  
 Ulubieniec niebiosów i kochanek ziemi;  
 Trawka dlań jakby z miękkich utkana jedwabi,  
 W skwar letni chłodna grotą ponętne go wabi.  
 Przyroda czuwa nad nim, wciąż pomoc mu niesie,  
 Chroni go od zasadzki, gdy w cieniowym lesie  
 Jezyna kolczystymi pochwyty go spinki  
 I zawoła: „Stój w miejscu.“ Różowe barwinki  
 Drżą pod jego stopami; wśród konarów drzewa,  
 Drobnie ptaszę na gniazdku słodko mu pobrzmiwa,  
 Do wiatru coś gardziółkiem gwarzy rozśpiewaném;  
 „Milcz, to Szekspir z Makbetem, Molier z Don-Żuanem,  
 To Dante z Beatryczką;“ i wiatr glucho milczy:  
 A ciernie co zasłaly wstęp do kniei wilczej,  
 Usuwają gałązki i dęb rosochaty,  
 Olbrzym puszczy, długimi nie potyran lany,  
 Schyla poważną głowę; niech pod jego strażą  
 Z nieśmiertelnemi duchy, nieśmiertelni gwarzą!

Wiktor Hugo wstuchuje się pilnie w pogwary tych duchów szepczących wybranym zakłętę słowo, ale niemniej pilnie wstuchuje się w bełkotanie dzieciątka. Bada myśl kielkującą w tej duszyczce nie-  
 tkniętej jeszcze ziemską zmasą. Cudnież on maluje te jasnowłose  
 główki, śliczne w różnaitości swojej; malowidła jego możnaby tylko  
 przyrównać do promienistych aniołków, stworzonych pędzlem Rafaela.  
 Z pomiędzy kilku obrazków w tym rodzaju, najsilniej za serce chwyta  
*Małeńki Pawełek*:

Od pierwszej chwili życia Pawełek sierotką,  
 Wielkiem okiem błękitném patrzy na świat słodko.  
 Jakieś niezrozumiałe bełkocze wyrazy,  
 Ciało jego niewinne, duszyczka bez skazy:  
 Istny Boży aniołek. Z miłością głęboką  
 Dziadunio w pół zagaste utopił w nim oko,  
 Wié, że zachód dni jego zbliża się do końca.  
 Jak mu duszę raduje ta zorza wachodząca!

Niestety! krótka radość. Starzec zstąpił do grobu; Pawełek  
 z rozkosznego Edenu, kędy przepląsał jasny ranek, wpadł w ręce okru-

tniej macochy. W noc zimową, okryty plagami ucieka na cmentarz, tuli się pod skrzydła umarłego dziadunia. Nazajutrz znaleziono na grobie martwe ciało sieroty. Cudnież to piękny obrazek; niejedną łzę wyciśnie z pod powiek, niejedno może serce przywiedzie do upamiętania i żalu.

Długi szereg obrazów, zakończy poeta apoteozą Stwórcy w niezmierzonej przestrzeni błękitu. Jak na ziemi *Cuda świata* spierają się o pierwszeństwo, tak tu słońca i gwiazdy, wynoszą siebie, a szyszają pogardliwie z drugich. Saturn dumny siedmiu księżycami, urąga mniejszemu rozmiarem Ziemi; Słońce przypomina mu, że jest prostym wazalem, że blask jego sztuczny i pożyczony. Syryusz żartuje ze Słońca, że się mieni środkowym punktem firmamentu: droga młeczna błyska mu w oczy swym pyłem promienistym. W chwili, gdy się zbiera, głos Boży rozgrzmiał w nieskończoności:

Niech dmuchnę, a świat wszystkim w ciemnościach utonie!

To *Gloria in excelsis*, kończy *Legendę wieków*. Na tém *Gloria* i my zakończym sprawozdanie.

Literatura Madziarska obudziła dziś żywe zajęcie we Francji. Niedawno wspominaliśmy o *Historji Węgier* p. Sayon; oprócz tej ważnej publikacji, pojawiają się co chwila nowe prace, które mają na celu obznajmić ogół, jużto z politycznemi dziejami narodu węgierskiego, jużto z rozwojem literatury Madziarów. W tych dniach wyszedł z druku poemat *Janosz Wilej* Petoefiego, znany od lat kilku czytelnikom Biblioteki. Dzienniki drukują w odcinkach powieści sławnego Jokaya. Na polu historycznym pojawiła się monografia Zrynich, narysowana przez hrabiego de la Tour; obraz to bardzo ciekawy i sympatyczny.

Dom Zrynich oddawna słynął w Węgrzech. Pierwsi tego rodzaju byli tu z Włoch za Arpadów; od posiadanej ziemi nosili nazwę hrabiów Breber. W XIII-ym wieku, ci Breberowie byli Banami Bośni i Dalmacyi. Jerzy zasłużył się szczególnie Ludwikowi Wielkiemu; król w nagrodę nadał mu 65 zamków, między nimi Zryn z wielkim obszarem ziemi. Wnukowie Jerzego, przyjętą od miejsca nazwę Zrynich podnieśli do szczytu chwały. Najświetniej błyszczy w pośród nich Mikołaj, przewany Leonidasem węgierskim. Dwaj bracia jego polegli śmiercią walecznych, jeden pod Mochaczem, drugi pod Winodola.

Mikołaj przebywał w warownym grodzie Szyget, nad rzeką Almasz, w bliskości Kroacyi i Styryi. Miasto samo, słabo było ufortyfikowane, ale panował nad niem zamek z pięciu bastyonami, otoczony potrójną obręczą murów; w pośrodku dziedzińca wznosiła się wysoka wieżyca zbudowana z cegły; tu odbył się krwawy dramat pamiętny w dziejach Węgier, który miał unieśmiertelnić imię Zrynich.

Było to w połowie XVI-go wieku. Państwo tureckie doszło wówczas do najwyższej potęgi pod berłem Solimana II-go. Wiadomo

narskiego wskazówki, dołączył wyjątki z biografii Konarskiego przy wydaniu poezyi jego na polski język tłumaczonych, p. Jakubowskiego. Warszawa, 1778.

Kończy list swój ksiądz Csaplar wezwaniem raz jeszcze do zbierania jak najskrzętniej wszelkich pamiątek, po zasłużoném krajowi Zgromadzeniu pozostałych, aby je od zapomnienia ocalić.

— Z poważnych wydawnictw ukazały się zeszyty tomu IV *Encyklopedyi Rolnictwa* pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i St. Przysiańskiego. Dzieło to pozostanie zaszczytną pamiątką naszego okresu. — Z zapowiedzianej publikacji dzieł Józefa Kremera, wyszedł tom pierwszy, obejmujący: „Wykład systematyczny filozofii” (arkusz 1—14), i Listy z Krakowa (arkusz 1—12), w ozdobnej i starannej edycji, nakład i druk S. Lewentala. Całość obejmuje jedenaście tomów. Wizerunek zasłużonego pisarza i obszerny jego życiorys zostanie przy następnych częściach dołączony. Życiorys ten pisze obecnie Henryk Struve profesor Uniwersytetu Warszawskiego, który się zajmuje redakcją pomienionego wydawnictwa.

— Spółka wydawnicza księgarzy warszawskich ukończyła zapowiedziane prospektem wydawnictwo: „Dzieł dramatycznych Wiliama Szekspira,” w trzech wielkich tomach a pięćdziesięciu zeszytach z 545 drzeworytami, w przekładach St. Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Ulrycha, pod redakcją J. I. Kraszewskiego. Ostatnim z dramatów jest *Zimowa powieść*, którą w tłumaczeniu swoim Gustaw Ehrenberg drukując w Krakowie, poprzedził przedmową obszerną. W niej idąc za wskazówką dr. Jakóba Caro, kontynuatora Roepla, objaśnia, że Szekspir wziął wątek i osnowę do utworu z życia Ziemowita księcia mazowieckiego, który małżonkę swoją niewinnie posadzoną stracił w kwiecie wieku rozkazał. Ostatnie tłumaczenie *Zimowej powieści* przez Ulrycha, poprzedza St. Koźmian wstępem, i w nim potwierdzając to, co już wyrzekł G. Ehrenberg, dodaje zajmujące i pod innym względem szczegóły. „Przed niewieloma laty dopiero (pisze), dowiedzieliśmy się, że w Hiszpanii dotąd wielce cenionym jest dawny romans, pod tytułem *El hombre feliz*, w którym główną rolę gra Władysław Laskonogi. Sławna jest podróż misjonarza Cubero, który zwiedził Polskę i opisał. Z niej to zapewne zaczerpnął Calderon nazwiska osób w sławnym dramacie: *Życie snem*, w którym występuje Don Batilio di Polonia, i książę Zygmunt. Jest także sztuka osnuta na życiu i śmierci św. Stanisława. Piotrowin nazwany w niej Don Pedro. W kilkuset sztukach *Lopez de Vega*, możeby się także znalazło jaki przedmiot, odnoszący się do Polski, lub przynajmniej jaką uboczną o nią wzmiankę. Francya dostarczyłaby długi szereg powieści i sztuk dramatycznych osnowanych na historyi naszej. Z dawniejszych, przytoczyć można: *Wanda, Hedvige regne de Pologne, Le Roi Casimir, Barbe Radziwill, Metusco ou les Polonais*, Dodajmy niedawno grany dramat w Odeonie paryzkim *Hetman*, o którym *Kronika Paryzka* z zeszycie na luty r. b. obszerne dała sprawozdanie i ocenę.



— Zwracamy uwagę naszych czytelników na artykuł w odcinku „Kuryera Codziennego” w Nr. 87 pod napisem: *Dopisek do kwestyi żydowskich*, napisany jest bowiem z poczuciem szlachetnym, z głębszym poglądem nad tą właśnie kwestyą, która u nas do najżywotniejszych należy. Nie możemy pominąć jednego z najwybitniejszych ustępów. „Niema opinii obywatelskiej (pisze bezimienny autor) wśród wyznawców mozaizmu, który znanego i palcem wytykanego oszusta i lichwiarza toleruje, tak jabby ich to nie obchodziło, że on buduje swój gmach na gruncie przesiąkniętym niedolą współobywateli chrześcian. Komuż, jeżeli nie władzcom sumień i jednostkom wpływowym godzi się szerzyć to pojęcie równości, w obec cnoty i obowiązków; komuż, jeżeli nie oświeconym wypada nauczać, że nie można być dobrym żydem, i złym zarazem człowiekiem: że wśród dzieci jednej ziemi, niema prawowiernych i *Goimów*, i że złe wyrządzone jawnie, a co gorsza podstępnie innowiercowi, nie przestaje hańbić i czynić odpowiedzialnym przed sumieniem i Bogiem. Dopóki takie pojęcia nie przesiąkną w masy, dopóki żyd będzie w znaczeniu popularnym reprezentował zasadzkę czyhającą na dobro chrześcianina; dopóty nazwa ta nieprzestanie wyobrażać owę ujemności, którą język nasz przyczepił, nie już do plemienia ale do charakteru tak, jak w komedyi Korzeniowskiego. Oto co mają do zrobienia żydzi inteligentni, i obywatelscy, zadanie bardzo uciążliwe, ale wzniosłe.”

— Dawny uczeń Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie p. Julian Świecianowski (rodem z Kaliskiego), po ukończeniu studyów na Akademii budowniczej w Berlinie, wydał dzieło w języku francuzkim: *O skali estetycznej greckiej i rzymskiej sztuki*. Berlin 1876.

— Zapowiedziany prospektem: *Kwartalnik Kłosów*, pismo naukowe i literackie pod kierunkiem redakcyi *Kłosów*, wyszedł tom pierwszy. (Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala w 8-ce str. 331 1877 r). Cztery tomy mają stanowić całość roczną.

— Nakładem Gustawa Sennewałda wyszło dzieło równie zajmujące jak pożyteczne p. n. *Kwiaty naszych ogrodów*, t. j. opis i hodowla kwiatów gruntowych wraz z zasadami tworzenia kobierców kwiatowych. Wzorami klombów, przykładami rysowania ich i obsadzania, przez Edmunda Jankowskiego, kandydata nauk przyrodzonych. Starszego ogrodnika ogrodu Pomologicznego w Warszawie z 355 figurami. Warszawa 1877 r. (w 8-ce str. 410). Publikacya ta odznacza się pięknoscia druku, jak papierem, starannem odbiciem, i przynosi zaszczyt typografii J. Ungra. Dzieło to bowiem może się mierzyć z najozdobniejszychmi zagranicznymi książkami. Autor poświęcił tę piękną pracę Aleksandrze hrabinie Potockiej, „swojej dobrodziejce.“

— Druk dzieła p. Feliksa Erlickiego: *Rys historyczny Instytutów rolniczo-leśnych w Królestwie Polskiem*, już się rozpoczął i w pierwszych dniach czerwca r. b. wyjdzie z pod prasy. Rys ten skreślony

na podstawie akt urzędowych, obejmie zakres przeszło lat pięćdziesięciu. Mamy w nim od pierwszego zawiązku skromnej szkoły rolniczo-leśnej w Marymoncie, przetworzenie na późniejszy Instytut i jego rozwój, program wykładowych nauk, skład nauczycieli, liczbę uczniów słowem najdokładniejszy obraz działalności w czasie istnienia tego zakładu. Część oddzielną stanowi okres nowy, gdy Instytut ten przeniesiony został do Nowej-Aleksandryi (Puław). Wiemy, ilu to wyszło zdolnych obywateli ziemskich z Marymontu. Dzieło to przypomni im współtowarzyszów pracy i nauki w *Listach* załączonych, sama zaś główna treść tej obszerniej monografii, będzie cennym przyczynkiem do dziejów ogólnej oświaty krajowej.

— Z drukarni J. Bergera wyszło: *Sprawozdanie dyrekcyi Warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia*, za rok szósty działalności od d. 20 grudnia (1 stycznia) 1875/6 r. włącznie do d. 19 (31) grudnia 1876 r. Z niego widzimy jak Towarzystwo to szerokie otworzyło sobie pole swęj działalności, jak je rozwija dalej z każdym rokiem i jak pewne daje rękojmię bezpieczeństwa dla swych akcyonaryuszów.

— Wyszedł z druku 2-gi i 3-ci zeszyt *Prawa Cywilnego* w wydaniu członka Izby sądowej K. Hube'go w języku rossyjskim. Zeszyty te obejmują kodeks Napoleona od art. 530 do końca. Wkrótce opuści prasę dalszy ciąg tej użytecznej publikacyi w języku polskim.

— *Gubernskie Wiedomości* wydawane dotąd w Warszawie w małym formacie, od drugiej połowy kwietnia r. b. wychodzą w formacie wielkiego arkusza i obejmować będą dział nieurzędowy, poświęcony badaniu życia społecznego; wejdą tu więc artykuły dotyczące statystyki, historii i prawodawstwa, odnoszące się do kwestyi miejscowych, jak niemniej sprawozdania z ruchu literackiego.

— Dnia 22 kwietnia r. b. odbyła się w sali posiedzeń uroczystych Uniwersytetu warszawskiego, obrona publiczna rozprawy na stopień magistra prawa cywilnego p. Karola Dunina p. n. *O prawie mazowieckim*. Po odparciu zarzutów stawianych, dziekan wydziału oznajmił przyznany p. Karolowi Duninowi stopień, o który się ubiegał.

— Prof. Stanisławowi Tarnowskiemu, wdzięczne grono słuchaczy za prelekcye o Mickiewiczu, między którymi znajdowali się także przyjaciele wielkiego poety, jak: Odyniec, Suzin, Kowalewski i inni, ofiarowało album pamiątkowe z następującym napisem:

Świat na wielkich ludziach stoi  
I ten także wielkość znaoczy,  
Kto ich sławę tu podwoi,  
Kto ją światu wytłómaczy.  
Tak wysokoś wzniósł olbrzymia,  
Że już wyższej miary niéma;

Aż duch jego tam w obłoku  
 Odbłyś w myśli twój potoku,  
 A my wszyscy tu na ziemi  
 Sercem łączymy się z niemi.

— Dnia 28 kwietnia r. b. w sali resursy obywatelskiej odbył się wieczór muzyczno-deklamacyjny Józefa Rychtera, zasłużonego artysty dramatycznego. Oprócz części muzycznej J. Rychter deklamował Trzylow: „Gawędę Syrokomli“ i „Korrespondencyą pana łowczego z panną chorążanką“ Wacława Szymanowskiego ze współudziałem amatorów; „Sulamita pieśń IV i V,“ Aspisa i wyjątek z tragedyi Kalderona „Książę niezłomny,“ w przekładzie J. Słowackiego. Tém wystąpieniem, po wielu latach przypomniał się miastu naszemu ulubiony artysta, nieporównany w roli kontuszowców, któremu zawdzięczamy wprowadzenie na scenę naszą już nieznaną komedyi A. hr. Fredry (w r. 1845—46) już z dawniejszych ale zapomnianych. Usunięcie się od tój sceny J. Rychtera, czują bardzo miłośnicy teatrów warszawskich. Publiczność oceniając dobrze te zasługi, grzotom oklasków przyjmowała go za każdym wystąpieniem na estradę.

— Przed pół wiekiem lud warszawski obchodził w drugi dzień Wielkanocy, tak zwany *Emaus*, odwiedzając szpital obłąkanych. Górale tatrzańscy obchodzą *Emaus*, ale przechadzką w pole, weseląc się pieśniami, przywiązaniem do tych świątków. Na Starém Mazowszu w miasteczku Wyszogrodzie nad Wisłą, dotąd w tenże dzień zachował się zwyczaj zwany podobnie *Emaus*. Jestto procesya konna, w której biorą udział wszyscy mieszczanie, którzy mają konie i zdobędą się na własne lub pożyczone siodło. Procesya ta z chorągwią i krzyżem objeżdża dokoła miasto przy śpiewie religijnym. Dawniej brał w niej udział i miejscowy proboszcz.

— J. I. Kraszewski w jednym z *Listów z Zakątka* (w Biesiadzie literackiej), pisząc o wydaném przez Władysława Zawadzkiego tomie I-ym pisma Dominika Magnuszewskiego, daje następne zdanie o talencie tego poety zawczasie zgasłego:

„Magnuszewski wcale nam się nie zestarzał, czyta się z zajęciem, częstokroć z podziwieniem dla znakomitego talentu, dla oryginalności stylu, który ma koloryt żywy i sobie właściwy. *Niewiasta polska w trzech wiekach* dowodzi i badań i intuicyi niepowszedniej. Staranność z jaką Magnuszewski wykończył co pisał, gorące przejęcie się przedmiotem, są znamieniem tych lat, w których literatura całe innym trybem niż dziś postępowała. Wszędzie czuć szukanie prawdy i piękna, namiętne niemal. Lecz największe obudzić będą mogły zajęcie dopiero te pisma poety, które w następnych tomach po raz pierwszy się ukazą, a mianowicie dramat *Radziejowscy*. Forma dramatyczna pod wpływem pierwszych utworów Wiktora Hugo, najbardziej znać się uśmiechała poecie, ale i w powieściowych swych próbach dał dowody, że mu na sile twórczej, plastycznej i na kolorycie nie zbywało.“



— Akademia Umiejętności w Krakowie na posiedzeniu komisji historycznej w dniu 17 lutego r. b. pod przewodnictwem d-ra prof. Szujskiego odbytym, nadesłany z Warszawy przez C. Biernackiego: *Regestr wozów skarbnych, od miast koronnych, Rzeczypospolitej, na wyprawę wojenną w roku 1521 dostarczonych*, oddała d-rowi Piekosińskiemu do referatu.

— Korrespondent *Tygodnika Ilustrowanego* z Petersburga, pan Henryk Gliński, w nr. 67 tak ocenia najnowszą powieść J. Turgeniewa p. n. *Nów*, (wspomnianą już w naszym piśmie), którą drukuje *Wiadnik Europy*. „Gdybyśmy (pisze) zdanie nasze chcieli gruntować na orzeczeniach urzędowych krytyków tutejszych, musielibyśmy przyznać, iż oczekiwania i nadzieje czytającego ogółu zostały zawiedzione. Tak jednak nie jest. Turgeniew, jak we wszystkich swoich romansach i w ostatnim także, jest wiernym malarzem swojego czasu i społeczeństwa. Nader ważne pytanie podniesione w jego pięknej pracy, chociaż nierozwiązane, znalazło w nim malarza, umiejącego śmiałym pędzlem nadzwyczaj trafnie kreślić charakterystyczne cechy dwóch różniących się we wszystkim światów: pokolenia, które powoli ze sceny ustępuje i tego, które na widowieństwo życia dopiero wchodzi. Turgeniew, nie schlebując ogółowi, przedstawił go takim, jakim jest i mojem zdaniem na tém polega wielka wartość ostatniej jego pracy. W utworze jego, jak w zwierciadle, każdy Rossyanin zobaczy swoje oblicze i zmuszonym będzie zamyślić się nad bardzo ważnem pytaniem: „Jak mam postępować?“ które zrodzi się w nim, wbrew woli jego i wiedzy, a więc od autora wymagać niepodobna“.

— W Radzie Miejskiej Krakowa zapadła uchwała użytkownia pierwszego piętra w starożytnym gmachu *Sukiennic*, który obecnie jest z gruntu restaurowanym. Połowa jedna tego piętra będzie wynajęta Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych na wystawę obrazów; druga zaś, większa, przeznaczona na pomieszczenie zbiorów *Muzeum techniczno-przemysłowego*, nazywanego właściwie, od swojego założyciela „Muzeum dra Baranieckiego.“

— P. Juliusz Mien, znany tłumacz poezyj J. Słowackiego, o którego przekładach już mówiliśmy w piśmie naszym, ogłosił w Krakowie prenumeratę na przekład tegoż poety *Lilli Wenedy*.

— Krakowska szkoła sztuk pięknych, za staraniem dyrektora swego Matejki i pośrednictwem księcia Władysława Czartoryskiego w Paryżu, otrzymała z francuzkiego ministerjum oświaty, znakomite i bardzo bogate dary dla tejże szkoły, najwspanialszych wydań dzieł odnoszących się do sztuk pięknych, malarstw, rzeźby, architektury i archeologii. Książki te z najpiękniejszymi ilustracyami drzeworytów, stalorytów, *aqua-forte* i t. d., wartości kilku tysięcy zł., będą stanowić bardzo ważny przyczynek dla biblioteki szkoły, tak niezbędnej dla kształcenia się uczniów w różnych kierunkach sztuk pięknych.

— Na konkursie dramatycznym w Krakowie uznano za najlepszą komedię w 4-ch aktach prozą p. n. *Pan Damazy*, i przyznano jej nagrodę zfr. 600. Autorem jej jest p. Józef Bliziński, znany komedyopisarz *Kawalera Marcowego* i wielu innych utworów dramatycznych.

— Korrespondent *Gazety Polskiej*, pisząc w drugiej połowie kwietnia r. b. o Wystawie rolniczo-przemysłowej we Lwowie, dotyka blisko nas dotyczącej kwestyi i z tego powodu ustęp z niej podajemy.

„Już w ogrodzie Jabłonowskich, który ma ją objąć, rozpoczęto na całej linii przygotowania i budowę. Pod siekierą padają drzewa i poczynają wznosić się pawilony, których obok głównego gmachu będzie bardzo wiele; wzorowi bowiem i zamożniejsi właściciele wielkich gospodarstw i zakładów przemysłowych, pozgłaszaali się w znacznej liczbie z zamiarem umieszczenia swoich wyrobów w osobnych, na koszt własny wzniesionych, pawilonach. Wystawa będzie niewątpliwie imponującą, jakkolwiek będzie ściśle krajową; liczne zgłoszenia się zagranicznych producentów i przemysłowców, zostały przez komitet uchylone z uwagi, iż w takim razie znikłaby na powszechném targowisku międzynarodowém produkcya krajowa, a tém samém cel wystawy byłby zwichniętym.

Przy wystawie rolniczo-przemysłowej zostaną uwzględnione i inne działy pracy krajowej, a mianowicie sztuka we wszystkich jej celniejszych kształtach. Towarzystwo sztuk pięknych urządza wystawę obrazów i rzeźb; nawet Towarzystwo archeologiczne, owa mumia egipska, krząta się około stworzenia wystawy starożytniczej; uczony nasz historyk sztuki krajowej, p. Kołaczkowski, podjął się urządzenia wystawy rytownictwa rodzimego, od najdawniejszych do najnowszych czasów. Wiele innych pomysłów jeszcze powstanie i zrealizuje się na chwałę pracy i geniuszu rodzimego. Krzątanie się téż widać dokoła: przeszło 250 delegatów, rozsianych po całym kraju, pracuje nad prowincyą, a oprócz tego, komitet centralny porożyszał w tych dniach swoich delegatów po obwodach, w celu budzenia ducha ku temu cywilizacyjnemu przedsięwzięciu.“

— Muzeum przemysłowe we Lwowie, założone przed trzema laty, liczy w chwili obecnej, według sprawozdania p. Wierzbickiego, złożonego na posiedzeniu Rady miejskiej, ogółem 5,000 sztuk okazów przemysłu, a mianowicie: 150 sztuk wyrobów plecionych ze słomy, drzewa i t. p.; 256 sztuk okazów drzewa jako materyału, sprzętów domowych i mebli; 713 wyrobów ze szkła; 1,525 wyrobów z gliny, fajansu, porcelany; 179 produktów kopalnianych; 549 wyrobów z żelaza i stali; 808 sztuk wyrobów galwanoplastycznych, bronzowych, medali i monet; 178 sztuk wyrobów powroźniczych, szmuklerskich i z tkaniny; 124 okazów papieru; 66 okazów skóry i wyrobów ze skóry; 95 okazów drobnego przemysłu; 71 wyrobów snycerskich; 7 wy-

robów introligatorskich; 195 sztuk przyrządów kuchennych i kilka kuchen żelaznych; 82 sztuk sprzętów muzealnych. Biblioteka liczy 368 dzieł przemysłowych i ornamentalnych i 1,530 rycin, fotografii i fotodruków. Szkoła rysunków obejmuje w dotychczasowym zabudowaniu miejsca na 50 uczniów, a szkoła modelowania na 10 uczniów. Stosunek ten zmieni się jednak w obec uchwały Rady miejskiej, która postanowiła odstąpić Muzeum przemysłowemu kilka obszernych sal w gmachu ratuszowym, na odpowiednie pomieszczenie szkoły rysunków i modelowania.

— Dnia 22 kwietnia r. b. we Lwowie uroczyście otwartą została *Szkoła rysunków i modelowania*. Szkoła ta łączy się ściśle z Muzeum przemysłowem, założonem w témże mieście przed trzema laty. Na utrzymanie obu tych zakładów w pomoc przyszły zasiłki z funduszów: krajowego i z gminy miasta Lwowa.

— Pan Klemens Kantecki, w odcinku *Gazety Lwowskiej* podał zajmujący artykuł p. n. „*Dyrektor w kłopotach*“, kartka z dziejów sceny polskiej, w którym opisuje pobyt Wojciecha Bogusławskiego we Lwowie i jego znaczne usiłowania w podniesieniu tu sceny krajowej, gdy Warszawę opuścić musiał. Własnoręczne listy i pisma Bogusławskiego, w téj pracy przytaczane, nie mało na cały przedmiot dorzucają światła.

— Na ogłoszony konkurs dramatyczny przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, o którym już w naszym piśmie wspominaliśmy, nadesłano już 41 utworów dramatycznych, tak komedyi jak i dramatów. Komisya konkursowa zebrawszy się w początkach kwietnia, wybrała na przewodniczącego p. Koźmiana, na sekretarza dra Łebńskiego, przepisawszy sobie tryb postępowania.

— Otrzymujemy od J. I. Kraszewskiego wiadomość, że przygotował do druku zbiór listów Zygmunta Krasieńskiego, które zamierza w krótkim czasie ogłosić.

— Stefan Buszczyński, o którego szacownych pracach nieraz mówiło nasze pismo, obecnie wydał dramat p. n. *Posłannicy* (Poznań, 1877 r.). Jest to utwór przerobiony w poprawnej edycji z wydania 1857 r. Wówczas dramat ten miał tytuł: *Demokraci i Arystokraci*, i był obrazem żywym stosunków na Podolu: dziś stał się historycznym dokumentem.

— Do potopu literatury niemieckiej peryodycznej, przybywa nowy jeszcze strumień *Literarische Correspondenz*, dwutygodnik wychodzący od marca w Lipsku, z wydawnictwa Adama Stöhra. Organ to mający objąć całą sferę działalności umysłowej spółczesnej wyłącznie w krainach języka niemieckiego, oprócz zatém Niemiec właściwych, reprezentujących Austryę i Szwajcaryę. Artykuły wstępne i rozprawy luźne, rozbiierać mają wszystkie kwestye ważniejsze bieżące porządku umysłowego; wiadomości o wszelkim postępie stanowiąc będą dział nieod-



zowny, a największa waga, o ile wydaje się nam z pierwszego numeru, który dostał się nam do rąk, położoną jest na sprawozdania z dzieł naukowych i literackich. Sprawozdania te, jakie przeczytaliśmy, mają dla nas tę zaletę, że w kwestyach zasadniczych, filozoficzno-spółczesnych, a dotąd jeszcze nierozwiązanych, trzymają się metody czysto obiektywnej, nie chwając ani ganiąc, rozbiierają tylko, wydatniejsze dzieła ukazując strony, a więc tym sposobem ułatwiają czytelnikowi sąd samodzielnny. Pierwszy ten numer zapowiada pismo dla wyższej kultury umysłowej interesujące.

— W Rosji rozpoczęto wydawnictwo traktatów zawartych przez rząd tego kraju z rządami innych krajów, z polecenia ministerium spraw zagranicznych. Trzy pierwsze tomy (1874—1876 r.) dotyczą stosunków dyplomatycznych z Austryą i mieszczą wiele ciekawego i ważnego materiału do kwestyi podziału Polski.

— Do liczby rehabilitacyi, jakich się nowoczesna literatura historyczna podejmuje i do jakich należą Gregoroviusa *Lucrecia Borgia*, Merival'a *Neron*, Stahra *Tyberjusz Beule'go August i jego rodzina* i i., przybywa Lucyana Double *Cesarz Klaudyusz* (L'Empereur Claude Paryż 1876 r.). Rozprawa ta *pro claudio* zaczyna się od wykazania, że dwaj główni źródłopisarze t. j. Seneka i Tacyt niezasługują na wiarę w swych sądach; pierwszy jako „nikczemny dworus spadkobiercy ofiary,“ drugi jako „republikanin starorzymski za wroga mający każdego cesarza.

— Po rehabilitacyi Klaudyusza, pan Double L. opracował życiorys Tytusa (*L'empereur Titus, Paris 1876*), i tu w przeciwieństwie do tamtej apologii, założył sobie wykazać że *deliciae* były *horor generis humani*. „Ten płaczący świętoszek, mówi autor, od wieku kryje pod maską czułości czoło miedziane i lica bezwstydnę.“ Więc Eponina i Sabinus, Heras Helvidius Priscus, Alienus Cecina i żydzi, mór i wybuch Wezuwiusza, nawet 48-letnia Berenika, stawają jako oskarżyciele Tytusa. Świątynia wzniesiona dla Klaudyusza, posąg złoty dla Brytania są objawem polityki, które budzącą się żalność za Neronem i możność zjawienia się fałszywego, niweczy przypomnieniem zbrodni opłakiwanego. Nawet przebaczenie udzielone przez Tytusa dwum senatorom chcącym go zamordować, jest komedią na wzór przygody Augusta z Cynną odegraną, by ujawnić dobroć serca i wielkoduszność nowego Cezara. Pan Boulé znalazłszy różnicę w postępowaniu Tytusa przed i po objęciu władzy, wyjaśnia zamiarem tego Flawiusza, aby po Oktawiuszu odegrać rolę Augusta. Wedle pana Double, Tytus dlatego został rozkoszą rodzaju ludzkiego, bo dostał rozmiękczenia mózgu, i w obłądzeniu swym chciał być kochanym przez Rzymian. Tak więc Klaudyusz sama dobroć, Tytus przedwczesne wyczerpanie i idyotyzm!



Dnia 8 marca r. b. w New-Yorku umarł **Edward Kulikowski** redaktor i wydawca „Kuryera Nowo-Yorskiego,“ licząc 67 lat życia. Oddanie czci zgasłemu, tak przez kolonią polską tego miasta jak i wszystkie miejscowe towarzystwa, było dowodem szacunku i poważania jakim był za życia otoczony.

— Dnia 29 marca r. b. w Wielki Czwartek umarł w szpitalu ewangelickim **Karol Pieńkowski** literat i poeta niepośledniego talentu, pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w wspólnym dole ubogich. Pisał dramata: *Scena za sceną*, *Idealni i odrodzony*; z powieści: *Pamiętnik młodej kobiety*, *Następstwa* i *Garbusek*. Pięknym i barwnym wierszem, tłumaczył: Heynego, Musseta, Moliera, Calderona; *Kłosa* i *Tygodnik Ilustrowany* drukowały te utwory. Ostatnią zmarłego pracą, z poetycznych jest: *Rozmowa szwaczki z gwiazdką*, fantazyja dramatyczna (Lwów 1872 r.). Dziennik *Echo*, drukując o nim wspomnienie, zakończył je słowami, które chętnie powtarzamy:

„Ś. p. *Pieńkowski* był człowiekiem nieszczęśliwym w najgłębszym znaczeniu tego wyrazu. Śmierć, która przyszła uwolnić go wreszcie z ciężaru życia, pozwoliła mu spocząć we wspólnej, bezimiennnej mogile. Tak burza jesienna zrywa zeschnięte liście i rzuca je razem na ziemię, bez względu na drzewa, z których wyrosły.“

— W Nowej Aleksandryi (w Puławach), umarł **Maurycy Woyde**, w pierwszych dniach kwietnia, pierwszy doktor fakultetu warszawskiego medycznego za czasów Księstwa Warszawskiego i ostatni z założycieli Towarzystwa lekarskiego w Warszawie, w sędziwych latach, bo liczył lat 86 wieku. Urodził się w r. 1791, nauki pobierał w Liceum Warszawskiem, a skończył w fakultecie Medycznym 1813 r. w tymże mieście.

— Dnia 5 kwietnia r. b. w Wilnie zakończył życie **Józef Jundziłł**, dr. filozofii, naturalista polski, urodzony 1790 r. Otoczony opieką słynnego ks. Stanisława Bonifacego Jundziłła, profesora Uniwersytetu wileńskiego, po odbyciu trzyletniej podróży naukowej zagranicą, za powrotem, od 1814 r. był najprzód pomocnikiem przy ogrodzie botanicznym i gabinecie historii naturalnej, następnie adjunktem Uniwersytetu wileńskiego. Kiedy dostojny jego opiekun ks. S. B. Jundziłł usunął się w zacisze jako emeryt, objął po nim katedrę i zarząd ogrodu botanicznego. Pozostawił dzieło: *Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, dziko rosnących jako i oswojonych*. Wilno 1830 r.

— Dnia 15 kwietnia r. b. umarł w Rzymie ksiądz **Aleksander Jełowicki** pisarz niepośledniego talentu, autor cennego dzieła jak: *Moje Wspomnienia* (1839 r., dwa tomy). Opuściwszy kraj w 1831 r. stale osiadł we Francyi, a złamany burzami życia, zapragnąwszy ciszy i odetchnienia, przywdział suknię zakonną. Odtąd pisał i drukował prace wyłącznie z dziedziny teologii, z tych oprócz drobniejszych wspomnień należą: *Kazania o Świętych Pańskich*, *Listy duchowne*, tłumaczył

téz: *O naśladowaniu Chrystusa*. Urodzony d. 18 grudnia we wsi Hubniku z ojca Wacława i matki Honoraty z Jaroszyńskich, nauki pobięrał w gimnazyum Winnickim, a wyższe ukończył w Uniwersytecie Warszawskim.

— We Lwowie d. 22 kwietnia r. b. zakończył życie *Maurycy hr. Dzieduszycki*, znany w literaturze naszój, jako autor znakomitej wartości dzieł: *Piotr Skarga i wiek jego*, oraz: *Zbigniew Oleśnicki*, oprócz wielu innych prac cennych.

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca *Józef Berger*.



# Matica czeska.

PRZEZ

*Antoniego Zaleskiego.*

W r. 1826 znany uczyony serbski Hadźić (M. Svetic) założył w Peszcie stowarzyszenie, w celu wydawania dobrych książek w języku serbskim i wspierania, ważnego bardzo dla narodowego ruchu serbskiego, wydawnictwa *Srbského Letopisu*, w Nowym Sadzie przez Magaraszewića rozpoczętego. Stowarzyszeniu temu nadano, wówczas po raz pierwszy, nazwę *matice*, oznaczającą pierwotnie matkę, a używaną następnie u Serbów węgierskich w znaczeniu matki pszczoł. Miało ono bowiem być matką wszystkich prac podjętych na polu literatury serbskiej, miało kierować umysłowym ruchem Serbów i przewodniczyć im w mozolnej pracy odrodzenia, naśladowując zabieглиwość roboczych pszczołek. Rozwinęło się ono szybko przy współudziale narodu, który tak pożyteczną instytucją wszystkimi siłami popierał, a rozszerzaniem książek serbskich, zaznajamianiem ludu wiejskiego z historią i literaturą jego, niemałe wydało owoce. Na wzór stowarzyszenia tego, powstało w zachodniej i południowej Słowiańszczyźnie, wiele innych <sup>1)</sup>, które mając ten sam cel i program działania, jaki sobie matica serbska wytknęła i nazwę podobną przybrały. Tak powstała w r. 1831 matica czeska w Pradze, w r. 1842 matica ilirska w Zagrzebiu, w roku

<sup>1)</sup> *M. ilirska.* Założona została przez hr. Jana Draszkowića, w celu wydawania dobrych książek w języku chorwackim. Prócz hr. Draszkowica wspierali ją głównie: książę Miłosz Obrenowicz, ks. Józef Kuković biskup dyakowerski i ks. Mirko Ożegović biskup seciski. Od r. 1864 matica wydaje kwartalnik p. t. *Knjževnik*.

*M. łużycko-serbska* (Matica serbska) powstała staraniem Jana Smolera kandydata teologii: wpłynęła ona bardzo na rozbudzenie się narodowości serbskiej w Łużycach.

*M. morawska.* W r. 1849 utworzyło się w Morawii stowarzyszenie p. t. *Narodni jednota Sv. Cyrilla a Methoda*, z celem czysto naukowym, humanitarnym i niepolitycznym. Statuta tego stowarzyszenia przepisywały mu wspieranie czesko-słowiańskiej literatury, z szczególniejszém uwzględnieniem potrzeb Morawii. Dnia 18 stycznia 1854 r. przyjęło ono nazwę Maticy morawskiej.

*M. dalmacka.* Założona staraniem dra Petranovića; z początku była ona złączona z Maticą ilirską w Zagrzebiu, następnie jednakże, gdy fundusz Maticy zwiększony został darem ks. biskupa Strossmayera w kwocie 1000 zlr., zorganizowaną ona została samoistnie.

1845 łużycko-serbska w Budziszynie, w r. 1848 halicko-rusińska we Lwowie, w r. 1849 morawska w Brnie, w r. 1862 dalmacka również w Zagrzebiu, w r. 1863 słowacka w Turcz. St. Martinie, nakoniec w r. 1864 słowińska w Lublanie.

Jednakże Matica czeska najwięcej ze wszystkich tych stowarzyszeń okazała żywotności i siły. Ważność tego stowarzyszenia nie tylko dla rozwoju literatury i języka czeskiego, ale w ogóle dla narodowości czeskiej, jest niezmiernie wielka, to też historii jej powstania zamierzamy poświęcić pracę niniejszą.

Już w wieku XVII spotykamy w historii czeskiej usiłowania robione w celu utworzenia stałego wydawnictwa książek czeskich. W r. 1670 Jezuita Wacław Szyr czyli Steyer założył w Pradze t. z. *Diedictvi Sv. Václava* (dziedzictwo Św. Wacława), by ludu czeskiego po bitwie na Białej górze, w czasach prześladowania wszelkich objawów czeszczyzny o herezję posądzoną, nie zostawić bez duchownej pomocy i utwierdzić go w własnym jego języku, w zasadach katolickiej wiary. Szyr rozumiał dobrze ówczesny stan Czech, spostrzegł niebezpieczeństwo, jakie nie tylko Czechom, ale i pomyślnemu w tym kraju rozwojowi katolickiego kościoła groziło.

Wszystkie książki czeskie wydane od r. 1414—1620 podpadły pod kłętą kościelną; niemieccy misjonarze niszczyli je wszystkimi sposobami i starali się wyrwać je z rąk ludu czeskiego. Lud nie tyle może z heretyckiej zatwardziałości, ile z przywiązania do rodzinnej mowy, bronił wszystkimi sposobami stare te zabytki swego języka. Chował je przed poszukiwaniami misjonarzy, w stodołach pomiędzy zbożem, w składach drzewa, w skrytkach bram miejskich. Tępienie to husyckich ksiąg czeskich było tém gorszym, że misjonarze nie dawali wieśniakom natomiast czeskich katolickich książek, nie istniały bowiem takie, ale narzucali im niemieckie. Między Jezuitami było wprawdzie wielu Czechów, którzy gorliwie pracowali nad tworzeniem czeskich dzieł katolickich, jednakże nie byli oni w stanie zaspokoić tak wielkiej potrzeby, a powtóre, brakło funduszków do wydawnictwa książek, które tylko bezpłatnie lub za bardzo tanie pieniądze między ludem rozszerzaniem być mogły. Brakowi temu chciał Szyr zapobiedz, składając testamentem cały, jak na owe czasy, dość znaczny, swój fundusz, w kwo-

*M. słowacka.* Założona z powodu obchodu 1000 letniej rocznicy przyjęcia przez Słowaków wiary chrześcijańskiej. Pierwszą inicjatywę podjął Jan Czupkay mieszczanin brzeźniański, na zjeździe słowackim w St. Martinie w roku 1862 i ofiarował na ten cel 1,000 fl. Cesarz Franciszek Józef wzbogacił fundusz Maticy darem 1,000 fl., a ks. proboszcz J. N. Petian 9,000 fl. Prezesem Maticy obrany został biskup bystrzycki dr. N. Moyses.

*M. słowińska.* Założycielami jej byli dr. Leon Voncina, dr. Jan Bleiweiss i znany deputowany austro-słowiński, jeden z najgorliwszych federalistów austriackich dr. E. M. Costa.

cie 1,300 zřr. u prowincyała Jezuitów, z przeznaczeniem na wydawnictwo ksiąęek czeskich.

I to był wlaśnie pierwszy początek „dziedzictwa řw. Wacława.”

Wkrótce nabrało ono, za gorliwým przyczynieniem się biskupów i katolików czeskich wielkiego znaczenia; owoce jego nie ograniczały się tylko na Czechach, ale jak powiada ówczesny arcybiskup pragski J. Fr. hr. Waldstein „sięgały do dalszych krain, używających czeskiego, lub mała co odmiennego języka, jak do Morawii, Węgier, Dalmacyi i Bořnii.“ Według listu tego samego arcybiskupa, dziedzictwo to, po sławnych zwycięztwach nad Turkami, posłało do Serbii, Bulgaryi i Slawonii, ogromną ilość (*ingens cumulus*) katechizmów, biblii i innych ksiąęek religijnęj treści, bez żadnej, lub bardzo małej zapłaty <sup>1)</sup>). Fundusze zwiększały się nadzwyczaj szybko; w r. 1753 kapitał Dziedzictwa řw. Wacława wynosił już 13,000 zřr., a w 1785 przeszło 17,000 zřr. Za panowania cesarza Józefa II, w dobie tak zawistnego wszystkimu, co katolickie i czeskie, józefinizmu, instytucya ta dzieliła losy innych, duchowi jęj pokrewnych, doznając wiele trudności i przeszkód w wypęnianiu swego przeznaczenia. Naznaczono jęj administratora rządowego, który mieszał się nietylko do dochodów Dziedzictwa, ale i do samego wydawnictwa.

Z politycznemi zmianami zmieniała się także pomyślność i wzrost tego stowarzyszenia; na początku niniejszego wieku okazało się ono tak praktycznëm, że na wzór Dziedzictwa řw. Wacława, zaczęto w krajach czeskich zakładać więcej podobnych instytucji. W r. 1830 powstaje w Pradze staraniem ks. Ant. Hanykyrza eksjezuity: *Dziedzictwo řw. Jana*, a w r. 1849 *Dziedzictwo řw. Cyryła i Metodego* w Brnie w Morawii.

Tak więc już w historii swojej mieli Czesi tradycyą i wzór instytucji, która przez zachowanie języka czeskigo w pierwotnej jego czystości, między ludem wiejskim, nie małą narodowi oddała usługę. Zwłaszcza że czas jęj działania przypadł na epokę najbardziej bolesną, na epokę w której czesczyzna wyłączone ze szkoły i urzędu, znalazła w jednym tylko kościele gościnnie przytułek, będąc nieustannie używaną w konfesyonale i na ambonie. Jednakże ze zmianą czasów zmieniły się i narodowe potrzeby. Z końcem XVIII w. nastały pierwsze początki czeskigo odrodzenia, powoli skupiać się zaczęła gromadka ludzi, nie powiemy genialnych, ale ludzi serca i pracy, ludzi miłości i wiary w sprawiedliwość Boską, która nie pragnie zaguby nieszczęśliwego narodu czeskigo, a błogosławi wszelkięj, w dobrym celu rozpoczętej, pracy. Gromadka ta w większej części z katolickich kapłanów złożona, owiana duchem Bożym, dzielnie rozpoczęła zmuđną swą pracę.

<sup>1)</sup> Józef Jireczek b. minister i prezes Tow. Nauk praż. wydał w tym przedmiocie obszerną monografią *Diedzictvi řv. Vaclava* od J. J. w: *Rozprawy z oboru historie, filologie, a literatury*. R. I; wydawatel Josef a Hermenegild Jireczek ve Vidni 1860 str. 19.



Opatrzność błogosławiła jój usiłowaniam: z pierwszym braskiem niniejszego stulecia, pokazały się w Czechach pierwsze znaki narodowego życia, liczba pracowników z dniem każdym się zwiększała, i zastęp rycerzy świętej sprawy odrodzenia utworzył się wkrótce. Już wtenczas, gdy naród z dwuwiekowego snu swego zaledwie tylko przebudzać się zaczął, spostrzeżono konieczność założenia jakiegoś stowarzyszenia, w celu piastowania języka i literatury czeskiej, od lat tylu tak bardzo zaniedbanój. Jeszcze za panowania cesarza Józefa II, starał się o to Franciszek Pelcel i kilku jego przyjaciół; schodzili się oni w pewnych, oznaczonych terminach na tak zwane *hromady* (zgromadzenia), pracując wspólnie nad literaturą czeską; jednakże zebrania te wzbudziły podejrzenie rządu, który wszelkich dalszych schadzek zakazał. Podobnie i stowarzyszenie literackie, które w tym samym czasie, ks. Puchmayer, Hniewkowsky, obaj Nejedly, Rautenkranc i wielu innych pisarzy czeskich utworzyć pragnęło, nie przyszło do skutku. Wielka rewolucya francuzka zwiększyła jeszcze czujność rządu; jednakże to zjednoczenie naukowych sił czeskich, choć nie osiągnęło celu, nie było bezowocném; staraniem bowiem powyższych literatów czeskich, wydrukowano „Zbiór poezyi ks. Antoniego Puchmayera.” Dopiero w r. 1814 po utwierdzeniu ogólnie europejskiego pokoju, nastąpiła przyjaźniejsza doba, do przeprowadzenia pierwotnego zamiaru. Wojny napoleońskie, kolosalna potęga francuzkiego Cezara, pragnącego rządzić całą Europą, rozbudzała wszędzie duch narodowy. Rząd austriacki spostrzegł także, że najlepszą zaporą przeciwko aneksyjnym zachciankom Napoleona, będzie oparcie się na podstawie narodowej, podległych mu ludów. Przyprowadzić Czechów i resztę Słowian austriackich, do poczucia swojej narodowości, natchnąć ich gorącą miłością ojczyzny, i wzbudzić zapał w narodzie, któryby na każde zawołanie stanął w obronie króla i kraju swego, to był chwilowy program polityki austriackiej, która niestety, wkrótce potem, na tradycyjnie błędną zesła drogę. Ztąd więc i w Czechach było kilka lat szczęśliwych, w których narodowe usiłowania doznawały pomocy i ze strony rządu. W ówczesnych kołach czeskich powstaje około r. 1814 myśl założenia Muzeum czeskiego w Pradze, na wzór styryjskiego *Joanneum*. Myśl tę popierali bardzo gorliwie: najwyższy burgrabia czeski hr. Franciszek Antoni Kolovrat-Libsteinsky; hr. Franciszek i Kasper Sternberg, hr. Klebelsbery, hr. Hartmann, ks. Antoni Izidor Lobkowicz i wielu innych przychylnych narodowemu ruchowi czeskiemu mężów. Gorliwe ich starania wkrótce uwieńczonemi zostały; 15 kwietnia 1818 r. hr. Kolowrat jako naczelnik kraju, wydał odezwę „Vlastencům umieni milovaným,” (do patriotów miłujących naukę) w której wyjaśniając całą organizacyą przyszłego muzeum, wyłuszcza powody i potrzebę podobnego zakładu, wspomina o korzyściach jakie on dla kraju przyniesie, i wzywa naród do składek na założenie Muzeum.

Dziwném zrządzeniem Opatrzności, pierwszy fundusz nowopowstającego zakładu, pochodził z dzieła miłosierdzia, składał się bowiem

z pieniędzy pozostałych z pożyczki głodowej w r. 1816. W tym to właśnie roku, Czechy nawiedziła ogromna klęska, zupełny nieurodzaj, brak nie tylko paszy dla bydła, ale chleba dla tylu tysięcy zgłodniałego ludu; wojnami bowiem wyniszczony kraj, pod względem materialnym w zupełnej znajdują się ruinie. Cesarz Franciszek I pragnąc zapobiedz temu powszechnemu nieszczęściu, osobnym patentem zaproponował bogatszym właścicielom ziemskim w Czechach, bezprocentową pożyczkę dla poszkodowanych wieśniaków. W krótkim stosunkowo czasie zebrano 461,286 złr. w. a. które rozdane zostały pomiędzy bardziej potrzebujących. Następny rok odznaczył się szczególniejszym urodzajem, tak że już w jesieni 1817 r. zwróconą została część pożyczonych pieniędzy; pozostała zaś summa postanowiono użyć na jakiś cel patriotyczny. Z tej gotowości swoich współziomków, skorzystał natychmiast hr. Klebelsbery, skłoniwszy przedstawieniami i prośbami swemi ofiarodawców, do przeznaczenia powyższej summy na Muzeum czeskie. I to był pierwszy fundusz dzisiejszego zakładu, który obecnie pod nazwą Muzeum Królestwa czeskiego, jest, można powiedzieć, ogniskiem wszystkich prac narodowych podejmowanych w Czechach. Jednakże w gronie pierwszych założycieli Muzeum, znalazło się kilku gorliwszych patriotów, jak hr. Berchthold, Jan dr. Presl, Józef Jungmann, którzy nie chcieli nadać mu wyłącznie tylko naukowego charakteru, lecz pragnęli go zrobić przedewszystkiem przybytkiem narodowości i literatury czeskiej. Wydana przez hr. Kolovrata odezwa nie dawała im tej rękomi. Wyślali więc oni deputacją do naczelnika kraju, upraszając, by przy organizowaniu Muzeum nie zapomniano także o języku i literaturze czeskiej; do deputacji tej należał między innymi i prof. Maks. Millauer rodowity Niemiec, co najlepszym jest dowodem jaka jeszcze wówczas panowała zgoda między obydwoma narodowościami Królestwa czeskiego. Hr. Kolovrat zapewnił tych panów, że żądania ich wypełnieniem zostaną; zaręczał, że Muzeum nigdy nie zapomni o obowiązku swoim względem narodu czeskiego, dodając z pewnego rodzaju zapalem *Ismet' jeszcie národ* (przecież jesteście narodem). Takie publiczne przyznanie się do swjej narodowości, ze strony namiestnika cesarskiego, napełniło wówczas wszystkich Czechów wielkimi nadziejami. Nadzieje te jednakże nie zostały w zupełności spełnione. Muzeum wzrastało wprawdzie bardzo szybko, przynosząc dla kraju ogromne korzyści, ale kierunek wszystkich prac jego był tylko ogólnie naukowy, w większej części przyrodniczy. Poświęcono się głównie badaniom kraju pod względem oroi-hydrograficznym, zajmowano się szczegółową jego fauną i florą, zakładano bogate zbiory geologiczne i mineralogiczne, ale historia i archeologia czeska były w zupełnym zaniedbaniu. Do piastowania literatury czeskiej, Muzeum przyczyniało się tylko pośrednio, rozbudzając zajęcie i większy ruch umysłowy w Czechach, lecz nie zaspakajając bynajmniej pragnień gorliwych patriotów. Trzeba więc było znowu powrócić do pierwotnych zamiarów. W r. 1821 ksiądz Wacław Peszina proboszcz w Bluczynie w Morawii, a następnie kanonik kapituły pragskiej pod-

niósł w swém czasopiśmie *Czechoslan*, myśl założenia stowarzyszenia, któreby wspierło autorów czeskich. Co rok członkowie tego stowarzyszenia składać mieli pewne wkładki, z których wyznaczanoby następnie nagrody za prace literackie. Myśl ta księdza Pesziny znalazła wkrótce wielu zwolenników, i przedstawioną została wydziałowi muzealnemu, który dnia 16 grudnia 1821 odpowiedział w ten sposób, że Muzeum nie może z braku funduszków brać na siebie takiego obowiązku. Cała więc przeszkoda polegała tylko na braku materyalnych środków, w razie pozyskania których, dalszą pracę około wspierania literatury czeskiej podejmie Muzeum z całą ochotą. Nie strudzony ksiądz Peszina, energicznie wziął się do dzieła, ogłosił, że jeśli podobne stowarzyszenie zawiązaném zostanie, to on i jego przyjaciele obowiązują się składać na cel ten rocznie 200 fl. W Pradze gorliwie dopomagali mu w tej sprawie ksiądz kanonik Winiarzycki i prof. Purkinie; plan organizacji został wypracowanym, a pierwszym wydawnictwem miał być *Słownik czeski* Jungmanna. Wszystkie te jednak usiłowania nie doprowadziły do żadnego celu, trzeba się było chwycić innej, energiczniejszej jeszcze drogi, na którą właśnie wstąpił Palacky, i jemu to przypada największa zasługa około założenia Maticy czeskiej.

Franciszek Palacky, niedawno zmarły historyograf Królestwa czeskiego, był wówczas redaktorem czasopisma muzealnego, w Pradze wydawanego; stanowisko jego było już wtenczas ustalonym; głęboka nauka, jaką się historyczne prace Palackiego odznaczały, zwróciły uwagę całej ówczesnej inteligencji czeskiej. Prezydent Muzeum hr. Kacper Sternberg i brat jego hr. Franciszek, polubili bardzo młodego historyka, spostrzegli w nim niezwykły talent, i otaczali go wszędzie swoją opieką. Dzięki swoim zdolnościom i opiece hr. Sternbergów, Palacky, zaraz po powrocie z Preszburga, gdzie słuchał nauk filozoficznych, wszedł w naukowe stosunki ze wszystkimi znakomitościami czeskiemi. Przy założeniu Muzeum, jako powiernik hr. Kacpra czynny bardzo brał udział, wkrótce potem wstąpił do wydziału muzealnego, objął redakcją obu czasopism niemieckiego i czeskiego, przez Muzeum wydawanych, i mianowany został historyografem Królestwa czeskiego. Palacky jako redaktor czasopisma muzealnego przez długi czas, był niejako kierownikiem nowoczesnej literatury czeskiej, śledził pilnie wszystkie objawy literackie swego narodu, oceniał je sumiennie, zachęcał młodych do wytrwałej pracy. W redakcyi czasopisma dopomagali mu głównie Presl i Jungmann; dzięki to ich staraniom zamówowanie do języka czeskiego z każdym rokiem wzrastało, i zastęp zwolenników czeskiej literatury niespodziewanie się zwiększał. W redakcyi czasopisma muzealnego powstała myśl wydania encyklopedycznego słownika czeskiego, w celu rozszerzenia oświaty między szerszą publicznością czeską.

Za despotycznych rządów cesarza Franciszka I, każde zebranie kilku osób wzbudzało podejrzenie policyi, obawiano się spisków, we wszystkich co dokładnie nie było znaném rządowi, widziano karygodną tajemniczość. Palacky pracując od lat kilku w literackim za-



wodzie, znał doskonale te stosunki i przewidział przeszkody, jakie mu zwalczyć przyjdzie. Ażeby wydawnictwo to przyjść mogło do skutku, trzeba było porozumieć się z kilkunastu literatami czeskiemi i rozdzielić między siebie pracę. Podobne ułożenie programu nie mogło się odbyć bez liczniejszego zebrania, co znowu bez pozwolenia policyi było niemożliwem. Palacky ufny w protekcją swych arystokratycznych opiekunów, udał się do najwyższego burgrabiego hr. Karola Chotek z prośbą o potrzebne pozwolenia. Hrabia, który znał dobrze usposobienia Palackiego, jego szlachetny sposób myślenia i roztropność w postępowaniu, ze swojej strony nie sprzeciwiał się temu projektowi, ale obawiając się denuncyantów wiedeńskich radził mu, by zawiadomić o tém zebraniu dyrektora policyi pragskiej Hofratha von Hoch i prosić go o łaskawą opiekę nad tém przedsięwzięciem.

Kto nie zna austriackiej biurokracyi? której panowanie nie tak dawno, bo z upadkiem Schmerlinga się skończyło, stała się ona synonimem pedanteryi bez granic i skrupulatnego trzymania się formy, bez uwagi na to, co się pod nią mieści? Cała machina biurokratyczna w Austrii polegała na wzajemnej kontroli; że nie użyjemy zbyt może drastycznego słowa, szpiegostwa; naczelnik pilnował swych podwładnych, by ani na włos nie odstępili, nie powiemy, od ducha, ale od litery prawa, ale téż wzajemnie często od najniższych urzędników był strzeżonym, i o każdym jego kroku słyż sążniste raporta do Wiednia. Arystokracja czeska, pomimo całej swój lojalności i przywiązania, jakie względem monarchy zawsze okazywała, podejrzewaną była o historyczno-polityczne zachcianki odnowienia królestwa czeskiego. Hr. Chotek jako jeden z gorliwszych patriotów czeskich, pomimo swego stanowiska, ulegał także kontroli i obawiał się wszelkiego podejrzenia. Pan Hofrath ritter von Hoch, Niemiec rodem, ale człowiek szlachetny i zacny, był pod pewnym względem białym krukiem ówczesnej biurokracyi; zachował bowiem dla Czechów, jeśli nie jakieś żywsze uczucie, to przynajmniej sympatyę, której owocem było usuwanie, o ile na to stanowisko jego pozwalało, wszystkich przeszkód w rozwoju narodowości czeskiej. Przyjął więc i on Palackiego bardzo życzliwie, radził mu unikać wszelkiego rozgłosu i ostrzegął, że podejrzliwość wiedeńskiego gabinetu mogłaby ściągnąć przykre następstwa, nietylko dla Czechów ale i dla całego rządu królestwa. Żeby wszystkich tych kłopotów uniknąć, radził pan Hofrath, nie tworzyć żadnego odrębnego stowarzyszenia, ale przystąpić do jednego z dwu już istniejących, to jest do Muzeum lub do Królewskiego towarzystwa naukowego. Według statutów przez cesarza potwierdzonych, Muzeum miało prawo zakładać osobne sekcyje dla pojedynczych gałęzi nauk, tam więc trzeba się było udać. Palacky życzliwą tę radę przyjął z największą radością; zaraz pośpieszył do hr. Franciszka Sternberga, a wyjaśniając mu rzecz całą prosił o radę i pomoc. Hr. Franciszek będąc członkiem tak Towarzystwa naukowego jak i Muzeum, posiadał w obu tych instytucjach wpływ

niewały; po wysłuchaniu Palackiego przyrzekł mu poprzeć tę prośbę u brata swego prezydenta Muzeum.

Dnia 6 stycznia 1820 roku złożył Palacky w swoim i swoich przyjaciół imieniu podanie do prezydium muzealnego, które pod tytułem *Eingabe an den Praesidenten Kaspar Grafen Sternberg* znajdujemy w zbiorze drobniejszych prac jego w 1874 r. wydanych <sup>1)</sup>.

W podaniu tém Palacky wyłożył jasno i wyraźnie potrzebę i konieczność podobnego stowarzyszenia, wskazał na ogromny postęp, jaki od lat dwunastu uczyniło umiejętne kształcenie języka czeskiego, zwracał uwagę na ochoczość młodzieży garnącej się do poznania swjej literatury. „Język czeski, powiada on, ma zapewnioną nietylko już egzystencją, ale i przyszłość świetną; idzie tylko o to, by ująć go w pewne stałe zasady i wcześniej zapobiedz wszelkim nowatorskim zachciankom.” Encyklopedia czeska utrwaliłaby raz już naukowe słownictwo; co tém większej nabierało wagi, że właśnie w owych czasach zaczęły powstawać w naukowym obozie czeskim pierwsze początki rozdwojenia i ciągłej późniejszej walki o pisownią. Utworzyły się wtenczas dwa gramatyczne stronnictwa: jedni trzymali się ortografii XVI wieku, używanej we wszystkich znakomitszych dziełach czeskich, a do tych zaliczał się Palacky; drudzy z Hanką i oboma Nejedlymi na czele, pragnęli ciągłych zmian, ustawicznego doskonalenia się pisowni. Wywiązała się ztąd zacięta „walka o zgłoski” która zużywała wiele sił literackich, mogących lepszej służyć sprawie. Palacky przeczuwał dobrze, gdzie owe partykularne dążności, ciągłe reformy i nowości doprowadzić mogą; zwracał więc i w tém podaniu uwagę na ogromną usługę, jaką encyklopedia oddać mogła narodowi przez utrwalenie terminologii naukowej. Koszta wydawnictwa tego ograniczyć się tylko miały na papierze i druku, gdyż wielu literatów czeskich ofiarowało bezpłatnie swoje współpracownictwo. Postanowiono więc rozpiścić prenumeratę, a liczba 200 odbiorców miała zapewnić los przedsięwzięciu. Podanie to kończy Palacky następującemi słowy: „z zupełnem i uzasadnionem zaufaniem ośmielam się w moim i moich współpracowników imieniu złożyć Waszjej Ekscellencyi do przedłożenia wydziałowi muzealnemu następującą prośbę. Według § 12 f. stat. muzeal. wolno jest wydziałowi muzealnemu zakładać osobne sekcye dla pojedynczych gałęzi nauk, szczególnież zaś dla pielęgnowania i kształcenia języka i literatury czeskiej. Życzeniem jest naszém nietylko materyalną korzyść z tego wydawnictwa, ale i zasługę w obec narodu przelać na Muzeum; dlatego ośmielamy się upraszać szanowny wydział muzealny, aby nasze stowarzyszenia literatów czeskich, jako osobny komitet do umiejętnego pielęgnowania języka czeskiego przyłączyć i pod obronną opiekę wziąć raczył.”

Podaniu temu wydział muzealny na posiedzeniu d. 11 stycznia 1830 r. o tyle uczynił zadość, że Jungmann, Presl i Palacky zostali

<sup>1)</sup> Gedenklblätter Fr. Palacky. Prag. Tempsky. 1874, str. 84.

mianowani członkami muzealnego „Komitetu, w celu umiejętnego pielęgnowania czeskiej mowy i literatury“ (*Museums-Comité für wissenschaftliche Pflege der böhmischen Sprache und Literatur*), i zobowiązani do zdawania wydziałowi miesięcznych sprawozdań ze swoich czynności.

Tak więc po 54-letnich usiłowaniach, udało się nakoniec Czechom utworzyć stowarzyszenie literackie; składało się ono wprawdzie z trzech tylko członków, lecz odznaczali się oni nietylko wielką nauką, ale i prawdziwie mrówczą pracowitością. Nie miało ono żadnych innych środków prócz swych sił duchowych, a i te wkrótce zawiodły, bo gdy wzięto się do pracy nad encyklopedyą, przekonano się, że pojedyncze gałęzie nauk nie są jeszcze dostatecznie obrobionemi. Z powodu więc braku materyałów, zaniechać musiano myśl wydania encyklopedyi, a ograniczono się tylko na dziele mniejszych rozmiarów, którego p. t.: *Malá encyklopedie* do r. 1847 wyszło 7 tomików. Komitet postanowił zarazem czynność swoją rozszerzyć i na naleganie wielu patriotów czeskich, utworzyć na wzór w r. 1826 powstałej Maticy serbskiej, stały fundusz w celu wydawania dobrych książek czeskich. Dnia 2 marca 1830 r. wydano odezwę do miłośników narodowej literatury, w której komitet wspominając o szybkim wzroście literatury za panowania cesarza Franciszka I, powiada, że pomimo tego jest ona jeszcze bardzo ubogą. Autorowie czescy wydając swe dzieła, robią wielką dla narodu ofiarę, poświęcają mu bowiem nietylko czas i pracę, ale często cały swój fundusz. Z drugiej znowu strony, znajdują się i takie książki czeskie, które większości narodowi raczej wstyd i szkodę przynoszą, jak zaśługę i korzyść, podczas gdy dzieła wielkiej często wartości nie mogą doczekać się druku. Temu ma właśnie zapobiedz Matica, zbierająca fundusz na wydawnictwo tylko dobrych książek. Kto złoży 50 fl. od razu lub w pewnych ratach, ten zostaje założycielem maticy i dostaje po egzemplarzu każdego przez Maticę wydanego dzieła. Według wielkości owego funduszu, komitet uchwalać będzie, wiele i które dzieła mają być w każdym roku wydane.

Tylko procenta z kapitału mogą być używane na wydawnictwo książek. Jeden z członków muzeum mieć będzie dozór nad zarządzeniem funduszu Maticy, z którego komitet powinien corocznie wydziałowi muzealnemu zdawać rachunki. Wniosek ten uchwalił wydział d. 14 marca 1830 r., mianując zarazem księcia Rudolfa Kińskiego komisarzem czyli kuratorem Maticy; do komitetu wszedł jeszcze Wacław Hanka.

Pierwszym założycielem Maticy był nowy jéj kurator ks. Rudolf Kiński, z wkładką 1,000 fl. w. a. Hojną tą ofiarą szlachetny książę dał pierwszą materyalną podstawę Maticy, stając się przykładem dla całego narodu. Drugim założycielem był prezydent muzeum hr. Kacper Sternberg, z roczną wkładką 100 fl., trzecim hr. Jan Kolovrat-Krakovsky; dalej przystąpili do Maticy z szlachty czeskiej: książę arcybiskup pragski, Aloizy Józef hr. Kolovrat-Krakovský, hr. Franciszek Thun, hr. Leopold Thun i hr. Adolf Pötting. Między pierwszymi założycielami Maticy, spotykamy także nazwisko jednego z rodaków na-



szych, Adama z Rościszewa Rościszewskiego, który, jak powiada Nebesky— „z prawdziwą wzajemnością słowiańską przysyłał muzeum czeskiemu wszystkie nowości literatury polskiej“<sup>1)</sup>). Dla zwiększenia współdziałania ze strony szlachty czeskiej, Palacky napisał zaproszenie, które wraz z rozprawą ks. Winiarzyckiego „O literaturze czeskiej“, wszystkim znakomitościom arystokratycznym rozesłanem zostało. Pismo to charakteryzuje doskonale ówczesne usposobienie ogólne; czytamy w niém bowiem następujące słowa: „Gdyby nawet było przeznaczeniem Opatrzności, by naród nasz z karty historii wymazany został, co, przy tém, co się od lat 50-ciu w celu germanizacji naszego kraju dzieje, niemożebnością nie jest; to jednakże stanowisko, jakie literatura nasza zajmie, będzie na zawsze najlepszą miarą wykształcenia i oświaty narodu czeskiego.“

W pierwszym roku istnienia Maticy, współdziałal publiczności nie był wielki: przystąpiło bowiem tylko 32 osób i trzy stowarzyszenia. Najgorliwsi okazali się studenci, o których Jungmann wspomina, że często ostatni z mozołem na domowym nauczycielstwie zebrany grosz, do Maticy przynosili.

Z końcem r. 1831 fundusz żelazny Maticy wynosił 2,363 złr. 10 kr., wydatkowy zaś, tylko 34 złr. 40 kr. Komitet przedsięwziął wziąć na siebie w r. 1832 wydawnictwo czasopisma muzealnego i *Domowego lekarza* dra Paulickiego. Ciekawe są cyfry honorarium, jakie Keadakcja czasopisma współpracownikom swoim płaciła. Wynosiło ono za arkusz druku oryginalnych utworów 4 złr. (8 złp.), przekładów zaś dwa złr. Korrektą zajmował się Czepakowski, który pobierał za to wyraźnie jeden złr. (2 złp.) od arkusza. Redakcją zaś kierował Palacky bezpłatnie, a i tak większa część autorów nie brała i tych pieniędzy.

W r. 1832 podczas 40-letniego jubileuszu cesarza Franciszka I, w całej monarchii z wielką uroczystością obchodzonego, Matica wydała osobnego wiersza okolicznościowego zmanifestowała swe własne uczucie względem cesarskiego domu. Z Maticy wyszła także pierwsza inicjatywa w obronie spraw językowych w szkołach czeskich. Za ab-

<sup>1)</sup> V. Nebesky, Monografia Maticy czeskiej, drukowana w encyklopedyi: *Nauczny slovník* T. V, str. 167. P. Nebesky jest obecnie generalnym sekretarzem muzeum czeskiego. W swojej *Historii muzeum czeskiego* wspomina niejednokrotnie o Rościszewskim, oddając jego zasługom w zakresie polsko-czeskich stosunków. „Znaczne wzbogacenie swoje zawdzięcza oddział polski w bibliotece muzealnej rzadkiej wspaniałomyślności Adama z Rościszewa Rościszewskiego, szlachcica polskiego, który z wielką miłością zakład nasz wspierał, okazując wiele sympatyj dla Czechów i ich duchowego odrodzenia. Szlachetny ten przyjaciel i protektor literackiej wzajemności między Czechami i Polakami, złożył w ofierze tej idei swojej cały niemały wartości majątek tak, że umarł prawie w nędzy.“

W *Geschichte des böhmischen Museums* wspomina Nebesky także i o założeniu Maticy. Z prac jego, najwięcej powyższych wyjąłem szczegółów.

solutnych rządów biurokratycznych, podobne odezwanie się liczyć się mogło do najśmielszych. Na początku r. 1832 uskarżał się Palacky przed najwyższym burgrabią hr. Chotkiem, że całe wychowanie szkolne dąży do zupełnej zagłady czeskiego języka, który prócz tego ustawicznie jest przez cenzurę prześladowanym. Hr. Chotek zażądał spisania memoriału przedstawiającego ten stan rzeczy. Obowiązku tego dopełniła Matica; członek komitetu ks. Winiarzycki napisał żądany memoriał p. t.: *Denkschrift über den gegenwärtigen Zustand des böhm. Sprachunterrichts in den Lehranstalten Böhmens*. Odpowiedź na to podanie nadeszła dopiero 19 października 1835 r., biurokratycznym napisana stylem; obszerna i długa, po kilkunastu swoich „zważywszy“ objawiała tę myśl, że — wszystko może zostać po dawnemu. Tymczasem fundusz Maticy coraz bardziej powiększać się zaczął; w miarę powodzenia jednakże i nieprzyjaciół przybywało. Do tych należał głównie prof. Millauer sekretarz Muzeum, gniewający się na to, że pieniądze z kraju zamiast do Muzeum szły do Maticy, popieranąj najwięcej przez katolickie duchowieństwo.

Postanowił on bądź co bądź, jeśli niezupełnie obalić Maticę, to zachwiać jej stanowisko. Dla intryg swoich nie znalazł dość miejsca w Pradze, posyłał więc w rozmaitych formach denuncjacye swoje do Wiednia. Właśnie w tym czasie nie było Palackiego w Pradze, bawił on dla swych historycznych poszukiwań często w Wiedniu lub w Morawii, i dopiero przy końcu maja r. 1832 wrócił do stolicy. Zastał tam w stosunkach Maticy wiele zmian niekorzystnych, zrozpaczony Jungmann powitał go okrzykiem: *pomoz Frantiszku, hyneme, hyneme*, skutkiem bowiem doniesień prof. Millauera, wszystko co pochodziło z Maticy, doznawało ze strony władzy prześladowania i oporu; nawet egzystencya jej miała być zachwiana, gdyż cenzura odmawiała potwierdzenia wszystkim nakładom Maticy. Przestraszony Palacky udał się zaraz do hr. Chotka, do którego, jako dawny nauczyciel, miał zawsze wstęp wolny, i zapytał go, czy rzeczywiście nadesłano z Wiednia rozkaz rozwiązania Maticy, gdyż inaczej wszystkich tych szykan wy tłumaczyć sobie nie może. Hrabia zaręczał, że nic o tém nie wie, i że gdyby zaszło coś podobnego, zawiadomionoby natychmiast kuratora Maticy ks. Rudolfa Kińskiego. W parę dni jednakże po tém posłuchaniu, Matica spotkała się znowu przy jakiejś drobnostce z zakazem cenzury. Tym razem pośpieszył Palacky wprost do biura prezydyjalnego zarządu krajowego i zażądał od sekretarza Ambrosiego wytłumaczenia powodów zakazu. Na zapytanie, od kogo wyszło odnośne rozporządzenie, odpowiedziano mu, że „od Jego Ekscellencyi.“ Zdziwiony tém Palacky pośpieszył natychmiast do hrabiego; ten wysłuchawszy jego zażaleń, kazał przywołać sekretarza i ostro go zapytał, dlaczego odmawia pozwolenia wydawnictwu Maticy.

„Matica jest tajnym stowarzyszeniem,” odpowiedział nie zmieszany sekretarz, a na zaprzeczenie hrabiego dodał: „każde stowarzyszenie, które nie jest przez rząd potwierdzoném, prawo nazywa tajnym.“

Palacky jął się tłumaczyć, że Matica nie jest żadnym odrębnym stowarzyszeniem, tylko komitetem założonym przez wydział muzealny według potwierdzonych przez NPana statutów.

„Co znaczy to nazwisko *Matica*? w piśmie, przez pana mi przedłożonem nie spotykałem się z niem?”

— Bo Wasza Ekscellencya raczyłeś niemiecki tylko tekst czytać; zresztą jeśliby nazwisko to szkodziłoby nam miało, gotowi jesteśmy je zaniechać.

— Radziłbym wam to najusilniej, bo jeśli ten pan, wskazując na sekretarza, rzekł hrabia, widzi w tém słowie coś tajemniczego, któż zaręczy że coś podobnego nie ma miejsca w Wiedniu. Waszój dobrej sprawie nic to nie zaszkodzi, między sobą możecie ją nazywać, jak się wam żywnie podoba.

Tak więc biedna Matica musiała przecierpieć tyle prześladowań, za samą tylko swoją nazwę, w oczach przydyalnego sekretarza rewolucyjną i nielojalną. Odtąd nazywała się ona urzędownie „pokladnice českého musea k'vydávání knih českých.”

Tymczasem w łonie wydziału muzealnego intrygi przeciw Maticy coraz bardziej się zwiększały; do profesora Millauera przyłączył się drugi jego współziomek prof. Steinmann; starali się oni wszystkimi sposobami przekonać wydział, że Muzeum nie ma z Maticy najmniejszego pożytku, lecz materyalną stratę; że zakład ten nietylko że nie zasługuje na poparcie, ale na zupełną zagładę i t. d. Palacky chcąc raz wszystkim tym niecnym insynuacyom koniec położyć, napisał do prezydenta Muzeum hr. K. Sternberga, tłumacząc mu że podobne nieprzyjacielskie zamysły względem Maticy, nie dowodzą, ani miłości dla kraju, ani starań o podniesienie Muzeum czeskiego. Muzeum jeśli dalej podobną postępować będzie drogą, stracić może sympatyą i poparcie narodu, rozsiewa w nim bowiem ziarno niezgody. Na energiczny ten list odpowiedział hr. Sternberg w tak charakterystyczny sposób, że wyjmujemy z listu tego kilka ciekawszych ustępów.

„Młoda krew pana zanadto się rozgorączkowała, lecz ja wyziębiony 74 lata życia, nie jeden taki nawał rozdrażnienia chłodnie i obojętnie wysłuchałem, niezwracając nań nawet uwagi. Wszystko to są efemeryczne paroksyzma, na które gdy częściej powtarzać się będą, rzadzę użyć środków ochładzających. Prawda że składki na Muzeum słabną, ale nie w tém wina Maticy, lecz samego narodu lubiącego tylko nowostki i artykuły dziennikarskie. My zbieramy już lat 14, wy dopiero 4; za lat dziesięć będziecie dostawać tyle co my.... Żyjemy obecnie w epoce zakładów, o których pisać można szumne gazeciarskie rozprawy. Ludzi pracujących z czystego zamiłowania do nauk, na palcach policzyć można; wielu co chwalebne czyni, robi z samolubstwa, inni *pour compagnie*, a największa część dla uchodzenia za dobrych patriotów. Zresztą nam na tém nic nie zależy, całém zadaniem naszym jest osiągnięcie wytkniętego celu, w nadziei że potomność lepiej jak współcześni potrafi ocenić nasze usiłowania. *Exoriare aliquis no-*



*stris ex ossibus cultor.* Czego ja na starość przy Muzeum się doczekałem, to i was przy Maticy spotka.”

Jak widać ze słów powyższych hr. Sternberg znajdował się w tej epoce, w stanie szczególniejszego rozdrażnienia. Nie myślimy bynajmniej usprawiedliwiać tej obojętności narodu względem Muzeum; coś podobnego zdarza się często, jakaś ślepotą czy zła wiara osłania oczy tych, którzy nie widzą, czy nie chcą widzieć jedynego środka swego zbawienia. Ale z drugiej strony winien był też także i zarząd Muzeum. Hr. Sternberg bowiem pomimo całej swój zacności i gorliwości, nadał jego pracom specjalnie przyrodniczy kierunek. Znakomity sam znawca i posiadacz licznych zbiorów zasobnych gabinetów mineralogicznych i geologicznych, ofiarowanych później Muzeum, starał się głównie o zbogacenie tego oddziału. Historia, archeologia, numizmatyka czeska znajdowały się w zupełnym prawie zaniedbaniu, i dopiero z objęciem przez Palackiego zarządu muzealnego uległy radykalnej reformie. Prócz tego, zbiory muzealne w umieszczeniu swoim, miały wielką jeszcze wadę: mieściły się bowiem daleko od miasta, w starożytnym jakimś pałacu na Hradczanach i dopiero znacznie później, na ulicę Ferdynanda do domu hr. Nostica przeniesionemi zostały. Publiczność nie mając przystępu do biblioteki i gabinetów Muzeum czeskiego, powoli też o niem zapominać zaczęła, i w tém właśnie leżała przyczyna niechęci i oburzenia zacnego prezydenta.

Zbyt może pesymistyczna przepowiednia co do Maticy, nie spełniła się całkowicie, bywały wprawdzie czasy lepsze i gorsze, nastawały chwile ogólnego zapału i zupełnej obojętności, ale komitet niepowodzeniami się nie zrażał, z cierpliwością wszelkie uciski i napady znosił i pełen wiary w przyszłość szlachetnego dzieła, pracował dalej pilnie i wytrwale. Niedługo więc po założeniu Maticy, wydano jej nakładem niezbędnym dla ludu wiejskiego dzieło p. t. *Domaci lekarz* (lekarz domowy) z zakresu higieny domowej, a wkrótce potem rozpoczęto druk historycznej monografii Palackiego p. t. *Przehled souczasny nejwysszych dostojniki zemskeych i dvorskey v Královstvi českém* (Przegląd najwyższych dygnitarzy ziemskich i dworskich król. czes.) ważnego bardzo materiału do dziejów czeskich.

Tak Palacky jak i autor poprzedniego dzieła, zrzekli się całkowicie należnego im honorarium. Z tej także epoki przychodzi nam zanotować fakt jeszcze inny, wymownie świadczący o duchu i zasadach, którymi ówczesni członkowie komitetu Maticy przejęci byli. Sławny autor *Starożytności słowiańskich* Paweł Szafarzyk, w pierwszych latach swego naukowego zawodu, był nauczycielem gimnazyalnym w Nowym Sadzie. Potrzebował on wtenczas dla swych historycznych studyów, koniecznie przybyć do Pragi, tak bogatej w tego rodzaju materiały. Opuścić jednakże miejsce, które stanowiło całe jego utrzymanie i zapewniało do śmierci kawałek chleba, było rzeczą niepodobną.

Temu nieszczęśliwemu położeniu postanowił zapobiedz właśnie komitet Maticy. Za inicjatywą Jungmanna i Palackiego kilku za-

możniejszych mecenasów literatury czeskiej, postanowiło corocznie składać pewną sumę, w celu dopomożenia uczonemu historykowi, w dokonaniu jego pracy. Składkę tę pokrywała najostrzejsza tajemnica, imiona dawców nie były nikomu, zwłaszcza Szafarzykowi znane; pieniądze wręczał sekretarz Maticy. Dzięki téj szlachetnej ofiarności, d. 4 maja 1833 r. przybył Szafarzyk do Pragi, spokojny o przyszłość swoją i swojej rodziny. Przez lat siedm t. j. do 16 marca 1840 roku, komitet Maticy zebrał w tym celu 3,349 złr. Podobna zapomoga udzieloną także została Władysławowi Czepakowskiemu, jednemu z najzdolniejszych poetów czeskich, w chwilach dla niego najkrytyczniejszych.

Następném wydawnictwem, do którego Matica znacznie się przyczyniła, był słownik czeski Józefa Jungmanna, na wzór naszego słownika Lindego ułożony.

Członkowie Maticy płacili za dzieło to połowę tylko ceny sklepowej, resztę po odtrąceniu zwykłej prowizyi księgarskiej składała za nich Matica. Tymczasem niestrudzony Szafarzyk po kilku latach pobytu swego w Pradze, dokończył *Starożytności słowiańskie*. Matica, na której wezwanie rozpoczął Szafarzyk pomnikowe to dzieło, uważała sobie za obowiązek dopomożenia w jego wydawnictwie. Pomimo więc szczupłości funduszów, pomimo najrozlicniejszych kłopotów finansowych, *Starożytności* wydane zostały, a komitet przyczynił się do tego w ten sam sposób, jak przy Słowniku Jungmanna. Powstały przez to deficyt w ilości 748 złr. 53 kr. zapłacił nowy kurator Maticy hr. Jan Kolowrat-Krakowsky w r. 1836 po śmierci ks. Rudolfa Kińskiego przez wydział muzealny mianowany. Niespodziewanie także nadeszła w roku 1840 pomoc materyalna. Grono patryotów czeskich postanowiło bowiem przez wdzięczność dla Jungmanna za napisanie Słownika, wydać w dzień jego imienin cenne jakieś dzieło z starożytnej literatury czeskiej. Wybór padł na *Vitk. Korn. ze Vszehrd, Knihy devatery o právich i o deskach země české* (Ksiąg dziewięć o prawach i o metrykach ziemi czeskiej), a wydawnictwo poruczone zostało Maticy.

Z r. 1841 rozpoczyna się nowa doba w historii Maticy czeskiej, kapitały jęj wzrastają do dwudziestu przeszło tysięcy guldenów, liczba nowoprzybywających członków powiększa się z każdym rokiem. Program dalszego wydawnictwa ułożonym téż został; podzielono je systematycznie na trzy części: pierwsza część obejmować miała bibliotekę staroczeską, druga bibliotekę nowoczeską, trzecia bibliotekę klasyków, a czwarta bibliotekę domową. W komitecie także zaszły ważne zmiany. Prócz Palackiego, Jungmanna i Presla, wstąpili: Wacław Hanka i Szafarzyk; przewodnictwem zaś po hrabim Kolowracie objął inny szlachcic czeski Jan Neuberk. Energia i pracowitość nowego kuratora, silnie organizują Maticę; posiedzenia komitetu odbywają się regularnie 1-ego i 15-go każdego miesiąca, wstęp do nich dozwolony nietylko członkom komitetu, ale wszystkim członkom i przyjaciółom Maticy. Wkrótce stają się téż one ogniskiem wszystkich objawów umysłowego ruchu, miejscem wspólnej wymiany zdań. Zgromadzenia te stawały się coraz



liczniej, z pola naukowego przestąpiono na pole polityczne, roztrząsając wszystkie ważniejsze kwestye narodowe. Z r. 1842 wstępuje do komitetu Czelakowski i późniejszy minister austriacki hr. Leon Thun. Od r. 1841 udział publiczności się zwiększa, liczba członków wzrasta o 40, w r. 1852 przybywa nowych założycieli 327, wkładki zaś wynoszą w jednym tylko 1851 r. 16,774 fl. w. a. Nastają także pewne zmiany w statutach, w 1847 r. uchwalono, że  $\frac{1}{3}$  tylko wkładek ma być obracana na fundusz żelazny, resztę zaś na wydawnictwo dzieł czeskich. Przy pomyślnym stanie funduszu, wychodzą nakładem Maticy coraz nowe książki, w większej części wielkiej naukowej wartości. W r. 1847 w bibliotece staroczeskiej widzimy: *Život Vilema z Rozenberka* i *Amosa Komenského Didaktika*; w bibliotece nowoczeskiej dzieła Józefa Jungmana, w r. 1842 Smetany *Fizyka*, ks. Ant. Marka *Zakladni filosofie logika i metafizyka*, w r. 1846 Presla: *Botanika*, w r. 1847 Czelakowskiego *Poezje* i *Mudroslovi narodu slovanského i przislovich*, w r. 1849 K. K. Tomka: *Historie university prazske* i historye: powszechna, czeska i austriacka.

W r. 1845 wydaje Matica: *Vybor z literatury české*, którym to wydawnictwem zajmują się głównie Palacki, Erben i Jungmann. Dziełko to długi czas było jedynym podręcznikiem dla literatury czeskiej, a naukowa wartość jego tém się stała większą, że zawierało staroczeską gramatykę, napisaną przez Szafarzyka. Z innych jeszcze wydań, których wyliczanie zanadto dużo zajęłoby nam miejsca i czasu, wymieniamy, *Historiy literatury českéj* Jungmana i Palackiego: *Diejiny naroda českého*. Geografia nie została także przez Maticę pominięta; wydano atlas geograficzny i mapę królestwa czeskiego, ułożoną przez Józefa Jireczka. Wszystkie te nakłady rozchodziły się w 3000—4000 egzemplarzy, co ze względu na ludność czeską, liczącą najwięcej cztery miliony, niemałą jest liczbą.

Matica nie ograniczała się tylko na wydawnictwie książek, zakres swojej działalności rozszerzyła ona jeszcze dalej. W r. 1842 uchwalono na wniosek Palackiego, udzielać z dochodów Maticy nagrodę autorom za znakomitsze dzieła w języku czeskim. Projekt ten różnił się o tyle od rozpisywania konkursów, że odnosił się do dzieł już wydanych i nie narzucał autorom ściśle określonego tematu.

W r. 1845 udzieloną została nagroda 40 dukatów J. K. Tylowi za jego powieść *Fosledni Czech* (Ostatni Czech). Następnie zaś ogłoszono konkurs (100 dukatów) na dzieło p. t. *Brus języka českého*, w którym wszystkie błędy skażenia języka czeskiego, tudzież prowincjonalizmy wytkniętemi być miały. Dla podniesienia zaś krytyki czeskiej rozpisano nagrodę w ilości 24 fl. za arkusz druku wzorowej krytyki nowszych objawów literatury czeskiej.

Wszystkie te prace dzielnych sterników umysłowego życia czeskiego, naród z swojej strony godnie oceniał. W r. 1848 podczas wyborów do tak zwanego sejmu państwowego (zebranego najprzód w Wiedniu a następnie w Kromieryżu) wybrano posłami wszystkich człon-



ków komitetu Maticy z wyjątkiem jednego Szafarzyka, który dla swych naukowych zatrudnień, żadnej politycznej roli przyjmować nie chciał. Zarządem Maticy kierował więc przez czas kwietniowych zaburzeń roku 1848 Szafarzyk, jako zastępca kuratora i Józef Jireczek, jako sekretarz Maticy.

Dopiero po zamknięciu sejmu Kromieryskiego i upadku konstytucyi, powrócił dawny porządek w komitecie, który téż z powrotem despotycznych rządów centralistycznego systemu, w nie jednej swęj czynności został ograniczonym. Po upadku ministeryum księcia Feliksa Schwarzenberga, gdy ster rządów monarchii habsburskiej objął Aleksander Bach, nastąpiła epoka prześladowania wszystkich żywiołów słowiańskich. Rządowa presya w Czechach, podległych rządóm bałchowskiej biurokracyi, wpływa na wszystkie zakłady naukowe, noszące mniej lub więcej wybitne narodowe cechy. W listopadzie więc r. 1854 obok rozmaitych przeszkód, stawianych Muzeum czeskiemu, spotkała się i Matica z rozkazem odbywania każdego posiedzenia komitetu, w obecności komisarza policyjnego. Zażądano utworzenia statutów, na potwierdzenie których trzeba było czekać lat kilkanaście. Dopiero w r. 1860 z wydaniem październikowego dyplomu i ministeryum hr. Gołuchowskiego, poczyna się nowa konstytucyjna era w Austrii. Zgład i narodowi czeskiemu rozwiązano choć w części więzy, które go krępowały. Statuta tak Muzeum, jak i Maticy wkrótce potwierdzonemi zostały.

Na walném zgromadzeniu, 7 marca 1861 r. postanowono, że gdy kapitał żelazny wynosić będzie 100,000 fl., komitet ma prawo wszystkie dochody Maticy używać na wydawnictwo książek. W celu więc dopomożenia Maticy do osiągnięcia téj summy, zrobiono składkę, w której wzięło udział wielu członków starożytnéj szlachty czeskiej, narodowi swemu wiernéj; jak: hr. Henryk Jarosław Clam Martinic, hr. Eugeniusz Czernin, hr. Hanusz Kolovrat Krakovsky, książę Karol Schwarzenberg, hr. Jan Lažansky, hr. Jerzy Buguoy, książę Jerzy Lobkowic, baron Robert Hildbrandt (po 1000 złr.), hr. Jan Harrach (500 fl.), hr. Eleonora Kaunitz (400 fl.), hr. Henryk Chotek (600 fl.) i t. d. Z końcem r. 1863 fundusz żelazny wynosił już 72,109 złr. Dnia 9 grudnia 1850 r. podniósł znowu Palacky myśl, która niegdyś dała początek dzisiejszej Maticy, wydania encyklopedyi czeskiej. Z powodu jednakże znacznych kosztów, jakie przedsięwzięcie podobne ponieśćby musiało, projekt ten nie przyszedł do skutku, i dopiero w r. 1862 jeden z nakładców czeskich Kober w Pradze podjął się tego wydawnictwa. Kilka lat później, w r. 1868 ukończono druk encyklopedyi, która pod redakcją dr. Wadysława Riegra pod tytułem: *Nauczny słownik opracowaną została* <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W redakcyi téj Encyklopedyi brali udział wszyscy znakomitsi pisarze czesocy. Dział historyczny opracowywał Rieger, i po nim najwięcej Maly; literaturę Nebesky; oddział polski został także dość starannie ułożonym. Między

Od r. 1853—1868 wydała Matica tłumaczenia dzieł Szekspira, I. Amosa Komenského. *Informatorium szkoły matierské*, i przekład tragedyi Sofoklesa i Eschyla. Dopomagała także w wydawnictwie dwóch czasopism: przyrodniczego *Živa* i archeologicznego *Památky archeologické a mistopisné*. W r. 1861 komitet uchwalił utworzenie na prowincyi urzędu członka-korrespondenta, którego obowiązkiem było nietylko zjednywać dla Maticy o ile się da największą liczbę członków, ale zbierać także materyały do etnografii czeskiej, studyować obyczaje, zwyczaje i pieśni ludowe. Obecnie kuratorem Maticy jest Jan hr. Harrach, staroczeski poseł na sejm i do rady państwa, jeden z najgorliwszych popleczników narodowości czeskiej. Kilkakrotnie wybierany przez komitet Maticy, przewodniczy mu od r. 1862, a ofiarnością swoją i pracą, znaczne położył dla Czechów zasługi. Kilka lat temu, gdy Matica z powodu braku funduszków, nie mogła nadal wspierać czasopismo *Živo*, hr. kurator z własnej swojej kieszeni udzielił potrzebną zapomogę. W zeszłym roku komitet Maticy stracił jednego z najgorliwszych członków swoich, Wacława Zeleného, dyrektora gimnazjum. Z tegorocznych wydawnictw zanotować nam przychodzi dalszy ciąg *Historji czeskiej* Palackiego, *Žyciorys Józefa Jungmanna*, przez V. Zeleného, matematyczne dzieła dr. Emila i Edwarda Weyra, *O teoryi linii krzywych drugiego stopnia* it. d. Całkowity fundusz Maticy wynosił z zamknięciem rachunków z r. 1875, 175,143 złr. Z darów dostała Matica w roku zeszłym od księdza Józefa Viktoryna, Słowaka, 1000 złr. na rozpisywanie nagród na poetyczne prace czeskie.

Tak więc stanęliśmy u kresu kilkudziesięcioletniej historii Maticy czeskiej. W pobieżnym opowiadaniu naszym staraliśmy się skreślić wszystkie ważniejsze jęj epoki, wskazać przeszkody, z którymi musiała

innemi znajdujemy tam kilka, z wielką znajomością historii i literatury naszej napisanych artykułów księdza Wacława Sztulca, wyszehrackiego infulata. Najlepiej i najgruntowniej ze wszystkich opracowanym został dział czeski, i w ogóle statystyka: resztę traktowano tylko pobieżnie. Artykuły odnoszące się do Czech wydane zostały w osobnej odblacie pod tytułem *Czechy, zemie i národ, obraz statisticko historycky jęjz s pomoci jinych spisowatelu vzdíelal dr. fr L. Rieger*. Praha 1863. Wielce praktyczne dzieło to, mieści w sobie najprzód: stosunki przyrodnicze kraju, geograficzne położenie, faunę, florę i podniebie. Następnie statystykę zawierającą: ludność, narodowość, plody natury, przemysł, środki komunikacyi, handel, kościół, szkolnictwo, czasopisma, prawnictwo, rząd krajowy, historję i literaturę, rolnictwo, jedwabnictwo, pszczolnictwo, rybarstwo, leśnictwo i myśliwstwo, rzemiosła i przemysł, handel czeski. Każdy z pojedynczych oddziałów jest opracowany przez specjalistów w odpowiednich przedmiotach.

Wszystkim pragnącym zapoznać się z Słowiańszczyzną w ogóle, a Czechami zwłaszcza, polecamy *Nauczny słownik*. Znaleźć tam można wiele ciekawych szczegółów, choć nie zawsze sposób przedstawienia rzeczy zasługuje na pochwałę.



walczyć. W powstaniu tego zakładu spostrzegamy myśl zacną i szlachetną, bo szerzenie oświaty w narodzie czeskim, podniesienie jego moralne i zaznajomienie z własną przeszłością i literaturą. „Znaj siebie samego — powiada dr Rieger <sup>1)</sup> — a nie będziesz się ani przeceniał, ani zamało szanował, uważaj byś nie był cudzoziemcem w własnej swj ojczyźnie,“ — to są dwa złote prawidła, których przestrzeganiem, tak pojedyncze jednostki, jak i narody całe, wielu się błędów uchronią. Prawda, że ci, którzy tylko *siebie* znają, nie starając się o poznanie drugich, wpadną często w drugą ostateczność: będą innych lekkomyślnym sądem drażnić i odmówią im należne cześć i prawa.

„Kto siebie i kraju swego nie zna, nie będzie umiał zużytkować jego bogactwa i siły, nie potrafi stać się użytecznym narodowi swemu, zapomni przestrzegać własnych swych praw, straci godność tak osobistą jak i narodową, i hołdować będzie drugim, mniej jeszcze od niego wartującym.“ To program, to myśl i zasada, która Maticy czeskiej od początku jój bytu przewodniczyła. Ale idąc dalej, myśl ta w czyn przemieniona, znalazła wyraz praktyczny i wprost prowadzący do celu, i właśnie *praktyczność* uważamy za drugą cechę organizacji Maticy. Jeśli bowiem weźmiemy na uwagę, że założyciel Maticy, składając 50 fl. (200 złp.), *do końca życia swego* dostaje bezpłatnie wszystkie wydawnictwa, dzieła zaś jój pomocą wydane za połowę ceny, to przyznać trzeba, że było to wielką wygodą dla odbierającego, i dozwalało mu przyjść, za tanie pieniądze, do posiadania wyborowej biblioteczki, zwłaszcza, że te 50 fl. nie trzeba było złożyć odrazu, tylko w kilkoletnich ratach po 10 fl. Takim sposobem, każdy ubogi student, każdy wysztańcześniejszy wieśniak lub rzemieślnik czeski, mógł się zaznajomić z literaturą, mógł „poznawać swój naród.“ Dzięki téż praktyczności swego urzędzenia, dzięki szlachetnej idei, która nią kierowała, Matica rozszerzała zamięłowanie literatury czeskiej po całym kraju, wpływ jój rozciągał się od magnackich pałaców, aż do ubogich chatkiw pocziwego ludu czeskiego.

Lecz nie na tém skończyła się jój działalność, cicha i spokojna praca wydała więkzsze jeszcze owoce; w chwilach najgorszego ucisku narodowości czeskiej, w epoce zaciętej walki między napływowym germanizmem a rodzimym żywiołem słowiańskim, w czasach gdy czeszczyzna wykluczona została z szkoły i urzędu, Matica książkami swemi utrzymywała duch narodowy w Czechach, a utrzymywała go na podstawie zacnej i szlachetnej. To téż w historii Słowiańszczyzny zachodniej, przypadnie obok Muzeum i Maticy czeskiej rola może napozór skromna i mała, ale rola wielkiej wagi, strażnika narodowej przeszłości i języka. *Narody ne hinou dokud jazyk žije*, rzekł kiedyś Hanka, a słowa jego znalazły teraz zastosowanie. Literatura obudziła naród czeski, postawiła go na podstawie silnej i wytrwałej; uczyniła Czechy

<sup>1)</sup> W przedmowie do *Czechy, země a narod*.



nietylko potęgą materyalną, z którą teraz właśni ich nieprzyjaciele liczyć się muszą, ale dała im nigdy niespożytą siłę moralną.

Na zakończenie, wskażemy jeszcze na jedną cechę Maticy czeskiej, na cechę bardzo charakterystyczną, bo górującą od pierwszych dni jej powstania aż do czasów dzisiejszych. Powiadają, że ogólną wadą wszystkich narodów słowiańskich jest brak wytrwałości, łatwe odstępowanie od raz wytkniętego programu; otóż co do Czechów, historia Maticy najzupełniej temu zaprzecza. Takiej wytrwałości, takiej mozolnej a cierpliwiej walki z przeciwnościami, takiego upornego trzymania się wskazanej drogi, rzadko gdzie się spotkać zdarza przykłady. Dowód na żywotności narodu czeskiego, zapowiedź blizkiego Czechów zwycięstwa. Spełniły się tutaj słowa wielkiego ich historyka i męża stanu: *svoji k' svemu, a vždy dle pravdy* <sup>1)</sup>, a miejmy nadzieję, że wkrótce spełnią się one w szerszym jeszcze znaczeniu.

W Pradze Czeskiej, w maju 1876 r.

## Z PAMIĘTNIKÓW

### FRYDERYKA HR. SKARBKA.

#### Udział mój w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Wkrótce po wejściu mojem do Uniwersytetu warszawskiego wybrany zostałem na członka Towarzystwa przyjaciół nauk. Zaszczycił ten winien byłem częścią objęciu katedry ekonomii politycznej, częścią ogłoszeniu drukiem *pieśni Anakreona*, oraz innych tłumaczeń i artykułów w pismach publicznych zamieszczanych, o których wyżej już wspominałem.

Na publicznem posiedzeniu rzeczonoego Towarzystwa, w dniu 30 kwietnia 1821 roku odbytém, stosownie do przyjętego zwyczaju, tak w imieniu własném jako i razem ze mną powołanych nowych członków, miałem mowę dziękczynną za wybór ten. Ponieważ wszelkie polityczne rozprawy wyłączone były z przedmiotów, jakimi się Towarzystwo zajmowało; przeto założyłem sobie mówić o idealnym utworze rzezypospolitój nauk, aby pod zasłoną allegoryi, oddać cześć zasadom, któremi wtedy wszystkie umysły były owładnięte. Oto jest to przemówienie moje:

<sup>1)</sup> Swoi do swoich, ale zawsze według prawdy.

(Fr. Palacky, w r. 1861 w Wiedeńskiej Radzie państwa). Pisane to było przed zgonem tego wielkiego historyka i obywatela: śmierć Palackiego jest nie małym ciosem dla całego narodu czeskiego. P. R. B. W.

„Szanowne Przyjaciół Nauk grono!

„Powołani zaszczytnym wyborem do uczestnictwa w pracach Waszych, nowo przybrani członkowie Towarzystwa, składają Wam uroczyste dzięki swoje, za ten chlubny dowód położonej w nich ufności. Wstąpienie do grona Waszego, zjednywa im życzliwych przyjaciół i bezstronnych sędziów prac własnych, otacza ich poczęści tém poważaniem, które świat uczony całemu Towarzystwu przyznał i wkłada na nich trudny obowiązek okazania się godnymi wyboru i nadziei Waszych.

„Wchodząc do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stali się oni członkami jednej osady téj wielkiej rzeczypospolitój, której kardynalną ustawą jest oświata ludzkości; prawidłami rządu wewnętrznego prawdy w naukach i umiejętnościach docieczone, a przewodniczącą władzą rozum umiejący odróżnić tę prawdę od błędu. Osiągnąwszy wysoki zaszczyt obywatelstwa téj rzeczypospolitój, niechaj mi wolno będzie cieszyć się widokiem tego pięknego państwa i wspomnieć o obowiązkach, jakie to prawo obywatelstwa na nas wkłada.

„Nieścieśniona w blizkich granicach cudzoziemczyzny, rozciąga się rzeczpospolita nauk, po całej kuli ziemskiej, gdzie tylko się człowiek władz duszy nie wyparł i używać ich umie; gdzie choć tylko pewna liczba wybranych, święty ogień nauk przed zalewem ciemnoty chroni. Nie dumna potęgą światową, ani chciwa władzy i przemocy, szerzy ona rządy swoje tam jedynie, gdzie potrzeba oświaty jój opieki żąda; gdzie oświecona ludność, dobrowolnie jój władzę uznaje, opierając całą siłę i potęgę swą na miłości i zaufaniu poddanych. Uczestniczka chwały, a obca słabościom rodu ludzkiego, zubożona doświadczeniem wieków, przyspasabia zwolna całą ludzkość do przyjęcia tego światła, które ścisły związek między pomyślnością ludów a udoskonaleniem nauk ukaże i wielbić pozwoli.

„Jakiż to wielki prawodawca, państwa tego ugruntował podstawy? Zkąd czerpał téj wysokiej mądrości prawidła, któremi się ona od tylu wieków rządzi? Na czém oparł silne rękojmie stałości, porządku i jednomyślności wszystkich tego państwa obywateli?

„Wyższa nad poziome domysły władza była prawodawcą wielkiej rzeczypospolitój nauk; ta sama nie pojęta potęga, która człowiekowi czuć i myśleć dozwoliła, zaszczerpiła w sercu jego zdolność i chęć udoskonalenia istoty swojej; a czyste światło, które sprzyja téj dążności, obudza w umyśle uczucie wyższego powołania człowieka, wpaja zamiłowanie nauk i wspiera usiłowania o postęp oświaty. Nie w osobnym zbiorze ustaw piętnem niedoskonałości ludzkiej oznaczonych; nie w pamięci pokoleń, ani w najtrwalszych ręki ludzkiej pomnikach: lecz w sercu człowieka zachowane są te kardynalne ustawy, któremi się naukowa społeczność rządzi. Odwieczny jój prawodawca nie poruczył osobom zwierzchniej władzy tego państwa, lecz oddał pod sąd własnego przekonania i opinii publicznej, wszelkie postęпки jego członków; a ukrywając przed ich

słabym wzrokiem ostateczny stopień doskonałości, rzucił promień światła na drogę, która do niego prowadzi i jeden cel usilnej dążności wszystkich, naznaczył.

„Ktokolwiek poważył się kiedy unieść myśl śmiałą poza granice zmysłowego świata, kogo szlachetny zapał do nauk porywa; komu oświata ludzkości jest drogą: ten zna zapewne obowiązki, jakie naukowa ojczyzna na niego wkłada. Jeżeli zatem zechce badać dzieje światowej polityki, ileżto w niej ważnych znajdzie dla siebie przestróg, które mu wskażą, czego się najbardziej w umysłowym zawodzie wystrzeżać powinien!

„Jeżeli zadziwia pojęcie harmonii, układ całego przyrodzenia, w którym wszystko odwiecznym prawidłem porządku podlega, a nic dowolności zostawione nie jest; jakże smutném dla przyjaciela ludzkości jest to dostrzeżenie: że ludzie w układzie politycznym narodów tego cudownego wzoru naśladować nie umieją! Ukryte są jeszcze w doświadczeniu przyszłych wieków i przyciśnione brzemieniem doznać się mających nieszczęść te zasady, na których się niezmiennosc towarzyskiego układu i pomyślność narodów opierać mają.

„Dowolność—to konieczne słabości ludzkiej następstwo, obala pierwsze społecznego porządku podstawy i piętném niedoskonałości zamiary, działania i same ustawy towarzyskie naznacza. Lecz tam, gdzie panuje władza wyższa nad przymioty i słabości ludzkie, gdzie rozum wodze rządu trzyma: tam dowolność, ani praw stanowić, ani uległości znaleźć nie potrafi. Ukształcony umysł człowieka sięgnął do tajników przyrodzenia, odkrył wszędzie niewzruszony porządek i harmonijne sił działanie, a zamieniając dostrzeżenia swoje w prawdy naukowe, oznaczył nieomylną drogę, którą do udoskonalenia dążyć należy. Odtąd znikła dowolność z przybytku nauki i przekonano się, że osiągnięcie wyższego stopnia doskonałości umysłowej od najtrafniejszego naśladowania natury zależy. Dziś wyższy nawet geniusz, który naukę do téj mety zbliżyć usiłuje, nie może w śmiałym polocie swoim naruszać odwiecznych prawideł porządku.

„Poglądając na rozliczne ludy, na kuli ziemskiej osiadłe, jestże między nimi taki, w którymby albo zupełna bezwładność albo rozdwojenie interesów i brak jednomyślności nie panowały? Rozdzieleni na stronnictwa, synowie jednej ojczyzny, wiodą z sobą spór zacięty o przewagę w sprawach pospolitych o prawomocność zdania, czasem tylko przez namiętności popieranego, a którakolwiek strona zwycięzko z téj walki wychodzi, zawsze pomnik jój tryumfu na grobowcu zgody, jednomyślności i ducha narodowego wznosić się musi. Nie tak się dzieje w świecie naukowym. Są w nim wprawdzie stronnictwa, różne zdania i systemata, są walki na polu nauki o wyższość jednej teorii nad drugą, ale te starcia różnych zdań doprowadzają ostatecznie do lepszego wyjaśnienia prawdy i nigdy klęsk na ludzkość nie ściągają. Jeżeli kiedy powstawał spór o wyższość jednej nad drugą nauki, dowodem tego było, że ci co go wiedli, byli jeszcze cudzoziemcami



w krainie myśli i rozumu; lecz prawdziwy tego kraju obywatel, odda część w czemkolwiek bądź celującemu geniuszowi, a znając ścisły związek między wszystkimi naukami zachodzący, poświęci całą gorliwość téj, która główny przedmiot pracy jego stanowi, a cieszyć się będzie z rychlejszego postępu téj, która się więcej do kresu udoskonalenia zbliża.

„Jeżeli przyjaciel ludzkości smutnym pogląda okiem na granice tych krain, które jedną tylko rodzaju ludzkiego kształciłyby powinny ojczyznę; jeśli widzi w jednych tysiące ludzi w nędzy pogrążonych, dla tego że im pod inną strefą żyznej ziemi zyskownego niewolno szukać zatrudnienia; a u drugich, spostrzega rozproszone po dzikich jeszcze polach, nieliczne i nieoświecone plemiona dlatego, że do nich obcy przemysł i obca oświata trafić nie może: jakże się umysł jego pocieszy, gdy myśl swoją ku téj zwróci strefie, dla której ani przemoc, ani niedołężność, nieodzownej nie naznaczyła granicy; w której geniusz nowe objawiający prawdy, podobny do promienia pogodny dzień zwiastującego, z bogactwa pojęcia, obala przesady, tworzy nowe wyobrażenia i niesie pochodnię światła, między ludzi bez różnicy narodu, wyznania i języka!

„O! trzykroć szczęśliwy ten, kto myśl wolną nad poziom wynieść potrafił i dostrzegłszy harmonijne wszystkich nauk dążenia, im swoje najgorliwsze chęci i wszelkie zdolności poświęcił! Jemu droższą się jeszcze stanie ojczyzna, której lepiiej dług obywatelstwa wypłacić zdoła; on szczerzej zamiłuje bliźnich, których oświecać potrafi; dla niego lżejszym będzie ciężar przeciwności i przygód pożycia, bo je mężniej zniesie, bo łatwiej w sobie samym pociechę w utraپieniu znajdzie. Jego blask dumy nie utudzi, jego wielkość znikomego zaszczytu nie oślepi, bo ani téj nie pozazdrości nikomu, ani przed tamtą nie uderzy czołem. Mierzając rozległość zawodu, jaki ma przed sobą i oceniając słabość sił własnych, przyjmie skromność za godło czynnego życia, a jeśli kiedykolwiek podda posłuszne swe skronie pod bluszcz, którym przyjacielska uwieńczy go ręka, wtedy z trwogą od téj chwili myśleć będzie, czy mu takowego sprawiedliwa nie odbierze potomność.”

W roku 1822 na drugiem z kolei publicznem posiedzeniu Towarzystwa czytałem rzecz: *O poprawie moralnej winowajców w więzieniach*, przedmiot który następnie tak mocno mnie zajmował, a w którym długoletnie doświadczenie przekonało mnie, że to com wtenczas ogłaszał, było tylko marzeniem, dalekiem od wypadków rzeczywistych. W roku zaś 1823 czytałem znowu rozprawę: o kasach zasiłku i oszczędności, chcąc wzbudzić przeświadczenie o użyteczności i potrzebie podobnych zakładów, które dopiero we dwadzieścia lat później udało mi się w życie wprowadzić.

W następnym roku, w którym Towarzystwo mogło już odbywać posiedzenia swe w gmachu własnym, jaki dlań szczodrobliwosc Staszica przysposobiła, powziąłem z kolegami mymi myśl oddania publicznego hołdu czci i poważania temu znakomitemu przyjacielowi ludz-

kości, a to w sposób, aby nie wiedział wcale o tém, że czytać się mia-  
na na publiczném posiedzeniu rozprawa, jedynie temu poświęconą bę-  
dzie. Tę rozprawę przeto napisałem pod ogólnym tytułem „O do-  
broczynnym zakładzie dla rolników” i w niej opisałem zakład Hrubie-  
szowski dla mieszkańców dóbr tych Staszica, przez niego założony.  
Rozprawa ta przeszła wedle przyjętego zwyczaju przez właściwy wy-  
dział, ale bez udziału Prezesa, który niewiedząc co w sobie zawiera,  
w zagajeniu posiedzenia w ogólnych wyrazach tylko wzmiankę o niej  
uczynił. Gdym z kolei zabrał głos i gdym po wstępie przystąpił  
do opisu wzmiankowanej instytucji, niemało zdziwił się zacny jój za-  
łożyciel, i widocznie rozczulony, oparł się na stole, zakrył twarz rękami  
i w tój pozycji przez cały czas mowy mojej siedział, chcąc ukryć  
przed publicznością wzruszenie swoje. Tę przemowę zakończyłem  
następującem wynurzeniem powszechnego uwielbienia, które następnie  
w ogólną oznakę wdzięczności i poważania zamieniło się i przez wszy-  
stkich obecnych tak członków Towarzystwa jako i obcych głośno ob-  
jawioném zostało:

„Oto jest zbiór zasad, które służą za podstawę Towarzystwu  
rolniczemu, przez dobroczynność jednego męża zawiązanemu; oto obraz  
szczęścia i swobody kilkuset rodzinom na wieki zapewnionych: oto ten  
wzór rzadkiej cnoty i prawdziwie ludzkiej instytucji, jaki z chlubą ob-  
cym do naśladowania podać możemy.... Mamże jeszcze wymienić naz-  
wisko tój osady, i jój czcigodnego założyciela? Skromność jego naka-  
zuje milczenie, lecz wdzięczność tylu uszczęśliwionych rodzin i uwielbie-  
nie narodu zbyt głośno same przemawiają, bym ciebie zacny przewodni-  
ku prac naszych czułem nazwiskiem ojca błogostawiących cię Hrubie-  
szowskich pokoleń mianować potrzebował. Uszło baczności twój to pi-  
semko moje, nie wiedziałeś i na chwilę przed zabraniem przezemnie gło-  
su, że o twoim wiekopomnym czynie mówić zamyślam; cierpi niewątpli-  
wie szlachetna skromność twoja na wyrazach czci i uwielbienia, jakie ci  
poświęcam. Ale pomnij, że tylko niezastużona chwała uwieńczonego  
czoła podnosićby niepowinna, że prawdziwa zasługa wobec całego  
świata, równo śmiało jak przed własnym sumieniem, z pomnikiem  
własnych czynów wystąpić może. Pomnij i na to, że te wyrazy są  
zarazem hołdem wdzięczności Towarzystwa, które ci tyle już winno,  
i dzisiaj jeszcze nowy dług, za dane mu schronienie, względem ciebie  
zaciąga; tłumacz uczu kolegów moich, chciałem ci wynurzyć tę wdzięcz-  
ność i to uwielbienie jakimi dla ciebie są przejęci... Mógłżem lepiej  
odpowiedzieć zamiarowi, jak kreśląc wierny obraz jednego z najpięk-  
niejszych dzieł twoich? Możeż wdzięczność tkliwszym przemówić  
językiem, skoro dobroczyńcy swemu za to cześć składa, co on dla in-  
nych uczynił? Nie niosę ci pochlebnych a czczych wyrazów w ofierze,  
lecz wieniec zasługi, jaki koledzy twoi, dziś na sędziwych twoich skro-  
niach złożyć pragną, uwity jest z kwiatów przez ciebie samego na polu  
cnoty zebranych. Żadna zawiść, żadna złość ludzka, ani ci go wydrzeć  
ani zwiednienia onego dopuścić nie może.



„Niechaj ta myśl pocieszająca, niechaj ten swobodny głos wewnętrzznego przekonania, nadgroda twoją będzie; a jeżeli kiedy zapuścisz spokojnie oko twe w daleki zawód przyszłości, ujrzysz tam obok Hrubieszowskich pokoleń, następnych członków Towarzystwa naszego, na jednym ołtarzu hołd wdzięczności składających tobie.”

Posiedzenie, na którém miałem powyższą mowę, stało się z powodu tego poniekąd uroczystym odchodem objęcia w posiadanie gmachu dla Towarzystwa przez Staszica wzniesionego. Po skończeniu posiedzenia tego, nastąpiło osobiste wynurzenie uczuć Prezesowi ze strony wszystkich obecnych członków, za które rozrzewniony Staszic serdecznie każdemu dziękował, a mnie w szczególności uściskał za oddanie mu hołdu powszechnego. Publiczność zaś zwołna rozchodząc się, brała udział w tych szczerych objawach, wszyscy bowiem przejęci byli czcią dla Staszica i widzieli w nim przedmiot poważania dla całego narodu.

Uczucia te nie były zmyślone, ale powiedziałbym wymuszone na każdym i na całej opinii publicznej, przez wpływ jaki wywierać musiał na umysłach rzadki przykład człowieka, który nic nie robił dla siebie, a wszystko poświęcał dla dobra ludzkości i ojczyzny swojej. Mówię że były wymuszone, bo Staszic nie należał do rzędu ludzi, którzy słodyczą charakteru i uprzejmością w obejściu przyciągają do siebie i jedną są sobie przychylności. Pod względem zasad politycznych, nie dzielił on wcale zdań ultraliberalnych, lecz powstając przeciwko despotyzmowi i marząc o usamowolnieniu ludów, był nieraz sam despotycznym w urzędowaniu swoim i z tego powodu licznych miał przeciwników. Powierzchność jego, wprawdzie miła i poważna, była nieraz przedmiotem żartów, w skutku niedbałości o siebie samego, pod względem jużto ubioru, jużto mieszkania i ekwipażu, słowem całego sposobu życia. Gruntownie uczony i opiekun tak nauk, jako téż tych, którzy im się poświęcali, był rzec śmiało można dziwacznym pisarzem, kiedy go porywała poetycka wena opiewania niemiarowym i nierymowym wierszem „Rodu ludzkiego” językiem prawie dla nikogo z ziomeków niezrozumiałym. Pomimo tego wszystkiego, przez niezachwianą prawosć i moc charakteru, przez sposób użycia majątku swego i przez wyrzeczenie się wszelkich względów osobistych dla dobra kraju, zjednał sobie wreszcie takie powszechne poważanie, jakiego nie osiągnął żaden inny pojedynczy obywatel, który stanowczo na los kraju nie wpływał.

Staszic umarł dnia 20 stycznia 1826 roku, przemógłszy szlachetną dążnością swoją nad wszystko, co się w nim współczesnym nie podobało, tak dalece, że zgon jego wzbudził nie tylko żal powszechny, ale i taki szal uwielbienia, jaki się rzadko gdzie i kiedy bez powodu politycznych przy pogrzebie znakomitego męża objawia.

Pogrzeb ten stał się niespodzianie obchodem narodowym, przez nikogo naprzód niezapowiadany, z niczyjéj strony nietamowanym a pomimo tego tak świetnym, i tak jednomyślném uznaniem czci i uwielbienia odbywanym, iżby rozumieć można było, że istniała jakaś



zmowa między całą ludnością Warszawy, celem wyniesienia zmarłego nad wszystkie znakomości krajowe, wówczas przy życiu zostające. Było to tém ważniejszóm, że Staszic, jak to już nadmienilem, nie używał politycznej popularności, że był wysoko ceniony przez władze a w szczególności namiestnika, że słowem nie był tym koryfeem opinii publicznej, którego okrzykami witają i na rękach noszą.

A jednak cała ta ludność stolicy poniosła go do grobu i to o milę drogi, bo od gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk do kościoła księży Kamedułów na Bielanach, przy którym chciał być pochowanym, i dosłownie poniosła go na rękach swoich, bo naprzód członkowie Towarzystwa wynieśli z przedsionku gmachowego ubogą trumnę zawierającą tak drogie im szczątki, następnie oddali ją akademikom, którzy jej nie popuścili aż do samego miejsca wiecznego spoczynku. Za nimi zaś szło kilkadziesiąt tysięcy ludzi przez miasto, w którym wszystkie sklepy były zamknięte; wszyscy pieszo po śniegu w dzień mroźny, jakby na dowód, że żal narodowy tę pielgrzymkę ogółowi nakazał.

Dzień ten liczyć mogę do najpamiętniejszych w życiu mojem, bo nigdy jako mówca nie miałem równego powodzenia, jak wtedy, gdy mi pożegnanie zwłok Staszica w imieniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk przy pogrzebaniu ich w kościele Bielańskim, w zaszczytnym dostało się udziale. Ale do tego przeważnie dwie przyczyniły się okoliczności, to jest: raz, uniesienie, jakim wszyscy uczestnicy w tym obchodzie przejechi byli; powtórne, zapał i miłość uczniów Uniwersytetu, którzy takowemu przewodniczyli. Oni to widząc, że się włączyć nie zdołam do kościoła, porwali mnie na ręce i ponieśli ponad głowami wszystkich aż do katafalku; oni również w ten sam sposób po skończonój mowie, wynieśli mnie z kościoła, z tym jeszcze dodatkiem: że podając sobie mnie nawzajem, każdy odbierający ścisnął mnie i następnemu do uściskania oddawał, a to aż do chwili, w której, z rąk do rąk przerzucany, postawiony zostałem nareszcie na ziemi, przed wykopany Staszica grobem, do którego wpuszczono trumnę ze wszystkiego obdartą, bo akademicy rozerwali pomiędzy siebie i całun i blachy i antaby téj trumny.

Oto jest ta mowa:

„Darujcie jeszcze jedną chwilę rozstającym się z uwielbionym mężem! darujcie mi tę chwilę żałosci! pobłażajcie rozrzuconój wdzięczności, któraby wąpić jeszcze chciała, że przyjaciel ludzi, po nagrodę na łono Boga się przeniósł. Za chwilę spuścimy do grobu to nikome znamię człowieka; usłyszymy przerażające uderzenie świętych brył ziemi o ostatnie schronienie, ręką ludzką dlań zbudowane: za chwilę ujrzymy mogiłę, którą żyzy wdzięczności użyzniać będą. Tak jest: żyzy przyjaźni i wdzięczności, jużto nas przyjaciół Staszica, jużto wszystkich prawych obywateli, którzy wielkość straty narodu cenić umieją. Ileżby możny bogacz dał za jedną żę taką, której całém bogactwem swém okupić nie zdoła.

„Niestety! przerządza się coraz bardziej ten niewielki szereg mężów, którzy ocalali z okropnej powodzi narodowość naszą w otchłań zapomnienia unoszoną, którzy na ojcowskim łonie pierwszą nadzieję odrodzenia narodu wypielegnowali, i z równie wiernym sercem, z równym zawsze poświęceniem, dzieło wiekopomnego Wskrzesiciela Polski wspierali.

„Oto macie przed sobą zwłoki takiego wzorowego syna ojczyzny! Zapytajcie się starszych braci waszych, wy, którzy tak daleko nie zasięgacie pamięcią, jakim był Staszic w ostatnich chwilach gasnącej ojczyzny? Dzieje i pamięć narodu w rzędzie prawych i wiernych jej synów, imię jego umieszczą. Pod obcym rządem, gdy pokój i handel, bogactwo zbierać i trwonić je lekkomyślnie dozwalały, on znaczne dochody swe zaoszczędzać umiał, w nadziei, że one kiedyś w usługę kraju, będzie mógł poświęcić. Jedna myśl tylko wówczas umysł jego zajmowała; wymierzonym był cios śmiertelny na zagładę ostatnich narodowości znamion, trzeba było ocalić język i historią krajową, Staszic więc był jednym z założycieli Towarzystwa, które się temu szczególnie oddało. Widzieliśmy go później, jak z całą siłą doświadczeniem uzbrojonego umysłu, gdy pierwsza, powstania ojczyzny zajaśniała gwiazda, nad przywróceniem narodu pracował. Ów mąż nauki i pokoju wtenczas tylko o wojsku i zbrojnych szykach myślał, gdy wiedział, że jedynie krwią i wojennym znojem, łudzące nas nadzieje ustalić i w rzeczywistość zamienić można było. Gdy więc wielki dawca pokoju Europie i kraj który wskrzesił, darami takowego obdarzył, uznał wtędy Staszic, że szczęście narodu wymagało, aby obywatele jego, krzewieniem oświaty i dźwignią upadłego przemysłu gorliwie się zajęli. Z niezrównanym zatem poświęceniem w urzędowaniu swoim do tego upragnionego zmierzał celu, a to z tém we wszystkich czynnościach publicznych umiarkowaniem, które prawego obywatela i wiernego poddanego znamionują. Z wytrwałością przeto w raz przyjętych przez siebie zasadach, przebiegł on zawód publiczny, zyskał ufność Monarchy, miłość i szacunek współobywateli i rzadki wzór do naśladowania następcom swoim zostawił.

„Najwyższych dostojeństw w kraju, szczytnych znamion zaśluga publicznej, wreszcie obfitych dostatków, wszystkiego tego dostąpił Staszic w ciągu czynnego życia swego; lecz się nigdy dumą nad innych nie wynosił, niczem się z pozoru od pospolitego człowieka nie różnił. Mocno przejęty tą prawdą: że wartość każdego leży w cnotcie, a nie w powierzchownym zaszczycie, nie jaśniał nigdy zewnętrznym blaskiem, ale jaśniał zawsze wielkimi duszy przymiotami.

„Skromny, odzieżą niemal ubóstwa odziany, żadnej wyszukanej potrzeby nieznający i wszelkich przyjemności życia odmawiający sobie, był on bogatym człowiekiem; ale w jakimże celu oszczędzał? w jakim zbierał mienie, gdy sam z niego nie korzystał? Pomniki sławy narodowej, przez niego wzniesione, węzłem przyjaźni skojarzone muzy polskie, wspaniałym przybytkiem od niego uposażone, kil-



kaset rodzin rozlicznych, do rzędu właścicieli ziemi wyniesionych, tyśiące ubogich wspartych, krocie sierot i kalek, najpóźniejszych pokoleń przytułkiem obdarzonych; oto są dzieła jego bogactwa: dla nich on zbierał i oszczędzał dostatki, dla nich się wyrzekł tego co doczesne szczęście ludzi stanowi.

„Miały już starożytne wieki mężów, którzy ze szczytu potęgi i władzy ubogimi do grobu wstępowali; liczyła już ludzkość wielu takich dobroczyńców, którzy spędziwszy życie w swobodnym dostatków używaniu, wielkie majątki swe, wsparciu cierpiących bliźnich, lub dobru publicznemu poświęcali; lecz mało nader w dziejach świata znajdzie przykładów takich, którzyby z uszczerbkiem własnych potrzeb i przyjemności pożycia, na to tylko gromadzili majątek, by go potem jako źródło dobra pospolitego na kraj własny przelać, wtedy gdy już wszelka pochwała i głos wdzięczności narodu obcemi dlań będą. Szczęście się przeto rodacy, bo wy śmiało wyzwąć możecie inne narody, aby wam podobny stawili przykład! bo życie tego zgasłego ziomka waszego piękną kartę w dziejach ludzkości zapełni!

„Szczędząc pozostawionego na użytek publiczny mienia swego, żądał Staszic w objawie ostatniej swój woli, aby pogrzeb jego nie różnił się w niczem od pogrzebu ubogiego chrześcianina; a skromność nie dozwalała mu przypuszczać, że pogrzeb ten będzie tak świetnym i pamiętnym z tytułu hołdu, czci ostatniej, przez tylu ziomków, zasłużde jego oddawanego.

„Żądał złożenia zwłok swoich, wśród tego cichego tu ustroina, wprost w ziemi pod zieloną murawą, a nie pod okazałym głazem, któregoby napisy światowe znaczenie jego ogłaszały. Lecz ta skromna mogiła, jaką dziś uwielbianemu usypać mamy, nie wyjdzie nigdy z pamięci wdzięcznych rodaków. Gdy wiosna świeżemi okryje ją kwiaty, odbędziemy do niej pobożną pielgrzymkę, ocienimy ją drzewy i często nawiedzać ją będziemy, a późne syny nasze przyjdą nieraz spocząć pod nią, powtarzając dzieciom swoim: „tu spoczywa przyjaciel ludzi.”

„My, cośmy nieśli drogie szczątki zawczasie zmarłego, miejmy dożgonnie dzień ten w pamięci naszój; jeżeliby kiedykolwiek, poduszczzenie lub namiętność do niegodnego prawych obywateli czynu podniecać nas miały, niechaj nam wtedy głos sumienia przypomni: tyś dźwigał zwłoki Staszica! a odgłos ten wewnętrznego poczucia, niechaj nas chroni od tego, aby kiedy o nas nie powiedziano: żeśmy ostatniego obywatela do grobu ponieśli!”

Ponieważ mowy tój, osobiście mi nieprzychylny Szaniawski, ówczasowy dozieracz prasy, drukować nie dozwolił, przeto dogadzając życzeniu ogólnemu, znalazłem się w konieczności odwołania się od decyzji wprost do namiestnika, który po oświadczeniu: że mąż tak znakomity i urzędnik tak zasłużony, godzien jest czci jaką mu cała ludność Warszawy oddała, udzielił rzeczzone pozwolenie, objawione mi przez sekretarza stanu w słowach następujących: „Książę JM. Na-



miestnik królewski, poleciwszy odczytać sobie zakomunikowany mu głos W Pana, miany na Bielanach przy zwłokach ś. p. ministra Staszica, rozkazał mi oświadczyć: że nieznalazszy w nim nic takiego, coby wzbraniało ogłoszenie go drukiem, zlecił mi zarazem zawezwać JW. radcę stanu Szaniawskiego, iż jeżelibyś W Pan głos swój chciał udzielić publiczności, przez pisma publiczne, aby mu to wzbronionem nie było."

Był to może jedyny przykład podobnego odwołania się do władzy najwyższej pomyślnym uwieńczony skutkiem, z którego korzystając, zbyt śmiało może poważylem się napisać do Szaniawskiego, że na mocy reskryptu JW. Rady sekretarza stanu, życzę sobie, aby mowa moja miana na Bielanach przy pogrzebie ś. p. Staszica, w piśmie publicznym ogłoszoną była. Jakoż dozwolono mi ją drukować nie tylko w gazetach ale i w oddzielnej odbitce, która dwukrotnie dołączyła wydania.

Dodać jeszcze winienem jedną okoliczność, tyczącą się pochowania Staszica. Wiadomo że w młodym wieku do stanu duchownego przeznaczony wyświęconym został na księdza, lecz nieczując ku temu powołania, bez wystąpienia z niego, zaniechał po jakimś czasie sprawowanie właściwych obowiązków i nosił tylko ubiór duchowny, ale mniej u nas używany, to jest na sposób tak zwanych abbés francuzkich. Za życia jego nieprzedsiębrano żadnych środków, do zwrócenia go na drogę obranego pierwiastkowo stanu, bo wysokie stanowisko jakie zajmował w rządzie, przytem znana niepodległość jego, kazały przewidywać z jego strony opór, jakiego bez oburzenia opinii publicznej nie byłoby się dało pokonać. Milczała przeto najwyższa władza duchowna i dopiero po śmierci Staszica, z polecenia ówczesnego arcybiskupa Skarszewskiego ubrano zmarłego do trumny w ornat i wszelkie insygnia kapłańskie; ale to rozporządzenie spowodowało wielkie niezadowolenie namiestnika, obawiającego się prawdopodobnie, aby wystawienie ciała w stroju duchownym, jakiego nieboszyk nie używał, nie wywołało ze strony wielu niechętnie na to patrzących, rodzaju manifestacji publicznej. Skutkiem tego rozkazał książę Zajączek zabić trumnę i przenieść ją do gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk a tym sposobem cała publiczność stolicy a mianowicie uboższa jej klasa pozbawioną została spełnienia tkliwego obowiązku odwiedzania zwłok i westchnienia przy nich do Boga za duszę tego, którego za dobroczyncę swego uważała.

Nie dożył Staszic chwili, oddania krajowi w posiadanie pomnika Kopernika, którego wzniesieniu, tyle usiłowań i pieniędzy poświęcał. Powiedział on jeszcze w roku 1814 na publicznym posiedzeniu: „Czuje Towarzystwo, iż zależy na obowiązkach narodu i na sławie jego, aby jedyny i w powszechnym sądzie potomności największy dotąd zaszczyt Polaków, Kopernik, odebrał w kraju naszym tę winną mu cześć, jaką podobnym u siebie geniuszom oddały narody Francji, Anglii i Szwajcaryi. W tym zamiarze przedsięwzięto zamysł zbierania ofiar na wystawienie mu pomnika. Uczyniono odezwy do narodu, lecz do-

tychczas z departamentów odebraliśmy tylko 1600 złp., Towarzystwo składa 2000 złp., ogółem jest więc summa 3600 złp.; widzimy więc że zbiór ten jeszcze od celu swego daleki, gdyż koszt dzieła do 36,000 złp. wynosi."

Jakkolwiek tak niedostatecznym był ten fundusz, zamówionym przecież został u Thordwaldsena posąg, który po wielu latach z gipsu wykonany, i do Warszawy odesłany, tam ze spiżu odlany, w roku 1829 wzniesionym został na Krakowskim Przedmieściu przed gmachem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przez cały przeciąg czasu, od chwili powzięcia pierwszej myśli wystawienia rzezonego pomnika, aż do dnia odkrycia go, wiedziano tylko że Staszic nie ustaje w staraniach o dokonanie dzieła tego, ale nie słyszano wcale, aby jakie składki na ten cel do kasy Towarzystwa wpływały; pomimo tego, domyślano się że za oparkaniem okalającym plac przed gmachem jego, musi się wznosić zapowiedziany pomnik, dzieło tak wielkiego mistrza rzeźbiarza, jak i wielkiego obywatela, przed kilku laty przy świetnym okazie czci publicznej do grobu złożonego.

Gdy kryjące posąg wspomniony rusztowanie rozebrano, gdy tylko płócienna osłona na nim pozostała, zgromadziła się jednego poranku, tłumnie ludność Warszawy przed kościoł Świątego Krzyża, w którym odbywało się dziękczynne nabożeństwo, za szczęśliwe dokonanie od tak dawna oczekiwanego dzieła, przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk zarządzzone. Gdy ze stopni świątyni zeszli liczni przyjmujący udział członkowie i na przygotowaną dla nich przed pomnikiem wstąpili estradę, gdy Niemcewicz ówczesny prezes po wzniosłej przemowie dał znak opuszczenia zasłony: w tej samej chwili, ponure dotąd niebo nagle rozjaśniło się i błyszczący promień przedzierającego się przez obłoki słońca, padł wprost na pokazujący się posąg Kopernika. Zdawało się przeto, jakby to niebo chciało razem z nami obchodzić święto wiekopomnego męża, który niegdy szlaki jego mierzył i jak gdyby promiennym światłem na postać uwieńczonego rzuconém chciało objawić, że myślą i dziełem naszym na błogostawieństwo Opatrzności zasłużył.

### Wspomnienia od 1815 r.

Duszą całego warszawskiego towarzystwa, człowiekiem który moralną władzę nad niem piastował i poniekąd w tej mierze za despotę mógł być uważanym, był Niemcewicz. Nawykły do ciągłych hołdów, zepsuty przez kobiety jak pieszczone dziecko, wzbudzał on powszechne poważanie i taką uległość, iż co pochwalił, to było przez wszystkich chwalone, co zganił, to było ogólnie potępione, a kogo dotknął złośliwym dowcipem, jakim karcił wszystkich co śmieli zbaczać z drogi obywatelskich powinności, ten uchodził za potępionego lub śmieszności stawał się ofiarą.

Każde imieniny Niemcewicza były uroczyscie obchodzone z kolei w jednym z pierwszych domów stolicy, w których był ukochanym i poufałym gościem. I tak wojewodzina Stanisławowa Potocka wy-



prawiła na cześć jego wspaniałą ucztę, która jakkolwiekbydź została już opisaną przez kilku kronikarzy, to wszelakoż, choć pobieżną o niej uczynić tu wzmiankę uważam właściwem. Otóż było to wierne naśladowanie obiadu odbytego u króla Zygmunta Augusta, tak jak go opisał Niemcewicz w dziele swém „Jan z Tęczyna.”

Gdy solenizant zaproszony na zwyczajny obiad do wojewodziny przybył na takowy, niczego nadzwyczajnego nie spodziewając się, otworzyły się pokoje głównej sali i weszło niemi kilka dam w starożytnych strojach polskich a za nimi królowa Bona z Barbarą Radziwiłłówną po prawej, i królową Izabelą z synem po lewej stronie. Następnie otworzyły się przeciwległe drzwi podwoje i temi wszedł do sali król Zygmunt August poprzedzony licznym poczem dworzan z marszałkiem dworu na czele, który donośnym głosem zawołał: „Król Jegomość.” Na te słowa zabrzmiały trąby i kotły, król przystąpił do Bony i oddał jój pokłon uszanowania, poczem podkomorzy koronny oznajmił, że dano do stołu. Wtedy, dwu z dworzan zbliżyło się, jeden ze złotą miednicą, drugi z haftowanym ręcznikiem, do króla, który umywszy ręce i odebrawszy od dworzan zdjęte z nich pierwój pierścienie, podał rękę Bonie i powiódł ją do sali jadalnej, gdzie przy dwu zastawionych stołach, zasiadła u jednego z nich rodzina królewska, a pomiędzy nią solenizant, u drugiego zaś osoby składające orszak biesiadny.

Po zajęciu w ten sposób miejsc rozpoczęła się rozmowa dosłownie z powieści wyjęta, do której jedynie w końcu dodano zastosowany do okoliczności ustęp następujący:

Król rzekł do Reja z Nagłowic, którego przedstawiał Ludwik Osiński. „Mości panie z Nagłowic, powinniabyście wezwać Apollina swego i coś pięknego nam powiedzieć, zwłaszcza iż dzisiaj jest to także i święto jednego znakomitego kolegi waszego.” Zagadnięty w ten sposób Rej opowiedziawszy, że Apollo przychodzi do niego z Bachusem, prosił króla o pozwolenie wniesienia zdrowia królowej a następnie odezwał się w te słowa do Jana Kochanowskiego: „Waszmość zapomnij w dniu dzisiejszym trenów, a śpiewaj raczej wesołe piosnki.” Na to Kochanowski odrzekł: „Ja już za stary na to, ale znajduje się pomiędzy nami taki, który piękniejszym od mojego rymem tego dokaże, że dzieje nasze śpiewane będą i w nich może o nas samych wspomni. Tego więc następcy naszego spełnijmy zdrowie. Niech żyje ten, co dzieje nasze poda do dalszej potomności!” Po tych wyrazach, tak król jako i wszyscy obecni, odwiecznemi puharami spełnili wniesione zdrowie, a Osiński odczytał piękny wiersz swój na tę uroczystość napisany. Niemcewicz dotąd milczący lecz mocno wzruszony, rozplakał się rzewnie i pełnemi czułości słowy, wynurzywszy wszystkim należną podziękę, wznosił zdrowie Osińskiego.

W całej tej uczcie wszystko miało starodawną ojczyzną postać, stoły zastawione były bogatemi staroświeckimi srebrami z Willanowa sprowadzonymi; potrawy podawano tylko same polskie, służba cała



przybrana w kontusze lub po tatarsku: słowem cała uroczystość odznaczała się rzadkim przepychem i okazałością, dla podziwiania których po obiedzie mnóstwo zjechało gości na wieczór zaproszonych.

Mówiąc o społecznych stosunkach Niemcewicza, wypada mi także dotknąć prywatnych, osoby i życia jego dotyczących. I tak: w przekonaniu że resztę dni swoich przepędzi w Warszawie, zapragnął on posiadłości wiejskiej w pobliżu jęj położonej, w którejby mógł latem przemieszkiwać. Tym celem kupił sobie w sąsiedztwie Willanowa osadę poprzednio Rozkoszą zwaną, którą od przydomku swego nazwał Ursynowem, a którą okoliczni właściciele mianowali Rusinowem, co wielce drażniło jęj posiadacza i o mało nie skłoniło go do przechrzczenia na nowo tęg siedziby swojej. W niejto corocznie bawił on od wiosny do zimy, swobodny i cichy, obyczajem przodków, wiedąc żywot. Wstawał o piątęj rano i wychodził na przechadzkę w starego kroju kapocie i wielkim słomianym kapeluszu na głowie; o pierwszėj jadał obiad zwykle w gronie przyjaciół, codziennie prawie licznie odwiedzających go; po tym skromnym posiłku, zasiadał z niemi przed dworkiem i pałac fajkę przy prowadzeniu rozmowy, którą ożywiać umiał, rzucał ziarna dla gromadzącego się około niego domowego ptastwa. Domek mieszkalny Ursynowski był ozdobnym, ale całkiem po starodawnemu urządzonym; na bramie jego oraz obok istniejącej studni były Niedźwiadki, jako godło herbu Niemcewiczów, a w jadalnėj salce, *more antiquo* zegar z kukułką, pobudzający tak gospodarza jako i domowników jego do regularnego i jednostajnego życia.

Trzy były główne domy otwarte dla polskiego towarzystwa, to jest dom Zamoyskich, do którego przyłączył się późnięj dom księcia Adama Czartoryskiego, gdy tenże poślubił córkę księżnėj Sapieżyny siostry Ordynata Zamoyskiego; dalej dom generałowej Mokronowskiej, wreszcie dom kasztelanowej Połanieckiej. Oba domy do Puławskiej należące rodziny, były wzorami dobrego tonu, narodowej dąźności i ścisłego zachowania godności towarzyskiej. W zamiarze zbliżania z sobą ludzi nauki, z ludźmi światowými, przyjmowano w gościnnych tych progach, wszystkich odznaczających się zasługami w literaturze i sztukach pięknych, niemnięj obdarzonych wyższemi talentami, choćby jednym i drugim zbywało na tęg ogładzie, jakiej elegancya światowa dopominać się zwykła. Prócz zebrań w podobnych kółkach odbywanych, miewały tam miejsce przy wydarzonych okolicznościach i uroczystościach publicznych, zwłaszcza za bytności w stolicy cesarza, lub ksiąźąt z rodziny jego, wielkie napół urzędowe bale, na których towarzystwo było z różnych żywiotów złożone, lecz zawsze za usilném staraniem gospodyni domu w takiej równowadze względów i uprzejmości utrzymane, że trudno było dostrzedz, którzy z gości byli dlań pożądanšzemi.

Dom Mokronowski był o wiele więcj licznie i codziennie prawie uczęszczanym, ale nie odznaczał się ani rygoryzmem w doborze towarzystwa, ani jakąbądź dąźnością. Był on miejscem zbierania się

wszystkich pragnących wesoło i bez żadnego wymuszenia spędzać czas na zabawach. Bardziej tam zajmowano się miastem, niż krajem, więcej ludźmi towarzyskimi niż politycznymi, przeważniej kroniką zdarzeń domowych, oraz zalotnych powodzeń lub niepowodzeń, niż wypadkami ogólnie społeczeństwo obchodzącymi. Gospodyni domu przyjmowała gości swoich uprzejmie, wymagała mało, pobbiała wiele, zwłaszcza gdy w podeszłym jój wieku, przez zameżcie z młodszym od siebie wojskowym zmieniła nazwisko, i przestała nosić zaszczytne imię generała, który tak piękną w dziejach z czasów Kościuszkowskich zappełnił kartę; czuła wtedy bowiem dobrze, że się także do pobbżania ludzi odwoływać powinna.

Dom kasztelanowej Połanieckiej był poniekąd pomnikiem na cześć dawnych przodków naszych obyczajów, wśród nowoczesnej stolicy, poświęconym. Wszystko w nim było staroświeckiem: szczerość i gościnność w przyjaźni, szanowanie odwiecznych tradycji i podeszłego wieku, prostota i serdeczność w obejściu; służba, sprzęty i meble jakich używano, język którym mówiono, uczucia które objawiano, sądy o ludziach i wypadkach jakie wygłaszano: wszystko to było czysto rodzime, czysto polskie. Codzień otworem stały podwoje komnat kasztelanowej i codzień bywało u niej pełno gości, a pomiędzy nimi nawet takich, którzy szli z przekonaniem, że się tam nudzić będą, każdy bowiem czuł, że istnieje jakiś rodzaj moralnego nacisku na całe towarzystwo warszawskie nałożony koniecznego ucześnieczania do tego starodawnego domu, który był *terra incognita* dla obcych i cudzoziemców.

Prócz trzech powyżej wzmiankowanych domów, był jeszcze jeden który lubo nie miał znaczenia pierwszorzędnego, dostąpił przecież onego skutkiem uczestniczenia doń WKsięcia Konstantego. Był to dom marszałka dworu Brońca, w całym znaczenia tego wyrazu dworaka, który przez próżność i życie nad stan, straciwszy osobisty swój majątek, jedynie z łaski monarszej się utrzymywał i w zamku królewskim mieszkał. Małżonka jego, pierwszego ślubu Grudzińska miała nader zajmujące i powszechnie lubione córki, pomiędzy którymi odznaczała się Joanna, jużto powabem powierzchownych wdzięków, jużto wyższem wykształceniem, jużto wreszcie szczególną słodyczą charakteru i niewymowną uprzejmością w obejściu, do czego łączyła wielką pobożność i nieudaną skromność, które nawet cienia zalotności, rzucić na nią nie dozwalały. Otóż tą, tyle zalet posiadającą osobą, zajął się żywo Wielki Książę i uczucia najczystszej miłości jój poświęcił, a to do tego stopnia, że dla niej wyrzekł się tronu i osobistych związków swoich i połączył się z nią węzłem małżeńskim, aby jak to sam utrzymywał: zapewnić sobie spokojne szczęście domowe, jakiego jedynie pragnął, a do tój pory jeszcze nie znał.

Przedwcześnie długo mówiono o zamiarach WKsięcia, ale nigdy nie podejrzowano Joanny Grudzińskiej o jakąkolwiek zalotność; następnie dziwiono się nadzwyczajnie, gdy zapowiadane małżeństwo

przyszło do skutku i ubolewano nad smutnym położeniem zaślubionej, której nie wrócono pomyślnego losu. Tymczasem te przepowiednie wcale się nie sprawdziły, bo WKsiążę w całym pożyciu z małżonką swą, dawał jej ciągłe dowody najtkliwszego przywiązania i ów pan samowładny, tak popędliwy i srogi, był wzorowym i najlepszym mężem, uległym nawet wybranej przez siebie towarzysze życia a to przez uznawanie rzadkich przymiotów jej duszy, i przez wdzięczność za to że mu nastroczała możność używania szczęścia, do którego sam nie czuł się być powołanym.

Jakiemi WKsiążę przejętym był uczuciami dla księżnej Łowickiej, najlepiej to da poznać następująca rozmowa jego z Niemcewiczem, którą tenże spisał i przyjaciółom swoim udzielił.

Było to na ostatniem posiedzeniu połączonych obu izb, w końcu sejmku w roku 1825 odbytego. WKsiążę rzekł po polsku do Niemcewicza:

— Sejm pięknie się odbył i dobrze się kończy.

— Ale jak WKMość dobrze mówisz po polsku—odpowiedział zagadnięty.

— Nic dziwnego, tak długo już z wami jestem, powinienem być nauczyć się waszego języka; zresztą wszakże jeszcze cesarz Paweł kazał mnie uczyć po polsku. Ale wy macie różne dyalekta. Jednych rozumiem, a drudzy są tacy, których wcale zrozumieć nie mogę. Ty, co prawda dobrze i wyraźnie mówisz.

— Choćbyś WKMość kogoś nie rozumiał, to masz przy sobie tak dobrego tłumacza, który mu wszystko dokładnie wyłoży.

— Kto taki?

— Małżonka WKMości, księżna Łowicka.

— Prawdę mówisz—odrzekł WKsiążę widocznie wzruszony, klepiąc po ramieniu Niemcewicza—co to za nieoszacowana kobieta i jakżem szczęśliwy żem ją dostał za żonę.

— To jest anioł dobroci—odrzekł Niemcewicz.

— Dobrze mówisz, rzeczywiście, tak, anioł dobroci ale czego żałuję, to tego że się po łacinie nie nauczyłem.—To powiedziawszy oddalił się WKsiążę od Niemcewicza, zostawiając go w zadumaniu nad tém, co za związek mógł zachodzić między łaciną a księżną Łowicką?

W lecie 1826 roku umarł Namiestnik Książę Zajączek, w 74 roku życia swego. Nie będąc nigdy pobożnym, zaniedbywał on pełnienie obowiązków religijnych i odmawiał w chorobie ostatniej, przygotowania się na drogę wieczności. Dowiedziawszy się o tém księżna Łowicka, wezwała z Sandomierza tamecznego biskupa Burzyńskiego, który był dawniej jego towarzyszem broni i osobistym przyjacielem, celem pojednania umierającego z Bogiem; ale księżna Zajączkowa odmówiła zrazu dopuszczenia biskupa do męża, skutkiem czego powstała walka pomiędzy obu księżnami, pomyślnie na rzecz powódki skończona, bo namiestnik czując się blizkim końca, kazał sam przywołać Burzyńskiego i z rąk jego po wydysponowaniu się należytem, osta-



tnie przyjął namaszczenie. Po zgonie jego, nie było żadnego żalu, i publiczność mały nader przyjęła udział w odprowadzeniu zwłok zmarłego do rogatek miasta, z kąd do dóbr jego Opatówka, gdzie za życia grób familijny przygotować sobie kazał, odwiezionemi zostały.

Drugiego września tegoż samego roku ogłoszonym został wielki jubileusz, który przez sześć miesięcy miał się w całym kraju odbywać. Obchodzono go z wielką żarliwością i rodzajem nawet nacisku na urzędników, zwłaszcza tych którzy władzy kommissyi oświecenia podlegali; wszystkie szkoły męskie i żeńskie oraz uczniowie Uniwersytetu pod przewodnictwem nauczycieli i profesorów swoich, przyjmowali udział w tym obchodzie uczęszczając we wszystkich procesjach po ulicach, tudzież nabożeństwach po kościołach odprawianych.

Główną promotorką tak gorliwego obchodzenia rzeczzonego jubileuszu była księżna Łowicka, która sama z siebie dawała w tém przykład skruchy i pokory chrześcijańskiej.

### Prace piśmiennicze i czynności moje do roku 1830.

W roku, do którego doprowadziłem dotąd niniejsze pamiętniki, przepołowilem poniekąd życie moje, bo miałem wtedy 38 lat wieku, i najmniej spodziewając się tego doszedłem do kresu, u którego miał się skończyć dotychczasowy mój zawód, a rozpocząć nowy zupełnie odmienny, w którym miałem zyskać dużo na znaczeniu i dostojęństwie, ale stracić daleko więcej, na spokojności i szczęściu osobistém. Tu więc winienem się zatrzymać, aby zdać sprawę z usiłowań swoich piśmiennictwu poświęconych, zanim rozpocznę opowiadać przez jakie koleje przechodziłem w urzędowym zawodzie moim.

Prace moje naukowe, troistego były rodzaju: to jest ekonomiczne, powieściowe i dramatyczne.

W roku 1820 wydałem dla użytku uczniów moich prelekcye ekonomii politycznej, jakie w Uniwersytecie Warszawskim wykładałem, dając im tytuł: „Elementarne zasady gospodarstwa narodowego,” w następnym zaś roku przygotowałem do druku „Gospodarstwo narodowe stosowane, czyli naukę administracyi.” Dwa te dzieła składały jedno czterotomowe, pod ogólnym tytułem: „Gospodarstwa Narodowego,” które zakładałem sobie dopełnić wykładem finansów i nauką policyi, lecz zamiaru tego do skutku nie doprowadziłem i natomiast w miejsce obszernego wykładu pierwszego z tych przedmiotów, wydałem tylko w roku 1824, rys ogólny nauki finansów czyli kompendium téj nauki, mające służyć uczniom moim do zachowania w pamięci, głównych zasad obszernie z katedry im wykładanych. Kres zaś nauki policyi zupełnie wykończony znajduje się w rękopismach moich i pewnie publikacyi nigdy nie dostąpi.

Po kilku latach nauczania teoryi gospodarstwa narodowego, wdług powyżej wzmiankowanego dzieła, przekonałem się o potrzebie

przerobienia go pod względem planu i metody; zamiast przeto wprowadzenia doń odpowiednich zmian, napisałem nowy zupełnie traktat ekonomii politycznej i podług niego przez następne lata wykładałem z katedry tę naukę. Uznawszy zaś, że takowy jest dostępniejszym dla słuchaczy moich, a tem samém lepszym od poprzedniego, postanowiłem poddać go stanowczej próbie, to jest po wytłumaczeniu na język francuzki, złożyć go pod sąd ekonomistów europejskich. Tym sposobem, toż samo dzieło, trzy razy wypracowałem, to jest najprzód: elementarne zasady będące wykładem polskim teorii Adama Schmitha, drukowane jak już wyżej namieniłem w r. 1820. Powtóre, nowe prelekcye uniwersyteckie według własnego już planu podzielone na dwie części, a mianowicie: 1<sup>o</sup> o zasadach bogactwa człowieka w stanie towarzyskim żyjącego i 2<sup>o</sup> o bogactwie narodów, wreszcie trzecie to ostatnie przełożone na język francuzki pod tytułem: *Theorie des richerhes sociales.*"

Sądząc, że Instytut Francuzki zajmuje się ocenianiem prac w rękopismach, przez autora pod sąd jego złożonych, przesałem do tegoż instytutu dopiero co wspomniane dzieło; lecz gdy po roku przeszło oczekiwania, żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, postanowiłem przeto w roku 1828 sam udać się do Paryża celem jużto powzięcia wiadomości co się stało z pracą moją, jużto zajęcia się ogłoszenia jej drukiem. Ta obojętność Instytutu francuzkiego, na dobre mi wyszła, bo żeby ułatwić sobie podróż do stolicy Francyi, przedstawiłem ministrowi spraw wewnętrznych, pod zwierzchnictwem którego pracowałem w wydziale więzień i zakładów dobroczynnych, propozycyę zwiedzenia tego rodzaju instytutów europejskich i zdania o nich sprawy, w razie gdyby rząd podobną misyą, zechciał mi powierzyć. Minister Mostowski, który mnie bardzo ceniał i wszelkie usiłowania moje popierał, wyjednał mi upoważnienie do spełnienia rzeczzonego zlecenia, oraz zasiłek pieniężny na koszta podróży, trzy tysiące złotych wynoszący, na którym poprzestałem, jakkolwiek takowy ani w połowie nawet wydatków na ten cel poniesionych nie pokrył, a to z uwagi, iż w każdym razie w zamiarze wydawnictwa wyżej wzmiankowanego dzieła mego, podróż tę własnym kosztem odbyć byłbym musiał.

Przybywszy do Paryża dowiedziałem się, że rękopism mój oddany dwóm członkom Instytu francuzkiego, przez żadnego z nich przejrzanym dotąd nie został, skutkiem czego zdanie tego uczzonego zgromadzenia o pracy mojej wydaném być nie mogło. Po długich poszukiwaniach nareszcie udało mi się wydobyć i odebrać takowe od p. Fourier, jednego z owych członków i znaleźć wydawcę, który za 1000 franków nabył mój rękopism. Głównie w tej mierze był mi pomocnym p. Julien redaktor naukowego pisma, wielką wziętość w Paryżu mającego, który jużto przez przychylność ogólną dla Polaków, jużto przez wdzięczność że został policzonym do rzędu członków Warsz. Tow. Przyjaciół Nauk, szczerze zajął się tak dziełem, jako i osobą moją. On to, pomieścił w piśmie swoim wyżej wspomnianém, artykuł mój kry-

tyczny o osadach ubogich w Holandyi, które przed przybyciem mojem do Paryża świezo byłem zwiedził i wprowadził mnie na jedno z posiedzeń Towarzystwa Filotechnicznego, na którym dozwolono mi odczytać wstęp do drukować się mającego dzieła. Odczyt ten podobał się powszechnie i nietylko ułatwił mi rzeczony wydawnictwo, lecz nadto sprowadził, iż wzmiankowane Towarzystwo obrąło mnie członkiem swoim i następnie stosowny na to patent do Warszawy mi nadało.

Tym sposobem, osiągnąwszy cel główny, jaki mnie do Paryża sprowadził i spełniwszy zarazem poruczenie Rządu zwiedzenia zakładów dla ubogich i więzień w podróży mojej po niektórych krajach Europy odbytej, powróciłem do Warszawy, i złożyłem ministrowi Mostowskiemu zdanie sprawy z téj misyi, które później to jest w r. 1830 drukiem ogłosiłem.

W tymże samym roku w Paryżu, ukazało się na świat dzieło moje wyżej wspomniane, to jest Teorya bogactw towarzyskich, w roku poprzednim 1829 jeszcze drukowane. Wszystkie niemal uczone i niektóre polityczne pisma paryzkie, zamieściły pochlebną o pracy mojej wzmiankę i w ogóle w artykułach tych podziwiano jasność wykładu, oraz łatwość władania językiem francuzkim; co przypisywano głównie temu, że wykształcenie moje Francyi i jej uczonym zawdzięczać winienem. W piśmie włoskiem: *Miscelanea di economia publica Luigi Bianchi Neapoli 1836*, znajduje się także długa recenzya dzieła mego, wreszcie, w wydanym w r. 1853 w Paryżu Dykcyonarzu Ekonomii politycznej pp. Coquelin i Gillaumin, z prawdziwą przyjemnością znalazłem nietylko liczne wyjątki z dzieła mego, lecz i pod nazwiskiem mojem, szczegółową biografią życia mego.

Ponieważ prelekcye moje w Uniwersytecie były zawsze licznie uczęszczane nietylko przez akademików, ale i przez wolnych słuchaczy, i co rok wychodziło z niego po kilkudziesiąt usposobionych uczniów, kandydatów na wyższe urzędy, którzy bądź przy wejściu do służby, bądź przy posuwaniu się w niej, obowiązani byli składać egzamina; przeto musieli się oni obznajmiać z naukami administracyjnymi, a tém samém, czerpać potrzebnych im wiadomości w dziełach odpowiedniej treści, skutkiem tego, można było liczyć na odbyty tego rodzaju publikacyi. Okoliczność ta przeto spowodowała mnie do wydawnictwa Dykcyonarza Ekonomii Politycznej, podług podobnego dzieła Ganilha, znacznie przezemnie pomnożonego, i takowe prowadziłem w latach 1827 i 1828, w zeszytach tygodniowych, po cenie złotego jednego za każdy zeszyt. Wydawnictwo to miało taką wartość, że wszystkie egzemplarze z łatwością umieszczałem; i na tém przedsięwzięciu daleko lepiej niż na innych wyszedłem.

Wspomniałem dopiero co o egzaminach wyższych, przez urzędników składanych; otóż do słuchania onych, ustanowioną była przy Radzie Stanu najwyższa Komisya Egzaminacyjna, złożona nietylko z Członków Rady, lecz i z profesorów Uniwersytetu, oraz urzędników



technicznych, przybieranych do składu Komisji w razach egzaminów specjalnych. Zostawała ona pod przewodnictwem Staszica i ja do rzędu stałych jej członków należałem. Zadanie to nie było łatwem, gdyż wypadało egzaminować wszystkich urzędników administracyjnych pod względem usposobienia ich naukowego; a że po większej części, starsi wiekiem niż urzędnicy, prawie żadnego takiego usposobienia nie mieli, zachodziła przeto potrzeba nader względnego ich badania i niewymagania od nich wiadomości, jakie się tylko w młodym wieku z łatwością nabywają.

Obok zajęć urzędowych, oraz prac w naukach ekonomicznych, z obowiązków nauczycielskich moich wynikających, pisałem powieści i komedye, które za rozrywkę w pełnieniu wszelkiego rodzaju obowiązków moich poczytywałem. Literackie te prace zajmowały mi wieczory, jakich nigdy nie byłem skłonny przepędzać w zwykłych zebraniach tak zwanego wielkiego świata, przez co zdołałem osiągnąć wielką oszczędność na czasie, przeznaczonym dla mnie na tej ziemi i użytkować chwile, marnie przez tylu ludzi tracone.

Wziętość europejska, jaką miały podówczas dzieła wielkiego *nieznajomego* (Walter-Skotta), wzbudziła we mnie chęć naśladowania go w powieści historycznej polskiej, w której równocześnie już inni pisarze polscy, a mianowicie Bernatowicz (w Pojacie), wystąpili. Ten rodzaj więcéj wymagał poszukiwań i pracy, niż obyczajowy, skutkiem czego, mniej on zjednał mi przychylnego uznania (co zresztą za sprawiedliwy sąd opinii publicznej uważać muszę), niż ostatni.

Pierwsza historyczna powieść moja, *Tarlo*, wywołała ostrą krytykę, po części osobistą niechęcią ku mnie piszącego, powodowaną, która jednak nie przeszkodziła szybkiemu rozprzedaniu pierwszej edycji i nawet uważaną była za niesprawiedliwą, skoro jeden ze znakomitych ludzi owego czasu (Bonawentura Niemojewski, znany poseł opozycji), odpisał na tę zbyt tendencyjną krytykę, broniąc potępioną pracę moją.

Druga powieść historyczna moja, *Ruszczyć*, osnuta na krótkiej relacji o wyprawie wojaka tegoż nazwiska, do obozu tureckiego pod Wiedniem, miała większe od poprzedniej powodzenie, lubo, jak się to często dziać zwykło w utworach tego rodzaju, opierała się na zmysłowej skłonności księcia Jakóba Sobieskiego do bohaterki romansu, co się wcale z prawdą historyczną nie zgadzało. Wiele szczegółów tej powieści, mogły się zdawać również zmyślonemi, a jednak tak nie jest: bo je wyjąłem z mało znanych pamiętników Okonora, doktora króla Jana III, a mianowicie opis pobytu królowej Maryi Kazimiery u wód Szlązkich w Warmbrunn.

Pierwsza z dwóch dopiero co wzmiankowanych powieści, to jest *Tarlo*, wytłumaczoną została na język francuzki przez panią Melanię Walder i drukowaną w Paryżu w roku 1834. Ale autorka francuzka uważała właściwém, jak się to wyraziła w przedmowie: „dodać trochę miłości do stronnictw, zbyt przesiąknięch krwią bitew i pisany sty-

lem zimnym i lakonicznym historyi;“ nadto, wypuścić w przekładzie swoim fakt rzeczywiście historyczny, o zapomnieniu księżniczki Maryi, późniejszej królowej francuzkiej, w żłobie karczemnym, przy nagłym uchodzeniu rodziny królewskiej z Warszawy, bo prawdopodobnie ten szczegół zdawał się jej być zmyślnym.

Te dwie powieści historyczne przerwały szereg powieści moich obyczajowych, które więcej odpowiadały usposobieniu memu i większe zapewniły mi powodzenie literackie, mianowicie z ogłoszonych drukiem przed *Tarłą: Pan Antoni, Podróż bez celu, Pan Starosta*; ostatnia takiego doznała ogólnego uznania, że niepowiniem był nigdy opuścić tego rodzaju piśmiennictwa; jakoż też wróciłem się do niego, niezszedłszy już więcej z tej drogi.

Z powieści powyższych dwie przełożone na język niemiecki przez Edwarða von Lossow, to jest: *Die Reise ohne Ziel, aus dem Leben i Der Starost und sein Nachbar, ein Roman*, wyszły w Berlinie w r. 1845, i dopiero po ogłoszeniu ich drukiem przez tłumacza, osobiście mi doreczone zostały.

Z dalszych powieści obyczajowych, napisałem trzy mniejszego rozmiaru, a mianowicie: *Narzucona i odebrana* <sup>1)</sup>, *Historja wielu małżeństw, Chwila weselości*. Pierwsza z nich osnutą została na prawdziwem zdarzeniu, jakie miało miejsce w ostatnich czasach panowania Stanisława Augusta. Wystawione w niej osoby, t. j. Księżę, Wojewodzina, jej córka i August, były wszystkim ówczesnym dobrze znane, i jedynie przez poszanowanie stosunków familijnych, dotąd jeszcze istniejących, nazwisk ich nie wymieniam. Szczegóły i następstwa dramatu tego były mi opowiadane przez współczesną damę, która patrzyła na to, co się w tej rodzinie działo.

W *Gazecie Codziennj* z roku 1855, znalazłem obok wspomnienia ogólnego o pracach moich literackich, następujące zdanie o *Narzuconej i odebranej*:

„Jest to mała powiastka, a raczej dramat opowiedziany, ale tyle zawiera w sobie życia i prawdy, tak zręcznie i trafnie zastosowaną w niej jest gra fizyognomij do uczuć i wrażeń prawdziwych czy zmyślowych, a gnieźdzących się w duszach osób w niej występujących, że prawie spogląda się na ich ruchy, słyszy głos, czuje łyż lub radość i przenika do dna najskrytsze tajniki serca.“

Przywodzę to zdanie, bo mi się nie zdarzyło spotkać raz drugi krytyka, któryby tak poznał i wniknął w myśl autora, bo właśnie w powiastce, o jakiej rzecz idzie, założyłem sobie głównie malować na zewnątrz człowieka: w twarzy, w mowie i ruchach, to co się w duszy jego dzieje, tudzież co on wykryć lub ukryć pragnie; zatem pożądaný cel osiągnąłem, skoro usiłowania moje w tej mierze tak właściwie ocenionemi zostały.

<sup>1)</sup> Dwie pierwsze długo leżały w manuskryptach i daleko później drukowanemi były. (przyp. syna autora).

Ani *Historya wielu małżeństw*, ani *Chwila weselości* <sup>1)</sup>, nie mają już podobnych dążności i są tylko zwykłemi powieściami, przedstawiającemi zwyczajne wypadki w stosunkach przed-mażeńskich, które natchnione mi były przez rzeczywiste wydarzenia, oraz chęć odwzoro-  
wania osób, pomiedzy któremi żyłem.

W owych czasach wpadł mi w ręce rękopism księdza Kitowicza: *O zwyczajach i obyczajach polskich za króla Stanisława*, pisany z wielką prostotą, bez żadnej krytyki, oraz zdania o faktach przedstawianych, stanowiący bardzo szacowny materyał dla pisarzy, pragnących opisywać tę epokę, z którego i ja postanowiłem korzystać w zamierzonej nowój powieści mojej. Założyłem sobie w takowej, przedstawić człowieka nieudolnego i zupełnie głupiego, który nic z siebie samego ani przedsięwziąć, ani nic sam dokonać nie zdoła, ale którego los ślepy i wypadki tak popychają w życiu, że dochodzi do tego, czego nigdy spodziewać się nawet nie mógł. Podług téj danej przeto, przeprowadziłem *Życie Feliksa Faustyna Dodosińskiego* przez czasy i obyczaje, które rzeczony ksiądz Kitowicz tak dosadnie opisał, za czém idzie, że powinienem był się podzielić z tym Pijarem powodzeniem, jakie miała ta praca moja. Zacząłem ją pisać przed wyjazdem moim do Petersburga w r. 1830, a skończyłem ją dopiero po powrocie z téj stolicy następnego roku. Ponieważ dla niezależnych odnienie przyczyn, a głównie z powodu wysokiego stanowiska, jakie wtedy zajmowałem miałem, zachodziły trudności w ogłoszeniu drukiem powieści téj w Warszawie, przeto powierzyłem ją podówczas bawiącemu chwilowo w tém mieście, czcigodnemu Edwardowi Raczyńskiemu, który zmyśliwszy w przedmowie swój bajeczkę o niewiadomym autorze dziełka tego, wydał ono własnym kosztem we Wrocławiu 1838 roku. Następnie w r. 1844 wyszło takowe w Berlinie w przekładzie niemieckim, przez Antoniego Mauriliusa dokonany, p. t.: *Leben und Schicksale des Feliks Faustin Dodosinski von Dodoscha, ein humoristischer Roman*.

W roku 1829, niejaki Milewski powziął był myśl utworzenia drugiego teatru w Warszawie w sali gmachu Towarzystwa Dobroczyńności, z zamiarem przedstawiania w nim małych komedyi i komedyoper, do czego użył tak prowincjonalnych aktorów, jakotéż i poczynających uczniów ówczesnej Szkoły Dramatycznej Warszawskiej. Z początku uczęszczała publiczność na ten nowy teatr z dążnością wyszydzenia tych nieudolnych artystów; ale wkrótce zaczęła uznawać że są niejaki pomiedzy nimi talenta, tudzież że drugi teatr był potrzebnym i mógłby się utrzymać w stolicy. Skutkiem tego, Dyrekcyja narodowego teatru okazała się skłonną do objęcia pod swój zarząd prywatnego przedsiębiorstwa Milewskiego, i do urządzenia w pomienionój wyżéj salce drugiego teatru, który niewłaściwie, na wzór francuzkich *Varietés*, nazwano teatrem Rozmaitości. Zamierzono bowiem

<sup>1)</sup> Drukowana jeszcze w roku 1822.



otworzyć teatr ludowy, dostępny, dla niskich cen wejścia, dla mniej zamożnych klas ludności i mający przedstawiać sztuki łatwiejsze do pojęcia każdego, a zarazem malujące obyczaje ludowe, na umoralnienie których wpłynąć chciano. Ale znowu sama lokalność nieodpowiadała zamiarowi temu, bo tego rodzaju teatr powinien być obszernym, aby wielka liczba uczęszczających doń, pokrywała koszty przy możliwie niskiej cenie biletów; salka Dobroczynności zaś była zbyt małą, i tylko szczupłą ilość słuchaczy mniej płacących pomieścić w sobie mogła. Dla tego ów ludowy teatr stał się rzeczywiście teatrem rozmaitości, to jest siedliskiem rozznaitej klasy społeczeństwa, przeważnie wszakże wykształconej i nawet z wyższego towarzystwa, skoro Dyrekcyja zdołała obsadzić skład artystów prawdziwemi talentami scenicznymi, oraz trzymać się stale tej zasady, aby przedstawiać same sztuki wesołe, mające więcej zabawę publiczności niż wyszukany efekt dramatyczny na celu.

Powstanie tego nowego teatru wzbudziło we mnie chęć pracowania dla sceny narodowej. Stosując się do pierwotnego założenia otwarczenia sceny ludowej, napisałem pierwszą sztukę dla Teatru Rozmaitości z żywego obrazu, jaki miałem w jednym ze straganów, obok którego często przechodziłem, i moja *Intryga w straganie*, w październiku 1829 r. po raz pierwszy przedstawiona, wprowadziła na deski teatralne osoby codziennie na bruku widziane, jako to: przekupkę, szewca, dorożkarza, grajka i kucharkę, które weselej przez publiczność przyjętemi zostały, niż niejeden bohater wielkiego dramatu. Sztuczka ta, do której, po pierwszym jej przedstawieniu, dorobiłem śpiewki, miała długo wielkie powodzenie, głównie może dla gry takich artystów, jakimi byli: Panczykowski, Majewski i Niwiński; ten ostatni, bardzo znakomity komik, zawczasie dla sceny zmarły.

Z powodu doznanego tego powodzenia, przypomniałem Dyrekcyi Teatru, że przed kilkoma latami przesałem był jej bezimiennie jednoktowa komedya, p. t.: *Popas*, której do owego czasu nikt nie był jeszcze czytał, a którą zaledwo odszukano w papierach biblioteki teatralnej. A jednak była to mała dramatyczna praca, która wkrótce po *Intrydze w straganie* przedstawiana, miała nadzwyczajne powodzenie, i w krótkim przeciągu czasu kilkadziesiąt razy powtórzona, prawdziwą u publiczności nowego teatru zjednała mi wziętość.

Raz zachęcony, nie ustawałem już przez resztę życia mego w pracach dramatycznych, od których mnie, ani późniejsza nieprzychylność Dyrekcyi teatralnej, ani mniej sprawiedliwa krytyka, odstraszyć już nie zdołały; bo zwykle miałem za sobą przychylnie uznanie publiczności, która licznie na sztuki moje uczęszczała. W ciągu lat 1829 i 1830 przedstawiono w teatrze Rozmaitości siedm sztuk komedyj moich, to jest, prócz dwu już wyżej wzmiankowanych, następujące: *Biuraliści*, w której założyłem sobie wyszydzić język i pedan-

tyzm biurowy, wielce wówczas, zwłaszcza po mniejszych urzędach, krzewiący się; *Nieproszeni goście*, napisaną wyłącznie dla Panczykowskiego, aby uwydatnić bardziej zdolność jego w przedstawianiu chłopów polskich; *Piętnaście lat życia lokaja*, trzyaktową sztukę ze śpiewkami, która była naśladowaniem wystawianych w Wielkim Teatrze *Piętnastu lat życia szulera*, z dążnością moralną dla klasy służących; *Co głowa to rozum*, przysłowie jednoaktowe, napisane poprzednio dla teatru amatorskiego, które ustąpić musiało pierwszeństwa sztuczce, również w tym celu przez Niemcewicza przygotowanej; i nakoniec *Pan domu*, satyryczna komedyjka, z prawdziwego zdarzenia wzięta, która długo bawiła ówczasową publiczność, znającą dobrze osoby, do których satyra ta się ściągała.

## ANGIELSKIE KASY OSZCZĘDNOŚCI \*).

PRZEZ

*D-ra Ochenkowskiego.*

Równocześnie z wielkimi wypadkami na polu przemysłu angielskiego, zmieniającymi dotychczasowy jego powolny bieg na szybkie tempo, a prowadzącymi go koniecznie do wielkiego rozwoju, pojawia się teoria ekonomiczna, targająca dawne więzy, a natomiast ogłaszająca jako prawdę, swobodne działanie sił indywidualnych w niczém nieskrępowaném współzawodnictwie.

Oba objawy wydały się jakoby wolny oddech po długo ścisających kleszczach; jako zwyciężenie, z jednej strony, trudności stawianych przez przyrodę; z drugiej zaś strony jako zerwanie z urządzeniami socyalnymi, niedającymi wybiez swobodnie ponad regułę, indywiduom wysuwającym się na szersze pole. Wypuszczone tym sposobem siły na wielką arenę musiały wydać wielkie skutki; jednakże nie bez cierpień i bólu, znamionujących wielkie przeobrażenia. Przemysł wsparty wynalazkami rozkrzewił się niezmiernie, bacząc szczególnie na krótki czas jednego stulecia, przedzielającego nas od owęj epo-

\*) Historyczny przebieg instytucji kas oszczędności, wyjęty jest z rozpraw parlamentu, zawartych w Hansard. Parliamentary Debats.

ki, zmienił postać świata zewnętrznego i stosunki społeczne. W polocie jego tkwiła wyraźnie i koniecznie dążność do emancypacji indywidualuów, wyzwolenia ich z więzów dotychczasowych instytucji, łączących je w grupy, z których wydostać się było trudno. Z owymi grupami w kształcie korporacji, cechów, patryarchalnych związków czeladzi i majstrów, nowy przemysł iść ręką w rękę nie mógł. Tyle on przedstawiał sposobności do popisu dla wysień indywidualnych, tyle nadziei dobrego ich skutku, że w obec tego nadwątlone już starodawne urządzenia pękały z wszelką łatwością. W tym stanie rzeczy, teoria ekonomiczna, o którejśmy wspomnieli, musiała być przyjętą, jako odpowiadająca objawom życia rzeczywistego.

Obie te dążności rozwiązywały związane, wypuszczały z klatki zamknięte siły do wypróbowania się z sobą. Z tej tylko strony uważane, nie dawały one jednak jeszcze żadnej spójni; a stawiając na piedestale pojedyncze siły każdego indywidualu przeciwko milionom podobnychże sił, rozsianych po całym społeczeńskim przestworze, atomizowały i rozbijały go na drobne części. Proces ten, który wracał nas niejako do czasów przedhistorycznych walki pojedynczych między sobą, w którym wypadek współzawodnictwa, bez niczyjej pobocznej interwencji, zależał od sił pojedynczych zapaśników, obudził reakcją, skierowaną głównie przeciwko jednostronnemu wykształcaniu się dążności walczenia na własną rękę i decydowania we własnej sprawie.

Wystąpienie to zawdzięczyć należy pewnej partii ekonomicznych pisarzy niemieckich, atakującej często zawzięcie tak zwaną szkołę Smith'a, głoszącą panowanie wolnego współzawodnictwa jednostek między sobą. Zasluga tu leży pod względem teoretycznym, w odwróceniu umysłów od gonienia w jednym wyłącznie kierunku; pod względem zaś praktycznym, w odwróceniu od pozostawienia jednostek na los pojedynczo podniesionej walki, jak gdyby społeczeństwo nie istniało i węzły jego do niczego nie obowiązywały. W teorii ta akcja nie wydała jednak nic nowego i jasno określonej idei i w szczególach przeprowadzonej, którąby przeciwko dawniej postawić można, dotąd nie znajdujemy.

Na polu działalności czysto praktycznej reakcja wydała bezporównania więcej, jakkolwiek nie wiemy, czy wyraz *reakcja* jest tu właściwym i czy nie wypada go raczej zastąpić — kształceniem się instytucji i stosunków podług naszych objawów i potrzeb życia? W tém znaczeniu praktyka znacznie wyprzedziła teorię. Instynkt zachowawczy, że użyjemy tu tego popularnego wyrażenia, mówił dosyć jasno, że na ową grę współzawodnictwa jednostek muszą być pewne granice, i dla tego anti-indywidualna dążność (nazywamy ją tak, dla odróżnienia od tamtej), w praktyce zaczyna się daleko wcześniej, jak teoretyczna reakcja, o której mówiliśmy. Zaczyna się ona, rzecz można, od zerwania dawnych węzłów w skutek nowego obrotu rzeczy.

Owe indywidualne siły nie mogły być puszczane samopas, ale raczej znów skupiane i do socyalnej organizacji wcielone. Tym spo-



sobem postępując, niepodobna było zapewnić zupełnej niezależności każdej jednostce z osobna; ale trzeba było wytworzyć instytucje, któreby, gromadząc wysilenia indywidualne, służyły dla wszystkich i dla każdego, zapewniając i podnosząc niezależność jednostki. Do zbiorowych tych instytucji przychodzą jednostki, podnosząc je całą potęgą rozwiniętej indywidualności, i dla tego urządzenia na tej zasadzie postawione, przedstawiają ową siłę i wielkość, jakiej w dawnych nie spotykamy.

Chcemy przedstawić tu w krótkości jedną z takich instytucji, która, zdaniem naszym, wymaganiom naszego stanu rzeczy w znacznej części odpowiada.

Od końca już XVIII wieku prawodawstwo angielskie poczyną myśleć o potrzebach klas robotniczych, zarysowujących się coraz wyraźniej, w skutek zmiany w stosunkach ekonomicznych, jako oddzielna warstwa ludności, nie złączona już, jak dawniej, urządzeniami socjalnymi z kapitalistami, ale przeciwnie, wrogo przeciwko tymże stojąca. Spotykamy między innymi prawo z r. 1795, odnoszące się do stowarzyszeń wzajemnego wsparcia (*Friendly Society*); a obok tych kroków na polu prawodawstwa, ożywione szlachetną myślą osobistości, zaczynają pracować nad podniesieniem klas uboższych i zaradzeniem im w nędzy i upadku. W 1799 r. powstaje w Wendarer instytucja podobna do kass oszczędności, później po całym kraju rozgałęzionych; inna znów założoną jest w r. 1804 w Tottenham; dalej w 1808 w Bath; a w 1810 r. w Dumfries-shire. Kasa w Fottenham, która za wzór ówczesnych kas oszczędności służyć może, została założoną przez sześć osób, stanowiących niejako radę nadzorczą (*trustees*). Każda z nich gwarantowała 100 funtów szt. (£), a gdyby depozyta miały przewyższać 600 £, nowy członek, podobnie 100 £ gwarantujący, miał być przyjęty. Założyciele ci decydowali we wszystkich sprawach, odnoszących się do zarządu i sposobu użycia depozytów, od których płacili 5% <sup>1)</sup>.

Początkowe kilkanaście lat naszego stulecia, wykazują tak w Anglii, jak i w Szkocji, gorliwych promotorów kas oszczędności; w parlamencie zaś na sesji 1807 r., daje się w tym przedmiocie słyszeć wymowny głos p. Whitbread. Mówca, należący bezwątpienia do wybitniejszych osobistości w tej epoce, nie ubogiej w parlamentarne talenta, przedstawił na posiedzeniu 19 lutego we wniosku swym, rzecz można, cały system podniesienia niższych klas. Nie możemy go podać nawet w streszczeniu, zanadto bowiem odprowadziłoby to nas od przedmiotu, ale w owym systemie, na czele którego stoi sprawa wychowania ludowego, znajduje się dział poświęcony kasom oszczędności.

Wnioskodawca pragnie „pobudzić robotnika do zdobycia własności, ażeby zakosztował jęj słodyczy, i dać mu najzupełniejszą pewność jęj posiadania; chce złagodzić więzy ścieśniające i hamujące jego działalność; przedstawić jego oczom zaleźną nędzę jako upadek, a w każdym razie, jako stokroć gorszą rzecz od niezależnej pracy.“ W przekonaniu p. Whitbread, najodpowiedniejszym przedmiotem własności dla robot-

<sup>1)</sup> Funt szterling = 40 złp., szyling 2 złp., pens 5 groszy.

nika jest pieniądz, wypada tylko obmyślić plan „za pomocą którego oszczędności ubogiego byłyby pewnie i korzystnie umieszczone.“ Mała ilość oszczędności „pochodzi w znacznej części z trudności umieszczenia małych sum.“ Te i tym podobne powody odprowadzają od oszczędzania, skłaniając zarazem do nieogłędności. Dla utrzymania więc pierwszej i usunięcia drugiej, mówca przedstawia swój plan w streszczeniu, zasadzający się na „jednej wielkiej narodowej instytucji na podobieństwo banku, wyłącznie na użytek i korzyść klas roboczych. Ma ona znajdować się w stolicy pod zarządem i kontrolą właściwej władzy.... w celu, ażeby każdy.... utrzymujący się głównie lub jedynie z własnej pracy, miał prawo złożyć do tego *funduszu biednych* każdą kwotę: zaczawszy od 20 szylingów, nieprzechodzącą jednak 20 £ rocznie, a w ogóle 200 £. Cała summa, złożona tygodniowo, ma być umieszczona w trzy-procentowych papierach publicznych... Dla uniknięcia drobnych wypłat, procenta, zaczynając dopiero od 10 szl., mają być wypłacane. W projekcie przedstawionym przez wnioskodawcę, urzędy pocztowe wskazane są jako organa przyjmujące i przekazujące depozyta, ażeby tym sposobem stworzyć najłatwiejszy i najszybszy środek komunikacji ze stolicą, to jest z bankiem centralnym.

Pomimo że projekt ten nie wszedł w życie, wspomnieliśmy go jednak więcej szczegółowo, ponieważ wskazuje zasady, na których przyszła działalność prawodawcza w tym przedmiocie się opierała, a nawet środki, które w pięćdziesiąt kilka lat później rozwinięte i w życie wprowadzone, stanowią podwaliny dzisiejszego systemu angielskich kas oszczędności.

Po uciszeniu się wojennej wrzawy i zwróceniu umysłów przeważnie do spraw wewnętrznych, parlament zajmuje się w 1816 r. nowym w tym kierunku wnioskiem p. George Rose: (*For the protection and encouragement of provident Institutions or Banks of Savings*). Istotnie, kwestya oszczędności nie mogła w ową epokę pójść w zapomnienie; obraz bowiem rosnącego proletaryatu, stawał w postaci datków zwiększających się o miliony na wsparcie ubogich, jasno każdemu przed oczy. Oszczędność, ogłędność na przyszłość klas roboczych, przedstawiały się jako środek przeciwko zastraszającemu swemi rozmiarami proletaryatowi. Widzimy też w mowach pp. Whitbread i G. Rose kasom oszczędności nadane znaczenie *antidotum*, i rozwiniętą wyraźnie myśl, że zorganizowanie, podniesienie i rozwinięcie ich z czasem zdoła nawet usunąć ciężar wsparcia ubogich, leżący na społeczeństwie. Niezawodnie w umysłach promotorów znaleźć można pewną dozę apostołskiej gorączki; ale widzimy jednocześnie gdzieindziej, jeżeli nie te same pomysły, to przynajmniej produkta z podobną ideą, a jako przykład, przytoczyć możemy myśl wyrażoną w sprawozdaniu komisji do zbadania praw dotyczących ubogich (*Poor-Laws*) z r. 1817. Komisya uznając wielkie usługi kas oszczędności i stowarzyszeń wzajemnego wsparcia, i w dalszym ciągu doradza ustanowienie przez władze rządowe, we wszystkich parafiach podobnych kas i stowarzyszeń, które przyniosą oprócz tego więk-



sze korzyści, jak zakłady prywatne, aby tym sposobem pociągnąć, pobudzić do oszczędności i odkładania na złe czasy.

Wobec zmagającego się szybko ciężaru ubóstwa, myśl utworzenia dla oszczędności instytucji publicznej podnoszoną była, jak widzimy, niejednokrotnie, a interwencja państwowa stawała się, rzecz możemy, konieczną; dla tego, chociaż wniosek p. G. Rose nie przeszedł w r. 1816, to jednak prawie bez zmian uzyskał większość w roku następnym. Nowa ustawa, przez zakaz wynagradzania członków rady (*trustees*), jakoteż zakaz ciągnięcia wszelkich materialnych korzyści z przedsiębiorstwa utrzymała dobroczynny i prywatny charakter istniejących zakładów, ale i komisarze do zmniejszenia długu publicznego (*Commissioners for the Reduction of the National Debt*), zostali jednocześnie upoważnieni do przyjmowania kapitałów od kas oszczędności i zakupywania za nie papierów długu publicznego. Kasy otrzymywały w takim razie 4 £ 11 sz. 3 pency % z prawem żądania wypłaty kapitałów w każdym czasie.

Był to pierwszy krok na drodze organizacji tej instytucji i zajęcia się nią przez państwo, a za nim poszły następne. Już bowiem w r. 1824 spotykamy nowe prawa. Ówczesny kanclerz skarbu angielskiego, w mowie 7 maja, podnosząc wysokie korzyści socyalne kas oszczędności, porusza potrzebę usunięcia majątnych z udziału w korzystaniu z dobrodziejstw i kwestyę odpowiedzialności stojących na czele kas w obec depozytaryuszów. Ustawa tego roku odpowiadała w części podniesionym wymaganiom; przepisuje bowiem *obowiązkowe* przeznaczenie kapitałów deponowanych do rąk komisarzy, na zmniejszanie długu państwa i określa roczne *maximum* wkładek na 50 £, w latach następnych na 30 £, tak jednak, żeby ogólna suma deponowana przez każdego pojedynczego członka, nie przechodziła 200 £. W tym celu depozytaryusz musiał podpisać deklaracyą, że w żadnym innym banku nie posiada depozytu.

Przez zobowiązanie kas do składania kapitałów w ręce urzędników rządowych, państwo zrobiło wielki krok na drodze przyjęcia na się odpowiedzialności, detąd bowiem lokacya była dowolną, pozostawioną do uznania zarządu kas; jakkolwiek i tak odpowiedzialność państwowa ograniczała się tylko do sum przekazywanych władzom. Procent przez nie wypłacany, szedł w małej części na koszt administracyi kas, reszta zaś dla deponujących. Ale ustawa powyższa i kilka innych mniejszej wagi, ściągających się do kas oszczędności, uregulowały stosunki tylko na bardzo krótki czas, a nowo powstające potrzeby, wymagały dalszych prac na polu prawodawczém. Przewszystkiém, udział władz państwowych w umieszczeniu kapitałów i płaceniu pewnego od nich procentu, został żywo podniesiony przez p. Huma na sesyi w r. 1828. Dotychczasowe bowiem doświadczenie wykazało, że państwo traci na przyjętym obowiązku z przyczyny, że procent wypłacany kasom był wyższy od procentu, jaki rząd otrzymywał od papierów zakupionych za złożone kapitały. Tym sposobem,



w przeciągu lat dziesięciu skarb zapłacił procentów 3,323,401 £, otrzymał zaś tylko 2,835,774 £, tracąc na czysto 487,627 £. Oprócz tego bardzo ważnego punktu, wystąpiła znów kwestya odpowiedzialności rady nadzorczej (*trustees*) i urzędzenia kas. W pierwszym względzie stosunki nadzwyczajnie się zmieniły. Rada, w pierwszych początkach instytucyi, składająca się z osób wpływowych w pewnej okolicy, gwarantowała publiczności jej depozyta. Gwarancya ta zasadzała się w wysokim stopniu na znanym charakterze członków, na ich położeniu towarzyskiém; a oprócz tego, zwykle pewna suma jako specjalna gwarancya przez radę oznaczoną bywała. Warunki te jednak mogły wystarczyć w początkach, kiedy obroty wynosiły kilka tysięcy, i kiedy przypadkowe straty z łatwością mogły być pokryte przez członków. Z chwilą jednak wzrostu kapitałów deponowanych (ogólna suma depozytów wynosiła w r. 1828 przeszło 15 milionów £); niechęć i często niemożność przyjmowania na siebie odpowiedzialności musiały również rosnać.

Dla zaradzenia różnym niedostatkom i potrzebom, przeprowadzono z poparciem rządu wnioski p. Palmer, konsolidujący poprzednie prawa, zmniejszający następnie stopę procentu na 3 £ 16 sz. %, ograniczający wkładki na 30 £ rocznie i na *maximum* 150 £ w ogóle, stanowiący przytém, że w razie nagromadzenia się 200 £ kapitału razem z procentami, dalsze oprocentowanie ma być wstrzymane. Ustawa zawierała także punkt uwalniający członków rady od wszelkiej odpowiedzialności, z wyjątkiem jedynie za ich własne kroki i czyny (*act and deeds*), i tylko o tyle, o ile te pochodzą z umyślnego niedbalstwa lub oszustwa (*nilful neglect or fraud*). W przedmiocie urzędzenia kas, ustawa przepisywała obowiązek przedkładania statutów mianowanemu *ad hoc* adwokatowi, do poświadczenia zgodności tychże z prawem obowiązującym.

Zmniejszona już w tej ustawie odpowiedzialność członków rady zniesioną została zupełnie prawem r. 1844, zmniejszającym również stopę procentu na 3 £ 5 szyl. %. Przy sposobności podnieść tu musimy, że zmniejszenie stopy procentowej podjęte bywało w celu obniżenia strat skarbu publicznego, z przyczyny płacenia przez skarb wysokiego procentu, o czém już wspomnieliśmy wyżej; a przytém, w celu odsunięcia majątniejszych kapitalistów od korzystania z tego procentu. Ci bowiem uważali kasy oszczędności jako zyskowne miejsce umieszczenia kapitałów w chwilach stagnacyi. Zamiast trzymać papiery wysoko stojące, dające zatem mniejszy tylko procent, woleli oni je wtedy sprzedawać; otrzymane zaś sumy, na dalszy procent w kassach oszczędności umieszczać; a jak skoro kursa spadły tak, że znów kupno papierów obiecywało znaczniejsze korzyści, wtedy cofali kapitały złożone w kassach. W skutek tej manipulacyi, komisarze długu publicznego zmuszeni byli do zakupywania papierów podczas ich wysokich kursów, i do ich sprzedawania podczas spadku, a powstające z tej różnicy straty, musiały być ponoszone przez państwo.

Cały dotąd skreślony przebieg prawodawstwa, wskazuje bez zaprzeczenia stopniowe kształcenie się instytucji; pomimo to jednak, znajdowały się jeszcze w jej organizacji wady, bijące nieledwie wszystkim w oczy i przez wielu uznawane. Jedną z najgłówniejszych takich wad był brak absolutnej pewności, a widzieliśmy nawet, że odpowiedzialność członków rady nadzorczej w końcu zupełnie zniesioną została. Taka jednak absolutna pewność, jest w tym wypadku prawie koniecznym warunkiem; w małych bowiem depozytach nie zależy zupełnie, jak się minister skarbu w mowie mianej w tym przedmiocie wyrażał, o wysokość procentu. Niższe klasy zwracają tylko uwagę na pewność umieszczenia i na możność odebrania w chwili potrzeby. Pogląd ten poparty był już przezliczne doświadczenia i przez zdanie kompetentnych ludzi. W stanie jednak ówczesnego prawodawstwa, owa zupełna pewność nie istniała. Rząd był jedynie odpowiedzialnym za sumy złożone komisarzom do zmniejszenia długu państwa; ale pomiędzy odebraniem kapitałów przez komisarzy i złożeniem ich do kas przez deponentów zastawała przerwa, w przeciągu której depozyta narażone na szwank być mogły; przytém, całe prowadzenie zarządu kas, było zupełnie wolne od wszelkiej interwencji rządowej. Połowiczna ta odpowiedzialność była dla rządu o tyle gorszą, że, można powiedzieć, panowało powszechne przekonanie o zupełnej gwarancji wszystkich depozytów przez skarb państwa, a to przekonanie nie ograniczało się do klas niższych, lecz podzielane było przez oświeconych ludzi wyższych klas społeczeństwa. W gruncie rzeczy, ciążyła na państwie moralna odpowiedzialność. Objawiła się ona szczególniej po kilku większych wypadkach kradzieży i oszustw w kasach oszczędności. Depozytariusze wnosili petycje do parlamentu o zwrócenie im skradzionych kapitałów, a prośby ich znajdowały gorące poparcie i uznanie. Znakomitsi członkowie parlamentu, jak Hume, John Bright i inni, nie wahali się w ostrych słowach przedstawić owe moralne obowiązki państwa. Obrona ze strony ministerium była słabą, i w ogóle okazywała tylko opór z musu, a nie z głębi przekonania; w kilku nawet wypadkach zrobiono ustępstwa już to przez wypłacenie całych sum, już też przez pokrycie części niedoboru.

Ogólne usposobienie umysłów i okoliczności pobudzały koniecznie do obmyślenia środka zaradczego; jednakże rząd trzymał się o ile można z daleka, hołdując zasadzie pozostawienia całej sprawy w rękach prywatnych. Z takiego zapatrywania się, a przytém z chęci zaradzenia złemu, wypadł wniosek przedstawiony parlamentowi w 1850 r. przez ministra skarbu. Proponował on oprócz różnych środków kontroli mianowanie skarbników przez komisarzy długu publicznego, którzyby wyłącznie upoważnieni byli do odbierania depozytów i przekazywania ich komisarzom. W całym jednak wniosku cofniętym później i w mowach ministra, widać nieledwie bojaźliwość radykalniejszego działania. Stawia on niejako konieczność zachowania elementów lokalnych w zarządzie, a szczególniej jako członków rady nadzorczej. Jakkolwiek-



bądź wniosek ten przez proponowanie mianowanych skarbników wchodził na nową drogę; nominacje takie bowiem prowadziły logicznie do ściślejszej kontroli, do stopniowo wzrastającej interwencji, a przyjmując wreszcie odtąd całą odpowiedzialność, zarząd musiałby niechybnie przejść w ręce przyjmującego jej ciężar. Dla tego wniosek ten i inne następne, dążące mniej lub więcej w tym samym kierunku, spotkały silną opozycję ze strony osób wpływowych, stojących na czele kas oszczędności, i wprowadzane przez konserwatywne i liberalne ministerya wnioski upadały aż do chwili, kiedy Gladstone w r. 1861 porzucając reformę kass istniejących, przedstawił projekt pocztowych kas oszczędności.

Oprócz braku zupełnej pewności depozytów, aż do chwili złożenia ich komisarzom rządowym, istniejący system posiadał jeszcze inne wady, szkodliwe na jego rozwój wpływające. Ogólna suma strat poniesionych przez deponentów, wynosiła aż do 1861 r. blisko 230,000 £, a jakkolwiek znaczna, stanowiła ona tylko mały procent od składanych kapitałów. Co większa zaś, straty te miały donioślejsze znaczenie z przyczyny ich wpływu na usposobienie do oszczędności; wypadki te strat bowiem zamiast zachęcać do niej, raczej odstraszały, i plama ciężąca na jednym zakładzie rozciągała się w umysłach klas biedniejszych do wszystkich innych. Niedostateczna ilość kas jakkolwiek nie odstraszała, to jednak nie zachęcała do oszczędności, a system nie odpowiadał wymaganiom. W r. 1861 znajdowało się 624 kasy; ale pomimo tej poważnej cyfry, w 15 hrabstwach nie było ani jednej kasy, a przypuszczalnie 100 miast z ludnością od 10,000 do 30,000, pozbawione były tej instytucji. Ten stan rzeczy neutralizował niezawodnie chwilowe usposobienie do oszczędzania, zastępując ono zwykle lekkomyślnym wydatkowaniem. Pomędzy istniejącymi znów kasami, zaledwie 20 otwartych było dla publiczności codziennie; znaczna zaś ilość tylko raz na tydzień, inne dwa, lub więcej razy tygodniowo. Godziny przytém otwarcia były często wcale nie odpowiednie i nie zastosowane do wolnych chwil robotniczej ludności. Do tego łączyła się jeszcze inna okoliczność, nie zachęcająca robotników do składania oszczędności w istniejących kasach a wypływająca z nieufności klasy robotniczej do właścicieli fabryk i t. p. zakładów, którzy często stali na czele kass, a tym sposobem mogli z łatwością wejrzeć w położenie deponentów. Deponenci mianowicie obawiali się, by oszczędności ich nie pobudziły chlebobawców do obniżenia ceny pracy. Zdarzało się nieraz, że w skutek tego przekonania, robotnicy zamiast udać się do kasy znajdującej się na miejscu, odnosili swe oszczędności do innych, znacznie nawet odleglejszych. Do pewnego stopnia objaw ten znajduje swój wyraz w wykazie stosunku deponentów z roboczą klasą ludności; stanowili oni bowiem zaledwie  $\frac{1}{10}$  ogólnej liczby deponentów; podczas kiedy sędzy, niżsi urzędnicy rządowi i prywatni i t. p., wynosili  $\frac{9}{10}$  tejże liczby.

Zasadniczą myślą prawa do pocztowych kas oszczędności, jest zarządzenie wszystkim tym niedogodnościom. Nowa ta instytucja otwiera



kasy do przyjmowania wkładek w każdej miejscowości, gdzie istnieją biura pocztowe, przyjmujące pieniężne przekazy pocztowe (*money-orders*). Biura takie, rozsiane po całym kraju po wsiach i miasteczkach przedstawiają nie istniejące dotąd punkta zachęty; otwarte przyltem codziennie, a w ostatnich nawet latach w niektórych miejscowościach wieczorami w piatki i soboty, odpowiadają potrzebom klas pracujących. Urzednicy pocztowi obowiazani sa do tajemnicy, a wreszcie, rzad będac odpowiedzialnym za czyny swoich urzedników, daje najzupełniejszą pewność deponentom.

Całe postępowanie daje się streścić w krótkości w następujących słowach. Każdy chcący złożyć swe pieniądze udaje się do biura pocztowego i dostaje od pocztmistrza książkę, w której zapisane są: jego nazwisko, adres i suma złożona. Książka ta stanowi dowód prawny dla deponenta, i na zasadzie jej posiadania może on już żądać zwrotu summ złożonych. Pocztmistrz miejscowy przesyła wkładki do centralnego biura pocztowego w Londynie, i podaje nazwisko, adres i sumę złożoną. W biurze centralnym otwierają dla każdego nowego deponenta osobny rachunek. Po odebraniu przyltem zawiadomienia od miejscowego pocztmistrza, centralne biuro donosi natychmiast deponentowi, że dana summa zapisaną została w *kredycie* jego rachunku. Jeżeliby deponent takiego doniesienia najdalej w przeciągu dziesięciu dni nie otrzymał, udaje on się wtedy listownie, podług informacji zamieszczonej w jego książce, do biura centralnego. W każdym razie jednak aż do otrzymania certyfikatu, książka stanowi zupełny dowód. W razie chęci odebrania wkładek, pieniądze zwykle bywają natychmiast odesłane, jakkolwiek prawo oznacza dziesięć dni na wypowiedzenie; a deponent może je odebrać nietylko w miejscu w którym wkładkę złożył, ale i w każdym innem przez siebie wskazanem, posiadajacem pocztową kasę oszczędności. Procent od włożonych wkładek oznaczony jest na 2 £ 10 szyl. %, przy pozostawieniu dawnych ograniczeń co do sum składanych rocznie i w ogóle

We dwa lata później (1863) przeszło w parlamencie prawo urządzające ostatnie prywatne kasy oszczędności, i konsolidujące kilka poprzednich w tym przedmiocie statutów, a odnoszące się głównie do zapewnienia dokładności w zarządzie, i środków kontroli w celu o ile można jak największego zabezpieczenia składanych pieniędzy, obowiazujące przyltem wszystkie zakłady tytułujące się: *Savings Banks certified under the Act of 1863*, do przyjęcia tych przepisów, a wreszcie odpowiedzialność zniesiona, w r. 1844 wprowadzoną została dla rady nadawczej (*trustees*) i dyrektorów (*managers*): 1) za wszystkie odebrane a nie złożone w sposób przepisany kapitały; 2) za niezastosowanie się do przepisów w przedmiocie kontroli, rewizji rachunków, odbywania posiedzeń i utrzymywania ich protokółów; 3) za zaniedbanie w sprawie przyjmowania kaucyi od podwładnych urzedników. Rzućmy jeszcze okiem na treściwy obraz działalności kas, od chwili ich istnienia. W chwili pierwszych kroków prawodawczych, znajdowało się kas osz-

czędności w Anglii i Irlandyi 78, w r. 1852 liczba ich wynosiła w połączoném królestwie 575, a w 1861 doszła do 624. Kapitały ich podniosły się, jak to wspomnieliśmy wyżej, z kilkukroćstotysięcy na przeszło 15 mil. £. w r. 1828, w r. 1832 wynosiły około 14½ mil., w 1841 przeszło 24½ mil., w r. 1852 przeszło 31¾ mil., w 1862 przeszło 40½ mil., wreszcie w r. 1873 prawie okrągłe 40½ mil. £. Ilość deponentów wynosiła w r. 1832 razem z towarzyszami dobroczynności i wzajemnej pomocy 478,003, w 1841 r. 841,204, w 1852 r. 1,209,349 <sup>1)</sup>. Po zaprowadzeniu pocztowych kas oszczędności, ogólna liczba deponentów razem z prywatnemi kasami rosła bardzo szybko i wynosiła:

<i>w końcu roku</i>	<i>w końcu roku</i>
1862 — 1,732,555 <sup>2)</sup> (w przecięciu)	1866—1870 — 2,352,942
1863 — 1,876,389	1871 — 2,707,570
1864 — 1,967,663	1872 — 2,867,595
1865 — 2,078,346	1873 — 3,002,134 <sup>3)</sup>

Stosunek deponentów do ludności podług opisu w r. 1871 wynosił w r. 1873 w Anglii i Walii 1 : 16, w Szkocyi 1 : 72 <sup>4)</sup>, w Irlandyi 1 : 105.

Dla porównania dwu obok siebie działających instytucji podajemy jeszcze kilka cyfr co do ilości kas i ogólnych sum wkładek w każdej kategorii <sup>5)</sup>.

	<i>Pocztowe</i>	<i>Prywatne</i>	
	rok	Ilość kas	
(16 września)	1861—1862 —	2,535	622
	1863 —	2,991	603
	1864 —	3,081	578
	1865 —	3,321	501
(w przecięciu)	1866—1870 —	3,815	543
	1871 —	4,335	560
	1872 —	4,607	480
	1873 —	4,853	481

<sup>1)</sup> Vid. Parliamentary Papers 1833 vol. XXIII, 1842 vol. XXVI, 1854 vol. LXIII.

<sup>2)</sup> W cyfrze téj zamieszczono są kasy pocztowe, poczynawszy od 16 września 1861 r.

<sup>3)</sup> P. P. 1874 vol XV.

<sup>4)</sup> W Szkocyi bardzo wiele drobnych stosunkowo depozytów, składanych bywa do banków i ztąd pochodzi tak mały stosunek.

<sup>5)</sup> P. p. 1874 vol. XV i LXIX.

## Suma wkładek.

Rok	Pocztowych £	Prywatnych £
(od 16 września) 1861—1862	— 2,114,669	
1863	— 2,651,209	
1864	— 3,350,000	8,174,679
1865	— 3,719,017	7,684,637
(w przecięciu) 1866—1870	— 5,232,108	
1871	— 6,664,629	8,083,022
1872	— 7,699,916	8,562,971
1873	— 7,955,740	8,788,385

Ogólny kapitał zapisany u komisarzy długu publicznego, na rachunek pocztowych kas oszczędności, podniósł się od końca 1862 r. do końca 1873 z 1,659,032 £. na 21,745,442 £., a ilość depozytów w tymże czasie z 639,216 na 2,917,698 £.

Cały przebieg skreślony tu w krótkości, a kończący się nareszcie wykształconym systemu, pokazuje głównie socyjalną tendencją instytucji. Jakkolwiek bowiem ekonomiczne znaczenie oszczędności nie jest bez pewnej wagi, to niknie ono w obec racjonalnego. Oszczędność jako czynnik ekonomiczny, wysoko podniesioną była w tak zwanej epoce merkantylniej. W tym czasie zaledwie wyjątki dają się spotkać w literaturze, któreby na jej wielką ważność nacisku nie kładły, a ci nawet którzy się w tym względzie od innych oddalają, przecież od ogólnego sposobu zapatrywania się nie są zupełnie wolni. Dążność ta wiska się także do prawodawstwa, a tak literatura, jak i prawodawstwo, mają na widoku państwo, naród i nie zwracają się w tym względzie do jednostek, ile że zbytek w życiu jednostek może być nawet dla narodu korzystny; ale zasada oszczędności ma być zastosowaną do całego organizmu społecznego, w którym jednostki giną.

W obecnej dobie pozostającej w porównaniu do poprzedniej na wysokim stopniu rozwoju ekonomicznego, zalecanie oszczędności, jako ważnego czynnika ekonomicznego, narodowi mogącemu wykazać znakomite postępy w rolnictwie i we wszystkich gałęziach przemysłu musi się wydawać drobnostkowóm, a w każdym razie podrzędnóm.

Instytucje kas oszczędności, musiny powiedzieć, nie mieszczą się w karbach praw ekonomicznych. Spostrzegamy tu wymagania prawie absolutnej pewności, usuwającej wszystkie fluktuacje, niezależnej od różnych modyfikacji wypadków ekonomicznych. Warunek ten przewyższa inne, i w obec niego ginie dążność ciągłości zysków, a chociaż deponenci pobierają procent, to stopa jego, pomimo że znaczna bardzo część kapitałów w kasach pozostaje, i przyjmujący jest narażony mniej jak w bankach na ogólne wypowiedzenie kapitałów, jest niższą jak w innych podobnego rodzaju operacjach bankowych; stopa ta przytem jest stałą, przynajmniej przez dłuższy przeciąg czasu. Stałość stopy



procentowej widzimy także w kapitałach wypożyczonych na hypoteki, ale odmiennie od tych, kapitały deponowane w kasach oszczędności mogą być wycofane w każdej chwili. Instytucja angielskich kas oszczędności wykazuje że mamy tu do czynienia z innym elementem, z innymi dążnościami. Ma ona na celu podniesienie uboższych klas i zdobycie dla nich niezależności. Bezwątpienia nie osiąga ona celu w zupełności, ale jest jedną częścią systemu, i obecnie bez niej system ten nie byłby kompletnym.

Widzieliśmy świadomość tego celu od początku rozwijania się instytucji: postępek jej jednak tamowała połowiczność i brak stanowczości w postępowaniu. Z tej przyczyny powstały i straty finansowe dla państwa. Opuściliśmy tu stronę finansową, ażeby zakresu pracy nie rozszerzać i skoncentrować ją na jeden punkt. Wspomnimy tu tylko tyle, że straty dla skarbu pochodzące z różnicy kursów przy sprzedaży i kupnie papierów publicznych za deponowane oszczędności, pokryte są jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części (dokładność rachunkowa jest tu niepodobną) przez sposobność użycia procentu od kapitałów deponowanych na różne operacje finansowe, bez potrzeby udawania się do bankierów, lub innych trudniejszych środków. Zdanie to widoczne jest w mowie Gladstona dnia 7 maja 1875 roku, którego *authoritas* w tym względzie przyjąć w zupełności możemy. Główna strata zatem pochodziła z różnicy pomiędzy procentem od deponowanych kapitałów pobieranych przez komisarzy długu publicznego, a procentem płaconym przez tychże kasom oszczędności. Zbyt wysoki procent pobudzał, jakśmy tu wyżej widzieli, do używania kas w celu spekulacyjnym, a w skutek tego władze prawodawcze zmuszone były do ograniczenia summy wkładek, do warunku zatem niedającego się inaczej niczem uzasadnić. Warunek ten przeszedł i do kas pocztowych. Była to koncesya, którą wnioskodawca, podług jego własnych słów w tylko co wzmiankowanej mowie, zmuszonym był zrobić pod wpływem urzędnictwa istniejących kas, ażeby tylko przeprowadzić ustawę pocztowych kas oszczędności.

Kardynalne niedostatki istniejących do roku 1861 kas oszczędności usunięte zostały przez nową instytucją kas pocztowych, podjętą bez zaprzeczenia z głębokim zrozumieniem zadania. Instytucja ta bowiem, idzie na przeciw potrzebie, spotyka wszędzie człowieka, utrzymuje go w dobrym zamiarze, a usuwa o ile można wszystko coby z właściwej drogi sprowadzić mogło. Jest ona, rzecz można, psychologicznie obmyślana, a w takich razach, gdzie idzie o podniesienie cnoty dla zdobycia celu, oko prawdziwego męża stanu, powinno odróżnić najdrobniejsze jej odcienia i po temu stworzyć instytucją.

W obec pocztowych kas, inne w znacznej przynajmniej części prowadzą istnienie cieplarniane. Cyfry któreśmy podali pokazują znaczne zmniejszenie się ostatnich; wiele z nich bowiem przekazało czynności swoje centralnemu biuru pocztowemu, a inna ich część zlikwidowała. Istniejące zaś stworzone są przeciwko konkurencji kas pocztowych ograniczeniem składek i wyższym procentem; a podczas kiedy

kasy pocztowe otrzymują od swych kapitałów  $2\frac{1}{2}\%$ , kasy prywatne pobierają  $3\frac{1}{4}\%$ . Pierwsze przynoszą skarbowi korzyści, drugie zaś straty.

Doniosłości pocztowych kas i ich ważność w porównaniu do poprzednich tego rodzaju instytucji, które pomimo niedostatków, w swoim czasie oddały znakomite usługi, dadzą się określić w jednym słowie: zaspakajały one lepiej potrzeby.

Przewodnia ta myśl wielkiej prostoty nie została jednak zupełnie wyczerpaną, a z tego powodu otwiera się tu jeszcze dalsze pole działalności dla uzupełnienia systemu. Zadanie to podjęte zostało przez tak zwane *Penny-Banks*, których przedmiotem jest usunięcie niedogodności istniejących dotąd w organizacyi kas pocztowych. Jedną z nich to jest ograniczenie wkładek poruszyliśmy już wyżej; nie tyle jednak tu zależy na ograniczeniu najwyższej, co najniższej wkładki. Pocztowe kasy przyjmują depozyta zaczawszy od szylinga. Jest to niezawodnie suma bardzo mała, a jednak za wysoka dla rzeczywistie ubogich. Rozpatrzywszy się bowiem w potrzebach ubogiego gospodarstwa, spostrzedz można z łatwością, że nawet dla zarabiającego 1 £. tygodniowo, oszczędzenie szylinga jeszcze z trudnością przychodzi; cóż dopiero dla tych, którzy zarabiają zaledwie 12, 10 a nawet 5 lub 6 szylingów. Zanim biedak taki zdoła zgromadzić oznaczoną wkładkę z pojedynczych pensów, nastreczą mu się liczne okazje ich wydania. To samo można powiedzieć i zarzucić pocztowym kasom co do zwyczajnego nieprzyjmowania wkładek tylko w okrągłej liczbie szylingów, znów bowiem kilka pensów może być wydanych zamiast zaoszczędzonych. W pocztowych kasach wreszcie są pewne, nieledwie rzecz można konieczne formalności do dopełnienia. Władze rządowe ściągające miliony, muszą postępować skrupulatnie i posługują się tu niemal biurokratycznymi formalnościami, bardzo w tym wypadku, gdzie wiele zależy na usunięciu wszelkich trudności i odstrasżających szczegółów szkodliwymi. Pomimo uproszczonej manipulacyi, którąśmy wyżej widzieli w kasach instytucji pocztowych, nie uniknęły one jednak w zupełności tych błędów. Nowo przychodzący deponent musi mianowicie podpisać deklaracyą: że życzy złożyć swoje oszczędności i że nie posiada w sposób pośredni lub bezpośredni, w swoim lub cudzém imieniu żadnego depozytu w téj, lub innej kasie oszczędności. Deklaracya ta musi być podpisana przez deponenta i świadka, takie zaś zaświadczenie może być dane przez pocztmistrza, lub osobę znaną przez tegoż, przez kapłana parafii do której deponent należy, lub przez sędziego pokoju. Styl całego tego przepisu jest jak zwykle w podobnych razach sztywno-uroczysty, z dodatkiem, że jeżeli szczegóły podane w deklaracyi okażą się fałszywe, deponent traci wszelkie prawo do oszczędności. Zwazwszy że pomiędzy deponentami znajduje się znaczna część nieoświeconych, przedstawić sobie łatwo odstrasżający wpływ tego postępowania.

Przy odbiorze oszczędności, znów spotykamy pewne formalności, to jest wypełnienie formularza z żądaniem, poczem dopiero przychodzi upoważnienie do wypłaty z centralnego biura pocztowego w Londynie. Wypłata następuje wprawdzie zwykle bezzwłocznie, jednakże pomiędzy podaniem a wypłaceniem i skutecznieniem upłynąć musi pewien czas. Równa się to w istocie obowiązкови wypowiedzenia, które podług otrzymanych dotąd doświadczeń, działa raczej odstrasząco, jak zachęcająco, zwłaszcza przy drobnych oszczędnościach.

Nazwa *Penny-Bank* wskazuje nam już zadanie tych instytucji, przyjmowania depozytów zacząwszy od jednego pensa a naturalnie że wszystkie wymagania co do usunięcia przeszkadzających formalności stosujące się do wyższych depozytów, muszą *à fortiori* stosować się i do tak niskich wkładek. Dlatego jak największe uproszczenie postępowania musi być specjalnym zadaniem tych instytucji w prowadzeniu całego interesu. Wprawdzie wszystkie podobne kaszy mogą mieć albo téż istotnie mają paragrafy w statutach określające legitymacją do składania, lub wycofania depozytów; starać się one jednak muszą aby one przepisy często surowo wydające się na papierze, w zastosowaniu nabrały łatwości wymaganej przez stan i potrzeby klientów.

Niepodobna nam tu podać dokładnych wiadomości historycznych tyczących się powstawania i rozprzestrzeniania się w Anglii *Penny-Banks*, i również niejesteśmy w stanie wykazać ich obecnego i przeszłego stanu w cyfrach statystycznych. Możemy śmiało utrzymywać, że literatura, oprócz wzmianek dziennikarskich ulotnych, a nielicznych broszurek, w tym przedmiocie nie istnieje; niektóre z nich przytém pędzą tak cichą egzystencją, że zaledwie tylko miejscowi o nich cośkolwiek wiedzą.

Peryod jednak, ile wiadomo, pierwotnego powstawania *Penny-Banks* rozciąga się od r. 1850—1860, i w tymto czasie powstały w różnych miejscach w Londynie i na prowincyi podobne kaszy. Z założonych w tym peryodzie, a do dziś istniejących, odznacza się kasa w Yorku, tak liczbą deponentów, sumą depozytów jako téż i ilością filii. Wiele z tych instytucji od pierwszej chwili ich otwarcia, wykazały nadzwyczajny postęp, tak np. kasa w Greenach założona w 1857 r. miała w pierwszym roku istnienia 5,000 deponentów z sumą 1580 £. Instytucye te, zdaje się, są w Szkocyi jeszcze więcej rozpowszechnione, jak w Anglii. P. William Meikle na kongresie stowarzyszenia do nauk społecznych (*Social Science Association*) w r. 1874 podał, że *Penny-Banks* w Glasgowie miały 47,000 deponentów i 460,000 tranzakcyi w jednym roku. Podług tegoż samego źródła liczba ich wynosiła w Glasgowie 125, w Edynburgu 48, w Aberdeen 30, w Manchester 79 i 30 w Liverpool. Ze sprawozdania przytém generalnego naczelnika poczty za rok 1874 <sup>1)</sup> widzimy, że przeszło 100 tych kas miały otwarte konta w biurze pocztowym.

<sup>1)</sup> P. P. vol. XV.



Wspominamy tu przy sposobności, że na mocy prawa z 1859 r. *Penny-Banks* upoważnione zostały do umieszczania swych kapitałów w innych, większych kasach oszczędności (*Savings-banks*) i że to prawo istnieje również co do kas pocztowych.

Powyższe cyfry wskazują do pewnego stopnia rozwój instytucji, nie przedstawiają jednak obecnego stanu dokładnie i sądzić możemy, że cyfry istotne przewyższałyby znacznie tutaj podane. Wiadomo nam bowiem, że stowarzyszenia dobroczynności starają się o zakładanie takich banków; z instytucji zaś zajmujących się moralnym podniesieniem niższych klas społeczeństwa, stowarzyszenie pod nazwą: *Provident Knowledge Society* czynnie i skutecznie prowadzi propagandę pensowych banków.

Chcemy tu jeszcze w krótkości skreślić szczegóły dotyczące się organizacji i prowadzenia pensowych banków, opierając się w tym względzie na urządzeniu *National Penny-Banks* w Londynie <sup>1)</sup>. Zakład ten utworzony został 20 stycznia 1875 r. Ma on kilkunastu patronów, dwóch członków rady nadzorczej (*trustees*) i komitet dyrektorów złożony z dziesięciu osób. Główny dyrektor jest właściwie duszą i sprężyną całego banku. Kapitały w gotówce, w papierach publicznych i t. p., oraz dokumenta przechowywane są przez skarbnika. Dla całej instytucji skarbnikiem jest bank angielski, dla filii jej bank oznaczony w każdym razie przez komitet dyrektorów. W biurach filii i w kantorze centralnym jest jeszcze jeden lub dwu płatnych urzędników do utrzymywania rachunkowości; wreszcie kolektorowie odpowiedzialni i kaucyonowani. Kapitał banku wynosi 15,000 £. i służy jako gwarancja, w tym względzie jednak istotnie większe mają znaczenia nazwiska szanowanych osobistości a stojących na czele banku jako patronowie, członkowie rady nadzorczej i dyrektorowie.

Co do sposobu przeprowadzania transakcji, to objaśnimy ten punkt w części, podając zarazem opisanie rachunkowości. Deponent otrzymuje książeczkę opatrzoną numerem, do której zapisywane są wkładki i wypłaty tychże. Po wpisaniu do książeczki, transakcja zapisana jest natychmiast do brulionu i do książki kasowej, urządzonej w ten sposób, że we środku znajduje się nazwisko, po jednej zaś stronie

<sup>1)</sup> Wiele szczegółów, uwag i drobnych materyałów udzielone nam uprzejmie zostało przez p. George C. T. Bartley głównego dyrektora *National Penny-Banks*. P. Bartley znany jest ze swych prac literackich i agitacyjnej działalności jako gorliwy promotor tych i tym podobnych instytucji. Jako sekretarz honorowy *Provident Knowledge Society*, przyczynił się do utworzenia wielu pensowych banków. Może to służyć za gwarancję, że *National Penny-Bank* należy do wybitniejszych. Pewność tę czerpiemy jeszcze u wysoko stojących i znanych osobistości, działających jako patronowie, rada nadzorcza, dyrektorowie banku, pomiędzy którymi znajdują się p. Acroyd prezes wzorowo urządzonego pensowego banku w York, a wreszcie z działalności banku. Względędy te usprawiedliwiają nasz wybór.

tegoż, sumy deponowane, a po drugiej wypłacone. Równocześnie zapisują do dziennika porubrykowanego na dosyć wązkiej kolumny, u góry opatrzone numerami książeczek, a pod numerem znajduje się nazwisko i adres deponenta. Oprócz tego, jest książka z podpisami podawana każdemu nowo wstępującemu deponentowi, mogącemu się podpisać, następnie książka pokwitowań i książka do zapisywania ilości i sumy dziennych transakcyj.

Ta nadzwyczaj uproszczona rachunkowość wskazuje już prostotę w prowadzeniu. W ważnym bardzo punkcie wypłaty i wypowiedzenia wkładek, statuta oznaczają termin wypowiedzenia, z którego zarząd korzystać może; w praktyce jednak sumy aż do 200 £. są natychmiast wypłacane. Przy składaniu wkładki nie istnieją żadne formalności, również przy wypłacie. Jako natychmiastowa kontrola służy zapytanie zgłaszającego się o nazwisko i adres; szczegóły te znajdują się bowiem w dzienniku pod tym samym co książeczka numerem, ale nie znajdują się w książeczce, a tym sposobem znaleziona, lub skradziona książeczka nie może być w złym celu wyzyskana. Jako dalszy środek sprawozdania służy jeszcze porównanie podpisu przy pokwitowaniu z podpisem pierwotnym przy otwarciu rachunku.

Rachunki wszystkich filii podlegają corocznie rewizji zarządu centralnego albo téż tak często, jak tego zażąda komitet lub dyrektor główny, a z sum deponowanych tyle tylko zatrzymać mają prawo, ile na niezwłoczne wypłaty jest potrzeba. Kolektorowie, jak to wspomnieliśmy są kaucyonowani z kaucją podnoszącą się stosownie do sumy ogólnej przez nich zbieranej, za co pobierają wynagrodzenie kilku szylingów tygodniowo, lub téż mały procent. Pomimo niskiego wynagrodzenia dodatek kilku szylingów do tygodniowego zarobku robotnika, jeżeli on jest zarazem kolektorem w fabryce i t. p. uważane jest za dostateczne. Urzędnicy rachunkowi, jako pracujący w banku, w godzinach wieczornych, pobierają wynagrodzenia będące dodatkiem do ich zwykłego zarobku.

Ogólna kontrola odbywa się za pomocą rocznej rewizji rachunków, przez pośrednictwo specjalnych rewizorów; ażeby zaś deponent miał sposobność przekonania się i skontrolowania swego rachunku, wszystkie rachunki zsaldowane są przy końcu roku i każdy opatrzone numerem książeczek; tak są one wystawione na widok publiczny, ażeby każdy mógł sprawdzić swój rachunek.

Zakładanie filii w różnych miejscowościach, jest jednym z głównych zadań instytucji, ale więcej może jeszcze zakładanie ich po fabrykach, warsztatach i po szkołach. Pierwszym środkiem organizacyjnym w tym razie jest zgromadzenie, zagajane przemową którego z promotorów zachęcającego i podnoszącego korzyści oszczędności i zastosowania w tym celu banku i jego organów. Często bardzo jedno takie zgromadzenie wystarcza do stworzenia naszej filii. Dodajmy jeszcze, że filie mające swoje biura są pomalowane na czerwono, tak aby je z łatwością rozróżnić można i że biura otwarte są codziennie od godziny 6½ do 9

wieczorem. Oba te punkta, a szczególnie ostatni wskazują na dążność zastosowania się do potrzeb klienteli i zwrócenie uwagi nawet na drobnostki.

Przechodząc do finansowej strony pensowych banków, to naturalnie źródło dochodu stanowi tu w ogóle różnica wynikająca pomiędzy procentem wypłacanym deponentom, a procentem otrzymanym przez bank z użycia złożonych kapitałów. Są jeszcze przychody drobne, jak 1 szyling (30 kop.) za wydanie nowej książeczki po stracie pierwotnej, w rodzaju kary i następnie 1 pens ( $2\frac{1}{2}$  kop.) za każdą pierwszą książeczkę. Ten ostatni dochód uważany jest przez p. George C. T. Bartley bardzo słusznie za nieodpowiedni, dochód bowiem jest bardzo mały, a tam gdzie idzie o zaoszczędzenie 1 pensa, o *rozpoczęcie*, zapłata nawet tak niska za książeczkę istnieć nie powinna.

*National Penny-Bank* płaci 3% swoim deponentom, a zatem, rzecz można, w danych warunkach i w Anglii dosyć wysoki procent. Sądzimy że czerpie potemu środki z ogólnego prowadzenia finansowego, którego przedstawienie zmusza nas do przekroczenia zakresu artykułu mieszczałego w sobie jedynie kwestyą składania i zwykłego oprocentowania kapitału. *National Penny-Bank* jest mianowicie jeszcze źródłem, z którego biedni mogą pożyczać na zakupno domów, najwyżej do  $\frac{2}{3}$  ich wartości z wypłatą od roku do lat 15, ratami amortyzacyjnymi w terminach tygodniowych, miesięcznych lub rocznych podług umowy. Tym sposobem bank umieszcza kapitały swe na hypotekę, z których jednak część przynajmniej w krótkich terminach do kas banku przyływa.

Oprócz powyższej operacji, bank zakupuje w małych częściach papiery długu państwa. Gałąź ta wprowadzoną została za inicjatywą pana Bartley, pragnącego spopularyzować dług państwowy. Obecnie bowiem większa część tego długu, oprócz będącej za granicą, spoczywa w ręku bogatych a cena kupna około 100 £. na raz wynosząca, nie odpowiada środkom biednych; dlatego bank sprzedaje części najniższe w summie nominalnej 16 sz. 8 pensów (5 rs.). Na tę sumnę lub jej iloczyn, otrzymuje kupujący certyfikat na okaziciela, opatrzony numerem. Certyfikat ten odcięty jest od ćwiartki, której część pozostała w książce zawiera tenże numer, a oprócz tego nazwisko, adres i zatrudnienia właściciela pierwotnego i tych, którym przez niego certyfikat podług oznaczonych przepisów ustąpionym został, tak że w razie kradzieży lub innego sposobu nieprawego przywłaszczenia certyfikatu, znajduje się środek sprawdzenia przez zapytanie o zawarte szczegóły i przez żądanie podpisu. Kursa sprzedaży i zakupna papierów, gdyż bank podejmuje się ich odkupywania, wystawiane są w biurach banku ściągających 3% komisowego i 3% za każdą tranzakcją.

W operacjach tych leżą niezawodnie źródła zysku, niepotrzebujemy jednak dodawać, że oprócz znajomości rzeczy, muszą one być prowadzone z wielką ostrożnością i głównie w celu dobra klientów; inaczej operacje podobne prędzej lub później skończyłyby się musiały klęską instytutcy i deponentów.



Na zakończenie dołączamy jeszcze kilka cyfr okazujących czynności banku. Jak powiedzieliśmy jestto instytucja nowa, a chociaż prawnie istnieje od 20 stycznia 1875 roku, to jednakże pierwsze biuro otwarte zostało dla publiczności 9 października tegoż roku. Do 31 grudnia otwarto jeszcze sześć innych biur i dwie filie w szkołach, a dopiero w tym roku rozpoczęto pracę około zakładania filii po warsztatach. Z przyczyny nowości instytucji, także dopiero w tym roku rozpoczęto operacje pożyczek na domy i zakupno obligacji państwowych. Z powyższych filii otwarto trzy w październiku, jedną w listopadzie i cztery, w których dwie szkolne w grudniu. W tym krótkim przeciągu czasu było deponentów 3,289, depozytów 12,400, a suma złożona wynosiła 1473 £. 14 s. 5 p., wycofano zaś 333 £. 2 s. 7 p. Przy otwarciu pierwszego biura powtórzył się pocieszający wypadek, który już miał miejsce przy otwarciu podobnych instytucji w innych miejscowościach: pierwszego bowiem wieczora otworzono 183 kontów.

Dotknęliśmy w trakcie przedstawienia niektórych nawet drobnotkowych szczegółów dotyczących pensowych banków, uważaliśmy to jednak za potrzebne, gdyż Penny-Bank przyjmujące najdrobniejsze sumy do depozytów, o tyle tylko zasługują na miano ostatniego ogniewa systematu, o ile zawierają w sobie wszelkie ułatwienia, wszelkie uwzględnienia potrzeb ubogiej klienteli.

## Prawo Bezprawia.

POWIEŚĆ \*).

PRZEZ

*Jana Zacharyasiewicza.*

VII.

Na drugi dzień siedział pan Marek jak zwykle z fajką na ganku, gdy obaj przybyli podróżni wyszli z domu zakładowego i po krótkiej rozmowie rozeszli się w dwie przeciwne strony. Młodszy poszedł ku wzgórcom, zkąd było widać ogródek pana Marka, a starszy zamierzył wprost do ganku.

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień z r. b.

Pan Marek uśmiechnął się pod wąsem i skrył się w chmurę dymu.

— Przepraszam—ozwał się Wiktor w dobrym humorze—mój nos ma pretensją do pańskiej ręki, przychodzę tu sprawę załatwić!

— Pański nos... nie przypominam sobie!—z prawdziwem zadziwieniem odparł pan Marek.

— Wsiadłeś pan w podróży do nas i zasnąłeś, a zanim mogłeś z twarzy nas poznać, przebudzając się, uderzyłeś pan mnie w nos ręką.

Pan Marek rozśmiał się.

— Ha, ha, ha! To zły *omen*, mój panie. Radzę z nosem być ostrożnym i nie wścibiać go, gdzie nie trzeba!

Wiktor przełknął przymówkę.

— Jeżeli się zaś jest skazanym na to, aby w takiej dziurze siedzieć kilka tygodni, to nie można się obejść bez tego, aby do jakiego sąsiada nosa nie wścibić, choćby to sąsiadowi nie bardzo było na rękę.

Pan Marek myślał chwilę, potem odrzekł:

— Mówiąc otwarcie, nie lubię ja wtedy gości, gdy jestem chory. Lekarze zalecili mi spokój jaknajwiększy; mimo to przyjemnie mi będzie, jeśli od czasu do czasu pomówimy słówko z sobą przy fajce na ganku.

Nastąpiła wzajemna wymiana nazwisk, to znowu kilka zapytań i odpowiedzi spowodowało. I tak zawiązała się dłuższa rozmowa, chociaż Wiktor wyraźnie widział, że pan Marek zbywa go różnemi okólnikami i wszelkich bliższych odmawia mu wyjaśnień. Czasami nawet widać groźną chmurę na jego czole, gdy Wiktor potrzącać chce domowe jego stosunki.

Opór ten i nieukontentowanie, skoro stosunków tych chciał dotknąć, utwierdził Wiktora w jego pierwszych domysłach. Stary dziwak bał się widocznie o swoją młodą żonę i nie tylko zamknął ją wewnątrz domu, ale nawet nie chciał o niej mówić, udając, że zapytań takich nie słyszy.

Sytuacja taka miała dla Wiktora coraz więcej interesu. Niewidzialna Łucya przedstawiała mu się w kolorach coraz więcej dramatycznych. Raz w małej pauzie, podczas której pan Marek fajkę zapalał, zdawało mu się, że słyszy westchnienie i brzęk łańcucha, jakto w więzieniu słyszeć można. Pan Marek z każdą chwilą i po każdym słowie, coraz więcej zakrawał na tyrana. Był szorstki, nieugięty, zdania swe wygłaszał krótko i węzłowato, nie znosząc najmniejszej opozycji.

Wszystko to rzucało światło jaskrawe na biedną, zamkniętą niewolnicę. Miała ona jasną aureolę męczeństwa, usta z ustawicznej tęsknoty spragnione, serce daremnem pragnieniem rozgorzałe!

Takie widmo stało w téj chwili przed oczami Wiktora, gdy przed domkiem ukazała się nagle para bardzo charakterystyczna.

Był to stary żyd polski z długą siwą brodą, obok niego szła młodzieńka, zaledwie kilkanaście lat mająca żydówka.

Stary żyd często spoglądał na swoją towarzyszkę, uśmiechał się do niej i poprawiał jęj chustkę na szyi.

Wiktor uderzyła ta para: wskazał na nią ręką.

Pan Marek nic nie odpowiedział, tylko chmurą dymu się osłonił. Uśmiechnął się Wiktor i rzekł:

— Ciekawy jestem, czy to córka czy żona?

— Córka czy żona?—odparł gniewnie pan Marek—ciekawy jestem co to mnie ma obchodzić, czy jest tém lub owém!

— Mówi się tylko ot tak!

Gniew pana Marka rósł widocznie.

— Nieszczercze pan mówisz—odparł—widocznie to pana interesuje! Taki to już świat dzisiaj. Gdy tylko dojrzy rys w cudzém szczęściu, już się zaraz tam wciska jak szczypawka, aby później po swojemu gospodarować! O! znam ja was, znam!

Wiktor zakąsił usta, aby się nie rozśmiać.

— Tak prędko pan mnie poznałeś!—odrzekł.

— Wy myślicie, że hreczkosiej na wsi jest głupi i ciemny jak tabaka w rogu, że go bardzo łatwo w pole wyprowadzić; a ja panu powiadam, że człowiek na wsi ma więcej czasu do myślenia, a gdy już znacznie myśleć, to się coś wymyśli!...

— I cóż wymyśliłeś pan?

— Oto wymyśliłem sobie, że dzisiaj jest świat brzydki i szkaradny, że jeden dybie na drugiego i patrzy, kiedy mu najśnadniej nóż wbić w szyję!

— Wszystkich masz pan za morderców!

— To zwykły tylko obraz, którego zastosowanie zostawiam panu. Przyznasz pan, że są morderstwa moralne, a stokroć straszniejsze od zwykłych!...

— Ależ nie dałem panu powodu do takiej okazji—rzekł z uśmiechem Wiktor.

— Daleko powodu nie trzeba szukać—mówił rozgorączkowany pan Marek—dosyć było słyszeć, jak pan mówiłeś o tym starym żydzie z młodą kobieta!

— Nie miałem w tém żadnego interesu! Ot mówiłem tak... a nawet mogę panu powiedzieć, że to jego córka.

— Żkąd pan wieśz, że to córka?

— Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne!

— Cóżby było w tém nieprawdopodobnego, gdyby była jego żoną?

— Żoną?... byłoby to może trochę niestosowném!

— Dlaczego niestosowném?... Czy pan wieśz, czego téj młodéj osobie do szczęścia potrzeba? Czy sądzisz pan, że tylko marnéj brody? Przecież są kobiety, u których więcej znaczy zacność, szlachetność a czasami i niejaki dostatek, niżeli wszystkie modne fryzury miejskich próżniaków! Rozsądna kobieta wie o tém doskonale, że



starszy mąż zawsze wiernie kochać ją będzie, podczas gdy młokos za parę lat od niej ucieknie do innéj!

Wiktor gryzł usta, aby się nie rozśmiać. Był pewny, że trafił na bolącą ranę pana Marka. Stary mąż widocznie szukał obrony dla siebie. Zarzuty Wiktora gniewały go coraz więcej.

— Niepotrzebnie bronisz pan starego żyda—odparł Wiktor—gdyż wiem z pewnością, że to jego córka!

— Czy już dowiadywałeś się pan o to?

— Tak... aby wiedzieć!

— Aby wiedzieć!... I cóż pan dowiedziałeś się?

— Ze jest córką!

Pan Marek zaśmiał się na całe gardło.

— Jest córką! cha, cha, cha!... Jest córką!... No, to do prawdy, bardzo wiele dowiedziałeś się pan!

— Jakto?—z zadziwieniem zapytał Wiktor—czyż to nie wszystko, czego pragnąłem?

— Cóż miał biedny żyd innego powiedzieć w takim razie? Przyznać się, że to żona... aby zaraz próżniakom i bałamutom dać sposobność do ról kochanków dramatycznych?

— Sądysz pan..

— Sądzę bardzo naturalnie, że biedny żyd nie chcąc młodą towarzyszką życia zwracać powszechnéj na siebie uwagi, ogłosił ją w obec ciekawych próżniaków, za córkę!

Wiktor spojrzął z uwagą na pana Marka. Ta myśl była wcale nową dla niego i nie była złą. Młoda żona przy starym mężu gromadzi zawsze wkoło siebie niezawsze bezpiecznych spektatorów, a tak, jako córka... wobec nieznanego tłumu, nie sprawia żadnej takiej sensacyi!

— Sądysz pan—rzekł Wiktor z uśmiechem—że bezpieczniej jest dla starego męża, jeżeli młodej żonie swojej każe w obec nieznanomych odgrywać rolę córki?

— Naturalnie że lepiej, nizeli ściągać oczy na siebie głupiej gawiedzi!—odparł z nieoględném rozdrażnieniem pan Marek i otoczył się nieprzebitą chmurą dymu.

Wiktor zamyślił się. Myślał nad tém, co w skutek jakiegoś tajemnego wzburzenia wyrwało się nieoględnie z ust pana Marka. Teraz już był pewny, że w swoich domysłach się nie myli. Już samo rozdrażnienie, z jakim pan Marek wyrażał się o głupich próżniakach i młodych żonach, było dostatecznym dowodem. Niemniej charakterystyczną była obrona starego żyda, który dowcipnym wybiegiem zastąpił młodą żonę od możliwego niebezpieczeństwa....

To wszystko zatrzymał sobie Wiktor dobrze w pamięci i na ten raz pożegnał gospodarza.

## VIII.

Na drugi dzień chciał Wiktor rozpatrzeć się trochę w okolicy zakładu. Chciał on jak wódz ogłędny poznać pierwój grunt, na którym miał stoczyć walkę. Najlepszą do tego pomocą mógł być młodszy jego towarzysz.

Wiktor nie łudził się wcale, że w innych warunkach, mógłby ten młodszy towarzysz być mu bardzo niebezpiecznym. Zakrawał widocznie na rywala. Wiele rzeczy mówiło za tém. Tajemniczy jego przyjazd do zakładu, zbyt wyraźne interesowanie się młodą towarzyszką pana Marka, i widoczny kłopot, z jakim ujrzał go wysiadającego z pocztowej karetki: wszystko to było dowodem, że względem tej młodej osoby miał jakieś serdeczne zamiary.

Doświadczony jednak Wiktor wytkumaczył sobie ten sentyment młodzieńca bardzo naturalnie. Lucyan oczywiście wziął ją za córkę pana Marka, która mu się podobała, i za którą tutaj przyjechał wykroczywszy nieco przeciw obowiązkom, jakie miał dla swego opiekuna.

W takim razie sentyment Lucjana nie tylko nic mu nie przeszkadzał, ale był mu nawet na rękę. Mógł go użyć w swoich widokach, i korzystać z tak wygodnego towarzystwa. W najgorszym razie mógł mu służyć za osłonę, poza którą odbywałyby się właściwy, bardzo widoczny dramat; tam bowiem, gdzie się kończy rola Lucjana, zaczyna się jego rola.

Tak sobie to wszystko w głowie ułożył doświadczony Wiktor, i cieszył się nawet, że przysły dramat jego układa się tak dobrze.

Co sobie znowu z drugiej strony ułożył przedsiębiorczy młodzieniec, o tém Wiktor wcale nie myślał.

Zaraz rano, gdy obaj na śniadaniu się spotkali rzekł Wiktor do Lucjana:

— Chciałbym trochę obejrzyć się po zakładzie, czy nie chciałbyś pan mi towarzyszyć?

— I owszem—odparł Lucyan—właśnie wybieram się na przechadzkę, a jako świadomy już całego położenia, mogę panu służyć za przewodnika.

Nigdy sojusz dwu dyplomatów nie opierał się na mniej korzystnym gruncie dla stron obu, jak to wzajemne porozumienie się.

Zaraz po kawie wyszli z restauracyi, ręka w rękę. Przed nimi była szeroka droga, która prowadziła do ładnego parku.

— Może wprost pójdziemyl—ozwał się Wiktor.

Lucyan zawahał się.

— Zdaje mi się—odparł nieśmiało—że lepiej będzie jeżeli pójdziemy na lewo!

Po lewej stronie stał domek pana Marka.

— Z parku przecież możemy mieć piękniejszy widok—mówił dyplomatyczny Wiktor.

— To prawda... ale widzisz pan... trzeba najlepszy kątek zostawić *pour la bonne bouche!* Choćmy na lewo! Widzisz pan te wzgórze przed domkiem?

— Po nad jakim domkiem?

— Po nad domkiem... w którym mieszka... pan Marek!

— A, tak! zapomniałem że to ten domek! To chodźmy!

Wiktor zgodził się na propozycję towarzysza, z czego towarzysz mocno był uradowany. Zdawało się, że ta radość pochodziła z jakiegoś utajonego źródła. Obaj kierowali się wąską ścieżką ku wyżynom na lewo.

Domek, w którym mieszkał pan Marek, zdawał się jeszcze w śnie pogrążony. Ciemne rolety zastaniały okna, a na ganku nie było nikogo: w całym domu nie było widać żadnego ruchu.

Obaj towarzysze w milczeniu obeszlili parkan ogródka, zacieniony gęstym głógiem, i po wązić, tuż za ogródkiem pnąć się do góry dróżynie zaczęli powoli drapać się na najbliższe wzgórze.

Za pół godziny byli jak na wzgórzu. Piękny widok roztaczał się przed nimi. Tam w dolinie płynął jasny potok, łagodne wzgórza były ocienione lasem śpilkowym, a po nad lasem rozpinął się błękitny namiot nieba, pod którym przesuwały białe, małe obłoki.

Widok był piękny, ale żaden z stojących na wzgórzu towarzyszów nie widział tego widoku. Obaj skierowali oczy swoje na podnóże wzgórza, gdzie stał mały biały domek, i poza którym roztaczał się mały, krzakami akacyi i kwiatami ubarwiony ogródek.

Ogródek ten nie był pusty: po alei wysadzonej akacyami przechadzał się staruszek z łysą głową.

Z głową pokornie do ziemi spuszczonej, i z rąk jakby do modlitwy splecionych widać było, że odmawia paciérz poranny. Pod rozkosznym platanem w przezroczystej prawie altanie, siedziała młoda kobieta zatrudniona przyrządzeniem śniadania. Stara służąca w białym czepcu pojawiała się od czasu do czasu, przynosząc różne potrzebne do śniadania akcesorya. Domowy stróż, czarny pies, odprowadzał ją z uwagą tam i napowrót.

Widok ten miał w tój chwili więcej dla nich interesu niżeli cały, przepyszny krajobraz.

Wiktor patrzył na ten obraz z pewnym bolesnym uczuciem. Stworzył sobie nagle cały smutny szkic tego tak wyjątkowego małżeństwa. Co tylko w powieściach francuzkich i dramatach nowoczesnych w tym kierunku przeczytał, wszystko teraz zebrał razem, i w tym małym ogródku umieścił.

Widział najprzód człowieka niegodziwego, który pod koniec życia, nie mając względu na stargane siły swoje, przykuł do siebie młodą, żądną silnych wzruszeń kobietę, żelaznym, nie rozwiązalnym łańcuchem! Potem widział młodą kobietę, która dziwnym zbiegiem okoliczności zmuszoną była do tego łańcucha, albo lekkomyślnie się sprzeczała! W jednym i drugim wypadku, twierdził w duchu Wiktor, ma



ona nieprzedawnione prawo do buntu, ma nawet obowiązek rozerwania tego łańcucha, aby wraz z nim rozerwał się już raz ten przesąd tyłowieczny, który z kobiety zrobił niewolnicę!

I mężnemu bohaterowi stanęły zaraz przed oczyma wszystkie bohaterki nowożytne, które w tym kierunku dążyć mają do wyzwolenia się z pęt narzeczonych, przez prosty układ społeczny i obrzęd religijny. I powoli jakby na scenie teatralnej, przesunęły się z twarzami proszkiem otłowianym wytynkowanemi, z oczami ciemno podmalowanemi, szukając nowego ideału, jakim ma być bezwzględne prawo do wrażeń, w długim życiu tak często napotykanym, a dotąd nieugruntowanym przesądem wzbronionych!...

Wszystko to stanęło żywo Wiktorowi przed oczy. Oto ten mały domek z tym niewielkim ogródkiem, mieści w tej chwili nieznanego może nikomu dramat zycia!... I tu jest jak wszędzie: tyran i ofiara! Cóż go spowodowało zostać tyranem? Dlaczego ona dobrowolnie stała się ofiarą? Jaka może być wspólna ich historia? Może wchodziła między nich jaka osoba trzecia? Może tyran uniósł ją tutaj przed tą trzecią osobą i w samotności zagrzebał?...

Bądź co bądź, Wiktor miał przed sobą sytuację bardzo ciekawą. Już dawno wdychał za podobną sytuacją. Była ona tak dramatyczną, jak tylko w romansie francuzkim istnieć może. Tyle ukrytych barw i wrażeń, tyle zachwyceń i rozkoszy mieściło się w tym małym i napozór tak prostym obrazku, na który patrzył w tej chwili.

Z altany wyszła teraz młoda kobieta i powoli zbliżała się do starego, pacierze odmawiającego męża.

Miała na sobie długą czarnego koloru szatę. Włosy były rozpuszczone i malowniczo układały się na białych ramionach za każdym krokiem, za każdym podmuchem swawolnego wietrzyku... Postać jej była smukła i przeginana się jak trzcina na jasnym zwierciadle wody....

Wiktor uczył w sercu bardzo miłe wzruszenie. Coby dał w tej chwili, gdyby był pewny, że ta kobieta może mu być wzajemną... i gdyby ta wzajemność stworzyła mu sytuację tak wyjątkową, o której nieraz marzył przy książkach francuzkich!...

Teraz spostrzegł nagle, że tuż obok siebie ma rywala. Lucyan uzbrowszy się w szkła paryzkie, pozerzał w tej chwili cały mały widoczek, jaki się teraz w niewielkim ogródku przed nim otwierał.

Jakieś niedobre przeczucie poruszyło Wiktora.

— Gdzie się pan tak patrzysz nieruchomie? — zapytał.

Lucyan żadnej nie dał odpowiedzi.

— Cóż pana tak zaciekawiło? — powtórzył zapytanie.

— Co mnie zaciekawiło? — odparł zwolna Lucyan — toż pan nie widzisz?... tam na dole!

— Tam na dole?... nic nie widzę!

— Tam na dole!... w tym ogródku!

— Cóż w tym ogródku?

- Czy pan nie widzisz?... Tam... przy akacyach!
- Przy akacyach?
- Ten jegomość stary... i ta młoda...
- Córka jegol!

Wiktor wymówił te słowa z naciskiem i z uwagą spojrzął na Lucyana.

Lucyan w pierwszej chwili odjął szkła od oczu i z pewnym niedowierzaniem spojrzął na towarzysza. Ale była to tylko krótka chwila. Spojrzął znowu w ogródek.

— Nie odpowiedziałeś mi pan na moje ostatnie słowa — zagadnął Wiktor po niejakićj chwili.

- Jakie słowa? — zapytał od niechcienia Lucyan.
- Że pan patrzysz... na córkę tego starego jegomości!
- Tak... na nią patrzę... cóż w tém dziwnego?

Wiktor uśmiechnął się. Lucyan był widocznie w błędzie, a tego błędu bardzo było potrzeba Wiktorowi. Błąd ten najprzód pozabawiał go przyszłego rywala, a dzisiaj był dla niego bardzo dogodnym.

— Jak widzę — rzekł Wiktor po małej przerwie — że panu ta wysmukła sarneczka bardzo w oko wpadła!

— Podobała mi się: nie przeczę temu! — odparł z niekłamającym spokojem młodzieniec.

- Mógłbym może panu w czém usłużyć?
- Dziękuję, w takim razie lubię sam załatwiać moje interesy!
- Zdajesz się pan być doświadczonym człowiekiem!
- Trochę!

— Ale pośrednik byłby może na rękę, gdy z papą dobrodziejem trzeba coś o posagu córki pomówić.

- Wtedy będę korzystał z pańskiej ofiary!
- Przyobiecuję panu najprzód.
- Dziękuję!

Na tém skończyła się bardzo ważna dla Wiktora rozmowa z dzisiejszym rywalem. Przekonała go o braku wszelkiego z téj strony niebezpieczeństwa; gdzie bowiem kończy się sielankowa rola Lucyana, tam dopiero zaczyna się jego dramat.

Po stwierdzeniu tego, czego się pierwój domyślał, wrócił Wiktor zadowolniony z porannego rekonesansu.

S Z K I C E

## Z WYSTAWY FILADELFIJSKIÉJ \*)

1876 r.

NAPISZAŁ

Jan Karłowicz.

### III.

Przemysł rolniczy Stanów Zjednoczonych.—Gmach wystawy rolniczej.—Wystawa brazylijska.—Skandynawska.—Stanów Zjednoczonych.—Machiny i narzędzia rolnicze: Żniwiarki i Kosiarki—Młockarnie—Maneże deptakowe—Sieczkarnie—Siewniki—Młyn do nawozów—Elewator siana—Prasa do siana.—Pługi—Grabie—Przetrzęsacz—Pulweryzator.—Guano kwiatowe.—Płoty.—Omielacz ryżu.—Rękawiczki pancerne.—Inne drobniejsze przyrządy i machinki.—Materiały pokarmowe.—Wystawa rybacza miasta Gloucester.—Szkoła rolnicza w Hampton.—

Przybywając z kraju przeważnie rolniczego i przypatrując się wystawie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zapytujemy się najsamprzód, czy i ta pełna przyszłości rzeczpospolita jest krajem rolniczym i do jakiego stopnia, czyli jaki jest stosunek jéj produkcyi rolnéj do innych gałęzi bogactwa narodowego. Najpewniejszą na to odpowiedź dają nam cyfry statystyczne. Roczne sprawozdanie ministra skarbu Stanów Zjednoczonych z r. 1869 podaje następujące liczby: gdy ogólna produkcyja Stanów wynosi 6,825 milionów dolarów, prawie połowa téj pozycyi przypada na rolnictwo, mianowicie 3,283 miliony; tę zaś ostatnią cyfrę składają: bawełna 303 miliony, kukurydza 450, pszenica 375, owies 137½, wełna 75, tytoń 250, jęczmień 30, siano 250, żyto 27½, skóry 37, kartofle 90, tatarska 20, mięso i mléko po 400, oraz rozmaite pomniejsze źródła 650 milionów dolarów. Oczywiście w ciągu kilku lat ostatnich liczby te znacznie urosły, z wyjątkiem produkcyi kartoflowéj, która skutkiem pojawienia się szkodliwego owadu, zwanego w Ameryce *colorado* lub żukiem kartoflowym (*potato bug*), znacznie się uszczupliła. Owad ten podobny jest do naszej bożej krówki, znacznie od niéj większy, plamki ma żółte na czarném tle; napada w ogromnej ilości na roślinę kartofli i zjada ją do szczętu. Rolnicy amerykańscy obmyślają różne sposoby obrony; dotąd najskuteczniejszymi się okazały: hodowanie kartofli z nasion i skrapianie roślin

\*) Dokończenie—patrz zeszyt kwietniowy Bibl. Warsz. z r. b.



ny rozcieńczonym kwasem siarczanym; tak mi mówili rolnicy ze Stanów Jowa i Illinois.

Widzimy z cyfr powyższych, że Stany Zjednoczone połowę bogactwa swojego ciągną z roli i najściślej z nią związanych przemysłów. Widzimy też, że produkcja rolna zostaje tam w rzadkiej na świecie harmonii z przemysłem nierolnym, dzieli się bowiem po połowie z tym ostatnim. Kraj nasz przywykliśmy nazywać przeważnie rolniczym; zróbmy więc małe porównanie urodzaju; np. pszenicy i żyta u nas i w Stanach amerykańskich. Królestwo polskie, według dat najnowszych, produkuje brutto 4 miliony korcy pszenicy; czyli mniejwięcej po  $\frac{3}{4}$  korca na każdego mieszkańca; Stany Zjednoczone przed kilku laty zbierały przeszło 90 milionów korcy tegoż ziarna, czyli przeszło po 2 korce na głowę; żyta zaś Królestwo produkuje mniejwięcej po  $2\frac{1}{4}$  korca, a Stany Zjednoczone po  $\frac{1}{3}$  korca na mieszkańca; ogólnie więc biorąc produkcję roślin chlebowych, Stany zbierają ziarn ich prawie tyle, co Królestwo w stosunku do ludności. Słusznie więc rzeczpospolite amerykańską nazywać możemy krajem rolniczym i to w najlepszym tej nazwy rozumieniu, bo przemysł ten łączy się tam w najodpowiedniejszym stosunku z innymi.

Widać to już z samej obszerności gmachu wystawy rolniczej, wzniesionego w stylu gotyckim z ostrołuków żelaznych, opartych na ziemi, połączonych misternym wiązaniem u góry, pokrytym szklanym dachem; gmach ten ma długości przeszło 800 stóp na 500 stóp z górą szerokości i składa się z kilku przecinających się korytarzy, czy raczej naw, tak wysokich, że w jednej z nich wygodnie się mieści potężny wiatrak wraz z skrzydłami, ustawiony tu jako zabytek młynowego budownictwa z przeszłego wieku.

Jak w innych pałacach, tak i w tym, wystawę okazów rozmieszczono krajami, a Stany Zjednoczone prawie połowę przestrzeni zagarnęły. Okazy składają się nietylko z machin, narzędzi rolniczych i ziarn, ale obejmują wszystkie przemysły będące w związku z uprawą roli, jakoto: przetwory ziarn i liści, a więc różne napoje, pokarmy, tytoń i cygara, wyroby gutaperkowe, farby, rośliny lekarskie, materiały do papieru i tkanin, okazy drzew, oraz produkta i wyroby z królestwa zwierzęcego, jak skóry, futra, konserwy, wełnę, séry i t. d. Oprócz tego w oddzielném miejscu, poza obrębem wystawy, pobudowano ogromne stajnie i obory na pomieszczenie żywych okazów koni, bydła i drobiu.

Nie będę opisywał wystawy każdego kraju szczegółowo, wolę nad kilkoma tylko bliżej się zastanowić, aby tym sposobem dać czytelnikowi przeciętny obrazek nagromadzonych w gmachu rolniczym okazów. Wybięram tedy najprzód dwie krainy bardzo od siebie odległe przestrzenią, przyrodą i zwyczajami: Brazylią i Szwecyę z Norwegią, a powiedziawszy coś o ich wystawach, rozwiędę się obszerniej nad oddziałem Stanów Zjednoczonych, jako najciekawszym i dla nas może najbardziej pouczającym.

Ogromne cesarstwo południowo-amerykańskie, które dotąd jeszcze obdarza świat brylantami rocznie na 10 milionów złp., urządziło swoją wystawę bardzo ładnie: wyroby tytoniowe, kauczukowe, wódki w butelkach piętrzą się w ozdobnych kioskach i piramidach; z góry zwisają na sznurach skóry nieznanym nam zwierząt i węzłów; kawa, herbata, cukier i mnóstwo nieznanym oku północnego wędrowca ziarn i listków, błyszczy w gustownych kloszach i słojach, a cały oddział przejęty jakimś dziwnym, upajającym zapachem południa, przywiezionym z gorących wybrzeży Amazonki. Bogata to w ciekawe rzeczy wystawa, ale uboga pod względem wytworów prawdziwego przemysłu; nie widać w niej ani machin, ani mechanicznych przyrządów do ułatwiania pracy ludzkiej nad upartą materją. Zgromadzono czém hojna matka natura kraj uposażyła, obrobiono zlekką, ułożono elegancko i wystawiono na podziw północnych przybyszów. Więc też przypatrują się oni tym ciekawościom z zajęciem, ale o Brazylii nie powiedzą, że zapanowała nad swoją przyrodą i wskazała nowe drogi rolnictwa; wyrzekną tylko, że kraj to bogaty w przeróżne plody i że mieszkańcy jego dobrze robią, że ich przynajmniej nie marnują i że z nich korzystają.

Przypatrzmy się szczegółom tej wzrok nęcącej wystawy. Oto naj-samprzód cukier w różnych swych przeobrażeniach, od piasku do głów, które na całym świecie jednego są kształtu; dalej kawa w różnych gatunkach, mieszcząca się w licznych słojach, ustawionych w piramidę, tak, aby widz miał wyobrażenie o całym przejściu jej wyrobu; jeden gatunek jej zwraca uwagę naszą niezwykłym kolorem: to tak zwana kawa *olowiana*, uprawiana tylko w Brazylii; herbata w różnych gatunkach, a obok niej *yerba-mate*, bardzo lubiony w Ameryce południowej surogat herbaty; tu znowu cały szereg roślin włóknistych, po większej części nieznanym u nas, tak zwany *vegetal*, zastępujący len; kilka gatunków rośliny *paina*, surogatu bawełny: wszystko to okazane w różnych stanach przerobienia na tkaniny i papier; tam znowu kora drzewa papierowego, biała jak nasza brzoza; w oddzielnej altanie ślicznie ugrupowana bawełna w rozmaitych przetworach; na półkach i stołach orzechy kokosowe nieobrane, obrane, oczyszczone; liście palmowe a przy nich kapelusze, koszyki i nitki z nich wyrabiane; szyszki olbrzymiej jakiejś sosny i ich ziarnka; czarny mech, używany do wypychania materaców i mebli; mnóstwo gatunków tytoniu, a tuż obok cygara i papierosy gotowe; kakao, arrow root, tapioka, kauczuk i wiele gatunków gum w różnych zastosowaniach; przeszło tysiąc okazów rozmaitych drzew, po większej części u nas nawet z nazwiska nieznanym, przeróżnych kolorów, fladrów, nakrapianych, cętkowanych, podobnych to do szylkretu, to do miedzi, to do kości słoniowej, a wszystko to w ładnie wygładzonych i wypoliturowanych tafelkach; deski sosnowe dwułokciowej szerokości, na cztery palce grube; okazy ogromnych pasożytów roślinnych, gnieźdzących się na drzewach dziewiczych puszczy nad-Amazońskich i t. d. Z królestwa zwierzęcego wpadają najprzód w oko rozwieszane skóry rozmaitych zwierząt miejscowych: jaguarów, borsuków,



panter podobnych do olbrzymich kotów, ogromnych mrówkojadów, a także potężnych węzów.

Chcąc zaś dopełnić wrażenia téj dziwnej wystawy, należy w gmachu przemysłowym przypatrzeć się jeszcze kolekcjom owadów brazylijskich; zdumiewająca masa odmian ich, barwy wszystkich odcieni tęczy, ogromne rozmiary niektórych obrzydliwych potworów i przesłiczne kolory nieznanych u nas żuków i muszek, robią wrażenie jakbyśmy oglądali żyjące istoty innej jakiejś planety. W pałacyku wystawy kobiécęj sprzedawano duże żuki jasno-zielonéj barwy, używane na brosze i kolczyki dla dam; oprawione w złoto, wyglądają one bardzo pięknie i oryginalnie.

A teraz przenieśmy się z podrównikowéj Brazylii w podbiegunowe strefy Skandynawskie. Wystawa szwedzko-norweską urządzoną jest w gmachu rolniczym z niemniejszą starannością od wystaw tychże krajów po innych pałacach. Dobrano okazy, umieszczono je, opatrzone zrozumiałemi napisami i informacyami tak umiejętnie, że bez wielkiego trudu książeczka notatkowa turysty i pamięć jego napełniają się harmonijnie układającemi się wspomnieniami. Po żywych barwach brazylijskich, oko nasze musi przywykać tu do szarych i brunatnych tonów sieci, ryb suszonych, snopków zbożowych i narzędzi rolniczych. Po upajających zapachach roślin, gum i skór gorącego cesarstwa, nie mile uderza odór śledzi ryb wędzonych, konopnych sznurków i lin rybaczych. Sam widok płodów bujnéj roślinności nad-Amazońskich pustyni ogrzewa nas, na myśl, że pochodzą one z pod rozpalonego nieba równikowego. Tu zaś na pierwszym kroku dostrzegamy manekin Lapończyka, odzianego od stóp do głów futrem, tak, że nos tylko i oczy jego są widoczne. Siedzi na sankach dziwnego kształtu, przypominającego łódź z jednego pnia wyrobioną. Renifer zaprzężony do sanek ciągnie jak i dokąd mu się podoba, bo nie widać ani lejców, ani bata w rękę biédnego syna północy i opowiadają, że gdy poczciwy zwierz postanowi sobie odpocząć i nie chce ruszyć z miejsca mimo ustne perswazyje pana, ten ostatni wyłazi z sanek, kładzie się na śniegu, przykrywa się przewróconemi do góry sankami jak budą i czeka aż rogaty rumak namyśli się wyruszyć w dalszą drogę. Widok tego zziębłego podróżnika i jego futer przejmuje dreszczem, pomimo 30 stopniowego upału w gmachu wystawy.

Najciekawszą częścią okazów norweskich, jest tu niewątpliwie wystawa rybacza. Rolnictwo, będąc w dziejach kultury okresem, następującym po łowiectwie, rybołówstwie i pasterstwie, w spadku po tamtych, odebrało i te działy pracy około wyżywienia rodzaju ludzkiego; chociaż więc właściwie myśliwstwo i łowienie ryb nie są w bezpośrednim związku z przemysłem rolnym, przywykliśmy i na wystawach i w życiu łączyć je z nauką uprawiania ziemi. W obszernych wodozbiorach, niby sadzawkach pokojowych, nie pływają wprawdzie ryby, ale na powierzchni wody unosi się cała flotyla statków rybackich zachodniéj Skandynawii, różnych kształtów i rozmiarów; na każdym



znajduje się szczelnie kryta skrzynia czy raczej buda na skład sieci, odzieży i ryb ułowionych; każda łódź odznacza się t $\acute{e}$ m, że ma po kilka ster $\acute{o}$ w, zapewne dla ułatwienia obrot $\acute{o}$ w w miejscach ciasnych i przy r $\acute{o$ żnych pozycjach rybaka. Ponad t $\acute{e}$ mi akwaryami zwieszają się od strop $\acute{o}$ w gmachu zwoje sieci o rozmaitej grubo $\acute{s}$ ci, okach i niciach: niekt $\acute{o$ re ułożone w festony i chorągwie, a wśród nich zagle rozpięte na maszcie i rejach, naturalnej wielko $\acute{s}$ ci, dają wyobrazenie o t $\acute{e}$ m, jak wygląda statek pod wiatrem. Przypatrując się bliżej siatkom, widzimy, że niekt $\acute{o$ re są wiązane z tak cienkich nit $\acute{e}$ k, że w wodzie stają się prawie niedostrzegalnymi, nie odstrasza $\acute{j}$ ają więc najczujniejszych mieszkańc $\acute{o}$ w gł $\acute{e}$ bin. Pod sieciami widać rozstawione narzędzia i broń rybaczą, r $\acute{o$ żnych kształt $\acute{o}$ w i rozmiar $\acute{o}$ w: o $\acute{s}$ cienie, harpuuy, dziryty; jeden z nich ma ostrze tak urządzone, że po wbiciu jego w ciało ryby, wyskakują ze środka pocisku dwa kolce pod prostym kątem i nie pozwalają jeńcowi zemknąć się z niego. Niekt $\acute{o$ re sieci mają pławy korkowe, a inne zamiast nich kule szklane, próżne we środku, kilkocalowej średnicy, naśladowujące kolorem wodę morską, a przez to dla ryb prawie niewidzialne. Na stołach i półkach widzimy w szklanych stojakach mn $\acute{o}$ stwo ryb, zakonserwowanych w oliwie; górują tam śledzie i stokfisz $\acute{e}$ , ale bardzo wiele i takich, których u nas nie znamy nawet z nazwiska; pełno t $\acute{e}$ ż okaz $\acute{o}$ w ryb suszonych, a wi $\acute{e}$ ksze są wypchane jak ptaki. Bardzo zajmującą widziałem tam genezę stokfisz $\acute{a}$ : w szklanych naczyniach, obok siebie ustawionych, przejść można wzrokiem cały wzrost t $\acute{e}$ j ryby, od ikry aż do zupełnego rozwoju; po miesiącu z ziarenka zarodkowego wyrasta ju $\acute{z}$  istotka ze 3 milimetry dłu $\acute{g}$ a, po czterech miesiącach du $\acute{z}$ a jak palec, po sześciu 4 calowa, po roku dochodzi trzech ćwierci łokcia, a pot $\acute{e}$ m dorasta do 2 łokci. Szwedzka wystawa rybna nie tak była obfita i nie tyle miejsca zajmowała, co norweską. Widziałem i tam pływające w akwaryach statki, które się t $\acute{e}$ m od norweskich różniły, że miały maszty składane, dające się wyjmować z osady; pełno t $\acute{e}$ ż było sieci, ryb marynowanych i suszonych, pocisk $\acute{o}$ w ręcznych i t. p.

Lasy, jak wiadomo, pokrywają dotąd jeszcze prawie połowę powierzchni Szwecyi; rośnie w nich przeważnie sosna, jodła, brzoza i olsza, a tylko na południu buk i dąb. Sosny muszą tam być w niektórych miejscach olbrzymiego wzrostu, bo na wystawie oglądałem półtora łokciowe deski z pod 67 stopnia szerokości północnej.

Pomiędzy okazami ziarna figuruje i pszenica, w kilku gatunkach, przeważnie czerwona, wcale bujna; jeden s $\acute{o}$ j zawierał to zboże z pól pod 67 stopniem, a zat $\acute{e}$ m z okolicy północniejszej od Archangielska, ziarenka nie pi $\acute{e}$ kne i pokurczone, ale sam fakt, że w tak zimnej strefie dojrzały, godny jest uwagi. Z innych zb $\acute{o}$ z widziałem liczne i pi $\acute{e}$ kne okazy: żyta, jęczmienia i owsa. Wiadomości statystyczne, wypisane na rozwieszonych tablicach, g $\acute{o}$ szą, że Szwecya najwi $\acute{e}$ cej produkuje owsa (przeszło 11 milion $\acute{o}$ w korcy), a najmniej pszenicy. Du $\acute{z}$ o było próbek tak zwan $\acute{e}$ j szwedzkiej koniczyny, w ziarnach i snopkach, bar-

dzo pięknego pozoru. W norweskim oddziale wystawiono próbki je-  
czmienia z pod 70 stopnia szerokości

Narzędzia rolnicze szwedzkie i norweskic nie zajmującego nie przedstawiają; jako ciekawość archeologiczną, oglądaliśmy odwieczny pług norweskic, cały drewniany, z matemi sośnikami żelaznemi, nieco podobny do naszój patryarchalnój sochy, a tak urządzony, że oracz iść musiał nie za pługiem, ale obok niego.

Z wyrobów mających związek z rolnictwem, zauważałem na wystawie skandynawskiej, przeróżne wódki i napoje spirytusowe, wiele okazów tytoniu w liściach, cygarach i tafelkach do żucia, bardzo wiele konserw mięs, jarzyn i ryb, mléko zgęszczone w blaszanych sło-  
jach, wreszcie wybornie wyrobione skóry i podeszwy norweskic.

Z powyższego zarysu wystawy rolniczej dwu krain leżących na dwu końcach świata, czytelnik wyciągnął już zapewne wniosek, że gdy w szczęśliwej Brazylii szczodra matka natura obdarzyła mieszkań-  
ców tysiącami płodów, człowiek potrzebuje tam oglądać się tylko około siebie, zbierać pełnemi garściami samorodne skarby i myśleć nad tém tylko, jak ich użyć i do czego zastosować, zlekka przykładając rękę do ich rozmnażania; w mroźnej Skandynawii walczyć musi z krnąbrną naturą, korzystać z kilkunastu tygodni uśmiechów słońca do wydobycia z ziemi jakiego takiego plonu, puszczać się codzien z narażeniem życia na zdradliwe morze dla połowu ryb, przerywać sobie z trudem i niebezpieczeństwem drogi przez łokciowe zaspy śniegu, ży-  
wić się owsem i śledziami i patrzeć ośm miesięcy na smutną, zamarłą, śmiertelnie białą okolicę. A jednak z porównania dwu wystaw wy-  
nosi się wrażenie, że synowie Północy, choć tak po macoszemu od na-  
tury uposażeni, więcej od ubłogostawionych Brazylijczyków i myślą i ręką pracują i zdaje się, że czują się od nich szczęśliwszymi. Dłaczego tak jest, na to etnografia i dzieje tylko mogą dać odpowiedź.

Przenosimy się teraz do potężnej<sup>\*</sup> wystawy rolniczej Stanów Zje-  
dnoczonych. Zgromadzono na niej tak ogromną ilość rozmaitych przedmiotów, że ktokolwiekby chciał sumienne o wszystkich ich gru-  
pach dać sprawozdanie, musiałby całe sześć miesięcy wystawowych temu poświęcić i spróbować chyba każdego przyrządu i każdej maszyny, skosztować każdej konserwy, każdego napoju, zrobić próbę z każdej mąki, z każdego kawałka suchych drożdży, bić masło w każdej kierzni i czekać plonu z każdej próbki zboża. Że zaś byłoby to czystym nie-  
podobieństwem, więc chcąc tu podać choć błady zarys przemysłu rolniczego amerykańskiego, muszę się ograniczyć kilku tylko wybitniej-  
szemi stronami jego, dodając to jeszcze zastrzeżenie, że nie będąc rol-  
nikiem z powołania ani specjalności, lecz tylko z przypadkowego zrzą-  
dzenia losu, spisuję tu wrażenia moje, bynajmniej nie podając ich za  
pewniki, a czynię to dlatego jedynie, że ile wiem, nikogo ze specyali-  
stów ziemian naszych na wystawie filadelfijskiej nie było, a o oddziale  
jei rolniczym zbyt mało publiczności podano.



Zacznijmy od narzędzi i machin. Na ogromnej przestrzeni ustawiono ich kilka tysięcy. Lśnią wszystkie przepysznyim połosem i jasnymi barwami pokostu, wśród których jaskrawo-ponsowa przeważa. Żniwiarki, kosiarki, młynki, pługi i młockarnie stoją na wspaniałych dywanach, otoczone są ładnymi słupkami, przez które przeciągnięto barwne sznury demarkacyjne. Od godziny 9 z rana do południa i od 1 do 5 po południu niewidzialna siła parowa porusza wszystko, co ruszyć się powinno, więc szmer tu i stukot jak w berlińskiej oficynie artylerii na Dorotheenstrasse. Przy każdej maszynie siedzi jej opiekun dając na żądanie objaśnienia, ilustrowane opisy i katalogi; w razie nieobecności jego, wolno jest zabrać książeczki informacyjne, a nawet próbki niektórych okazów (np. drożdży, mąki, ziarn i t. p.), gdy napis nad nimi umieszczony do tego zachęca słowami: *take one, weź jeden*.

Zamierzając mówić o żniwiarkach i kosiarkach, wypada zacząć od Mac Cormicka z Chicago, znanego patryarchy tego rodzaju maszyn. Wystawił on kilka swoich wyrobów: żniwiarko-kosiarkę, kosiarkę i żniwiarkę z przyrządem do wiązania snopów.

Żniwiarko-kosiarka niewiele się różni od tej, jaką oglądano na Wystawie Wiedeńskiej 1873 r.: Jak tamta, jest na dwu kołach, ruch do wachlarza przenosi za pomocą łańcucha i dość skomplikowanej maszyneryi; wachlarz składa się z czterech skrzydeł, osadzonych nie na dwu jak dawniej, ale na jednej sztabie; ta jeszcze zaszła odmiana, że przyrząd tnący inny jest do zboża, a inny do trawy, mianowicie tamten 5 stóp długi, a ten 4 stopy, i niżej się osadza. Tak skombinowaną żniwiarko-kosiarkę nazywa M. Cormick „Królową połączonych machin,“ a na grabiach wypisuje: *Advence* (Postęp). Kosiarki nie różnią się od dawniejszych tegoż fabrykanta. Trzecia maszyna, którąby nazwać można kosiarko-żniwiarką, przeznaczona jest dla gospodarzy mających dużo siana a mało zboża do zdjecia; jest to zwykła kosiarka, do której przystawić można w razie potrzeby bardzo uproszczony wachlarz bez grabi, zmieniając jednak noże z krótszych na dłuższe; żęte zboże zrzuca się z patyków, poruszając ręką drążek.

Nowością jest tegoż fabrykanta żniwiarka połączona z przyrządem do podnoszenia ściętego zboża na stół, w celu wiązania go w snopy. Oprócz woźnicy, na pomoście obok żniwiarki, pod osłoną parasola w kształcie baldachinu, stać może dwu ludzi: jeden przyjmuje z nieskończonego płótna żęte kłosa, kładzie je na stole, a drugi wiąże w snopy. M. Cormick zapowiada na rok przyszły zbudowanie przyrządu, który automatycznie snopy wiązać będzie. Żniwiarka powyższa okazała się po raz pierwszy w r. 1875, a na wystawie widziałem ją w drugim poprawnym wydaniu. Nie mogłem oglądać prób jej w polu, nieśmiem więc o niej wyrokować. Jakkolwiekby, widać, że w ostatnich latach wszyscy amerykańscy fabrykanci żniwiarek, łamali sobie głowy nad zbudowaniem *samowiązacza*, a rzecz niezawodna, że praktyczny i nie zbyt ciężki a skomplikowany przyrząd taki,



ogromném byłby dobrodziejstwem dla Ameryki, gdzie robotnik, szczególnie latem, jest niesłychanie drogi.

Zadaniu temu usiłuje sprostać głośny zakład Wooda w Hoosick-Falls, w stanie Nowyorskim. Wystawił on, pomiędzy innymi maszynami, ogromną żniwiarkę z przyrządem podnoszącym, za pomocą półokrągłych grabi żelaznych zżęte zboże i zsuwającym je na półkolistą wklęsłą blachę, a na niej dowcipny aparat zbiera kłosa w snopek, wiąże je drutem i zsuwa na ziemię; na żniwiarce siedzi jeden tylko woźnica, a po przejściu jej, szczęśliwy gospodarz znajduje na ściernisku gotowe snopy symetrycznie ułożone. Machina ta, widziana z tyłu, ma szerokości do 5 łokci i musi być porządnie ciężka, choć fabryka zapowiada, że tylko parę koni potrzebuje. Tenże zakład Wooda wystawił prócz tego zajmującą jednokonną kosiarkę, tnącą  $3\frac{1}{2}$  stopy pokosy; dalej dwukonną taką maszynę, nie różniącą się niczem od kosiarek Wooda, często do nas sprowadzanych w ostatnich latach: żniwiarko-kosiarkę bez zmiany nożów; żniwiarkę z samograbem o czterech grabiach, które łatwo mogą być zmienione w nagarniacze lub usunięte, dla obrócenia żniwiarki w kosiarkę; wreszcie, lekką i taną kosiarko-żniwiarkę z przyrządem do zrzucania zboża za pomocą ręką poruszanego drążka; i ta machina może być zamieniona w czystą kosiarkę. Wood zapewnia, że od r. 1853 wyrobił 234,120 żniwiarek, a w tej liczbie 23,507 w r. 1875. Nie wiem czy to są cyfry prawdziwe; ale od wielu rolników amerykańskich słyszałem, że maszyny Wooda więcej od innych są rozpowszechnione w Stanach Zjednoczonych.

Równie rozgłośny z M. Cormickiem i Woodem zakład Adriance, Platt i Sp. w Poughkeepsie w stanie N.-Yorskim nad Hudsonem, wyrabiający tam żniwiarki i kosiarki systemu Buckeye'a od lat 20, przystąpił na wystawę znane i u nas wyroby swoje. Najnowsze kosiarki tych fabrykantów, są trzech rozmiarów: największa ma przyrząd tnący  $4\frac{1}{2}$  stopy długi, średnia 4, a mała  $3\frac{1}{4}$  stopy. Żniwiarki jedne są z samograbem, inne bez niego, oraz w rozmaitych kombinacjach z kosiarkami.

Z dawno znanych systemów, widziałem jeszcze żniwiarki i kosiarki Kirby'ego, wystawione przez zakład Osborne'a w Auburn, w stanie N.-Yorskim.

Z nowych, nieznanych u nas zakładów, wymienię muszę kilka następujących: Adams i French z Cedar Falls w stanie Jowa, wystawili ogromną żniwiarkę z pomostem na 2—3 ludzi, oprócz poganiacza; z przyrządem do wiązania snopów i baldachinem od słońca lub deszczu, o nożach 5 lub 6 stóp długich; wystawca zapewnia, że machina ta zżąć może 20 mórg dziennie. Mało zaludniony a żyzny stan Jowa, istotnie może potrzebować takich potężnych żniwiarek; czy zaś ta dobrze swą służbę pełni, nie wiem, chociaż zabawny telegram, wydrukowany ogromnymi literami na czele reklamy o tym zakładzie, brzmi pochlebnie: „Kansas City, Mo. (Missouri), 2 czerwca 1876. Do Adamsa i Frencha fabrykantów machin. Wyruszyliśmy wczoraj po raz

pierwszy w tym roku ze żniwiarką w pole i żniemy pierwsze zboże w stanie Kansas w tym roku stuletnim. Machina tnie jak anioł. Tak jest doskonała, że lepsza być nie może. Winszujemy panom. Spółka rolniczo-machinowa w Kansas City.“

Gibbs i Sterret z Corry w Pensylwanii, przysłali na wystawę kosiarkę, zwaną Climax (Drabina); odznacza się ona nowym pomysłem: za poruszeniem drążka w prawo lub lewo, ruch nożów przyspieszać się może lub zwalniać, stosownie do rzadkości lub gęstości trawy; ponieważ cofać machiny nigdy nie potrzeba, a ruch nożów daje się przyspieszać, a więc może być ciągniona przez woły; wreszcie, można ją urządzić na żniwiarkę z samograbem lub bez takowego.

Żniwiarka zwana Massillon, z miasta tegoż nazwiska w stanie Ohio, z nagarniaczem, bez grabi, posuwa płótnem ścięte zboże na stół w którym są dwa okrągłe otwory, a w nich staje dwu robotników do wiązania w snopy; opierając się o ścianki otworów, bezpieczni są oni od spadnięcia z pomostu pod noże, jak to czasem bywa.

Żniwiarka Marsha z Chicogo, nie odznacza się żadnym szczególnym ulepszeniem; jest bardzo wielka, ma pomost na dwu wiązaczach i baldachin; reklama o niej powiada między innymi rzeczami: „Dumni jesteśmy, mogąc powiedzieć, że żony rolników są naszymi przyjaciółkami, bo uczyniliśmy dla nich żniwo przyjemną zabawką.“

Notuję tu wreszcie, iż Harrison z Lausing, w stanie Michigan, wynalazł i wystawił przyrząd zabezpieczający noże kosiarek i żniwiarek od zbytelnego rozgrzewania się, łamania lub osłabienia w osadzie, dodając guttaperkowe poduszeczki i czyniąc przez to zęby niejako elastycznymi.

Młockarnie licznie na wystawie były reprezentowane. Najbardziej doskonałą wydała mi się wielka polna machina tego rodzaju, z zakładu Westinghouse i Sp. w Schenectady (w stanie N.-Yorskim). Byłem na próbie jej w drugiej połowie lipca w Schenks-Station o parę mil od Filadelfii, na drodze do Trenton. Na pole pokryte mędlami pszenicy, wyjechał najprzód wóz parowy Avingta i Portera z Rochester (Kent, w Anglii), zrobił kilka bardzo zręcznych obrotów, skręcając na bardzo małej przestrzeni, a potem stanął przy młockarni jako siła mająca nią poruszać, czyli jako lokomobila; założono pas, robotnicy stanęli na pomostku ze snopami w ręku, zahuczały koła, i młockarnia zaczęła swoje robić; zdaje się, że robiła dobrze, bo worki przystawione do bocznych otworów maszyny, szybko się napełniały czystym ziarnem złotawej pszenicy, a panowie eksperci, członkowie sądu wystawy, uśmiechali się protekcyjnie i łaskawie. Młockarnia ta łączy w sobie: właściwą młockarnię, młynek, sortownik, tak zwany registr czyli zegar, mierzący ilość wymłóconego ziarna, wreszcie, przyrząd do składania wymłóconej słomy na wóz lub w stertę. Cała machina wygląda jak skrzynia, długa około 5 łokci, wysoka około 2, szeroka  $2\frac{1}{2}$ , osadzona na czterech kołach; bęben i młynek są niewidzialnie umieszczone we środku tej skrzyni, również jak sortownik;

przyrząd do ładowania słomy składa się z drabiny długiej około 12 łokci, pokrytej nieskończonym płótnem, ciągle się obracającym; drabina ta nastawia się na żadaną wysokość i bardzo dokładnie wciąga słomę na dość znaczną wysokość; człowiek stojący na pobliskim wozie przyjmuje tę słomę, układa ją na wozie, a gdy się ten napelni, uciska ją drągiem i wiezie gdzie potrzeba, a zaraz drugi wóz próżny staje pod drabiną. Machina, którą widziałem w działaniu, wymłacała słomę doskonale a ziarna wyrzucała zupełnie czyste; dostarczała na godzinę około 23 korcy (80 buszłów) czystej pszenicy, wymagała motora o sile 8 koni, kosztowała wraz z manezem na 10 koni, dolarów 625, czyli przeszło 900 rubli. Inne młockarnie z tegoż zakładu nie tak są wielkie. Ta, którą oglądałem na wystawie, była czterokonna i miała wymłacać na godzinę od 5 — 6 korcy pszenicy; cena jej z manezem 555 dolarów, czyli prawie 800 rubli. Przy tej sposobności wspomnę o manezu, jakiego w kraju naszym nigdy mi się nie zdarzyło spotkać. Jest to rodzaj deptaku, najczęściej na parę koni; składa się on z nieskończonego ruchomego pomostu, złożonego z grubych listw spojonych łańcuchami; pomost ten, gdy konie po nim idą, obraca koło, umieszczone z boku przyrządu, a na to koło zakłada się pas, który służy za przewodnika ruchu do jakiegokolwiek maszyny; konie po wprowadzeniu na pomost, znajdują się w zamkniętej zagrodzie; mówiono mi, że takie maneze są w wielkiem użyciu w Stanach Zjednoczonych.

Oglądałem na wystawie inne jeszcze młockarnie, zbudowane na mniej więcej takichże zasadach jak wyżej opisana, a mianowicie z zakładu Geisera w Waynesboro (Pensylwania), który wyrabia, pomiędzy innymi rzeczami, maneze deptakowe na siłę *jednego cielecia*, albo *jednego psa* (!); Birdsella z South Bend (Indiana), oraz kilka innych fabryk, które też dostarczyły młockarń przeznaczonych umyślnie do koniczyny.

Sieczkarni wystawiono niemało; zdaje mi się, że w budowie ich nie poczyniono żadnych ważniejszych zmian w stosunku do dawniejszych; najbardziej zwróciły moją uwagę wyroby zakładów Keystone ze Sterlingu w Illinois, Silvera i Deminga z Salem w Ohio, z tak zwanem rozpędowem kołem bezpieczeństwa, oraz Watsona z Ayr w kanadyjskim okręgu Ontario.

Siewników wystawiono bardzo wiele, przeróżnych systemów i na różne ziarna. Mast ze Springfield (Ohio) nadesłał przyrząd według zasad Buckeye'a, do rzędowego siania wszelkich nasion; podobne siewniki wystawili: Keystone ze Sterling (Illinois), z oddzielnym przyrządem do zasiewania traw, oraz podwójny, do siania dwóch gatunków nasion jednocześnie, np. koniczyny i tymotki; Mc. Sherry z Dayton (Ohio) i Kuhn z tegoż miasta; Johnson, Gere i Truman z Owego (N.-York); Rentchler z Belleville (Illinois) i wielu innych; wszystkie te siewniki są parokonne, kilkorzędowe, systemu lejkowego. Rozsypujące siewniki wystawił Goodell z Antrim (New-Hampshire), według systemu Cahoon'a; ręczny, niewielki, ma zasiewać 2—6 mórg na godzinę,



rozsypując pszenicę i żyto na 30 kilka stóp, jęczmień i owies na 20 kilka, tymotejkę na 15 i t. d., stosownie do wagi ziarna; takż parokony ma zasiewać 8—10 mórg na godzinę. Bardzo mi się podobał jednorzędowy siewnik do ogrodowizn, jak cebuli, marchwi, buraków, zwany Monitorem z zakładu Sargenta w Newburyport (Massachusetts); jest on cały z żelaza i może być nastawiany na żadaną gęstość zasiewu; otwiera ziemię, obsypuje po złożeniu ziarna i przygniata grunt szerokiemi z tyłu idącym kołem, a zarazem znaczy rowek na nową linią zasiewu; dwa koła jego nastawiają się na żadaną szerokość. Widziałem téż niemało siewników do kukurydzy, ryżu i innych mała lub wcale u nas nie uprawianych roślin.

Wyżej wspomniany siewnik Johnsona nazywa się IXL; jest to sposób odróżniania wyrobów dość używany w Ameryce; gdy się przebiorą różne głośne epitety, jak „Champion“, „Excelsior“, „Standart“, „Advance“ i t. p., wówczas dla wrażenia czegoś w pamięć przechodniów i widzów, Amerykanin ucieka się w reklamach do tajemniczych znaków i liter, jak np. „sławne piwo XX i jeszcze sławniejsze XXX“, albo „kupujcie nieporównane lekarstwo HHH głośnego doktora N.“ i t. d.

Z ciekawością pierwszy raz w życiu przypatrywałem się działaniu potężnego młyna do kruszenia i mielenia kości, guana karolińskiego, fosfatów, gipsu, cementu, skorup i t. p. twardych rzeczy, przeznaczających się na nawóz. Młyn ten pochodzi z zakładu Bangha w Filadelfii; jest cały z żelaza i stali, wysokości ma ze 4 łokcie, tyleż prawie szerokości; wygląda w ogólnym kształcie jak ostrosłup, z dodaniem z boku koła rozpędowego; waży około 50 centnarów, samo koło pędowe ma wagi przeszło 6 centnarów; wymaga do poruszania siły przynajmniej 10 koni; może zmleć dziennie (w 10 godzin) przeszło 400 cent. mąki kościanej, gipsu przeszło 1,000 cent., guana z południowej Karoliny do 500 cent. Działanie tego przyrządu czyni imponujące wrazenie; widziałem jak kruszył fosforytową skałę; wrzucają spore jej bryły do zbiornika umieszczonego w górze; po chwili, wśród straszliwego stukotu, zgrzytania, pisku i świstu, z potężnej rury sypie się żwir szary, niby ziarna zboża. Tu można powiedzieć: „trafiła kosa na kamień... ale mu nie ustąpiła.“

Pierwszy raz oglądałem także bardzo praktyczny i dowcipny przyrząd do wyładowywania z wozu i składania w stodole siana i słomy. Składa się on z rodzaju harpuna zębatego, na kształt haków w grabiach konnych; zabiera paręset funtów siana odrazu i na grubym sznurze, rzadko przeciągniętym przez kilka ruchomych bloków, umieszczonych u szczytu i na dole stodoły, posuwa się najpierw w górę, potem na linii poziomej zwraca się pod prostym kątem i jedzie poziomo aż po nad miejsce, gdzie siano lub słoma, mają być złożone. Do działania potrzeba dwu ludzi i jednego konia; jeden człowiek nakłada siano z wozu lub ziemi na harpuny, drugi prowadzi konia, aby ciągnął linę podnoszącą; zrzucenie z harpuna odbywa się

przez pociągnięcie za sznur z nim połączony: haki się rozchylają i siano wypada, poczem przyrząd znowu nazad nad wóz wraca. Tym sposobem w moich oczach wyładowywano w ciągu kilku minut w jednej fermie pod Filadelfią dziesięciocentnarowy wóz słomy startej w młockarni. Cały przyrząd kosztuje około 20 rubli, nazywa się hay elewator; ten który widziałem w działaniu, pochodził z zakładu Fitzhuga w Filadelfii.

Znajdował się na wystawie zajmujący przyrząd Fousta, z Medaville w Pensylwanii, do ładowania skoszonego i wysuszonego siana na wóz; jest to długi niby wózek, oparty na dwu kołach z jednego końca, a na podstawach z drugiego; przyczepia się on z tyłu wozu, a gdy ten jedzie, posuwa się za nim i obrotem dwu swoich kół wprawia w ruch unieszczone na przyrządzie nieskończone płótno, najeżone żelaznymi hakami, nakształt zębów grabi konnych; haki te chwytają siano z ziemi, posuwają je płótnem do góry przez cały przyrząd, a człowiek stojący na wozie zrzuca je i uciska; drugi robotnik pogania zaprząg wozu; za pomocą tego przyrządu można jakoby w ciągu pięciu minut naładować 20 centnarów siana.

Dederick, mający zakłady w Albany (N. York), Chicago (Illinois) i innych miastach, okazał prasę do siana, słomy i bawełny, ściskającą i związującą te płody w ogromne bele czyli paki równoległościenne, związane drutami, a złożone z płaskich, oddzielnie związanych pokładów poprzecznych; siano tak uciśnięte przechowuje się jakoby w lepszym stanie, nie tracąc świeżości i miękkości; przyrząd ten porusza się może za pomocą deptakowego lub zwykłego maneżu, a gdy jest wielki, za pomocą maszyny parowej; potrzebuje trzech ludzi, jednego do popędzania konia, drugiego do zgarniania siana w maszynę, a trzeciego do urządzania drutów; kształtem i rozmiarem cały ten przyrząd podobny jest do czterokonnej naszej młockarni; kosztuje od 400 do 800 rubli; waży od 15 do 40 centnarów.

Pługów, spulchniaczów, pogłębiaczów, drapaczów, bron i innych tego rodzaju narzędzi przedstawiono bardzo wielką ilość: od lekkiego jednokonnego, do potężnych czterokonnych pługów, od ogrodowego spulchniacza, do ciężkiej żelaznej brony, przedstawiała się tam cała gama krających ziemię narzędzi. W pługach przeważa typ tak zwany amerykański; niektóre zamiast noża z przodu mają obracającą się tarczę stalową o ostrych brzegach; inne znowu tak są urządzone, że oracz siedząc na koziołku ma przed oczyma krające lemieszce; a nogą porusza przyrząd regulujący orkę. Wszystkie są albo z lanego albo z kutego żelaza, albo ze stali. Stosownie do natury gruntów, a Stany Zjednoczone posiadają je od najlichszych do czarnoziemnych, zmienia się kąt linii poziomej z ciągową, postać odkładnicy, wielkość i siła zaprzęgowa pługów. Z wielkiem zajęciem przypatrywałem się narzędziom przeznaczonym do uprawy ziemi pod trzcinę cukrową, kukurydzą i inne mało lub wcale u nas nie rosnące zboża. Niektóre brony i drapacze tak są zbudowane że zęby ich dają się zsuwać i rozsuwać stosownie do potrzeby. Podobał mi się mały ręczny pług ogrodowy,



ważący tylko 18 funtów; popycha go robotnik za dwie rączki trzymając; lemiesz są kilku gatunków i łatwo dają się odbierać i przystawiać; obok lemiesza jest obracające się kółko, na którym płuzek się opiera, co mu nadaje pewną równość chodu; z drugiej strony nastawiający się na żadaną szerokość drążek znaczy linię następnej orki. Narzędzie to kosztuje  $7\frac{1}{2}$  rubla i pochodzi z zakładu Avery w Louisville (Kentucky), który przysłał na wystawę ze 40 różnych rodzajów i rozmiarów pługów. Oprócz tego zakładu zanotowałem jeszcze bardzo pięknie wyglądające wyroby Briuly'ego z tegoż miasta, Buckeye-Masta ze Springfield (Ohio), spółki pługowej N. Yorskiej i kilku innych.

Do najbardziej popularnych narzędzi i machin, po młockarni, należą niewątpliwie grabie konne; zaraz po ukazaniu się pierwszego ich pomysłu zyskały powszechne uznanie i z czasem nie wiele w budowie zmieniane były. Grabi na wystawę przywieziono bardzo wiele; typ ich ogólny mało się różni w rozmaitych zakładach, w tém chyba, że jedno podnosią się ręką, a inne pedałem. Narzędzia te z zakładu Coates w Alliance (Ohio) tém się odznaczają, że w nich ciężar wóźnicy dopomaga do podnoszenia zębów, oczywiście za pochyleniem drążka. Grabie firmy Nye z Winchendon (Massachusetts) podnoszą się za udzieleniem dwufuntowego tylko nacisku na pedał, gdyż dowcipna maszynerya dopomaga do przeniesienia części siły kół na podniesienie zębów. Pedałowe też mają urządzenie grabie głośnego zakładu Keystone w Sterling (N. York); cena ich 55 rubli. Najbardziej zdąży mi się doskonalemi grabie Wheelera i Melicka z Albany (N. York); i one mają przyrząd pedałowy; dwudziesto zębowe kosztują 60 rubli, a zęby mają stalowe. Z tegoż zakładu pochodzi przyrząd do rozsiewania gipsu, guana lub innego nawozu, zwany fertylizatorem, dający się przymocowywać do grabi, a wówczas te ostatnie mieszają proszek nawozowy z ziemią i przysypują go zarazem; cena dodatkowego fertylizatora rsr.  $37\frac{1}{2}$ .

Z przetrząsaczy do siana wspomnę tu o jednym, który mi się wydał najbardziej praktycznym; wystawił go Gülich z Utyki (N. York); zbudowany jest według systemu Perry'ego, na dwu kołach, na jednego konia, z siedzeniem dla poganiacza i drążkiem podnoszącym; dwa duże koła idące po ziemi mają gęste zęby przy szynach i obracają z tyłu umieszczony przyrząd, składający się z dwu ram, na których osadzonych jest po 16 prostych zębów a raczej sprężyn; końce ich nawinięte są na walec ramy, a drugie końce zaczepiają, podnoszą i przewracają siano. Reklama głosi że przyrząd ten zastępuje 20 ludzi, że przetrząsając nim siano, można je wysuszyć w jeden dzień, a tém samém podnieść wartość siana; przetrząsacz taki kosztuje 130 rubli.

Wielki ma rozgłos w zachodnich stronach pulweryzator Nischwitz'a; widziałem egzemplarz jego pochodzący z zakładu pługowego w New-Yorku (Beekman Street, 55); jest to rodzaj brony, niezbędnej



dla gruntów i roślin potrzebujących energicznego spulchniania; składa się z przyrządu w kształcie litery V, którego ramiona mogą się dowolnie zbliżyć lub rozszerzać; pod ramionami mieści się od 11—13 obracających się, po brzegach zaostrzonych kolistych szyb stalowych o 11—15 cali średnicy, które przeryniają, wzruszają i proszkują grunt przed zasiewem, na bronie tej siada na sprężynowym krzeselku woźnica, a ciągnie ją od 1—4 koni, stosownie do ilości i wielkości szyb; waży całe to narzędzie od 2—5 centnarów, a kosztuje od 40—80 rubli.

Wspomniałem w pierwszym szkicu, że w obrębie wystawy znajdował się domek mieszczący okazy guana. Teraz z kolei powiem o nim słów kilka. Widać w nim worki i puszki blaszane różnych rozmiarów, niezbyt wonnego specyału; pod oknami i na ganku w doniczkach rosną kwiaty, wyhodowane na tym cennym nawozie. Nie jestem w stanie go ani polecać, ani ganić, bo doświadczeń z nim nie robiłem; ale skoro spółka guanowa zryzykowała się wydać parę tysięcy dolarów na zakup gruntu wystawowego i postawienie domku, to musi coś być dobrego w jej towarze. Nazywa się on „rozpuszczalnym guanem z Oceanu Spokojnego” (*soluble pacific guano*); zmieszany z wodą, służy on szczególnie do polewania kwiatów, a głównie róż; wydawać ma cudowne rezultaty, i mieć tę wyższość nad peruwiańskim guanem, że się łatwiej rozpuszcza i nie zawiera pierwiastków zbyt ostrych dla korzonków kwiatowych. Warto by może aby nasi ogrodnicy i lubownicy kwiatów, spróbowali tego zachwalanego *medium*.

Wiadomo, że płot u Amerykanina gra ważną rolę. Nie mówiąc już o tém, że po kupieniu kawałka gruntu od skarbu, kolonista obowiązany jest postawić na nim choć jedną budowlę, a ziemię uprawną otoczyć płotem, gdyż inaczej narażonym być może na odebranie „lotu” i sprzedanie go innemu, każdy prawdziwy Amerykanin ma pasyą, bardzo zresztą chwalebna i godną naśladowania, do opasywania byle jakim płotem nietylko ogrodu, ziemi ornój i łąki, ale nawet lasu i gaju, jeżeli je posiada. W okolicach wielkich miast wschodnich ogrodzenia są staranne, a często ładne, najczęściej ze sztachet, albo pionowych desek; ale w głębi Wirginii, Pensylwanii i dalej na północ, zdarzało mi się widzieć patryarchalne płoty, o jakich nawet w lesistych pustkowiach Polesia i Litwy nie słyhać. Zamiast iść w prostą linię, jak zwykle, płot amerykański łamie się w zygzak, jak brzeżki koronek, a składa się po prostu z ułożonych końcami jedna na drugiej długich szczap lub żerdzi, bez żadnych słupów lub kołków wbitych w ziemię, bez podpór i wici; trzyma się on tém tylko że jedno przęsto znajduje się względem sąsiednich pod mniej więcej 170° zakrzywienia. Taka prostota konstrukcyi dowodzi najprzód wielkiego jeszcze bogactwa płodów leśnych, a powtóre powszechnego zamiłowania i poczucia potrzeby ogrodzenia swojej własności. Nie dziw przeto że na wystawie zgromadzone nie mało próbek uproszczonych ogrodzeń i machin do ich wyrabiania. Z wielu tego rodzaju okazów opiszę tu kilka, myśląc że może pomysł zamorskie dadzą się i u nas zastosować. Pan Bean, z Pawling

(Pensylwania), uważając że płoty o pionowych deseczkach najprędzej gniją, w tych miejscach gdzie deseczki są przybijane do poprzecznych listew, wystawił próbki płotu, w którym te listwy są z dwu stron wyrżnięte w fugi, mianowicie z tego boku, którym listwa przystaje do słupka i z tego, który się obija deseczkami: pomysł bardzo praktyczny, w nim bowiem drzewo z drzewem styka się tylko wążutką powierzchni, a powietrze swobodnie dochodzi. Pan Betts, z Troi (New-York), okazuje próbkę ogrodzenia własnego pomysłu: składa się ono najprzód ze słupków, wkopanych o kilka kroków od siebie, a potem z półtoracalowych balasek, nawleczonych w dowolnej od siebie odległości na sześć poziomych drutów; taki płot można skręcać w wały do transportu, lub na zimę, a po rozkręceniu przybijać do słupków; kosztuje gotowy w składzie od 15—35 groszy za stopę, stosownie do ilości i jakości balasek, wraz z słupkami: maszyna do wyrabiania tego ogrodzenia kosztuje 900 rubli. Wreszcie pan Hall wystawił „Uniwersalną płotową maszynę,” wyrabiającą żerdzie, słupki i dziury w nich na wsunięcie końców żerdzi, z których się układa płot zygzakowy przenośny, o słupkach nie wkopanych, ale postawionych tylko dla trwałości na drewnianych podkładkach. Machina ta ma dostarczać dziennie 500 żerdzi i 300 słupków; waży 10 centnarów; potrzebuje siły 2—4 koni; kosztuje 360 rubli; zakład w Elmirze, w stanie New-yorskim.

Dla mieszkańca strefy północnej ciekawymi były maszyny i przyrządy, używane w górętszych tylko krajach, do roślin tam tylko uprawianych. Północne Stany Zjednoczone zaopatrują Stany południowe i Amerykę południową w potrzebne im narzędzia i aparaty, same bowiem one są bardzo ubogie w zakłady i fabryki. Więc na wystawie filadelfijskiej można było zrobić znajomość z ważniejszymi maszynami i przyrządami tego rodzaju. Oglądałem, pomiędzy innymi, młódcierz do omielania ryżu, ogromną maszynę, całą z żelaza, z potężnym zbiornikiem u góry, do którego się wysypuje 2 korce ryżu w łupinie; śrubowy przyrząd oddziela łuskę, która, jak wiadomo, bardzo szczerlnie, i mocno przystaje do ziarnek; maszyna ma oczyszczać dziennie po 30 tysięcy funtów; waży około 20 centnarów; potrzebuje siły 5 koni, pochodzi z zakładu Lombarda z Bostonu; może być używana i do łuskania kawy. Tenże wystawca przysłał jeszcze niewielki, ręczny, cały z żelaza przyrząd do łuskania kawy, którym jeden chłopiec może oczyścić do 5 tysięcy funtów ziarn dziennie.

Widzieliśmy powyżej jak znaczną pozycją zajmuje kukurydza w rolniej produkcji Stanów; nic więc dziwnego że na wystawie znajdowało się bardzo wiele przyrządów do zasiewania, obsypywania, oddzielania ziarn z szyszek, oczyszczania i t. p., przeznaczonych wyłącznie do tego rodzaju zboża; aparaty te, mające mieć do czynienia z ziarnem ławkim i do hodowli i do oczyszczania, nie przedstawiały nic godniejszego uwagi.

Dla zabezpieczenia rąk od zadrażnienia i poranienia, przy łuskaniu ziarn różnych stronkowych roślin, pan Abbott z Chicago wy-



myślił i wystawił bardzo dowcipne rękawice skórzane, pokryte w miejscach czynnych przy robocie metalicznymi guzikami, blaszkami i kolcami; jedne rękawiczki pokrywają tylko trzy większe palce do pracy w cieple, inne osłaniają całą rękę, gdy się robi na zimnie, chroniąc ją zarazem i od przeziębienia; oprócz tego na wewnętrznej stronie palców przymocowywa się podłużna blaszka, tak wyłobiona, aby się o nią łatwo opierał strąk mający się rozcinać.

Z drobniejszych machin i przyrządów, używanych w gospodarstwie, zasługują na wspomnienie: obieracz jabłek, który mechanicznie okrawa łupinę i dryluje środek; wypychacz pestek do wiśni, czereśni i t. p. prasy do wyciskania soku z jabłek, do robienia bardzo lubionego w Stanach Zjednoczonych cydru jabłecznego; wyżymaczki do bielizny, bardzo praktyczne i tanie; kierznie rozinaitych pomysłów i rozmiarów, beczkowe, płytkie i t. d., wreszcie narzędzia rolnicze i ogrodnicze ręczne, jak rydle, siekiery, grabie, kopaczki i mnóstwo innych. Te ostatnie narzędzia, jak zapewniali mnie ludzie, którzy sami ich przez długi czas używali, mają znaczną wyższość praktyczną nad naszymi, wyglądają dość odmiennie od naszych, odznaczając się odrębnym kształtem i większymi rozmiarami, oraz przeważnym zastosowaniem stali i żelaza. Wartoby może aby u nas powoli starano się je wprowadzić; już w sąsiednich Niemczech, coraz częściej się widuje owe amerykańskie ulepszone topory i motyki; widać więc, że mają, istotne zalety. Taka np. skrzynka do ręcznego przesiewania mąki, wyrobu Bassetta w Filadelfii (Market Street 1903), wydała mi się daleko praktyczniejszą od sit zwyczajnych; ma ona przesiewać 20 funtów we 4 minuty: mąka z niej wychodząca jest rzeczywiście jak puder delikatna.

Zatrzymajmy jeszcze uwagę naszą nad materiałami pokarmowemi: z mnóstwa wystawionych w gmachu rolniczym, wybieram kilka godniejszych uwagi czytelnika.

Jadamy wiele rzeczy, mało się zastanawiając nad korzyściami higienicznymi, którebyśmy mogli osiągnąć, zmieniając pod pewnemi względami sposób przyrządzania żywności. Nałóg i zwyczaj utwierdziły nas w przekonaniu, że dotychczasowa droga jest najlepszą; a tymczasem nieraz się okazuje że są jeszcze lepsze, więc im się przypatrzmy. „Powiedają o kocie, mówi jedna reklama amerykańska, że ma dziewięć dusz, i że aby go zabić, trzeba dziewięć razy życie mu odbierać; tak samo się dzieje z zastarzałemi przesądami życia praktycznego: aby wyrugować odwieczny zabobon, odwieczny przyrząd lub sprzęt, trzeba dziewięćoraką śmiertelną walkę z nim stoczyć.”

Myśli te przyszły mi na myśl, gdy patrzyłem na beczki, worki i słoje z pszenicą, owsem i innymi ziarnami, wystawionemi przez młyn spółki wyrobów zbożowych, (Cereals Manufacturing Company) w Brooklynie, przedmieściu New-Yorku. Myśleliśmy, zdaje mi się, wszyscy dotychczas, że dobrze i zdrowo robimy, jedząc chleb i kaszę wyrobione z surowego ziarna. Otóż spółka powyższa dowodzi nam okazami swo-



jemi i licznemi okólnikami żeśmy się mylili: twierdzi ona że krupy i mąka z surowych ziarn są na nic, że jedząc je tracimy i na zdrowiu, i na kieszeni, bo surowe ziarna nie mogą wydać, ani tak wiele ani tak zdrowych pierwiastków, jak ugotowane na parze i to na parze jęj młyn... Ale żart na stronę, może i jest w tém coś godnego baczości. Przeczytajmy lepiej reklamy tych panów, napisane zresztą tonem wcale nie reklamowym, lecz przypominającym ustęp z I-go tomu głośnego dzieła Buckla.

Człowiek, powiadają panowie dyrektorowie spółki, potrzebuje każdego dnia pokarmów, zawierających najprzód węglany, dla podtrzymania żywotnego ciepła i dostarczania tłuszczu; powtóre saletrzany, dla wynagrodzenia strat ciągle ponoszonych w tkankach, szczególnie muszkułowych; wreszcie fosforany, dla podtrzymania siły żywotnych, podsycańcia mózgu, nerwów, kości i twardych tkanek. Żywiaków tych potrzebuje ciało w różnych proporcjach, odpowiednio do temperatury, klimatu i warunków w których się żyje. Należy więc wybierać takie pokarmy, które odpowiadają potrzebie organizmu: pracując myślą, jeść rzeczy zawierające dużo fosforanów; żyjąc w zimnym klimacie i w zimnej temperaturze, spożywać więcej węglanów; pracując fizycznie, żywić się głównie saletrzanami. Nie należy mniemać że przedewszystkiém mięsa i jaja zawierają na ten cel pierwiastki: owszem i nawet należy unikać mięsa, jaj i mléka, bo chociaż mieszczą one w sobie dużo żywiaków zdrowych i potrzebnych, lecz nie w tak dla ciała pomyślnym wzajemnym stosunku, a nadto zawierają wiele materji niepotrzebnych i nawet szkodliwych. Potrzeba więc żywić się przedewszystkiém pokarmami roślinnemi, ale żywić się umiejętnie, bo i te pokarmy mogą być przyrządzone mniej lub więcej zdrowo. Nasz sposób produkowania kaszy i mąki jest nieracjonalny, a to z następnych powodów: najprzód ziarna nie są dokładnie z łupiny oczyszczone, a skutkiem tego wprowadzamy do organizmu plewy, które są niepożywne i niestrawne; a nadto, ponieważ w łupinach znajdują się zwykle zalążki owadów, więc po pewnym czasie w niedokładnie oczyszczonej kaszy i mące, wylęgają się drobne istotki niszczące je, i szkodliwe dla organizmu człowieka; powtóre, ziarna nie gotowane zawierają w sobie więcej wody niż gotowane i suszone, przez co krupy i mąka z nich z czasem się psują i stają się niezdrawemi; po trzecie, układ i wzajemny stosunek, pierwiastków karmiących w ziarnach niegotowanych jest daleko niepomysłniejszym dla ciała naszego, niżeli w gotowanych, jak to poniższe cyfry okażą; wreszcie na przyrządzenie pokarmu z kaszy i mąki surowej potrzeba wiele czasu, który oszczędzając spożywamy najwięcej rzeczy niedogotowane, a przez to nie korzystamy z nich tyle ilebyśmy mogli i nawet szkodzimy zdrowiu.

Kasza i mąka z młyna brooklińskiego, nie mają powyższych niedogodności. Są najprzód doskonale osrótowane; zawierają w sobie daleko mniej wody niż surowe, i przez to konserwują się na ziemi i na morzu jak najdłużej; skutkiem gotowania i suszenia ziarn, skład ich

zmienia się do pewnego stopnia, i staje się odpowiedniejszym do różnych celów. Tak np. pszenica surowa zawiera na 100 części:

Saletrzanów . . . . .	14.60
Węglanów . . . . .	69.40
Fosforanów . . . . .	2.00
Wody . . . . .	14.00

Pszenica zaś przegotowana i wysuszona mieści:

Saletrzanów . . . . .	16.29
Węglanów . . . . .	77.48
Fosforanów . . . . .	2.23
Wody . . . . .	4.00

Podobnież mąka owsiana, przeznaczona na zacierki, polewki, ciasta i t. p., „owsianki” dla ludzi pracujących fizycznie, mieści w sobie po przegotowaniu i ususzeniu, na 100 części:

Saletrzanów . . . . .	18.98
Węglanów . . . . .	73.67
Fosforanów . . . . .	3.35
Wody . . . . .	4.00

oczywiście więc służy najlepiej do odnawiania muszkułów; jakoż Szkoci, którzy jedzą wiele potraw z owsa, odznaczają się krzepkością mięśni i niepospolitą zdrowiem; owies jest także najwłaściwszym pokarmem dla mieszkańców Północy, bo też tam najlepiej się udaje i wogóle dla osób spędzających więcej czasu na świeżem powietrzu, niż w czterech ścianach.

Dla ludzi zaś zajętych umysłowo i pracujących w domu, najodpowiedniejszym pokarmem jest mieszanina pszenicy z jęczmieniem, zwana przez spółkę Brooklińską „strawą mózgową;” składa się ona na 100 części, z

Saletrzanów . . . . .	16.41
Węglanów . . . . .	76.24
Fosforanów . . . . .	3.35
Wody . . . . .	4.00

Dla niemowląt, które skutkiem jakichkolwiek okoliczności nie mogą być karmione ludzkim mlekiem, panowie z Brooklinu wyrabiają mąkę na kaszkę czy też zaciereczkę, która mięsza się we wskazanej przez nich proporcji z ciepłą wodą, i ma doskonale zastępować mleko, to bowiem zawiera na 100 części:

Saletrzanów . . . . .	27.41
Węglanów . . . . .	64.00
Fosforanów . . . . .	4.59
Wody . . . . .	4.00

a mączka z pszenicy i jęczmienia:

Saletrzanów . . . . .	28.26
Węglanów . . . . .	63.78
Fosforanów . . . . .	4.63
Wody . . . . .	3.33

Ma się rozumieć że po wysuszeniu, ilość wody ubywa, i dlatego funt gotowanego i suszonego zboża odpowiada ilością części pożywnych  $1\frac{1}{2}$  funtom surowego. Że zaś kasza i mąka są już ugotowane, więc przyrządzając z nich pokarmy, nowego gotowania nie potrzeba, można tedy w kilka minut mieć potrawę, i być pewnym że się nie je nic nawpół surowego i niezdrowego.

Sprzedają tę wiadomości za co kupilem: nie będąc specjalistą, nie umiem osądzić ile w nich jest prawdy, a ile amerykańskiego humbugu. Zdaje mi się jednak iż nie zawadziłoby, aby nasi naturaliści i lekarze zwrócili na tę sprawę troszkę swojej uwagi.

Z przedmiotów pokarmowych wymienię tu jeszcze, co w mych wystawowych notatkach znajduję: ekstrakt chmielowy do piwa, porteru i t. d., którego jeden funt ma zastępować 12 funtów zwykłego chmielu, z zakładu nowojorskiej spółki chmielowej w Waterwille (stan New-Yorku); mąka wyrastająca bez drożdży, z młynów Heckera w New-Yorku; wielka i ozdobna wystawa czekolady Bakera z Dorchesteru (Massachusetts); kilka gatunków suchych drożdży, które nie dlatego się nazywają suchymi, że są mokre, jak u nas, ale rzeczywiście są suchymi, mają kształt tabliczek, i działają wcale dobrze; mnóstwo wszelkiego rodzaju konserw w słojach i puszkach blaszanych; mięsa, ryb, raków, jarzyn, owoców i t. p., bardo ważnych dla podróżujących żaglowymi statkami, które czasami po kilka miesięcy są na morzu, nie mogąc dostać świeżych zapasów żywności.

Niepodobna wyjść z gmachu wystawy rolniczej, bez zwrócenia baczniejszej uwagi na wystawę rybołówstwa. Składa się ona z niebardzo ładnych ale zajmujących akwaryów, w których z początku trzymano żywe ryby, ale gdy te pomarły, musiano się ograniczyć rysowaniami lub wypchaniami ich okazami, oraz pływającymi po wodzie małutkimi modelami statków i łodzi, dającymi wyobrażenie o przemyśle rybnym bieżącego i przeszłego wieku. Nie pominięto figurek samych rybaków, aby dać pojęcie o ich dawnym i dzisiejszym stroju; ustawiono też w pobliżu narzędzia i rozwieszono sieci rybacze. Wystawę tę urządziło miasteczko Gloucester, położone na przylądku zwanym Cape Ann, o kilka mil na północ od Bostonu. Miasteczko to słynne jest na całą Amerykę ze swego rybołówstwa; liczy mieszkańców około 16 tylko tysięcy, ale prawie wszyscy są rybakami, i w roku 1875 np. złowili różnych ryb na 4 miliony dolarów, w tej liczbie najwięcej stokfiszów. W obszernym opisie przemysłu rybnego Gloucesteru jest jedna smutna karta, zawierająca statystykę corocznych strat



w ludziach, statkach i dolarach, ponoszonych przez zwolenników zyskowego tutaj ale niebezpiecznego zawodu rybaczego. Tak np. w r. 1862 zginęło 162 ludzi na 19 statkach; w 1871 r. 140 ludzi na tyluż statkach; w 1873 r. 174 ludzi; w 1875 r. 123 ludzi na 16 statkach; najłaskawszym był rok 1856, bo zabrał w ofierze tylko dwu rybaków. Ogółem od r. 1830 do 1875 zginęło 1,590 ludzi i 333 statków, przedstawiających wartość niespełna 1½ mil. dol.

\* \* \*

Na zakończenie przeglądu wystawy rolniczej Stanów Zjednoczonych, podaję kilka szczegółów o szkole rolniczej dla murzynów w Hampton. Czerpię je z urzędowego sprawozdania, które mi wpadło w ręce przy oglądaniu wystawy rolniczej. Zasługuje ono na bliższe rozpatrzenie z kilku powodów: najprzód daje wyobrażenie o tém, jak się w ogóle szkoły zakładają i prowadzą w Ameryce; powtóre, zawiera zdanie o murzynach nie chwilowego gościa, nie turysty, nie uprzedzonego publicyście, lecz ludzi miejscowych, którzy urodzili się wśród czarnych i odbyli wieloletnią praktykę dozorowania i uczenia ich.

Wszystkich murzynów, najrozmaitszych odcieni czarności, było w Stanach Zjednoczonych w r. 1870 dusz 4,880,009; w ciągu dziesięciolecia od r. 1860, pomimo kilku lat wojny domowej, ludność ta urosła przeszło o 10%. Niepiśmiennych zaś w ogóle w Stanach Zjednoczonych liczono w tymże 1870 r. 5,643,000, nie rachując dzieci od lat 10 życia; z téj liczby w Stanach Południowych było niepiśmiennych 4,189,000, a z nich: białych 1,516,000, kolorowych 2,671,000, w téj liczbie większa część kobiet.

Te półtrzecia miliona ciemnych Anglo-Afrykanów (jak ich niektórzy nazywają), niewolników do r. 1863, składa się z niespełna 2 milionów dorosłych osób i przeszło trzech ćwierci miliona dzieci i młodzieńców, mogących być nauczaniem i kształconemi; z dorosłych 850,000 posiada głos obywatelski.

Gdy przed wojną agitacja północna na rzecz murzynów urosła do niebywałych dawniej rozmiarów, w r. 1861 murzynka, była niewolnica, pani Peake, założyła w Hampton (w południowej Wirginii, niedaleko fortu Monroe, nad oceanem) pierwszą szkołę dla tak zwanéj „wojennéj kontrabandy,“ albo „ludzkiego towaru,“ pod opieką Amerykańskiego Stowarzyszenia Misyjnego; za jéj przykładem, otwarto takież zakłady w Atlancie (Georgia), w Nashville (Tennessee) i gdzieindziej.

Od r. 1861 północne stowarzyszenia religijne, przy pomocy rządu, mianowicie departamentu „oswobodzonych niewolników“ (Freedman's Bureau), założyły tysiące szkótek elementarnych i niemało średnich, w których przeszło milion dzieci czarnych nauczone przynajmniej czytać. Rząd nie wydał na to więcéj nad pół miliona dolarów od r. 1865 do 1870, a składki na Północy od r. 1861 dostarczyły ta-

kieże sumy. W ogóle, wydatki rządu na zabezpieczenie losu i oświatę 4½ milionów eks-niewolników w ciągu lat pięciu (1865—1870), wynoszą około 13 milionów dol., gdy wojny ze 150 tysięczną ludnością indyjską, nie rachując sum wydawanych na zaopatrzenie ich w odzież i żywność, od lat 40 kosztują rząd po 12 milionów dol. rocznie.

Ale od r. 1870 rząd związkowy odmówił i tych szczupłych zasilków na oświatę czarnych, pozostawiając starania o nią rządowi Stanów pojedynczych i usiłowaniom prywatnym. Więc Stany południowe uchwałyły podatek na zakłady niższe, a ludzie dobrej woli gromadzą ciągle pieniądze na szkoły średnie, wyższe i specjalne, które nic prawie od rządu stanowego nie dostają. Zyskują one powoli współczucie nawet lepiej myślących białych południowców, którzy nareszcie przekonują się o potrzebie utworzenia oświeconej warstwy roboczej. „Ale istnieje zawsze koterya *Burbonów*, nie wierząca w lepszą przyszłość murzynów, któraby się chciała ich pozbyć, pełna obojętności a nawet niechęci ku ich kształceniu“ — powiada sprawozdanie szkoły Hamptonńskiej <sup>1)</sup>.

Wirginia przewodniczy, pośród Stanów południowych, w staraniu o oświatę ludową, a Północna Karolina najgorzej w tym względzie stoi. Lecz w ogóle szkoły początkowe bardzo są ubogie i nędznie pobudowane: w Wirginii np. jest 2,101 szkółek z nieociosanych okrągłaków, a z ogólnej liczby 4,561, tylko 676 zakładów mają porządne sprzęty. W wielu szkółkach, nauczyciele, po ukończeniu instytutu w Hampton, *sami budowali domy i sporządzali ławki*. Lekcje najczęściej odbywają się w ciągu czterech lub pięciu miesięcy na rok; nauczyciele pobierają niskie pensye i niewielu pomiędzy nimi jest odpowiednio przygotowanych.

Jest wprawdzie na Południu pełno wybornych kolegów, — ale czarni niemają do nich wstępu; muszą więc albo mieć własne, albo żadnych nie posiadać. Najwięcej nadziei pokładają w zacnych sercach Północy i do pewnego stopnia nie doznają zawodu, a już i w niektórych południowych Stanach, rząd miejscowy coraz hojniej uposaża średnie zakłady dla dzieci byłych niewolników swoich.

Z doświadczenia się okazuje, że najlepszymi nauczycielami czarnych, bywają czarni; służą oni jako żywy dowód w oczach uczniów, że i z przeklętej rasy wychodzić mogą światli przewodnicy, a nie ulega wątpliwości, że wielu już jest takich, na co się musieli zgodzić najbardziej uprzedzeni. Przedewszystkiem tedy Południe potrzebuje seminariów nauczycielskich dla murzynów, bo dotychczas zaledwie 150

<sup>1)</sup> Catalogue of the Hampton Normal and Agricultural Institute, Hampton, Virginia, for the acad year 1875—6. Hampton, w drukarni zakładu, 1876, w 8-oe, str. 176, z drzeworytami budowli szkolnych i nutami pieśni murzyńskich.

rocznie ich się uczy w szkołach średnich, a 300 w seminariach duchownych, — a potrzeba przeszło 10,000 nauczycieli.

„Murzyn, powiada sprawozdanie, zadał fałsz przepowiedniom swoich wrogów i uspokoił niejedną obawę przyjaciół. Mówiono, że puści się na burdy i rabunki; przeciwnie zasłużył on na wdzięczność południowców wiernością dla ich rodzin i majątków, podczas gdy panowie walczyli o to, aby go zatrzymać w niewoli i zdobył uznanie całego świata bijąc się mężnie za wolność, gdy go wezwano. Powiadano, że po uwolnieniu nie będzie pracował, ale takie fakta jak uprawa tytoniu, kukurydzy i bawełny, nabywanie własności (przeszło 6 milionów dol. w samej Georgii), obrót przeszło 40 milionów dol. depozytów murzyńskich w kasach oszczędności, odpowiadają na te przepowiednie. Wyśmiewano dawniej ich ochotę do nauki, a teraz pojawiają się już obawy, że zadaleko idą w swych socyalistycznych zaciekaniach.

„Jeżeli można dawny stan rzeczy na południu wyobrazić przez obraz czarnego cienia na całej przestrzeni, to obecny odmalować wypada mieszaniną pasm ciemnych i jasnych. Można wogóle powiedzieć, że jedna trzecia część byłych niewolników zmierza ku postępowi, druga stoi na miejscu, a trzecia się psuje... Wszyscy oni domagają się opieki praw, pracy i szkół. Łagodność natury i rozsądek czarnych nie dopuściły do walki rasowej; lepiej przygotowani byli oni do wolności, niż oczekiwano. Co do zdolności umysłowych, te są dowiedzione faktami. Teraz już mowa być powinna nie o ich mózgach, ale o wszczepianiu w nich moralności i pracowitości. Niezawodnie, że otoczeni są potężnie szkodliwymi wpływami. Wielu zepsuło wdawanie się w politykę; pijaństwo szerzy się pomiędzy nimi w sposób opłakany; brak w nich uczuć obywatelskich i zmysłu społecznego. Gruba ciemnota, rozbrat pomiędzy religią a moralnością, chęć szukania zarobku bez trudu i pracy i niedostatek przywiązania do własnego plemienia: oto główne zawady, z którymi walczyć muszą usiłowania ku ich podniesieniu (str. 30).“

Ale te szlachetne dążenia ozywają tylko mieszkańców północy; na południu znaczna większość białych patrzy z pogardą na białych swoich niewolników, chociażby dorównywali im wykształceniem. Autor sprawozdania mówiąc o jednym z ważnych zadań szkoły murzyńskiej, mianowicie o przygotowaniu uczniów do ciężkiej walki z losem i przesądami ludzkimi po opuszczeniu zakładu, tak się wyraża: „Najzdolniejsi i najwykształceni nawet z naszych laureatów, po wyjściu ze szkoły mają do przebycia próby niepojęte dla tych co żyją w delikatnej atmosferze, znajdując w niej opiekuńczy żywioł przyzwoitości, niby powietrze, którego ciśnienie równa się 15 funtom na cal kwadratowy; usuńcie z życia to dobroczynne otoczenie, a wówczas pojmiecie położenie murzyna (str. 41).“

Przywiódłem dosłownie powyższe ustępy, bo wychodzą z pod pióra rodowitego Amerykanina, nie uprzedzonego i nie sfanatyzowanego



przez stronnicość polityczno-społeczną, a dobrze znającego czarnych z długiego codziennego obcowania. Słowa takiego pedagoga więcej dla mnie ważą od twierdzeń cudzoziemców i turystów, od których niestety, zwykle publiczność nasza dowiaduje się o życiu i charakterze Amerykanów, zamiast się oświecać u źródła, od nich samych, jeżeli nie ustnie, to choć z pism ich własnych.

Zajrzyjmy teraz w przeszłość i terażniejszość szkoły w Hampton; na tle ogólnych stosunków i stanu murzynów, któreśmy odmalowali powyższem przytoczeniem, zakład ten nabierze w oczach naszych inną barwę, określonego znaczenia i dążności.

Zakład ten znajduje się w miejscowości pamiętnej dla białych i czarnych obywateli amerykańskich; w pobliżu osiadły niegdyś pierwsze kolonie angielskie, a później do sąsiednich wybrzeży przybiły okręty z ładunkiem „ludzkiego towaru“ w osobie pierwszych niewolników, przywiezionych z Afryki; w miasteczku Hampton stoi dotąd kościół drugi z kolei ze zbudowanych w Ameryce; w nowszych wreszcie czasach, na gruntach obecnej szkoły, znajdował się główny szpital wojenny na 15,000 rannych i chorych żołnierzy unii, podczas wojny domowej.

Roku 1867 misyjne stowarzyszenie amerykańskie zakupiło folwark zwany Little Scotland, wzniosło na nim kilka zabudowań i w kwietniu 1868 r. otworzyło szkołę z 20 na początek uczniami. We dwa lata potem sejm wirgiński nadał jej charakter zakładu stanowego, a w r. 1872 wydzielił dla niej  $\frac{1}{3}$  całej ziemi szkolnej Wirginii w ilości 100,000 akrów (około 2,500 włók), które wkrótce sprzedano za 95,000 doll.; ale suma ta nie jest wieczyście nadaną szkole, lecz tylko do użytku na czas nieoznaczony; dziesiątą część jej obrócono na dokupienie ziemi, a dziewięć dziesiątych pozostaje w papierach procentowych; obecnie szkoła posiada własnych 190 akrów (przeszło 140 mórg). Z darów związkowego departamentu, uwolnionych murzynów i północnych obywateli wystawiono gmach szkolny, kosztujący 48,000 dol., na 300 uczniów; zbudowano potem dwa drewniane pawilony na sypialnie męzkie, wystawiono budowle gospodarskie, zakupiono maszyny i narzędzia rolnicze oraz zbudowano dom na pomieszczenie zakładu szycia odzieży na spekulacyę; dalej wzniesiono wielki czteropiętrowy gmach w stylu odrodzenia, z mansardami i wieżą pośrodku, mieszczący w sobie 70 pokoi dla nauczycieli i uczennic, kaplicę, refektarz, kuchnię i pralnię; kosztował on do 100,000 dol. Wybudowano później jeszcze dom na pomieszczenie 180 uczniów, obsługiwany przez uczennice; domy na zakłady ciesielskie, szewckie, malarskie i inne, w końcu urządzono drukarnię, w której się odbija w 1,500 egz. czasopismo miesięczne illustrowane dla murzynów, kosztujące rocznie jednego tylko dolara, p. t. *Southern Workman* (Robotnik południowy) i z której pochodzi wspomniane wyżej sprawozdanie, odznaczające się wcale pięknym drukiem, niezłemi drzeworytami i drukowanemi nutami muzycznymi.

Wydano w ogóle na dokupienie ziemi, budowle, maszyny, narzędzia i sprzęty 188,000 dol. Przy szkole znajduje się nadto zakład elementarny na 230 uczniów, mieszczący się w domu postawionym w czasie wojny przez generała Butlera; na cześć jego zakład nazywa się szkołą Butlera.

Główną zasadą szkoły hamptońskiej jest to, że każdy uczeń musi nie tylko się uczyć, ale i pracować fizycznie, cel bowiem zakładu zmienia się do wytworzenia ludzi, a głównie nauczycieli nie tylko ukształconych, ale i praktycznych. Szkoła tedy dzieli się na 5 roboczych oddziałów, z których każdy pracuje kolejno po jednym dniu, a wszystkie muszą pracować w sobotę i tego dnia lekcje się nie odbywają. Stosownie do wieku i natury pracy, uczeń zarabia od 30 do 48 groszy na godzinę; wprawniejsi dostają do 70 groszy; ugodzeni miesięcznie na odzwiernych, pocztylionów, posługaczy i t. p. pobierają wynagrodzenie miesięczne.

Każdy uczeń musi opłacać 10 dol. miesięcznie za mieszkanie, stół, opranie bielizny, światło, opał i pomoc lekarską; połowę tej opłaty wolno uiścić pracą fizyczną, a w razie wyjątkowego ubóstwa i całą. Kto nie potrzebuje zarabiać ręcznie na tę opłatę, musi jednakże wraz z innymi w soboty pracować: uczniowie przychodzący muszą robić po jednej godzinie dziennie bez wynagrodzenia.

Za naukę i dozór płaci się 70 dol. Odznaczający się pracowitością uczniowie uwalniają się od tej opłaty, która się pokrywa darami stowarzyszeń i osób prywatnych; stypendysta obowiązany jest co roku napisać list z podziękowaniem do swojego dobroczyńcy. Za nadanie 100,000 akrów przez Stan, o którym mówiliśmy wyżej, Wirginia ma prawo do bezpłatnego umieszczenia 100 uczniów przez jej ciała polityczne poleconych; ci stypendyści nie uwalniają się jednak od opłaty 10 dol. miesięcznie za utrzymanie.

Uczniowie są przyjmowani w wieku od 14—25 lat do najniższej klasy; pierwszeństwo daje się tym, którzy chcą być nauczycielami.

W roku 1875/6 było uczennic w wyższej klasie 11, w średniej 27, w niższej 32, w przygotowawczej (Butlera) 26; uczniów: w wyższej klasie 36, w średniej 43, w niższej 50, w przygotowawczej 29, ogółem dziewcząt 96, chłopców 159, wszystkich razem 255.

Według rodzaju zajęć mechanicznych uczniowie tak się grupują: dziewcząt w zakładzie przemysłowym pracuje 67, domowemu robotami zajmuje się 68 (niektóre spełniają oba rodzaje pracy); mężczyźni trudni się na folwarku 76, w drukarni 2, malarstwem 3, ciesielką 3, bednarstwem 1, szewctwem 2, odzwiernych jest 7, kancelistów 2, pocztylionów 2, posługaczy 12, przy nauczycielach 4 i t. d.

Zajmujący jest rozkład zajęć podług godzin dziennych: o 5 rano dzwonią na wstawanie z łózek, o 6 śniadanie, 6<sup>3</sup>/<sub>4</sub> do 8 przygotowanie do lekcji lub roboty ręcznej, o 8<sup>1</sup>/<sub>3</sub> przegląd chłopców uszykowanych w szeregi, o 8 minut 25 dzwon szkolny, o 8 min. 35 obowiązki religijne, o 8<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wspólne modlitwy, potem lekcje do 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, kwadrans wypoczynku i znowu lekcje do południa; obiad o 12<sup>1</sup>/<sub>4</sub>, od 1 po południu praca fizyczna, a jednocześnie lekcje od 1<sup>1</sup>/<sub>3</sub> do 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, koniec robót

o 5<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, wieczera o 6, obowiązki religijne o 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, przygotowanie do lekcji 7<sup>1</sup>/<sub>4</sub> do 8<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, wreszcie spoczynek od 10 wieczorem. Podczas godzin przeznaczonych na uczenie się, uczniowie są zgromadzeni w jednych salach a uczennice w innych i zostają pod dozorem jednego z nauczycieli. Corocznie uczeni i literaci przyjeżdżają do Hampton i miewają bezpłatne odczyty o rzeczach najbardziej uczniów zając mogących. Każdego rana w obec wszystkich uczniów czytane są najważniejsze wiadomości z dzienników i udzielane bywają wyjaśnienia dotyczące praw publicznych.

Oprócz gospodarstwa i zajęć technicznych, następne przedmioty się wykładają: zasady rządu cywilnego, dzieje powszechne, początki antropologii, geografia, gramatyka i stylistyka, chemia, wykład biblii, pedagogika, dzieje krajowe, rysowanie map, matematyka do algebry włącznie, etyka, filozofia natury, śpiew zbiorowy i początki muzyki.

Kary cielesne nie są w użyciu: za złe sprawowanie się, lenistwo i niedbałość, uczniowie bywają czasowo lub całkowicie usuwani ze szkoły. Używanie tytoniu i spirytusowych napojów jest zabronione. Listy wychodzące po za obręb szkoły ulegają kontroli, jak również garderoba i stan pomieszczeń uczniów. Wszyscy oni są obowiązani do ćwiczeń wojennych (zawarowane to jest w nadaniu 100,000 akrów przez Stan), i do udziału w straży nocnej oraz ogniowej, a nadto do znajdowania się w soboty na nabożeństwie w kaplicy z rana i na wieczornych czytaniach Biblii.

Zarząd szkolny unika (nie pojmuję dlaczego) mieszania w jednym dniu pracy umysłowej z fizyczną, a gdy konieczność do tego zmusza, umysłowa poprzedza fizyczną.

Wakacje letnie trwają półczwarta miesiąca, od 10 czerwca: przez czas ich prawie wszyscy uczniowie idą na służbę do rolników, hotelów albo na nauczycieli, aby zarobić na opłatę szkolną. Podczas kursów zarabiali pracą fizyczną w r. 1869/70 do 4 tys. dol., a w roku 1874/5 już przeszło 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> tysięcy dol.

„Nie wielu, powiada sprawozdanie, str. 39, przybywa takich co zaznali niewoli: większość przychodzi ze szkół niższych bez żadnych prawie uczuć co do przeszłości.”

Stopnie postępów w naukach wyrażają się liczbami od 1 do 5, jak u nas; otóż w r. 1875/6 przeciętna w klasie najwyższej była 4.06, w średniej 4.10, w niższej 4; dziewczyny lepiej się uczyły, bo średni stopień u nich na ogół wynosi 4.20, u chłopców 4.05; całego zakładu przeciętny stopień 4.08.

„Wspólne słuchanie lekcji przez obie płci w ciągu ośmioletniego istnienia zakładu dowiodło pożyteczności tego rozporządzenia; złe następstwa należały do wyjątków; doszliśmy do przekonania, iż obyczaje i moralność tylko zyskiwały na tém, a atmosfera szkoły nabyła daleko wyższego tonu,” tak powiada sprawozdanie na str. 41.

W każdej sypialni uczniowie wybierają z pośród siebie sąd rozstrząsający sprawy i wymierzający kary na kolegów za wykroczenia



przeciw regulaminowi, ułożonemu przez uczniów a zatwierdzonemu przez przełożonego szkoły.

Nauczycielki po większej części pochodzą z wyższej szkoły kobiecej, zwaną Vassar College, w Poughkeepsie nad Hudsonem.

Uczniowie założyli dwa towarzystwa debatujące, które się zbierają co soboty wieczorem; przedmiotem rozpraw są zwykle pytania praktyczne. Prócz tego istnieje stowarzyszenie wstrzemięźliwości, zgromadzające się raz na miesiąc.

„Dążność ku zakładaniu tajnych stowarzyszeń, powiada sprawozdanie, str. 44, jest bardzo wielką pomiędzy niewolnikami wogóle, czego dowodzi pojawienie się ich w ogromnej ilości od czasu emancypacji pomiędzy obu płciami, liczone ich do dwustu w samej Wirginii. Związek pod nazwą „Dobrych Samarytanów” najwięcej rachuje zwolenników. Głównym celem tych stowarzyszeń jest wzajemna pomoc i opieka, grzebanie zmarłych członków, a czasami dążenia polityczne.” W szkole Hamptonńskiej tajne związki są zabronione; wydano jednego ucznia za usiłowanie założenia jakiegoś takiego stowarzyszenia.

Dodać tu muszę, że tajne stowarzyszenia niezmiernie są rozgałęzione w Stanach Zjednoczonych; jest ich mnóstwo, przeróżnych dążeń, nazwisk i odcieni; niema prawie mężczyzny i kobiety, nawet chłopca i dziewczyny kilkunastoletniej, którzyby do jakiego związku nie należeli, co widać po znakach w kształcie orderów i t. p., noszonych na surducie, przy zegarku, na kamizelce koło ramienia i t. d. Cele stowarzyszeń tych są najczęściej moralne, bardzo rzadko polityczne lub religijne. Najwięcej członków liczą masoni i tak zwani „Odd Fellows” czyli „dziwacy.” Tajemnica jest tu czystą zabawą i mogłaby zgoła nie istnieć.

Gospodarstwo fermy szkolnej rozrządza 140 akrami ziemi uprawnej, posiada sześćdziesiąt kilka sztuk bydła i koni, doskonałych stadników, sprzedaje mleko w miasteczku, prosięta rasowe, karmi rogaciznę na sprzedaż i własny użytek, hoduje wzorowy ogród owocowy i warzywny, wyrabia rocznie do 200 tys. cegieł, posiada maszynę parową o sile 8 koni, która pomiędzy innymi posługami miele kości, mąkę, rżnie sieczkę i karm dla bydła, a podczas żniw wędruje po okolicy wprawiając w ruch młockarnię, która zarabia nie mało pieniędzy dla szkoły.

Uczennice uczą się, oprócz innych rzeczy, pieczenia chleba, gotowania potraw, gospodarstwa spiżarniowego, prania i prasowania białizny.

Księgozbiór zakładu liczy 1289 tomów; połączenie nauki z ręczną pracą nie wiele czasu wolnego zostawia uczniom do czytania, jednakże przecięciowo ze 100 książek jest w ich rękach. „Dziewczeta, powiada sprawozdanie, przekładają powieści, mężczyźni wolą dzieła historyczne, biograficzne i podróże.” Przeszło 40 czasopism leży w czytelnich, których jest trzy.

Opiekunowie szukają obecnie środków i sposobów do zebrania 200 tys. dolarów dla zapewnienia szkole zupełnej niezależności i kwitującego stanu; w odezwie, którą zachęcają wszystkich Amerykanów, nie wątpią że dopną swego szlachetnego zamiaru, bo dążą do wychowania praktycznego, oświeconego i uczciwego pokolenia murzynów, a potrzeba takiej klasy ludzi, jest gwałtowną w obecnych czasach dla północnej Ameryki. Oby też biali murzyni i wschodniej Europy doczekali się takich zakładów i takich opiekunów.

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

*La Femme Romaine*, przez pannę Klarysę Bader.—Kurs prof. Aleksandra Chodźki w kolegium francuzkiem. *Pieśni mało-ruskie; pieśń serbska o Janie Sobieskim*.—Wystawa obrazów na Polach Elizejskich. Malarze polscy: pan Chełmoński: *Karczma polska*. P. Piątkowski: *Dziewczyna stepowa*. P. Mioduszewski: *Portret Ojca Aleksandra*. Panna Izydora Mikulska: *Portret siedmioletniej dziewczynki*. P. Jan Rozen: *Wyzwanie z Pamiętników Paska; Biwak z XVII wieku*. P. Budkowski: *Columbarium*. P. Bakałowicz: *Małgorzata de Valois*, scena z Rzezi Bartłomiejowej. *Portret Firmin'a Didot*. P. Kazimierz Ałchimowicz: *Młody męczennik*. P. Józef Brandt: *Konie tatarskie. Poczta żydowska na Podolu*. P. Szyndler: *Odaliska, Portret*. P. Aleksander Cetner: obraz symboliczny: *Na kolana ludy!* P. Chlebowski: *Przedsiomek meczetu w Brusie, Śmierć sułtanka*. P. Łukasiński: *Wyjazd na targ*. P. Brochocki: *Zmierzch* (krajobraz). P. Ciesielski: *Polanka w lesie Fontainebleau*. P. Gąsowski: *Okolice nad rzeką Charente*. P. Kossowicz i Przepiórski: *Portrety*.—Rzeźba: P. St. Lipiński: *Dziewczyna opuszczona*. P. Godebski: *Dwa popiersia*. P. Grabowski: *Portret kobiety*. P. Hegel: *Popiersie*.—Rysunki i akwarele. P. Redlich: *Kazanie Skargi* (eau forte). Pani Konstancja Boulard: *Posłowie przed Batorym*. Panna Krystyna Prusinowska: *Głowa murzyna, Kwiaty*. Pani Przepiórska: *Akwarela*. Panna Płużańska: *Krajobraz zimowy*. Pani Amplewska: *Miniatura dziecka*. Panna Stryńska: *Hołd trzech królów* (emalia). Wykluczenie kobiet z Sorbony. Prof. St. Rene Taillandier.—Zapowiedziana historia Jana Kazimierza, przez p. Maryusza Topin.—*Alzacya i Lotaryngia* p. Elstein. *Plutarch dla wojska francuzkiego*, dra. Ternier.—*Bravo*, opera p. Salvayre.—*Cinq-Mars*, opera Gounoda.—Odezwa Dumasa do wyborców.

Panna Klarysa Bader, która poświęciła piętnaście lat wytrwałej pracy, na zbadanie stanowiska kobiety w biegu wieków, wydała

w tych czasach nowe studjum pod tytułem *La Femme Romaine*. Jest to czwarte z kolei dzieło znakomitęj autorki. Poprzednie zalecone przez wielu uczonych, a nawet przez samą akademią były już przedmiotem sprawozdań w Bibliotece Warsz. Dzisiejsza praca według nas przechodzi tamte doniosłością, umysł bowiem autorki, jak każdy wyższy umysł, rozwija się coraz bardziej, a w miarę podejmowanych trudów, i coraz nowe ogarnia widnokregi: z drugieję znów strony społeczeństwo starożytnego Rzymu, z którem Galia tak ściśle była niegdyś zespoloną, musiało być dla francuzkieję pisarki przedmiotem nierównie dostępnejszym, niż społeczeństwa sanskryckie, hebrajskie, a nawet greckie.

„Mimo wielu trudności, mówi autorka w przedmowie, podjęta praca miała dla nas niewysłowiony urok. Dla narodów, którym przypadło puścić się spadkobierstwo łacińskiej cywilizacji, badanie obyczajów rzymskich stanowi zdrową i pokrzepiającą naukę. W tych badaniach zbieramy niby szczytki domowych tradycji po naddziadach. Wprawdzie owe wspomnienia przyćmione są u Rzymian mrokiem pogańskich błędów, a przecież tak przykłady ich cnót, jak obrazy ich przestępstw, nadzwyczaj dla nas pożyteczne. Rzym uczy zarówno, gdy pokazuje czystość swych lat młodzieńczych, jak i zepsucie wieku dojrzałego.”

I my Polacy, aczkolwiek w dalszym stopniu niż Francuzi, jesteśmy przecież spadkobiercami starożytnej cywilizacji rzymskiej; świadczy o tém nasz język, wyrobiony gramatycznie na wzorach łacińskich przez pisarzy złotego wieku; świadczą prawa i instytucje, słowem świadczy wiekowa przeszłość. Wielka to chluba dla nas: wpływ bowiem rzymskiej cywilizacji, tak pogańskiej jak chrześcijańskiej, wyrwał nas z pomroku barbarzyństwa, i wycisnął niezatarte piętno na obliczu narodu naszego; z tego to względu, praca panny Bader może być i dla nas wielce pożyteczną i nauczającą. W życiu starożytnych Rzymianek, i niewiasty nasze, zarówno jak francuzkie, znajdują nie jednę zbawienną przestrożę, nie jeden przykład godny naśladowania.

„Dzieło o niewieście rzymskiej, dodaje autorka, to pierwsza praca nasza po klęskach jakie dotknęły Francją. Kreśląc sceny z życia starożytnych dziewic i matron, widzieliśmy nieraz przed oczyma świeżo przebyte próby! Starożytna Roma znała także boleść i hańbę! obce najazdy nieraz ją dotykały; ale posiadała w pierwotnych czasach swoich, nie jeden zabezpieczający ją talizman. Takim talizmanem była najsamprzód wiara, obłądna wprawdzie, zawsze jednak szczerą i głęboką; był nim duch porządku; była gotowość do ofiary i wielka surowość obyczajów. W tym względzie matrona rzymska najpiękniejszy daje przykład. Nie szukajmy w niej dzikiego barbarzyństwa Spartanki, w sercu jej gorący patryotyzm nie zabija wcale niewieścich uczuć. Rzymianka uczy syna słowem i przykładem, jak ma służyć ojczyźnie, pozostaje przecież tklivą i kochającą matką.



Panna Bader podzieliła pracę swoją na dwie części: w pierwszój pokazuje nam niewiastę rzymską przy domowém ognisku. Dom jój prosty, zbudowany z drzewa lub z szarój cegły, posyty częstokroć słomianą strzechą. Matrona rzymska nie ukrywa się w *gineceum*, na wzór ateńskich niewiast; ona pierwsza miejsce zajmuje w swém *atrium*, głównej sali, gdzie u boku jój gromadzi się cała rodzina. Ściany tu nagie, wszystko tchnie prostotą, nawet ubóstwem. Matrona siedzi na łożu, nie wypuszcza nigdy wrzeciona; oko jój czuwa przeciw nad wszystkiém. Naprzeciw drzwi wchodowych wznosi się kamienny ołtarz płonący wiecznie na część Westy; matrona przyrzuca łuczywa, aby ogień nie zagasł. Ona przechowuje w atryum Lary i Penaty, jak niemniej odcisnięte na wosku wizerunki zmarłych naddziadów, oręża i archiwa domowe.

W tych czasach pierwotnej prostoty, kiedy Rzymianin, wolny chwilowo od służby publicznej, powracał do pług i sam orał swój zagon, wierna towarzyska dzieliła jego trudy, trzymając się ile można w obrębie domu. Trudy te nabierały wrażenia w razie wojny, gdy cały zarząd polegał na jój głowie. Autorka idąc w ślad za wskazówkami Katona i Warrona, pokazuje nam wiejskie zatrudnienia Rzymianki. O brzasku dziennym, kiedy pasterze zajęci dojeniem kóz, krów i owiec, matrona idzie do obory. Strzyżka wełny odbywa się pod jój okiem; ona sama oblicza runa. Nie zaniedbuje także kurników, pełnych drobiu: własną ręką posypuje ziarno kurczętom.

Czujna matrona wyprawia niewolników w pole, innych przeznaczona do prac domowych. Gdy się rozeszli, pilnie zagłada do wszystkich kątów, patrzy czy rozkazy jój wypełnione. Jeśli choroba zatrzymała niewolnika pod dachem, ona sama przyrzęda mu leki, nakazuje spoczynek. W dniu słotne i zimne nie wypuszcza służebnych niewiast z poza progu, woła je do ogniska, przędzie wraz z nimi wełnę. Jesienią gromadzi zapasy żywności, pilnuje zbioru jabłek, śliw i oliwek, dogląda winobrania, suszy owoce, syci miód, przetapia wosk, soli i przyprawia mięsiva.

Oboje małżonkowie pracują bez przerwy; zajęcia ich odmienne, lecz cel jeden, a tym celem pomyślność domu. Dzieweczki wzrastają krzepko, otoczone żywotną atmosferą, zaprawione wcześniej do pożytecznej pracy. Widywano nieraz córki patrycyuszów, pasące jagnięta po parowach. W grobach małych Rzymianek wykopują obok nich lalki, maleńki sierp, toporek i wrzeciono.

Pracowita matrona była w tych czasach przedmiotem wysokiego poszanowania, tak ze strony męża, jak i obcych. Jeśli nie opuszczała ogniska, czyniła to nie z przymusu, ale jedynie z woli własnej. Kiedy szła ulicą, najwyżsi dostojnicy ustępowali przed nią z drogi. Sama obecność jój na wozie obok męża, uwalniała go z obowiązku zsiadania przed konsulem. Mąż do takiego stopnia poważał towarzyszkę, że ilekroć wracał do domu, uprzedzał ją przez gońca o powrocie, nie chcąc obrażać jój nawet cieniem podejrzenia.

W stadłach małżeńskich panowała wówczas niezmacona zgoda i jedność. Jakkolwiek prawo pozwalało na rozwód, obyczaje stanowczo go odtrącały. Mąż mógł odepchnąć żonę w trzech wypadkach: jeśli zdradzała wiarę małżeńską, jeśli truła dzieci lub posiadała fałszywe klucze. Prawo pozwalało w takim razie mężowi, powołać sąd domowy, a potem wyrzec formułę rozwodową, zapisaną na dwunastu tablicach: *Tibi habeas res suas*, (odbierz co do ciebie należy). Na te słowa matrona, dotąd wszechwładna pani domu, miała złożyć przed mężem klucze, nad którymi straż była jój powierzona. Mąż mógł wypędzić ją z domu prostym wyrzuceniem. *I foras mulier*, (precz niewiasto)!

Takiem było prawo, a jednak przez pięćset dwadzieścia lat, mężowie rzymscy nie wprowadzili go ani raz w wykonanie. Panna Bader opiera się w tym względzie na świadectwach Tertuliana i Dyonizego z Halikarnasu. Nie dowodzi to, mówi autorka, żeby wszystkie niewiasty, wówczas nawet, miały być wzorem cnoty, ale mężowie mając nad nimi prawo życia i śmierci, nie wypędzali ich z domu; zabijali je raczej. W razie zwykłych zatargów, jakie mogą zajść w najlepszych stadłach, oboje małżonkowie szli do świątyni zbudowanej na górze Palatynatu, a poświęconej bogini *Viriplaca* (kojącej mężów). Tam przed ołtarzem następowały wymówki i wyjaśnienia. Wracali zawsze pojednani.

Najwyższy dowód powagi niewieściój w Rzymie widzi autorka w instytucji Westalek. W świątyni Westy płonie wiecznie ognisko, symbol miłości kraju, ofiary, odwagi wojskowej i cywilnej, słowem najczystszych i najszlachetniejszych zasad, na których stoi społeczeństwo. Płomień ten był oddany pod straż dziewic. Gdy miejsce zawakuje, wielki kapłan wybiera z pierwszych rodzin rzymskich, najdородniejsze i najzdolniejsze dziewczeczki, w wieku lat sześciu do dziesięciu. Najmniejsza skaza nie może powstać na tym pączku, jeszcze nierozwiniętym. Wybrane ciągną losy. Ta na którą los przypadł, żegna rodziców, siostry i towarzyski. Wtedy obłóczą ją w długą stułę, głowę jój opasują przepaską, i prowadzą na próg świątyni, gdzie przepędzi trzydzieści lat życia.

Pierwsze lat dziesięć młodziuchna Westalka poświęca wyłącznie na naukę; w drugim dziesiętku lat spełnia obowiązek kapłański; w ciągu ostatnich lat dziesięciu jest nauczycielką świeżo wybranych dzieci; po trzydziestu latach, wolno jój powrócić do rodziny; związki małżeńskie wtedy nie wzbronione jój prawem: ale przeżywszy młodość w oderwaniu od świata, Westalka niechętnie opuszcza progi świątyni.

Wielkie były przywileje Westalek: godność kapłańska uwalniała je od prawnej opieki, ciężającej nad każdą Rzymianką od kolebki do gro-

bu. Westalka mogła dowolnie rozporządzać majątkiem; proste jej słowo starczyło za przysięgę. Kiedy ukazała się w mieście, konsule i pretorowie stawali z uszanowaniem; liktorowie schylali przed nią różgi. Kto poważał się przejść w bliskości jej lektyki, karany był śmiercią. Jeżeli spotkała prowadzonego na śmierć winowajcę, miała prawo uwolnić go od kary.

Im większą cziłą otaczał Rzym czystą Westalkę, tém surowiej sądził jej przekroczenia. Przystępne jak wiadomo, żywcem zakopywano w grobie. W pierwszych czasach podobne wypadki nigdy się prawie nie zdarzały; inaczej być miało w epoce ogólnego rozprężenia!

Chwila w której Rzym doszedł do najwyższej potęgi politycznej, była jak wiadomo, początkiem upadku obyczajów, potargania węzłów rodzinnych. Wpływ obyczajów greckich rozwinął zarody zepsucia, nurtujące już w łonie społeczeństwa rzymskiego. Wzrost dobrobytu sprowadził rozmiłowanie w zbytkach. Matrona wypuściła nieodstępne wrzeciono, ściany jej *atrium* połyskiwały złotem, purpurą, ale zgasł płomień tlejący na ołtarzu domowym, już nie podsycany jej rękoma.

W drugiej połowie dzieła autorka kreśli ze wstrętem obraz powszechnego upadku. Jaskrawych barw dostarczyli jej historycy i poeci. Ręka jej cofa się nieraz ze zgrozą przed kreśleniem tych szkarad, jak Plaut i Juwenalis, rzucają szczerdrem piórem, ku przestrodze potomnych wieków. Nie żądamy od autorki, aby zdzieraa wszystkie zasłony pokrywające ohydłą prawdę: trudno jednak nie uchylić wcale tych zasłon: panna Bader czyni to z godną poszanowania oględnością; nie pokazuje całej brzydoty, to jednak czego nie może pokryć, w smutny już sposób, przedstawia nam upadek rzymskich matron.

Dawniej, gdy zagrożona ojczyzna wymagała ofiary córek swoich, poważne te matrony szły na Forum, niosły w darze złoto i kosztowności. Tak było kiedy Gallowie uderzyli na kapitol, kiedy zastępy Annibala, rozsiewały postrach w Italii. W lat 20 po drugiej wojnie punickiej, nowy, dotąd nieznany dramat, odegrał się na ulicach Rzymu. Niewiasty wybiegają z domów jak szalone, pędzą na Forum, zastępują drogę trybunom. I cóż się stało?

Z kądże to zbiegowisko? ten okrzyk rozpaczliwy? Czyżby Annibal stanął znów u bram miasta? Bynajmniej! Rzym po tryumfach odpoczywał w pokoju. Matrony domagają się oto gwałtem, zniesienia praw ograniczających zbytek w odzieży i domowych sprzętach. Trybunowie ulegli; głos Katona przebrzmiał bezowocnie, lecz oddźwięk jego dobiegł do naszych czasów. „Rzymianie! wołał wielki mówca, chceciez pchnąć żony i córki wasze, na pole szalonego współzawodnictwa, gdzie ubogie aby uniknąć pogardy, zechcą bądź co bądź sprostać zamożniejszemu od siebie? Zaprawdę, kobieta, która nauczy się rumienić dla błahego powodu, nie zarumieni się w obec istotnej hańby!”



Autorka podnosi głos Katona, stosuje go do czasów obecnych. „Co było wtedy, rzecz, dziś, niestety, powtórzyło się znowu. Gorączkowa chęć zysków, namiętne rozmiłowanie w zbytkach, to dwa raki toczące łono społeczeństwa naszego. W obec wybuchającego materyalizmu, życie duchowe rozwijać się nie może. Jak niegdyś w wyrodzonym Rzymie, tak tu dziś, kobiety dają popęd do zbytków. Bogate wytwornym strojem, pragną wyróżnić się od tłumu; uboższe, aby dotrwać w nierównej walce, przyprowadzają rodziny do upadku, a częstokroć do hańby!”

Wymowną skazówką szerzącego się w Rzymie zepsucia, są rozmowy, upowszechnione w ostatnich latach rzeczypospolitej. Kiedy nieco dawniej Spuryusz Karwiliusz, pierwszy z rzymskich patrycyuszów, odtrącił bezdzietną małżonkę, głos powszechny skazał imię jego na klątwę potomności.

Ze zmianą obyczajów, patrycyusze wszyscy odtrącają małżonki, lub je zamieniają pomiędzy sobą. Częstokroć rozerwane stadło łączy się po raz drugi: konsulowie dają ohydny przykład. Sulla odtrąca niewinną Cecylią Metellę, dla tego jedynie, że dotknięta śmiertelną chorobą, że całun żałobny na domu, może zatrzwożyć Rzymian, i rzucić złowrogi cień na pomyślną gwiazdę dyktatora! Marek Aureliusz odtrąca piękną i cnotliwą Oktawią dla czarodziejskiej Kleopatry. Cynceron po trzydziestoletniem pożyczu, odrzuca Terencją, dlatego że krasa jej przywiedła. Surowy nawet Katon odstępował Hortensyuszowi własną żonę Marcją, sam podpisuje ślubny ich kontrakt, a kiedy Marcya owdowiała, przygarnia ją znowu pod dach swój, a z nią razem zgarnia złoto Hortensyusza! Jeśli Katon zwany cnotliwym i niezłomnym, podobnych dopuszczał się bezprawi, cóż powiedzieć o innych? Małżeństwo stało się prostym handlem, straciło też uświęcający je charakter.

Autorka zakończyła dzieło, przesuwając nam przed oczyma długi szereg niewiast, których imiona błyszczą na kartach dziejów. Widzimy tu poważną Weturyą, matkę Koryolana, jak na czele matron rzymskich pośpiesza do obozu Wolsków, aby na drogę powinności zwrócić wiarołomnego syna. Widzimy inną znów, Kornelią, żonę Pompeusza, jak po klęsce Farsalskiej podziela z małżonkiem wygnanie, jak podejmuje ze czcią zwłoki zamordowanego i grzebie je w ziemi ojczystej. Widzimy Porcyą małżonkę Brutusową, jak odgadując tajemny zamach na Cezara, wyrzuca mężowi nieufność względem téj, która poprzysięgła dzielić z nim tak szczęście jak niedolę; widzimy jak na dowód mężkiej siły ducha, pokazuje mu krew tryskającą, z dobrowolnie zadanej rany. Widzimy wreszcie matkę Grakchów, której miłość macierzyńską i cnoty obywatelskie uczcił Rzym wspaniałą apoteozą. Obok tych postaci promienistych, przesuwają się przed nami ohydne Flawie i Messaliny, chciwe władzy Agrypiny i Poppeje, matki żony, godne krwawych Tyberyuszów lub Neronów.

Obraz to przerażający! Ale i w téj epoce zamętu powszechnego, występuje niekiedy jasna postać. Taką była Paulina żona Seneki.

Widzimy, jak błaga skazanego na śmierć małżonka, aby tym samym sztyletem, którym miał rozpróc własne żyły, wytoczył krew z jęj serca. W tych czasach rozpaczliwych, stoicyzm stał się jedyną dźwignią rzymskich matron, które zachowały w duszy poczucie obowiązku i poszanowanie godności własnej. Stoicyzm, ten najwyższy wyraz pogaństwa, mógł dać zwolennikom swoim bierną odwagę, nawet pogardę śmierci; ale do odrodzenia tych serc nowém życiem, potrzeba było nowęj siły!

„I oto w łonie upadłego a błyszczącego Rzymu, dodaje w końcu autorka, inny Rzym rodzi się i rozwija: Rzym katabumb, Rzym chrześcijański! Tam w cieniu pieczar podziemnych, niewiasta znalazła tę podporę moralną, jakiej świat dać jęj nie mógł. Tam gorzał płomień święty, ku któremu dążyła myśl jęj utęskniona, promień, który uświęcał rodzinę, budził w sercach miłość Boga, miłosierdzie ku ludziom, który wyzwał ducha i dawał mu siłę do ofiary.“

Dopełnieniem dzieła o niewieście rzymskiej będzie nowa praca o bohaterkach chrześcijańskich starożytnego Rzymu. Panna Bader rozpoczęła już te historyczne badania, po ukończeniu ich, zamierza wziąć się do wielkiego dzieła o niewieście francuzkiej.

Profesor Aleksander Chodźko, znany zaszczytnie z prac filologicznych, poświęcił tegoroczny kurs badań o Słowiańszczyźnie, dwóm przedmiotom. W poniedziałki wykłada tekst starosłowiański ewangelii Nowogrodzkiej z XI wieku; księga ta obejmująca część pisma Świętego, była własnością Ostomira, posadnika Nowogrodu Wielkiego. Wykład środowy jest poświęcony literaturze i etnografii ludów osiadłych w kotlinie Dniepru. Pierwszy to raz owe ludy są przedmiotem specjalnych badań z katedry francuzkiej. Z prawdziwym pożytkiem uczęszczaliśmy na ten kurs w ciągu upłynionego półrocza. Wkrótce jak wiemy od samego profesora, treść kursu ogłoszoną zostanie drukiem. Zostawiamy na później, zdanie sprawy z zapowiedzianej publikacji, dziś wspomnimy tylko o kilku bardzo charakterystycznych ludowych piosenkach, wystawiających tryumfy Iwanka nad Turkami. Profesor widzi w tych pełnych fantazyi urywkach, odbicie wrażeń ze zwycięstw Jana III, na wyobraźnią ludu <sup>1)</sup>. Dajemy je w polskim przekładzie:

## I.

Sławny Iwanko, zkąd mu ta ohwała:  
 Czemu go ziemia podziwiała cała?  
 Zmrokiem wieczornym osiadła konia,  
 Z wiernymi druhy pomknął przez błonia;  
 A zaczął dzionek zaświtał rano,  
 Pod Carogrodem już go widziano.

<sup>1)</sup> Przed wydaniem sądu ostatecznego w tęg mierze, godzi się rozpa-trzyć w licznych wariantach tęg pieśni kołędowej, znanęj ile się zdaje w całej Polsce; por. między innymi Bibl. Warsz. 1858, III, (Kolendy podolskie Dul-skiego Eustachego) str. 304—310 a także *Obchody weselne Psurskiego* (Glo-gera) w licznych miejscach. T. I.

Oj bijeż, bijo, na łeb, na szyję:  
 Car się dziwuje, kto tam wojuje?  
 Ludzie po mieście chodzą i radzą,  
 Cóż wojakowi takiemu dadzą?  
 I uradzili, pobiegli pędem,  
 Wiodą mu konia ze złotym rzędem.

On konia wziął,  
 Wzrokiem pogoni;  
 Czapki nie zdjął,  
 Czoła nie skłoni.

Na gród uderza: tryśła krew święta;  
 Car się dziwuje, kto tam wojuje?  
 Ludzie po mieście, chodzą i radzą,  
 Cóż wojakowi takiemu dadzą?  
 Każdy oo może, składa z ochotą;  
 Na wielkiej misie niosą mu złoto.

On misę wziął,  
 Spogląda po niej;  
 Czapki nie zdjął,  
 Czoła nie skłoni.

Coraz zuchwaléj, szablicą wali;  
 Car się dziwuje, kto tam wojuje?  
 Ludzie po mieście chodzą i radzą,  
 Temu panieciu cóż oni dadzą?  
 Zaczém Carogród we krwi utonie,  
 Wywiedli piękną pannę w koronie.

On pannę wziął,  
 Przybieży do niej;  
 Czapeczkę zdjął,  
 Rad się pokłoni.

## II.

Młody paniecu, Iwanku miły,  
 Nie śpiesz na wojnę: słabe twe siły!  
 Jest ci u niego matka jedyna,  
 Tak wyprawiała na wojnę syna:  
 — Na moje rady nie bądźże głuchy,  
 Trzymaj się w środku, pomiędzy druby.

Ledwie Iwanek dosiadł konika,  
 Przepomniał rady, naprzód pomyka.  
 Dopada wroga, bije na głowę,  
 Powalił szablą wojska połowę.  
 Bram Carogrodu śmiało doskooczy,  
 Pochwycił cara, w pęta go troczy.



— Żebym ja wiedział czyj to syn młody,  
 Tak dzielnie bije, tak bierze grody:  
 Dałbym mu kawał ziemi szeroki,  
 I las niezdeptan ludzkiemi kroki;  
 Dałbym mu wojska zastęp niemały,  
 Dałbym mu łuczek i lotne strzały;  
 Dałbym mu grosze nieprzeliczone,  
 I carską dziewę dałbym za żonę.  
 — Jabym tę ziemię z memi druhami,  
 Zaorał końmi, zasiał strzałami;  
 Rozbiłbym wojskiem drzewa w tym lesie,  
 Spalił na popiół, niech wiatr go niesie;  
 Zliczyłbym grosze te niezliczone,  
 A carską dziewczę wziąłbym za żonę.

## III.

Tuman kurzawy powstaje z ziemi,  
 Pędzi Iwanko z druchy swojemi,  
 „Hej! pod Carogród: co koń wybieży!”  
 Woła i krzyczy, w bramę uderzy:  
 — Turecki carze! wychodź co żywo!  
 Dobądź-że z pochwy szablę krzywą!  
 Jak się spotkali, hejże na siebie,  
 Grzmiały kopyta, jak gromy w niebie;  
 Jak słońka z chmury szable błyskały,  
 Konie pod nimi poprzysiały.  
 A car turecki do swoich rzecze:  
 — Żebym ja wiedział, czyj syn tak siecze,  
 Jabym mu córkę oddał rodzonę;  
 Dałbym pół carstwa, dałbym koronę;  
 Trzecią część doli oddałbym mojej:  
 Takiego zucha uczció przystoi.

## IV.

Hej! w polu, w polu, tam, na ugorze  
 Rozbito namiot: wspomóż nas Boże!  
 A w tym namiocie Iwanko siada,  
 Wkoło druhowie i sług gromada.  
 I wszyscy czapki zdejmują z głowy,  
 Zagadną pana kornemi słowy:  
 — Idziesz-li, panie, sam na Turoczyna,  
 Czy wierna z tobą idzie drużyna?  
 — Pójdziecie ze mną, Iwanko rzecze,  
 W tureckiej ziemi wnet krew poiecie.

Każdy do ręki szablę pochwyca,  
Pomknęli naprzód jak błyskawica.

Wychodzi ku nim pan Carogrodu,  
Chmurę zbrojnego wiedzie narodu;  
Kto kogo zmoże, przy tym wygrana:  
Niechże pobity uzna w nim pana.

Przemógł Iwanek; do cara skoczy,  
Z końskim ogonem ręce mu stoczy;  
Ziemia szeroko płonie pożarem,  
Przez pożarnicę koń pędzi z carem.  
Ogień mu nogi przypala srodze,  
A krew zalewa ślad nóg po drodze;  
A górą nad nim leci kruk czarny,  
I krew wypija z ziemi pożarnej.

— Utnij mi głowę, lub wypuść z ręki:

Dłużej nie zniosę straszliwej męki.

— Ja cię nie puszczę turecki carze,

Z karku twój głowy odciąć nie każę;

Powiodę ciebie ślady krwawemi

Do mojej własnej, powiodę ziemi,

Wrogom na karę, moim na chwałę:

Wiesz o tém pójdzie przez wieki całe!

W tych płodach fantazyi ludowej, nie więcej widać wątku ściśle historycznego, jak w pieśni wielkopolskiej, odnoszącej się do nieszczęśliwej Ludgardy. Jakkolwiek bądź, przypuszczenia profesora Chodźki mają za sobą tę niezbitą pewność, że imię Jana III, jako zwycięzcy Turków, przechowało się w pieśniach wszystkich niemal ludów słowiańskich. W zbiorze oto Kollara, znajdujemy taką piosenkę o naszym bohaterze:

Poczekajmy chłopcy,  
Niech przyjdzie Sobieski,  
Niech przyjdzie Sobieski  
Przez te góry Szląskie (*bis*),  
Z poza Babięj góry (*bis*),  
Na bułanym koniu,  
Ze złotą uzdeczką.  
Na pomoc huzarom (*bis*),  
Wiedniu, cesarzowi;  
Ten będzie wojował  
Naprzeciw Turkowi.

Silniej jeszcze tryumfy króla Jana odbiły się w pamięci ludu serbskiego. Każdy do dziś dnia Serb zna i powtarza dwuwiersz, odnoszący się do tych czasów.

*Kak Katana potere Tatara,  
Iz pod Becza sva zemla zajecze.  
Kiedy Polak starł Tatara,  
Z pod Wiednia cała ziemia jęknęła.*

Znany uczony serbski p. Bogisicz, przygotował do druku w Zagrzebiu nowe dzieło, dotyczące Słowian południowych, p. t.: *Stare pieśni serbskiego ludu*. Z tej publikacyi autor łaskawie nam udzielił poławę pieśni o królu Janie. Załączamy w przekładzie ten ustęp:

Okrutna żmija, łupu niesyta  
Spojrzy w kraj Włochów, w zęby zazgrzyta;  
Na orła kosym popatrzy wzrokiem,  
Co strzeże Niemiec skrzydłem szerokiém.  
A ptak oczyma rzuci dokoła,  
Z łodów Północy wezwie sokoła:  
— „Bracie sokole, pośpiesz co żywo,  
Żmija me gniazdo oplotła sroga;  
Pomóż gadzinę zgładzić straszliwą:  
Bracie sokole, ratuj na Boga!

Tą żmiją Mahmud, on śmiało kroczy  
Ku Dunajowi z Osmany swemi;  
W Rzym choiwe łupu zanurzył oczy,  
W pyszną stolicę łacińskiej ziemi.

Zezem też patrzy żmija obrzydła  
W orła, co jasne rozpostarł skrzydła,  
Z poza szerokich Niemiec obszarów;  
Tym orłem książę z Rakuszan domu,  
Odzian w purpurę sławnych Cezarów.

Lica mu pokrył rumieniec sromu,  
Poradzić z gadem nie w jego mocy;  
Wyprawia gońca w lody Północy,  
Gdzie siadł na gnieździe sokół wspaniały,  
Król Jan Sobieski, mąż wielkiej chwały.  
W obronę wiary przy krzyża znaku  
Polski Hospodyn z narodem stanie.

Cesarz list pisze:

„Szlachetny ptaku!  
Przyleć czempredźej, mój królu Janiel  
Złośliwa żmija w kręgi oplata  
Gród mój wiedeński sławny u świata;  
Sultan poprzysiągł zuchwałą mową,  
Mnie z dziedzicznego wypędzić kraju,  
I pyszne ozoło tu przy Dunaju  
Zwieńczyć koroną swą turbanową.



Sto dziewięćdziesiąt tysięcy ludu,  
 W zawarte grodu kołaczce brony;  
 Aby im sprostać, potrzeba cudu:  
 Straszny ich wodzem czart poturozony,  
 Kara Mustafa! Jego to radzie  
 Powolny sultan przywiódł te chmary,  
 By Tekelego popierać w zdradzie.

Polski mocarz! obrońco wiary!  
 Z bezdennéj toni wyrwij mnie, panie,  
 Zaczem gadzina straszna uderzy,  
 Za twoją sprawą niechaj poganie  
 Siłę krzyżowych znajdą szermierzy!“

Goniec przed tronem staje w Krakowie,  
 Hospodyn pismo podjął mu z dłoni;  
 Uważnie czyta słowo po słowie,  
 Milczy i tylko ciche łyż roni;  
 A potem rękę poniósł do czoła  
 I szczerozłotéj dotknął korony;  
 Drugą pochwycił miecz zawieszony  
 Na biodrze swoim, i w głos zawoła:  
 „Niech mi odetną królewską głowę,  
 Niech mi ją strąci ostrze téj stali,  
 Jeśli za Imię dziś Chrystusowe,  
 Nędzne się serce krwi swéj pozali”  
 Skoczył i zastęp wnet gotów cały:  
 Złociste trąby hasła zabrzmiały....

W dalszym ciągu, poeta opiewa zwycięstwo króla Jana pod Wiedniem. Nie znamy wcale téj części. Pan Bogisic uważał za właściwe, aby poemacik zachował cały urok nowości — w dziele, które wyjdzie niebawem z druku.

Wystawa obrazów i rzeźb, otwarta od początku maja na Polach Elizejskich, pociąga tłumnie chciwą wrażeń publiczność paryżką. Zwiedziliśmy ją kilkakrotnie, ale z powodu wielkich jéj rozmiarów, niepodobna nam dotąd pisać o niéj z całą sumiennoscią, jaką nakazuje poszanowanie sztuki. A któż ją dziś szanuje? mógłby nas kto zapytać. Czy ją uszanowali ci wszyscy artyści w liczbie 4,600, którzy zapełnili trzydzieści sal, oszklony ogród i cztery galerie, utworami swego dłuta, ryłca i pędzla? Czyż uszanowali sztukę sędziowie przysięgli, którzy powodowani rozmaitemi względami, przyjęli niejedno coby należało wyłączyć? Alboż szanuje sztukę ta bezmyślna publiczność, która pomija obojętnie, pełne wyższego ideału religijne lub historyczne sceny, a tłumnie otacza to wszystko, co bije w oczy efektem i realistyczną, choćby bezecną prawdą? Czyż wreszcie szanują sztukę te setki spr-

wozdawców dziennikarskich, co śpią jak z procy panegiryki lub paszkwile, w miarę stopnia przyjaźni lub interesu, a szczególnie stronniczego uprzedzenia, jakie ich łączy z tym albo owym malarzem i rzeźbiarzem? — Co do nas, nie mamy najmniejszej pretensyi do nieomylnego sądu w rzeczach sztuki, ale miłujemy ją szczerze, a do tego, nie stojąc przy żadnej politycznej chorągwi, z téj strony przynajmniej zachowaliśmy niepodległość.

Zostawiamy do przyszłego miesiąca sprawozdanie z tegorocznego salonu; dziś postanowiliśmy tylko powiedzieć kilka słów o polskich artystach, którzy wzięli udział w wystawie. Spotykamy tu prace ośmnastu malarzy, czterech rzeźbiarzy i sześciu akwarelistek: liczba to mniejsza cokolwiek niż w roku zeszłym. Pan Matejko, odkąd zajął miejsce Kaulbacha w paryzkiej akademii sztuk pięknych, nie wzbogacił niczem tutejszego salonu; zachowuje się zapewne na wielką przyszłoroczną wystawę. Panowie: Rodakowski, Gerson, Suchodolski i Siemiradzki, nie téż nie nadesłali, z tychże samych, jak myślimy, przyczyn. Sztuka polska, reprezentowana przez kilkunastu młodych artystów, miłe jednak sprawia wrażenie. Za polskie utwory powstydić się nie możemy; snąc osobiste względy nie wpłynęły na ich przyjęcie.

Trudno w rzeczy samej docisnąć się do obrazu p. Chełmońskiego, przedstawiającego karczmę polską. Tłumy zatrzymują się przed nim, uderzone wielką samodzielnością tak w pomyśle jak i w wykonaniu. Dla nas ma on jeszcze osobny urok:

Ptacy i ludzie, wszyscy tu swoi:  
Swoje tu brzozy, lipy i sosny,  
I szum potoków, i powiew wiosny.  
Swoje tu śmieci i swoje błoto,  
Swoje tu śniegi — swoje tu lody:  
Swojski pies szczeka u wrót zagrody!

Wyobraźmy sobie *karczmę wiejską*, w całym znaczeniu słowa; nie ową oberżę przy drodze żelaznej lub przy bitym gościńcu, zimną, pretensjonalną, wynarodowioną: ale prostą gospodę z dachem poszywanym snopkami, gdzie lud w niedzielę schodzi się po tygodniowej pracy. Właśnie to wieczór niedzielny: niebo zaszło półmrokiem, na dachu bieleją szczytki marcowego, niestopionego jeszcze śniegu; w szyby uderza płomień buchający z szerokiego komina: kłęby dymu snują się po nad strzechą. Po prawej ręce wzrok wybiega daleko na pola, przecięte krętą drużyną i stojącym przy drodze krzyżem; po lewej ciągną się wieśniacze chaty, oświetlone wewnątrz: studnia z zórawiem rysuje się na tle szarego nieba. Pod karczmą na przyźbie, zasiedli rzędem kmiecie w baranich czapkach, przed nimi stoi z fantazją podżyła i podochocona gosposia w czerwonej chustce: rozpowiada dziwy, połyskując szeregiem białych zębów. Po drugiej stronie pogwarza grupa dziewcząt wiejskich: do jednej zaleca się wesoły parobczak. Za-

wstydzona dziewczeczka zasłoniła oczy fartuchem; druga ucieka, mijając ostrożnie kałużę. Dwu dziadów, z płóciennymi torbami, przybyło spać na nocleg, trzeci ślepy nadciąga drogą, pod przewodnictwem czarnego kundla. Piękny to obraz, naszkicowany z niesłychaną śmiałością. Nie wiemy czy sąd nagrodzi go medalem, ale przekonani jesteśmy, że wytrawni krytycy, którzy w roku zeszłym tak wysoko podnieśli obrazy ukraińskie pana Chełmońskiego, równie wysoko ocenią Karczmę polską.

Pan Henryk Piątkowski, urodzony w Kijowie, uczeń Wagnera i Pilottego, wystąpił z piękną *dziewczyną stepową*, naturalnej wielkości. Daleko, jak zasięgnąć okiem, ciągnie się step bez brzegu i bez końca: trawa w pas, ubarwiona żółtą dziewanną i oczeretem. Dziewczyna ukraińska stoi zanurzona w tej bujnej trawie. Koszulkę ma wyszywaną we wzorki na ramionach, spódniczkę czerwoną w wielkie kwiaty, obcisniętą w stanie szerokim pasem, na szyi korale, na głowie chustkę czerwoną związaną malowniczo. Płowe włosy wybiegają z pod chustki. Ręce jej krzepkie, spracowane, na licu jakaś tęskna zaduma.

Wielki *portret mężczyzny* pana Piątkowskiego, biegle też wymalowany, wybornie oświetlony. Ręce wykonane wprawnym i pewnym siebie pędzlem. W ogóle portrety malarzy naszych zasługują na szczególną uwagę.

Uderzył nas w oczy wielki portret *Ojca Aleksandra*, pięknie wykonany przez pana Mioduszewskiego. Na tle ciemno morderowej draperyi, odbija poważna głowa, z bujnym, siwiejącym już włosiem. Wyraz oblicza łagodny, prawdziwie uświęcony. Lewą rękę oparł kapłan na brewiarzu: trzyma w niej różaniec z medalionem, przy brewiarzu stoi krucyfiks: słabe światło wbiega do celi, przez zakratowane okienko. Obok biegłego bardzo wykonania, portret zaleca się nadzwyczajnym podobieństwem. Artysta umiał oddać nie tylko rysy, ale niemińże ten głęboki spokój duszy, jaki na obliczu zmarłego dziś kapłana, spostrzegali wszyscy, którzy mieli sposobność widywać go na krótki czas przed skonem.

Odnacza się niepospolitym wdziękiem, *portret* pędzla panny Izdory Mikulskiej. Przedstawia on śliczną siedmioletnią dziewczynkę, na tle szkarłatnej draperyi. Ubrana w sukienkę aksamitną koloru śliwkowego, dziewczeczka siedzi na perskim kobiercu; w drobnych rączkach trzyma otwartą książkę z obrazkami. Twarzyczka jej delikatna, przezroczysta; pięknie ją ożywia, wielkie ciemno-błękitne oko. Jasne włoski tworzą nad czołem, jakby złotą aureolę; poniżej spadają w długich puklach na ramiona i plecy sięgając prawie ziemi.

Artystka nasza znalazła śliczny modelik, ale też umiała oddać go z niepospolitym urokiem. W pracy jej tegorocznej uderza nas prawdziwy postęp. Drobne rysy wymodelowane starannie; włoski lekkie, połykujące, oddane rzec można, po mistrzowsku. Różowe rączki i nóżki przebijające z pod przezroczystych pończoszek, pokazują w pannie Mikulskiej uczennicę Chaplina, słynnego z wytwornej karnacyi. Szcze-



góły nawet ubrania, jak kołnierz marynarski koronkowy i także wyłogi u rękawków, oddane z całą dokładnością.

Pan Jan Rozen, rodem z Warszawy, uczeń Pilsa i Gerome'a, wystawił dwa *obrazy z wojen XVII wieku*. Na jednym kilku pancernych biwakuje nocą przy ogniu obozowym. Drugi większych rozmiarów przedstawia scenę z Pamiętników Paska. Niemcy rozsiedli się w gospodzie: czytają pamflet wymierzony przeciw wojsku polskiemu, które ciągnie właśnie na Szweda. W chwili gdy sztydzą w najlepsze, wpada do izby Pasek, w pancerzu stalowym; w rękę trzyma krzywą szablę, na głowie ma rogatywkę białą, z czarnym barankiem, i czapłą kitą. Rzuci się na Niemców, wydziera im z rąk papier. Wszyscy struchleli. Niemka nawet, warząca jadło przy kominie, odbiegła przerażona. Scena pełna życia, koloryt spokojny, postać Paska pięknie rysuje się w profilu.

Pan Gustaw Budkowski z Inflant, wykonał obrazek średnich rozmiarów, lecz nie małej wartości. Wyobraża on rzymskie *Columbarium* ocienione cyprysami; opodal widać błękitną przestrzeń morza. Podeszła matrona rzymska w długiej tunice czarnej, wchodzi do grobowej katakumby, z płonącą lampką w rękę; druga młoda w białej zasłonie trzyma niewielką urnę; przy niej stąpa mały chłopczyk w purpurowej tunice, z wieńcem róż białych ponad czołem. Postać kobiet pełna powagi i religijnego skupienia.

Pan Bakałowicz, którego rodzajowe obrazy taką mają wziętość w Paryżu, obrał w tym roku przedmioty szerokich rozmiarów. Widzimy naprzód *scenę historyczną*, ze smutnej pamięci nocy Bartłomiejowej. Małgorzata de Valois, siostra naszego Henryka, wybiega z łoża obwinęta naprędce draperią złotolitą; rozkazuje wstrzymać się zbirom, przypadającym z bliższej galeryi. U stóp jej kłęczy struchlały przewodzca Hugonotów de Launay, który uciekając przed pogonią, wpadł tajemnie do komnaty królewnej. Lampka rzuca wątpliwe światło. Przez okna galeryi widać pierwsze brzaski przedświt.

Zwraca też uwagę piękny *portret* naturalnej wielkości, zmarłego księgarza Firmin'a Didot, pędzla p. Bakałowicza. Stary archeolog siedzi przed stołem, otoczony stosem odwiecznych rycin i foliów: postać to prawdziwie typowa.

Pan Kazimierz Alchimowicz, uczeń pana Gersona, pięknie oddał *młodego męczennika*, okutego łańcuchem. Czeki na wyrok śmierci. W oczach jego trwoga, słyszy bowiem ryk lwów, tygrysów, zamkniętych tuż obok w żelaznej klatce. Twarz młodziana pełna wyrazu, koloryt ciepły; pół-obnażon, ciało oddane wybornie.

Pan Józef Brandt przysłał dwa płótna nie wielkich rozmiarów. Na jednym widzimy rozpędzony *tabun koni* tatarskich, na drugim *żydowską pocztę* na Podolu. Odkrytą bryczką jedzie żyd, wiezie jakąś tajemną depeszę. Drugi zaczyna biczem trójkę małych, ale rącznych koników. Siwy i kasztan, cwałują spokojnie, kary w pośrodku spina się, jakby przestraszony widokiem dwuramiennego krzyża, czy też wozu

zaprężonego w woły, który wlecze się w przeciwnym kierunku. Tuman kurzawy przysłania i jeźdźców i konie. Po niebie przebiegają drobne chmurki: pełno tu ruchu i barwy często miejscowej.

Inny Warszawianin pan Szyndler, uczeń Cabanela, wystąpił z *Odaliską* i *portretem* mężczyzny: portret wykonany starannie. Nie znając oryginału, można wnosić, że podobny, tyle w rysach wyrazu i życia. Co zaś do Odaliski, trudno nam coś o niej powiedzieć, tak ją pomieszczono wysoko, pomimo niewielkich rozmiarów.

Drugi znów uczeń Cabanela, p. Aleksander Cetner Lwowianin, wykonał obraz bardzo oryginalny co do pomysłu, a nawet co do formy; cały ma kształt wielkiego krzyża, rami odpowiednio wykrojone. Zapełnia go postać niewieścia z szeroko rozpostartemi skrzydły, symbolizująca *Wiarę*. Stoi na kuli ziemskiej, stopami depta wielkiego węża, oburącz trzyma czarny krzyż, wysoko podniesiony w górę. Odziana w białą i błękitną draperyę, postać ta pięknie odbija na złotém tle obrazu. „Na kolana ludy!“ tak artysta zatytułował swoją kompozycyą.

Pan Chlebowski urodzony w Polsce, uczeń Gerome'a, dał na wystawę dwa *wschodnie obrazki*. Jeden wyobraża przedsiónek meczetu w Brusie, drugi smutną scenę haremową. Piękna sułtanka spoczywa pod zasłoną z drogocennych bławatów. Przy łożu śpią dwie skulone sługi; z poblizkiej sali tymczasem wchodzi kilku czarnych niewolników. Pierwszy z nich trzyma sznur jedwabny. Obrazek pełen efektu. Artysta zamiłowany w przedmiotach wschodnich, przebywał czas jakiś nad Bosforem, gdzie się przejął miejscową barwą.

Pan Kazimierz Łukasieński, urodzony we Francyi, obrał francuzki przedmiot: wykonał go wybornie. W rodzajowym obrazie znacznych rozmiarów, przedstawia *gospodynię wiejską wyjeżdżającą na targ do miasteczka*. Wózek na dwu kołach, uprzążony w osiołka, czeka przed progiem chaty. Wieśniaczka w wielkim czepcu i fartuchu czerwonym, ładuje nań kosze pełne cebuli, marchwi i główek kapuścianych; nad tém wszystkiém panuje żółta dynia: koloryt bardzo dobry.

Mamy na wystawie trzy krajobrazy, wykonane pędzlem naszych artystów, lecz pokazujące różne strony Francyi: p. Brochocki z Włocławką przedstawił *Zmierzch wieczorny*, p. Ciesielski *Polankę w lesie Fontainebleau*, p. Artur Gąsowski *Okolicę nad rzeką Charente*. Wszystkie trzy zasługują na uwagę. Z żalem naszym nie spotkaliśmy już w salonie, nadwiślańskich krajobrazów Szermentowskiego, które zdaleka roznosiły woń ojczystej macierzanki.

Wspomniemy tu jeszcze, piękny *portret* mężki pana Kossowicza i wielki *portret pani O.* w całkowitej postawie, pędzla pana Przepiórskiego. Artysta wykonał go z niepospolitym smakiem; umiał uniknąć tych krzykliwych efektów, o które tak się ubiegają dzisiejsi portreciści francuzcy.

Wśród licznych rzeźb, zapełniających ogród oszklony, znaleźliśmy utwory czterech artystów naszych. Wpadła nam odrazu w oczy:

*Dzieweczka opuszczona*, dłuta pana Stanisława Lipińskiego. Z wielkim talentem oddał artysta dramat w sercu wiejskiej dziewczyny. Stoi przy murze kamiennym, snąc ten mur odgrodził ją od szczęścia; smutna też, bardzo smutna: pochyliła głowę; lewą ręką wsparła policzek; prawą podtrzymuje lewy łokieć. Postać cała wyraża głęboki ból, uczucie sieroctwa i osamotnienia. Widok jęj przypominał nam rzewny urok melodyi Szopenowskich, wydartych z piersi ludu. „Oj tam się pochmurzało, z kąd mi świtać miało!“ powtarzaliśmy w dumach ściągając myśl tęsknej nadwiślańskiej dziewoi! Uboga jęj odzież oddana z prostotą, wysoko artystyczną: nóżki bosc i ręce, pięknie wymodelowane. Uważaliśmy jak znawcy zatrzymywali się przed tym utworem i badali go we wszystkich szczegółach.

Inni rzeźbiarze nasi: pp. Godebski, Grabowski, Hegel, wystawili popiersia i medaliony. Zwrócił uwagę naszą portret młodej kobiety p. Grabowskiego, pełen wdzięku i prawdy. Pan Godebski dał na wystawę dwa popiersia marmurowe: jedno starego skrzypka *Vieux temps*, drugie pijanego muzyka; oba wykonane w niepospolity sposób.

Trudno to narzucać artystom przedmioty, a jednak trudniej nam jeszcze przemilczć żal nasz, że taki mistrz nie wystąpił z utworem, godnym talentu swego. Kto umić tak biegle władać dłutem, a do tego, kto tak sympatyczne nosi imię jak pan Godebski, nie mógłżeby w tradycjach domu własnego, znaleźć pobudek do grupy, któraby silniej poruszyła myśli i serca, niż rodzajowe karykatury, choćby najwytworniej wykonane?

W dziale rysunków i akwareli, spotkaliśmy też kilka imion polskich artystów, a szczególnie artystek. Pan Redlich Krakowianin nadesłał wielką rycinę: *Kazanie Skargi*, z obrazu p. Matejki. Inny obraz naszego mistrza, *Posłowie przed Batorym*, znalazł biegłą kopistkę w pani Konstancyi Boulard, która z prawdziwym talentem odtworzyła go na fajansie. Panna Krystyna Prusinowska wystawiła dwie porcelany: śliczną głowę murzyna i bardzo ładny bukiet. Obie prace tęg młodziuchnej panienki, wróżą jęj piękną przyszłość w zawodzie artystycznym. Pani Przepiórska wykazała pełną życia akwarelę: chłopczyka z tamburynem, uwieńczonego w kwiaty. Panna Płużańska zimowy krajobraz; pani Amplewska miniaturę dziecka; panna Stryjeńska małeńką ale wytworną emalią: *hold Trzech króli w stajence Betleemskiej*.

Wszystkie działy sztuki znalazły w artystach naszych, godnych przedstawicieli. Różnostronne a sumienne ich prace świadczą, że sztuka nie upada bynajmniej w kraju naszym.

Jesteśmy w tęg chwili świadkami dziwnego zjawiska, w kraju szcycącym się wielką rewolucyą i bezwzględną wolnością, jaka z nięg wypłynęła. Rzecz tęg dziwniejsza, iż zjawisko to nastąpiło w czasie, kiedy rząd republikański jest prawdziwym rządem we Francyi. Mówimy tu o nowém rozporządzeniu, zabraniającém kobietom wstępu na lekcye w Sorbonie, bez wyłączenia tych nawet, które otrzymały od władz



szczególne upoważnienia. Władze nie dają przyczyny takiego *ostracyzmu*, ale ponieważ zakaz ogłoszony był w tym samym dekreście, który ogranicza liczbę słuchaczy męskich na kursie profesora Saint René Taillandier, wnosić wypada, że oba postanowienia mają ten sam powód. Wiadomo, że kurs p. Taillandier, potępieniem Dantona i Robespiera, stał się przyczyną burzliwych manifestacyi; nie słyszeliśmy jednak, aby kobiety przyjęły w tém jakikolwiek bądź udział. Padłyżby one ofiarą tego uprzedzenia, które w Paryżu wszelki nieporządek społeczny przypisuje kobiecie? *Cherchez la femme* stało się tu przysłowiem. Tę niedorzeczną formułę wynalazł jakiś komisarz policyi paryżkiej i wszyscy ją bezmyślnie powtarzają. Spodziewamy się dla honoru republiki, że ów ostracyzm kobiet, zostanie wkrótce odwołany. Rzecz i to godna uwagi, iż owe burzliwe manifestacye spotkały profesora, znanego z bardzo literalnych przekonań, należącego do redakcyi *Debatów* i *Revue de deux mondes!*

Ledwie żeśmy to napisali, a oto wpada nam w rękę dziennik oznajmiający pierwsze wystąpienie na katedrze pana Taillandier, po przerwie tygodniowej. Mimo formalności ograniczających liczbę słuchaczy, obszerna sala była napełnioną.

„Panowie! — rzekł profesor — wielka to radość dla mnie, że znajduję się znowu wobec mego audytoryum, ale zarazem wielka boleść, że skutkiem nietolerancyi pewnego stronnictwa, muszę rozpocząć wykład, pod strażą władz utrzymujących porządek!

„Od lat dwudziestu siedmiu, jak zajmuję katedrę, nie potrzebo wałem nigdy innej opieki, nad tę, jaką dawał mi szacunek i sympatya słuchaczy moich.“

Następnie profesor wypowiada jasno, z jakiego stanowiska patrzy na wielką rewolucyą.

„Prawidłem postępowania mego, mówi on, było szukać prawdy i głosić ją otwarcie. Taką drogę wytknął mi Villemain, czcigodny mój poprzednik. On przekazał mi trudne i mozolne zadanie; polecił mi skreślić tę zaciętą walkę idei, która cechuje koniec XVIII wieku, jak niemniej pokazać odrodzenie filozofii, literatury, historyi i poezyi, oznaczające początek XIX wieku.

„Przekonania moje znane wszystkim. Wierzę, iż rewolucya 89 roku, w pierwszym porywie swoim, była pomimo błędów, zbawienną, konieczną, dobroczynną.

„Ale wyznaję także, iż jestem chrześcianinem. Wierzę, iż Chrześcianizm powinien być uznany jako prawda prawd, a Bóg jako Święty nad Świętymi.

„Wielki to błąd mniemać, jakoby Chrześcianizm i postęp 89 roku nie mogły istnieć razem. Gdziekolwiek spotykam ten błąd, walczę przeciwko niemu.

„Gdybym nie miał ani doktryny, ani silnego przekonania, oh! wtedy nie obraziłbym nikogo! Ale wówczas mógłżebyem oddać jakąś-kolwiek usługę?

„Nigdy społeczeństwo nowożytne nie wróci do dawnego porządku rzeczy, ale też nigdy nie obejdzie się bez Chrześcijaństwa, bądź cobądź połączy się z niem ostatecznie. Jak to połączenie nastąpi, nie wiem, nastąpić jednak musi, wszystko bowiem cokolwiek jest dobrém, uczciwém, trwałem w nowożytném społeczeństwie, wszystko to wyrosło z Chrześcijaństwa!“

Grzmot oklasków odpowiedział na te słowa. Między słuchaczami był cesarz brazylijski.

Dowiadujemy się, że p. Maryusz Topin zbiera materyały do historii Jana Kazimierza. Nie wiemy na jak obszerną skalę, autor zamierza wykonać swoje dzieło; to jednak pewno, że w archiwach francuzkich mogą się znaleźć nowe, nietknięte jeszcze materyały, dotyczące tych czasów. Jan Kazimierz, jak wiadomo, nieobcym był w Paryżu; za młodu poznał kraty zamku Winceńskiego, w późnych latach, złamany długoletniemi trudy, znalazł wytechnienie w opactwie St. Germain, gdzie wspaniały grobowiec uwiecznił jego pamięć. Dworzec nawet przy ulicy de l'Abbey, w którym mieszkał, należy do małej liczby pomników, ocalonych w tylekroć przebudowaném mieście. Słowem, postać króla tułacza spopularyzowała się we Francyi, do czego związki z księżniczką Gonzagą, niemało się zapewne przyczyniły.

Maryusz Topin, jakkolwiek dosyć młody, (urodzony w r. 1836), od dwudziestu blisko lat dał się już poznać na polu literatury, mianowicie historii. *Monografią kardynała Retz*, zjednał sobie konkursową nagrodę w Akademii Francuzkiej, w r. 1863; w kilka lat później otrzymał znów nagrodę fundacyi Thiersa, za historyczne dzieło: *Europa i Burboni, za czasów Ludwika XIV*. W roku zeszłym Akademia uwieńczyła ostatnią jego pracę pod tytułem *Ludwik XIII i Richelieu*. Oprócz tego, wydał obszerne studyum o tajemniczej postaci z epoki Ludwika XIV, zwanéj pospolicie *Masque de Fer*. Dzieło to powszechny znalazło rozgłos, a co więcej, tłumaczone było na kilka europejskich języków.

Same tytuły powyższych prac świadczą, że p. Topin wziął głównie za cel badań swoich, wiek XVII. Rozpatrując dzieje tój epoki, nieraz zapewne napotkał w archiwach imię Jana Kazimierza, co go zachęciło do bliższego poznania niepospolitej osobistości. Cieszymy się podwójnie zapowiedzianą pracą: raz że może nowemi dowodami, i nowym na rzeczy poglądem, wzbogacić ważną kartę naszej historii; powtóre, że pozwoli spojrzeć głębiej cudzoziemcom w naszą przeszłość mało im znaną. Gdyby p. Deroulède, autor *Hetmana*, miał jakiegokolwiek pojęcie o historii naszej tych czasów, nie byłby uległ namowom stronnictwa, które opiera politykę dzisiejszą, na podeptaniu tradycyi uświęconej wiekami.

Zajął tu powszechnie uwagę dzieło p. Elstein: *Atzacya i Lotaryngia pod panowaniem niemieckim*. Jest to kronika spisywana z dnia na dzień w ciągu lat pięciu od czasu aneksyi. Znajdujemy tu mnó-

stwo szczegółów opowiedzianych po prostu, bez przesady, przez naoczno-go świadka. Autor zatrzymuje się po różnych miastach i miasteczkach, nie pomija nawet zagród wiejskich. Z szczególnym zajęciem mówi o ludności miasta Metz, tak francuzkiej ze krwi i ducha. Tu, z wysokiej wieży kościoła katedralnego, przez lat kilka powiewał trojkolorowy sztandar; pomimo usilnych zabiegów władzy miejskiej, i obiecanej nagrody stu talarów, żaden robotnik nie chciał ściągnąć go z miejsca, tłumacząc się zbytnią wysokością i niebezpiecznym dostępem.

Autor między innymi, cytuje dziwne obwieszczenie pocztowe. Zarząd w bardzo naiwny sposób, upomina publiczność aby nie zamykała listów zbyt hermetycznie, gdyż to utrudza otwieranie ich osobom, które je odbierają!

W duchowieństwie katolickim pokazuje autor najcelniejszą podporę tradycji francuzkiej. Pomędzy protestantami, a szczególnie między wolnomyślnymi, propaganda pruska najwięcej znalazła zwolenników. Pozamykano też wszystkie zakłady naukowe, zostające pod kierunkiem duchownych.

W Strasburgu liczba autonomistów wzrosła w ostatnich czasach. Głównym tego powodem napływ obcej ludności, z rozmaitych stron Niemiec, której służy prawo głosowania.

Przeciwno tym objawom autonomistycznym, autor stawia wymowne cyfry. W r. 1875, w przyłączonej Lotaryngii, na 8928 popisowych, władze niemieckie zdołały tylko wziąć 1261 rekrutów; reszta rozbiegła się w różne strony!

Pod tytułem *Plutarch dla wojska francuzkiego*, dr. Tarnier wydał nadzwyczaj pożyteczne dzieło: są to krótkie zyciorysy najpopularniejszych bohaterów narodowych. Szereg tych imion drogich Francji, rozpoczynają dwie postacie niewieście: św. Genowefa pasterka z Nanterre, która oddaliła cudem hordy Attyli od Paryża, i Joanna d'Arc, która wydarła kraj Anglikom. Obok imion Duguesclina, Bajarda, Turenusza, Jana Bart, Maurycyego Saskiego, spotykamy imiona skromniejszych bohaterów, wydobyte z prochu niepamięci. Autor wspomina prostego kmiecia Grand-Ferrè, który stanąwszy na czele swój gromady, nie dopuścił nieprzyjaciela do wsi Longueil; daje poznać dzielnego Ringois, z Abbeville, który wolał rzucić się w morze, niż przysiądź wierność Anglikom. Ostatnia wojna 1870—1871 r. pomimo krwawych klęsk, dostarczyła nie mało wątku do tych prostych a rzewnych opowieści.

Wyliczywszy piękne czyny współczesnych, autor odzywa się z uczuciem do przewodników dziatwy wiejskiej. „Nie potrzeba wam, mówi, wychodzić za obręb wioski waszćj; prowadźcie dziatwę do kamiennych pomników, zbudowanych na cześć tylu poległych ofiar; czytajcie wyrte na nich imiona; tłumaczcie co znaczą te pamiątkowe słupy: niech grób mówi przez usta waszel”

Z pomędzy wielu charakterystycznych rysów, powtórzmy tu jeden. Autor opisuje ostatnie chwile kapitana de l'Epina y St. Luc,



z pułku *mobli'ów* nadloarskich. Granat przestrzelił mu pierś; nie było żadnego ratunku. Jako żołnierz spełnił powinność, jako Francuz zapłacił dług ojczyźnie, jako chrześcjanin, pragnął jeszcze skończyć dni w zgodzie z Bogiem. Zwołuje więc mobilów. „Dzieci moje! — wyrzeczcie — uczyłem was jak walczyć, niechże was nauczę jak umiera prawdziwi chrześcjanin.

— Prezentować broń! na kolana! — zawołał silnym głosem — w chwili gdy kapłan zbliżał mu do ust wiatyk. Przyjąwszy go ze skruchoą, zwraca się znowu do żołnierzy.

— Żegnajcie mi! a teraz, naprzód: do ataku!..

I skonał w téjże chwili.

Pan Tarnier nie przepomniał w obrazach swoich, lekarzy i kapełanów, którzy dawali w czasie wojny najszczytniejsze dowody poświęcenia. Wśród innych wspomina siostrę Klarę, ugodzoną śmiertelnie pod Resonville.

W teatrach paryzkich po długiej stagnacyi, mieliśmy w tym miesiącu taki nawał dramatów, wodewilów i oper, że mówić razem o wszystkich niepodobna. Dramat *Jan Dacier* młodego poety, p. Karola Lomon, zachwyca dzisiaj cały Paryż. Powiemy o nim w przyszłej kronice, jak wyjdzie z druku książka, bez której nie moglibyśmy dać tłumaczonych ustępów. Miłośnicy muzyki niemieckiej zadowoleni z lirycznego dramatu *Cinq Mars*, kompozycyi Gounoda. Obok znanego mistrza, dwu młodych kompozytorów wystąpiło z utworami niepospolitej wartości; p. Massenet uczeń szkoły rzymskiej, wystawił *Króla Lahory*, pyszną operę, która zapewniła pannie Reszke najświetniejszy tryumf. Inny uczeń téjże szkoły p. Salvayre, dwudziestokilkoletni młodzian wystąpił znów w teatrze lirycznym z wielką operą *Bravo*. Mówiliśmy już w roku zeszłym, o wspaniałej symfonii tego młodego kompozytora, *Dolinie Józefatowej*, którą zwrócił na siebie uwagę znawców. Nadzieje położone w nim spełniły się, przy pierwszym wystąpieniu z utworem dramatycznym na wielką skalę. Głos powszechny przyznaje mu w *Bravo*, nie tylko siłę i wdzięk, ale co więcej oryginalność, o którą tak dziś trudno na każdym polu sztuki.

Pan Salvayre szczęśliwym trafem, przy pierwszej próbie, otrzymał znakomite i prawdziwie dramatyczne libretto, utworu pana Blavet. Oto treść pięknego poematu.

Rzecz dzieje się w Wenecyi, w wieku XV-tym. Jacopo syn ubożego rybaka, wykołytany dzieckiem na falach Adryatyku, przeżył najszcześliwiej pierwsze lata życia, przy ojcu i ukochanej siostrze. Gdy wyrosł, powołany do służby wojskowej, walczył przeciwko Turkom, pod sztandarem S-go Marka. Po zwycięztwie wraca do domu. Okrzyk tryumfalny rozlega się po mieście, ale w domku rybaka pusto i głucho. Jeden z patrycyuszów skrzywdził nikczemnie młodą siostrę Jacopa; nieszczęśliwa umarła ze wstydu i rozpaczcy. Ojciec w szalonym gniewie, ugodził sztyletem nikczemnika: oskarżony przed radą

dziesięciu, wtrącony do więzienia, oczekuje na wyrok. W takiej to chwili, przybywa Jacopo. Biedny nie traci czasu na łyż; biegnie do sędziów, wzywa litości: niestety, na próżno.... Serca ich zimne, nie prześlągane, i istne skały. Jeden z nich patrycyusz Tiepolo, daje mu sposób ocalenia.

— Zprzedaj nam—rzecz—twoje ramię i duszę twoją!

Jacopo przyjmuje układ. Stary ojciec nie umrze, jeśli nazwiemy życiem wieczne więzienie pod ołowianym dachem. On sam, nieszczęśliwy młodzian stanie się celem wzdargy i nienawiści. Miasto całe wytykać go będzie palcem, nazwie go *Bravo!* Jako ślepe narzędzie rzeczypospolitej, dniem i nocą, ze sztyletem w rękę, czyhać ma na ofiary, uderzać milczkiem, skrycie!... W czarnym płaszczu, z czarną maską, na twarzy zostanie postrachem, piekielną zmorą miasta!

Wielcy i mali drżą przed nim; lud rzuca nań przekleństwa. Chleb który jé, gorzki jak piołun; powietrze którym oddycha, zatrute nienawiścią. Jacopo znosi to wszystko ze spokojnem poddaniem; skarga nie wybieży z jego ust: cierpi dla ojca, ta myśl dodaje mu siły i wytrwałości.

Tymczasem umiera Tiepolo; zostaje po nim jedyna córka Violetta. Z wyroku Rady dziesięciu, opiekunem jéj zamianowany Contarini, ten sam nikczemny patrycyusz, który przywiódł do zguby rodzinę Jacopa. Sztylet starego rybaka, zaledwie że go drasnął. Contarini postanawia zaślubić bogatą wychowanke, ale Violetta kocha młodego Lorenza z Montfort. Rzeczpospolita ze swéj strony, aby nie wypuścić z rąk wielkich skarbów Tiepola, postanawia zamknąć dziedziczkę za kratą klasztorną. Bravo wykonawca tajemnych wyroków, porywa Violette w tym celu, pozwała jednak pożegnać się z Lorenzem po raz ostatni. Onby pragnął ułatwić ucieczkę młodej parze, lecz tego nie uczyni: gdyby uległ, spadłaby głowa ojca!

W ostatnim akcie Violetta ma wykonać zakonne śluby. Modli się w kaplicy klasztornej. Żal jéj dziecięcych snów i jasnych warkoczy, które obetną jéj za chwilę, a najbardziej żal młodego Lorenza, którego nigdy już nie zobaczy! Gdy się modli, z daleka słyhać łoskot, nagle pęka więzienna krata: wpada Jacopo na czele zbirów, nadbiega i Lorenzo: gondola czeka u brzegu. Biedny Jacopo nie ogląda się na nic... Stary ojciec już umarł!.. Mają uciekać, gdy we drzwiach ukazuje się Contarini! I oto przed oczyma patrycyusza staje nieprześlągany mściciel.. Jacopo zdziera maskę, rzuca ją w twarz nikczemnikowi... Szczękły miecze, Contarini upada z piersią na wskroś przebitą. Lud wbiega całym tłumem.

— Gdzie morderca? — pytają setki głosów.

— Nie ma tu mordercy, jest tylko wykonawca sprawiedliwości! — odrzeczze zimno Bravo, ukazując na piersiach znaną pieczęć.

Lud ustępuje z poszanowaniem. Jacopo uprowadza młodą parę, gondola zanosí ich na pełne morze; ztamtąd popłyną ku brzegom Kalabrii.

Kompozytor umiał skorzystać z tylu sytuacji prawdziwie dramatycznych. Zaczawszy od uwertury do chórów, duetów i pojedynczych aryj, wszystko tu piękne, harmonijne — oryginalne.

Pyszna wystawa dopełnia uroku. W pierwszym akcie widzimy wielki kanał i wspaniałe rzędy maurytańskich pałaców, i malownicze gondole u brzegu. Trzeci akt przechodzi wszystkie niesłychanym przepychem. Tłumy ludu w strojach różnobarwnych napełniają piazzę. Wspaniałe orszak patrycyuszów, błyszczący złotem i purpurą, przeciąga z wolna ku lagunom. Na falach ukazuje się sławny Bucentaur... Doża zaślubia Adryatyk.

Poważna krytyka podniosła wysoko operę p. Salvayre — ale pseudo krytycy, których niebrak w Paryżu jak i wszędzie, dalejże wyszukiwać stron ujemnych. Jedni utrzymują, że młody kompozytor unosi się zbyt znacznie, *à la Verdi*; drudzy, że nadto rozmarzony, *à la Gounod*; ci znów, że w weselszych scenach, zartuje *à la Auber*; tamci, że *Majerberyzuje*, kiedy dramat wymaga siły. Zwolennicy *Wagneryzmu* krzyczą na włoską barwę kompozycji, jak gdyby rzecz nie działa się pod włoskim niebem. Włochomani przeciwnie, zowią Salvayra *Wagnerystą*. Ogół tymczasem przyklaskuje gorąco, i wita z zapałem nową gwiazdę, wschodzącą na muzycznym widnokręgu.

Powiedzmy jeszcze o lirycznym dramacie Gounoda, p. t.: *Cinq-Mars*, którym Opera komiczna wzbogaciła w tych czasach swój repertuar. Libretto ułożyli pp. Poisson i Gallet. Przedmiot wzięty ze znanego powszechnie romansu Alfreda de Vigny. Główną w nim rolę kobiecą odgrywa królowa nasza Marya Ludwika, wówczas młoda księżniczka de Nevers. Smutny to ustęp z pamiętnych walk możnowładzców francuzkich, przeciw kardynałowi Richelieu, wielkiemu centralizatorowi, pod którego mieczem padło tyle ofiar, poświęconych dla jedności państwa francuzkiego!

Akt pierwszy w zamku marszałkowej Effiat. Syn jój, młody Cinq-Mars, wybiera się na dwór królewski. Otrzymał właśnie urząd. Ojciec Józef, powiernik Richelieugo, przybył do zamku, i w imieniu kardynała, powołuje młodzieńca do Perpignan, gdzie go czeka Ludwik XIII. Spełnia on inne jeszcze polecenie. Oświadcza, jako Marya Gonzaga, która przebywa w domu marszałkowej, ma niezwłocznie udać się do Paryża. Czekają tam na nią posłowie Władysława króla polskiego. Wiadomość ta uderza piorunem dwa młode serca, i odkrywa tlejącą w nich miłość, nieświadomą jeszcze siebie samęj.

Cinq-Mars wyjedzie niebawem z przyjacielem de Thou. Smutna wróżba zapowiada im nieszczęście.

— Znasz zapewne — rzecze Cinq-Mars — przesąd upowszechniony w kraju naszym. Kto otworzy mszał ostrzem szpady, znajdzie na lewej stronie wróżbę przyszłych swych losów!



I wydobywa oręż z pochwy, rozmyka leżącą na stole księgę. Na lewej stronnicy zapisana śmierć dwu młodych przyjaciół, Gerwazego i Protazego, umęczonych w Medyolanie.

Rzekł wielki kapłan: „uczujcie bogi!“  
 Lud patrzy na nich, oniemiał z trwogi:  
 Obu otoczył blask z poza świata!  
 A młodszy słodko rzecze do brata:  
 — „Niech głowa moja pierwsza się stoczy,  
 Niechże nie widzę twój krwi na oczym!“  
 — „Tak, jam silniejszy, — powie Gerwazy, —  
 Niechże, mój bracie, umrę po tobie!“  
 Kat ostrym mieczem błysnął dwa razy,  
 Głowy ich w jednym spoczęły grobie.

Cinq-Mars żegna Maryą, poprzysięga jej wieczną miłość; odbiera wzajemne przyrzeczenie.

Drugi akt rozpoczyna się w zamku królewskim w St. Germain. Cinq-Mars, ulubieniec króla, zaszczycony godnością wielkiego koniuszego, celem jest hołdów całego dworu; wszystkie głowy chylą się przed nim. Akt kończy się baletem w pałacu Marion Delorme. Symboliczny orszak wiedzie Amyntę do Świątyni Miłości. Bal służy tylko za pozór do ukrycia zamachu. Panowie francuzcy nie myślą spiskować przeciw królowi; poprzysięgają raczej oswobodzić tron od przemocy kardynała. Cinq-Mars duszą jest spisku, de Thou działa z nim razem.

Następny akt przenosi nas w głąb lasu. Z daleka dobiegają dźwięki pieśni myśliwskiej. Król z dworem zabawia się łowami; towarzyszą mu panowie polscy. W miejscu ustronném widać ukrytą w pośród drzew kapliczkę. Tu czekają spiskowi. Wobec nich Marya z Cinq-Marsem zamieniają pierścionki u stóp ołtarza. Marya przybywa pierwsza; zatrzymuje się w progu. Z innej strony nadbiega Cinq-Mars... Wchodzą do kaplicy... w tejże chwili, z pośród zarośli wychyla głowę Ojciec Józef. Ukryty w gęstwinie wszystko widział i słyszał. Chowa się znowu, aż gdy spiskowi wyszli z kaplicy i sama tylko pozostała w niej Marya, idzie do niej, napotyka ją w progu.

— Wiem wszystko! — rzecze — Cinq-Mars zgubiony! W rękę twoją pani, jego śmierć albo życie. Wyrzecz się tych związków, oddaj rękę królowi polskiemu, a głowa Cinq-Marsa ocalona.

Łowcy tymczasem nadciągają; pieśń myśliwców brzmi coraz bliżej. Ukazuje się wreszcie król, otoczony dworem. Panowie polscy w malowniczych deliach, błyszczą wpośród orszaku. Ojciec Józef prowadzi do króla, napół omdlała Marya. Król przywołuje postów.

— Nakłońcie głowy — rzecze — oto wasza królowa!

Dramat rozwiązuje się w Lionie, w krążgankach zamku Encise. Tu Cinq-Mars i de Thou uwięzieni z rozkazu kardynała, oczekują na spełnienie wyroku. Noc... Marya przybiega potajemnie.

— Wolni jesteście! — woła — gdy brzask zaświta, łódź przybije do brzegu; strażę przekupione. Za chwilę, będziemy ztąd daleko.

Niestety! brzask zaświtał i w téjże chwili zaskrzypiały rygle żelazne. Urzędnicy sądowi napełniają krążganek. Marya uchodzi; Cinq-Mars i de Thou, rzucają się w objęcia.

*De Thou.*

O przyjacielu! Pamiętaj o tobie  
One prorocze w księdze wyrazi?

*Cinq-Mars.*

Kat ostrym mieczem błysnął dwa razy.

*De Thou.*

Głowy ich w jednym spoczęły grobie!

I obaj trzymając się za ręce, idą powoli w głąb krążganek, otoczeni orszakami sędziów i pachołków sądowych. Z bocznych drzwi wybiega ku nim Marya. Ojciec Józef zastępuje jej drogę, Marya pada bez zmysłów.

Partycya Cinq-Marsa, według uznania pierwszych krytyków, nie ma wcale charakteru dorywczej improwizacji, mimo że Gounod rozpoczął ją w tym roku i wykonał wciągu kilku tygodni. Miał on jak wiadać oddawna przygotować motywa, z których ułożył mistrzowską całość. Obsypano szczególnie oklaskami, scenę prorocstwa, pożegnanie Maryi z Cinq-Marsem, chór sprzysiężonych u Marion Delorme, chór łowców w lesie St. Germain, a szczególnie pyszny marsz pogrzebowy. Pani Chevrier wywiązała się świetnie z roli Maryi Gonzagi.

Co znaczy praca pojedynczego człowieka, niechaj pokażą statystyczne cyfry, które tu przytoczymy.

Aleksander Dumas (ojciec) przedstawił się na kandydata do izby prawodawczej w roku 1848. W tym celu napisał odezwę do wyborców. „Żądam głosów waszych, oto moje tytuły.

„Nie licząc sześciu lat szkolnych nauk i jedenastu lat biurokracji, pracowałem przez lat 20, po 9 godzin na dzień, co uczyniło razem 73,000 godzin; przez te dwadzieścia lat napisałem 400 tomów i 35 dramatów.

Te 400 tomów, drukowano w 4,000 egzemplarzach. Sprzedane w przecięciu po pięć franków, uczyniły razem 11,850,600 franków.

Ztąd zecerom 260,000, preserom 528,000, za papier 683,000, za składanie arkuszy 120,000, rysownikom 28,000, księgarzom 2,400,000, agentom księgarskim 1,600,000, komisjonerom 1,600,000, na czytelnie 4,580,000 franków.

Liczmy zarobek dzienny po trzy franki, a że w ciągu roku jest 300 dni roboczych, książki moje przez lat 20, dawały zarobek 692 jednostkom.

Trzydzieści pięć dramatów, odegranych w przecięciu po sto razy uczyniło 6,360,000 franków! Ztąd przypadło dyrektorom 1,400,000 aktorom 1,250,000, dekoratorom 210,000, za kostyумы 149,000, za wynajęcie sal 700,000, śpiewakom 60,000, muzykom 157,000, procent dla ubogich 630,000, afiszerm 80,000, komparsom 350,000, straży ogniowej 70,000, opał 70,000, olej 525,000, krawcom 50,000, zamiataczom 10,000, towarzystwu ogniowemu 60,000, kontroli i służbie 140,000, maszynistom 180,000, fryzyerom 93,000.

Z dramatów moich żyło przez lat 10 w Paryżu osób . . .	347
Przypuściwszy trzy razy tyle w miasteczkach prowincjonalnych .	1,041
Dodajmy lożmajsterki, klakerów i fiakrzystów . . . . .	70
	1,458

Nie liczę w to belgijskich przedruków i zagranicznych tłumaczeń  
*Aleksander Dumas.*

Pamiętajmy, że Dumas po téj odezwie pracował bez przerwy lat 22, od roku 1848 do 1870!

N I E Z N A N E  
PAMIĄTKI HISTORYCZNE NIEKTÓRYCH KOŚCIOŁÓW  
POWIATU OLKUSKIEGO.

ZEBRANE PRZEZ

*ks. Wł. Siarkowskiego.*

Józef M. Wiślicki, w staranném dziele *Opis Królestwa Polskiego* w t. I (Warszawa, 1850 r.), podał ciekawe wiadomości o niektórych świątyniach w powiecie olkuskim, również o pamiątkach w tychże przechowanych; gdy jednak w rzeczonym opisie, jak również i w innych dziełach <sup>1)</sup>, nie zdarzyło mi się napotkać wzmianki o pamiątkach

- 1) 1) Biblioteka Warszawska, tom IV, 1852, str. 357—367.
- 2) Górnictwo w Polsce, Hieronima Łabęckiego, 1841.
- 3) Starożytna Polska, Balińskiego.
- 4) Encyklopedia Orgelbranda -- artykuł Olkusz.
- 5) Tygodnik Illustrowany, tom III, 1861 r., N. 74.
- 6) Podróże historyczne, J. U. Niemcewicza, Petersburg, 1858 r.



przezemnie odkrytych, w czasie ostatniej wędrówki, w rzeczonym powiecie w ostatnich dniach września 1875 r. odbytej: dla tego sądzę, że wspomnienie o nich, może być dla miłośników rzeczy historycznych ciekawe, a dla turystów, zwiedzających tę przestrzeń ziemi, słynną wspomnieniami historycznymi, bogatą w płody natury, celującą w niektórych punktach pięknnością miejscowości, obfitą w ruiny starożytnych zamków i rozlicznych jaskiń, pożyteczne. Trzydzieści cztery świątyń rozrzuconych po tyluż parafiach w pomienionym powiecie, pod względem jurysdykcji duchownej stanowią jeden z siedmiu dekanatów diecezji kielecko-krakowskiej, w gubernii kieleckiej położonej. Niektóre z tych kościołów początkiem istnienia sięgają zbyt odległych czasów; w szeregu tym pomieszczymy następujące świątynie: w Chlinię z 1090 r.; w Imbramowicach klasztor panien Norbertanek 1223 r. przez Iwonę Odrowąża, kanclerza Leszka Białego i biskupa krakowskiego; w Gołaczowach przez tegoż 1225; w Gieble z 1314 i Saspowie, Sieciechowicach 1312 przez Jana Brandysa; w Jangrocie 1340 przez Jana Grota, biskupa krakowskiego; w Olkuszu 1340 przez Kazimierza Wielkiego; w Kocicach z 1427 przez Piotra Firleja, kawalera maltańskiego; reszta kościołów do XVI, XVII i XVIII wieku początek bytu odnoszą. Wspomnieć też należy o kościółku Św. Stanisława filialnym, z modrzewia wystawionym, do parafii Pilicy należącym, o którym przechowuje się ustne podanie, że zaraz po śmierci pomienionego świętego, na jego cześć przez wiernych wystawiony został. Malutki ten przybytek Pański wznosi się na górze za Pilicą, w stronie wschodnio-południowej.

Z wszystkich świątyń powiatu i razem dekanatu olkuskiego, największe budzi zajęcie kościół farny w Olkuszu, pod tytułem św. Andrzeja apostoła, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego, jak twierdzą, w tym czasie, kiedy ten monarcha po pożarze miasto odnowił i murami opasał. Świątynia ta w stylu gotyckim z piaskowca czerwonego wzniesiona, do najpiękniejszych w kraju przybytków Pańskich liczy się. Oprócz pięknych a starożytnych ołtarzy, licznych nagrobków gwarków olkuskich, opisanych przez Józefa Wiślickiego, pamiętna tém, że Ś. Jan Kanty przy niej przez 8 lat (około 1420—1430) był proboszczem. Rzecz dziwna, że krom wielolicznych podań, krążących w ustach Olkuszan o tym świętym mężu, żadna się tu po nim realna pamiątka nie przechowała. Wprawdzie, przed latami pokazywano w nielicznej bibliotece kościelnej biblią, która była Ś. Jana Kantego własnością; lecz i ten jedyny drogocenny zabytek, przez opieszałość i niedozór jednego z poprzednich proboszczów, uroniono; albowiem zabrał go któryś z bibliofilów, w czasie zwiedzania i oglądania pamiątek olkuskiej świątyni. Tuż obok kościoła istniał niegdyś domek, w którym święty mąż ten jako pasterz parafii olkuskiej przemieszkował; lecz domek ten przez czas tak uległ zniszczeniu, że obecnie niemasz jego śladu. Przy tém mieszkaniu, jeden z tutejszych proboszczów wystawił kaplicę 1738 r., opatrzoną stosownymi napisami, żywot i cuda świętego głoszącemi, którą zrujnowana, świecąca pust-

kowiem, staraniem terazniejszego wikarego w Olkuszu, ks. Franciszka Żakowskiego, ze składek parafian na nowo (1875 r.) odrestaurowano; a miejsce, gdzie się wznosił domek nadmieniony, opasano murem. Wnijscie główne zaopatrzone oddrzwiami marmurowemi <sup>1)</sup>, temi samemi, które zdobiły niegdyś dom św. Kantego. Nad oddrzwiami rzezonemi znajduje się płyta marmurowa z herbem Wszechnicy Jagiellońskiej, a pod nim napis umieszczony, jak to zwyż wspomniałem, przez fundatora kaplicy św. Jana Kantego 1738:

Domus Residentialis  
Divinissimi  
Joannis Cantii  
Quondam loci istius Parochi  
A. D. 1738

Ks. Żakowski do powyższego napisu dodał jeszcze:

Restaurata piis ofertis et labore parochianorum.

Wspomniałem, że w kościele olkuskim znajduje się wiele pięknych nagrobków gwarków tamtejszych, nadto, w skarbcu téj świątyni przechowują się tychże bogate dary, jako to: krzyż wielki szczerosrebrny, cztery stopy wysokości, z kruszcza wydobytego w kopalniach miejscowych; kielichy połączone pięknego wyrobu, z których pierwszy, Jan Motczyński, rajca i gwarek olkuski 1668 r. z żoną swoją Elżbietą, jak świadczy napis na tym sprzęcie, kościołowi Ś. Andrzeja w Olkuszu podarowali; drugi przeslicznej oprawy rozetowej i emaliowanej, przez Baltazara Horlemesa, gwarka, prawdopodobnie około r. 1670 złożony rzeczonemu kościołowi w ofierze. Najciekawszym jednak zabytkiem, dotąd nieznanym, po gwarkach olkuskich, jest laska, której poświęceniu tego zgromadzenia, w czasie obrad, na których czynili uchwały, czyli tak zwane *lauda*, na znak godności swojej, używali. Laska ta wyrobiona z drzewa twardego, prawdopodobnie z gruszy, cała opasana w zygzak, niby wstążką, blachą srebrną, na której wryty napis w wierszach:

„Królowno najjaśniejsza nieba prześwietnego,  
Prawdziwa opiekunko świata upadłego,  
Oświeć twarzą zacności me serce z tronu wysokiego,  
Przez swą najświętszą przyczynę u synaczka najmilszego.  
Ja zaś podnózek lichy tobie poświęcony  
Od nóg twych świętych niech nie będę oddalony.  
Anno Domini 1674.

<sup>1)</sup> Rysunek tych oddrzwi podał Tygodnik Ilustrowany w tomie VI, str. 200, z roku 1862.

Że wiersze pomienione ułożono na cześć Matki Boskiej, z tego okazuje się, iż gwarkowie obrali Ją sobie za patronkę; w nieistniejącym obecnie klasztorным kościele augustyańskim <sup>1)</sup>, górnicy olkusczy mieli bractwo swoje, którego ustawę zawiera przywilej kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego, z r. 1446: *Fraternitas fossorum seu operariorum montium ilcussiensium alias Copaczkije bracthwo*. Przywilej ten uzyskał potwierdzenie Zygmunta I r. 1500. (Kościoły olkuskie, przez Hieronima Łabęckiego, w tomie IV, ogólnego zbioru tom XLVIII Biblioteki Warszawskiej).

Co się dotyczy wiadomości o gwarkach olkuskich, ich stosunków między sobą, nabywania i utracania własności gwareckiej, to rzecz tę dokładnie podaje Hieronim Łabęcki w II tomie dzieła: *Górnictwo w Polsce*, Warszawa, 1841.

Godną także w pomienionej świątyni widzenia jest chrzcielnica ołowiana, z krajowego kruszcu, mająca w otoku napis: *Nisi quis renatus fuerit ex aqua et spiritu sancto non potest introire in regnum Dei*. Chrzcielnica ta jest zabytkiem XVI, a nie XVII wieku, jak podaje *Tygodnik Ilustrowany*, i u góry ma rok wyrażony 1585; zaś na postumencie marmurowym rok 1687 umieszczony i głoski początkowe J. G. oznaczają, że nie sama chrzcielnica, lecz podstawa, przez rajcę i gwarka olkuskiego, Jakóba Gwardzińskiego, sprawioną była.

Oprócz świątyni w Olkuszu, o której nieznanach pamiątkach, lub w dziełach autorów cytowanych pominiętych nadmieniliśmy, a wyliczenie których uważam za dopełnienie do dokładnego opisu „kościół w Olkuszu,” przez Hieronima Łabęckiego w Bibliotece Warszawskiej (tom IV, 1852 r.) umieszczonego; zasługują na uwagę miłośników przeszłości kościoły, w których przechowują się nieznanne dotąd pamiątki. Kościół w Sieciechowicach, założony przez Jana Brandysa, ówczesnego dziedzica, 1312 r., ma w archiwum erekcyą współczesną, na pergaminie napisaną, opatrzoną podpisem fundatora. Wewnątrz kościoła, na ścianie, po lewej stronie od drzwi głównych, wyobrażenia króla Stanisława Poniatowskiego i jego brata, prymasa-arcybiskupa, na blasze malowane, a pod nimi umieszczone wiersze.

Pod portretem samego króla:

D. O. M.

*Pamiętka bytności Księcia Prymasa.*

„Portrecie, z ciebie wieczną tu kładę pamięć,  
Obywatel tutejszy i kto spojrzy na miedź,  
Że tu, w tej wsi, przypadło polskiemu monarsze  
Być gościem. Byli tu z nim i pany najstarsze.

<sup>1)</sup> Kościół ten 1300 r. założony, a 1815 z powodu ruiny rozebrany.



Książd pleban jak szczęśliwy, że w przyjęciu pana  
 Polubion. Z nim jadł obiad, po noclegu, z rana.  
 Sam na sam rozmawia się: pół godziny, chwilę,  
 Pierścień bierze z rąk króla i żegna się mile.  
 (R. P. 1787 dnia miesiąca lipca 18).

Pod portretem arcybiskupa Michała:

Ten arcybiskup książę i polskiej korony  
 Prymas, brat Stanisława Augusta rodzony,  
 Gdy jadąc do Krakowa, kościół tu nawiedza,  
 Uroczyście przyjęty od ludu i księdza  
 Pietrzykowskiego, w tój wsi plebana dziekana,  
 Zabawił się był nieco u tegoż kapłana.  
 Powracając: nocował, mszy słuchoł, a potem  
 Do bractwa miłosierdzia zachęcał i złotem  
 Toż udarował, sam się wpisał na wychodném,  
 Błogosławił lud — ten wdychał za pasterzem godnym.

Z przytoczonych wierszy dowiadujemy się, że król Poniatowski z bratem Michałem, w przejeździe do Krakowa, nawiedził Sieciechowice.

Kościół w Smardzowicach, wsi należącej niegdyś do starostwa niegrodowego Ojcowa, ma obraz słynący łaskami N. Maryi Panny. Tutaj król Stanisław Poniatowski, po powrocie z Krakowa 1787 r., zwiedzając okolice Ojcowa, słuchoł mszy świętj (Z akt kościelnych). Z zabytków malarstwa krajowego, zasługują na uwagę: starożytny obraz na drzewie malowany, na podkładzie krédowym z tłem złocistém 1520 r., wyobrażający św. Katarzynę. Obraz ten jest wielkich rozmiarów, umieszczony na ścianie, po prawj stronie wielkiego ołtarza. Nadto, znajduje się w tym przybytku Pańskim obrazek owalny św. Jana Kantego, malowany przez najznakomitszego malarza polskiego XVIII wieku, Franciszka Smuglewicza.

Kościół w Zadrożu, fundowany 1776 r. przez Klaryski, czyli Franciszkancki krakowskie, godzien wspomnienia z tego względu, że w jego zakrystyi znajduje się szereg obrazów na drzewie na pokładzie krédowym malowanych z XVI, lub z pierwszj połowy XVII wieku, przedstawiających główne ustępy z życia św. Salomei, siostry Bolesława, a wdowy po Kolomanie, królu halickim, zmarłj 1268 r. Obrazy te pod względem historycznym mają wielką wartość, przedstawiając osoby różnym stanów w dawnym narodowym stroju. Wieść niesie, że je malował braciszek KK. Franciszkanów z Krakowa, który z pokory nie umieścił nazwiska na swoich utworach. Dawniej, zanim je podarowano kościołowi tutejszemu, przyozdabiały ściany klasztoru wspomnianych zakonnic u Ś. Andrzeja w Krakowie.

Wieś Irzmanowice, także w powiecie olkuskim położona, ma pamiątkę po odniesioném zwyciężtwie Jana Sobieskiego pod Wiedniem. Jest nią kaplica murowana przed paru laty, staraniem byłego plebana w Irzmanowicach, ks. Stanisława Zwolskiego, do porządku doprowadzona. Znajdują się także w kościele parafialnym w Czaplach Wielkich, wsi na krańcu powiatu miechowskiego położonój, dwie tablice marmurowe, niewielkich rozmiarów, zawierające wspomnienie odniesionego zwyciężtwia przez nadmienionego bohatera. Oto ich napis dosłowny.

Ad

Aeternam rei memoriam  
Sedes Archiepiscopalis,  
Strigonium de manu  
Barbarorum recuperatum.

1683

Toti in universum  
Christianitati nec non  
Piis manibus perpetuum,  
Inde crescat solatium

Deo honor et gloria

Vienna per Serenissimum (Regem)  
Polonorum liberata ab obsidione  
Turcarum d. 15 7bris ad Parcanum  
20 <sup>1)</sup> Turcar. caesa.  
d. 9 8bris.

## PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, tom IX  
1876 roku.*

Część literacka tego tomu została już podaną do wiadomości czytelników Biblioteki w sprawozdaniu za miesiąc kwiecień; obecnie wypada nam zająć się częścią historyczną tegoż tomu, przedstawienie jój treści poprzedziwszy obrazem ruchu, jaki rozwijał się w łonie Towarzystwa w chwili wyjścia rocznika. Za źródło nam w tej mierze służy „Spra-

<sup>1)</sup> Trzeba domyślcć się millia (tysięcy).

wozdanie z czynności Towarzystwa za czas od 1874—1876.“ Dwulecie jest zwykłym peryodem powtarzania się tych sprawozdań.

W obecném czytamy, że hr. Józef Mielżyński przyczyniwszy się do wzmoczenia bytu materyalnego Towarzystwa, przy budowie domu przeznaczanego na jego siedzibę, natchnął je nową radością obecnie przez „zapewnienie swych życzliwych chęci“ dla Towarzystwa w kwestyi od dwu lat daremnie wytaczanej, a tyczącej bytu prawnego Towarzystwa. Mianowicie dotąd Towarzystwo nie jest uznane za osobę prawną, niema przyznanych sobie „praw korporacyjnych.“ W takim stanie rzeczy owo zapewnienie hr. Mielżyńskiego, że będzie popierał tę kwestyą, nabiera w oczach sprawozdawcy Towarzystwa wielkiej wagi.

Co do składu Towarzystwa, zawiera ono trzy sekcye (nauk historycznych, lekarskich i przyrodniczych), z których dwie ostatnie mają wspólnych członków, więc zlewają się niejako z sobą. Mała ilość taka członków Towarzystwa objaśnia się faktem, że „najzdolniejszym czynnikiem naukowym, skoro są urzędnikami publicznymi, prac Towarzystwa podzielać niewolno (str. 331).“ Mianowicie nauczyciele przy miejscowych zakładach wyższych w obecném W. Ks. Poznańskim, przez rozporządzenie swój zwierchności są wykluczeni z systyami umysłowych ciał, które jak niegdyś jego imiennik w Warszawie, wśród bardzo ciężkich warunków, spełnia nietylko warunkowe, ale wysoko obywatelskie, historyczne powołanie.

Praca nad historią (a ten dział przeważa w obecnym przynajmniej roczniku Towarzystwa) zarówno jak nad polepszeniem bytu duchowego i materyalnego terażniejszej społeczności, są dwiema dźwigniami, od których siły i żywotności zależy byt samego społeczeństwa, jego nadzieje i wiary. Niepamięć o przeszłości usuwa grunt z pod nóg pracowników terażniejszości, czyni ich łupem bieżących prądów i wypadków, *każe* im nawet nieraz stosować się do tego, co gotuje w ostatnich swych wynikłościach... brak przyszłości, dla której rzekomo chcą i myślą teraz pracować. Niepamięć znowu o głowie i sercu terażniejszej... gromady rozbitków, o ciele i potrzebach materyalnych, choć przy najlepszym rozżarzeniu ogniska wspomnień przeszłości, zawiedzie nasze projekta. Bo jakże to ognisko płonąć będzie dalej, gdy materyału w obecności nie znajdzie?

Słusznie więc Towarzystwo P. N. Poznańskie kładzie nacisk na prace historyczne, słusznie Akademia krakowska i wydział jój lwowski (mówiąc przenośnie) i całe grono galicyjskich badaczy, zwawo około historyi, jój opracowań i źródeł się krząta.

Zostawiając pismom specjalnym ich właściwe a równie szlachetne i konieczne zadania społeczne, ekonomiczne i t. p., śmiało pracować mogą dotychczasowe i nowe pisma na polu historyi, bo z nią, to jak z ojcowizną chudobnego szlachcica, jeśli nie szeroko (w terażniejszości), to głęboko (dla pamięci i wysoko (dla serca). Z téj racyi wychodząc, wita-



my z radością tak nabytki naukowe <sup>1)</sup> Towarzystwa Poznańskiego, obszerny dział historyczny w IX roczniku jego, jak równie cieszymy się, że sekcya przyrodniczo lekarska, ilość członków zastępując ich działalnością, weszła w stosunki literackie i korespondencyjne z Towarzystwami lekarzy w Krakowie, Warszawie, Lwowie, Lublinie.

Tym sposobem praca umysłowa i moralna, mimo przestrzeni i innych sztucznych przeszkód, łącznie postępować może do wspólnego celu. Co do sekcji historycznej widzimy ze spisu rozpraw p. Jarochowskiej, czytanych na posiedzeniach tej sekcji, że wszystkie one z bardzo małym wyjątkiem, lubo pod innym tytułem i z wyraźnie wymienionim nazwiskiem, zostały wydrukowane w pismach warszawskich. Tego samego pióra jest w tym roczniku IX Towarzystwa artykuł „Jan Stanisław Jabłonowski wojewoda ruski i jego zatarg z królem Augustem II.“

Jestto niejako dalszy ciąg obrazów ze smutnego okresu sasko-szwedzkiego naszych dziejów, które wykazując wielkie znanstwo źródeł w autorze, może jedynym specjalistę na tak wielki zakres w tym kierunku, przerażają czytelnika konsekwencyami swemi historycznemi. Pocięsza jednak ta okoliczność, że czuć boleść obywatelską i obowiązek nauczycielski, oburzenie rodaka i mus naukowy w autorze, gdy kreśli ponure te „rewelacje.“ Nie jest to sybaryta, przez ostateczne wyrafinowanie smaku, rozkoszujący się zepsuciem jak nowocześni niektórzy romansopisarze (np. Zola, Al. Dumas syn i i.) lub historycy francuzcy (np. Double), którzy albo grzebią w błocie przez amatorstwo, albo z błota chcą... ideał zrobić. Jeżeli nieporozumienie tego rodzaju istniało, jeżeli kto wziął szych za złoto, gangrenę za żywą krew, to z pewnością nie nasz historyk, tylko jego czytelnicy, którym dotąd za obraz tych samych wypadków tak obecnie przerażających w jego malowidle służyły *gawędy* o nich w powieściach Rzewuskiego, Kaczkowskiego i t. p. Coś z mimowolnego sybarytyzmu jedynie w nas tkwiło, nie w p. Jarochowskim, który jasno, jak zawsze, tłumaczy się i w tej pracy ze swych zamiarów społeczno-pedagogicznych przy studyowaniu czarnych przeszłości naszej.

„W studyach nad dziejami i dziejowemi postaciami (mówi nasz autor), nie zawsze dano przedstawiać ideały, a często bardzo okaże się smutna konieczność przedstawiania postaci, wyglądających zdala i z po-

<sup>1)</sup> Zbiory Towarzystwa znacznie wzrosły w biegu dwu lat ostatnich. Dzieł otrzymano 4,256 tomów, 52 tek i ksiąg różnych, 29 dokumentów oryginalnych i 18 w kopii na pergaminie, przeszło 300 na papierze, monet 2,772 atlasów, kart i t. p. 61 sztuk zabytków stragistycznych, heraldycznych i t. p. 26, medali 12. Osób zwiedzających zbiory Towarzystwa było przeszło 300; dr. Lucha dyrektor muzeum szląckiego w Wrocławiu, Sophus Müller członek dyrekcji muzeum archeolog. w Kopenhadze, Fleischer sekretarz Towarzystwa fizykalno-ekonomicznego z Królewca i t. d. Co do ruchu czytelniczego w bibliotece Towarzystwa poza obrębem jego grona, wypożyczono w półtora roku przeszło 500 dzieł i pism różnych.

za mgły przeszłości na bohaterów, wcale nie z idealnej i bohaterkiej strony. Przystępując do skreślenia epizodu z życia Jana Stanisława Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, znajdujemy się właśnie w podobnie drażliwym położeniu. Mąż wyglądający zdala pięknie i idealnie, traci mocno na bliższym poznaniu, a postać jego świecąca poważnie nie mniej w dziejach politycznych, jak w anałach oświaty narodowej w pierwszych, tak ubogich w rozum i światło, latach XVIII wieku, małe niestety w obec dokumentów niezaprzeczonej autentyczności.

„W osobie Jana Jabłonowskiego spotykają się i łączą a godzą razem, różne przeciwieństwa. Jest to najsamprzód, według własnej spowiedzi w swym *Skrupule bez skrupulu*, publicysta, według ówczesnego pojęcia tego wyrazu, nie zawsze prawdą i nie zawsze szlachetnością w interesie partyi swój walczący. Jest to dalej konspirator, którego pobudek nie będziemy podejrzewali, ale któremu w chwilach próby nie dopisują nerwy i charakter. Jest to wreszcie pod koniec żywota, mniejsza, że mąż wypróbowanej prawowierności, stwierdzający ją licznym szeregiem skreślonych przez się traktatów pobożnej treści, ale co ważniejsza, bystry dostrzegacz niedomagań organizmu politycznego Rzeczypospolitej, w razie zrozumienia i pojęcia przez społeczność narodową we właściwym czasie, skuteczny nauczyciel jej polityczny, protoplasta nowego reformistycznego kierunku. Kierunek to, który zapowiadając swą obecność przez *Anatomię Rzeczypospolitej* Stefana Garczyńskiego i dzieło Stanisława Konarskiego *O skutecznym rad sposobie*, który odzywając się głośnieji, choć niefortunnie, w pomysłach Czarotorskich, miał zejść bujnym ziarnem pod koniec XVIII wieku, a jeśli nie ocalić kraju od zguby, to chwilę jej zarówno, jak naród sam opromienić i uzacnić w obec potomności aureolą moralnej chwały.“ (str. 1).

Śmielibyśmy dodać, że reformatorzy ostatni, nie zbyt czystą ręką do ocalenia ogółu przykładający, właśnie tém użyciem wątpliwiej moralnej wartości narzędzi, obrócili w niwecz zbawcze swe może zamiary. O tych trwałości nawet, choćby urzeczywistnionych, może wątpić się godzi z racji charakteru sprawców.

Toż samo wypada rzec o obecnym bohaterze rozprawy pana J. Mimo wszystkich podrzędnych zalet, przyznawanych mu chętnie przez naszego badacza, wciąż jeden brak, fundamentalny, się ujawnia.

„Było to dalej (mówi p. Jarochoński) niewątpliwie serce świeże i gorąco dla kraju bijące, choć inne, a później mające się rozstrzygnąć pytanie, czy owę zdolności i owę dobrej chęci towarzyszyły w odpowiednim stopniu: niezbędna mężowi stanu w trudnych okolicznościach siła i charakter“ (str. 4).

Jeżeli co, to właśnie te ostatnie przymioty, były potrzebne w XVIII wieku naszym przodkom, a rzecz godna uwagi, że co zyskali na oświecie, na wykształceniu, tracili na tej podstawie wszelkich cnót obywatelskich, na tym fundamencie bytu państw i społeczeństw wszelkich. A cóż pan J. mówi? „Magnactwo polskie (brzmi jego odpowiedź, str. 5) nie przedstawia na nieszczęście w tym czasie szczególnie dodatniego

obrazu. Mały nader, niestety, bardzo pomiędzy niemi procent ludzi światłych, myślących, dobrze a bezinteresownie krajowi służących. Większość przedstawia widowisko ludzi ciasnego horyzontu, małego ukształcenia, skąpej pracy, wielkiej ociężałości, a jeśli sprytu i zabiegliwości, to rozwiniętych jedynie tylko w dziedzinie własnego interesu.“

To też wśród takich warunków nie było trzeba wiele, by wypłynąć pod sam strop Rzeczypospolitej. Urodzony 1669, z Stanisława, het. w. k., towarzysza króla Jana III, i Maryi Kazanowskiej, wojewodzianki brackawskiej, zwiedzał z bratem Aleksandrem i Stanisławem Rzewuskim, późniejszym w. het. kor., zachodnią Europę. Za powrotem z wojażu nasz bohater poślubił Joannę de Béthune, siostrzenicę królowej, i „temu to stanowisku w rodzinie królewskiej (dodaje znacząco p. Jarochowski) *towarzyszył* (może właściwiejby rzecz było *jako skutek konieczny odpowiadał*) szybki postęp“ w honorach. W roku 1687 chorąży koronny, 1693, zaledwo 24-letni, wołyński wojewoda: „był człowiekiem wrażliwym i ulegającym wpływom, jakie go otaczały.“

Zaledwo umarł Jan III (1696 r.), nasz wojewoda stanął po stronie Augusta II. Ze względu na fakt, że elektor saski kupił sobie polską koronę niejako od przyszłych swych sąsiadów, ze względu na znane późniejsze jego frymarki, nie możemy powiedzieć, by mylił się Szujski, uważając Contiego współzawodnika Augusta II, za jedynie narodowego elekta. Zkąd i właściwe ocenienie kroku naszego bohatera wynika.

Z opisu pana J. wynikałaby niepoczytalność bohatera za ten czyn. Bo umarł ojciec jego 1702 r., a choć pan J. (str. 8) mówi, że nie śmiałby twierdzić tego *stanowczo*, przecie oświadcza, iż niebrak poszlak, że Jabłonowski przeszedł teraz z pod *wplywu ojca*, saksofila, pod wpływ żony swój (str. 12) i szwagra swego Rafała Leszczyńskiego, szwedofila. To też poniżej zaraz czytamy u naszego autora (str. 16) o Jabłonowskim.

„Dotychczas (do 1700 r.) widzieliśmy go turystą, człowiekiem dworu, gładkiego na sposób francuzki wychowania, politycznie charakterem *chwiejnym nieco*, przechodzącym od czci elektora saskiego do kultu Szweda i nowego króla, dygnitarzem swego królewskiego siostrzeńca (króla Stanisława), gorliwym i zabiegłym, a jeśli nie szczęśliwym, *to z winy okoliczności*, a nie własnej. Zbyt surowym sędzią podobnych przemian w zawodzie ludzi politycznych krajów, ulegających gwałtownym wstrząśnieniom, być niepodobna. Zmiatają burze i zewnętrzne okoliczności *rządy i dynastje*; zostaje *kraj* ze swém powszedniem życiem, ze swemi potrzebami, prawami i obowiązkami. Nietylko sama pozioma ambicya, nietylko sama niska spekulacya, każą mu służyć i pod zmienioną formą rzeczy. Nietylko sama Polska w najchaotyczniejszej swoich dziejów epoce i nietylko *owe* własne czasy wskazują nam przykłady podobnej zmiany ról ludzi politycznych.“

Wychodzi niemal to na zupełne wytłumaczenie Jabłonowskiego i jego zmienności, choć jest i znacząca poprawka tego tłumaczenia (str. 19).



„Gra, jaką podejmuje wojewoda ruski (Jabłonowski był nim od 1697 w nagrodę uznania Augusta II), po bitwie Pułtawskiej i restauracji Augusta, nie jest, wyznajemy z żalem, *zbyt szlachetną*. Podnosząc podobny zarzut, wytłumaczymy się zeń zaraz. Współczucia nasze stają bezwątpienia w owęj epoce po stronie Stanisława, jego protektora szwedzkiego, bohaterów partyzantów, którzy ich otaczają, a choć osobiście tylko pamięć dawnej waleczności polskiej odnawiają. Niechęć narodu do Augusta, zdaje nam się bardzo słuszną i usprawiedliwioną, owe tęskne zwracanie się narodu ku *ścianie* czy to *pomorskiej* (z kąd miał Stejnbach ruszyć), czy *włoskiej* (z kąd ruszyć miał Karol XII z Leszczyńskim, aby wziąć Augusta i cara Piotra w dwa ognie), w nadziei lepszej przyszłości wielce naturalnym. Znajdujemy również rzeczą naturalną, że wojewoda uczynił się reprezentantem podobnego kierunku, i że pracował dla Stanisława. Nie ma jednakże tak trudnego stanowiska, na którémby wolno było pożegnać się z przykazami i wymaganiem pewnej uczciwej konsekwencji, a *zabawa w Machiawellizm, czy Wallenrodyzm, pozostanie zawsze dwuznaczną i obosieczną*. Naturalnym stanowiskiem wojewody po restauracji Augustowej, jeśli jój *nie* sprzyjał, był pobyt w dobrach ruskich w odległości od króla, na uboczu, któreby, nie wyłączając ani możności roboty dla Stanisława, ani potrzebnej w niej ostrożności, nie było dawało Augustowi ciśnienia w oczy wojewodzie zarzutu, że z nim sobie postąpił chytry i podstępnie. Na nieszczęście przecież, nosiło postępowanie wojewody taką a nie inną cechę.“

Tak się przedstawia Jabłonowski jako sługa Stanisława Leszczyńskiego, swego siostrzeńca, którego przynajmniej żeby wytrwałym był i wiernym sługą! Bardzo się ryzykuje w niej nasz bohater; dziecinne nawet zaniedbanie najprostszej ostrożności, wydaje go w ręce Augusta i na Koenigstejnne osadza. Mimowoli chciałyby się choć tu niezłomnym widzieć Jabłonowskiego. Ale to znowu oświadczą nasz autor (str. 29).

„Natomiast, trudno nam się wstrzymać od uczucia pewnego mimowolnego żalu w obec nie dającego się niestety zaprzeczyć faktu, że pan polski, iż syn hetmana Jabłonowskiego, iż dygnitarz pierwszy króla Stanisława, iż naczelnik opozycji polskiej przeciw Augustowi, iż mąż zdrowej rady i gładkiego pióra, łamie się zaraz i kruszy przy tém pierwszém zwarciu z niełaską fortuny. *Małe czasy, wydają niestety małych tylko ludzi*.“ I rzeczywiście jak małych!

„Zręczność i fantazyja szlachecka, wnikająca do dyskretnych komnat dyplomatów zagranicznych, podtrzymująca sieć olbrzymiej konspiracji przeciw Augustowi na całym obszarze Rzeczypospolitej, zdolna jak na samym końcu w Lublinie, podnieść głos przeciw Sasowi pośród zgromadzenia szlacheckiego (o miłości króla z Maryą z Bielińskich Denhoffową), znajduje się skazaną na odbycie *innęj* próby, na pojedynk z sędzią śledczym Augustowym, na walkę z własnymi nerwami, i z odzywającymi się co chwila słabościami własnego ducha“ (str. 30).

Jabłonowski *spowiada* się z wszystkiego przed sędziami Augusta i *prosi* o łaskę dla rodziny, a dla siebie o wyśtanie do Elbląga. Niebawem pisze do Fleminga, poufnika Augusta, list charakterystyczny z 4 maja 1716 r. (str. 34). „Spraw to, mój drogi panie, abym nie był winien méj wolności i mego szczęścia, ani jakiemu traktatowi, ani niczemu innemu w świecie, lecz tylko miłosierdziu króla (Augusta), przez Ciebie jednego mi zgotowanemu.“ Również płaszczący list śle więzién nasz do niedawnego swego wroga—króla, i żąda by wypróbował jego wierność (str. 35), którą zaskarbić sobie chciał nową zdradą, oddając akt abdykacyi Stanisława, w liście 16 września 1713 r., Augustowi. I dla czego? bo „*kocha siebie bardziej niż Stanisława*“ (str. 33), słowa własnego jego listu. Pan Jarochoowski, z listów 4 maja 1716, część odlicza na karb frazeologii. Dodaje jednak (str. 35): „cokolwiekbądź jednakże, rażą i ziębią owe oświadczenia uniżoności, skruchy i pełzającej pokory, owe ofiary poprawy życia i usług dla króla Augusta, owe wypieranie się przeszłości, owe gotowości wyjścia na kaznodzieję królewskiej sprawy w obec opornych konfederatów Tarnogrodzkich. Pojmujemy, że cierpienie może wydrzeć jęk boleści; pojmujemy, że zgnębienie ducha może sprowadzić słabość; ale czego ani cierpieniu, ani zgnębieniu, z duszy szlachetnego i uczciwego człowieka, nigdy nie powinno się udać wydobyć, to czynu i objawu niezgodnego z przykazami czci i godności.“

I taki to człowiek pisze traktaty moralne w więzieniu na Koenigstejnie, taki cień obywatela, karykatura jego, pisze gromiący *Strupul bez skrupułu*, taki to człowiek staje jako protoplasta reformacyjnego kierunku ostatnich czasów!

Słusznieby tu się dały zastosować słowa poety:

*Timeo Danaos et dona ferentes*

Z brudnej ręki i życie w śmierć się zmienia.

Na zakończenie, wypisujemy z pracy pana J. wiadomość o istnieniu pamiętnika podróży obu młodych Jabłonowskich i Rzewuskiego, który autor poznał w r. 1851, jako własność wówczas zmarłego Augusta Gołębowskiego. Gdzie się obecnie znajduje, niewiadomo autorowi.

Jako drugą ważną ciekawość podajemy szczegół, że pan J. używał do swéj pracy niemal zupełny zbiór listów Jabłonowskiego. Szczegół ten podnosi wartość pracy dopiero co streszczonej, ale i stwierdza smutne w niéj wnioski o charakterze wojewody ruskiego. Niemal przychodzi żałować, że takie... nicości... istniały! <sup>1)</sup>

Rozbiór kwestyi poruszonych przez rozprawę, zdaje się pana Zakrzewskiego: „Wspólności rodowe, tworzenie się herbów i nazwisk familijnych w Polsce (str. 40—54) urósł pod piórem sprawozdawcy w tak wielkie rozmiary, iż umieszczenie go tutaj zanadto by rozszerzyło skrom-

<sup>1)</sup> Bielowski w swém wydaniu *Pamiętnika J. S. Jabłonowskiego* (Lwów, 1862) łagodniej sądzi bohatera naszego.

ne ramy referatu. Zaznaczywszy więc tytuł rozprawy i jej ważność, zastrzegamy sobie do niej powrót bądź w formie odrębnej recenzji, bądź cytat, jako materiału w rozpoczętej rozprawie z tego samego zakresu. Wypisujemy tu tylko tezy autora (str. 49).

1. „W wieku XIII nie było w *Wielkopolsce* godeł dziedzicznych, a znaki, które wtenczas ryto na pieczęciach, były (wyjąwszy może weszłych z zagranicy) osobiste. Wyjmują się naszłe z zagranicy jak np. Doliwa, która r. 1276 na pograniczu Szlązkiem już nawet hełmem przystrojona się okazuje“ (i swojskich Pałuki).

2. „Dopiero z początkiem XVI wieku godła dziedziczne czyli herby *u nas* się pojawiają.”

3. „Wszystko co nasi kronikarze zaczawszy od Długosza, a kończąc na późniejszych historykach, i co nasi heraldycy od Paprockiego aż do Niesieckiego, wraz z czerpiącymi z nich badaczami o herbach polskich od czasów pogańskich aż do wieku XIV pisali, *należy odrzucić*.”

Prócz tych twierdzeń podlegających jeszcze szerokiej dyskusji, mnóstwo jeszcze innych znajdujemy rozrzuconych w bezimienną rozprawie. Między innymi poruszoną tam została kwestya *Opoli*. Warto byłoby, by były profesor b. Szkoły Głównej, p. Józef Przyborowski, olbrzymim materiałem w tym przedmiocie rozporządzający, zechciał przerwać milczenie, od czasu odczytu swego w tym przedmiocie mianego stale chowane i rzucił tyle pożądane światło na tę instytucyę, przez jednych jak Szembera i nasz autor, za podział administracyjno-policyjny, przez drugich za zabytek rodów uważaną.

„Wiadomość o nieznanym synodzie dyecezyalnym Jana Odrowąza Sprowskiego arcybiskupa, w Gnieźnie 1456 r.” (str. 57—70) po krótkim wstępie o synodach wsp. arcybiskupa mówiącym i opisie źródeł, podaje z ksiąg kapitulnych zapiskę o odbyciu synodu donoszącą i mieści same ustawy z osobnej, do zapisywania podobnych uchwał synodalnych (z 1413 r.) księgi dobyte. Jestto więc więcej materiał, jak opracowanie, choć tu i owdzie są uwagi krytyczne, może niezawsze zupełnie ścisłe.

I tak: wydawca ks. dr. Łukowski, może trochę za stanowczo uznać dokument odkryty przez dr. Jacobson, a donoszący o odbyciu synodu nieznanego dotąd przez Jana ze Sprowy w Gnieźnie „za podrobiony“ lub (co już lepij) za „źle przeczytany“, w skutek czego twierdzi, że „ogłoszenie dokumentu Jacobsona wobec krytycznego badania nie pomnożyło naszych wiadomości o synodach Jana Sprowskiego.“

Aczkolwiek błędną jest data dokumentu owego, o zwołaniu synodu mówiącego (*Datum Gnezne die XXIII februarii anno domini CCCC L-mo nostro sub sigillo*), to już znak zapytania położony przy *L mo* przez wydawcę okazuje, że był na drodze powątpiewania, które mogło go być zawieść do hipotezy, czy to *mo* nie jest właściwie *VI-o* źle odczytanem. Może tę poprawkę tak łatwo wypadało dokonać obecnemu wydawcy uchwał tego synodu. Uzupełniłoby to bowiem doskonale za sobą wiadomości naszych o synodach Sprowskiego, już nietylko z całego



czasu rządów jego, ale nawet z 1456 r. Dodatek bowiem Jacobsona, że synod odbył się *in Juni 1450 a.* i słowa aktu, że przed odbyciem prowincjonalnego, arcybiskup uważa za stosowne odbyć synod dyecezyalny, nasuwają myśl, czy właśnie istotnie po kwietniowym 1456 r. dyecezyalnym, nie odbył się prowincjonalny synod w czerwcu, jak to pisze Jacobson, myśląc tylko rok, słusznie przez obecnego wydawcę krytykowany.

W tymże r. 1456 kapituła dała 29 maja *subsidium* nowe na wojnę z Prusami; czy jest wzmianka przy téj okazji o synodzie, nie podał St. Smolka <sup>1)</sup>. Wszakże młodemu temu uczonemu zawdzięczamy już wiadomość, o rok wcześniejszą od ogłoszenia drukiem pracy księdza Łukowskiego tak o synodzie z 12 kwietnia r. 1456, jak o tém, że gdy zażądał „król pod koniec 1458 r. nowéj kontrybucyi od duchowieństwa, kapituła zdała się jednak na sąd synodu prowincjonalnego i uchwaliła jednogłośnie, żeby arcybiskup nowéj kontrybucyi nie nakładał, dopóki synodu nie zwoła (21 listopada 1458 r.)”. Byłby to więc albo ślad jeszcze nieznanego, albo wskazówka synodu z 1459 w Łęczycy odbytego.

Tych szczegółów wydawca nie podał, ujmując przez to nieco dokładności swym uwagom o ilości synodów za rządów Sprowskiego.

Co do samego druku materiału, autor pozostawił czytelnika w niepewności, która forma nazwiska osób biorących udział w synodzie jest prawdziwą: Johannes de Młonicze, czy J. de Melomicze, Nicolaus Xanthy czy Xanssthy. Prostując na wstępie nazwę arcybiskupa ze Sprowy na Sprowski, obowiązał się moralnie wydawca do podobnej skrupulatności i gdzieindziej. Prawdopodobnie téż „Withoriensis” jako nazwa opactwa jest pomyłką (za Vithoviensis?). Kondemnata proboszcza od Św. Jana za murami Gniezna, zawiera błąd, który powtarza się i niżej w polskim tekście, a jest tylko owocem nieodczytania należytego i nieuwzględnienia składni. Oto jak tekst brzmi: *...dominus Johannes archiepiscopus et primas Wylem (sic) virum dnem Johannem prepositum (etc.).. urgebat verbis correptum et paternis.* Czy w końcu zdania niema omyłki, ze względu na to *et*, pomijam. Zastanawia odznaczenie w druku u wydawcy wyrazu Wylem, i powieść „poniższa (str. 63), „że przełożony Bożogrobców w Gnieźnie od Ś. Jana, nazwiskiem Wylem etc.“ Ponieważ w tekście jeszcze raz *dnus Johannus (sic) prepositus S. Johannis* pojawia się, nie może ulegać kwestyi, że *Wylem* jest złą lekcją zamiast *venerabilem*, tak, że w miejscu cytowanym należy czytać *venerabilem virum*, co zwykłej intytulacji osób duchownych odpowiada i usuwa niemożliwy syntaktycznie układ, by nazwisko jakieś *Wylem* poprzedzało wyrazy *virum dominum* i samo imię.

Przy ogłoszeniu tekstu, wydawca zwraca uwagę, że koniec ustaw synodalnych, dopisany ręką późniejszą w ciągu, znajduje się wcześnieji, tąż samą ręką w całość ustaw pisany, a przełożony naprzód z winy oprawiacza. Otóż ten urywek datę wywodu zawierający, z powodu te-

<sup>1)</sup> Rozprawy i Sprawozdania z Posiedzeń Wydziału Hist. Fil. Akad. Umiejęt. z 1875 r. IV. 265—266.

go przerwienia swego przywraca autentyczność uchwał synodalnych, ile że dopisek obcej ręki, na właściwem miejscu zrobiony, mógł podać w wątpliwość same ustawy, jak sądzi wydawca.

Daléj wydawca oświadcza, że pomija rozbiór szczegółowy tekstu „zostawiając znawcom i badaczom trud analizy.“ Szkoda, że sam bliższej uwagi na inne synodalne rozporządzenia nie zwrócił, bo już to będąc rodzajem analizy, uchroniłoby go od niejakich usterek w „treści uchwał,“ jak o tém następane przykłady dostatecznie czytelnika przekonają. Streszczenie drugiego rozporządzenia synodu naszego (*Item quia crimen fornicationis*) zawiera dopisek „Niezawodnie dał do tego powód Maciej pleban z Węglewa (str. 69).“ Nie myślę zgoła przytaczać całego szeregu dawniejszych dokumentów wykazujących, że to rozporządzenie drugie synodu z 1456 r. nie zaradzali *dorażnemu* i indywidualnemu wybrykowi. Zwrócę tylko uwagę wydawcy na IV tom Starodawnych pomników prawa polskiego, wydany przez Akademię Umiejętności w Krakowie 1875 r., w którym téj saméj materji dotyczące artykuły synodów ogólnikowo cytujemy: 1320 r. zakaz (str. 20), 1331 r. następuje odwołanie zakazu (str. 38) i w ogóle ulżenie kary; 1420 r. (str. 209) bardzo ogólnikowa uwaga treści prohibicyjnej, 1459 r. zaostrzona o miesiąc dłuższym (3 m.) terminem jak 1320 r. (str. 111) prekluzyjnym.

Streszczenie końca artykułu 4 „zakaz odgrywania widowisk, teatrów, dramatów po kościołach” (*nullus in ecclesia ludos theatrales aut dramos fieri permittat*), pomijając dziwną formę przekładu, nastęrczało wydawcy sposobność dobycia z kronik więcéj szczegółów tego samego rodzaju. Że tylko poruszę dyalog znajdujący się w kronice Wincentego Kadłubka z racyi zgonu Kazimierza II, a drugi wspomniany przy rządach Mieszka III. Krom wątpienia, jeden tylko był napisany, drugi może niewykonany. Myśl w każdym razie wyrażenia uczuć w formie dyalogowej tak przez jednego jak drugiego biskupa, świadczyć może o żywioném przez praktykę poczuciu dramatyczności w Polsce XII wieku. Kto więc czy w takim razie i forma dyalogowa pierwszych ksiąg Kadłubkowej kroniki, zamiast być formą naśladowaną z obcych wzorów, nie będzie echem miejscowych zwyczajów. Tym sposobem, czy to w osobie dwu czy trzech biskupów krakowskich, mieć będziemy jakby trzech pierwszych autorów dramatycznych w Polsce.

Pomijam artykuł 12 niezmiernie charakterystycznie w uprzednich synodach wznawiany a dotyczący kwestyi zapowiedzi. Za to artykuł 9 streszczony tak „o uczniach miejskich i wiejskich wyrostkach, oddających się niecotom, rozpuście; rozkaz posyłania ich do Akademii krakowskiej, szkoły tumskiej lub kolegiackiej,“ pozwala nam szerzej dotknąć tekstu jego łacińskiego oraz jego treści. Treść ta nie została oddaną należycie. Nikt bowiem ze streszczeniaby się nie domyślał, że synod zauważył, iż „tytu po miasteczkach (*oppida*) i wsiach (*villae*) namnożyło się uczni (*scholares*), że zaledwo żywność dostać mogą, a nauką się nie trudniąc, raczéj pędzą życie gorszące (*scandalose vivunt*), kradzieży, pijaństwa i występków cielesnych (tekst ma *vicia carius*, czy

nie *vicia carnis*?) dopuszczają się i uczciwych odwodzą od dobrych zamiarów." Mnogość więc uczni niedozwalająca nauczycielom dozór należyty rozciągnąć, a może i tych nieudolność wywołała reformę. Zakazano bowiem uczniom pozostawać w miasteczkach i wsiach i rozporządzono, by się udawali do Krakowa, Gniezna lub kolegiat, kędy magistry i bakałarze kierują szkołami i karność w nich utrzymują. Snać nauka po miasteczkach przez ludzi tych stopni nie była wykładana i rygor szkolny był nieodpowiedni.

Być może wskazane owe nadużycia gorących napojów przez *scholares* znajdzie komentarz np. w uposażeniu rektora szkoły w Tymbaroku (w Krakowskim) palenia gorzałki i pędzenia piwa (*propinationem tam cremati quam cerevisiae*) ich sprzedaży oczywiście w 1349 r. <sup>1)</sup>

Szkoda że wydawca niekomentował wielostronnie podanego przez się materiału. Gdyż np. obok powyższego faktu przez nas cytowanego, staje zaraz drugi; nabieramy z niego zupełnie innego wyobrażenia o społecznym tych szkół znaczeniu, o warunkach nawet krzewienia się owych nadużyć, czytając w fundacyi lwowskiej szkoły u Ś. Ducha przez Władysława Warnieńczyka w 1444 r. <sup>2)</sup>, że do niej „synowie szlachty, ziemian i nieszlachty, będą mogli swobodnie po wieczne czasy, jak to bywa i w innych szkołach w miastach (*civitates*) królestwa naszego Polskiego chodzić, częściej (*ambulare, frequentare*) oraz w niej przebywać, odpoczywać i uczyć się (*manere, pausare, studere*),” aczkolwiek założycielami i pierwszymi rektorami szkoły są konsulowie (rajcy) miejscy.

Charakterystyczny to obraz, że w całym kraju wolno było społeczeństwu uczyć się dobrze i zwykle urodzonym, a zarazem bogatym i ubogim — i to w szkołach miejskich. To środek wieku XV, a w jego końcu (1496) zapadnie uchwała, by tylko jeden syn kmiecy do szkół chodził. Synod niniejszy z 1456 zaleca (w § 9), by rektorzy kościołów parafialnych po wsiach, nie więcej jak dwu młodzieńców cnotliwych, w otwartych miasteczkach po 6, w zamkniętych po 8 *najwyżej*, jedynie miewali. Tylko maluczki uczni (*parvulis scholaribus*) pozwolono (*in monasterio*, błędnie zamiast *numero ampliori*) w większej liczbie, dla nauki obyczajów i wiedzy zbierać.

Ciekawe to szczegóły do moralności kraju; tym zaś mniej można je brać w oderwaniu, że objawiają się i nie tylko co do młodzieży uczącej się (§§ 3, 8). Obostrzenie pod względem obyczajów i wieku, oraz posiadania pewnego tytułu (*certum titulum*, urzędu?) lub dostatecznej ojcowizny, w której mieliby życie i odzież (§ 10), dla kandydatów do stanu duchownego i do beneficjów — zdaje się iść w parze z powyższą reformą edukacyjną.

Pozostaje nam wspomnieć na koniec o rozprawie p. Kazimierza Sulca: *Autentyczność kamieni mikołczyńskich zbadana na miejscu*

<sup>1)</sup> Bartoszew. Kod. dypl. III. 226.

<sup>2)</sup> Akta grodzkie V. str. 136.



(str. 73 — 222). Ocenę jej wystarczającą podał prof. Władysław W(iśłocki) w *Przeglądzie krytycznym* krakowskim (1876, VIII, str. 291, Nr. recenzji 108), z której okazuje się, że kamienie owe 1855 i 1856 odkryte, a noszące na sobie wizerunek bożka Prowego i konika, są autentyczne... co do materiału, to jest, że są kamieniami rodzimymi. Rzeźba jest fabrykatem współczesnym, sporządzonym na wzór tablic Lelewela, zrobionych ze Sponholcowych falsyfikatów w Prillwitz. Tak sądzą pp. Małeck i Estrejcher.

Ten sąd nam wystarcza. My tylko wypiszemy na tém miejscu dane archeologiczne, rozsypane w zkądinad nie krytycznych fantazyach autora, o cywilizacji pra - Słowian. W 1873 r. dr. Szulc jadąc do Mikorzyna na żądanie Tow. P. N. i Akademii w Krakowie, znalazł w Lewkowie, koło lasu Narty, dwa kamienie kopańkowate, „podobne do mikorzyńskich“ z kształtu, i odpowiednie takiejże postaci innym kamieniom, odkrytym przez dra Ant. Białeckiego i J. Kawieckiego przy wsi Babach. Miejscowości te znane są już z urn w nich znajdujących (str. 94—95). W Bieganinie, w powiecie Pleszowskim, podobnie wydrążone kamienie znaleziono w 1860 r., a 1865 urny w dole kamieniami jakby obmurowanym. Podobneż odkrycia miały miejsce w innych miejscowościach (str. 98). Przy sposobności autor podaje, że w Lewkowie przy ogrodzie dworskim, znaleziono cztery srebrne monety rzymskie z napisami: *Caesar Augustus, Faustina Augusta, Adrianus, Antoninus*; w Kotowiecku pod Pleszowem, 100 sztuk takiejże monety i złotą monetę rzymską z napisem: *Principi Juventuli*. W Jarosławcu pod wodą znalazła się moneta, przez Lelewela uznana za właściwą czasom Leona Traka (457 — 474 po Chr.). W Siedliszowie w pow. Inowrocławskim, 1874 były znalezione monety: *Wespazjana, Domicyana, Nerona, Trajana, Adryana, Antonina Piusa, Faustyny, Marka Aurelego, Augusty, Lucylii*. Szczegóły te numizmatyczne są może najcenniejsze w pracy dra Szulca. One wskazują liczne stosunki okolic nadwarteńskich z Rzymem, i czynią np. pewnikiem niemal hipotezy tych, którzy wyrazy Dyona „Indowie“, oznaczające narodowość posłów do Trajana przybyłych czasu wojen dackich, odnoszą do Wendów, to jest Słowian (Szaraniewicz).

Te stosunki cywilizacyjne z Rzymem są pono pewniejsze, jak twierdzenie sz. badacza, że Asyrowie (str. 188—9) są Aso-syrami, t. j. przodkami Asów germańskich, którzy u Kaukazu rozdzielili się z Wanami słowiańskimi. W obec dowodów ks. Gućkiewicza, złożonych w jego *Słowie o praajcach* (1876), z których wynika, że Asyrowie są Słowia „praszczurami“ nawet z nazwy, — nie wiemy czyje zdanie otrzyma prym... na polu wesołych igraszek z dźwiękami.

Załowac więc przychodzi, że na 340 stron (z szmuc-tytułami i pustemi kartami), ta rozprawa p. Szulca, tak mało treści naukowej zawierająca, stanowi z górą połowę rocznika Tow. P. N. Poznańskiego, a inne, nierównie ważniejsze, na mniejszój połowie ścisnąć się musiały.

*Amilkar Kosiński we Włoszech 1795—1803. Zbiór materyałów do historii legionów polskich we Włoszech.* Poznań 1877 r. (w 8-ce str. XCV. 446. Z popiersiem Amilkara Kosińskiego, dwoma tablicami przedstawiającemi plan Mantui z objaśnieniem i ozdobną nominacją Kosińskiego).

W ostatnie lata zeszłego wieku i w pierwsze naszego stulecia, przenoszą się nasze wspomnienia historyczne na piękną ziemię Italii, gdy w kraju całym głucha zaległa cisza.

Od roku 1795 zaczynają się usiłowania w celu utworzenia legionów we Włoszech, które dopiero we dwa lata później uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Wiele mamy materyałów do dziejów ich, a pierwszym jest po francuzku, dzieło Leonarda Chodźki wydane, o którym mówi autor, że „jest w największej części dosłowném tylko pamiętnika generała Dąbrowskiego powtórzeniem;” drugim, samego Henryka Dąbrowskiego: *Pamiętnik* z francuzkiego rękopisu ogłoszony w przekładzie polskim 1864 r. Nie braknie i wielu mniejszych rozmiarów biografii, wspomnień urywkowych i listów z owego okresu, które historykowi, coby chciał się zająć rzetelnym obrazem dołi i niedoli owych Legionów, posługiwaćby mogły. Przybywa nam bogaty i zasobny przyczynek w dziele p. Władysława Kosińskiego, który od zatury zachował niemało drogocennych wiadomości do owego okresu, i na szerszą wdzięczność ogółu zasłużył. Obejmuje tylko lat ośm, ale niezmiernie ważne podaje szczegóły głównie co do zawiązania się pierwotnego legionów, i pierwszych działań tych zastępów, w których przeważną rolę odegrywa Amilkar Kosiński.

Urodzony w r. 1769 w ziemi Drohickej na Starem Podlasiu, już działa w roku 1794 w stopniu kapitana strzelców, a w następnym we Włoszech odbywa pierwszą kampanię sławną Bonapartego 1796 r. w służbie francuzkiej. Następnie za przybyciem Henryka Dąbrowskiego do Włoch, popiera silnie zamiary jego w utworzeniu legionów, i sam staje jako zdolny, waleczny i wyższy oficer w tych zastępach.

Obszerny *Wstęp* jakim poprzedza p. Władysław Kosiński (syn Amilkara), zbiór obfitych dokumentów, i korespondencyi do tego okresu, uważać należy, jako rys historyczny, dokładnie zbiór pomieniony objaśniający.

Nie możemy tu wdawać się w szczegóły, zwrócimy jedynie uwagę na wybitniejsze ustępy i źródła, któremi się autor w pomienionym *Wstępie* posługiwał.

Przechodzi w nim *Pamiętnik o legionach Szefa Bazylego Wierzbickiego*, i daje z niego obszernie wyciągi. Przechował się on w rękopiśmie, i dziś jest w posiadaniu J. I. Kraszewskiego, który go nabył od wdowy Wierzbickiego.

Ponieważ Pamiętnik ten czytywaliśmy u prawdziwego ich autora, a ztąd uważamy go za najcenniejszy i najrzetelniejszy zabytek do historii legionów, przeto mamy za obowiązek sumienia bliżej wyjaśnić ten przedmiot.

Kazimierz Lux Warszawiak, w wieku prawie dzieciennym, bo w szesnastym roku życia, wszedł do legionów we Włoszech, a biorąc udział w najważniejszych bitwach w stopniu porucznika, walczył w Ameryce na wyprawie do St. Domingo, dostał się w końcu 1802 r. do niewoli angielskiej, i jako braniec zawieziony na wyspę Jamajkę, następie do Anglii, zostawał przez lat dwa w niewoli, na pontonach pracując. Wyzwolony z niej wrócił do służby 1807 r., odbył kampanię 1812 i następnie wszedł w szeregi nowo utworzonej armii Królestwa Polskiego w stopniu majora, ale złamany trudem obozowego życia i ranami, przeszedł do służby cywilnej jako komisarz obwodu płockiego, a następnie przasnyskiego; po czterdziestoletniej zaś służbie, otrzyawszy emeryturę, usunął się w zacisze domowe.

Teraz swobodny, mając czas wolny, zaczął pracować nad opisaniem świetnych wypadków, w których miał udział. Obóz był jego szkołą; przebiegając z bronią w rękę całą Europę, walcząc w St. Domingo, czy zostając w niewoli, zdobywał naukę i wiedzę. W tych twardych trudach, w tém tułactwie, wyuczył się pięciu języków, a jeżeli myśl powrotu do rodzinnego gniazda przynosiła mu nieraz pociechę i ulgę w ciężkich obowiązkach obozowego życia, to zarazem była mu pobudką do kształcenia się ciągłego, do zbierania i nabywania wiadomości, ażeby z wyższm wykształceniem do swoich powrócić. Wszędzie gdzie był, jak mi sam mówił i pokazywał, robił na miejscu notatki to we francuzkim, to w angielskim, w hiszpańskim, we włoskim i niemieckim języku. Teraz przyszedł czas te notatki uporządkować, zebrać i ułożyć w całość. Zabrał się do téj pracy ochotczo, osiadłszy stale w Warszawie.

Mieszkając w pobliżu Saskiego ogrodu, od wiosny do późnej pogodnej jesieni, szukał w nim odpoczynku i rozrywki. Tu pod cieniem drzew, na jednej ławce w r. 1845 zbierało się szczipłe już grono starych jego towarzyszy broni: tu odżywiali zwątlone siły wspomnieniem świetnej dla siebie przeszłości.

„Oddaliłem się (pisze Lux w pozostawionej notatce) od zgiełku błędnego świata, i od lat czterech w domowem zaciszu spoczywam. W letniej porze szukam roztargnienia w ogrodzie Saskim, pomiędzy kolegami, którzy przybrali nazwę: *Junty antyków*. W niej prezyduje Kirkor, jako najstarszy i najzdrowszy, reszta zaś członkowie. Wszyscy łążą, żaden podług dawniej nauki nie stawia nogi, żeby brał palce na dół, tylko już posuwa, inni zaś stawiają wprzód pięty, a dopiero palce. Kiedy się zbieramy na jedną ławkę, a czasami bywa nas najwięcej ośmiu, bo prawie co rok liczba się zmniejsza, i z naszego kółka dezertują na Powązki, obliczywszy lata mamy razem 582.”



Lux dołączył następną piosneckę, którą ułożył dla tej *Junty antyków* a ukochanych towarzyszków broni.

„Do dawnych czasów nie wrócim,  
Więc zgięci lata nie skaczem;  
Tylko się dręczym lub smucim,  
I coraz częściej zapłacem!  
Ale nawet i ta pora,  
Częstokroć przyjemną bywa,  
Jest to pogadanka tkliwa  
Wpóśród parnego wieczora,  
Z doświadczonego przyjacielem,  
O tém, co sero naszych celem.  
Zawsze się na starość żalim,  
Zbiegłe tylko czasy chwalim;  
Zaledwie wiemy, że czujem.  
Życie liczym na godziny,  
I jak pajak z pajęczyny,  
Z tego wielkiego przędziwa,  
Które lada wietrzyk zrywa,  
Pociechy snujem!”

W gromadce tych *antyków* odznaczał się zasłużony wojownik a następnie obywatel Piotr Bazyl Wierzbicki, pułkownik starszy wiekiem od Luxa. Za panowania Stanisława Augusta służył w pułku 10 piechoty Działyńskiego, później w wojsku francuzkiém, w ostatku w Legionach włoskich, walczył w Italii, na Korsyce, St. Domingo, towarzyszył Napoleonowi I na wyspę Elbę, odbył kampanię 1812 r. i pod Lipskiem dostał się do niewoli. Wróciwszy do kraju osiadł we wsi swojej Jędrzejniki w powiecie Stanisławowskim, na dawném Mazowszu a następnie w Warszawie, gdzie w czasie grasującej cholery umarł w sierpniu 1852 r., przeżywszy lat 86 wieku.

Wierzbicki, jako towarzysz broni Luxa jeszcze z wyprawy na St. Domingo, był codziennym gościem u niego, a Lux mu czytywał wypracowane ustępy z historii legionów. Obdarzony wielką pamięcią, której do ostatnich chwil życia, starość nie osłabiła, niemają był pomocą Luxowi przy ostatniej redakcyi tych dziejów; pamiętał bowiem nie tylko imiona i nazwiska wszystkich oficerów, ale najdrobniejsze szczegóły i daty jaknajdokładniej. Ta pamięć i wdzięk opowieści, odznaczały starca i jedyna mu serca słuchaczy. Ale pisać nie lubił i pióra niecierpiał. Co za nieodżałowana szkoda dla nas, że Wierzbicki sam nie chciał spisać własnych wspomnień; gdyby zachował w nich to życie i powab, jakie miały jego opowiadania, byłoby to dzieło niezawodnie pamiętnikiem nowszych czasów, równiej wartości jak stary nasz Pasek.

Słuchał on uważnie co mu czytywał Lux, robił swoje uwagi, a niekiedy poprawiał lub dodawał w imionach oficerów lub datach.

Lux ukończył mozolną pracę; rękopism jego obejmował 1002 str. drobnego pisma, wziął go do przejrzenia Wierzbicki i już więcej prawdziwemu autorowi nie oddał. Daremnie Lux upominał się o swoją własność, zbywał go rozmaitemi pozorami, przyszło do ostrego starcia pomiędzy starymi przyjaciółmi, ale i to nic nie pomogło.

Lux głęboko dotknięty tak niegodnym postępkami towarzysza broni, niemało cierpiąc, umarł w dniu 16 lipca 1846 r. Czekał na to Wierzbicki, albowiem w pół roku po jego zgonie, dla pokrycia swój grabieży, w *Bibliotece Warszawskiej* w tomie I z 1847 r. wydrukował z pamiętnika Luxa mały wyjątek pod swoim imieniem.

Po śmierci Luxa, wiedząc o całym postępowaniu Wierzbickiego, udałem się do pozostałej wdowy autora historii legionów, ale już z nich tylko mały ustęp z wyprawy na St. Domingo znalazłem; w rękopismach zaś pozostały wspomnienia o Anglii w języku francuzkim p. n. *L'Angleterre vue à Londres et dans ses Provinces en 1804* (arkuszy 10 folio) i drugi po polsku: *Wyspa San-Domingo pod względem statystycznym opisana, według notat porobionych na miejscu 1805 i 1806 roku*. Opis ten wydrukowałem w *Bibl. Warsz.* w roku 1854, w której téż pomieściłem i uroczystą protestacyą Luxa, co do zaboru jego rękopismu.

Lux, w upominaniu się daremnem o swoją własność, udał się do generała Wincentego hr. Krasińskiego, który znając *historię legionów* w rękopiśmie, wydał mu świadectwo, że takowa jest wyłączną pracą Kazimierza Luxa.

Po śmierci Wierzbickiego, rękopism pomieniony został w rękę jego rodziny i dopiero z niemałą radością dowiaduję się, iż nabył go od wdowy pułkownika J. I. Kraszewski. Z niego korzystał p. Władysław Kosiński i wstęp swój wyjątkami z niego ubogacił, przywodząc zawsze jako autora Bazylego Wierzbickiego. My obszerniej nad całą tą sprawą rozwiędliśmy się, wiedzeni obowiązkiem sumienia, ażeby oddać hołd prawdzie i téj drogocennej *historii legionów* przywrócić właściwego autora, któremu lubo poza grobem, wymiar sprawiedliwości oddanym być winien. Niech to pocieszy chociaż cienie zacnego Luxa, który z goryczą w sercu umierał, mając skarb swój najdroższy wydarty.

Pamiętnik ten, nieocenionej wartości co do treści swojej, w stylu ma wiele uchybień; niedziwota, sędziwy wojak więcj wprawny był do szabli niż do pióra, do którego wziął się na dobre dopiero, gdy zrzucił mundur. Z pozostałych rękopismów tak poglądu na Anglią, jak opisu wyspy San-Domingo, widzimy w Luxie umysł wyższy spostrzegawczy i głębsze wpatrywanie się w obrany przedmiot. Zaczny, szlachetny, skromny co do swych zasług, a miłujący prawdę, z największą ścisłością w pisaniu *historii legionów* postępował; czerpiąc nietylko w mnóstwie notat, które następane na miejscu pod świeżem wrażeniem, umiał przechować, ale następnie, gdy miał jakakolwiek wątpliwość, zasięgał

zdania od swych towarzyszków broni. Ztąd też nienadaremnie polega p. Wład. Kosiński na podaniach jego, które zawsze znajdował zgodne z innemi źródłami.

Lux znał z bliska Dąbrowskiego jak Amilkara Kosińskiego i obudwu wysoko cenił, tak z prawości uczuć, jak i zdolności wojskowych; tymczasem we wstępie dzieła, o którym mówimy, następuje się myśl, że autor podnosi postać Amilkara Kosińskiego z ujmą dla Dąbrowskiego. Poróżnienie chwilowe pomiędzy nimi, nie trwało długo i szlachetnie sobie wzajem urażę przebacząc, pozostali dozgonnymi przyjaciółmi. Sam Amilkar oddał hołd należny pamięci zmarłego wojownika w mowie pogrzebowej.

„Do cnot obywatela z mężstwem i roztropnością wodza, ztąd nieugięta w przeciwnościach stałością mędrca, generał Dąbrowski łączył wszystkie domowe cnoty: najlepszy z ojców, był jednym z najczulszych małżonków, stały w przyjaźni, uraz niepamiętający, skromny w pożyciu, ludzki w pośród wojennej wrzawy, łagodny i przystępny dla wszystkich, był on wsparciem nieszczęśliwych, był stroskanych pociechą.”

Przywołując w zbiorze dokumentów i tę mowę w całości Amilkara Kosińskiego, nie pomijemy dlaczego autor przytacza ustęp z dzieła: *Czterej ostatni wodzowie*, którego twórcą mieni być generała Prądyńskiego, z ciemnej strony malujący Dąbrowskiego, robiąc mu zarzuty niczem nieuzasadnione, błabe i dziecinne, że urodził się Niemcem i dobrze po polsku nie mówił; ostatni zarzut prawdziwy, ale to była wada wychowania z lat dziecinnych; z tego też powodu książe Józef Poniatowski lepiej wystawiał się po francuzku, niż mówił po polsku, a nie brano mu tego za złe wcale. Autor nie poprzestał na pociąganiu ciemnym cieniem wizerunku Dąbrowskiego, jakoby pędzłem Prądyńskiego; dodaje jeszcze dla większego uwydatnienia stron ujemnych, słowa generała Franciszka Morawskiego podającego się przez lat jedenastcie za jego szefa sztabu i świadczącego, że znał go najlepiej. Na szyderstwo jakie widzimy w słowach żołnierza-poety z Dąbrowskiego ubioru, podług naszego zdania, wojownik ten nie zasłużył, że „nosił kurtę sarmacką, któraby piwniczemu Batorego ledwie do kroju przypadła;” resztę dla przyzwoitości dosadne wyrażenia opuszczamy. Na to odpowiemy słowami z listu Prota Lelewela, który służył pod Dąbrowskim i znał go z bliska:

„Kurta jego, był to mundur kawaleryi narodowej b. Rzeczypospolitej; taką nosił 1794 r. w brygadzie Byszewskiego, taką pod Powązkami, taką w wyprawie Wielkopolskiej przeciw Prusom, w której Madaliński, chociaż w stopniu starszy, dobrowolnie poszedł pod zwierzchnictwo Dąbrowskiego. Kurtę tę przynosił on nad hafty generalskie. W tej kurcie znał go żołnierz, gdy prowadził do krwawego boju i zwycięstwa.”

Co do lat jedenastu wspólnego pożycia czyli od r. 1807 do 1818, t. j. do jego zgonu, że pełnił Morawski przy Dąbrowskim bez przerwy obowiązki szefa sztabu, w tymże liście Lelewela znajduje sprostowanie.



„W kampanii 1809 r., którą Dąbrowski z Amilkarem Kosińskim w Wielkopolsce prowadził, Morawski służył w piechocie, i przy szturmach Sandomierza nieszczęśliwie popadł w niewolę austryacką. W r. 1812, w czasie tych wojen, był szefem sztabu w dywizyi XVIII dowództwa Kniaziewiczza, a zawsze zdala od korpusu, którym dowodził Dąbrowski. W kampanii od roku 1809 do 1812, przy Dąbrowskim szefem sztabu był Cedrowski, a w 1813 Mycielski.“

Tak mi pisze naoczny tamtych czasów świadek, który pod Dąbrowskim odbył kampanią 1813 r., przyznając zarzut temuż zrobiony a we wstępie podany, że nie miał daru w ocenianiu ludzi: Dąbrowski sam zacy, nie podejrzewał o nikczemność drugich, a tacy najwięcej mu szkodzili, i w tej wadzie dotrwał on przez ciąg całej czynnej służby. Gdy wszelako przypatrzymy się i drugiemu wodzowi, księciu Józefowi Poniatowskiemu, zobaczymy, że i on od tej wady nie był wolny, dając ucho łatwe pochlebcom i wierząc ich słowom. Kiedy przyjdzie czas właściwy, gdy badacz sumienny zgłębi zasługi i poświęcenie Dąbrowskiego, przyznać musi, że Dąbrowski, z pośród wojowników tamtego okresu, stoi najwyżej i wart szpizowego pomnika, jak w sercach naszych wdzięcznej pamięci. Kościuszko cenik wysoko zarówno jego zdolności wojskowe, męstwo, jak i poświęcenie.

Miał Dąbrowski licznych nieprzyjaciół, jak każda wyższość odznaczająca się zastugą i zdolnością; dość tu przytoczyć niecny paszkwil, drukowany p. n. *List generała Wojczyńskiego do generała Dąbrowskiego*, którego nie zna widać nasz autor. Twórca tak ohydnego paszkwilu, użył zacnego imienia na pokrycie swój nikczemnej obelgi, i rozrzucił jeszcze za życia Dąbrowskiego po kraju. Dość tu na zbicie tej potwarzy, odczytać mowę pogrzebową Amilkara Kosińskiego, którą uczcił pamięć swego towarzysza broni i wodza.

Idąc za objaśnieniem Prota Lelewela, sprostować jeszcze winniśmy omyłkę, jaką we wstępie szanowny autor popełnił. Dwu było Aksamitowskich: — Aksamitowski szef artyleryi, podany za faworyta Dąbrowskiego, miał imię *Wincenty*, służył w legionach, w roku 1813 był w korpusie Dąbrowskiego, i służył w stopniu generała brygady, nie będąc w czynnej służbie w r. 1828; drugi Aksamitowski *Józef* w stopniu pułkownika, był za czasów Królestwa Polskiego w armii, pełniąc obowiązki majora placu miasta Warszawy, i dobrze był jej mieszkańcom znany.

Zwraca też uwagę szczegół podany, że książe Sułkowski, którego gorące uczucia znamy, miał się sprzeciwiać formacyi legionów. Wartoby tę wiadomość krytycznie zbadać. Że o tém głośno mówiono w legionach, widzimy z pamiętnika Luxa; wojownik, który zginął w Egipcie, musiał motywować w owe czasy zdanie, gdy je głośno objawiał. W tym przedmiocie, rzuca niemałe światło list z Paryża pomienionego Sułkowskiego (str. 311, Nr. 77), pisany do Andrzeja Świderskiego, w Liwornie przebywającego.

Oprócz dokumentów dotyczących samego Amilkara Kosińskiego i jego działalności we Włoszech od 1795 do 1803 roku, znajdujemy w oddziale II dzieła, korespondencye nie dotyczące bezpośrednio wojskowych czynności. Są tu listy generała Rymkiewicza, Haukego (późniejszego, za czasów Królestwa Polskiego, ministra wojny) i wielu innych wydatnych postaci. Najwięcej zajmujące są listy Cypryana Godebskiego (poległego w r. 1809 pod Raszynem), które ważnym są przyczynkiem do jego zyciorysu. W nich Kosińskiemu opisuje prace i działalność Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, mówi o ówczesnych literatach, i dołącza ciekawy pamiętnik oblężenia Mantui 1799 r., której garnizon, oprócz Włochów, Szwajcarów i Francuzów, składały: artylerya i legia polska pod dowództwem generała Wielhorskiego. Pamiętnik ten, jako przez naocznego świadka spisany, wysoką ma wartość: całe oblężenie téj warowni opisuje szczegółowo Godebski, i smutną kapitulacyą w d. 27 lipca tegoż roku.

Nie możemy też pominąć *Historji artylerji polskiéj*, napisanej przez Aksamitowskiego, szefa brygady.

Widzimy z tego sprawozdania, jak bogaty dzieło to zawiera materiały do historyi legionów włoskich, i że bez niego żaden badacz zabierać się nie może do kreślenia tych dziejów.

Za najznakomitszą w tym przedmiocie monografią, uważamy pamiętnik Kazimierza Luxa, i zanosimy do dzisiejszego jego właściciela J. I. Kraszewskiego gorącą prośbę, ażeby druk téj pracy, szczęśliwie w rękopiśmie przechowanej, przyśpieszył. To co wydał p. Władysław Kosiński, za co mu, powtarzamy, wdzięczność nasza należy się, może nie jedną rzecz sprostować, uzupełnić nawet przy druku pominiętej monografii. Wtedy dopiero, mając na pamięci i pamiętnik H. Dąbrowskiego, będziemy mogli powiedzieć, że mamy najpełniejszą historyą legionów we Włoszech, których szkic słaby dał nam Leonard Chodźko w dwutomowym swoim dziele po francuzku, wydaném w Paryżu 1829 roku.

K. Wł. Wójcicki.

D. 16 maja 1877 r.

---

*Opis dzienny szkół Wileńskich, Akademii i Uniwersytetu, oraz dyaryusz znaczniejszych wypadków w Wilnie od roku 1781 po rok 1824 nastających.* Z autentycznego dokumentu ogłosił Władysław Tekielński na korzyść trzech ubogich sierot. Wilno. Drukiem Józefa Blumowicza 1876 r. (w 12-ce str. 167).

Przyczynek ten zajmujący do historyi szkół na Litwie a głównie wileńskich, składa się z dwu części. Pierwsza p. n. „Dzieje domowe



albo opis przez dni osobliwszych dziejów i wypadków zdarzonych w szkołach wydziałowych wileńskich. Zaczęty w miesiącu wrześniu roku 1781 roku, a doprowadzony do roku 1824 (od str. 5—120).“ Druga ma napis: „Opis dzienny osobliwszych zdarzeń, wynalazków i doświadczeń w miejscu szkół lub w bliskości ich wydarzonych, oraz zapisywanie uczniów wychodzących ze szkół za patentem. Zaczęte w roku 1814, za numerami lub przy niedokończeniu nauk, za prostym świadectwem, a doprowadzone do r. 1824 (od str. 125—167).“

Pierwsza rozpoczyna się z dniem 29 września 1781 r. z otwarciem szkół wydziałowych, podług ustawy komisji edukacyjnej.

Autor tych „dziejów domowych,“ wiele tu dodaje szczegółów i zarazem zwraca uwagę na współczesne wydatniejsze zdarzenia w Wilnie. Tak wspomina 10 października procesją z kościoła katedralnego do po-Jezuickiego, Ś-go Kazimierza, na podziękowanie Bogu za zwycięstwo pod Chocimem, a zarazem o otwarciu trybunału W. Ks. Litewskiego pod łaską Romanowicza. Dając opis szczegółowy uroczystości kościelnych, mówi o otwarciu prelekcji w Akademii wileńskiej. Widzimy ztąd obszerny program téj Akademii. Wykładano w niej bowiem filozofią, prawo cywilne, prawo rzymskie, prawo narodowe, język grecki i łaciński, fizykę, historią naturalną; wydział lekarski posiadał odpowiednie katedry. Z profesorów wymienionych mamy ks. Bernarda Syrucia, ks. Kazimierza Rogowskiego, Tadeusza Kundzicza; doktorów: Regnier'a, Stefana Bisio, Jana Emanuela Giliberta; nadto powiekszali to grono: Józef Mickiewicz dr. fil., wykładający fizykę, ks. Michał Olechnowicz, prawo narodowe. Rektorem Akademii był ks. Poczobut.

Autor jakkolwiek zajęty sprawami szkół i akademii, nie pomija, jak namieniliśmy i pobocznych zdarzeń. Tak rozpisuje się o dniu imienin księcia Czartoryskiego generała ziem Podolskich, uroczyście w Wilnie obchodzonym. Artylerya litewska stu wystrzałami z dział zapowiedziała to święto dla potężnego możnowładcy.

Spalono niemało prochu, gdy w późniejszej kampanii 1792 roku zabrakło ładunków.

W następnym roku przybywa do Wilna ks. Piramowicz kanonik katedralny kamieniecki, sekretarz komisji edukacyjnej, jako wizytator szkół w Koronie i Litwie, znany chlubnie w literaturze naszej, będąc obecnym na popisie publicznym uczniów ze szkół, rękopism obejmujący ten rodzaj kroniki własnoręcznie podpisał. Widać z tego i następnych poświadczeń, że utrzymywanie w tym rodzaju dzienników było obowiązkowe i wizytatorom przedstawiane.

Znajdujemy opisy wykładu fizyki wraz z doświadczeniami, jakie wówczas nauka wskazywała; obok tego powtórne otwarcie trybunału głównego W. Ks. Litewskiego pod łaską księcia Radziwiłła wojewody mińskiego; uroczystych procesji kościelnych, w których udział brali uczniowie wszystkich szkół, jak i akademii. Pod r. 1783 w czasie zapust, księżniczka Radziwiłłówna córka marszałka trybunału, dobrawszy odpowiednie grono, odegrała w sali refektarza b. kolegium Jezui-



tów komedią: *Syna Marnotrawnego*, w wyborném naśladowaniu St. Trembeckiego.

Oprócz popisów publicznych, uczniowie składali egzamina miesięcznie, w obec rektora i profesorów. Komisya edukacyjna w przepisach swoich czuwała nad religijném i moralném wychowaniem młodzieży, ztąd często spowiedź i udział w obchodach kościelnych. Obok tego jednakże starała się obudzać wielkie wspomnienia historyczne. We wrześniu 1783 r., jako w stuletnią rocznicę pamiętnego zwycięstwa nad Turkami i oswobodzenia Wiednia przez króla Jana Sobieskiego, rozporządziła uroczysty obchód w Wilnie, wraz z solenném nabożeństwem. Mamy tu, szczegółowy opis tego obchodu, który w pamięci odżywił sławny pogrom chorągwi Mahometa i dzielność rycerstwa polskiego.

Dziennik ten kończy się z rokiem 1791. Siedem lat następuje przerwy; wszystko przybiera inną postać, zmienia się cały koloryt czasu i ludzi. Obok szkolnej kroniczki, zapisane czytamy obchody rocznicy urodzin i koronacyi cesarza Pawła Piotrowicza.

Pod datą 17 czerwca 1803 roku zapiska mówi, że „w sali inspektorskiego Uniwersytetu wileńskiego odprawiła się uroczystość publicznego czytania dyplomu,“ mocą którego cesarz Aleksander I, Uniwersytet powyższy utwierdza i pod dostojną swą opiekę bierze.

Na tém kończy się część pierwsza i następuje przerwa lat jedenastu, albowiem część druga rozpoczyna się od r. 1814 i obejmuje wiadomości z lat 10 do 1814 r.

W Uniwersytecie następują zmiany profesorów, tu widzimy występujących: Euzebiusza Słowackiego (ojca Juliusza), Leona Borowskiego, — usuwającego się z rektorstwa Uniwersytetu, Jana Śniadeckiego, po którym tę godność obejmuje Szymon Małewski, Ignacego Szydłowskiego, Jędrzeja Śniadeckiego, Jundziłła i w. i.

Zajmującym jest w końcu podany regestr wydanych patentów i świadectw od 24 stycznia 1811 r. W szeregu tym znajdujemy bardzo wielu uczniów, którzy później szeroki dla swych imion zdobyli rozgłos. Pomiędzy innymi wspomnieć tu musimy ucznia VI klasy w 1812 roku, Michała Balińskiego, jednego z grona pierwszych założycieli Biblioteki Warszawskiej i Wacława Żylińskiego, następnie arcybiskupa Mohylewskiego i metropolity rzymsko-katolickich kościołów w cesarstwie Rossyjskiém.

Książka ta napozór treści suchej, stylem pełnym prostoty pisana, zawiera mnóstwo drobnych szczegółów, tak dla historii Wilna, jako téż i zakładów naukowych nieobojętnych. Ztąd dla miłośnika przeszłości jest cennym a zarazem i miłym upominkiem. R.

## KONKURS.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, na posiedzeniu swém dnia 19 maja r. b. odbytém, postanowił ogłosić i niniejszém ogłasza konkurs malarski, warunki którego są następujące:

*Temat.* „Figura naturalnej wielkości, przedstawiająca geniusza sztuk pięknych.“

Rysunek ma być kartonowy kolorowany, do wykonania na szkle okna, mającego ozdobić dolne schody, prowadzące do sali wystawy Towarzystwa w teraźniejszym jego lokalu.

Ornamenty wypełniające resztę okna, mającego w świetle wysokości cali 105, szerokości cali 52, zostawiają się do uznania autora z warunkiem zastosowania takowych do malowania na szkle.

*Termin* przedstawienia prac konkursowych oznacza się na dzień 17 września r. b.

*Nagroda* konkursowa wynosi rs. *sto*.

Rysunek pozostanie własnością Towarzystwa.

Za vice-prezesa Towarzystwa, członek komitetu

*Gerson Wojciech.*

P. o. sekretarza komitetu

*Kosmowski Ignacy.*

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Maj 1877 r.* — Dnia 5 maja r. b., w wielkiej sali Resursy Obywatelskiej, zgromadziło się około 300 osób, jako wielbicieli wzniosłego talentu twórcy *Pochodni Nerona*, Henryka Siemiradzkiego, dla uczczenia go w gronie braterskim. Zebranie to miało charakter czysto rodzinny. — Dostojni rodzice artyści, jak jego małżonka i rodzeństwo, wprowadzeni przy odgłosie staropolskiego poloneza Kurpińskiego, zasiedli przy godowym stole. W końcu biesiady, pierwszy przemówił Wojciech Gerson, jako przedstawiciel sztuki malarskiej w Warszawie i zarazem wiceprezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, podnosząc znaczenie artysty w dziedzinie sztuki polskiej. Po nim przemówił Wacław Szymanowski redaktor *Kuryera Warszawskiego*, w wymownych słowach pięknie uwydatnił główną myśl utworów młodego mistrza, które wydatnieją w *Jawnogrzesznicy*, w *Elegii* i w *Pochodniach Nerona*. Odczytano wiersz Gomułickiego, myślą jak formą artystyczną i językiem odznaczający się, a umyślnie napisany dla uczczenia tej uroczystości; poczem zabrał głos znany oddawna improwizator Karol Kucz, i przemową swą, prozą i wierszem wszystkich rozrzewnił. Oto ustęp z tej improwizacji:

Kiedy szczęśliwym dla nas trafem losu  
Stałeś dzisiaj wśród murów Warszawy,  
Z imieniem pełnym świetnego rozgłosu  
I zaśluzonej sprawiedliwie sławy;  
Nie dziw się przeto, że my dumni z Ciebie,  
Jako współbrata jednej krwi i kości,  
Nie zapomnieli o soli i chlebie,  
Według prastarzej polskiej gościnności.  
O! niech ta uczta, co jakby ogniwem  
Jednoczy wszystkich pod braterstwa znakiem,  
Zarówno sercem, jak słowem życzliwem  
Złączy rodaków z ich gościem rodakiem.

.....Dziś Twoja sława  
Brzmi tak rozgłośnie nawet w obcej stronie,  
A wspólna macierz ta stara Warszawa  
Wije oddawna wieńce na tve skronie.  
Wszak oklask matki dla jój własnych synów,  
Uścisk jój dłoni, jedną lżą zwilżony,  
To najpiękniejszy listek z ich wawrzynów,  
To najświetniejsza perła z ich korony!



W ostatku przemówił w imieniu artystów dramatycznych Jan Królikowski, i zakończył wymowny swój głos temi słowy:

„Ile razy wspomnienie téj chwili zawita do twojej piersi, serce twe silniej uderzy, kiedy

Przebiegniesz myślą po niwach ojczystych,  
I skąpiesz ducha w falach Wisły czystych!

„Wówczas pamiętaj o *nas*, o wszystkiem co nam najdroższe — kochaj *nas* i twórz arcydzieła na chlubę naszego kraju.“

Wspomnieć nam tu należy, że dwa utwory pędzła H. Siemiradzkiego pozostaną w kraju: *Jawnogrzesznica* dawniej nabyta, a obecnie *Sprzedaż amuletów*, kupiony za 3,000 rs. (złp. 20,000), przez jednego ze zwolenników sztuk pięknych.

— Towarzystwo Warszawskie Lekarskie założone w roku 1820, pół wieku już z górą przeżyło. Pierwszy tom *Pamiętnika* jako organu tego Towarzystwa zaczął wychodzić od r. 1837 pod redakcją doktorów Andrzeja Janikowskiego, Le-Bruna, Lebla, Leo, Köhlera i Wilhelma Malcza. Wszyscy już spoczywają w mogiłach.

W dniu 19 maja r. b. w sali hotelu Europejskiego zebrało się sześćdziesięciu lekarzy, członków tutejszego Towarzystwa lekarskiego, na wspólną wieczerzę, w celu uczczenia zasług d-ra Stanisława Kościńskiego położonych dla tegoż Towarzystwa.

Dr. Kościński od lat siedmiu spełnia bezinteresownie obowiązki bibliotekarza w Towarzystwie lekarskiem; jak zaś je spełnia dowodzą owoce jego mozolnej pracy.

Ułożył katalog kartkowy bogatego księgozbioru Towarzystwa, 7000 dzieł wynoszącego, a nadto wydał w obszernej książce: „Spis rzeczy zawartych w 72 tomach Pamiętnika Tow. Lekars. Warsz. za czas 40 letni.“

Jest to więc dzieło bibliograficzne wymagające kilku lat pracy mozolnej.

Bez tego spisu z trudnością przychodziło odszukanie jakiej ważnej wiadomości, zdobytej na polu krajowej medycyny przez światłych badaczy.

Trudność ta odstręczając od bogatej skarbnicy jaką jest Pamiętnik tutejszego Tow. lekar., wyradzała nawet obojętność do rzeczy swojskich.

To też podjęty przez d-ra Kościńskiego trud nie mógł pozostać bez wrażenia a złożone przezeń dzieło na posiedzeniu Tow. w 40-letnią rocznicę wydawnictwa Pamiętnika lekars., skłoniło członków rzeczownego Towarzystwa do oddania autorowi publicznie należnego hołdu.

Całe uznanie kolegów tak słusznie przypadające w udziale dr. Kościńskiemu, w sympatycznej przemowie wyraził prezes Tow. dr. Hoyer wznosząc na cześć jego toast; nadto doręczając mu przy téj spo-

sobności bogato w srebro oprawne album, w którym zawarte zostały fotografie członków Towarzystwa lekarskiego.

Na albumie tém umieszczono napis: „Stanisławowi Kościńskiemu wdzięczni koledzy, w dniu 19 maja 1877 roku.”

Oprócz tego Towarzystwo przez usta doktora Stummera wyraziło podziękowanie małżonce dra Kościńskiego, która pomocą swoją przyspieszyła sporządzenie katalogu biblioteki. Pani Kościńskiej ofiarowano wielkich rozmiarów bukiet.

— W końcu marca, bo dnia 26 r. b., ukazała się na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie, komedia Aleksandra hr. Fredry: *Wielki człowiek do małych interesów*. Jest to spuścizna pośmiertna po wielkim komedyo-pisarzu. Publiczność nasza przyjęła ją z niesłychanym zapałem i upodobaniem; a przedstawienia jęj codzienne prawie, przepełniają salę tego teatru. Mistrzowska gra naszych artystów, a szczególnięj głównych postaci, jak p. Żółkowskiego, panien: Popiel i Deryng, jak i p. Tatariewiczza, nie wspominając i innych grających, przyczyniła się do tak świetnego powodzenia, którego niemiałoby żadne z dzieł dramatycznych od lat wielu na scenie warszawskiej. Ocenę estetyczną tego utworu, najgruntownięj napisaną, mamy w *Kłosach* przez prof. F. H. Lewestama.

— Z drukarni *Gazety Lekarskiej* wyszło: „Szóste sprawozdanie z Instytutu Oftalmicznego, imienia Edwarda księcia Lubomirskiego w Warszawie, za rok 1876, przez Witolda Narkiewicza-Jodko, doktora medycyny“ (w 8-ce, str. 7. Jest to odbitka z *Gazety Lekarskiej*).

— Redakcja Biblioteki Umiejętności prawnych ogłosiła prospekt na publikacyą oddzielną p. n. *Zbiór praw, postanowienia i rozporządzenia rządu w guberniach Królestwa Polskiego obowiązujące, wydane po zniesieniu w 1871 roku urzędowego wydania Dziennika Praw Królestwa Polskiego*. Już tego wydawnictwa wyszło dwa tomy obejmujące prawodawstwo 1871 i 1872 r. Tom trzeci, rok następny obejmie, dalsze tomy w krótkich po sobie odstępach ukazywać się będą. Każdy tom tak w Warszawie, jak z przesyłką pocztową kosztuje rs. 1 kop. 50 (złp. 10).

— Wyszła u Al. Ginsa broszurka: „O wozie pomysłu p. Wajcherta napisał Roman Schramm, Inż. dr. Zel. W. W. i W. B.“ (Warszawa 1877. w 8-ce str. 9 z dokładnym rzsunkiem nowego wozu). Jestto odbitka z *Przeglądu Technicznego*.

— Badacz starożytności krajowych i etnograf ks. Władysław Siarkowski, ciekawy podaje w *Gazecie Kieleckiej* szczegół o żałobie po świętym Stanisławie:

„Przed dwoma laty, podróżując w Miechowskiem i cząstce powiatu Olkuskiego ku granicy austryackiej, w pogawędce z ludem dowiedziałem się, iż wypustki czerwone u białych sukman, używane tu powszechnie (w Proszowskiem czarne), jest to żałoba po św. Stanisławie, który, jak wiadomo, śmierć meczęńską z rąk króla Bolesława Śmiałego poniósł. Nie dowierając w tym względzie opowieści, a chcąc za-



czerpnąć pewniejszej jeszcze wiadomości, czy rzeczona wieść tylko w przytoczonych miejscowościach krąży, czy też uzyskała prawo obywatelstwa w szerszym zakresie dawniej Rzeczypospolitej, odniosłem się do znanego etnografa Oskara Kolberga z prośbą o zawiadomienie, czy się nie zdarzyło mu w obcowaniu z ludem stron galicyjskich podobnej wersji usłyszeć? Uczony etnograf odpisał mi łaskawie, iż to co mówią o znaczeniu wypustek czerwonych u białych sukman, ma pod Wielizką takową wersją: „Że jest to pamiątka przelanej krwi Św. Stanisława, która promieniami trysnęła z pod ciosów miecza królewskiego.“ Sądzę, że wiadomość o patronie męczenniku tutejszego kraju nie będzie obojętną dla wielu czytelników. Przytęm nadmieniam, że życie tego świętego męża pierwszy skreślił rodak naszego miasta Wincenty z Kielc, Dominikanin, za czasów biskupa krakowskiego Jana Prandoty (1242 † 1266). Na granicy powiatu Kieleckiego we wsi Tarczku (pow. Solecki gub. Radomskiej) jest kościół murowany, godny widzenia dla osobliwej struktury staroświeckiej, w całości do czasów obecnych przechowany, który Św. Stanisław konsekrował.“

— W dzienniku *Echo* znajdujemy zajmującą korespondencją ze Żmudzi, a w niej ważne cyfry statystyczne tej krainy. Gubernia Kowieńska posiada ludności 1,326,784 osiadłej na przestrzeni 738,007 mil kwadratowych. W liczbie tej 64,000 szlachty, 240,000 żydów, włościan 677,059, mieszczan 333,506, resztę ludności składają urzędnicy, duchowni i wojskowi. Hodowano na Żmudzi w r. 1875 owiec krajowych 320,865, koni rasy wyłącznie miejscowej znaniej pod nazwą „Żmudziaków“ 325,000; była 540,000, kóz 54,009, osłów i mułów 14 sztuk, w końcu nierogaczyny 316,000.

— W dniu 3 maja r. b. o godzinie 12 w południe odbyło się doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie, które zagaik następującą przemową Alfred hr. Potocki, namiestnik Galicyi, zastępcza protektora akademii:

„W imieniu Najdostojniejszego protektora, JCW. Arcyksięcia Karola Ludwika, mam zaszczyt zagaik posiedzenie i powitać Was Panowie!

„Rok poważnej pracy i znakomitych zasług na polu nauki dzieli nas, moi Panowie, od chwili, kiedy miałem zaszczyt powitać Was, zgromadzonych na doroczne posiedzenie. Rok ten obfity był w owoce badań i trudów tej dostojnej instytucji, która oddając coraz liczniejsze zasługi około uprawy umiejętności, nabywa coraz nowych praw do czci i wdzięczności kraju, i coraz bardziej utrwała przekonanie, że w rozwoju nauk zajmie świetną kartę. Jeżeli spojrzenie w przyszłość tak młodej jeszcze, a tak pomyślnie rozwijającej się instytucji przejmować musi najlepszą otuchą, to przeszłość obok widoku bogatych planów i zdobyczy naukowych przemawia do nas rzewném wspomnieniem tych znakomitych mężów, których śmierć wywarła z tego grona i od prac dla nauki. Wodząc okiem po naszym zgromadzeniu, nie doliczymy się kilku członków, z których imionami wiąże się długi szereg badań



i dzieł wysokiego znaczenia, których pamięć przechowa historia naszej literatury.

Bolesne to uczucie koi nadzieja, że szereg tak przerzedzony zawrze się znowu, że w piękne ślady odwołanych z tego świata pracowników, wstąpią nowe, niemniej dzielne siły.

Spełni się tym sposobem nadzieja kraju, spełni dobra wróżba, jaką powitał kraj w tej instytucji, spełnią się wspaniałomyślne zamiary Najjaśniejszego Pana, naszego Miłościwego Monarchy, wiekopomnego twórcy tej akademii."

Następnie zabrał głos prezes akademii, dr. Majer, oświadczając, że nie słowami odpowiadać będzie na pochlebne wyrazy zastępcy prorektora akademii, lecz za odpowiedź służyć winien obraz jej czynności całorocznych, tudzież rozwoju jej sił. Siły w roku ubiegłym świetnie się rozwijały, a nowe zapisy i dary dobrą dla przyszłości są zapowiedzią. Prezes wspominał o zapisach ś. p. Szalaya, połowę czystego dochodu z Zakładu zdrojowisk Szczawnicy, o zapowiedzianym zapisie p. Rychcickiego, o kilku znacznych darach, nadesłanych z Warszawy i fundacjach, o które układy właśnie się toczą. Niemniej wzbogaciły się w roku ubiegłym: biblioteka, zbiory naukowe i artystyczne, między innymi, znakomitą dziełem sztuki, posągami Kopernika Gadomskiego, darem hr. Arturowej Potockiej. Przedstawiwszy rozwój sił materialnych i zasobów naukowych akademii, prezes przeszedł do bolesnych strat, jakie w swoim składzie poniosła. Poświęcił on kilka rzewnych słów wspomnienia zastępowi mężów, którzy wystąpili z szeregu. Najpierw wspominał dwu członków czynnych, którzy nie uzyskali potwierdzenia obcych rządów: Maurycego Manna i Bolesława Podczaszyńskiego. Oprócz nich, dziesięciu członków straciła akademia: Franciszka Palackiego, Ludwika Wołowskiego, Augusta Bielowskiego, Aleksandra Fredrę, ks. Fr. Pawłowskiego, Antoniego Walewskiego, trzech członków-korespondentów, a w ostatnich tygodniach członka czynnego hr. Maurycego Dzieduszyckiego.

Następnie sekretarz akademii, dr. Szujski, odczytał sprawozdanie z ruchu naukowego, którego wstęp i konkluzya pełne głębokich poglądów o powołaniu akademii w obec narodu, wywołały silne na obecnych wrażenie.

Odczyt członka akademii p. Lucyana Siemieńskiego o księciu Józefie Poniatowskim, urozmaicił posiedzenie, mające prawdziwie akademicki charakter.

Na zamknięcie, sekretarz akademii odczytał listę kandydatów. Wybrani zostali korespondentami na oddziale matematycznym: dr. Szymon Syrski, dr. Izydor Kopernicki, dr. Julian Grabowski. Na wydziałach I i III, które w ostatnim roku najbardziej zostały przerzedzone, dla formalnych przyczyn wybory musiały być odłożone.

— Badania przeszłoroczne na Podolu Galicyjskim znanego badacza i archeologa A. H. Kirkora, utorowały drogę do dalszych poszukiwań, w tej zupełnie nieznaną pod tym względem, a tak bogatą kra-

nie w zabytki pierwotne. Dowiadujemy się, że i w r. b. w czerwcu, z polecenia Akademii Umiejętności, członek jej, tenże sam A. H. Kirkor, oraz niedawno wybrani członkowie Akademickiej Komisji Antropologicznej: hr. Szczęsny Koziebrodzki, Tomasz Horodyski i Władysław Przybysławski, rozpoczną badania na większą skalę *tumulusów* i grobów kamiennych, kurhanów, cmentarzysk i t. p., na porzeczu Dniestru, po nad Zbruczem, Seretem, Strypą i wielu innemi. W badaniach tych mają wziąć udział, jak niemniej przyczynić się do kosztów, niektórzy z ziemian podolskich. Pociuszający jest to zaprawdę objaw, popierania badań naukowych przez miejscowych obywateli.

— Przemysł koszykarski pod Krakowem może dać zamożność ludowi z Zachodniej Galicyi. W trzech wsiach, dzięki wytrwałej a umiejętniej pracy nauczyciela Karga, postępują uczniowie z każdym dniem w zręczności, a wyroby ich wkrótce na targach zagranicznych odbyć znajdą. Oto, co z niemałą pociechą wyczytujemy w *Gazecie Lwowskiej*:

„Szkoły koszykarstwa pod Krakowem otrzymały niedawno od inspektora technicznych szkół fachowych, radcy rządowego, dra Exnera w Wiedniu, japońskie i chińskie wyroby koszykarskie, wybrane z tamtejszego muzeum orientalnego, jako wzory najstosowniejsze dla szkółek galicyjskich. Oprócz tych wzorów, otrzymały szkółki od dra Exnera także bawarskie i paryzkie wyroby koszykarskie. Nauczyciel koszykarstwa Karg zrobił wyborny użytek z tych wzorów, zaprowadzając nowy sposób wyrabiania koszyków z struganej wikliny. Koszyki te zewnątrzni kształtami bardzo przypominają wzory swoje, to jest japońskie koszyki z bambusowych prętów, i stanowić będą jedyne w swoim rodzaju, całkiem oryginalny artykuł w przemyśle koszykarskim nie tylko kraju naszego, lecz może i całej Europy. Nie ulega wątpliwości, że koszyki tego rodzaju, skoro tylko dadzą się poznać zagranicy, zdobędą sobie w krótkim czasie bardzo zyskowny obyt. Drugi rodzaj koszyków, także utworu nauczyciela Karga, tak się odznacza misterną i elegancką powierzchownością, że zdaniem znawców, koszyki tak wyrabiane, będą mogły z czasem wystąpić do walki konkurencyjnej z słynnemi florentyńskimi wyrobami koszykarskimi.

Liczba uczniów w szkółkach koszykarstwa wzmagą się. W Liszkach, gdzie teraz kierownikiem warsztatu jest były uczeń Karga, Gockiert, kształci się w przemyśle koszykarskim między innymi także sześciu uczniów, mieszkających w znacznej odległości od warsztatu, w Czernichowie. W Śmierdzącąj wzrasta nie tylko liczba uczniów, lecz także liczba wydoskonalonych w przemyśle koszykarskim i samodzielnie produkujących pracowników. W tym roku liczba takich pracowników wynosi już 21. Dawni uczniowie Karga uczą dobrowolnie innych, i w ten sposób wydoskonała się koszykarski przemysł w całej okolicy. W Śmierdzącąj osiągnięty już został cel, jaki rząd i kraj wytknęły domowemu przemysłowi przy udzielaniu subwencji, to jest



koszykarstwo rozwinęło się tam tak wysoko, że ludność wiejska ma otwarte źródło zyskowego zarobkowania.

W obec tak szczęśliwego rozwoju tej gałęzi przemysłu domowego, okazała się już potrzeba rozwinięcia akcji handlowej, któraby umożliwiła pieniężne zrealizowanie osiągniętych rezultatów na rzecz ludności, oddającej się przemysłowi domowemu. Jeżeli bowiem uczeń wydoskonaliwszy się w centralnej krakowskiej lub innej filialnej szkółce koszykarstwa, nie może znaleźć sposobności do zarobkowania, to w takim razie, czas wolny od zajęć w polu musiałby marnować i nadal w dawny sposób, a nadto, utraciłby uzyskaną biegłość i wprawę. Wpływałoby to w sposób zniechęcający na tych, którzy zamierzają dopiero korzystać z nauki.

Utorowanie i ustalenie zyskowego odbytu dla wyrobów przemysłu domowego, byłoby zadaniem trudnym, prawie niemożliwym, jeżeliby cała sprawa pozostawiona została samym finansowym i handlowym siłom Krakowa, którym braknie najważniejszego warunku powodzenia, to jest rozległych stosunków z zagranicą. Za staraniem rządu, zadania tego podjął się p. Karol Zimmermann-Göllheim, szef wielkiego przedsiębiorstwa eksportowego w Wiedniu, który w tym celu udał się do Krakowa z inspektorem fachowych szkół dr. Exnerem, i zawarł umowę z komitetem, zarządzającym sprawami szkół przemysłowych. P. Zimmermann zobowiązał się dostarczać uczniom, opuszczającym szkołę koszykarstwa, materiału surowego i zaliczek w gotówce, odpowiadających wysokości zamówień. Dalej, zobowiązał się przedsiębiorca wiedeński wypłacać należytość za wykonane roboty zaraz po skutecznieniu dostawy i starać się usilnie o to, ażeby koszykarze mieli jak największą łatwość zarobkowania. Za to będzie p. Zimmermann jedynym i wyłącznym przedsiębiorcą. Sprzedaż wyrobów koszykarskich w innych kierunkach, wysyłanie tych wyrobów na wystawy i t. p. wyjątki, od tej wyłączności nie są wykluczone, ale zawsze potrzebnym będzie porozumienie się z przedsiębiorcą. P. Zimmermann-Göllheim zastrzegł sobie, że zobowiązania swoje wykonywać będzie pod warunkami, iż towary wyrabiane za współudziałem, a względnie pod kierownictwem nauczyciela Karga wytrzymają konkurencyą z zagranicznymi produktami, także i umiarkowaną ceną.

W ten sposób, koszykarskie wyroby naszego ludu wiejskiego mają już utworowaną drogę do handlu europejskiego, który niezawodnie zapewni im wielki zakres odbytu, a ich producentów sownie wynagrodzi. Z wzrostem produkcji wzrastać będzie popyt na dobry materiał surowy, o który właśnie postarać się trzeba. Z tego powodu, na wielkie uznanie zasługuje pomysł właściciela dóbr w Krakowskim, hr. Eugeniusza Larischa, który zamierza zaprowadzić kulturę wikliny na wielkie rozmiary. Byłby to przykład godny naśladowania dla właścicieli dóbr w całej okolicy.

— Jużemy donieśli o nagłym i niespodziewanym zgonie ś. p. Maurycego hr. Dzieduszyckiego, w dniu 22 kwietnia r. b. Najpoważniej-



szy organ prasy Galicyjskiej, *Gazeta Lwowska*, podaje o zgasłym mężu wspomnienie obszerniejsze, które dosłownie zamieszczamy:

„Ś. p. Maurycy Dzieduszycki liczył lat 65, ale czerstwość zdrowia i bogaty zapas sił żywotnych zdawały się wróżyć mu długi jeszcze szereg lat życia i pracy. Kto go widział przed niewielu dniami, pełnego życia i energii, uderzającego młodzieńczą niemal bystrością myśli, marzącego o spełnieniu licznych jeszcze zadań bądźto naukowej, bądź obywatelskiej natury, ten z podwójnie przykrém i bolesném uczuciem przyjąć musiał wieść smutną, że śmierć tak nagle, tak gwałtownie przerwała to życie tak czynne i energiczne, tak różnostronne i w zasługi bogate... Umarł w całej pełni żywota, z całą dzielnością niepopolitych władz umysłowych, wśród owéj szczeréj, serdecznój ochoty do pracy na każdym dostępném a uczciwém polu, która go tak szlachetnie odznaczała. Owoce téj pracy były pełne i bogate, wymownie téż świadczyć będą o pięknym trudzie i znakomitym umyśle tego nieodżałowanego pisarza i obywatela. Jego *Zbigniew Oleśnicki*, *Piotr Skarga i wiek jego*, *Kronika domowa Dzieduszyckich*, *Żywot Hieronima Sierakowskiego*, *Krótki rys wypraw Lisowczyków*, zjednały mu znakomite, a zasłużone stanowisko w historyografii polskiej, stanowisko, z którego go nie zdołały zepchnąć stronnice i namiętne wycieczki, skierowane przeciw wybitnie katolickim tendencyom, jakie wyznawał we wszystkich swych pismach, w każdym czynie i słowie, w całym żywocie swoim chrześcijańskim. Prac swych naukowych, tak wysoce cenionych, dokonał mógł ś. p. Maurycy tylko podwójnym wysiłkiem trudu; najznacześniejsze bowiem z nich powstały w czasie, kiedy jako urzędnik obarczony zajęciami tego zawodu, a nadto sprawując urząd zastępcy kuratora Zakładu Ossolińskich, tylko wolne, pozabiurowe godziny poświęcić mógł badaniom historycznym.

Dzieląc swe siły na dwa zawody, ś. p. Dzieduszycki w żadnym z nich nie był dyletantem, w obu owszem liczył się do skończonych pracowników i mistrzów. Urzędnik prawy i krajowi oddany, zaszczytany był zawsze względami najwyższych przełożonych. Ujmującym charakterem i wysokimi zaletami umysłu, umiał jednać sobie serdeczne i trwałe sympatyje osób, z którymi wprowadzało go w styczność jego urzędowe stanowisko. J. C. W. arcyksiążę Karol Ludwik, którego Dzieduszycki podczas jego pobytu we Lwowie uczył języka polskiego, okazywał mu zawsze życzliwą sympatyą, której nie zdołały zatrzeć długie lata. Uwolniwszy się od prac biurowych, ś. p. Dzieduszycki z podwójną ochotą i skrzętnością, rzecby można z prawdziwym zapałem, rzącił się do prac literackich. Umysł jego nadzwyczaj żywy i wielostronny, obejmował niemal wszystkie gałęzie piśmiennictwa; żadna mu nie była obcą, żadna obojętną; we wszystkich niemal próbował sił choćby przelotnie, a najczęściej z powodzeniem. Bogaty materyał obyczajowy, jaki mu pozostał z poważnych badań, wyzyskał w *Powieści z dawnych czasów*; doświadczenie nabyte w administracji kraju, składał w nielicznych lecz wybornych artykułach dziennikarskich i politycznych; kwestyje po-

lemiczne wstrząsające opinią współczesną, znajdowały w nim dzielnego i bystrego szermierza; humor i dowcip wrodzony, którym tak bardzo celował w życiu towarzyskiem, dały mu pochop do prób dramatycznych, z których jedna była grana w Krakowie, a zdarzało się nam spotykać zgrabne i wdzięczne wierszyki jego pióra, rzucane na papier w chwilach swobody lub wypoczynku.

Długoletnia służba rządowa, liczny szereg dzieł znakomitych i wiek podeszły a na ciągłej pracy strawiony, wszystko to uprawniało go do wypoczynku, do spożywania wśród czci i sympatii chleba *bene merentium*. Bezczyność jednak nie dała się pogodzić z tą żywą, energiczną, bystrą naturą. Przed kilku miesiącami zaufanie współobywateli powołało go na krzesło poselskie w sejmie, gdzie zająłby był niezawodnie stanowisko piękne i wybitne. Z największą skrzętnością począł ś. p. Dzieduszycki przygotowywać się do sejmowej pracy; zastawaliśmy go nieraz nad stosem stenograficznych protokołów, memoriałów, ustaw krajowych, sprawozdań wydziału i t. p., które studyował z tą samą sumienną dokładnością, z jaką wszystko pełnił, czego się podjął. *Nulla dies sine linea*, zdawało się być hasłem tego znakomitego, niestrudzonego pracownika. Obok statecznie prowadzonych badań naukowych, które miały służyć za materiał do prac obszernych, obok studyów społecznych i psychologicznych, jak np. rozprawa *O samobójstwie*, pisywał liczne pomniejsze artykuły rozmaitej, a zawsze cennej treści, z których przeważną część umieszczała *Gazeta Lwowska* i jej dodatek *Przewodnik naukowy*. Jakoż dziennik nasz w przedwczesnej śmierci zasłużonego historyka ponosi dotkliwą stratę, a poświęcając tych kilka wierszy, niestety! po dziennikarsku dorywczych, jego pamięci, ze smutkiem po zgonie znakomitego pisarza, łączymy także rzewny żal po życzliwym współpracowniku i przyjacielu pisma naszego. Czytelnicy przypomną sobie piękną prozę hr. Maurycego *O generale Andrzeju Poniatowskim*, drukowaną w odcinku naszego pisma, w *Przewodniku* zaś od pięciu lat spotykali ciągle rozprawy jego, z których ostatnia może, jaka wypłynęła z pod pióra ś. p. Dzieduszyckiego, studyum psychologiczne p. t. *Nieprzeliczeni*, rzecz napisana z wielką werwą, z dowcipem i satyryczną bystrością, właśnie ukończoną zostanie w majowym zeszytcie *Przewodnika*.

Śmierć, wyrwijąca człowieka w pełni sił z pośród planów i prac rozpoczętych, że tak powiemy wprost z warsztatu ducha, sprawia zawsze ciężkie i przygniatające wrażenie; w tym zaś wypadku przybywa do tej całej grozy jeszcze rys dziwnie rzewny. Ś. p. Maurycy Dzieduszycki umarł tuż przed spełnieniem się myśli ulubioniej, krórą się cieszył długo. W maju miał wyjechać do Rzymu, aby złożyć Ojcu Świętemu hołd i życzenia. Był to zamiar, który dla człowieka tak serdecznych i głębokich przekonań katolickich, miał urok nieporównany.... Pielgrzymka do wiecznego miasta miała mu osłodzić wspomnienie zesztorocznej, wielce bolesnej wycieczki do Włoch, kiedy to śpiesząc do swój córki, przybył do Florencyi zaledwie



w porę, aby w jego ramionach wydała ostatnie tchnienie. Nie spełniło się marzenie ś. p. Dzieduszyckiego, maj nie powita go pod włoskim błękitem, ustroi mu grób domowém kwieciami, na jakie stać ojczyste niebo... Cześć wspomnieniom jego żywota!\*

— Dnia 16-go maja r. b. odbyło się w Poznaniu posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przedstawiony został rękopism „Gramatyka języka cygańskiego” nadesłany przez autora p. Kalinę z Petersburga. Pracę tę ma ocenić komisya, złożona z trzech członków, i następnie, jeśli to dzieło zyska ich uznanie, oddane będzie do druku. Innęj komisji polecono rozpatrzenie „Pamiętników Wierzbickiego (a właściwie K. Luxa) o legionach włoskich.” Odczytano także rozprawę d-ra Warnki pod tyt.: „Przebiecie przesmyku amerykańskiego,” zawierającą bardzo ciekawe i nauczające wiadomości o Ameryce Środkowej i o projektach dotyczących tego przedsięwzięcia.

— Czytamy w korespondencji z Poznania do Gazety Warszawskiej: „Wspomnieć muszę o maleńkiej rozmiarami, ale gruntownej pod względem badań naukowo-archiwalnej, a uzdrawiającej moralnie publikacji, pod tytułem: *Kilka słów o przewodniku heraldycznym wydanym w Krakowie nakładem Anczyca*. Otóż jak dawniej, choćby tylko w epoce wydawnictwa Niesieckiego *Herbarza* przez Bobrowicza, pojawiają się i dzisiaj w Polsce literaccy spekulanci, jak np. jakiś p. Kosiński w Krakowie, jak jakiś p. Czarnecki w Poznańskim, którzy licząc na próżność ludzką, układają herbarze nowego autoramentu z szeregiem własnych nobilitacyi i hrabstw, niby to staręj daty, choć nowego odkrycia. Autor powyższych *Słów kilku*, gruntowny znawca i badacz archiwów wielkopolskich, poddaje wszelkie fałszy i zmyślenia owych szlachto i hrabiorobów, o ile dotyczą Wielkopolski, skalpelowi nader sumiennęj krytyki, i wykazuje całą moralną i naukową nędzotę spekulacyi, do których rzędu należy ów *Przewodnik heraldyczny* krakowski.”

— P. Prochazka, wysłany ze Lwowa i Krakowa, dla przejrzenia archiwum w Królewcu, odkrył pamiętnik z 1409 r., obejmujący wiadomości do dziejów Polski, Litwy i Prus, a kwalifikujące się do 3 tomu *Monumentów*, których publikacją rozpoczął zmarły niedawno A. Bielowski.

— Maurycy Karasowski, przez lat wiele współpracownik Bibl. Warsz., wydał w języku niemieckim biografię Chopina, która w całej Germanii doznała najpochlebniejszego przyjęcia. Praca ta rzuca niemałe światło na życie genialnego muzyka.

— Otrzymujemy od J. I. Kraszewskiego wiadomość, że przygotował do druku zbiór listów Zygmunta Krasieńskiego, które zamierza w krótkim czasie ogłosić.

— Stefan Buszczyński, o którego szacownych pracach, nieraz mówiło już nasze pismo, obecnie wydał dramat p. n. *Posłannicy* (Poznań 1877 r.). Jest to utwór przerobiony w poprawnej edycyi, z wydania 1857 r. Wówczas dramat ten miał tytuł: *Demokracy i arystokracy*



i był żywym obrazem stosunków na Podolu; dziś stał się historycznym dokumentem.

— W Wiedniu na wystawie historycznej, urządzonej w nowym gmachu Akademii sztuk Pięknych, nasi malarze poczesne zajmują miejsce. Na czele zachwyca licznie zbierającą się publiczność sławne dzieło ś. p. Artura Grottgera *W dolinie leż*, składające się z 11 rysunków. Jest to własność cesarza Franciszka Józefa. Tegoż artysty jest piękny rysunek: „Transport jeńców wojennych.“ W bogatym oddziale obrazów olejnych, wydane miejsce zajmują prace ziomków naszych: Andrzeja Grabowskiego: portrety Smolki, d-ra Dietla i Jana Matejki. Ostatniego obraz wielki historyczny „Rejtan” zwraca powszechną uwagę; jest to własność cesarza. Antoniego Kozakiewicza dwa obrazy: *Katarzynkarz* i *Kobziarz*; Franciszka Streita: *Szczęście macierzyńskie*; Bronisława Abramowicza: *Uczta historyczna u Wierzyńka*, i Leopolda Löflera: *Księżę Alba w zamku Rudolfstadt 1547 r.* i *Rudolf I w czasie bitwy pod Marten*: oba te obrazy są ze zbiorów cesarskich.

— Do najwyborniejszych tłumaczeń utworów Mickiewicza należy przekład serbski byłego ministra Novakowicza, poematu *Grażyna*: tłumaczenie to niemal nie ustępuje oryginałowi.

— Kleczkowski hrabia francuzki, który dostał ten tytuł za usługi oddane przybranej ojczyźnie, przed 30 laty przybył do Paryża i poświęcił się nauce języka chińskiego. Właśnie stosunki Francyi z Chinami zawiązywały się coraz częstsze. Mianowany tłumaczem przy legacji francuzkiej w Chinach, zamieszkał później w Szangai, a w czasie wyprawy na Pekin, otrzymał tytuł hrabiego i zyskał sobie wdzięczność Francyi. Obecnie jest profesorem w wyższej szkole języków żyjących, członkiem Akademii Nauk, oficerem Legii honorowej i używa niemałego znaczenia.

— Paryzka Akademia Nauk, na dorocznym publicznym posiedzeniu swoim dnia 23 kwietnia, przyznała nagrodę tysiąca franków dr. Stańskiemu, za jego prace nad chorobami epidemicznymi. Dr. Kajetan Stański, rodem z Galicyi, oddawna już w Paryżu osiadły i światu naukowemu z pism swoich lekarskich znany, zaszczycony różnymi medalami i nareszcie krzyżem Legii honorowej, za usługi oddane w czasie cholery, a potem obłężenia Paryża, w uwieńczonych dziś pracach swoich zbija utrwalone od wieków przekonanie o zaraźliwości chorób epidemicznych i dowodzi, że cholera równie jak wszelkie inne choroby, nie udziela się wcale z daleka, i że każda zaraza tylko przez zaszczepienie udzieloną być może.

— Z polecenia rządu amerykańskiego, sędziwy doktor Henryk Kałusowski, który już mu poprzednio oddał usługę, tłumacząc wszystkie dokumenta odnoszące się do odstąpienia Alaski (byłej rosyjskiej Ameryki), oraz historii téj prowincyi na język angielski, zajmując urzędowe stanowisko w ministerjum skarbu w Waschingtonie przez lat 30, obecnie wykończa przekład na język polski konstytucyi ame-

rykańskiej i poprawek do takówéj, oraz uzupełnieniem jéj komentarzami. Po ukończeniu tego tłumaczenia, będzie drukowaną kosztem rządu, który uważa za swój obowiązek, zaznajomić przybyszów zamorskich z prawem krajowém, czego w mowie angielskiej nie zdołaliby uczynić.



Dnia 14 maja r. b. umarł ś. p. ksiądz *Józef Szpaderski*, zacy kapłan, mąż uczony. Urodził się w Skaryszewie (w Radomskiem) 1816 r. Po ukończeniu gimnazjum w Radomiu, wstąpił do b. Akademii Duchownéj. Otrzymał święcenie kapłańskie wraz ze stopniem kandydata teologii, od r. 1839 wykładał naukę religii i moralności w szkołach. Mianowany regentem Konsystorza w Sandomierzu, był proboszczem w Bedlnie i Osieku. Zostawszy profesorem egzegetyki i patrologii w b. Akademii Duchownej w Warszawie, oddał się pracom naukowym. W r. 1852 ogłosił w *Bibliotece Warszawskiej*, pełną wartości rozprawę p. n. *Lud wiejski, jego religijność, moralność i był materyalny*. W pismach czasowych, jak w *Pielgrzymie* E. Ziemięckiej, w *Pamiętniku religijno-moralnym*, w *Przeglądzie Katolickim*, pomieszczał wiele prac szacownych. Prelekcye swoje, jakie miewał w Akademii Duchownéj, zebrałszy w całość i uzupełniwszy, wydał w Krakowie i w Warszawie 1869 i 1871 r. w dwu tomach p. n.: *O zasadach wymowy kaznodziejskiej*. Czuwając troskliwie nad dobrem młodego pokolenia, wydał poprzednio dwa katechizmy: *Naukę moralności dla młodzieży polskiej*, oraz *Książkę do nabożeństwa dla uczącej się młodzieży*. Wierny sługa ołtarza, całe życie poświęcił dla dobra współbraci swoich.

— Dnia 22 maja r. b. w Warszawie zakończył życie *Franciszek Skibiński*, tajny radca, senator, w sędziwym wieku. Była to postać dobrze znana przeszło od pół wieku w naszym mieście: uczestnik wszystkich salonów i zebrań literackich, wszędzie mile widziany, pozostawił najciekawszy pamiętnik z czasów od roku 1815 do 1830, w listach pisanych do swojej matki, w których malowniczo z pomienionego okresu przedstawia nam społeczność polską tego grodu, tak z warstwy arystokratycznej, jak artystów i literatów ówczesnych.



## SPROSTOWANIE.

W artykule: *Szkice z wystawy filadelfijskiej*, zamieszczonym w kwietniowym zeszytcie Biblioteki r. b. znajduje się kilka zmieniających sens błędów. Str. 66, 10 wiersz od góry, zamiast *namyśłem*, winno być *umyśłem*. Str. 67 wiersz 6 od góry zamiast *porządkowej*, ma być *początkowej*. Str. 67 wiersz 9 od dołu, zamiast *zjawiają się*, ma być *związują się*. Str. 70, wiersz 8 od dołu, zamiast *przyszłość*, ma być *przeszłość*. Str. 72, wiersz 22 od góry, zamiast *spełnilam*, ma być *spełniam*. Str. 72, wiersz 3 od dołu, zamiast *kapitału*, winno być *kapitolu*. Str. 75, wiersz 12 od góry, zamiast *pod*, ma być *przed*.

Ważniejsze omyłki w artykule *O Pamiątnikach Medekszy i Matuszewicza*. Str. 336 wiersz 28, zamiast *z akt autorów społecznych*, ma być *z akt społecznych*. Str. 346 wiersz 3, zamiast *z całą wiedzą ich następstw*, ma być *z całą niewiedzą ich następstw*. Str. 354 wiersz 3, zamiast *jeśli*, ma być *jaki*. Str. 356 wiersz 3, zamiast *Pamiątniki*, ma być *Pawłowski*. Str. 345 wiersz 7 od dołu, zamiast *Krasińskim*, ma być *Krasickim*. Str. 355 wiersz 8, zamiast *ustępów*, ma być *ustępstw*.



*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1877.

stron.

## *Historya.*

Starożytność Wschodu, według nowo odkrytych źródeł. Król Assurbani-pal i biblioteka jego. Przez J. Radlińskiego. . . . .	77, 288
Listy Teresy-Kunegundy Sobieskiej, elektorowej bawarskiej. Przez J. T. L. . . . .	275
Matica czeska. Przez Antoniego Zaleskiego. . . . .	377
Z pamiętników Fryderyka hr. Skarbka. . . . .	395
Nieznane pamiątki historyczne niektórych kościołów powiatu olkuskiego. Zebrane przez ks. Wł. Siarkowskiego. . . . .	493

## *Filozofia.*

Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm. Przez D-ra M. Straszewskiego. . . . .	83, 210
--	---------

## *Nauki społeczne.*

Angielskie kasy oszczędności. Przez D-ra Ochenkowskiego. . . . .	417
--	-----

## *Podróże i odkrycia geograficzne.*

Opłynięcie jeziora Albert-Nijanza . . . . .	109
---	-----

## *Literatura.*

Druga i czwarta część Dziadów.—Grażyna. (Drugi i trzeci odczyt w wielkiej sali ratusza warszawskiego, na korzyść Osad rolnych, Hr. Tarnowskiego). . . . .	185
---	-----

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

- Romantyczne epopeje tureckie: *Khosra i Schirim*, *Jusuf i Zulejka*, *Medznoun i Leila*. Poemat allegoryczny: *Róża i Słowik*. *Epopea zwierząt*. Poemata mistyczne. Anakreontyki. Kobięta turecka. Poetki. Wacław Rzewuski założyciel Towarzystwa orientalistów w Wiedniu. *Dykcjonarz powszechnéj literatury*, przez Vapperau. *Akademie*, prace literackie waryatów. *Meluzyna*: Taniec obrzędowy w Echternach. *Montcalm i Kanada* przez pana Bounechose. *Historja Węgrów* przez p. Sayons. *Przegląd geograficzny*, nowe czasopismo pod redakcją p. Drapeyron. Towarzystwo międzynarodowe w celu ucywilizowania Afryki pod prezydenturą króla Belgów. Projekt kapitana Rondaire: Morze na piaskach afrykańskich. Podróż naukowa w 320 dniach około świata. *Daniel Deronda* przez Georges Elliot. Zmarły akademik Jozef Autran. *Nowe legendy wieku* Wiktora Hugo. *Podróżnik Compiègne*. . . . .
- Legenda wieków*, przez Wiktora Hugo: nowa serya, dwa tomy: *Tytan*; *Termopile*; *Kassandra*; *Attyla*; *Cyd z Biwaru*; *Ojcowstwo*; *Król Perski*; *Bitwa na cmentarzu w Eylau*; *Cuda świata*; *Epopea robaka*; *Poeta*.—Ustęp z historii Węgier: *Monografia Zrynich*, przez p. de la Tour. *Leonidas Węgierski*.—Konkurs Igrzysk Kwiatowych w Tuluzie. — Kolekcya Gazety z r. 1609, odkryta w Bibliotece Hejdelbergakiej.—*Les exilés* (Wygnańcy), melodramat p. Nus, z powieści księcia Lubomirskiego.—Raport z Aten o odkryciach Schliemana.—Koncerta pana Sowińskiego i panny Amelii Majdrowicz . . . . .
- La Femme Romaine*, przez pannę Klarysę Bader.—Kurs prof. Aleksandra Choźki w kolegium francuzkiém. *Pieśni mało-ruskie*; *pieśń serbska o Janie Sobieskim*.—Wystawa obrazów na Polach Elizejskich. Malarze polscy: pan Chełmoński: *Karczma polska*. P. Piątkowski: *Dziewczyzna stepowa*. P. Mioduszewski: *Portret Ojca Aleksandra*. Panna Izydora Mikulska: *Portret siedmioletniej dziewczynki*. P. Jan Rozen: *Wyzwanie z Pamiętników Paska*; *Biwak z XVII wieku*. P. Budkowski: *Columbarium*. P. Bakalowicz: *Małgorzata de Valois*, scena z Rzezi Bartłomiejowej. Portret: *Firmin'a Didot*. P. Kazimierz Alchimowicz: *Młody męczennik*. P. Józef Brandt: *Konie tatarskie*. *Poczta żydowska na Podolu*. P. Szyndler: *Odaliska*, Portret. P. Aleksander Cetner: obraz symboliczny: *Na kolana ludyl* P. Chlebowski: *Przedionek meczetu w Brusie*, *Śmierć sultanki*. P. Łukasieński: *Wyjazd na targ*. P. Brochocki; *Zmierch* (krajobraz). P. Ciesielski: *Połanka w lesie Fontainebleau*. P. Gąsowski: *Okolica nad rzeką Charente*. P. Kossowicz i Przepiórski: *Portrety*.—Rzeźba: P. St. Lipiński: *Dziewczyzna opuszczona*. P. Godebski: *Dwa popiersia*.

P. Grabowski: *Portret kobiety*. P. Hegel: *Popiersie*. Rysunki i akwarele. P. Redlich: *Kazanie Skargi* (eau forte). Pani Konstancya Boulard: *Posłowie przed Batorym*. Panna Krystyna Prusinowska: *Głowa murzyna, Kwiaty*. Pani Przepiórska: *Akwarela*. Panna Płużańska: *Krajobraz zimowy*. Pani Amplewska: *Miniatura dziecka*. Panna Stryńska: *Hołd trzech królów* (emalia).—Wykluczenie kobiet z Sorbony. Prof. St. René Taillandier.—Zapowiedziana historia Jana Kazimierza, przez p. Maryusza Topin. *Alzacya i Lotaryngia* p. Elstein. *Plutarch dla wojska francuzkiego*, dra. Ternier.—*Bravo*, opera p. Salvayre.—*Cinq-Mars* opera Gounoda.—Odezwa Dumasa do wyborców. . . . . 468

### *Powieść.*

Prawo bezprawia. Powieść. Przez Jana Zacharyasiewicza. . . . . 55, 434

### *Dramat.*

Brytan-Bryś. Bajęda dramatyczna w czterech aktach, wierszem. Przez Aleksandra hr. Fredrę. . . . . 1, 244

### *Przemysł.*

Szkice z wystawy filadelfijskiej 1876 r. Napisał Jan Karłowicz. . . . . 66, 442  
Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Prawa akcyonaryuszów. Przez A. Wrotnowskiego. . . . . 113

### *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Broekera b. oficera legionów francuzko-polskich. Tłumaczone z oryginału niemieckiego, przez córkę jego Paulinę Cybalską. Warszawa, drukiem Józefa Ungra, 1877. (w 12-ce str. XVI, 339 z popiersiem autora). Przez K. Wł. Wójciokiego. . . . . 148  
Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom IX. Nakładem tegoż Towarzystwa. Poznań 1876 r. (w 8-ce str. 339). Przez F. Jezierskiego str. 148. Przez Ernesta Świeżawskiego. . . . . 498  
Ortyłe magdeburskie, przedruk homograficzny z Kodeksu Biblioteki Kórnickiej objaśnił dr. Michał Bobrzyński. Poznań 1876 r. (w 8-ce). Przez R. . . . . 155  
Statut Wiślicki w polskim przekładzie r. 1460, przedruk homograficzny z Kodeksu Kórnickiego wykonał A. Piliński. Poznań 1876 r. (w 8-ce). . . . . —



	stron.
Prawa polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagielly przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna R. 1449. Przedruk homograficzny z Kodeksu Puławskiego wykonał A. Piliński. Poznań 1877. (w 4-ce). . . . .	155
Prawa książąt Mazowieckich przełożone na język polski przez Macieja z Rożana. R. 1450. Przedruk homograficzny z Kodeksu Puławskiego wykonał A. Piliński. Poznań 1877. (w 4-ce). . . . . (573). Krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust ludu. Zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa. Nakładem i drukiem Jana Noskowskiego 1877 r. (w 8-ce str. 153). Przez K. Wł. W. . . . .	157
Antoni Zygmunt Helcel jako prawnik-historyk, przedstawiony w sprawozdaniu z czytania jego Starodawnych prawa polskiego pomników, które dając pod rozwagę światłej publiczności, wydaje jako trzeci artykuł Prawodawstw Słowiańskich Wacław Aleksander Maciejowski. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1876 r. (w 8-ce str. 206). Przez R. . . . .	163
Stefana Franciszka Prószoza Medekszy. Księga pamiętnicza, od 1654—1668 r., wydał dr. Władysław Seredyński. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, 1875. Przez A. Tyszyńskiego.	335
Pamiętniki Marcina Matuszewicza od r. 1714—1765. Tom 4, wydał Ad. Pawiński, 1876. Warszawa. Przez A. Tyszyńskiego. . . . .	344
Biblioteka najcenniejszych utworów literatury Europejskiej. Rok czwarty. Tomów XXXVII, 1877. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. Przez K. . . . .	356
Symbolika historii. Warszawa, 1877 r. . . . .	358
Kongres archeologiczny w Kazaniu 1877 r. . . . .	359
Amilkar Kosiński we Włoszech 1795—1803. Zbiór materyałów do historii legionów polskich we Włoszech. Poznań, 1877 roku, (w 8-ce, str. XCV, 446. Z popiersiem Amilkara Kosińskiego, dwoma tablicami przedstawiającemi plan Mantui, z objaśnieniem i ozdobną nominacją Kosińskiego). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	510
Opis dzienny szkół wileńskich, Akademii i Uniwersytetu, oraz dyaryusz znaczniejszych wypadków w Wilnie, od roku 1781, po rok 1824 nastających. Z autentycznego dokumentu ogłosił Władysław Tekieliński na korzyść trzech ubogich sierot. Wilno. Drukiem Józefa Blumowicza, 1876 r. (w 12-ce, str. 167). Przez R. . . . .	516
ROZMAITOŚCI. List nieznaný Juliusza Słowackiego do matki. . . . .	170
Uroczystość w Rzymie na cześć Adama Mickiewicza. . . . .	361
KORRESPONDENCYA. Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Benedykta Csaplara. . . . .	166
Konkurs Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polsk. . . . .	519
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKI. I ART. 173, 365, 520	
NEKROLOGIA. . . . .	183, 375, 531
SPROSTOWANIE. . . . .	184, 582

